

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

L. 221.
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 225.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.

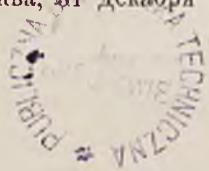
Rok 1897. — Tom I.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Waracka Nr. 14.

1897.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 31 Декабря 1896 года.



№. II. 1.

W WIELGIEM.

POWIEŚĆ.

Rodzinnej wiosce poświęcam.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Widocznie coś niezwykłego dzieć się miało w Wielgiem, w ten jasny, uśmiechnięty, wspaniale pogodny ranek majowy...

Na drodze, długim, płowym pasem biegnącej po-pod szeregiem kilkudziesięciu chałup, nie spotkać żywego ducha. Psy jeno u wrót domostw poprzysiadaly na ogonach, i wszystkie zwrócone łbami w jedną stronę, naszczekiwały niespokojne, najeżone, niepewne, czy wyć im wypadalo tylko, czy ujadać na dobre. Ten i ów oglądał się za siebie, jakby naprzód stosownej upatrywał kryjówki, ten i ów nawet, stulwszy ogon i uszy, zabierał się do odwrotu, i pomrukując, dla zachowania pozorów odwagi, zmykał wystraszony do chaty, lub krył się w stodole.

Widocznie coś niezwykłego dzieć się miało w Wielgiem... Pusta, słońcem wyłącana droga, słońcem złocony po jednej jej stronie szereg chałup, po drugiej łąka, okwitła kaczeńcem i smółką, sprawiały wrażenie przygotowanej do czegoś dekoracyi. Droga ta i łąka, i chaty, zdały się niecierpliwie wyglądać czegoś, muskane od czasu do czasu przelotem, jak cień lekkiego, wiatru, który, je, rzekł-byś, chłodem swym koił w gorączce oczekiwania.

W tem z jednej z chałup śródkiem wsi ustawionych szybko zbiegła ku wrotom kilkoletnia dziewczynina, a przystanąwszy za niemi, przysłoniła oczy ręką od słońca, wpatrując się przed siebie i nasłuchując uważnie. Wystrojona odświętnie, w czepku na głowie kolorowym, nabijanym gęsto pękami krótko strzyżonej włóczki i wstążek, z pod którego dwa cienkie, jasne opuszczały się warkocze, czerwoną splecione harasówką, czerwoną miała na sobie, do pięt sięgającą, spodniczynę, na niej zielony fartuszek. Biała, o bufiastych rękawach, mocno przefarbkowana koszula i bosc nogi dopełniały stroju.

Na żywej, sprytnej wyrazem, twarzy dziecka malowało się zaciekawienie wielkie, z uczuciem nieokreślonego lęku i niecierpliwości zmieszane, bo co chwila odwracała głowę w stronę rozwartych drzwi chaty, jakby się zjawienia z nich czyjegoś spodziewała, podskakując przytem pociesznie z nogi na nogę.

— Cichoj, Kruczek! — zachnęła się na psa, który, pełen już odwagi, rozszczekany na dobre, do wrzaskliwego wtóru pobudzał inne, i nagle wrzasnęła na całe gardło:

— Już idą, babulu!.. już idą!.. już ich słychać..

Raz jeszcze rzuciła okiem przed siebie, raz jeszcze obejrzała się na drzwi chaty, a gdy się nikt nie zjawiał, pędem skoczyła ku domowi, zarumieniona i rozdygotana, wołała:

— Chodźta babulu, żywo!.. już mineni Szymkową chałupę!.. — W towarzystwie Kruczka, przezornie rejterującego z drogi, wpadła do czyściutko umiecionej, piaskiem i tatarakiem wysypanej izby; mgnienie oka zatrzymała się przed siedzącą na przypiecku, zgarbioną wiekiem, a widocznie ciężko stroskaną kobietą, i jednym tchem rzuciła jej:

— Bierzta kołacz i chodźta, bo się spóźniat! — poczem, zwracając się do stołu, białą nakrytego płachtą, a suto napitkiem i jedzeniem zastawionego, porwała zeń złożony na drewnianem, okrągłym denku, jakich do przykrywania garnków z mlekiem używają, kołacz i sól, a podawszy je staruszce, raz jeszcze zawołała od progu: — Naszta i chodźta! — i wybiegła z izby na dawne za wrotami stanowisko.

Na skraju wsi, w niewielkiem od niej oddaleniu, na wzgórzu, gęsto lipami poroślem, wznosił się parafialny kościół wielicki. Cały zielenią spowity, widniał jeno blaskami słońca rozpaloną kopułką, która, świeżą blachą pokryta, strzelała na okół pękami światła.

W kierunku to jasnej kopułki dziewczyna topiła oczy, i w tantą stronę psy niespokojnie nadstawiały ucha.

Od kościoła, na drodze, w dali wzbijał się słup kurzawy, a z za gęstej chmury pyłu dochodziły dźwięki jakieś, niby stłumiony huk, głu-

chy, przeplatany skrzypieniem. Od czasu do czasu rozlegało się w powietrzu wesołe: „hul ha!” zwyczajne zakończenie równie wesołej piosenki.

Kłęby kurzu zbliżały się zwolna; coraz wyraźniej dobywał się z nich głos bębna i piskliwe dźwięki skrzypiec, słyszałeś melodye zwrotek, na różne wyśpiewywanych tony.

Na drodze parę już tylko co najodważniejszych psów dotrzymywało placu, inne z ukrycia wyły, niby przed najściem Tatarów. Z tej i owej chaty tu dziecko wyjrzało lękliwie, owdzie rozciekawiona postać stara lub staruszki, jedynych na razie wyludnionej wsi mieszkańców.

— Babulu, babulu!.. — powtarzała dziewczynina półgłosem, nieprzytomna prawie, zachwytem przykuta do miejsca, choć jej się nogi do ucieczki zrywały.

Nagle błysnęła przed nią w górze, tęczą wstążek upstrzona, zielona różga piewszego druzby, a jakby na dane hasło, ranny, rzeźki majowy podmuch wiatru uderzył w tuman kurzawy i odsłonił przed okiem dziecka pstry korowód weselny, o kilka staj zaledwie odległy.

Przodem, rażno potrząsając różgą, družba posuwiste zataczał koła; dziarski parobczak z fantazyą ujął długą sukmanę pod ramię, a skiniawszy na muzykę tuż za nim postępującą, huknął od ucha:

Na piecu orał, żyto siał,
Baba płakała, chłop się śmiał:
— Nie płacz, kobito, będzie chlib,
Pół kosza żyta, worek pfiw!.. hul... ha!..

— Hul.. ha!.. — zawtórowano chórem, podczas gdy na ochotnika ktoś z tłumu na własną palnął rękę:

Kąpała się Wikta w bobrze
I mówiła, że jej dobrzel.. hu!.. ha!..

Teraz i staruszka, wywabiona z izby hukaniem drużyny weselnej, wyszedłszy z chaty, z kołaczem w ręku i solą, zdążyła ku drodze. Ale śnać nie pilno jej było. Szła zwolna, jakby ociągając się, a twarz jej, pomarszczona wiekiem, niby jabłko mrozem ścięte, okolona pękami białych jak mleko włosów, opuszczających się z pod chusty, stary zwyczajem pokrywającej głowę, i śladu nie okazywała wesela, lub ochoty.

— A daleko są tam jeszcze, Kasiu? — wątlým, trzęsącym się głosem pytała dziewczyny.

— Babulu, babulu!.. — odparła zagadnięta, nie odwracając nawet głowy, duszą całą utopiona w barwnej różdże druzby i hałaśliwych tonach muzyki.

Już tylko kilka kroków dzieliło ją od godowników.

— Co tu ludal!.. co tu ludal!.. — powtarzała, i nagle chwyciła babkę za fartuch, onieśmielona tłumem, rada-by ukryć się przed nim, a ciekawa.

Staruszka wolną ręką przygarnęła ku sobie głowę dziecka, jakby je brać chciała w opiekę i obronę, i zmarszczona, poważna, groźna prawie, czekała z kołaczem nowożeńców, co, otoczeni całą niemal ludnością wioski, prosto się ku niej do wrót zagrody zbliżali.

Kto żył w Wielgiem, choć nieproszony, na świadka bodaj uczestniczył w obchodzie; dzieci nawet od kościoła samego w przyzwoitem oddaleniu towarzyszyły pochodowi.

Ale bo też i weselisko było co się zowie! Oto jeden z najzamożniejszych gospodarzy wielickich, z dziada pradziada osiadły na roli, Jakób Musiała, po stracie pierwszej żony, z którą lat mendel z okładem w szczęśliwym przeżył stadle, w powtórne wstępował związki, biorąc sobie Magdalenę Nowotnikównę, dwudziestoletnią córkę dworskiego gajowego, Nowotnika Jana, a z dworskiej także służby — pokojówkę. A choć dziewuchę brał nie gospodarską, „przez nijakiego wiana,“ nie jeden zazdrościł mu na schwał urodziwej niewiasty, a parobczakom, jak wilkom na mrozie, świeciły się do niej oczy.

Sliczna to była ta Magdzia, jeno gdy się do nóg schyliła matce Jakóba, sędziwej, a szanowanej po wsi, Franciszkowej, co ją przed wrota chaty witać wyszła chlebem i solą, ręka staruszki bezwiednym ruchem zacisnęła się na głowie Kasi, a twarzy, rzekł-byś, zmarszczek przybyło.

Z po za fartucha babki, dziecko jak w obraz wpatrywało się lekliwie w postać i przyodziewek macochy.

I jemu wydała się jak malowanie.

Stała tam uśmiechnięta, postawna, młoda, ze świeżo odebranych z rąk Franciszkowej kołaczem, cała niby garsć kwiatów w słońcu. Na głowie poruszany wiatrem rój różnokolorowych wstążek, pękiem opuszczających się ze stroika panny młodej, trzepotał się z szelestem. Biała na niej spodnica, złotym i srebrnym bramowana szychem, niebieski stanik, w metalowe usiany kółka, które mieniły się, wywołując w dziewusze zachwyty, prawie z osłupieniem graniczący.

Wśród ciemnych rzęs, włosów obfitych, czarnych, całe niemal czoło porastających, i oliwkowej cery, paliły się wielkie, ciemne, głębokie a lśniące oczy, któremi bez zakłopotania rzucając do koła, ani razu nie spoczęła na rozpromienionej twarzy Jakóba.

A stał tuż przy niej, jak w tęczę, w żonę wpatrzony, o bożym zapominając świecie. Ogorzała, zmarszczkami zbróždzona już twarz Musiała, młodniała przystrojona wyrazem serdecznego zadowolenia, a choć nie jeden srebrny włos widniał na głowie jego, choć lat pięćdziesiątkę dźwigał na barkach, to przecież, kto go tam widział u boku od ołtarza prowadzonej, a snać żywnie umiłowanej niewiasty, bodaj czy o czterdziestkę mógł go posądzić. Chłop tęgi był jeszcze i czerstwy w sobie, z siwych, poczciwych oczu szczerość mu biła jakaś i ochota wielka, co przy rozchylającym usta uśmiechu w młodego niemal przeobrażały go parobczaka.

I oto, gdy starosta, poważny gospodarz, Szymon Leśkiewicz, kończąc zwykle przemówienie weselne, zwrócił się do Jakóba:

— Przywiedliśwa wam — mówił — niewiastę, coby, jako to w każdej zagrodzie bywa i zatuleniu, strzegła chaty waszej i dobytku; a wam nikięj, Franciszkowej i tej oto sierocie, niewiastą była, wedle woli Bożej, a dobrą córką i matką...

Musiała, przerywając mu, rozochocony, chwycił Magdzię w ramiona i ruszył z nią w dygach do chaty.

Ona wtedy, uśmiechnięta, swobodnie na ramieniu męża przechylona, dostrzegłszy obok, śmigłego jak topól, w liberyi dworskiej chłopaka:

— Jaśku, naści go! — zawołała, podając mu denko z kołaczem a gdy się do odebrania go zbliżył, pewna, iż w gwarze on jeden doślyszy ją tylko:

— Jaśku!.. — szepnęła, oczy w nim topiąc jak węgle.

I.

W mroźny, wyiskrzony wieczór styczniowy, w przywalonej śniegiem Musiałowej chacie, buchał na kominie jasny, z zeszlętych rozniecony gałęzi, ogień, przy którym na okapie stojąca blaszana lampka naftowa, przykopconem jeno, a niewidocznem prawie, ćmiła się światłem.

Spora, czysto umieciona izba, przybrana w części obrazami Świętych, w części obszernemi zawieszona półkami, na których rzędem w pokaźnej ilości ustawione błyszczały gliniane, fajansowe i szklane naczynia, widome, wraz z suto zasłanem pościelą łóżkiem, znamiona zasobności właściciela, wesołym rozwidniona ogniem, ciepłe, zaciszne dawała schronienie mieszkańcom, do porządku śnać i ładu przywykłym.

Gospodarza samego nie było w domu. Wczesnym rankiem powióził na jarmark do Lipska zboże na sprzedaż, a zabrał i parobka z sobą, aby mu przy dopilnowaniu sprzężaju i przy wadze ziarna był pomocnym. Z wieczorą dopiero spodziewała się Franciszkowa syna z powrotem, a do wieczery, przy wczesnie zapadającej nocy styczniowej, kawałek jeszcze miała czasu. Obrządziwszy chudobę, siedziała oto kądziel mając pod sobą, na przypiecku, i przędła. Opodal, nad rzuconą u nóg jej garścią tyczkowego grochu pochyłona, Kasia łuskała strąki, pstrokate ziarna fasoli z wielkiem zajęciem we wzorzyste układając na podłodze desenie. U proga, wygodnie na brzuchu rozciągnięty, ze łbem złożonym między przednie łapy, leżał kudłaty Kruczek, to wpatrując się w ogień bezmyślnie, to strzygąc uszyna i pomrukując, gdy pod nogami mijającego chatę przechodnia ścięty mrozem śnieg zakrzypiał na drodze.

Na drewnianym stołku, przed kominem także i z kądzielą, a naprzeciw Franciszkowej, zajął miejsce gość, częsty gość w chacie: blizka, bo z trzeciej chałupy, sąsiadka, gospodyni Kajtaniakowa Wojtkowa. Zażywa, o twarzy rumianej, noszącej ślady częstego spotykania się z półkwatkiem, niemłoda już kobieta, „kuma“ wsi całej, a na wieś całą znana bajczarka, za co ją zresztą po izbach zawsze mile widziano, na pogawędkę wstąpiła dziś do Musiałowej.

— Coby wam się — tak na powitanie rzekła do niej — nie cniło moiściewy wieczoreczkiem przez synka, skoro się na dziouek cały Jakób do Lipska wybrali.

I rzeczywiście, powodem odwiedzin Wojtkowej była właśnie nieobecność gospodarza w domu, bo nie kto inny, tylko Jakób miał być przedmiotem rozmowy.

Od pewnego czasu różne o Musiale po wsi chodziły gadki. Mówiono, jako po niezbyt dawnej stracie żony o powtórnym przemyślałw związku, bo w lata już posunięta Franciszkowa sama chudobie nastarczyć nie mogła, a i dla dziecka młodsza przydała-by się opiekunka. Tylko że nie zgadzano się co do wyboru niewiasty. Mówili jedni, że jeno patrzeć Jakóbowych swatów u statecznej wiekiem, „do połowy roli przynależącej,“ także owdowiałej niedawno, bezdzietnej Kacprowej Sulinowej, co z uwagi na wiek i położenie Musiały, dobrą sławę i gospodarność Kacprowej, zdaniem powszechnem „odpowiadało jedno drugiemu.“

Ale mówili inni, że niemłody Jakób na zabój rozmiłował się w Magdzi Nowotnikównie, córce gajowego. a pokojówce przy dworze, dziewczusce po prawdzie jak łania i na schwał urodziwej, ale „przez nijakiego wiana“ i latawcu, o którym różnie ludzie gadali. Dziewczyna dwie niedziele temu zjawiała się na niesporach w bursztynach, jak „żółędzie“ wielkich, co się wnet po wsi rozniosło, z dodatkiem, że je z Radomia, gdzie z innymi gospodarzami z dostawą żyta dworskiego jeździł, przywiózł Musiała. Ale nie było w tem „pewności nijakiej,“ bo Magdzi podobno i „panowie“ zwozili gościńce, ona zaś do każdego zęby suszyła, ale sercem, to chyba do jednego lgnęła fornałczyka przy cugowych, Jaska Górajka.

Jednem słowem, mówiono tak i owak. Kajtaniakowa zaś, zyczajnie wszystko wiedząca, tem samem ku ciężkiemu utrapieniu, domysłami jeno zadawałniać się musiała. Nie dalej, jak dziś oto zrana, gdy ją przy studni kuma z sąsiedniej chałupy zagadnęła o zamiary Musiały i głośne we wsi bursztyny,

— Co też wam się, kumeczko, roi? — odparła, niby pewna swego. — A kaj to Magdzi do gospodarza na roli i ojca dzieciom! Kacprowa, na ten przykład, to nie mówię — czuła jednak, że nadrabiała miną, że sama tyle, co i „kumeczka,“ wiedziała.

A choć ta ostatnia święcie jej, zdało się, uwierzyła, długi czas bowiem z opartą na dłoni brodą, kiwała głową, powtarzając:

— Mościewyl!.. mościewyl!.. a czego to ludzie nie wymyślą!.. — to przecież krciła ją okrutnie niepewność własna, i postanowiła, bądź co bądź, dobadać się prawdy, a najpierw wziąć zręcznie na spytki Franciszkową.

Z Musialiną jednak nie łatwa była sprawa. Staruszka, z natury zamknięta w sobie, niechętnie pozwalała ciągnąć się za język, a o ile lubiła słuchać plotek Wojtkowej, o tyle, znając ją dobrze, strzegła się dostarczać jej materyału od siebie.

— Słówko wyleci wróblem, a wraca wołem, i ani się człek opatrzy, kiej zgrzeszy gębą, — mawiała zawsze, tak w czynach, jak w mowie, przezorna.

To też Kajtaniakowa „od lasa“ jęła ją obchodzić, krok za krokiem zbliżając się do celu. Buzię bo miała wprawną, i sprytu, i fantazyi, dosyć, cały tedy worek wiadomości i wiadomostek wysypała, zanim, rozochociwszy już i rozgadawszy nieco staruszkę, w słabą jej uderzając strunę, zwróciła się nagle w stronę Kasi, i czułem obejmując okiem bawiące się fasolą dziecko, na pozór rzewnie roztkliwiona, rzekła z westchnieniem:

— Siroteczka, jak się to dziecięcina zabawia sama grzecznie z nią to chyba, kumeczko, nijakiej nie mata zgłoby?

Franciszkowa oderwała ręce od przędzywa, i z miłością wielką spoglądając na wnuczkę, odparła:

— Pocziwe dziecko, niema co mówić... ani to spryczne, ani to grymaśne, — a nie domyślając się podstępu, — ino, moiściewy, jak jest, tak jest, — dodała, z nurtującej ją zdawna zwierzając się myśli, — człek jest wiekowy, i dziecina przez nijakiej może ostać opieki.

— Nie wydziwiali-byśta, kumeczko, po próźnicy! — zachnęła się Wojtkowa, wielce z obrotu rozmowy rada. — Komu-to, komu o śmierci wspominać! Dał Pan Jezus zdrowie tyle czasu, to da jeszcze i nie roczek, i nie dwa... A zresztą, święć się Jego przenajświętsza wola! — tu Kajtaniakowa ciężko westchnęła. — Skoro-by to zaś co i do czego przyszło, dyć się dziewusze ojciec na pociechę ostanie, a nie ojczym tam byle jaki.

— Jakób dobry był syn, i dobry ojciec z niego pewnikiem; — poważnie wtrąciła staruszka, — ino ojciec, chocia najlepszy, zawdy to nie mać i nie matczyzna opieka.

Tu Wojtkowa postanowiła przypuścić szturm ostateczny, i zwracając się do Kasi, zapytała:

— Kasiu, a chciała-byś to mieć matule?

Dziecko, zagadnięte znienaćka, zawahało się z odowiedzią, poczem odparło obojętnie, niby wyuczoną powtarzając zwrotkę:

— Matula ni pomarli!.. matula u Pana Jezusa!..

— Trusiąteczko ty mojej!.. — zawołała Kajtaniakowa, do głębi wrzekomo rozczulona, i porwawszy się ze stolka, z którego wraz za

nią i kądzielnica stoczyła się na ziemię, pochwyciła Kasię za głowę i głośnemi jęła ją obsypywać pocałunkami.

Nagle spoważniała.

— Pomarli!.. Wieczne odpoczywanie racz jej dać, Paniel!..—westchnęła, podnosząc przedziwo i sadowiąc się na niem wygodnie. — Pomarli, to się wie, co pomarli!.. A światło wiekuiste niechaj jej świeci!.. U Pana Jezusa?.. A kajże-by niebożątka miało być indziej?.. Tyło widzisz, Kasiu, ja się nikiem pytam, czy-byś ty na ten przykład chciała mieć inszą matulę?

Tego pytania Kasi jeszcze nikt nie stawiał, zakłopotana się niem nie żartem. Niepewna, jaką dać odpowiedź, spuściła na razie oczy w fasolę, a podnosząc je następnie trwożliwie na babkę, mruknęła:

— Babula wiedzą! — i czempředzej jęła grzebać palcem w grochu.

— Abo i sprawiedliwie, dziecko ma recht, moja kumo! — zawyrokowała sąsiadka.

— Bo nikiem co?—spoglądając na nią przenikliwie, zapytała starucha.

Kajtaniakowa zaś, czując, iż chwila stanowcza nadeszła, poprawiła się na stołku, pośliniła dwa palce, szarpuęła niemi grubą nić przedzy.

— A to-byś ta ich pożenili i szabas! — oświadczyła, pokręcając wrzecionem, aż furknęło.

— Nikiem kogo z kim? — udając, że się nie domyśla, odezwała się Franciszkowa, nie spuszczając przytem z oka sąsiadki.

Zbiło ją to nieco z tropu, ale nie na długo.

— Kogo z kim... kogo z kim... — burknęła niecierpliwie. — Dyć Jakóba z Kacprową!

Staruszka brwi zmarszczyła, i milcząc, podniosła się chróstu do rzucić do ognia.

Kajtaniakowa, raz przełamawszy lody, prawiła dalej:

— Abo i źle mówię, moja kumo? Kobita stateczna, do połowy roli przynależąca, jako i wasz gdowiec, gdowa i przedzietna, a to wedle Kasi, nie przymierzając, grunt. Gospodyni jak sie patrzy, i domu dopilnuje, i chłopą dopilnuje, i dziecka... Nie trza wam zresztą dużo gadać, kobita jak szkło!

Sąsiadka uderzyła w sedno, każde jej słowo trafiało do przekonania Franciszkowej, i własne jej tłómaczyło pragnienia. Nie od dzi

przemysliwała nad połączeniem Jakóba z Kacprową. Kobieta poczeiwa, Kasi-by jej nie skrzywdziła pewnikiem, a zaradna, obrotna, to i dla syna jak stworzona, bo Jakób chłop dobry z kośćciami, ale miękki, i „nijak mu się było przez opieki babskiej obchodzić.“ Wiedziała o tem dobrze ona, co tyle lat na pasku go prawie wodziła, co i jego, i dobytek własną głową nieraz od złego ustrzegła. Tylko, że nie lubiła przed czasem wywnętrzać się ze swoich zamiarów i myśli, synowi jeszcze nie napomknęła o nich słówkiem, a tu Kajtaniakowa tak na nią z nienacka z tem wpadła, a tak gorąco do rzeczy się brała. Podejrzaniem jej się to wydało. A może to i Sulimowa wysłała ją na spytki, na zamożnego gospodarza łasa. Nie podobało się to staruszce, i zwolna odwróciwszy się od komina, utkwiała w sąsiadce bystro swe siwe oczy i ostro niemal zapytała:

— Ja to, moiściewy, w bawełnę obwijać nienauczna, gadajta szczyrze, nasłali was tu?

— A bodajem, moja kumeczko, światłości niebieskich nie oglądała!..—submitowała się Wojtkowa. — Dyciem ino od serca wtrąciła swoje, skoro się o tem zgadało. A niechbym tak jutrzejszego dnia nie doczekała!..

Snać zakłęcia te, z zapalczywem wygłaszane przejęciem, zadowolniły Franciszkową, bo udobruchana, spokojnie już biorąc kądziel do ręki, przerwała je.

— Jeszcze się nad nieboszczką darń nie zazieleniła! — rzekła poważnie.

— A światłość wiekuista niechaj jej świeci chudziątkowi!..-westehnęła znowu Wojtkowa. — Dyć nie zazieleniła się, i prawda, ino to nie trza wam powtarzać: w chłopskim stanie chłop przez baby, chałupa zasie przez gospodyni, wiadoma rzecz, i bez rok nie strzymają nijak, a i po wsi gadają...

— Co gadają? — wtrąciła żywo staruszka.

— A coby mieni, ino że Jakób za niewiastą się oglądają, a tylo niewiadomo, o którą uderzą: o Kacprową, czyli też o Magdzię...

— Jaka to znowuj Magdzia? — marszcząc się, spytała Franciszkowa.

— Nowotnikówna, gajowianka, pokojówka ze dworu. Dyć wiadomo, co się wasz wedle niej kręca...

— W imię Ojca i Syna!.. czyście kobito zbyli rozumu, czy lichu was opętało jakie!.. — zawołała staruszka, do żywego poruszona. — Magda, gajowianka, ten latawiec, ten wyciruch!..

Nareszcie Kajtaniakowa dobiła swego. Wyprowadziła starą z równowagi umysłu, kierującej nią zawsze w czynach i słowie. Jeżeli kiedy, to teraz mogła się czegoś dowiedzieć, byle kuć zelażo, póki gorące. Furknęła tedy wrzecionem zamaszycie i rzekła:

— Wycirus, nie wycirus, ale się do niej wszystkie śmieją chłopaki, i niema co mówić, dziewczyna kieby łani...

— Takiej ci łani, — z oburzeniem wielkiem wtrąciła Franciszkowa, — i na jarmarku za pieniądze dostanie. Nie potom ci tyle lat dobytku strzegła i zagrody, żeby mi się taka tam po niej swędać miała. Kacprowa, to nie mówię, niechby się z nią i żenił, ale z tamtą... nie-doczekanie...

A Wojtkowa dolewała oliwy do ognia.

— Święte wasze słowa, kumeczko! — mówiła, — ino to z chłopem zawdy trudna sprawa, zwyczajnie trusia, a kiej się rozmiłuje, to ci nikiej ten kozieł bryeczny bósć gotów. Jakób...

— Ino mi syna nie wspominajta! — zawołała staruszka, — bo to plotka i tyła.

— Ja ta, moiściewy, dokumentnie, to i nic nie wiedząca, — tłómaczyła się Wojtkowa; — ale co Magdzia, nikiej żołędzie wielkie miała na niesporze bursztyny, to miała, a co po wsi gadają, jako je dzievusze Jakób, kiej to z odstawą zboża dworskiego jeździli, aże z Radomia przywieźli, to gadają.

Ale, ku wielkiemu zdziwieniu Kajtaniakowej, staruszka na wzmiankę o bursztynach, miasto burzyć się dalej i wywnętrzać, jakby jej kto mowę odjął, zamilkła nagle. Zaspęła się jeno bardziej, niezrozumiałem już prawie tylko pomrukiwaniem i kiwaniem głowy udział biorąc w rozmowie, która się wreszcie w monolog gadatliwej sąsiadki zamieniła.

Próbowała jeszcze Wojtkowa to tędy, to owędy wyciągnąć coś ze starej, by się o istotnych zamiarach jej i Jakóba czegoś pewnego dowiedzieć, ale po-nad stwierdzenie z góry przewidywanej przychylności dla Kacprowej, a nieprzyjaźnych uczuć dla Magdzi ze strony Franciszkowej, niczego się nie dobadła. Nawet pogłoski o bursztynach i stosunku Jakóba do gajowianki nie sprawdziła. Tym ostatnim zaprzeczyła wprawdzie Musiałowa energicznie, ale na wzmiankę o bursztynach przycichła, na dwoje tedy babka wróżyła: albo wiedziała coś, ale zataić pragnęła, albo pogłoska istotnie tylko plotką była. Pewności nie zyskała żadnej. W ostatniej chwili postanowiła zaczerpnąć języka u źródła, to jest u Magdzi, na której chępliwość liczyła, i pod

wymówką zbliżającej się wieszery, ze zwykłym na spracowanych daremnie ustach: „Niech będzie pochwalony!..“ wysunęła się z izby, w ponurem zostawiając staruszkę zamyśleniu, podczas, gdy Kasia, wyciągnięta na strączynach, w towarzystwie Kruczka spała w najlepsze.

O ile jednak Kajtaniakowa nie dowiedziała się niczego, o tyle sama, ani się tego domyślając, doniosłych Franciszkowej udzieliła objaśnień, tak doniosłych, że starowina, po wyjściu sąsiadki, bez ruchu, niby skamieniała, przesiedziała długą godzinę na przypiecku, ciężko, a snąc i boleśnie zadumana. Przed Wojtkową nie zdradziła się ani słówkiem, miała dość siły, praktyką zresztą życia wyrobioną, aby szarpiący ją niepokój zataić w sobie, ukryć go przed ciekawym uchem a gadatliwym językiem sąsiadki, zbyt mało skądinąd przenikliwe, izby z samego milczenia jej i rozlanego na twarzy frasunku wnioski jakie wyprowadzać miała. Teraz przecie, bez świadków, niczego się już obawiać nie potrzebowała, wypadło jej też wrzeczono z palców, a ręce z wyrazem rozpachy prawie spłotła na kolanach przed sobą. I dumala, dumala bez ruchu, zgarbiona, jakby jej nagle wiązkę lat rzucono na barki wiekowe.

Ale boć to może i nie plotka była tylko, one, niby żółędzie, wielkie bursztyny Magdzine. Staruszcze stanęło w oczach niedawne zajście jej z synem, na które w swoim czasie nie zwróciła uwagi, które jej się wszakże po rozmowie z Kajtaniakową w innym zgoła przedstawiało światło. Gdy istotnie ładny sznur bursztynowy dostrzegła wypadkiem w kobiałce Musiały po powrocie jego z Radomia, Jakób, a przypomniała sobie w tej chwili wszystko dokładnie, zmieszał się zrazu bardzo, a nawet z gniewem, którego się względem niej rzadko dopuszczał, kobiałkę wyrwał z jej ręki, zapytany zaś o dziwny sprawunek, odparł, iż bursztyny kupił dla kowalczynej Nastki, na obstalunek jej matki, a dając to objaśnienie, był tak spokojny, że je bez podejrzeń przyjęła, znając zamożność kowala, w parze idącą z kosztownością gościńca.

Czemu jednak na niesporze wystąpiła w bursztynach Magdzia właśnie, nie Nastka? Toć-by się ze swojemi i kowalczanka nie kryła, a o takim sprawunku rychło-by się po wsi rozniosło.

Staruszkę ścisnęło coś w piersiach, niespokojnym okiem powiodła po izbie, a spostrzegłszy u nóg swoich uśpioną wnuczkę, jakby nderzona nagle poczuciem grożącego niebezpieczeństwa, szepnęła:

— A broń-że Ty nas, Jezusieńku!..

Byłóż bo jej przed czem wzywać Bożej opieki. Ta dziewczucha, której ona, zasobna na roli gospodyni, stateczna życie całe niewiasta, szanowana po wsi i doma, Franciszkowa, i znać pierwej nie chciała, ten „wycirus“ miałże-by z nią pod jednym zamieszkać dachem, ba, pa-

nią może zostać zagrody, nad nią starą, nad ukochanem dzieckiem jej, Kasią, przewodzić! A Jakób słaby, a Jakób jak воск miękki, a do kochania skory, zawojowany, aniby się oprzeć umiał, choćby o rodzoną szło matkę, o dziecko rodzone, choćby o dobytek szło i zagrodę. I przewinęły się kolejno przed oczyma staruszki: ziemi świętej włóka z okładem, i co rok jesienią pełna po szczyty stodoła, i para koni i wołów, i ciolki dwa jak ulane, krów i jałowizny sztuk ośmioro, i owiec mendel, i trzoda, i gadziny garść spora wszelakiej. A tam, w kącie klepiska jej tylko i Jakóbowi znanym, przez nią, męża jej, starego jeszcze Franciszka. i gospodarną później nieboszczkę Jakóbową, sztuka za sztuką, grosz za groszem nieledwie, garnek ubierany rubli srebrnych, między którymi nie rzadko i dukat się trafił jeden i drugi. Wszystko to dla niej, obieżyświata, wietrzyicy, wycirusal..

— Panienko przenaświętsza!.. — jęknęła starowina, a łzy, jak groch, pociekły po zmarszczonej, wykrzywionej bólem twarzy.

Byłóż jej, było przed czem wzywać Bożej opieki! Co począć? Jakób dobrym był synem, uległym, stwierdziła to sama przed chwilą, ale jej też w uszach brzmiała odpowiedź Kajtaniakowej:

— Ino to z chłopem zawdy trudna sprawa, zwyczajnie trusia, a kiej się rozmiłuje, to ci nikięj ten kozieł bryczny bósć gotów.

A jeżeli syn się zatnie,—a bywało tak,—bywało, jeżeli ani prośby nie usłucha, ani się groźby nie ulęknie? co wtedy?

A z wnuczką?.. co się z jej Kasią stanie?..

— Pod Twoją obronę uciekamy się... — jęła, głowę już tracąc, powtarzać starucha, skulona we dwoje, niemal troską złamana, kurczowo zaciskając suche, kościste dłonie przed sobą.

Wypalone na kominie drzazgi pokrywały się już warstwą popiołu, mdłe światło lampki ledwo w półmroku utrzymywało izbę, a cichy, równy oddech śpiącego dziecka rozlegał się po niej echem, gdy nagle skrzyp sań po drodze i radosne skomlenie u drzwi Kruczka wyrwało Franciszkową z odrętwienia.

— Jakób przyjechał! — szepnęła, zrywając się do komina i rozdmuchując wygasły na nim ogień.

II.

Tego samego dnia zrana, słońce zaledwie skrawkiem tarczy wychylało się z wolna z za lasu, na pogodne, mroźne wytaczając się niebo, a z kominów chat wielickich śniegiem przywalonych prostopadle w górę, kłębami pary, niby pióropuszcami zdobne, strzelały dymy, gdy z przed Musiałowej chałupy ruszył na saniach złożony wasąg, pełen worków ze zbożem, na których, lejce trzymając w dłoniach, pokrytych grubemi, o jednym palcu rękawicami wełnianemi. w czarnej, wysokiej jak kołpak, baraniej czapce, w sutym skórzanym kozuchu, o spadającym do bioder niemal, w trójkąt wyciętym, baraním, rudym kołnierzu, szerokim przepasany pasem, siedział Musiał.

— Wista!.. wista małe!.. — powtarzał, popędzając konie lejcami, podczas gdy z progu żegnając syna:

— A nie zabacz soli, Jakóbie, i donic! — wołała Franciszkowa, trzymając ręce przed mrozem zasunięte pod zapaśnikiem.

Zwolna, ostrożnie, noga za nogą, wyminął Musiałą wązkie wrota zagrody, które za nim z batem w rękę, w drogę wybrany także, z mknął parobek. Zamknąwszy je, żywo podskoczył ku zatrzymanym za niemi saniom, biczyskiem krzyż przed końmi na śniegu skreślił, a odebrawszy lejce z rąk gospodarza i sadowiąc się na przodzie wasągu, końce ich podsunął pod nogi, szybkim ruchem wdział rękawice, poprawił czapki i świsnął batem, wołając:

— Wio, małe!..

Skrzypnięcie zamykanych przez Franciszkową drzwi chaty złało się we wtór ze zgrzytem ściętego mrozem śniegu pod kopytami koni, i pomknęły sanie z miejsca w stronę przeciwną kościołowi, po ujeżdżonej, równej jak stół, drodze.

Wypasione jak galki, czupurne, Musiałowe gniade mierzyny, parślały jeno, kłębami rzucając z nozdrzy parę, a toczyły się, żywo zbierając nogami, jak piłki. Od czasu do czasu, dla fantazyi, parobek świsnął nad niemi batem, lub:

— Zdrowe małe! — wołał, od uroku je broniąc, po każdym głośniejszym parsknięciu.

I tak, przy odgłosie miarowego pod kopytami ćwierkania śniegu i naszczekiwania psów gadatliwszych, sunęły przez wieś sanie, aż i ostatnią minąwszy zagrodę, u dróg rozstajnych wysforowały się na szczerę, białe, gdzieniegdzie gruszcami upstrzone, jak tafla lodu gład-

kie, pole. Zmierzały teraz, jak strześlił, ku lasowi hen u nieboskłonu zwartym pasem czerniejącemu, którym następnie, zmalemijeno przerwami, do samego już miano jechać Lipska, dokąd na jarmark z żytem na sprzedaż dążył Musiała.

— Wiśniocha to ci znowuj całe koryto wychlapała dziś wody! — odezwał się nagle parobek, wyciągając na pogawędkę rozmownego zwyczajnie w drodze gospodarza. — Piła i piła, aż mi obie ręce od wiadra scierpły! — mówił wpół odwrócony, dłuższej rozmowy pewny.

Ale gospodarz poprawił jeno kożucha na piersiach i mruknął coś o wybojach.

— Handryczny musi dzisiaj, czy co? — zauważył w duchu parobek, i świsnął batem na pociechę, wołając:

— Wio, małe!.

Jechano dalej w milczeniu. Nie do rozmowy było dziś jakoś Musiale; siedział na workach, zlekka poprószonych słomą, kilimkiem w białe i szafirowe pasy pokrytą, zamysłony, ale nie frasobliwy. Pocierał rękawicami czerwone od mrozu uszy, i coraz, mrużąc przed jaskrawością śniegu oczy, zwracał je na prawo, kędy sadzona topolami włoskimi droga biegła od dworu, w kępie drzew ukrytego, ku lipskiemu traktowi, i to uśmiechał się, to marszczył, to poruszał wargami, jakby z samym sobą rozmawiał.

Od dawna bo już do dworu tego, co teraz z za drzew słupami dymu istnienie swoje znaczył, rwały się, ilekroć dojrzeć go mogły, Jakóbowe oczy, i rozjaśniała się twarz poczciwa, ramą długich, ciemno-blond okolona włosów, na plecy niemal opadających, po-nad czołem zaś, aż do osady jego, równo ściętych w grzywę, co gospodarza owego na chłopskiej tylko zagrodzie dziwnie podobnym czyniło do rżniętych na starodawnych pieczęciach wizerunków książąt Piastowskich. Dwa roki dobiegało już właśnie, jak jeszcze za życia nieboszczki swojej, a pamiętał chwilę niby wczorajszą, całą gromadą w obszernej jadalnej sali dworskiej kilkudziesięciu gospodarzy wielkich dobiło z dziedzicem targu o serwituty, a dziedzic na „oblewunek“ zdawna a zmundnie prowadzonych, układów, podać kazał gąsiorek wódki i przepił do sąsiadów. Przyniosła ją i kolejno częstowanym rozlewała córka świeżo „nastalego“ do służby gajowego, Nowotnika, dwudziestoletnia może nie więcej dziewczucha, Magdzia, przy dworze pokojówka, wraz z ojcem wdowcem przyjęta, po wydaleniu się ich z sąsiedniej Bąkowy, gdzie Nowotnik za karbowego służył, a dziewczyna lat parę przy pokojach także spędziła. Magdzia „jako to z Łyków,“ nosiła się z waszecia; bez chusty na głowie, z gładko przyczesanemi na niej włosami i obfitym warkoczem. Czerwony miała na sobie welniak w czarne pasy, biały fartuszek i biały, suto na piersiach różnokoloro-

wemi zawieszony paciorkami, kaftanik. W sznurowanych, na wysokich obcasach trzewiakach, uwijała się między gospodarzami, zwinna, „kieby ten wąż,“ to pełne podając im blaszane miarki z wódką, to wypróżnione napełniając z gąsiorka, a taka ci przytem rezolutna, że na dziedzica samego strzelała oczyma. uśmiechnięta, swobodna, jakby od urodzenia do pokojów „nauczna panienka.“

I odśmiejali jej się gospodarze, ten i ów dalej od dziedzica stojący, amlodzy, półgłosem słówkiem zaczepił, dziewczyna zaś odcinała się na poczekaniu od ucha i szczyrzyła zęby, niby ten kociak, co wróbla zobaczył. Całą już niemal obczęstowała gromadę, gdy z kolei zatrzymała się z pełną miarką przed Musiałą tuż, u drzwi wchodowych, o kredens wspartym. O „swarnej“ ze dwora pokojówce słyshał już Jakób to i owo, nie najlepiej o niej gadano, bo i z Bąkowy różne dochodziły języki, tylko urody nikt jej nie przeczył, dziewczęta nawet co najśliczniejsze pierwszeństwo jej przyznawały nad sobą, a co chłopaki, toć pomiarkowania nie znali w chwalcie, i chwaliłi, aż grzmiało. Musiała do tej pory nie znał jej jeszcze, w układach zaś o serwituty, nieufnością przez podejrzliwą matkę zarażony. należał do opozycyi, którą ujawniał zajęciem miejsca wraz z kilku innymi opponentami na tyłach samych gromady, a zafrasowany postanowieniem większości, w sprawach gromadzkich rozstrzygającej zwykle nieodwołalnie, nie zwrócił wprawdzie na razie uwagi na wejście i poczęstunek dziewczyny. Dopiero gdy stanęła przed nim z wyciągniętą ku niemu blaszanką, czerstwa „jak rzepa,“ rozbawiona zaczepkami, tem urodziwsza, że krasę jej oto oczy wszystkich niemal gospodarzy wielickich, niby lustra, odbiły w sobie koleją, rozrurieniona zadowoleniem własnem i uśmiechnięta, czarne jak węgle utkwiła w nim oczy, Musiała nagle ją spostrzegł, a spostrzegłszy, jakby kto garścią za gardło go ścisnął, stał chwilę wpatrzony w Magdzię, ani widząc podawanej sobie blaszanki.

Aż się niby to zniecierpliwiła:

— Pijcie! — rzekła — bo upuszczę!

On zaś, podnosząc miarkę do ust:

— Na zdrowie Magdzi! — mruknął, nie wiedząc prawie co mówi, dziwnie otumaniony przypadającą mu do smaku dziewczuchą.

— Ja tam i tak zdrowa! — odcięła się, a tłumiony śmiech sąsiadów zmieszał do reszty Jakóba.

Ale się nie dał.

— Ślepemu gadać, — odparł, ocierając usta rękawem, którym przelotny pokrył na twarzy rumieniec.

Tylko że to dziewczucha coś bo i zmiarkowała, ostatnich już bowiem kilku częstując gospodarzy, raz a i dwa może zwróciła się do Jakóba i zalotnem błysnęła mu okiem.

Wszystko to jadącemu oto na jarmark Musiale, na widok onej kępy drzew dworskich, odżyło w duszy, niby na jawie, a przebyte ongi wrażenia, to uśmiechem, to zmarszczką na wyrazistej odbijały się twarzy.

Spory ubito już szmat drogi, ciemna smuga zamykającego horyzont lasu zbliżała się ustawicznie. Parobek, nie odebrawszy na zaczepkę odpowiedzi, gdy wzmianka nawet o ulubieniej Wiśniosze rozgadać nie zdołała, dał za wygraną, i nie przerywał więcej milczenia. Jakób zaś dalej tonął we wspomnieniach.

I przypomniał sobie, jak to, wracając ze dwora po Magdzinym poczęstunku, gromada wstąpiła po drodze do karczmy, aby raz jeszcze zawarty układ oblać, a także i ów niepokój, jaki zwyczajnie ogarnia człeka po ostatecznem powzięciu doniosłych dla niego postanowień. Często z rąk do rąk podawane sobie półkwatki, poparte nie od dziś znaną gromadzie wymową, u starego Jukla arendarza, z niepokojem załatwiły się na poczekaniu, a gwar i śmiechy do ogólnego dostroili kamertonu najprzeciwniejszych nawet układowi opponentów. On jeden tylko, Musiała, w zebraniach gromadzkich i rozmowny zwyczajnie, i wesoły, „nijak do swego nie mógł przyjść humoru.“ Siedział za stołem chmurny, aż i uwagę zwrócił na siebie.

— A cóżeście to kumie zaniemieli? — podchmielony już dobrze, z półkwatkiem w rękę i nie bardzo na nogach pewny, zaczął go Szaspak z rogu, co to na skraju wsi mieszkał, a do wypitki zawdy był pierwszy, i w przekonaniu, że Jakóba myśl o serwitutach gnębiła,

— Czego się markocita! — jął prawić, — dyć sam Jukiel powiadają, jakośwa targu dobili galantego... — Tu jednak ktoś do Szaspaka przepił, a Jakób, korzystając z odwróconej uwagi kuma, wymknął się z karczmy, i założywszy ręce w tylne kieszenie sukmany, szedł z wolna ku wsi, zafrasowany ciężko i nie swój.

— Opętanie, czy kiej lichu! — mruknął, spluwając „na psa urok.“

A bo i urok chybał.. Wciąż przed oczyma migotał mu czerwony w czarne pasy wełniak pokojówki, a w uszach, „kieby zadanie,“ najwyraźniej dzwoniło:

— Pijecie?.. bo upuszczę!.. — to znów: — Ja tam i tak zdrowa.

Kiż lichu!.. ani bo się opędzić!.. I strach go zbierał zabobonny. On, gospodarz „żeniaty i dietny,“ nie młokos przecie żaden, i życia „nauczny,“ i ludzi, ani pojąć mógł, co się z nim działo. Toć-że niejedną, bywało, „swarną“ napotykał dziewuchę, a choć i nie podarował żadnej, to ino tak ode zwyczaj, pośmiać się lubił, i zagadać, i po-swywolić.

— A zawdy, co i z oczu, to i z myśli.

Do Marysi swojej, choć niemłodej już, a pracą steranej niewiasty, z którą tyle się lat w zgodzie i pokoju przeżyło, z nawyknienia samego szczerze był przywiązany, i ani mu teraz w głowie nie powstało latać za spodnicami białogłowskiemi. Ku Marysi też siłą woli myśl oporną napędzał, i obrazem niewiasty starał się zetrzeć z przed oczu migotliwy wełniak czerwony. A tu wyraźnie, jakby go coś ku dworowi ciągnęło, i przystawał, i oglądał się na kępę drzew dworskich, to znowu szedł dalej, jak kołowaty.

— Ja tam i tak zdrowa! — i widział, jakby je miał przed sobą, uśmiechem z za krwistych warg wychylone bieluśkie zęby dziewczuchy i połyskliwe, zalotnie wpatrzone w niego, oczy Magdzinie.

— A nie daj-że ty mnie, Maryś, niewiasto! — zachnął się, jakby pomocy szukał i obrony przed „onem opętaniem grzysznem,“ co go jak zmora dusiło.

Wszystko jednak daremnie.

— Pijecie?.. bo upuszczę!.. — zabrzmiało znowu w uszach, aż zniecierpliwiony:

— Tfu!.. — splunął, a splunął w głos i z takim rozmachem, że parobek, będąc w przekonaniu, iż objaw zniecierpliwienia gospodarskiego silniejsze właśnie wywołało od innych pójście sani w zatokę, skwapliwie jął się tłumaczyć.

— Dyć raiłem podkuć sanice, — z wielkim prawil pośpiechem, — bo te psiajuchy z dostawą szwejęw drogę kieby lód wyszorowały, a choćby żabki podbić na razie. Ale bogać tam, Franciszkowa nie dali, mówili co próżny ekspens, a tera ani utrzymać sani w torze. Wio, małe!..

Musiła jednak, rad, że go tak zrozumiano, żadnym splunięciem nie poparł argumentem, aż zdziwiony milczeniem chłopak:

— Oj, źle!.. handryczny musi... — zakonkludował — nie co innego!..

Zbliżano się do lasu, odległego niecałą wiorstę. Sadzoną topolami aleję dworską pozostawiono w tyle, obiedwie zaś drogi, ze wsi i dworu, wspólnym już biegły gościńcem. Jakób, wolny dziś wdowiec, ani próbował opędzać się wspomnieniom, tak energicznie zwalczanym ongi, to też płynęły dalej swobodnie.

Błyskawicą przebiegły mu w umyśle kolejne epizody dziejów onego czasu „grzysznego,“ obecnie niestosownego może już tylko, kochania.

Wróciwszy z karczmy do chaty, na widok krzątającej się po obejściu Marysi, na widok dziecka jedyne go i matki, która go wnet wypytywać poczęła o szczegóły umowy i przebieg targu, przyganiając po swojemu, ze zwykłym w chłopce starej daty kunktatorstwem, zby-

tniemu wrzekomo pośpiechowi gromady, bo, jak twierdziła, na zwłoce nikt nigdy jeszcze nie stracił, a co nagle, to po dyable, i dziedzica niechybnie do korzystniejszej dla wsi nakłonić można było ugody. Musiała zbył na czas jakiś nurtującego w nim „opętania,“ i ułożywszy się do snu, ze spokojnem zasypiał sumieniem.

Tylko że zaraz nazajutrz zrana, a przeznaczenie to, czy dopust Boży, gdy obręcz zluzowaną na kole zaniósł do kuźni, zastał w niej pokojówkę po duszę do żelazka. Ten sam miała na sobie wełniak czerwony, a na głowie czerwoną także, niedbale zarzuconą chustkę. W chustce tej kraśniejszą mu się jeszcze wydała. I znowu zalotnie błysnęła mu oczyma, i znowu bielusieńkie wyszczerzyła zęby, kiwnięciem głowy i uśmiechem odpowiadając mu na powitanie, jakby po starej z nim znajomości. I zaczęła go z miejsca:

— A to mówiłam, gospodarzu, coście chyba wyprzysięgnęci, żeście tak wczoraj nie chcieli pić, i nie chcieli.

A jego znowu coś ścisnęło za gardło, poczerwieniał, i zdawało mu się, że chyba nie wytrzyma, a chwyci dziewczuchę jak stała, i zdusi szelmę, albo co, z przyłubienia wielkiego.

Gadali ze sobą spory kęs czasu, a gdy, odchodząc, od proga jeszcze odwróciła się za nim, to już nie śmiała się, tylko spojrziała jakoś dziwnie, aż go od tego zimny dreszcz przebiegł, a potem znowu ogniem buchnęło, bo wyraźnie mówiły jej oczy:

— Wiem... wiem... a no, spróbujta!..

— Praktykantka musi, abo i nie! — rzekł sobie w duchu, i ogarnęła go nieprzemóżona chęć spróbowania.

Zawojowała go dziewczyna do reszty, wpiła mu się w duszę, jak ościęć, i poddał się jej, jak omamieniu. Rumienił się na wspomnienie, że on, gospodarz zasobny, któremu ważniejszych jeno i dochodniejszych, jak ciesiołka, lub odstawy dalsze, podejmować się wypadało zarobków u dworu, za życia niewiasty jeszcze najmował się, niby ten parobczak, lub wyrobnik marny, do grodzienia sztachet dworskich i płotów, byle mieć sposobność zdybania Magdzi. A wypatrzyła go zawsze, i zawsze do zaczepki okazyje jakąś znalazła.

I zawsze to w oczach na odejściu:

— Wiem... wiem... a no, spróbujta.

Później, to się między brackich zapisał, by co niedziela klękiwać w czasie summy ze świecą u ołtarza, bliżej kobiet. A zajmował zawsze miejsce od chrzcielnicy na prawo, gdzie się zbierały dziewczuchy same; po lewej bowiem, od ambony, było miejsce zamężnych niewiast, chłopci zaś w tyle stawali; od chóru, po prawej gospodarze, a parobczaki po lewej. Taki już był porządek. Pod chrzcielnicą też samą klękiwała i Magdzia. Gdy go pierwszy raz, spostrzegła zbliżające się po

„Sanctus„ w gronie brackich ku ołtarzowi ze świecą, zarumieniła się i uśmiechnęła. Przywykła jednak wkrótce widywać go co niedziela ze sobą, i zawsze, gdy szedł, odwracała ku niemu głowę nieznacznie na powitanie. A kiedy tak od „Sanctus“ aż do „Baranka“ co summa wpatrywał się w dziewuchę, jak w obraz, o świetle zapominał i wszystkiem, i ani przez myśl mu nie przeszło spojrzeć w lewo ku ambonie, gdzie w gronie starszych gospodyń modliła się niewiasta jego, lub matka.

To też później, skaranie Boże, czy znowu przeznaczenie tylko, zaniemogła Maryś ciężko i „nijakiej nie było zrazy,“ ni leki pomagały, ni zamawiania, i frasowała się Franciszkewa ciężko, do synowej przywiązana, niby „rodzona,“ a nawet do Częstochowy ofiarowała się pieszo, powiadając, jako dopust to był Boży za jakoweś w domu przestępstwo. Jakób uląkł się powiadania tego okrutnie, i na odpust wybrał się na Przemienienie Pańskie do sąsiedniej w Kazanowie parafii, i „wysłuchał“ z grzesznego kochania przykładnie, i w skrusze wielkiej szczerą przyobiecał poprawę; ale bo mu też żal było dusznie niknącej w oczach niewiasty, a ratunku i pomocy dopraszającej się. Ksiądz surową wyznaczył pokutę: suszyć kazał miesiąc cały co środy i piątki, aż się matka na to suszenie krzywo patrzali, jeno że jej rzekł, jako to na uproszenie zdrowia Marysi ślubował.

I dopóki Maryś żyła, on ci ni razu w stronę dworu nawet nie spojrział, choć go, Bóg świadkiem, siłą podrywało w te strony, ale się bał czegoś okrutnie, i żony dogorywającej sromał, jak dziecko. Przemógł kochanie, tylko że Maryś w połowie żniw pomarli, on zaś do dawnej wrócił nawiści.

Teraz wolny, i o żeniactwie przemyślał z uміlowaną dziewuchą. Gryzło go wprawdzie czasem sumienie, że tak prędko zapomniał niewiasty, co tyle lat o dobro jego dbała, sprawiedliwą była mu żoną; cóż jednak mógł dziś poradzić? A zresztą może to i nie pomsta była, jak powiadali Franciszkowa, a przeznaczenie?

Czegóż-by teraz wyrzekać się miał nawiści, za którą, niby kania za dżdżem, dyszał? Nikt bo mu tego dzisiaj wzbraniać nie miał prawa. I coraz częściej zachodził to ku dworowi, to w okolicach leśniczówki kręcił się, gdzie niedzielami, zwłaszcza po południu, zabiegała do ojca Magdzia. Dziewucha, jak miarkował, bodaj czy nie była mu rada. Powiadali ludzie, że latawiec, mizdrzyć się do każdego gotowa. Ot, złe języki i tyle. Cóż bo i za dziwota? każda-by się, gdyby, jak ona, miała czem, na jej miejscu mizdrzyła. Młoda, to i swywolna, ale niech-by ją pod strzechę dostał swoją, a matce oddał w opiekę, niewiasta-by z niej była, jak i z innej, jeno od najmilejszych milejsza.

W tajemnicy jeszcze, jął tedy obsypywać Magdzię gościncami, z każdego jarmarku coś jej przywożąc, za każdą pamiętając o niej by-

tnością w mieście. Dziewczyna zrazu wzdragała się niby, mówiła, że pośmiać się lubi, ale nic więcej; aż gdy zaręczył, że po przyjaźni jeno, za poczęstunek we dworze wywdzięczyć się pragnie. I ciągnęło się tak z pół roku, a dopiero dwie niedziele temu, gdy z Radomia kosztowny sznur bursztynów przywiózł dziewczynie, gruchnęło po wsi całej. Że już przebąkiwano o nim i o pokojówce, i do jego doszło uszu—napomknął mu o tem żartami niby Jukiel, kryć się zatem dłużej nie było powodu. Wszakci zresztą nie bałamucić pragnął dziewczuchę, lecz do ołtarza wieść, po Bożemu; tak, czy siak, tedy postanowić coś wypadało. Tylko że mu jakoś dziwnie śmiałości w ostatniej chwili zabrakło. A nuż Magdzia wyśmieję? A nuż wzgardzi? I nie tylko o pośmiewisko chodziło mu ludzkie, lęk go zdejmował, a na czoło pot zimny występował, na myśl o stracie nadziei. Toć-że wtedy zdusiło-by go kochanie!

A matka?.. Ze strony Franciszkowej zacieklego spodziewał się oporu. Domyślał się aż nadto zamysłów jej na Kacprowę, a wiedział, że od powziętych nie odstępowała łatwo. Cóż dopiero, gdy w miejsce statecznej a posażnej niewiasty, synową-by jej nazwać przyszło, kogo? bez grosza wiana, na ludzkich językach obniesioną, pokojówkę ze dwora!

Z chwilą więc, gdy wasąg wsuwał się pomiędzy pierwsze drzewa lasu, namarszczona twarz Musiały, niby lustro, odbijała stan duszy jego, niepewnością targanej. Trwało to jednak niedługo, śnać nadzieja posiadania na schwał urodziwej niewiasty przemogła, zmarszczki bowiem ustąpiły niebawem uśmiechem rozjaśnionemu wyrazowi oblicza, i raz jeszcze, zanim mu go miał gąszcz zasłonić, rzucił okiem ku dworowi. Spojrzał za siebie, i jakby go coś podniosło, zerwał się nagle, a chwytając za ramię parobka, który mimowolnie ściągnął ku sobie lejce, i wskazując mu widną jeszcze, topolami sadzoną drogę:

— Wicek! — zawołał. — A kto to tam ode dwora ku lasowi idzie?

Donośne „prrr“ osadziło w miejscu już i tak szarpnięciem leje wstrzymane konie. Wicek odwrócił się we wskazanym mu przez gospodarza kierunku, dłoń do oczu przyłożył, a popatrzywszy chwilę, rzekł:

— Dyc chyba pokojówka musi dworska, Magdzia! — poczem spojrzal na Jakóba, zdziwiony trochę ciekawością jego i pytaniem,

Ale zdziwił się oto więcej, gdy bowiem po udzielonem objaśnieniu, jak sądził, zgola gospodarzowi obojętnem, podnosił bat nad końmi, by ruszyć zalej, zabrzmiało mu w uszach:

— Stój, hychu! — jakiego dawno już od Jakóba nie słyszał; skoro się zaś obejrzał wylekniiony i zupełnie zbity z tropu, Musiała stał już na drodze przy saniach i ściągał z nich kilimek, pokrywający siedzenie. Ujął następnie jeden ze złożonych na tyle wasagu worków, a przywoławszy do pomocy wciąż dziwowującego się mocno Wicka, przesunął worek naprzód, ku siedzeniu, w wygodne zamieniając go oparcie.

Tu chłopak uspokoił się nieco: widocznie zdrzemnąć się zamierzał gospodarz, bo i to trafiało się w drodze, i wygodnego zapragnął oparcia. Podniósł tedy porzucony kilimek, aby go na nowo-urządzonem rozpostrzeć siedzeniu, gdy znowu:

— Czekaj bestyo! — huknęło po lesie, i wstrzymało parobka, ni-by grom w miejscu.

Chłopakowi kilimek wypadł z ręki, i już tylko w niemem osłupieniu patrzył dalej, jak Musiała, dobywszy z pod worków sporą wiązkę siana, przeznaczonego na popas dla koni w Lipsku, zdarł z niej powróśło, a siano, najlepsze z broga, górne siano, na siedzeniu rozesał wszyściutko, poczem:

— A kaj masz koniczynę? — zapytał.

Złożył ją Wicek przy sobie, aby niewielki zresztą ładunek cennej paszy wciąż mieć w drodze na oku, na rozkaz jednak:

— Dawaj tu żywo!

Podał ją gospodarzowi, a ten rozrzucił koniczynę w nogach i poproszył jeszcze słomą z powróśla, i teraz dopiero worki, stanowiące siedzenie i oparcie, starannie pokrył kilimkiem.

Jak świat światem, a lat już kilka woził po nim Wicek gospodarza, nic mu się podobnego nie zdarzyło. W dalsze i bliższe drogi na słomie jeździł, i gorzej, i całemi tak sypiał nocami; żeby zaś sianem, a w dodatku i koniczyną słać siedzenie, to się chłopakowi wprost w głowie pomieścić nie mogło. Choć tedy znał mores przed gospodarzem i z niewczesnemi uwagami nie rad wyrывał się przed nim, nie zdołał w osłupieniu wielkiem zatrzymać w sobie gwałtem cisnącego mu się na usta pytania, i:

— A lo koni?.. — mruknął nieśmiało, drapiąc się w głowę.

— Głupiś! — brzmiała odpowiedź. — Nie pyskuj, rób, co każą!.. nie twoja w tem głowa! — kończył Jakób łagodniej, zwrócony w stronę gościnię dworskiego.

Magdzia tymczasem minęła już szpaler topoli i szła wspólnym, nagim traktem lipskim. Postać jej rysowała się dokładnie; ciemna,

kształtna sylwetka dziewczyny na połyskliwym tle śniegu odrzynała się jak rzeźbiona. Szła szybko, lekko, w długiej po kostki, z waszeczka skrojonej do stanu, czarnej, watowanej salopie, na głowie miała chustkę czerwoną, końcami na plecy opadającą, dokoła szyi szczelnie związaną.

Musiąła, jakby przypomniał sobie coś nagle, łakomie utkwione w Magdzi oczy zwrócił na Wicka:

— A ino mi się tłucz po zatokach! — rzekł do parobka, siedzącego na wasągu, poczem parę kroków posunął się w stronę dochodzącej pierwszych drzew dziewczyny.

— Dobra nasza!.. — mruknął do siebie chłopak, któremu teraz dopiero poczęło się rozjaśniać w głowie. — Tak ci moja! — prawili w duchu. — To siano i koniczyna dla pokojówek!.. a jechać to ci mam przykazane, kieby ze szkłem... patrzajta, sprawiedliwie, czego ci to ludziska nie wygadają...

Boć i Wickowi obila się o uszy pogłoska o Jakóbowej dla Magdzi nawiści, ale jednym ją uchem wpuszczał, a wypuszczał drugim, tak mu na zwyczajną tylko wyglądała plotkę. Musiåła, ten zasobny, wiekiem i powagą stateczny gospodarz, na którego od dziecka przywykił był chłopak z poszanowaniem spoglądać — i Magdzia? Nijakiego w tem przecie nie było pomiarkowania! A jednak, póty ludzie gadali, aż wygadali, bo któż-by siano, a do tego koniczynę, marnował po próżnicy. Podrapał się tedy Wicek w głowę po raz wtóry z pewną zawziętką, i zakonkludował w myśli:

— Będziewa mieni gospodynię, będziewa galantą... dziewczucha jak rzepa... ino co na to Franciszkowa rzekną... a to ci termedyje człek-by się prędzej śmierci spodziewał! — tu jednak dobiegł go wesóły chichot Magdzin, przerwał więc dalsze uwagi i obejrzał się ostrożnie.

Dziewczyna już na skraju pola, dostrzegłszy zdążającego ku niej lasem człowieka, wylękniona, zwolniła kroku. Poznała jednak niebawem Jakóba i zdala witać go jęła:

Wickowi obił się o uszy wykrzyknik:

— Jak Bożię kocham, to wy, Jakóbie?.. a ja już jak przed zbójem uciekać chciałam.

— Powiadają góra z górą... a dokąd to Bóg prowadzi? — wyraźna brzmiała odpowiedź Musiåły.

Zatrzymali się o kilkanaście kroków od wasągu. Teraz Wicek, mimo szczerej chęci podsłuchania i podpatrzenia wszystkiego, widział wprawdzie i dobrze, lecz to i owo jeno mógł chwytać zżywionej między

Jakóblem a Magdzą rozmowy. Ta ostatnia zwłaszcza, rozchichotana, mówiła z początku głośniej:

— Do Lipska?!.. jak Bożię kocham!.. i ja także... a to zdarzenie!.. — wołała.

A potem:

— Na szczęt wydarłam się z trzewików...

A potem:

— Jak Bożię kocham, pożyczyla mi swoich kowalczankę...

A potem:

— Nie wierzycie?.. patrzajcie!.. gdzie to noga, a gdzie trzewik!— i stwierdzając słowa przykładem, uchyliła spodnicy i podniosła nogę, obutą w sznurowany trzewik i granatową, ciepłą, wełnianą pończochę, której spory kawałek uderzył oko Wicka.

— Adyc kieby toczona!.. — szepnął półgłosem i wstchnął.

Między Jakóblem a dziewczyną rozmowa przeciągała się dalej cichsza, ale snąc sprzeczali się o coś, bo Magdzia to potrząsała głową na znak odmowy, to znaczące, przeciągłe wybiegało jej z ust:

— Eeee!..

Parę razy spojrziała w stronę wasąga, jakby wskazując wzrokiem Wicka. Potem odskoczyła w bok ku lasowi. I przekomarzali się znowu, aż ją na wpół niby to przekonaną chwycił Musiała za rękę, i ku saniom prowadził, ona zaś raz już tylko, opierając mu się jeszcze, tuż przy wasągu powtórzyła przyciszonym głosem:

— Eeee!.. sprawiedliwie, Jakóbiel!.. — poczem nagle, jakby jakimś postanowieniu posłuszna, szybko do sani wskoczyła, a zajmąwszy miejsce na usłanem przed chwilą wygodnie siedzeniu, lękliwie rzuciła okiem do koła, i chustkę z głowy na twarz zsunęła.

Tu spostrzeżenia Wicka doniosły przerwał rozkaz:

— Jedź!.. — i wiele obiecująca uwaga: — A ino mi po zatokach hulaj, smyku!..

Chłopak swisnął batem i ruszyli.

III.

Do samego już teraz prawie Lipska jechać miano lasami. Wielkie, a następnie rządowe, ciągnęły się nieprzerwanym pasem, aż na wiorstę pod miasto. na dwumilowej przeszło przestrzeni, w połowie jej drogi przerwane rozległą polanką, na której kilka chat mizerynych. dokoła obszernej karczmy zajezdnej zgrupowanych, tworzyło rodzaj kolonii, zwanej Rozdrożem, u zbiegowiska dwóch większych traktów przysiadłej.

Szeroki gościniec wielicki, w miarę zapuszczania się w knieję, porosła z brzegu młodym zagajnikiem, coraz zwartszym biegł lasem, po-przez którego konary okiścią ponaginane ku ziemi kapwały złotem jasne promienie słońca na gęsto tropami zwierzyny upstrzony, jednolity, puszysty całun biały, rozesłany jak okiem dojrzyć na podścielisku mchów miękkich i wrzosowisk.

Teraz miarowy tętent koński i skrzyp sani od czasu do czasu przerywała z drzewa na drzewo przelatująca wrzaskliwa wrona, lub zlewał się z niemi łopot zawzięcie po chojakach kującego dziecięcia. Tu i owdzie, lekkim podmuchem wiatru strząśnięte, z nadmiernie przywalonej gałęzi spadały kłęby śniegu, zanurzając się z głuchym łoskotem w puchach zalegających ziemię, podczas gdy kiść drzewna, zbywszy ciężaru, wyprostowana nagle, z trzepotem iglic wzbijała się w górę, sypiąc dokoła iskrami pyłu śnieżnego. Po-nad saniami, niby blade ogniki błędne, wznosiły się i nikły oddechem jadących wyrzucane zwitki pary, rozpływające się w przejrzystym, mroźnem powietrzu, jak widma.

Jechano w milczeniu. Musiała, ogłuszony zrządzeniem losu, któremu oto najniespodziewaniej Magdzię wrzucił do sani i na towarzyszkę drogi i jarmarku przeznaczył, już i tak zwykle przy pewnej siebie a ciężej z waszecia dziewczynie małomówny i nieśmiały, teraz z uradowania wielkiego, zdało się, oniemiał do reszty. Siedział, jak na rozżarzonych węglach, nieświadom, co począć z sobą, obecnością dziewczuchy aż do dna duszy przejęty. Słońcem rad był ją nakryć i, to pochylał się, i zbierając rozrzucone po wasągu źdźbła koniczyny, na stopy jej nagarniał, to słomę pod nogi jej podsuwał, to na siedzeniu coraz miększe sianem uścielał jej oparcie, aż nareszcie:

— A niech się Magdzia oprze! — dobył z siebie. — Będzie wygodniej.

Oparła się, nie nie odpowiadając. I ona milcząc także, przyjmowała oznaki troskliwości Jakóba, a tylko ruchem ręki szybkim, nerwowym poprawiając co chwila chustki pod brodą, przelotne a badawcze rzuciła na sąsiada spojrzenia. Rzekł-bys, niecierpliwiła się czegoś.

Bo nie dowodów nawiści Jakóbowej pragnęła, miała ich dosyć, ale oświadczyn życzyła sobie i zamążpójścia. Sprytniej dziewczusze, przywykłej świecić oczyma, nie nowiną była chwyтана niemi zdobycz, dla której bywało, zwłaszcza gdy się to opłacić mogło, ofiarą się stawała łatwo, choć bez zapału.

Straciwszy matkę wcześniej, w towarzystwie jedynie dziewczki zwyczajnej przebyła u boku ojca, szczwanego, a zepsutego dworusa, co z różnego pieca chleb jadając, nigdzie dłużej nie zagrzał miejsca, i ze służby na służbę, łakomy jeno zysku łatwego a pohulanki, włączył dziecko za sobą, ot, bo pozbyć się go do czasu nie miał sposobu. We włóczędże tej, samej sobie oddana, z natury żywa i rozgarnięta, zbierała Magdzia wzory, jakich jej bezpośrednio otoczenie ojca z nim wespół dostarczyć mogło, i wyrostkiem już rozumiała się na sztuce dworowania ludziom i korzystania z ładnych oczu. Tu i owdzie rzucone przez Nowotnika zdanie, słówko, uwaga, marną jego życia filozofię komentujące, dopełniały nauki, nie na lasy idącej.

Jako też z zastosowaniem nauk tych niedługo czekać dała na siebie Magdzia. Szesnasty liczyła rok załedwie, gdy po raz pierwszy oddana przez ojca na służbę dworską, skokietowała sobie z miejsca, niewiele co od niej starszego, bawiącego na wakacyach w domu, panicza. Chłopak, jak się to zdarza na wakacyach paniczom, dziewczynę tak wziął do serca, że się rzec cała wykryła, a że jednocześnie i dług wydał się zaciągnięty u pachciarza na opłacenie prezentów łakomej na nie Magdzi, przerwano romans bez ceremonii i odesłano ją do ojca.

Gdy Magdzia, która pół roku temu załedwie, z jedną spodniczyną na sobie w świat wyprawiona, najniespodziewaniej zjawiła się pewnego dnia przed ojcem, i śmiało, jakby o najzwyczajniejszą chodziło sprawę, przygodę mu z paniczem i skutki jej przedstawiła, Nowotnik, na widok pokąźnego rozmiarami kuferka, towarzyszącego dziewczynie, rzekł tylko:

— Głupiaś, trza się było kryć lepiej! — i z zadowoleniem ją następnie przeglądając zasobne już przyobleczenie i przyodziewek córki, a gdy dobyła złożonej gotówki kilkanaście owiniętych starannie rubli, po dwakroć powtórzył jeszcze:

— Głupiaś!.. oj, głupiaś!..

Ona, w duchu przyznając uwadze tej słuszność, choć panicz tu głównie nieostrożnością zawinił, postanowiła sobie korzystać z niej w przyszłości, i oto krótką tą sceną stała się podwaliną poufnego, o po-

zorach serdeczności nawet, stosunku, nie tyle dziecka z ojcem, ile raczej dwojga dobrze pojmujących się współników. Zdawało się, iż Nowotnik po raz pierwszy spojrzął na Magdzię uważniej, ona zaś po raz pierwszy także odczuła rodzaj łączących ją z nim związków i podpo-ry, jakiej się po nim spodziewać mogła.

Ze znalezieniem nowego miejsca nie łatwo poszło dziewczynie. Po okolicy rozniosła się wieść o paniczu, zaczęły i bez paniczów dwory nie kwapiły się w przyjmowaniu zalotnej służącej. Czas upływał, a z nim i złożone w kufunku zasoby tając poczęły, Magdzi zaś już nie starczyła jedna, jak dawniej, spodniczyna. Dziewczynie w dodatku cknęło się przy ojcu, zasmakowała w życiu na szerszej, dworskiej arenie, gdzie się jej oczy ładne nie marnowały i gdzie nie do parobczaków tylko szczerzyć można było zęby. Postanowiono zatem szukać szczęścia w dalszych stronach, a Nowotnik, który już dziś oceniał wartość córki, zgodnie zresztą z jej życzeniem, porzucił także zajmowaną służbę owczarza, i wraz z Magdzię do sąsiedniej powędrował gubernii, z Rawskiego przenosząc się aż w Radomskie.

Tu powiodło się lepiej, w Bąkowskim dworze przyjęto Magdzię do pokojów, a karbowego miejsce dostał Nowotnik. Na służbie tej przebyła dziewczyna dwa lata. Ruchliwa, zwinna, wesoła, sprytna, do roboty sprawna, wyrobiła się na pokojówkę zręczną, co się zowie, i tak użyteczną, że przebaczone jej wrodzoną zalotność, a nawet umizgi do niej młodego rządcy. I co to zresztą obchodzić kogo mogło, skoro ojciec jej własny nie zwracał na to uwagi. Ale Nowotnikowi z tem się właśnie dobrze działo, bo jakkolwiek zalecanki rządcy mniej dawały bezpośredniego zysku córce od paniczowych ongi, opłacały się za to sownie ojcu, pod osłoną dyskretnej protekcji zwierzchnika szachrującemu paszą, zbożem, czem się dało.

Do czasu jednak dzban wodę nosił. Wyszurchany przez karbowego parobek, poprzysiął mu zemstę, a wypatrzywszy przy omlocie odgarniane ukradkiem zboże, pod kupą plew ukryte, skorzystał z ukazania się na gumnach dziedzica samego i śmiało wyjawił mu sprawki Nowotnika, popierając doniesienie niezaprzeczalnym prawdomówności swej dowodem — pod plewami. Nie było tłumaczenia, karbowy stracił służbę, a co gorzej, gdy się o wstawiennictwo za nim Magdzia zgłosiła do przyjmującego chętnie prośby jej rządcy, dowiedziała się, że odkrycie pod plewami i na jego wpłynęło losy, że i on za innym obejrzed się jest zmuszony obowiązkiem. O pewne, moralne bodaj, współuictwo z ojcem, padło także podejrzenie i na pokojówkę, co wszystko razem i Magdzię, ufną już teraz w wartość swoją i wyrobienie służbowe, skłoniło do porzucenia Bąkowy, zwłaszcza, że pachciarz i arendarz

z nieodległego Wielgiego, stary Jukiel, od dość już dawna starał się ją dla swoich państwa odmówić.

W ludnym, a utrzymującym liczne stosunki sąsiedzkie, dworze wielickim, zasobnym w trzy panny na wydaniu, potrzebowano właśnie obytej ze służbą pokojówki, o zaletach zaś pod tym względem Nowotnikówny niejednokrotnie dochodziły tu wieści z Bąkowy; przyjęto więc Magdzię nietylko na wyższą płacę, ale czyniąc tem zadość postawionemu przez nią warunkowi, zgodzono jednocześnie ojca jej — na gajowego tym razem.

W Wielgiem ani panicza wprawdzie nie było, ani młodego rządcy, licznie jednak nawiedzany gościmi dwór, uboczne, wcale okazałe zapewniał pokojówce dochody, a już co do strzelania oczyma sposobności nie brakło nigdy, choć ze względu na panny w domu, ostrożniej poczynać sobie wypadało. Zresztą, do porzucenia Bąkowy dla Wielgiego inną jeszcze miała pobudkę Magdzia, pobudkę w ścisłej tajemnicy chowaną przed ojcem, którego zmysł praktyczny, na wieść o niej, dobył-by mu z ust niechybnie, jak ongi, po stracie panicza, dosadny wykrzyknik:

— Głupiaś!.

Owóż w początkach zaraz służby swojej w Bąkowie, gdy przyjeżdżały tam latem z odwiedzinami panienki wielickie, powożące się same lekkim, koszykowym kabryoletem, zauważyła Magdzia i wpadł jej w oko, towarzyszący zawsze paniom, a na koziołku, po-za wolantem usadowiony, chłopak w liberyi i granatowej kurtce, wysokiej czapce z monogramem, w łosiowych spodniach i sztylpach, w białym krawacie i rękawiczkach wiśniowych. Jaśkiem go zwano, a zdrowie i młodość były mu kolorami dojrzewającej brzoskwini z twarzy, co lekkim, pod światło zaledwie widzialnym, puszkciem zarostu pokrywać się zaczęła, jak brzoskwinia.

Chłopak wówczas mógł liczyć niewiele więcej, nad lat szesnaście, dzieckiem był zatem prawie; Magdzia jednak, przywykła zawsze o własnej pamiętać urodzie, i cudzą śledziła bacznie; Jasiek ją zaciękał. To też, gdy obrządziwszy konie, zgłosił się do izby czeladnej, kuchni drugiego stołu, na wydawany zwyczajnie latem ludziom gościnnym podwieczorek, i z apetytem szesnastu lat swoich zasiadł nad miską świeżego a okraszonego zlekką śmietaną mleka zsiadłego, z okazałą kromką chleba sitnego w ręku, Magdzia, mimo, iż pilne miała dnia tego prasowanie, raz i drugi wyrwała się z leżącej obok garderoby do czeladnej, na ogłędziny przybysza, no i pokazanie się samej. Ale chłopak, w jedzeniu zatopiony, głowy nawet na pokojówkę nie zwrócił, czem w miłości własnej zadraśnięta, przysiadła się opodał do kuchar-

ki, zajętej właśnie skrobaniem kartofli na wieczerzę dla drugiego stołu, a przysiadła z mocnem postanowieniem niedarowania swego.

Tymczasem Jasiek, załatwiwszy się z podwieczorkiem, najspokojniej dobył z kieszeni paczkę „Świentu wyborowego,“ i jął starannie skręcać papierosa, a zapaliwszy go, podniósł się, odzież z okruszyn chleba i tytoniu strzepał, i nakładając czapkę, mruknął w stronę kucharki:

— Bóg zapłać! — i zwolna skierował się ku drzwiom.

Tego Magdzi było zanadto; wychodził, jakby jej tam nie było złość w niej wzbudziła, i nie wiele myśląc, byle chłopaka drasnąć, głośno zauważyła:

— Sprawiedliwie, teraz to już i dzieci ćmia te papierosiska!..

Zaczepiony w ten sposób Jasiek, zaczerwienił się jak piwonia, przystanął chwilę u proga, i spojrzawszy na wyzywająco uśmiechniętą dziewczynę, rzekł:

— A to-by panna lepiej swojego nosa pilnowała! — i wyszedł.

— Trafiła kosa na kamień! — ze śmiechem zawołała kucharka.

Magdzia zaś, ponsem cała oblana, hamując gniew, obojętnie z pozoru wzruszywszy ramionami i wracając do prasowania, zawyrokowała:

— Ordynus jakiś!..

Równie krótkiej, a dosadnej odprawy nie zdarzyło się jeszcze dziewczynie odebrać w życiu, a choć spotkała ją ze strony dziecka prawie i przez nią samą była wywołana, to przecież dojadła jej do żywego. Jednocześnie chęć zwrócenia na siebie uwagi hardego chłopaka i pozyskania góry nad nim wzbudziła się w niej do stopnia namiętne-go niemal pragnienia, zwłaszcza, że wpaść jej w oko nie żartem.

Długi czas jednak, bo rok bez mała, stosunek Magdzi z Jaśkiem na otwarcie, z pozoru, nieprzyjacielskiej utrzymywał się stopie; ilekroć ten ostatni przyjeżdżał z państwem do Bąkowy, a zdarzało się to dość często, pierwsza zawsze znalazła sposobność sprezentowania się i zadrażnienia go docinkiem jakimś, lub conceptem. W prostocie ducha, chłopak zaczepki te brał za objawy istotnej dla niego nieprzyjaźni ze strony pokojówki, i jak nieprzyjaciel, traktował także dziewczynę. Tylko, co mogła cierpieć do niego, ani rusz, nie pojmował:

— Co ona sobie upatrzyła do mnie? — zapytał pewnego razu, po jednej z górskich z Magdzą utareczek, w której się nawet ubliżająca mu wielce uwaga o „mleku pod nosem“ znalazła:

— Czego ona chce ode mnie? — mówił do starszego od siebie i sprytniejszego lokajczyka bąkowskiego, Józka.

— Czego ona chce?.. a to się jej zapytaj kiedy we cztery oczy, to ci może odpowie.

— Utrapienie z temi babami! — ciągnął dalej Jasiek naiwnie, raz wzięwszy na zwierzenia, ani domyślając się znaczenia wypowiedzianej przez lokajczyka uwagi. — W domu to ci znowu skaranie Boże ze Stelmachową, tylko co, aby nie taka, jak ta wasza pokojówka, sprzeczna, łązi ino i powzdychuje.

— Stelmachowa także baba niczego! — zauważył Józiek markotnie, „obec widocznego powodzenia kolegi, tem markotniej, że i on próbował szczęścia z Magdzą, ale się skończyło na siarczystej odprawie, za którą do dziewczyny chował tajoną urazę.

A Jasiek wywnętrzał się dalej:

— A niech by tam sobie, jakie chcą, były! — jęknął, sfrasowany okrutnie, — ino czemu mi spokoju nie dają.

Wybuchem śmiechu przyjął lokajczyk wykrzyknik towarzysza, poczem zagadnął:

— Wiesz co, Jasiek!

— A no co?

— Poskarż się stelmachowi.

— I cóż mu powiem? dyć każdemu łązić wolno...

— Ino ja-bym ci zawdy radził, — kończył lokajczyk, — we cztery oczy i ze Stelmachową pogadać.

— Niby względem czego?

— Spytaj, na ten przykład, czego wzdycha.

— A jak mnie spierzel... baba jak mur!.

Nowy wybuch śmiechu lokajczyka i zjawienie się w kredensie lokaja przerwały dalsze utyskiwanie Jaska. Powędrował do stajni, ciężko zamysłony, w drodze zaś powrotnej do Bąkowej, z założonemi siedząc ramionami na koziołku za wolantem, wyglądał, jak skolatana łoś, gnana losami od pokojówki-Scylli ku stelmachowej-Charybdzie.

— Utrapienie z temi babami!...

A może zresztą i nie tak wielkie, bo oto w miesiąc niespełna po przytoczonej tu rozmowie, gdy panienki wielkie znowu odwiedziły Bąkową, a Jasiek znowu sam na sam znalazł się z lokajczykiem w kredensie, snać zgoła odmienne grały mu w duszy uczucia. Wszedł z czapką na bakier, z rękoma w kieszeniach od spodni, z zapalonym papierosem w ustach, a szafirowe ciemne oczy chłopaka błyszczały, jakby w nich kto tam na dnie porozpalał światła nieznanne i blaski. Butą mienił się jakąś zawadyacką, wyrazem pewności siebie, już nie dziecięcej, uderzał. Józkiowi nawet, choć się na razie w zaszłej odmianie połapać nie mógł, odmienny, nie tym samym się wydał.

— Cóżes to taki dziś miniasty? — odpowiedział na powitanie koledze.

Jasiek siadł na ławce przy stole, przy którym, na pasku posypałym tartą cegłą, lokajczyk czyścił noże od obiadu, i milcząc zaciągnął się papierosem, uśmiechnięty do siebie a tajemniczy. Aż po chwili, zsunąwszy trochę czapki na tył głowy, wygodnie wsparłszy się o ścianę, zagadnął:

— Józiek!..

— A co? /

— A to już wiem, czego stelmachowa wzdycha!..

— Dobryś!.. — zawołał Józiek, uderzając się po kolanie z wielkiej uciechy. — A nie mówiłem, żebyś się baby spytał, to odpowie.

— Ja się tam o nic nie pytałem.

— Ino jak?

— A no wiem, i tyle.

— Powiedziała sama?.. słuchaj, a może cię sprąła?.. — ciągnął dalej lokajczyk, naiwne Jaskowi przypominając obawy.

— Głupiś! — urwał chłopak, niemile przypomnieniem dotknięty. Niedopałek papierosa rzucił, wstał z ławki, przeciągnął się i ziewnął.

— To ci jucha zmądrzał! — kiwnąwszy głową, zauważył Józiek. — A jaka bestya niewyspana!.. poszedł-byś w siano na stajnię, bo cię widać w domu coś po nocach straszy.

Jasiek uśmiechnął się zadowolony.

— A bo i pójdę, ino zjem podwieczorek!.. — rzekł, kierując się do drzwi w głąb dworu, przez sień ku czeladniej i garderobie wiodącym.

— Żeby cię znowu pokojówka nie zjadła! — zawołał za odchodzącym lokajczyk, na co z sieni już odebrał odpowiedź:

— Niech ino dziś spróbuje, a zobaczy!..

I spróbowała, jak zawsze, ale zobaczyć, to i tym razem zobaczył Jasiek tylko, więcej nawet zobaczył, niż zwykle. Kończył już podwieczorek, złożony z talerza głębokiego sałaty ogórkowej, przewidując grożące mu każdej chwili spotkanie z pokojówką, on, co to już wiedział wprawdzie, czemu stelmachowa wzdychała, ale nie rozumiał jeszcze odmiennej zgoła taktyki młodej dziewczyny. zhardziały jednak pierwszym w życiu sukcesem, przemyślał właśnie nad godnym obecnego położenia odparowaniem spodziewanego ciosu, gdy z traskiem i chichotem, biegnąc gdzieś widocznie z pośpiechem, wpadła do czeladnej Magdzia.

Na sam odgłos kroków nieprzejednanego, jak mniemał, wroga, Jasiek poczerwieniał nad ostatnią łyżką mizeryi, dziewczyna zaś oka mgnienie zatrzymała się na środku izby. i złośliwym obrzuciwszy go spojrzaniem, zawołała:

— A może Jaskowi dla odmiany cygaro?.. — i wybiegła, nie czekając odpowiedzi.

— Hi... hi... hi... — zaśmiała się, zawsze o tej porze skrobiąca kartofle, kucharka.

Napadnięty z nienacka Jasiak, nie zdążył jeszcze przyjść do siebie, gdy po chwili Magdzia, wracając do garderoby pędem prawie, dorzuciła mu w przelocie:

— A może figę z makiem?

— Ha... ha... ha... — wybuchnęła kucharka pełną piersią.

Ale chłopak, miasto zapłonąć gniewem, utkwiał wzrok w zatrzaśnięte drzwi garderoby, a w oczach jego ździwienie malowało się tylko i jakby chęć przebicia niemi ściany zasłaniającej mu dziewczynę.

Tak, Magdzia „spróbowała,“ ale on tylko „zobaczył.“ Zobaczył, jakby je pierwszy raz widział, czarne, przepaściste oczy dziewczyny, białe po-za krwistemi wargami zęby, jak perły, zobaczył i dolki wabne na policzkach i brodzie, dojrzał i pyszne na jej głowie warkocze, jak kruki, i zwinną, pełną a czerstwą postać dziewczuchy, co mu się nagle, cud niby, z dawnej pokojówki, sekutnicy, wyłoniła. Wszystko to spostrzegł teraz w mgnieniu oka, bo miał już w sobie punkt porównania, bo gdzie się tam było stelmachowej równać z Magdzą!

Nie gniewny też wcale, a raczej zadowolony, choć oberwało mu się od dziewczyny, wracał z podwieczorka do kredensu, w którym Józiek, oczyściwszy noże, wycierał je teraz ścierką.

— Galanta z tej pokojówki dziewczucha! — rzekł, zatrzymując się przed lokajczykiem.

— O, patrzcie no, jak mu się to oczy otworzyły! — zauważył zagadnięty.

— Ino zawdy, kieby ta osa dojedliwa! — ciągnął dalej, pod wrażeniem figi z makiem, Jasiak.

— Głupiś ty i tyle! — burknął Józiek.

— Abo i nie?.. wyraźnie coś do mnie cierpi...

— Cierpi, a ino i cierpi... a to cierpi, co i stelmachowa cierpiała! — zniecierpliwiony naiwnością Jaska, odparł lokajczyk.

— Ho!.. ho!.. gdzie tam stelmachowej do niej! — wyrwało się chłopakowi z westchnieniem. — Magdzia inaksza.

— Adyć każda inaksza, ino każda na swój manier, — zdecydował Józiek. — Insza ci wdycha, a insza znowuż tniel — co rzekłszy, sporą paczkę oczyszczonych sreber poniósł do pokojów, Jasiak zaś, z zamiarem przespania się na świeżem sianie, podążył do stajni.

Nie do snu mu jednak było. W przepierzzonej deskami na obroki i paszę podręczną komorze, ciemnej niemal zupełnie, wyciągnięty wygodnie, z ramionami podwiniętymi pod głowę, leżał bez surduta, wpa-

trzony w świecące się słońcem w szparach pajęczyny, sieczką przyprószone, i dumął, do myśli własnych uśmiechnięty. Boć tak rozważywszy rzecz dokładnie, to i coż-by do niego mogła cierpieć Magdzia? Wszakże on jej się tylko odcinał, bronił, a nie zaczynał sam nigdy, gdzie tedy złości szukać jakowej, lub „jankoru.“ Musi już taką miała naturę zaczepliwą i sprzeczną, a jak jej z tem było do twarzy, kiedy to w złości niby wielkiej białe pokazywała zęby, a oczy jej się świeciły jak dwie nie przymierzając, przy wolancie latarki. A on gdzie swoje miał, żeby się zaś teraz dopiero tej pokojówczynej urodzie dziwować. I dziwował się precz, wpatrzony w migotliwe pajęczyny, a jak mu się Józkowe powiadanie na pamięć przywiodło, jako to każda inaksza, inaksza co wzdycha, a inaksza znowuż tnie, to go aż czasem, jak w febrze, zatrzęsło. Wiedział już przecie, czemu inaksza wzdychają.

Nagle gorącość uderzyła na niego płomienista, zerwał się do polowy, nasłuchując chwilę, poczem znów rzucił się na siano, i przytknął oczy nieruchomy, jakby pogrążony w śnie głębokim. Serce tylko tłukło się w nim okrutnie, i tłumił oddech, byle je uciszyć jako. Przywarował jak martwy, rumieniec zaś, który mu na twarz buchnął, udanemu uśpieniu dodawał jeno pozorów prawdy.

Od dworu, biegła Magdzia, z daleka już wołając:

— Jasiek, zaprzęgać żywo! — wysłana w braku kogo innego pod ręką, aby chłopakowi zajeżdzać kazała, i z tem wołaniem wpadła do stajni.

Zatrzymała się w progu, rozejrzała wkoło, ale w stajni nie było nikogo. Chrapot tylko miarowy szczeł koniskich, ścierających ziloną z za drabin koniczynę, rozlegał się po niej wyraźnie. Uchylone drzwi komórki zwróciły uwagę dziewczyny:

— Pewnikiem śpi! — rzekła półgłosem, i otworzyła je, starając się w ciemnej przestrzeni rozpatrzyć.

Jasiek ani drgnął, a tylko z za rzęs rozchylnych zlekka śledził każdy ruch dziewczyny.

Dostrzegła go wreszcie.

— A co, nie mówiłam, śpi!.. — mruknęła, poczem w głos zawołała.

— Jasiek, żywo zajeżdzać!.. panienki kazały!..

Tu echem głębokie rozbrzmiało po komórce chrapnięcie.

— Śpi, jak zabity! — ciszej zauważyła Magdzia, i jakby niepewna, co czynić, przystanęła u wejścia, cała oblana światłem, wpatrując się w leżącą w półcieniu postać Jaśka, jak malowaną.

— Śliczności chłopak!.. — szeptem prawie wybiegło z ust dziewczyny i westchnęła.

I uwaga ta, i westchnienie nową falą krwi rzuciły w twarz Jaśkowi, ale się zmógł i leżał dalej przyczajony.

— Jaśku, zakładać!... — rozległo się znowu po stajni, i znowu wezwaniu temu głośne odpowiedziało w głębi komórki chrapanie.

— Eee, sprawiedliwie... — zniecierpliwiona już burknęła dziewczyna, i poskoczyła ku śpiącemu, a chwyciwszy go za rękaw koszuli, szarpnęła nim, wołając:

— Jaśku, za... — i nie dokończyła zdania.

Jak sprężyną podrzucony, zerwał się Jasiek z legowiska i obie-
ma rękoma pochyloną nad nim Magdzię w pół objąwszy, zanim wystra-
szona krzyknąć nawet zdołała, przygarnął ku sobie, i twarz jej, oczy,
usta, głowę, obsypywał ją pocałunkami raz za razem:

— A może figę z makiem!.. a może figę z makiem!.. — powta-
rzając.

Zaskoczona najniespodziewaniej, nie próbowała nawet oporu. Poddawała się pieczętom bierna, jak bezwładna uczuciem zdziwienia, nie wiedząc, co się z nią dzieje.

Aż tchu prawie pozbawiona, ocknęła się dziewczyna; całą szar-
pnęła się mocą, i wyrwawszy się z uścisku, odskoczyła pod ścianę ko-
mórki, o którą się oparła.

Jasiek powtarzał znowu:

— A może figę z makiem!.. a może figę z makiem!.. — a oczy
świeciły mu się, jak iskry.

Nie słyszała go, nie patrzyła nawet na niego. Pochyliła głowę,
brwi zmarszczyła, niby gniewna, a niby z natężeniem w coś wmyślona,
bezwiednie strzepując ze spodnicy źdźbła siana. A potem, żywym ru-
chem podniosła ręce i poprawiła warkocza, raz jeszcze strzepnęła
odzież, wyprostowała się nagle i spłoniona, nie spojrzawszy na Jaśka,
pędem wybiegła ze stajni.

— A mówiłem, niech ino dziś spróbuje!.. — rad z siebie, uśmie-
chnięty powtarzał w duchu Jasiek, zakładając konie. Bardzo był
z siebie zadowolony, i błogość zdejmowała go wielka. Słodycz ust dziew-
czyny czuł na swoich, a czuł także, że ust tych i słodyczy pragnie
okrutnie, że mu za nimi dokuczać będzie tęsknota, że miał ich mało,
że mu ich teraz trzeba było więcej koniecznie, o czem myśląc, ani
wspomniał nawet stelmachowej. Tu zdobywał, a tam — zdobywanym
był tylko.

Czy jednak zdobył? I żywcem stanęła mu nagle przed oczyma,
pochylona, o ścianę komórki wsparta postać Magdzi, i namarszczona,

niby gniewna twarz jej, i uporczywe milczenie, bez jednego bodaj spojrzenia ku niemu, i lęk go zdjął, zali nie przegrał sprawy, i cała opuściła go fantazya.

Gdy przed dwór zajechał, począł się z kozła dookoła rozglądać, w nadziei, że może gdzie Magdzię upatrzy, i przecie coś z niej wymiarkuje, daremnie jednak. Pokazała mu się dopiero przy wsiadaniu panienek, niosąc za niemi okrycia i pled na nogi, ale i tym razem ani się nie odwróciła w jego stronę, i najwyraźniej pozor miała zagniewanej.

— Żle!.. — pomyślał, i bardzo mu się zrobiło markotno.

Dopiero gdy ruszono z miejsca, a on nieznacznie raz jeszcze rzucił okiem na stojącą przed gankiem pokojówkę, pochwycił jej spojrzenie, i wydało mu się, iż w oczach dziewczyny te same błyszczały światła, jak w chwili onej, kiedy to, nie podejrzewając podejścia, w drzwiach komórki z ust jej się wyrwało:

— Śliczności chłopak!.. — a potem westchnienie.

Wstąpiła weń otucha, odżyła nadzieja, i całą już drogę myślał tylko, jakim-by się tu sposobem najrychlej do Bąkowy dostać, i różne układał plany, które, niestety, wszystkie rozbiły się o twarde wymagania służby. Nazajutrz zaraz na dni kilka trzeba było z panem jechać do Radomia, potem panie wyjeżdżały znowu na dłużej do krewnych, aż pod Sandomierz, a choć w drodze tej nie Jasiek, ale sam stangret, Wojciech, brał udział, to jemu od stajni, zostawionej na jego opiece, krokiem oddalać się nie wypadało, a i dziedzic, który pozostał w domu, mógł go każdej chwili potrzebować.

I niecierpliwił się chłopak. nowej zdobyczy łakomy, westchnieniami stelmachowej ścigany, ani domyślając się nawet, że właśnie zwłoka ta w odwiedzinach najskuteczniejszym była mu sprzymierzeńcem. Magdzia, co zrazu na niespodziewany wybuch Jaśka nieprzygotowana, zdziwienie swoje i zadowolenie z pozornej porażki i ten wstyd, który ją wobec niego zdjął nagle, pokrywką udanego gniewu i obrazy osłonić się starała, następnie zaś obiecywała sobie drażnić go obojętnością i chłodem, popastwić się nad nim, aby mu się zwycięstwo nie wydawało zbyt łatwym. po całorocznym zwłaszcza z jego strony oporze, Magdzia, zmuszona na czas dłuższy zamiary te swoje odłożyć, pozbywała się zwolna wojowniczego usposobienia. Wspomnienie chłopaka wybijało się na wierzch, dziewczyna zaczęła tęsknić, umizgom rządcy nawet nie rada, i oto, gdy się jej nareszcie po kilku tygodniach niewidzenia Jasiek nawinął, zmiękła jak wosk, zaniechawszy wszelkiego udawania.

Wypadły właśnie imienniny dziedziczki bąkowskiej, na które, jak to było w zwyczaju, całe do Bąkowy jeżdżało Wielgie. Stangret

Wojciech karetą powiózł panie, Jasiek wolantem dziedzica z proboszczem wielickim, po którego wstępowano na plebanię. Zanim się proboszcz wybrał, upłynął kawałek czasu, i karetą znacznie wyprzedziła wolant. A tu każda stracona chwila niecierpliwiła Jaska okrutnie. Kręcił się na koźle, jak na szpilkach, gdy więc ruszono wreszcie z przed plebanii, wyciągniętym kłusem popędził konie. Dziedzic, który sobie życzył właśnie, by się trzymano w pewnem od karety oddaleniu, dla uniknięcia kłębami z pod kół jej dobywającego się kurzu, daremnie starał się skłonić chłopaka do wolniejszej jazdy. Jasiek tłómaczył, że młode, niedawno ze stadniny wzięte konie, rwały same za karecianemi, i ani ich mógł utrzymać, ukradkiem jednak to lejcami, to batem przynaglał je do biegu. Wiedział z doświadczenia, że skoro się raz do karety zbliży, pan ją minąć rozkaże, a chodziło mu o to, już nie dlatego tylko, aby samemu prędzej stanąć na miejscu, ale, aby wyprzedzwszy starego tetryka stangreta, uwinąć się z wyłożeniem koni i drapnąć, zanim Wojciech zajędzie przed gościnną stajnię, i ze zwykłą sobie powolnością swoje wykładać zacznie. Boć oczywiście pomagać mu trzeba było, a może na wyraźne przełożonego zlecenie, na cały wieczór kamieniem trwać przy stajni. Dawniej, niedawno jeszcze, nie był-by się tem martwił zbytecznie: wobec imieninowego zjazdu, w liczmem gronie furmanów, i koni pilnując, zabawić się można było wesoło; tego rodzaju zabawy nawet nęciły go głównie, choćby jeno wspomnieć próbę batów, któremi na dziedzińcu dworskim, w chwili wznoszonego na pokojach zdrowia solenizantki, ogłuszające wystrzelowano salwy. Jasiek w strzelaniu był mistrzem, i za popisami owemi przepadał, dziś jednak czworokonnego bata nawet nie wziął ze sobą, a pilnować nie stajni pragnął, ale — Magdzi.

To też ani się dziedzic opatrzył, gdy zewsząd chmurą karecianego pyłu otoczony, dusić się jął, krztusić i spluwać, aż wreszcie wrzasnął:

— Mijaj!.. kiedy utrzymać koni nie możesz!.. — a chłopak, co rozkazu tego czekał tylko, świsnął batem, i wolant jak strzała przemknął obok karety, i potoczył się dalej, furcząc jeno kołami.

— A co, proboszczu? — na wolne dobywszy się powietrze, wesoło zagadnął dziedzic towarzysza, — źrebięta niczego?

— Niczego, bo niczego, ale i słoneł — odparł z westchnieniem proboszcz, który pół roku już targował ze stadniny dworskiej parę młodziaków, ale się jakoś na cenę zgodzić nie miał odwagi.

— Co dobre, to i słoneł — zawyrokował właściciel rączych źrebaków, podczas, gdy Jasiek, korzystając ze sposobności, jakby chodami zaprzęgu swego chciał się popisać, poganiał, co się dało.

I wolant na dobre pół godziny wyprzedził karetę, a skoro zgranolwszy się z kozła, Wojciech przed gościnną stajnią bąkowską obejrzał się za Jaśkiem:

— Ho!.. ho!.. gdzie go tam szukać, i miejsce po nim zastygło!.. — objaśnił kolegę, z fajką na bryce pana swego rozłożony wygodnie, Antoni z Gardzienic, na co Wojciech pełną poddania się losom odpowiedział uwagą:

— Ino popuść hultaja, a tyle go obaczył! — i zdjąwszy płaszcz liberyjny, rad nie rad, sam się do wykładania koni zabrał.

Jaśiek tymczasem, starannie omijając na tyłach dworu uwijającą się służbę, myszkował w pobliżu izby czeladnej. Spodziewał się zdybać tu choć w przelocie pokojówkę, licząc trochę i na to, że gdy go zoczy, sama może wybiegnie. Krzakami ogrodu skradał się ku sieni, oddzielającej kredens od czeladnej i garderoby, i mimo imieninowej krętanimy, do sieni tej dostawszy się szczęśliwie, przystanął we framudze drzwi roztwartych, obojętnie z pozoru papierosa paląc, a raz wraz spoglądając w okna garderoby, z załamanego w tem miejscu skrzydła dworu wprost na niego wychodzące. Tu go dziewczyna, jeżeli tylko w garderobie była, dojrzeć musiała, drzwi zaś roztwarte sieni w razie potrzeby zasłonić ich mogły sobą.

Obrane jednak stanowisko do bezpiecznych nie należało. Opodał, w przysłonionym krzewami budynku folwarcznym, w którym mieściła się dworska kuchnia, wrzało, jak w garnku. Miejscowi kucharze z dożyczonymi z sąsiedztwa, otoczeni rojem dziewczek, oddanych im do pomocy, wśród klątw i nawoływań, przyrządzali imieninowe przyjęcie, stróż zaś, dobry Jaśka znajomy, w cebrzykach pełnych lodu, posypanego solą, a przed folwarkiem na dworze ustawionych rzędem, pokręcał puszki z lodami, i marznących doglądał auszpików i galaret. Z sąsiedniego kredensu dolatywała wrzawa napływającej wciąż z gośćmi służby. Łada chwila, zjawienie się czyjeś w sieni spłoszyć go mogło i udaremnić jedyną sposobność spotkania Magdzi.

Niecierpliwiał się też, z nogi na nogę przestępując, w obawie przedewszystkiem, aby go nie zdybał w tem miejscu domyślny Józiek. Nauczyciela już dziś nie potrzebował, a zwierzeń, gdy o Magdzię chodziło, czuł, że wystrzegać się winien. Nikt go jednak nie płoszył, chwila bowiem zjeżdżania się gości całą uwagę mieszkańców dworu w ich stronę kierowała.

Skrzypnęły wreszcie drzwi czeladnej, na Jaśka buchnęły płomienie, ale i wnet opadły. To kucharka wychodziła po drzewo do drwalni. W przejściu kiwnęła chłopakowi głową przychylnie:

-- Nijakiego dzisiaj nie będzie podwieczera! — zagadnęła go w przekonaniu, że, jak zwykle, na podwieczerek przychodził, — bo się ludzie ciągiem zjeżdżają. Wieczereż się ino wyda pospólnie.

Jasiek za objaśnienie podziękował, udając, że przyszła w porę, i jak na węglach czekał dalej, aż się doczekał. Nie zdążyła jeszcze kucharka powrócić z drzewem, gdy w otworem zostawionych przez nią drzwiach czeladnej zjawiała się Magdzia.

Gdy się do sieni skradał chłopak ogrodem, już go z okien garderoby dostrzegła. Powodów skradania się onego domysliła się łatwo, i pokraśniała. Widziała Jaśka następnie o framugę drzwi wspartego, zerkającego w jej stronę, ale choć ją do niego żywnie ciągnęło, ciągnęło jak do nikogo w życiu, przeczekać chwilę postanowiła, boć i ochłonać trzeba jej było, i podrożyć się przecie. Podrożyć się koniecznie, z tą myślą szła do sieni, upatrzwszy wyjście kucharki, a szła, udając, że się nikogo spotkać nie spodziewała. Nucić jąta półgłosem, i nucąc, niby to nagle, spostrzegła Jaśka.

Dziw jednak, jak na sam widok chłopaka cała odbiegła ją pewnością siebie, i w oka mgnieniu stopniał zamiar podrożenia się. Ledwie ją bowiem chwycił za rękę i po-za drzwi sieni pociągnął, nie wiedząc prawie, co mówi, patrząc mu w oczy z wyrazem uległości w swoich, a z prośbą w głosie:

— Niech Jasiek puści!.. -- jąta powtarzać. — Kucharka idzie z drzewem!.. niech Janek puści!..

A że nie puszczał:

— Za ogród wylecę dziś wieczorem!.. niech Jasiek puści!.. — dodała.

Teraz dopiero puścił, raz tylko pocałował i puścił, a podczas, gdy dziewczyna pobiegła dalej, jakby ją coś gnało przed siebie, on, nie czekając kucharki, zniknął w kredensie.

I dziwne odtąd działy się z Magdzą rzeczy. Szafrowe oczy chłopaka zapadły jej, hen, w duszę, i była-by za niemi na skinienie szła w wodę i ogień, ona, co się swojemi jeno zachwycać umiała. Zniewolili ją sobie, nito psa człek niewoli, i odmieniała się przy nim, jako na nice odwrócona odzież. I gniewało ją to chwilami, i próbowała oporu, cóż jednak radzić jej było, kiedy jak przyszedł, spojrzął, a uśmiechnął się do niej, żadnej nie miała przed nim obrony.

Dawnych, wszczepionych w nią życiem, radami i przykładem ojca, nawyknień, nie porzuciła, o, nie, jak własnej nie zapomniiała urody, rada zawsze i wszędzie popisywać się nią, zdobywać, a jeno przy chłopaku, przy swoim, potulniała jak trusia, dla Jaśka na każdą gotowa zawsze ofiarę. Co więcej, zalotną stawała się dla niego, na jego korzyść. I nigdyby się nie odważyła przyznać ojcu, że ona, ta Magdzia,

dokoła której roilo się od umizgów, zbierane tu i owdzie oczyma zyski przetapiała na papierosy, szaliki, cygarnice, chustki lub spinki Jaśkowe, że byle dobyć z niego błysk tylko przelotnego bodaj zadowolenia, była w stanie sto razy na pogardliwe „głupiaś“ Nowotnika zarobić. Ba! wiedziała i dobrze, że jej się z kochania tego nic nie zawiąże, że chłopak, syn ubogiej ze wsi wyrobniczy, z łaski wychowany przy dworze nie dla niej był mężem, ni ona dla niego żoną, a jednak w Bąkowie jeszcze, wszak z myślą o nim, i wbrew namowom ojca, odrzuciła zamęście z rymarzem z sąsiedniego miasteczka Ciepiewowa, właścicielem posiadłości mieszczańskiej, a i pochodzeniem, jak ona, z „łyków.“

Jakoś w pół roku po pierwszej za ogrodem Jaśka z dziewczyną schadzce, kilka dni spędził w Bąkowie, przy robocie dworskiej, no i dostał się w ręce pokojówki. Póty strzelała oczyma, aż od rozmiłowanego na dobre rymarza wytargowała dla Jaśka na sarniej nóżce oprawną świeżo nahajkę, dla siebie zaś obicie skórą kuferka i — oświadczyły. Te jednak dostały się jej w zgoła niepożądanym dodatku, bo na spór naraziły ją z ojcem, który zrazu na małżeństwo to jął napierać. Wytłómaczyła mu się jednak młodością, nadzieją lepszego zamążpójścia w przyszłości i nie wiadomo skąd zaczerpniętą wieścią, jakoby rymarz zapijać lubił okrutnie. Skończyło się zatem na nahajce i obiciu kuferka, za które zapłaciła całusem ukradkiem pochwyconym i mocą obiecujących spojrzeń.

Tylko że Jasiek, rad wprowadzie zawsze jak malowanie dziewczynie, ani się na rymarza obejrzał, choć próbowała drażnić go nim wyraźnie. Chłopak, zadowolony głównie z łatwej zdobyczy przez wzgląd na miłość własną, nie troszczył się zbytnio o nią, nowych podbojów żądny i nowych w przyszłości pewny. A brak ten w nim zazdrości, pewność siebie, lekceważenie, z jakim od pierwszej niemal chwili, wystąpił wobec niej jątrzyły Magdzie dawno i gryzły, teraz zaś, wobec świeżych obojętności dowodów, wprost podejrzenie wzbudziły, zali jedynem była Jaśkowem kochaniem.

Inękać ją poczęły długie między odwiedzinami jego przerwy i niemożność bliższego wniknięcia w życie miłego jej nad życie chłopaka, i rozwijać się w niej jęła podejrzliwa o wszystko i wszystkich zazdrość, która, pod wpływem wiadomości o stelmachowej, udzielonej jej złośliwie przez Józka, domyślającego się stosunku pokojówki z przyjacielem, objęła ją, jak płomieniem.

Namowy Jukła do porzucenia służby w Bąkowie, któremi ją przesładował od pewnego już czasu, i wkrótce potem dokonane odkrycie zboża pod plewami, przyszły jej same z pomocą. Uniknąwszy bowiem sprzeczek z ojcem i podejrzeń ludzkich, wraz z ojcem tym w dodatku, znalazła się pod bokiem Jaśka w Wielgiem.

Tu uspokoiła się trochę, jakkolwiek bowiem wnet dostrzegła, iż w plotkach Józka było coś prawdy na dnie, a zachowanie się stelmachowej widocznie wskazywało wyraźne jej dla Jaśka skłonności, a nawet pewne do niego prawa, to jednak przekonała się jednocześnie, jako prawa te do bezpowrotnie przedawnionych należały. Chłopak, powodzeniem zepsuty, a doświadczeniem dojrzały, z rozmyślowanej w nim kobiety drwił dziś tylko, naśmiewając się z niej przed ludźmi. Jak z jednej wszakże strony sprawiało to dziewczynie pociechę, uwalniając ją od obawy przed danem współzawodnictwem, tak z drugiej napało ją lękiem przed współzawodnictwami wogóle. Jasiek rwał się do życia, oczy mu się za dziewczuchami świeciły, i ani sposobu było Magdzi pochwycić go dla siebie wyłącznie. Dotąd trwał przy niej, wiedziała o tem, niewoliła go jeszcze urodą, a zjednywała sobie obsypywaniem podarunkami, do których przyzwyczaiła go sama, które zdawały się mieć znaczny wpływ na niego, a które teraz, niby dań, sobie należną, przyjmował. Czy go jednak utrzyma jutro, pojutrze? A tu co dnia wzmagало się w niej kochanie, i coraz trudniej było jej się pogodzić z myślą utraty onej dusznej swojej nawiści.

Aż po roku szarpaniny takiej ze sobą, czując, że chłopak coraz się bardziej z rąk jej wymyka, postanowiła, wszelkie przeciwne temu pomijając względy, przykuć go do siebie bodaj małżeństwem. Działo się to w porze, w której dla nikogo prawie we wsi, prócz najbliższej tem zainteresowanej Franciszkowej, nie były już tajemnicą Jakobowe do Magdzi umizgi. Dziewczyna przyjmowała zaloty gospodarskie wraz z sutemi przy nich gościńcami, jak tyle przyjmowała innych, bez zastanowienia się nad zalotami, rada zaś wiele gościńcom; ale zupełnie inaczej, zgola nie wiedząc o sobie, patrzyli na nie: Nowotnik i Jasiek.

Co do pierwszego, ten w związku Magdzi z Musiałą znakomitą widział dla siebie i córki „okazyę.“ Zasobny, niby kolonista jaki, gospodarz, groszem podszyty, a przytem nie pierwszej już młodości, wydawał mu się doskonałym przedmiotem wyzysku. Boć, ani wątpić chyba, iż młoda żona, do rzeczy zabrać się umiejąca, rozkochanego Jakóba wodziła-by na pasku, jak dziecko. Na pierwszą wzmiankę Magdzi o nowej w osobie Musiały zdobyczy, choć jeszcze żonatego wtedy, gajowy zamyślił się nie żartem, w miłośce podżyłego już chłopca dopatrując się źródła nielada korzyści, i stanął mu w oczach długi szereg bezpłatnych w karczmie posiedzeń. Zalecił tedy córce, która, pomimo sprytu swego, zdawała się nie pojmować położenia i lekceważyć owe chłopskie „amory,“ umiejętne pokierowanie sprawy, bo, jak się wyraził:

— I panicz przy takim furda... dziś jest, jutro go niema, a takie go zawdy pociągnie.

Jakoż przekonano się niebawem, że to chłopskie kochanie ani się paniczowym umizgom nie równało, a rady doświadczonego Nowotnika i tym razem nie zawiody. Hojność Jakóba, bezinteresowna hojność, w podziw wprowadzała Magdzię. Korzystała też z niej dla siebie i dla Jaśka, jak mogła, nie zapominając i o przypytującym się ze swej strony ojcu, a nagle odstryknięcie się od niej Musiały, które na czas choroby żony jego przypadło, zaniepokoiło ją bardzo. Zafrasował się niem i Nowotnik, i dopiero śmierć Musiałowej nowe odsłoniła mu horyzonty. Domyślił się przyczyn pozornej odmiany w uczuciach zabobonnego chłopca, i nie wątpił, iż jako wdowiec, tem chętniej im się podda. Widział się już w marzeniach na wygodnem stanowisku ojca zamożnej gospodyni, a nie wiedząc nic o stosunkach córki z Jaśkiem, jał ją do małżeństwa z Jakóbem nakłaniać, dziwując się jeno oporowi z jej strony. Ucieszył się za to niepomiernie, gdy po głośnym we wsi podarunku cennych bursztynów, postanowiwszy sobie choćby przymusem wydać Magdzię za Musiałę, nietającego się już wyraźnie z zamiarami swojemi, na pierwsze o tem słowo znalazł dziewczynę bodaj zaraz gotową iść do ołtarza.

A był to skutek namowy Jaśkowej. Kochanek z ojcem zeszli się tu, jakby w porozumieniu. Jasiiek zaczynał mieć dosyć Magdzi. Dziewczyna nękała go zazdrością, a chłopakowi pragnęło się wolności niekrępowanej niczem. Zrywać z nią nie chciał wprawdzie, zaudto i do papierosów przywykł lepszych, i do szalików coraz odmienniejszych; zresztą i kochanki dorodnej żal mu było jeszcze tracić, a tylko zawadzała mu, ot, w tej chwili, jak nieraz już zawadziła w innej, w nawiązanej z kowalcanką miłostce, u której celu majaczył mu się i ożenek bogaty z Nastką. Gdybyć ją tak odsunąć było można od siebie, utrudnić Magdzi baczne każdego kroku śledzenie, a jednak mieć ją na zawołanie? Małżeństwo z Jakóbem, jak raz, wszelkie rozwiązywało trudności: gadali już o niem ludzie po wsi, a i Magdzia o ojcowskich wspomniiała mu namowach, i pytała niby o zdanie, z którym wszakże, na rymarzu sparzony, nie wyrwał się, w strachu przed wybuchem zazdrości, aż wyrwał się dopiero, gdy szczerza się ku temu nadarzyła sposobność, kowalcanka zaś wprost oświadczyła, jako dzielić się z nikim nie myśli, a i zemsty się obawia Magdzinej.

Właśnie pod tę porę, wzrastającą obojętnością Jaśka przynaglona, chwyciła się Magdzia ostatecznego na własną odpowiedzialność sposobu, i napomknęła mu, zdaleka obchodząc drażliwy przedmiot, że było-by może najlepiej na pobranii się skończyć.

— A bo nam to źle? — odparł chłopak, nie rad propozycyi, i starając się zbyć ją niczem.

Dziewczyna jednak nalegała tym razem, aż przyparty do muru, wybuchnął:

— W głowie ci się pomieszało, czy co? — prawil już bez ogródek. — A kajże-bym cię to po weselu zaprowadził?.. do stajni?.. a do garnków, to może owsa nasypał?

Nie dawała za wygraną:

— Można-by się na ordynaryę zgodzić! — zauważyła. — Przy dworze to i dla mnie znalazła-by się robota.

Ale jej przerwał opryskliwe:

— A ino... na ordynaryę!.. a kto-by mi ją dał?.. a wojsko to śpas?... nie mówiący, co i lat swoich nie mam, i matką-by pozwolenstwa nie dali!..

— Jaśku, Jaśku!.. — odezwała się teraz blizka płaczu dziewczyna. — I młodszy od ciebie pobierają się, ale tobie żeniaczka nie w smak ze mną, i tyle...

Łzy w głosie Magdzi udobruchały go trochę.

— Głupiaś ty, Magdzia!.. — rzekł mięcej. — Ani ja krzyw, ani do ciebie nijakiej nie mam niechęci, ino i tobie trza mieć pomiarkowanie. Kaj mnie to o żeniaczce myśleć, ale tobie to i czas, i żebyś tak...

— A cóż, ty mnie chcesz jeszcze swatać? — zachnęła się dziewczyna.

— A bo i co?... — ciągnął teraz buńczucznie Jasiek, postanowiwszy raz wygadać się. — Żebyś tak rozum miała, pojęła-byś lepiej oto Musiałę, i po krzyku!.. była-byś panią, jak się patrzy, a co do czego, — dodał z uśmiechem, — przy Jakóbie to i nam było-by dobrze.

Tu ją przedstawiać płynące dla wszystkich ze związku z Musiałą korzyści. Zbierała pokojówka owoce własnej siejby, i w Jaśku podatną znalazła glebę. Rozbudziła w nim chciwość, i oto teraz, gdy bez obsłonek kreslił wymownie jej przyszłe ich życie pod strzechą starego męża, poczuła jasno, że zasobami tej strzechy jedynie chłopca utrzymać zdoła, i rozeszli się w zgodzie: on wesół, ona zaś przekonana, choć smutna.

— Słyszałem w karczmie, — rzekł jej na pożegnanie, — co się na pozajutrze na jarmark ze zbożem wybierają Musiała do Lipska, wyproś-że się ty u dziedziczki i targu dobijeta.

Los rychlejsze zdarzył, niż sądziła, spotkanie, i oto jechała Magdzia Jakóbowym wasągiem, dobijając targu na jarmarku.

MARYAN JASIEŃCZYK.

(Dalszy ciąg nastąpi).

874 115

KRONIKA GALICYJSKA.

Rozpoczynając po półrocznej przerwie dalszą seryę Kronik galicyjskich, muszę w sprawozdaniu mojem o dłuższym okresie, jaki upłynął od kroniki ostatniej, ograniczyć się do faktów najwybitniejszych których znaczenie sięga aż po obecną chwilę, jeżeli w zwykłych ramach mam dać pogląd na głównejsze sprawy, które zajmowały w tym czasie i dziś zajmują tutejsze społeczeństwo.

Pomiędzy temi sprawami pierwsze miejsce należy się ruchowi umysłów wśród ludności włościańskiej, który od blisko dwóch lat coraz wyraźniej występuje w zachodniej części kraju i obejmuje dzisiaj przeważną większość powiatów Galicyi zachodniej, ze znacznemi, co prawda, różnicami pod względem rozpowszechnienia i kierunku swego. Ruch ten, któremu rozmaici narzucają się przewodnicy, począwszy od wykolejonego, gorszących obyczajów księdza, obłożonego dziś najcięższą karą kościelną, aż do socyalistów, przybierających w tym celu pozory religijności, zresztą stanowczo przez nich zwalczanej, zmierza do zdobycia dla warstwy włościańskiej większego i bezpośredniejszego wpływu na sprawy publiczne, a objawia się w licznych zgromadzeniach, zjazdach i przy wyborach do rad powiatowych, do sejmu i do rady państwa. Dla zrozumienia i należytego ocenienia tego ruchu potrzeba sięgnąć nieco dalej w przeszłość i wyjaśnić jego powstanie.

Niebawem upływie lat pięćdziesiąt od chwili, kiedy w roku 1848 rząd austriacki, pod wpływem wypadków, zniósł w Galicyi od razu, bez jakiegokolwiek przygotowania i przejścia, stosunek poddańczy, o którego zniesieniu przedtem nie chciał słyszeć, mimo przedstawień, zanoszonych w tej mierze przez stany galicyjskie. Włościanie galicyjscy stali się nieograniczonymi właścicielami gruntów, których dotąd używali, a które stanowiły około 16% obszaru kraju, a to bez spłaty ze swej strony, tę bowiem rząd austriacki przyrzekł uiścić ze skarbu państwa, a później przerzucił w dwóch trzecich częściach na fundusz krajowy. Zyskując swobodę rozrządzania w zakresie prawa prywatnego, z jedynym wyjątkiem ograniczeń w dzieleniu gruntów, włościanin galicyjski nie zyskał żadnego zakresu działania na polu spraw publicznych, jeśli pominiemy jednorazowy udział w wyborach do konstytucyjnego sejmu rakuskiego (Reichstag) zaraz w roku 1848. Z powodu rychłego zawieszenia konstytucyi nie przyszło do wprowadzenia zamierzonego samorządu gminnego, powiatowego i krajowego, a wszelkie sprawy publiczne miejscowe, aż do najdrobniejszych, i wszelkie sądownictwo przeszły w ręce biurokracyi, przeważnie czesko-niemieckiej, zasiadającej w rządowych urzędach powiatowych. Nie podejmowano też w owym czasie ze strony rządu znaczniejszych i rozleglejszych usiłowań około podniesienia oświaty ludu, a to pomimo, że potrzeba pracy w tym kierunku stawała się coraz wyraźniejszą, skoro wypuszczono włościan z opieki w stosunkach prywatno-prawnych i narażono ich na wyzyskiwanie w sprawach kredytowych, i skoro od roku 1861 ci włościanie wybierali do sejmu krajowego 74 posłów, czyli bez mała połowę sejmu, a zatem mieli przyznany bardzo wybitny udział w życiu publicznem. W roku 1867 wprowadzono w życie ustawę gminną, która wszystkim gminom w kraju przyznała obszerny zakres samorządu, sprawowanego przez wybrane rady i zwierzchności gminne, a następnie zaprowadzono reprezentacye powiatowe, do których w poważnej liczbie powiatów gminy wiejskie wybierają dwunastu członków na ogólną ilość dwudziestu sześciu. Równocześnie utworzoną została rada szkolna krajowa i rozpoczęła się we wzrastających stopniowo, w miarę rozporządzalnych środków, rozmiarach akcyja około zakładania szkół nowych, poprawiania i rozszerzania istniejących, ulepszenia nauki, przyspasabiania sił nauczycielskich w seminaryach i t. p. Blizko trzydzieści lat mija od czasu, kiedy owa akcyja rozpoczęta została. Można być rozmaitego zdania co do tego, czy tempo tej akcyi z uwzględnieniem rozporządzalnych sił i środków było zawsze dość szybkie, czy kierunek akcyi był zawsze właściwy, a cele dość praktyczne; jednak porównanie cyfr z początku i z końca całego owego okresu wykazuje niezaprzeczony znaczny postęp. W roku 1868 było w Ga-

licy szkół ludowych 2,042, z czego znaczna część w gminach wiejskich, w r. 1895 było tych szkół 4,116. W roku 1868 było dzieci uczęszczających do szkół ludowych publicznych 163,917, w roku 1895 było ich 557,633 obok 36,339 dzieci w wieku szkolnym (6—12 lat) uczących się w szkołach wyższych, przemysłowych prywatnych lub w domu, i nie mówiąc już o tem, że frekwencya, dawniej bardzo nieregularna, obecnie coraz jest dokładniejszą. W roku 1884 jeszcze, kiedy pierwszy raz prof. T. Pilat przeprowadził w tym względzie dokładne obliczenie, na 6,230 gmin w kraju było 2,376 niemających publicznej szkoły ludowej u siebie i nie przydzielonych do żadnej publicznej szkoły ludowej w innej gminie; obecnie liczba gmin takich zeszła do 1,113, a są to przeważnie gminy najmniej ludne i najuboższe. W roku 1881 ilość dzieci w wieku 6—12 lat, pobierających naukę, wynosiła 38% wszystkich dzieci w tym wieku, w r. 1896 zaś 62%; ilość dzieci pobierających naukę w stosunku do ilości dzieci w gminach mających szkoły wynosiła w r. 1881—55%, w r. 1896—71%.

Rozwój oświaty ludowej sprawił, że dzisiaj ludność włościańska liczy w szeregach dorosłych obojej płci znaczną już liczbę osób, posiadających wykształcenie elementarne, zwłaszcza pomiędzy młodszą generacją dorosłych, i to przedewszystkiem w Galicyi zachodniej, gdzie zrozumienie potrzeby oświaty było zawsze żywsze i podtrzymywane tak wędrownkami na zachód, jak zwyczajem używania książek do nabożeństwa w kościele. Równocześnie wpływała na rozwój umysłowy włościaństwa w całym kraju trzydziestoletnia praktyka samorządu miejscowego w gminie i powiecie i udział w rozlicznych zebraniach, zajmujących się sprawami publicznymi oraz w wyborach aż nazbyt licznych i częstych. Pod wpływem wzrastającej oświaty i praktyki życia publicznego wzrastały w kołach włościańskich, zwłaszcza u zamożniejszej warstwy włościaństwa, ciekawość i interes dla spraw publicznych, chęć popierania na tem polu interesów ludności włościańskiej w sposób bardziej stanowczy, niż to dotąd miało miejsce, i chęć szerszego w tym celu udziału włościan w ciałach reprezentacyjnych, w radach powiatowych i w sejmie. Z tego rozbudzenia umysłów wśród włościaństwa, które, pod wpływem wspomnianych poprzednio czynników, t. j. rozwoju oświaty i praktyki życia publicznego, prędzej czy później musiało nastąpić, skorzystały różne żywioły, by na przygotowanym gruncie rozwinąć agitację w imię popierania interesów włościańskich, agitację zwykle namiętną i nie przebiegającą w środkach, rozbudzającą nienawiść ku innym warstwom społeczeństwa, którym przypisuje ta agitacja winę wszystkiego, co włościanom dolega, agitację po największej części niejasną co do pozytywnych celów, do których zmierza, o ile takim celem nie miało-by być jedynie panowanie

nad warstwą ludu wiejskiego. Najdawniejszym, i dziś jeszcze wybitnym, agitatorom tego rodzaju jest ks. Stojałowski, który zrazu zrobił sobie dobre imię, jako ruchliwy i zręczny pisarz i redaktor pism ludowych i uzyskał jedno z najkorzystniejszych probostw, by mógł swobodnie oddać się pracy na polu piśmiennictwa ludowego; lecz probostwo to stracił wskutek gorszącego życia i skazania za sprzeniewierzenie pieniędzy składkowych, a tem rozżalony rzucił się w bezwzględna agitację przeciw władzom duchownym i świeckim, oraz przeciw wykształceńszym warstwom społeczeństwa. Pisarz i mówca to zręczny, umiejący przemawiać do włościan i wyzyskiwać zarówno uczucie religijne, jak namiętności i złe instynkta ludzkie, i stąd też pociąga za sobą nieraz słuchaczy i czytelników; jednakże niezmierna pycha i zarozumiałość, z manią wielkości granicząca, sprawia, iż współpracowników w swej agitacji nie ma, że inni agitatorowie nieprzyjaźnie względem niego są usposobieni i że partji politycznej, mimo niezmoderowanej ruchliwości, nie był w stanie stworzyć. Obecnie, ścigany przez prokuratora w Wadowicach za zbrodnię obrazy religii, wyniósł się ks. Stojałowski po za granice Galicyi, uchylając się od procesu, który go czeka za powrotem. Po tej agitacji, prowadzonej przez jednego człowieka, bez pomocników jawnie występujących, a mającej za sobą rzęszę liczniejszą, niż zrazu myślano, jednak obecnie nie równając już w liczbę, lecz raczej zmniejszającą się, następuje pod względem czasu zjawienia się agitacja socyalistyczna wśród ludu wiejskiego. Partya socyalistyczna, która w Galicyi rozwinęła się od lat około dziesięciu we Lwowie i Krakowie wśród zmów czeladników i robotników kolejowych i budowlanych, a następnie pozakładała swoje zawiązki w większych miastach prowincjonalnych, mianowicie tam, gdzie istnieją warsztaty kolejowe, wie bardzo dobrze, że wobec nierozwiniętego w Galicyi przemysłu fabrycznego i szczupłej liczby ludności robotniczej, dojść-by mogła do pewnego znaczenia w kraju jedynie przez pozyskanie choćby części ludności wiejskiej. Wśród tej ludności jednak w Galicyi proletaryat bez roli, bez domu i choćby kawałka ogrodu, jest bardzo nieliczny, ogół robotników wiejskich stanowią właściciele gruntów i chałupnicy oraz ich rodziny, i z tych-to żywiołów składa się ludność, którą urzędowa statystyka austryacka wykazuje pod rubryką „robotnicy” przy zajęciu rolniczym. Ażeby pozyskać sobie ludność wiejską, mającą udział we własności ziemi i uważającą za swój ideał nabycie i pomnożenie własności ziemskiej, trzeba było usunąć w głąb punkt programu socyalistycznego o wspólnej własności, a oprócz tego trzeba było zaniechać sztydzenia z religii i jej przykazań i nie stawiać przed włościanami mówców i agitatorów żydów, którzy stanowią znaczną część sztabu socyalistycznego. Wszystko to zrobiono, jednakże, jak

dotąd, bezskutecznie, nie pomógł nawet milczący sojusznik, dla wzajemnego popierania się z ks. Stojałowskim zawarty, i obecnie, chyba bardzo wyjątkowo i w bardzo ograniczonej mierze mogły-by głosy włościańskie znaleźć się przy wyborach po stronie socjalistycznej, pomimo wydawanego w tym celu dziennika p. t. „Prawo ludu.“

Trzecim z kolei zawiązkiem akcyi wśród ludu wiejskiego jest „związek chłopski,“ towarzystwo polityczne, na którego czele stoją bracia Potoczkwie, włościanie z powiatu Nowosądzkiego, z których jeden jest posłem do sejmu a drugi posłem do rady państwa. Zrazu byli oni złączeni z ks. Stojałowskim, następnie jednak odsunęli się od niego stanowczo, zrażeni jego pychą i chęcią przodowania, i założyli osobne pismo ludowe, które wychodzi w Nowym Sączu i jest organem związku. Związek chłopski jest szczerze religijnym i z tego powodu zostaje w stanowczej walce z obu powyższemi agitacyami, popiera interesy włościańskie, stawiając na pierwszym miejscu zasadę, by chłopci wybierali chłopów: w piśmie swoim jednak zbyt często jest bałamutny, rzucający bezzasadne podejrzenia i oskarżenia. Związek ma zwolenników w powiatach Nowosądzkim, Limanowskim, dalej jeszcze po trochu w powiatach Grybowskim, Jasielskim, Krośnieńskim i Wadowickim. Należy do niego pięciu posłów sejmowych włościan, dalej pewna ilość księży i świeckich z wykształcenijszej warstwy, jak adwokat dr Caro, znany pisarz ekonomiczny, właściciel dóbr Marszałkowicz, gorliwy opiekun kótek rolniczych i sklepików wiejskich i t. p. oraz znaczniejsi włościanie z wymienionych poprzednio powiatów. Na to, żeby związek chłopski rozszerzał się i jednał sobie zwolenników w dalszych powiatach, siły jego kierownictwa są za słabe, za mało ma ono zdolności agitatorskiej, żeby umiało opanować umysły po za swoim otoczeniem codziennem, a pismo, wydawane przez związek, jest redagowanem za mało sprytnie i konsekwentnie i bardzo nierówną ma wartość. Wszystkie te przymioty, których braknie kierownictwu związku chłopskiego, posiada w wysokim stopniu czwarty z kolei, najpóźniej powstały, a dziś najgłówniejszy zawiązek agitacyi wśród ludu wiejskiego, tak zwane „stronnictwo ludowe“, którego duszą, niezmqordowanym organizatorem zgromadzeń ludowych w różnych częściach kraju, mówcą, doradcą i suflerem innych mówców, sprawozdawcą i redaktorem pisma, służącego stronnictwu, jest dziennikarz Stapiński. Zrazu złączony z agitacją socjalistyczną, odłączył się następnie od niej (czy stanowczo i na zawsze, nie mogą upewnić) i oddał się całkowicie agitacyi wśród ludu wiejskiego, której służy prócz tego jako współpracownik jednego z codziennych pism lwowskich, barwy radykalno-socjalistycznej i jako redaktor pisma „Przyjaciel ludu“, będącego dziś organem towarzystwa politycznego, przez stronnictwo ludo-

we zawiązanego. Nominalnym prezesem tego towarzystwa jest poseł Lewakowski, którego zdolności i usposobienie nie starczyły-by na kierowanie jakąkolwiek akcją polityczną; członkami są posłowie sejmowi włościanie i z intelligencji, w liczbie ośmiu czy dziewięciu, niektórzy adwokaci, kandydaci adwokatury i notaryalni na prowincyi i włościanie, głównie w powiatach, od Rzeszowa na zachód aż do Krakowa położonych, wzdłuż linii kolejowej i na północ od niej. Właściwym i jedynym działaczem, organizatorem zgromadzeń, mówcą na każdym z nich i sprawozdawcą o nich jest Stapiński, tak dalece, że gdyby tej siły agitatorskiej i publicystycznej dziś brakło, stronnictwo ludowe popadło-by w stagnację, z wyjątkiem chyba dwóch lub trzech punktów, w których znajdują się cokolwiek ruchliwsze i samodzielniejsze żywioły agitacyjne. Pozytywne cele, do których dąży agitacja t. zw. stronnictwa ludowego, nie są dosyć jasne. Dążność do większego uwzględnienia interesów ludności włościańskiej w ustawodawstwie i administracyi jest hasłem, przeciw któremu nie można mieć nic do zarzucenia, ale jako program zbyt ogólnikowem, a zresztą wspólnem nie tylko ze związkiem chłopskim, lecz także znajdującem licznych zwolenników we wszystkich wykształconych warstwach naszego społeczeństwa. O szczegółowych postulatach, które-by z owego hasła wypływały, można dyskutować i więcej lub mniej do nich się przychylić, i te żądania, zresztą nie nowe i w części przez innych także popierane, same przez się nikogo nie straszą; natomiast to, co opinię publiczną klas wykształconych i nawet znacznej części włościan, zwłaszcza starszych, nieprzychylnie usposabia dla agitacyi stronnictwa ludowego, a właściwie p. Stapińskiego i jego pisma, to przedewszystkiem taktyka, polegająca na rozbudzaniu nienawiści społecznej i wszelkich złych instynktów, na podnoszeniu zarzutów nieprawdziwych i nieraz wprost podburzających wobec ludzi nie umiejących ocenić, co prawdziwe, a co błędne, po prostu brak sumiennosci i lojalności w walce politycznej. W ścisłym związku z tym zarzutem zostaje drugi zarzut, że przywódcom stronnictwa ludowego brak religijno-moralnych podstaw w ich działaniu, i że ich czasopismo było wprost antyreligijne, a po części jest niem i dzisiaj. Czy stronnictwo ludowe z tych kardynalnych wad otrząść się potrafi, czy zechce popierać interesa włościańskie bez podburzania namiętności i złych instynktów, szerzenia niewiary a przynajmniej obojętności religijnej, które ścielą grunt socjalizmowi, trudno dziś powiedzieć. Wtedy jednak dopiero mogło-by ono przestać być rozkładowym czynnikiem w naszych stosunkach społecznych, a stać się czynnikiem dodatnim. Dotąd owocem jego działalności jest przeprowadzenie pewnej liczby kandydatów z kuryi włościańskiej do sejmu i do rad

powiatowych, a to prawie wyłącznie włościan. W najnowszym czasie zjawiała się myśl połączenia się związku chłopskiego braci Potoczków i stronnictwa ludowego w jedną partję, do której mieli-by przystąpić także niektórzy posłowie lewicy sejmowej. Dzienniki donoszą, że dnia 19 grudnia ma nastąpić w tej mierze decyzja, wątpię jednak, by przyszło do takiego połączenia.

Dla wykształconych warstw naszego społeczeństwa, mianowicie tych, które z ludem wiejskim na wsi i w miasteczkach w częstej są styczności w stosunkach codziennych życia gospodarskiego i w samorządzie miejscowym, ruch ludowy, którego najwybitniejsze objawy i działające siły starałem się naszkicować tutaj, sprowadza konieczny choć trudny obowiązek prostowania mętnych lub zamąconych wyobrażeń, zbijania, nie tylko słowem, lecz jeszcze bardziej postępowaniem, miłością dobra publicznego natchnionem i taktownem, bezzasadnych zarzutów i uprzedzeń, a utrzymywania łączności z ludnością miejscową z jednej strony na gruncie wspólnych przekonań religijno-moralnych, z drugiej zaś strony na gruncie wspólności interesów materyalnych. W krajach, w których, jak w Galicyi, najszersze warstwy ludności używają praw politycznych, wybierając posłów i mogąc tworzyć stowarzyszenia i zgromadzenia, obradujące nad sprawami publicznymi, jest rzeczą konieczną, aby warstwy wykształcenijsze ciągłą pracą około dobra publicznego i udziałem w życiu politycznem miejscowem zarabiały sobie na zaufanie owych najszerszych warstw i na tej drodze zyskiwały przewodnictwo w sprawach publicznych, które nikomu bez pracy i zasług się nie należy. Posiadanie majątku, zajmowanie stanowiska społecznego, wkłada obowiązki społeczne, które, gdyby należycie były spełniane, wiele antagonizmów socyalnych nie powstało-by, a inne znacznie łatwiej dały-by się rozwiązać.

Sejm galicyjski, na którym, podobnie jak w roku zeszłym, ruch ludowy w licznych wnioskach i interpellacyach posłów stronnictwa ludowego znajdzie wyraz, zbierze się z końcem grudnia na kilka dni, celem uchwalenia prowizoryum budżetowego, t. j. pozwolenia na pobieranie dochodów i czynienie wydatków przez styczeń i luty na podstawie budżetu przeszlorocznego, a następnie, dokonawszy wyborów do komisji, odroczony będzie aż do końca stycznia, by dać możność obradowania radzie państwa, która w styczniu skończy rozprawy nad budżetem i rozwiązana zostanie z powodu upływu peryodu wyborczego. Sessya sejmowa następnie potrwa przez luty, poczem nastąpią wybory do rady państwa, na podstawie zmienionej w zeszłym roku ordynacyi wyborczej. Bliskość tych wyborów wywrze wpływ na obrady sejmów krajowych, w których wystąpią wnioski, dążące do zaprowadzenia w kurii gmin wiejskich wyborów bezpośrednich, zamiast dzi-

siejszego wyboru wyborców, którzy następnie dopiero wybierają posła. Przyjęcie takiego wniosku miało-by ten skutek, że w tym kraju także wybory do rady państwa z gmin wiejskich i z nowoutworzonej piątej kuryi odbywały-by się bezpośrednio. Sejm galicyjski nie zgodzi się na zmianę ordynacyi wyborczej przed nowymi wyborami do rady państwa, lecz będzie chciał wyczekać tych wyborów, który to wynik mianowicie w piątej kuryi jest bardzo trudny do przewidzenia z powodu wielkiej rozległości okręgów wyborczych i połączenia okręgów wyborczych wiejskich z miejskimi we wspólne okręgi wyborcze.

Dla zbierającego się sejmu rozesłał już marszałek krajowy część przedłożeń wydziału krajowego, między któremi najważniejszymi są: projekt ustawy, zaprowadzającej nową ordynację wyborczą dla trzynastu miast większych (prócz Lwowa i Krakowa), które mają osobną ustawę gminną, a następnie projekt regulacyi górnego Dniestru. Ten ostatni projekt jest ogromnej wagi dla gospodarstwa krajowego, gdyż umożliwia osuszenie i zużytkowanie dla uprawy 41,057 morgów austriackich bagien lub łąk zabagnionych, które obecnie tylko w wyjątkowo suchych latach przynoszą jaki taki dochód na małej stosunkowo części, zresztą zaś są zupełnie bezużyteczne, a nawet szkodliwe, jako gniazdo chorób na całą okolicę. Prócz tego uregulowanie górnego Dniestru i jego dopływów ochroni od wylewów całą okolicę nadbrzeżną, obejmującą przeszło 80,000 morgów, z których 51,000 morgów co rok, nieraz kilkakrotnie, wody zalewają, i przygotowuje sprawę uszlawnienia Dniestru i połączenia go kanałem spławnym z Sanem, celem utworzenia wielkiej drogi wodnej między morzem Czarnem a Bałtykiem. Według projektu ustawy, koszt regulacyi Dniestru od Kornalowiec do Rozwadowa, wraz z dopływami Strwiążem, Tyśmienicą i Warszycą, obliczony jest na 4,600,000 złr., z których 40% ma dać fundusz krajowy galicyjski, 40% skarb państwa, a 20% państwowy fundusz melioracyjny. Datki właścicieli gruntów nadbrzeżnych policzone będą na rachunek tego, co ma dać fundusz krajowy. Okres robót projektowany jest na 20 lub na 15 lat, stosownie do tego, jak wielką będzie roczna rata, która wyznaczoną zostanie na te roboty. Projektowana regulacja zdobędzie dla uprawy ziemi i dla osiedlenia ludności, zbyt gęstej już dziś w innych okolicach kraju, przeszło 300 kilometrów kwadr. na prawym brzegu Dniestru od Kalinowa do Nadiatycz, które obecnie przedstawiają bezludne pustkowia, a po dokonaniu robót regulacyjnych wystarczą na utrzymanie przeszło ćwierć miliona ludności. Okolica ta, w ten sposób zmieniona w podstawowych warunkach bytu, będzie ściągać ku sobie ludność z powiatów, w których, wobec wyłącznie rolniczego zajęcia mieszkańców, panuje przeludnienie, i odwodzić od emigracyi po-za granice kraju, a mianowicie za morze, której widoki

obecnie są najniepomysłniejsze. W podniesieniu przychodu gruntowego, w uchyleniu strat z wylewów, w uzdrowotnieniu całej okolicy dla ludzi i zwierząt domowych, wydatek na projektowaną regulację sownie się opłaci i podniesie siłę podatkową kraju i państwa.

Wobec tych wszystkich korzyści wydziwić się nie można, że dopiero teraz wchodzi w wykonanie przedsięwzięcie tak pożyteczne, którego myśl w połączeniu z uszlawnieniem Dniestru powziętą została zaraz po zajęciu Galicji przez Austryę, zatem sto dwadzieścia lat temu. Przez cały ten długi okres ciągną się objazdy komisji, badania, narady i korespondencye władz centralnych i krajowych, które nagromadziły stosy papierów i spotrzebowały dużo pieniędzy; klasyczny prawdziwie przykład działalności austriackiej biurokracji, u której zawsze olbrzymi przedział między pomysłem a czynem. Dzisiaj, dzięki energii marszałka krajowego i poparciu silnemu ze strony rządu państwa, należy się spodziewać, że projekt regulacji górnego Dniestru, będący tylko częścią projektów poprzednich, niezadługo wejdzie w stadyum wykonania. Życząc tego krajowi, a specyjalnie okolicy, której projekt ten dotyczy, trzeba w interesie tej okolicy dwie zrobić uwagi. Po pierwsze: życzyć-by należało, aby zamierzona regulacja przeprowadzoną została w czasie ile możności rychłym, w żadnym razie zaś nie była rozłożoną na lat dwadzieścia, a to nie tylko ze względu na przyspieszenie korzyści spodziewanych z dokonania robót, lecz także dla tego, że rozłożone na długi czas roboty ulegają łatwo zniszczeniu w ciągu wykonania, a częściowe wykonanie zwiększa nieraz szkody przy wylewach, gdy np. nacisk wody, powstrzymany tamami na jednym brzegu, z tem większą siłą zwraca się ku brzegowi przeciwnemu. Szkody z tego powodu są bardzo częste w Galicji, gdzie w skutek zbyt szczupłych funduszków, przez państwo wyznaczonych, roboty wodne w drobnych cząstkach dokonywane bywają co rok. Druga uwaga dotyczy konieczności przedsięwzięcia równocześnie robót ochronnych na stokach gór, otaczających dorzecze Dniestru, powyżej przestrzeni objętej projektem regulacji. Okolica górską, przez którą Dniestr płynie w początkach swego biegu, jest dziś już bardzo mało zalesioną z powodu spustoszenia lasów, potrzeba zatem koniecznie zalesić stoki gór i przez zabudowanie potoków górskich powstrzymać nagły odpływ wód deszczowych i śniegowych, które zabierają z gór resztki ziemi urodzajnej i kamieni i, osadzając je w dalszym biegu rzeki, podwyższają jej łożysko. Inaczej regulacja może w znacznej części stać się nawet bezowocną, a skrócenie biegu rzeki przez przekopanie zakrętów zwiększy niebezpieczeństwa powodzi w dalszych, poniżej położonych, okolicach nadbrzeżnych. Wogóle zauważyć trzeba, że w stosunku do licznych krajowych przedsięwzięć regulacji rzek, zabudowania pot-

ków górskich, połączone z zalesieniami, nader wolno postępują w Galicyi w skutek tego, że państwo za mało inżynierów i zbyt mało funduszków przeznaczają do tych prac, których rozwój jest koniecznym uzupełnieniem prac regulacyjnych.

Oprócz rozesłanych już przedłożeń i budżetu na r. 1897, jeszcze szereg dalszych wniosków przedłoży sejmowi wydział krajowy, pomiędzy niemi ważny projekt zmiany ustawy drogowej. Po zrównaniu ciężarów szkolnych, które nastąpiło w drodze jednomyślnej uchwały sejmu, zanim w tym przedmiocie rozwinęła się jakakolwiek walka parlamentarna lub po-za parlamentarną, sprawy gminna i drogowa stanowią jedyny rzeczowy przedmiot dla walk i agitacji politycznych wśród ludności wiejskiej. Co do sprawy organizacyi gmin wiejskich, to dwukrotna uchwała sejmu, iż koszta przyszłej organizacyi gminnej mają być równomiernie rozłożone na gminy i obszary dworskie, podług podatków, odjęła sporom o to, jaką ma być organizacya gminna, drażliwą cechą sporu o rozkład ciężarów publicznych pomiędzy warstwy społeczne. Natomiast spór o sposób rozkładu ciężaru drogowego, t. j. kosztów budowy i utrzymania dróg gminnych, zachował jeszcze poniekąd tę cechę, i dla tego dobrze będzie, jeśli przyszedł sejm potrafi załatwić tę sprawę w sposób zadawalniający. Obecna ustawa drogowa każe na rzecz dróg gminnych odrabiać cztery dni piesze rocznie od każdego domu, położonego w gminie wiejskiej lub na obszarze dworskim, zaś od każdej rodziny, a względnie partyi w gminie miejskiej, oprócz tej prestacyi żąda od każdego płacącego podatek bezpośredni 3% tego podatku rocznie na drogi gminne. Nadto obszar dworski winien wydać potrzebną do budowy i utrzymania dróg gminnych materyał drewniany, o ile przeciętna wartość jego nie przewyższa w ciągu roku 5% dodatków do podatków bezpośrednich, opłacanych przez obszar dworski. Od robocizny można się wykupić, uiszczając jej cenę, niezużytkowane w ciągu roku dni mają być spłacone przez obowiązanych. Przepisy powyższe dają powód do skarg w dwojakim głównie kierunku. Najpierw z tego powodu, że żądanie czterech dni robocizny od każdego domu, względnie od każdej partyi bez różnicy, nie liczy się wcale ze znacznymi różnicami w możności świadczenia, jakie zachodzą pomiędzy poszczególnymi rodzinami lub partyami i sprawiają, że równy ciężar sprowadza bardzo nierówne obciążenie. Dotyczy to nie tyle obszarów dworskich, z których każdy ma znacznie większą ilość domów mieszkalnych, a przeto kilka lub kilkanaście razy po cztery dni musi odrabiać lub opłacać, ile różnic w obrębie gminy, w której najbiedniejsi chałupnicy muszą odrabiać lub spłacać tyle, co najzamożniejsi gospodarze. Dodać zaś trzeba, że różnice w zamożności pomiędzy ludnością włościańską tej samej gminy są obecnie znacznie większe, niż

dawniej, i że w każdej niemal gminie jest bodaj kilku gospodarzy za możnych, którzy od zubożałych skupują grunta, wynajmują ciągle bydło do roboty biedniejszym i udzielają im nieraz drogiego kredytu. Tu tedy powinna być zmiana wprowadzona przez uwolnienie najbiedniejszych od prestacyi drogowej lub stopniowanie jej podług możliwości. Drugi powód do skarg na obecną ustawę drogową leży w obowiązku dostarczania materiału drewnianego przez obszary dworskie. Postanowienie, ograniczające ten obowiązek do wartości 5% dodatków do podatków jest niejasne i bywa najróżniej tłómaczonem w praktyce, a nadto znowu zachodzi nierówność pomiędzy obszarami dworskimi w różnych okolicach kraju, z których jedne wymagają licznych mostów, a drugie nie. Skargom w obu kierunkach będzie się starał zarządzić projekt wydziału krajowego, który jednak nie uchyli skargi trzeciej, może najpowszechniejszej, na beczynność zupełną, lub przynajmniej bardzo daleko posuniętą przeważnej ilości zarządów drogowych, której to beczynności niedostatecznie tylko zarządzić może interwencya wydziałów powiatowych. Wada to bowiem nie ustawy drogowej, ale organizacyi gminnej, której reforma postawi w miejsce zarządów drogowych, złożonych z dotychczasowego wójta i przełożonego obszaru dworskiego, organ odpowiedniejszy i energiczniejszy.

Przez szereg lat ostatnich ruch w nabywaniu i sprzedaży majątków ziemskich w Galicyi był bardzo ożywiony, bardziej ożywiony, niżby życzyć sobie należało w interesie rozwoju gospodarstwa rolniczego i lasowego, które wymagają pewnej ciągłości w sposobie gospodarowania. Kupowano majątki, płacąc za nie coraz wyższe ceny, pomimo mniej pomyslnych niż dawniej konjunktur na targu płodów rolniczych. Rozwinęła się na szerszą skalę spekulacya w majątkach, w skutek której kupowano, by zaraz potem z zyskiem odprzedać; kupowano, by wyciętym lasem zapłacić jak najznaczniejszą część ceny kupna; kupowano, by zarobić na parcelacyi. Ruch ten w obrocie majątków oddziałał nawet na sąsiednie kraje. Pewna ilość właścicieli galicyjskich pozakupowała majątki na Bukowinie, a niektórzy próbowali kupować, a nawet pokupowali majątki w północnych Węgrzech. Jednym z powodów owego ożywionego obrotu w majątkach ziemskich było pojawienie się znaczniejszych kapitałów, które w r. 1890 właściciele dóbr tabularycznych otrzymali jako wynagrodzenie za przejście służącego im prawa propinacyi na kraj; dalszym powodem była zwiększona konkurencyja zakładów kredytowych w udzielaniu wysokich pożyczek hipotecznych, skutkiem czego, skoro mniej było trzeba własnej gotówki do nabycia, względnie do zapłacenia majątku, zwiększała się ilość chętnych nabywców; wreszcie wywarło tu niezaprzeczonego wpływu także zniżenie stopy procentowej od papierów publicznych. Dzisiaj

obrót w majątkach ziemskich znacznie się zmniejszył, ceny nieco się zniżyły, a niektórzy z nabywców na spekulację znaczne ponieśli straty. Smutne i nie prędko dające się uchylić ślady owych spekulacji pozostały w wyrąbanych a nieraz zniszczonych lasach i zbyt wysoko zadłużonych hipotekach.

Obecnie podobna spekulacja na innem występuje polu, mianowicie w terenach naftowych. Ciągłe postępy w technice wiertniczej, której dziś cudzoziemcy przybywają uczyć się w Galicyi, dozwoliły sięgnąć do głębszych pokładów i w pewnej liczbie miejsc uzyskać studnie z bardzo obfitą ilością ropy naftowej. Produkcya nafty w Galicyi zwiększyła się bardzo znacznie i obecnie jest w stanie z łatwością zaopatrzyć potrzeby całego państwa. Gdzie tylko wywierconym zostanie otwór, dający obficie ropę, tam zaraz w sąsiedztwie ceny ziemi i ceny wynagrodzenia za prawo wydobywania nafty, czyli ceny pól naftowych, idą w górę i pojedyncze osoby tudzież rozmaite spółki na wyścigi nabywają pola naftowe w całej okolicy. Wielu nabywa pola naftowe nie dla prowadzenia na nich produkcji, ale na spekulację, by je z zyskiem sprzedać, gdy się zwiększy nadzieja znalezienia obfitych studzien w danej okolicy. Z powodu wielkiego ryzyka, tak przy wierceniu, jak i przy samym handlu polami naftowemi, tworzą się spółki udziałowe, które kupują pola naftowe i wiercą naraz w kilkunastu albo i kilkudziesięciu miejscach, aby zyskami z miejsc jednych kompensować straty w drugich. Skłonność do stowarzyszania się dla przedsiębiorstw, u nas zresztą mało rozwinięta, z wyjątkiem ludności żydowskiej, na polu przemysłu naftowego objawia się w sposób bardzo wybitny. Wzdłuż całego Podgórza Karpackiego, raz jedne, raz znowu drugie okolice dzierżą prym w produkcji naftowej i skupiają największą ilość przedsiębiorstw. Obecnie główne ognisko produkcji tej przybliżyło się do Lwowa, gdyż znajduje się znowu w powiecie Drohobyckim, w którym produkcya ta wzięła swój początek przed trzydziestu kilku laty. Wskutek tego zarządy przedsiębiorstw znaczniejszych przeniosły się do Lwowa, gdzie też obrało swoją siedzibę towarzystwo naftowe, dawniej rezydujące w Gorlicach. Bliskość większych instytucji finansowych i łatwość komunikacji przemawiają w tym względzie też za Lwowem. W pomyślnym rozwoju kopalnictwa naftowego, ujemną stroną, która daje powód do obaw ze stanowiska interesów narodowych, jest to, że podczas gdy dawniej przedsiębiorstwa naftowe, z bardzo małemi wyjątkami, były wszystkie w ręku krajowców, to obecnie, kiedy produkcya staje się coraz obfiszą, pojawia się coraz więcej przedsiębiorstw obcych: banki wiedeńskie, towarzystwa belgijskie, niemieckie i francuskie, oraz wielkie rafinerie węgierskie, odkupują pola naftowe i studnie w ruchu będące, wkładając kapitały, na któreś-

my się zdobyć nie mogli. Pomyślniej przedstawiają się te przedsięwzięcia, w których krajowcy, zachowując główny udział w zarządzie, przybierają, celem powiększenia kapitałów, współników obcych.

Z okazji odnowienia przywileju banku austro-węgierskiego nadeszły z różnych krajów austriackich rozmaite żądania w przedmiocie ułatwienia kredytu obrotowego dla rolników w tej głównej instytucji kredytowej. Z przyjemnością należy zapisać, że ministerium skarbu uznało żądania, przedłożone z Galicyi przez sejm i towarzystwa rolnicze, za najbardziej nadające się do uwzględnienia, z powodu tak treści ich, jak ścisłego sformułowania. Żądania te zmierzają do tego, aby bank przeznaczył odpowiednią sumę z funduszów działu eskontowego na kredyty wekslowe dla rolników, z terminem przynajmniej sześciomiesięcznym, aby w komitetach cenzorów zastrzeżono rolnikom odpowiednią reprezentację, wreszcie aby powiększono liczbę filii bankowych w Galicyi, a zastępstwa banku, będące jakby odnogami filii, poruczono instytucjom kredytowym, nie zaś osobom prywatnym. Celem tych żądań jest uczynić kredyt wekslowy w banku austro-węgierskim najtańszem źródłem kredytu, gdyż jest to bank bilansowy, więcej przystępny dla rolników, a przez to mogący wpłynąć naniżenie stopy procentowej w kredycie osobistym rolników w ogółności. Dotąd bank austro-węgierski, w przeciwstawieniu do innych banków biletowych, służy niemal wyłącznie tylko interesom handlu i przemysłu, a podczas gdy firmy handlowe znajdują w nim zawsze łatwy i tani kredyt, to rolnik, choćby bardzo zamożny i akuratywny, korzystać może z tego kredytu tylko pośrednio, mianowicie za pośrednictwem innych banków, albo też eskonterów prywatnych, którzy za takie pośrednictwo każą sobie płacić. Zapłatę stanowi różnica między stopą procentową banku austro-węgierskiego, a procentem, który rolnik płaci pośredniczącemu bankowi lub eskonterowi. Pośrednictwo takie, jeżeli się wybiera klientów wypłacalnych, jest interesem równie bezpiecznym, jak zyskowym a nie wiążącym kapitału, ponieważ eskontowane weksle rolników podaje się zaraz do reeskonta w banku austro-węgierskim, gdzie o przyjęciu ich decyduje nieraz bardziej podpis rolnika niedopuszczonego do bezpośredniego udziału w kredycie bankowym, niż podpis pośredniczącego eskontenera, który ma tę wyższość, że ma zaprotokółowaną firmę handlową. Dopuszczenie rolników, oczywiście zasługujących na zupełne zaufanie co do swej wypłacalności, do bezpośredniego korzystania z kredytu wekslowego w banku austro-węgierskim, niżyło-by stopę procentową kredytu osobistego, który dla rolników jest obecnie stanowczo za drogi w naszym kraju, pomimo niżenia się ogólnego stopy procentowej.

Nie będzie może bez interesu dla czytelników „Biblioteki Warszawskiej“, zajmujących się sprawami ekonomicznymi, jeśli podam tutaj warunki kredytu wekslowego w głównych, a następnie w podrzędniejszych instytucjach kredytowych Galicyi. Na czele głównych instytucyi stoi bank austro-węgierski, którego filie w Galicyi, w liczbie pięciu, eskontują weksle z trzema podpisami, z których w praktyce przynajmniej jeden ma pochodzić od protokółowanej firmy, na 4% z terminem trzymiesięcznym, wyjątkowo na rachunek funduszu rezerwowego z terminem sześciomiesięcznym, ale za to na 5%. Prolongata jest tu wykluczona. Bank krajowy Galicyi eskontuje weksle o dwóch podpisach z terminem 130 dni na 5%. Przy prolongacie piąta część kapitału musi być spłaconą. Galicyjska kasa oszczędności we Lwowie i Towarzystwo wzajemnego kredytu w Krakowie eskontują weksle trzymiesięczne z dwoma podpisami, żądając w razie prolongaty spłacenia $\frac{1}{10}$ kapitału. Kasa oszczędności pobiera $5\frac{1}{2}\%$, toż samo kasa oszczędności w Krakowie, towarzystwo wzajemnego kredytu $5\frac{1}{2}$ —6%. Galicyjski bank kredytowy we Lwowie i Galicyjski bank hipoteczny we Lwowie, oba banki akcyjne, nie mają stałych warunków kredytu; co do procentu, pierwszy pobiera z reguły 7%, drugi $6\frac{1}{2}$ —8% stosownie do wartości podpisów. Filia wiedeńskiego zakładu kredytowego dla handlu i przemysłu eskontuje weksle trzymiesięczne z dwoma podpisami, faworyzując firmy protokółowane, i pobiera 7—8%, w razie zaś podwyższenia eskonta w banku austro-węgierskim, więcej o tę podwyżkę. W końcu zorganizowany na nowo bank galicyjski dla handlu i przemysłu w Krakowie eskontuje pod temi samymi warunkami co towarzystwo wzajemnego kredytu i galicyjska kasa oszczędności, a pobiera z reguły 7%.

Jeśli znaczna część głównych instytucyi kredytowych w kraju pobiera od eskontowanych weksli 7, a niektóre nawet 8%, to procent przy kredycie osobistym w pomniejszych instytucjach prowincjonalnych nie może być niższym. Takimi instytucjami są kasy oszczędności miejskie i powiatowe, których jest, prócz Lwowskiej i Krakowskiej, 25, a następnie towarzystwa zaliczkowe w liczbie 300, z których 151 wyłącznie lub prawie wyłącznie żydowskich. Z 25 kas oszczędności jedna tylko pobiera $5\frac{1}{2}\%$, cztery lub pięć 6%, a reszta wyżej aż do 8% włącznie. Pomiędzy towarzystwami zaliczkowemi wyjątkowo tylko trafiają się takie, które od pożyczek, udzielonych swoim członkom, pobierają 6% lub niżej, przeważna część pobiera 8—9%, a liczne towarzystwa pobierają 10%, są zaś i takie, które pobierają jeszcze wyższe procenta. Najniższym stopniem w hierarchii instytucyi kredytowych w Galicyi są kasy pożyczkowe gminne. Większa część tych kas, pomimo usiłowań wydziału krajowego, by nakłonić gminy do

zmiany statutów celem zniżenia stopy procentowej, pobiera 8—12%. Trzeba jednak tu zauważyć, że znaczenie gminnych kas pożyczkowych dla drobnego osobistego kredytu włościan jest bardzo umniejszone przez niedołączną po największej części ich administracyę. Fundusz kasy tworzą kapitały gminne, w tym celu przeznaczone, które rozpożycza i ściąga komissya, złożona z wójta i dwóch kasyerów, wybranych przez radę gminną. Otóż zło w bardzo wielu kasach leży w tem, iż pieniądze wypożyczają dla siebie często wpływowi i zamożniejsi członkowie gminy, nie zaś potrzebujący ratować się kredytem, a następnie w tem, że pieniądze rozpożyczone nie bywają spłacane lub ściągane i przez lata pozostają u tych samych dłużników, skutkiem czego kasa, raz rozpożyczywszy pieniądze, przestaje funkcjonować, wreszcie w tem, że księgi są prowadzone często nieporządnie, skrypta nie odpowiadają wymaganiom pod względem formy prawnej i t. p.

Dla poprawy stosunków kredytowych w Galicyi, które, jak już z tego, co tu powiedziano, wynika, pozostawiają zawsze jeszcze wiele do życzenia, potrzeba pomnożyć liczbę kas oszczędności i towarzystw zaliczkowych, (ale takich, które-by nie były obliczone wyłącznie na ludność żydowską), a następnie dążyć stanowczo do zniżenia stopy procentowej. Pierwsze jest zadaniem inicjatywy prywatnej oraz gmin i innych ciał samorządnych, w drugim zaś kierunku akcyja winna wychodzić od banku wyposażonego w monopol wydawania kwot, t. j. od banku austro-węgierskiego, który, czyniąc kredyt wekslowy u siebie dostępnym, nie tylko dla handlu i przemysłu, ale także i dla rolnictwa, może wpłynąć pośrednio na postawienie tego kredytu dla wszystkich warstw zawodu rolniczego. O ile można wnosić, rządy austriacki i węgierski tym razem będą energicznie popierały słuszne żądania rolnictwa w obu bankach. Oczywiście praca nad poprawą stosunków kredytowych, w kierunkach dopiero co wskazanych, nie uchyla obowiązków pracowania w tym celu także na innej drodze, a mianowicie w kierunku repressyi karnej wobec lichwy i rozmaitych sposobów wyzyskiwania.

Tutejsze towarzystwo rolnicze przeprowadza obecnie zmianę w wydawnictwie swego urzędowego organu, „Rolnika.“ Od Nowego Roku obejmuje redakcyę tego tygodnika Dr Kazimierz Miczyński, agronom, który pobierał swe wykształcenie na studyum rolniczym w Krakowie, a następnie w Halli, odznaczył się pracami w dziale rolniczym wystawy krajowej w r. 1894, a jest teraz docentem rolnictwa w tutejszej politechnice. Dalsza zmiana leży w tem, iż odtąd otrzymywać będzie bezpłatnie „Rolnika“ każdy członek towarzystwa, opłacający rocznej składki 5 złr. lub więcej, a następnie każde grono

członków, zamieszkałych w okręgu jednej stacyi pocztowej, a opłacających razem składki w wysokości przynajmniej 5 zhr. Oprócz tego raz na miesiąc „Rolnik“ będzie miał dodatek o mleczarstwie, redagowany przez krajowego inspektora mleczarstwa, p. Biedronia, zaś raz na miesiąc dodatek o chowie drobiu. Tym sposobem związek pomiędzy członkami towarzystwa a jego zarządem, za pośrednictwem pisma tygodniowego, będzie ciągłym i coraz ściślejszym, a pismo stać się może łatwo pośrednikiem w najrozmaitszych interesach pomiędzy rolnikami, w kupnie i sprzedaży bydła, nasion i t. p.

Na zakończenie chcę przejść z pola interesów materyalnych w dziedzinę sztuki i archeologii. Od czasu, gdy p. Władysław Łoziński swoim pięknym dziełem o starożytnym Lwowie przypomniał znowu dawne zabytki miasta Lwowa w budowlach, interes wykształceńszej publiczności i władz miejskich zwrócił się ku zachowaniu tych zabytków, a w miarę możności, przywróceniu ich do pierwotnego stanu. Niewątpliwie temu impulsowi i dalszym usiłowaniom grona konserwatorów, którego p. Łoziński jest prezesem, przypisać trzeba plany restauracyi niektórych zabytków, w części dokonane, w większej części dopiero zamierzone. W ciągu lata i jesieni bieżącego roku dokonana została restauracya prezbjteryum w tutejszej katedrze łacińskiej, której gotycka budowa zeszpeconą została dodatkami i przekształceniami, dokonanemi za arcybiskupa Sierakowskiego w XVIII wieku, w kierunku ówczesnego smaku. Obecnie odsłonięto w całości sklepienie gotyckie i pomalowano je, uwydatniając należycie łuki. Okna otrzymały ciosową oprawę, część ich ma już dzisiaj kolorowe witraże, reszta otrzyma je w roku przyszłym. Wejścia do bocznych kaplic otrzymały kamienne odrzwia w stylu gotyckim, a ściany prezbjteryum pomalowane zostały w sposób dostosowany do stylu budowy, nie tak jednak jaskrawo, jak w kościele Panny Maryi w Krakowie, tak, iż wrażenie całości już dzisiaj, pomimo świeżych barw i złoceń, jest harmonijne. Oprócz wprawienia reszty witrażów, z których każdy ma osobnego fundatora, pozostaje jeszcze na rok przyszły wyłożenie presbyteryum płytami marmurowemi, czarnemi i białemi. Nadto przebudowaniem zostało wejście do zakrystyi i łoża w presbyteryum, która obecnie jest ciosowa, w miejsce dawniejszej drewnianej. Koszt tej restauracyi, nie licząc witrażów, wyniósł blisko 50,000 zhr., z czego 20,000 zhr. poniósł ks. arcybiskup Morawski, a resztę prawie cała kapituła. Teraz toczą się narady w komisyjach rady miejskiej co do restauracyi i przyszłego przeznaczenia baszty na wałach, naprzeciw kościoła Karmelitów, którą miasto nabyło od zarządu wojskowego, a która wewnątrz zawiera ciekawe szczegóły architektoniczne. Jest myśl umieszczenia tam muzeum miejskiego, które mieści się dzisiaj

w ratuszu, a pomnaża się ciągle, dzięki skrzętności dyrektora archiwum miejskiego, historyka Dra Czołowskiego. Wreszcie traktuje się obecnie sprawa zachowania od przebudowy, niszczącej cechy starożytności, domu Stanela Szolca z XVI wieku, a raczej zachowanej dotąd tylnej części tego domu przy ulicy Grodzickich, która od ulicy ma mur z bramą i posągami Matki Boskiej, a za murem podwórze nokoło zabudowane, służące za skład towarów. Brama wjazdowa na to podwórze, której rysunek podał Łoziński w swem dziele, jest jednym z najdawniejszych zabytków renesansowych we Lwowie. Należy się spodziewać, że uda się wynaleźć dla tego budynku odpowiednie przeznaczenie publiczne, które-by stało się rękojmią, że po przeprowadzonej bez zatracenia cech historycznych restauracji, budowa ta utrzymaną zostanie uadal w tym stanie.

U.

Nieznana komedya

ALEKSANDRA Hr. FREDRY.

Spuścizna po autorze „Ślubów panińskich“ nie została wyczerpana w szeregu ogłoszonych już drukiem, tak zwanych „pośmiertnych dzieł“ Aleksandra Fredry. W instrukcyi, pozostawionej synowi, Janowi Aleksandrowi, wymienia wyraźnie najstarszy Fredro dwuaktową komedję „Z Przemysła do Przeszowy“ ¹⁾, której rękopis na dwie ręce przepisany i poprawiony przez autora, znajduje się w archiwum rodzinnem Andrzeja hr. Fredry, wnuka wielkiego komedyopisarza.

Uprzejmości Dra Henryka Biegeleisena, kierującego obecnie nową edycją dzieł Fredry, rozpoczętą we Lwowie, zawdzięczamy możliwość zapoznania z niewydanym utworem czytelników „Biblioteki“, która korzysta skwapliwie z zapewnionego sobie pierwszeństwa, uważając nieznaną sztukę Fredry za materiał i interesujący przyczynek do charakterystyki twórczości ojca komedyi polskiej.

¹⁾ Przeszową nazywa A. Fredro Przyrów (Prerau) na Morawach, stację kolei Północnej cesarza Ferdynanda.

Z Przemysła do Przeszowy.

Komedia w 2-ch aktach

Aleksanara hr. Fredry.

OSOBY:

FRANCISZEK GAMCIEWICZ.

MELANIA, jego córka.

KAROL DORSKI, jej narzeczony.

AMALIA DORSKA, rozwiedziona z nim żona.

KAZIMIERZ ALIŃSKI, jej narzeczony.

JÓZIA, jej 5-cio letnia córeczka.

MADAME SZTOK.

WILHELMINA, jej córka.

CEZAR FAJT.

ANIELA, jego żona.

KOMPOZYTOR MUZYKI.

KROPACZEK, magister chirurgii.

ALBERT

GWALBERT } Turyści.

KOMISARZ POLICYI.

ANTON, gospodarz w Przeszowie.

Odźwierny.—Służba.—Tragarz.

Rzecz dzieje się w I-ym akcie w Przemysłu, a w II-im
w Przeszowie.

Akt I.

(Salon gościnny w dworcu kolei żelaznej w Przemyśle, po trzy stoliki nakryte serwetami z każdej strony sceny, między drugim a trzecim stolikiem na prawo, biorąc zawsze od aktorów, drzwi do bufetu, na przeciwko drzwi wchodowe, w głębi duże drzwi zamknięte.)

Scena 1.

AMALIA.—ALIŃSKI.—JÓZIA.

(Przy pierwszym stoliku, na prawo, siedzi Amalia i czyta, przy niej na stołeczku Józia bawi się talką.)

Aliński. (Po podróznemu dobrze ubrany, szalem szyja obwinięta, kładzie za krzesłem Amalii torby i płaszcz). Chciej pani z łaski swojej rzucić czasem okiem na nasze rzeczy. Bo tu amatorów do cudzego nie braknie. Oto są bilety dla pani i dla Józki.

Amalia. Dziękuję. Weź je pan do swego pularesu.

Aliński. Nie, nie, wolę aby je pani miała. Mniej kłopotu, jak każdy o sobie myśleć będzie. Jestem roztargniony, mógłbym zgubić. Nie wiem, co mi jest, ale mi coś niedobrze.

Amalia. Panie Kazimierzu, rzeczy już oddane?

Aliński. Jan tam oddaje.

Amalia. Jan? Ależ ja prosiłam pana, aby pod jego okiem przełożono moje pudełka i kartony do dużego kufra?

Aliński. Ja się na damskich pakunkach zupełnie nie rozumiem. I Jan pewnie lepiej tego dopilnuje. W sieni okropne przeciągi. I tak jestem cierpiący. Sam nie wiem, co mi jest.

Józka. A moje biszkokciki?.

Aliński. Biszkokciki?..

Amalia. Prosiłam pana, abyś kupił dla Józki.

Aliński. A prawda! Zapomniałem. Nie wiem, czyby się nie napić herbaty z cytryną. (*Amalia czyta*). Całą noc nie spałem. Jakiś dreszcz miałem... ból głowy nad ranem. Co to być może?.. Czy tylko z tego febra się nie wywinie. Jak pani myślisz? Co?

Amalia. Co pan mówisz?

Aliński. Boję się, czy nie będę miał febry.

Amalia. Być może, (*czyta dalej*).

Aliński. Prawdę mówiąc, byłbym lepiej zrobił, tu czekając na panią. Państwo Wawelscy bardzo gościnni, ale w ich domu żadne okno, żadne drzwi się nie zamykają, przeciągi wszędzie nieznośne, zdaje się, że się w łóżku zaziębilem. A może i herbata była za mocna? Pani nie szkodzi mocna herbata? Nie?

Amalia. Hm?

Aliński. Pytam się, czy pani nie szkodzi mocna herbata.

Amalia. Nie.

Aliński. Ale na noc?

Amalia. Nie.

Aliński. A mnie zaszkodziła, jak się zdaje. Głupstwo zrobiłem. Prawda?

Amalia (*czytaniem zajęta*). Prawda.

Aliński. Każę sobie dać rumianku... albo mięty. Nie, wolę herbaty z czerwonym winem. (*odchodzi*).

Józia. A moje biszkekiki?

Amalia. Poślij pan z łaski swojej Jana do cukierni; mamy jeszcze dosyć czasu.

Aliński (*odchodząc do bufetu*). Dobrze, dobrze! Wolę herbatę z winem.

Scena 2.

AMALIA.—JÓZIA.—GAMCIEWICZ.—MELANIA, później
KOMPOZYTOR.

(*Gamciewicz ma dużą torbę przez ramię, kapelusik węgierski, nieco przy-
ciśnięty. Spodnie nankinowe za krótkie, krawatka niebieska; surducik ze
świecącymi guzikami i niezliczonymi kieszeniami. Torba druga w rękę
i parasol*).

Gamciewicz (*pierwsze słowa mówi za siebie, przy drzwiach. Potem, wskazując pierwszy stolik na lewo, do tragarza niosącego płaszcz, potem zawiesza torbę na poręcz krzesła od ściany, parasol kładzie na stole*). Melanciu! uważaj tam, dwa schody. Nigdy nie można być dosyć ostrożnym. No!.. Połóż to waćpan tu. No!.. a kuferok?... żeby nie zapomnieli... No!.. prędko przyjdzie pociąg lwowski?

Tragarz. Tylko co nie widać.

Gamciewicz. Gdzież kartę na kufer podziałem (*szuka po wszystkich kieszeniach*). A to col.. Zdaje mi się, że miałem w ręku. A to col.. Może wypadła przy wadze. (*idzie ku drzwiom*) Ha!.. jest. Nie można nigdy być dość ostrożnym, jadąc koleją. (*do tragarza*). Czegoż chcesz? A! na piwo... Dobrze. Gdzież podziałem sakiewkę? Maleńciu, nie wzięłaś?

Melania. Nie wzięłam.

Gamciewicz. Poszukaj przy sobie. Przecież płaciłem za bilety... A bilety? Dopiero miałem.

Melania. Bilety już mam.

Gamciewicz. Dobrze. Nol.. ale sakiewka (*szuka po kieszeniach*). Była razem z paszportem... A paszportu nie masz?

Melania. Włożyłeś w boczną kieszeń.

Gamciewicz. Nol.. prawda w boczną kieszeń... Bo ja lubię ostrożność. (*szuka po kieszeniach*). O!.. O!.. O!.. Gdzie sakiewka zalażła, podszewka rozpruta... błazen nie zaszył. (*Rozwiązuje bardzo długą sakiewkę i rozsypuje drobne pieniądze*). Otóż masz!.. Niech-że cię wszyscy dyabli! (*zbierają ze służącym*). Tego mi jeszcze brakowało... Nol.. O tu i tam. Dyabli nadali! Ot tam, jeszcze jeden szóstaczek. (*Tragarz, podnosząc pieniądze, posunął krzesło, na którym wisiała torba aż pod samą ścianę*). O!.. na masz!.. Nol.. (*do służącego*) Prędko przyjdzie pociąg lwowski?

Służący. Tylko co nie widać.

Gamciewicz. Czas jeszcze napić się kawy?

Służący. O! i bardzo. Pociąg zatrzymuje się tu dwadzieścia minut. Będą dzwonić, jak się zbliżać będzie.

Gamciewicz. Nol.. proszę o dwie porcey kawy... bez cykoryi... Bułeczki z masłem, a nie bardzo starem. Nol.. Ha paniel.. podróż to nie przelewki... A!.. Pani Dorska!.. Całuję rączki. Do nóg upadam.

Amalia. Jak się masz, panie Gamciewicz. Co tu robisz?.. Jdziesz gdzie?.. daleko?

Gamciewicz. Do Kalisbadu łaskawa pani... Cierpię często na... Nol ale tego nie wypada mówić... Nol.. Doktorowie wyprawili mnie do Kalisbadu... Mówią, że jak dobrze... Nol.. ale tego nie wypada mówić... A panią gdzie Pan Bóg prowadzi?

Amalia. Do Wiednia.

Gamciewicz. Pojedziemy więc razem czas jakiś. Nol.. Będziemy trzymać się z sobą.

Amalia. Bardzo chętnie.

Gamciewicz. Maleńciu, nie wzięłaś mojej chustki? (*licha*).

Melania. Nie wzięłam.

Gamciewicz. Dziwna rzecz. Nol.. Dopiero nos ucierałem, (*kicha*). Mam taki katar!.. Al.. jest. Nol.. Ale mego parasola nie widzę.

Melania. Kto jest ta pani?

Gamciewicz. Pani Amalia Dorska.

Melania. Amalia.

Gamciewicz. Może został w fiakrze?..

Melania. Amalia!.. Czy nie rozwiedziona żona mojego narzeczonego, o której tyle słyszałam.

Gamciewicz. A tak. Rozwiodła się z Karolem Dorskim, twoim teraz narzeczonym. Nie pamiętasz numeru fiakra?

Melania. Nie pamiętam... Ale oto parasol, leży na stole, (*stawia na stronie*). A to dziwne spotkanie!

Gamciewicz. Nie widzę w tem nic dziwnego.

Melania. Pan Karol przyjedzie ze Lwowa, zastanie tu pierwszą swoją żonę. Jak to będzie! Jak to będzie!

Gamciewicz. Jak ma być? Nol!

Melania. Rozwiedzione małżeństwo teraz razem?

Gamciewicz. Przecie się nie zjedzą.

Melania. Najwięcej jeżeli zawarczą... i to prawda. Ależ ta pani Amalia bardzo ładna, czemuż się z nią rozwiódł?

Gamciewicz. Alboż ja wiem. Rozwiódł się, a teraz może ożenić się z tobą. Nol.. A ona rozwiodła się z Karolem Dorskim, a teraz może pójść za naszego sąsiada, Kazimierza Alińskiego. Nol!

Melania. Prawda, prawda, słyszałam o tem.

Służący (*dozwyczajonego kompozytora*). Uwważaj pan, abyś się znowu nie spóźnił, jak wczoraj.

(*Kompozytor, włosy długie, bluza, czapeczka faldzista aksamitna, trzyma w ręku książkę i ołówek. Staje na środku sceny zamysłony, potem w głąb odchodzi. Ciągłe spotyka się z przechodzącymi, z którymi minąć się nie może.*)

Gamciewicz. A bilety nasze?

Melania. Ale mam, mam.

Gamciewicz. Dobrze, pij kawę i zapłać, na mnie nie czekaj. Ja pójdę pierwej... Nol.. trzeba być przezornym (*idzie i wraca*). Deszczyk kropi, wezmę parasol. Ale gdzież podziałem. Dopiero miałem w rękul..

Melania. Oto jest.

Gamciewicz. Podróż panie koleją to nie przelewki! Śpiesz się, zawsze śpiesz, a nikt się nie spyta można, czy nie można (*spotyka się z kompozytorem, którego minąć nie może*). A to co! Tfyl.. Nie mam zamiaru tańcować. Nol!

Scena 3.

AMALIA.—MELANIA.—JÓZIA.

Melania (*na stronie*). To więc żona mego przysłego męża. A gdybym się jej spytała, dlaczego rozwiedli się z sobą? Karol mi powiadał, ale i jej warto posłuchać. Tak łagodny, tak poczciwy ma wyraz twarzy. Gdybym się jej spytała?.. Mam wielką ochotę. Jeżeli Karol zmienił się dla niej, czyliż i mnie z czasem też samo nie czeka?.. spytam się, cóż zaszkozić może. Wyłaje mnie. No, wielka rzecz.. korona mi nie spadnie (*zbliżając się do czytającej Amalii*). Przebacz mi łaskawa pani, że dowiedziawszy się od mego ojca, którego powitałaś, iż jesteś panią Amalią Dorską, ośmielam się prosić o jej znajomość.

Amalia. A! córka pana Gamciewicza, panna Melania zapewne.

Melania. Tak jest.

Amalia. Nie miałam sposobności poznać osobiście, ale wiele dobrego o niej słyszałam.

Melania. A pewnie ja o pani jeszcze więcej. Nie weź-że mi pani za złe, jeżeli, przy pierwszym zaznajomieniu, śmiem ją o wielką łaskę prosić. Ale podróżując koleją wszystko pędzi.

Amalia. Zatem i prośba.

Melania. Tak jest. Ale aczkolwiek pewnie zadziwi, spodziewam się, że wysłuchawszy cierpliwie, gniewać się nie będziesz.

Amalia. O cóż idzie?

Melania. Mam iść za męża.

Amalia. Mam wieszować.

Melania. Zapewne. Mój ojciec sobie tego życzy.

Amalia. Twój ojciec?

Melania. No! Juści i ja.

Amalia. Ale rozsądnie.

Melania (*śmiejąc się*). Rozsądnie.

Amalia. I któż jest narzeczonym?

Melania. Pani wykrzyknie.

Amalia. Znam go?

Melania. Bardzo dobrze.

Amalia. I mam wykrzyknąć? Z radości, czy z żalu?

Melania. Z zadziwienia może.

Amalia. Zadziwienie już jest, brak jeszcze wykrzyknika.

Melania. A więc... śmiało. Moim narzeczonym jest... pan Karol Dorski.

Amalia. Karol?.. (*wpatruje się w nią czas jakiś z uwagą, potem mówi spokojnie*) Winszuję.

Melania. Teraz przystępuję do treści mojej prośby. Racz mi pani powiedzieć łaskawie i szczerze, czy... masz mi czego winszować?

Amalia. Jest więc i wykrzyknik, od którego wstrzymać się trudno. Takie zapytanie... po danem już słowie, w tak ważnym, w tak stanowczem przedsięwzięciu, zrobione komu bądź, było-by już samo przez się zadziwiającem, a cóż dopiero mnie.

Melania. Dla czego?

Amalia. Czy pani nie wiesz, że ja jestem rozwiedziona z panem Karolem Dorskim?

Melania. Właśnie dla tego, że wiem, jej tylko, jej jednej mogę zrobić podobne zapytanie.

Amalia. Mnie tylko?

Melania. Bo jeżeli pani zechcesz, pani jedna tylko jesteś w stanie odpowiedzieć mi na nie.

Amalia. Tak, jeżeli zechcę.

Melania. Więc nie chcesz?

Amalia. Ależ zastanów się, moja panno Melanio, że moje zdanie bezstronnem być nie może. Ja rozwiodłam się z Karolem, ja byłam nieszczęśliwa... ja przeto przyjazną mu być nie mogę.

Melania. Otóż właśnie dla tego, że byłaś nieszczęśliwa, chciała-bym wiedzieć, dla czego byłaś nieszczęśliwa.

Amalia. O! moja panno Melanio, ciekawości za wiele i ani bardzo grzecznej, ani też czemkolwiek uprawnionej.

Melania. Niegrzeczną może, ale uprawnioną jest troska o moją przyszłość.

Amalia. Pozwól, że na tem skończymy rozmowę.

Melania. Chciała-bym słyszeć zdanie o Karolu, tak jak od Karola słyszałam o pani.

Amalia (*ironicznie*). Piękneż to pewnie było zdanie.

Melania. Mylisz się pani, jeżeli myślisz, że w czemkolwiek było ubliżającym.

Amalia. Nie ciekawam wiedzieć.

Melania. Wielce poważa.

Amalia. A ja nie.

Melania. Przebaczył pani.

Amalia. Przebaczyli.. Co miał przebaczyć. Co?

Melania. Że żądałaś rozwodu.

Amalia. Opowiedział więc całą historję naszego pożycia?

Melania. I nieraz, chętnie o tem rozmawiał; kochałem, mówił, Amalię całą siłą mojej duszy i tak pewnie już nigdy kochać nie będę.

Amalia. I pani przyjęłaś taką deklarację?

Melania. Przyjęłam, bo o przeszłość nie mogę być zazdrosną, bo nim prosił o słowo, chciał abym wiedziała na co liczyć mogę, a na co nie mogę. Jego zeznania oświeciły mnie, stając się poniekąd przestrożą, co jego dawniejsze związki naruszyć mogło.

Amalia. Cóż innego, jak jego lekkomyślność.

Meiania. Zapewne. Ale w lekkomyślność, jak on powiada, był pchnięty okolicznościami.

Amalia. Dobrze, żeś pani dodała, jak on powiada. I te okoliczności wyjawić raczył?

Melania. Wszystko tak opowiadał: Drugiego roku po naszym pobraniu się spędziliśmy karnawał w mieście, Amalia rzuciła się w odmęt zabaw namiętnie. Nie umiała czy nie chciała wybrać sobie dobrego towarzystwa. Za wejściem na bal o wszystkim zapominała, nie zważając na zwodnicze częstokroć pozory, przyjmowała bez względu hołdy otaczającej ją młodzieży. Nieraz, usłyszawszy, musiałem się wstydić, i tych co mówili, i tych co podobne przyjmowali kadzidla. Wtenczas przyszło mi na myśl obudzić zazdrość, na którą sam skrycie cierpiałem. Zacząłem udawać się niby...

Amalia (*ironicznie*). Niby!..

Melania. Do Otyldy, osoby bardzo pięknej, ale i bardzo zepsutego charakteru; Amalia zdaje się, że odgadła moją myśl i szyderczem lekceważeniem coraz więcej mię rozdrażniała, a ja coraz więcej chciałem przekonać, że nie gram komedyi.

Amalia. I komedia stała się prawdą.

Melania. Tak było podobno; koniec końcem, mówił dalej, zniknął spokój domowy, zatałgom, przycinkom, nie było miary, ale wszystko jeszcze mogło się zmienić, gdyby nie przyjaciółki, a nadewszystko matka żony. Razu jednego użyła do mnie wyrazów, których człowiek honoru znieść nie może... odpowiedziałem stosownie, odwołałem się do Amalii, ale ona stanęła przeciw mnie. Wtenczas skończyło się wszystko i... zezwoliłem na rozwód.

Amalia (*ironicznie, a potem ze wzrastającym zapalem*). Dobrze, dobrze pan Karol broni swojej sprawy... Nie zrozumiał, albo nie chciał zrozumieć mego serca. Nie szukałam zabaw namiętnie, ale chciałam go zmusić, aby w świecie był tem, czem był w domowym pożyciu, aby przynajmniej od czasu do czasu dał jakiś znak zajęcia się mną. Nigdy! nigdy! W domu kochający, w świecie lód, zawsze lód, jakby się wstydział uczuć swoich. Nie chciał obudzić zazdrości, miłości mojej, bo wiedział, że go kochała; ale ciągle ranił moje serce otwartem zajęciem się niegodną osobą, zajęciem się, którego wyzebrać nie mogłam. Matka moja ujęła się za krzywdy kochanego dziecięcia. Do śmierci mu

nie przebaczyła. Może była za porywczą, ale ja jej jawnie potępiać nie mogłam. Ale na co dużo słów: pan Karol pokochał szalenie Otyldę i jeżeli czemu się dziwię, to temu, że jest twoim, a nie Otyldy narzeczonym.

Melania. Zaraz po rozłączeniu się z żoną, zerwał z nią zupełnie, za późno może przekonał się, jaką zdradziecką pajęczyną umiała go otoczyć, rozgłaszając zawsze więcej, niż było w istocie (*p. k. m.*). Cóż mi pani odpowiesz?

Amalia. Odpowiem, że była nieszczęśliwa. Jestem przekonana, że Karol kochał Otyldę szalenie, ale wierzę, że jej długo kochać nie mógł. Nie jestem także tak dalece zarozumiałą, abym myślała, że nikt go inny, ani on nikogo uszczęśliwić nie może. Życzę ci zatem szczęścia, życzę serdecznie... nareszcie, moja Melanio, wierz mi, lepiej iść za męża bez wygórowanych uczuć... utrata illuzji nigdy boleć nie będzie, a do dobrego pożycia rozsądek wystarczy.

Melania (*p. k. m. powtarzając*). Rozsądek wystarczy. Pani idziesz za pana Kazimierza Alińskiego, naszego sąsiada, wszak prawda?

Amalia. Tak jest.

Melania. Jakież będzie spotkanie?

Amalia. Czyje?

Melania. Kazimierza z Karolem.

Amalia. Alboż tu jest?

Melania. Niema go jeszcze, ale w ten moment przyjedzie.

Amalia. Nie chcę go widzieć.

Melania. Razem pojedziemy.

Amalia. Razem! Przenigdy! (*do wchodzącego Alińskiego*). Panie Kazimierzu, ja dziś nie jadę.

Aliński. A to dla czego?

Amalia. Jutro pojedę.

Aliński. Ale dla czego?

Amalia. Głowa mnie boli.

Aliński. Napij się pani herbaty z czerwonym winem.

Amalia. Nie chcę, nie chcę, nie chcę.

Aliński. Mnie pomogło.

Amalia. Każ pan z łaski swojej rzeczy odebrać.

Aliński. Ależ dla czego?

Amalia. Śpiesz się pan.

Aliński. Ależ, proszę pani, ja mam zasięgnąć rady doktora Ditla. Dzień mi wyznaczył.

Amalia. To jedź pan sam, ja nie pojedę, (*Aliński, wzruszywszy ramionami i powiedziawszy kilka słów do Melanii, odchodzi we drzwi na lewo*). Nie jadę razem, a że go zobaczę... nie miło... ale cóż robić. Chodź, mojedziecie, może tu dostaniemy co dobrego (*odchodzi z Józią do bufetu*).

(*Słychać dzwonięcie za sceną*).

Kompozytor (*zrywając się*). Dzwonek! dzwonek! Co za myśl nowa. Dirlinlin! Dirlinlin! Dirlinlin! (*otwiera swoją książkę i z ołówkiem w ręku siada przy trzecim stoliku na prawo*).

Odźwierny. Pociąg lwowski!

Konduktor (*za sceną*). Przemysł! Dwadzieścia minut przystanku! (*odźwierny otwiera duże drzwi, przez które widać jeden wagon*).

Scena 4.

MADAME SZTOK.—WILHELMINA.—KROPACZEK—CEZAR
FAJT.—ANIELA.—KOMPOZYTOR.—KOMISARZ POLICYI.

M-e Sztok. Proszę otworzyć! Proszę otworzyć! Gdzie pan komisarz policyi? (*Wysiadają z wagonów, pierwsze słowa z komisarzem przy wagonie, potem na jego skinienie cała scena ma miejsce w głębi salonu*).

Komisarz. Co pani rozkaże?

M-e Sztok. Jestem madame Sztok, utrzymuję pensjonat młodych panienek w Suczawie. Jadę za granicę na kurację. Jestem chora. „Je souffre du coeur et de [la foie“. Ten jegomość (*pokazując na Kropaczkę*) wyrządził mi zniewagę. „Impertinence incompréhensible!“ a raczej mojej córce Wilhelminie.

Kropaczek (*W czarnym fraku i takichże spodniach, na szyi żółty szalik ogromną szpilką spięty, kapelusz wysoki, cylindrowy, okulary na nosie*). Prosim ponizenie.

M-e Sztok. Milcz pan! „Taisez vous impudique voyageur!“.

Komisarz. Cóż przewinił.

M-e Sztok. Niech pan powie. Je souffrel.

Kropaczek. Prosim ponizene, ale ja nie jestem żaden firecyk, ani żadne lekkomysłost ne praktykujem. Jestem Nepomucen Kropaczek,

magister chirurgii a akuszer. Jadu z Czernowic in einem furt, a jestem wielce ustrapacerowany. Sedelem we wagone na prost gnädige pannunci. Wszystkie spali... a ja spal jak zabity... aż nagle przed czwart hodiną, zufaliger weise, uraziłem kolaniem do kolinka miłościwe pannunie. Ona se ulekła... wykrzykła .. a jej pan mama se wbuździła, a poczela szypfować, fürchterlich! fürchterlich! Tak aż mne wlasny na gławie wstawaly. I ja se strasznie bał, a tak był z toho wielki szkandal. To je wszystko. Ja isem niewinny jak nowonarodzone dzieciątko, które kiedy ex officio na świat pomógł. Dokończył isem.

M-e Sztok. „Vous mentez, monsieur accoucheur“.

Kropaczek. „Je ne ments pas, madame Sztok“.

M-e Sztok. „C'est incompréhensible“. Wilhelmino, dlaczegoś krzyczała?

Wilhelmina. Ma chère maman. Coś mnie załaskotało, sama nie wiem co, może mysz.

Kompozytor (*nucąc kilka taktów*). Dirlinlin! Dirlinlin! Dirlinlin!

M-e Sztok. „Vous êtes sotté, ma fille. C'est incompréhensible“.

Komisarz. Nie do mnie należy zgłębiać tę sprawę. Radzić tylko mogą aby pan magister chirurgii Kropaczek w innym wagonie zajął miejsce, ażeby nadal zadość uczynić troskliwej macierzyńskiej pieczołowitości.

(*Komisarz odchodzi*)

M e Sztok (*na stronie*). „Agglomération incompréhensible“.

(*Siada przy drugim stoliku na lewo, plecami do ściany, a Wilhelmina obrócona do wylzów. Kropaczek siada przy trzecim stoliku na lewo, a potem pije piwo, spogląda ukradkiem na Wilhelminę, a M-e Sztok groźnym okiem go fascynuje. Cezar Fajt i Aniela zasiadają przy trzecim stoliku na prawo*).

M-e Sztok (*do służącego*). Proszę o trzy porcey szynki, sera. i masła. I słuchaj... akuszer mnie zirytował, daj mi kieliszeczek śliwownicy.

Kompozytor (*nucąc*). Dirlinlin! Dirlinlin! Dirlinlin.

M-e Sztok. Czego pan chcesz? czego pan stoisz? „Que voulez vous?“

(Kompozytor staje zamysłony przed Kropaczkim, który niespokojnie na niego spogląda. A gdy wyszedł).

Kropaczek. „Mente captus! Szpektakell!“

Wilhelmina. Chère maman, dla czego ten pan ma takie długie włosy?

M-e Sztok. Co tobie do długich włosów. Jeżeli akuszer siądzie do naszego wagonu, to mu w oczy plunę.

Wilhelmina. Ach maman! Tego on nie zrobi i siądzie gdzieś sobie w wagonie „sur derrière“.

M-e Sztok (poprawiając). „Par derrière“. Neglizujesz francuzkę „ma fille“.

Cezar. Napijemy się herbaty, dobrze aniolku?

Aniela. Jak chcesz, Cezarku.

Cezar. Będziesz co jadła, grzaneczki, rogaliki?

Aniela. Jak chcesz, Cezarku.

Cezar (głaszcząc podbródek). Ale ja ci się pytam, drogi aniolku.

Aniela. Mnie wszystko jedno.

Cezar. Ale powiedz, co lubisz, pieszcotko?

Aniela. Ja lubię, Cezarku, co ty lubisz kochanku.

Cezar (do służącego). Dasz dwie porce herbaty i kilka rogalików z makiem.

Aniela. A fe!

Służący. Są świeże obwarzanki.

Aniela. Może z solą! szkaradzieństwo!

Służący. Są biszkokty z cukierni.

Aniela. Kiedy chcesz, Cezarku, to niech będą biszkokty.

Cezar (całując ją). Masz apetycik? co?

Aniela. Jak ci się podoba! (cicha rozmowa i pieszcoty).

Wilhelmina. Chère maman, jak oni się całują.

M-e Sztok „Ne regardez pas! usiądź tam vis à vis. (Wilhelmina siada naprzeciwko matki). Pewnie ojciec pocałował córkę.

Wilhelmina. Gdzie tam ojciec.

M-e Sztok. „Taisez-vous ma fille, (na stronie). Perspicacité incomprehensible.“

Scena 5.

AMALIA.—JÓZIA (z bufetu)—KAROL (z drzwi środkowych)
M-e SZTOK.—WILHELMINA.—CEZAR.—ANIELA.

Józia (*biegnąc do Karola*). Tato! Tato!

Karol. Ty tu Józiu... moje dziecko! (*bierze ją na ręce*). Moje najdroższe dziecię! O jakżeś urosła! jak wyładniała. I poznałaś ojca.. pierwej niż on ciebie. Ale cóż ty tu robisz?

Józia. Jadę z mamą.

Karol (*kłania się p. k. m.*). Gdzie pani jedziesz?

Amalia. Do Wiednia.

Karol (*pieszcząc Józję*). Kochasz mnie zawsze?

Józia. Zawsze pytam, kiedy tatuńcio przyjedzie, ale mama powiada, że nie teraz, bo jest bardzo daleko.

Karol. I mówiła ci czasem, jak cię ojciec niewymownie kocha?

Józia. Ja to wiem i bez mamy.

Amalia. Często jej wspominałam...

Józia. I w pacierzu codziennym mówiłam: daj Boże tatuńcowi zdrowie i niech prędko do nas wraca, bo mnie bardzo tęskno za tatuńciem.

Karol. A mnież! A mnież! O dziecię drogie, ja żyłem jak bez światła, (*jakby do siebie*). Dobra, które nam opatrność zsyła, nie czuje się, aż kiedy się je traci. Uśmiech, uściśnięcia dziecka przyjmuje się jak coś naturalnego, jak coś należącego się nam niezmiennie. Ale kiedy mijają dni, tygodnie, a nie słyszysz drogiego szczebiotania, kiedy rano przy obudzeniu ciepłe rączki nie ujmą za szyję, kiedy świeże usteczka nie dotkną twarzy, wtenczas, wtenczas dopiero czuje się całą wartość tego, co niegdyś było. Moje dziecię, moja najdroższa gwiazdeczko! Jak ja tęskniłem za tobą!

Józia. Już nie odjedziesz?

Karol. Czy też pani, pomyślawszy kiedy o mnie, powiedziałaś: Bóg mu zapłać za pieczyoty dziecięce, których zawsze używam, a których ojciec wyrzec się musiał.

Amalia. Dziękuję zawsze Bogu, że mi dał dziecię, które...

Karol (*kończąc sens*). Ojciec ma prawo odebrać.

Amalia. Dla Boga!

Karol. Mam prawo odebrać, ale nie odbiorę póty, póki matka matką być nie przestanie, a ojczym stanie się ojcem (*p. k. m.*). Nie dziwię

się teraz, że słynnego domatora, Kazimierza Alińskiego, postrzegłem z podrózną torbeczką na ramieniu. Jedziem więc razem?

Amalia. Tak jest, w jedną stronę.

Karol. Dokąd, jeżeli spytać się wolno?

Amalia. Do Wiednia, do mojej ciotki.

Karol. A potem?

Amalia. Wrócę do domu.

Karol. Sama?

Amalia. Nie wiem.

Karol (ciszej). A ślub kiedy?

Amalia. Nie wiem.

Karol. Dobrze pani robisz, jakoś pusto w domu, a nawet i w świecie, bez ściślejszego współczucia... (p. k. m.). Ja... także...

Amalia. Wiem, życzę stałego szczęścia.

Karol. Wzajemnie... i szczerze. Kazimierz dobry człowiek, będzie kochał moją Józję.

Józia. Ja wolę tatuńcia.

Karol (sadzając na kolanach). Ale że ona poznała mnie zaraz, a jednak rok już pono minął, jak mnie widziała. Moja Józiu!

Józia (poprawiając). Józieczko.

Karol. Tak, tak... Józieczko. Nacieszyć się tobą nie mogę. Ale to się tak kocha ten drobiazg, aż serce boli. (do Amalii). Nie będzie mi wzbraniać odwiedzić ją od czasu do czasu?

Amalia. Pewnie, że nie.

Karol. Wspomnij jej ojca tylko dobrze, a raczej nie wspominaj źle. Ja czuwać nad nią będę całą nieograniczoną miłością. Gdybym kiedy miał powód nieukontentowania, nie będę się żalił, ale postąpię bez litości... dla kogo bądź.

Józia. Pojedziemy razem?

Karol. Może pani nie będzie nader przykro, jeżeli pojedziemy razem, tylko do Przeszowy... ja do Pragi jadę.

Amalia. Dla Józji będzie to wielkiem szczęściem, odmówić nie mogę.

Józia (rzucając się w objęcia matki). Dziękuję ci, kochana mameczko (rzucając się w objęcia ojca), pojedę na twoich kolanach.

Scena 6.

Cią sami.—MELANIA.—ALIŃSKI.

Melania (*do Karola*). Doczekałam się przecież przywitania.**Karol**. Zobaczyłem córkę, której tak dawno nie widziałem.**Aliński** (*podając rękę, do Karola*). Witam, gdzie jedziesz?**Karol**. Do Pragi.**Aliński**. Więc do Przeszowy możemy jechać w jednym wagonie.

Ale prawda, pani Amalia dziś nie pojedzie.

Amalia. Pojadę, pojadę.**Aliński**. Ależ rzeczy odebrałem.**Karol**. Można oddać znowu.**Amalia**. Józia chce jechać z ojcem.**Aliński**. Ależ nie wiem, jak to zrobić...**Karol**. Ja to zrobię, pojedziemy razem, (*odchodzi*).**Józia**. Biskokcik...**Aliński**. Ach, znowu zapomniałem.**Józia**. Ale mama nie zapomniała. I tatuńcio nie byłby zapomniał.**Amalia**. Józiu, zapomniałaś twojej lalki, chodźmy poszukać, (*odchodzą do bufetu*).**Scena 7.**

MELANIA.—ALIŃSKI.—M-e SZTOK.—WILHELMINA.

KROPACZEK.—CEZAR.—ANIELA później GAMCIEWICZ.

Melania. A to będzie prawdziwie coś dotąd nie widzianego! pojedą w jednym wagonie, mąż z żoną, a ten mąż ma narzeczoną, a ta żona ma narzeczonego. I to wszystko razem.**Aliński**. Dlaczegoż nie mamy jechać razem. Ja bardzo lubię Karola Dorskiego, mój szkolny kolega; Amalia zaś pewnie pokocha pannę Melanię, jak się lepiej pozna.**Melania**. Ależ oni się niegdyś bardzo, bardzo kochali.**Aliński**. Co było a nie jest, nie pisz w registr. Tylko bigos hultajski dobry odgrzewany.**Gamciewicz**. A co? Nie spóźniłem się, zawsze śpieszyć się i śpieszyć, a to przykro i nie zdrowo. Karol przyjechał? No, dobrze (*siada*). A teraz do kawy. No! masz moją torbę?**Melania**. Nie mam, znajdzie się.

Gamciewicz. Torba zielona z różową obwódką, na mosiężną klódeczkę zamknięta. No!.. Ale jej nie widzę... a to pięknie! (*zbliża się do M-e Sztok*) Proszę z łaski swojej usunąć się trochę. No!.. zatraciła się torba niebieska z różową obwódką na mosiężną klódeczkę zamknięta.

M-e Sztok. Jaka torba? co za torba? która torba? pan sam jesteś torba.

Gamciewicz. Padam do nóg. No!

M-e Sztok. „Indiscrétion exceptionnelle!“

Wilhelmina. Chère maman. Jaki ten pan ma duży brzuch.

M-e Sztok. Co tobie do brzucha? „Mon Dieu! que Vous etes bête ma fille.“

Gamciewicz. Proszę usunąć się z łaski swojej, szukam mojej torby, zielona z różową obwódką, na mosiężną klódeczkę zamknięta.

Cezar. Czy pan tu położyłeś?

Gamciewicz. Nie... ale... oto jest.

Cezar. Przepraszam, to moja.

Gamciewicz. Prawda. Moja torba zielona z różową obwódką na mosiężną klódeczkę zamknięta. Przepraszam. No!

Cezar. Niema za co?

Gamciewicz (*do Melanii*). A co? jest.

Melania. Niema.

Gamciewicz. A to pięknie! ja tam mam różne potrzebne rzeczy, pantofle, szlafmycę, brzytwy... Panie sąsiedzie, idź z łaski swojej, spytaj się tam tragarza, fiakra. Torba zielona...

Aliński (*kończąc*). Na mosiężną klódeczkę zamknięta. Ale gdzież jej szukać?

Gamciewicz. W Przemyślu. No! przecież jest policya... starosta... są dwa biskupstwa! No?

Aliński (*odchodząc*). Takie tam niegodziwe powietrze.

Gamciewicz. Of, ledwie żyję... (*Rzuca się na krzeselko, na którym torba zawieszona, krzeselko się załamuje pod nim*). Ho!.. ho! No!..

Melania. Ha!.. Otóż i torba.

Gamciewicz. Jest? Gdzież była sobaka?

Melania. Wisiata na poręczu krzesła, które złamałeś.

Gamciewicz. Małom kozła nie wyrócił, ale na dobre wyszło. No!.. a bilety masz?

Melania. Ale mam, mam.

Gamciewicz. Teraz napiję się kawy z wielkim apetytem. Zapłaciłaś?

Melania. Zapłaciłam.

Gamciewicz. Piłaś?

Melania. Piłam.

Gamciewicz. Melanciu, ta pani tam, bardzo niegrzeczna, powiedziała mi... Nol.. nie wypada powtarzać. Trzeba jej przebaczyć. No bo to dama. Niech tam sobie idzie na złamanie karku. No!

(*Dzwonienie*).

Odźwierny (*we drzwiach*). Do Krakowa!

Gamciewicz. Ale moja kawa. Nie mogą tam zaczekać. No!

Odźwierny. Ani pół minuty.

Melania. Spiesz się, papo!

Gamciewicz. Znowu spiesz się.

(*Goście ze wszystkich stron*).

Aliński. Niema torby?

Melania. Jest, jest.

Karol. Józeczko, na moje ręce, hop!

Gamciewicz (*z okna wagonu*). Panie konduktorze, zostawiłem parasol... tam, dla panów...

(*Zasłona spada*).

Akt II.

(*Sala jadalna gospody przy kolei żelaznej w Przeszowie. Drzwi duże otwarte na oścież, przez które widać w głębi oświetlony ogród, nade drzwiami transparent z napisem „Przeszowa“ (Prerau). Na prawo i lewo stoliki serwetami nakryte, na nich lampy, na prawo drzwi numerowane od gościnnych pokojów; suponuje się, że kolej przechodzi za sceną po lewej stronie w niejakim oddaleniu.*)

Scena 1.

(*Słychać hałas za sceną, dziewczęta służące wybiegają i stają we drzwiach*).

ANTON.—poźniej ALIŃSKI i KOMPOZYTOR.

Konduktor (*za sceną*). Przeszowa 35 minut przystanku!

Anton (*wchodząc*). Nic im się nie stało, nie warto gadać, małe sztukięcie przy zatrzymaniu pociągu. Nani! zanieś światło pod № I-szy może kto z podróżnych zechce zanocować.

Aliński (*wbiegając*). Proszę szlankę zimnej wody. Czy tylko nosa nie zламаłem. Otóż to są skutki podróŜowania (*okłada sobie nos wodą*). AleŜ ten Gamciewicz ma łeb twardy, jak baran. Czy tylko nosa mi nie zламаł; pani Amalia miła osoba, ale zanadto ruchliwa, o zanadto! I paltot zostawiłem.

Kompozytor (*obejrzawszy się, Ŝe jest sam, otwiera ksiąŝkę i z niej śpiewa*). Dirlinlin, dirlinlin, dirlinlin, la, lu... la, lu... la, lu etc. Dirlinlin! Bum!...

(*Za sceną zwyczajna muzyka w gospodach zaczyna grać krakowiaka, kompozytor w najwiêkszej złości wybiega, muzyka nagle przestaje, kompozytor spotyka się z wchodzącymi.*)

Gwalbert. A to co? Ślepy czy szalony!

Scena 2.

ALBERT.—GWALBERT.—ANTON.

Albert. Panie gospodarzu, masz pan maderę?

Anton. Miałem doskonałą, prawdziwą holenderską, ale wczoraj panowie „Verwaltungsraty“ wysuszyli do ostatniej kropelki.

Albert. A szampańskie jest?

Anton. Jutro odbiorę świeŜy transport, całą pakę prosto z ParyŜa, ale mam doskonałego Vöslauera.

Albert. Niech będzie Vöslauer.

Anton. Zaraz słuŜyć będę, doskonały!

(*PodróŜni zasiadają przy pierwszym stoliku na lewo*).

Albert. Jechaliśmy z sobą, nie wiedząc, z Krakowa?

Gwalbert. Wracasz prosto z ParyŜa.

Albert. Z ParyŜa, ale nie prosto, bo na Amsterdam, Berlin, Warszawę.

Gwalbert. Cóż tam w ParyŜu?

Albert. W ParyŜu, rozumu duŜo, serca mało, a duszą pieniądź. Ale świat cudów, wystawili dla ogólnej ekspozycyi całe miasto... tak duŜe... tak duŜe, Ŝeby nie skłamał... jak pół Przemysła.

Gwalbert. Proszę!..

Albert. Pałace, wieŜe, kościoły, sale niezmierzone. Jedna na przykład, gdzie jest kilkakroć sto tysięcy obrazów, będzie tak długa...

żebym nie skłamał, jak we Lwowie od ratusza do Grodeckiej rogatki. Wiesz?

Gwalbert. Wiem, tęgi kawał.

Albert. A wysoka... wysoka... żebym nie skłamał!

Gwalbert. Jak Święty Jur.

Albert Jak gdybyś widział! A co za ścisk, o mój Boże! Czasem dziesięć kroków trzeba iść kwadrans. Ale Francuzi, bestye, na wszystko mają sposób, skaczą sobie po głowach, z głowy na głowę, jak wiewiórki, hop! hop!.. Jedna pani poślizgnęła się na moim kapeluszu, upadła i przykryła mnie krynoliną, jak dzwonem, aż po same pięty.

Gwalbert (*śmiejąc się*). Ha! ha! ha! Jakże ci tam było?

Albert. Dyabło duszno. Dwóch żandarmów i dwóch pompierów z wielką biedą wydobyło mnie z tego przykrego położenia. A co za hałas! i nie dziwić się, gdzie zgromadzonych parę milionów ludzi; jeden drugiego nie słyszy... i chociaż każdy ma trąbkę w uchu, musi ją jednak aż do ust drugiemu przytykać, aby słowo usłyszeć.

Gwalbert. A teatru, co?

Albert. O tem dużo by mówić. Aktorowie lepsi niż autorowie, a publiczność bezwstydna, mord nie mord, wszystko u nich komedia. Ale za to cyrk! W to mi graj, pięćdziesiąt, żebym nie skłamał, par koni arabskich tańcuje jak w balecie, tnie polki, galopy, radawaczki, że aż człowiekowi nogi drgają.

Gwalbert. Czego te Francuzi dalej nie wymyślą!

Albert. Pewnie, pewnie, kiedy oni już teraz uczą się gadać. Widziałem pudła, który deklamował wiersze Rasyna, jak nieboszczyk Talma.

Gwalbert. O! o! zmiłuj się.

Albert. Nie wierzysz? Pokażę ci w dziennikach.

Gwalbert. W dziennikach? To już wolę tobie wierzyć.

Albert. Cuda! cuda! Paryż w nocy gazem tak jaskrawo oświetlony, że na ulicę trudno wyjść bez umbrelki, a płomyki tak grzeją, że wkrótce zmienią klimat niezawodnie. Cuda! cuda! powiadam.

Gwalbert. A wiesz, że mam ochotę tam pojechać, chociaż już byłem ze sto razy.

Albert. Zatrzymaj się parę miesięcy, a będziesz mógł jechać po czątą balonową.

Gwalbert. A ba!

Albert. Teraz w Paryżu wszystkie wycieczki w okolice robią balonami. To moda: Ale raz takiej zabawki małym życiem nie przypłacił. Siadam do łódki... bo, jak wiesz, pod balonem jest łódka.

Gwalbert. Wiem, wiem, ale nie wsiadł-bym w nią za nie w świecie.

Albert. Otóż ja siadłem i kilka dam, i Garibaldi z Montalambertem. Wzniesiliśmy się chyżo... po chmurach pędzimy jak po pierzynach! pysznie!.. Chcemy nareszcie spuścić się na śniadanie i już byliśmy nie więcej jak parę sążni od ziemi, kiedy nieszczęściem pociąg z Paryża do Dieppe, szalonym pędem podsuwa się pod nas i bierze balon jak na barana.

Gwalbert. Ho! ho!

Albert. Jak na barana. Pary połączonej z gazem wstrzymać [nie było podobieństwem; pędzimy, pędzimy, żeby nie skłamać, pół mili na minutę, a tu morze przed nami. Żle!.. Ale, nie tracąc głowy, chwytam rewolwer i palę w balon sześć razy. Gaz wypuszczony huknął, żebyśmy nie skłamał, jak dziesięć armat, w całym pociągu kilkaset osób, wszyscy pogłuchli... a co szczególniejszego, damy oniemiały.

Gwalbert. Na długo?

Albert. Na pół godziny.

Gwalbert. Dobre i to.

Albert. Wtenczas parę już łatwiej było wstrzymać, a jednak pierwszy wagon zamaczał w morzu koła aż po osie.

Gwalbert. Dziwne zdarzenie! ale się nie dziwię, bo wiem, jaka to siła pary: przeszłego roku przyszło mi na myśl sprowadzić sobie amerykański pług parowy, kazałem rozgrzać na czerwono i na dziesięciu ańcuchach wyprowadzić w pole. Doskonale, pysznie, w przeciągu sześciu godzin, s... wo daję, zorał sto morgów.

Albert. Sto morgów!

Gwalbert. Zhakował, słowo daję, wszyscy się dziwili.

Albert. I mieli czego.

Gwalbert. Wracam do domu, kontent z próby, każę pług zatoczyć do wozowni, zamknąć na klucz i drągiem zasunąć; położyłem się zmęczony, śpię spokojnie, w tem koło północy słyszę hałas, pytam się co to jest? I czy uwierzysz?.. Mój pług, hultaj, wyłamał wrota i hejże w pole!.. Nim dopadłem konia, uporał dwie mile. Szczęściem zatrzymał go załamany most angielski na Czerniowieckiej kolei. Poorał drogi, łąki, miedze, kopce graniczne; miałem potem z sąsiadami dwa dziesięcia cztery procesy, słowo daję.

Albert (na stronie). Of! jakie tu gorąco, wyjdźmy na świeże powietrze.

Gwalbert. To lampy kanfinowe, (zatrzymując się) ale i o kanfinie powiem ci coś dziwnego.

Albert (ku drzwiom). I gdzież ten pług?

Gwalbert. Bankier Kirchlmajer kupił, ale sąsiedzi skarżą się, że im mnóstwo kopców rozorał.

(*Wychodzą*).

Scena 3.

AMALIA.—KAROL (niosąc Józję na rękę).

Karol. Ręczę, że się jej nic nie stało, hałas przestraszył ją trochę.

Amalia (*do Józji*). Nic cię nie boli?

Józia. Nic mnie nie boli.

Amalia. Dlaczegoż płakałaś?

Józia. Ja nie wiem.

Amalia. Główkę ma chłodną.

Karol. Trzymałem ją przecie w objęciu, nie się stać nie mogło. Ale jest śpiąca, trzeba ją do łóżka położyć, choćby tylko na chwilkę.

Amalia. Jeżeli nie przebudzi się na czas, to się tu zatrzymam.

Karol. I ja także.

Amalia. Niema potrzeby.

Karol. Czekać będę aż się przebudzi.

Amalia. Jakoś to nie uchroni.

Józia. Mnie się spać chce.

Karol (*do Nani*). Proszę o osobny pokój; (*do Józji*) pójdziesz, pójdziesz spać, jak się wyśpisz, pojedziemy dalej.

Nani. Służę pod № I-szy (*wprowadza ich i wkrótce wraca*).

Scena 4.

MELANIA później GAMCIEWICZ.

Melania. Nie, tak dalej być nie może, muszę rozmówić się z nią. Niech się co chce stanie, byle nie być zwiedzioną. Aliński nic nie widzi i nie słyszy, ale ja wszystko widzę i wszystko słyszę. Ja nie chcę, nie chcę być zwiedzioną, zdradzoną.

Gamciewicz. Jak ci tam łga! Nol.. aż lampy przygasły! sto morgów. Bal.. proszę kawy.

Melania. Ja dziękuję.

Gamciewicz. To i ja pić nie będę, bo ta kawa zawsze trochę... Nol wolę napić się porteru. (*do Nani*) Macie porter.

Nani. Do usług.

Gamciewicz (*ironicznie*). A prawdziwy wiedeński?

Nani. Najprawdziwszy, ręczę panu.

Gamciewicz. No, kiedy najprawdziwszy wiedeński, to proszę o buteleczkę wina węgierskiego wytrawnego i o parę bułeczek. (*zasiadają przy pierwszym stoliku na lewo*). Kolej żelazne wynalazek piękny, niema co mówić, pędzi się lotem ptaka, to prawda, ale z drugiej strony niewola daje się tam we znaki, częstokroć boleśnie. No! bodaj to panie podróżować własną bryczką, swojemi kołmi, swoim pacholkiem. Człowiek jest panem siebie. Chcę jechać prędzej, krzyknę: No! ruszaj się mazgajul.. i jadę prędko! No! chcę stanąć, krzyknę: stój capiel.. i stoję. No!.. a tu spiesz się, zawsze spiesz, jak gwizną, zrób co chcesz, ni folgi... ni pardonu, tak czy siak. No!..

Melania. Gdzież papa podziałeś kapelusza?

Gamciewicz. A prawda, nie mam kapelusza, dopiero miałem na głowie; a to pięknie! Melanciu, poszukaj tam przy sobie.

Melania. Ale gdzież mam szukać?

Gamciewicz. A to pięknie! No! nowy kapeluszu!.. prawda, że się trochę zagapiłem, słuchając tych wojażerów, ale przecie nikt mi z głowy nie ściągnął. A to pięknie! nowiuteńki kapelusza. No!

Melania. Może został w wagonie.

Gamciewicz. Być może, spałem jak stuknęło, poszukam... (*odchodząc*) sto morgów... sto... ktoby temu wierzył! No.

Scena 5.

MELANIA.—NANI.

Melania. Ale gdzież znaleźć Amalię? Pannu!.. jak się nazywasz?

Nani. Nani, do usług.

Melania. Moja panno Nani, powiedz mi, czy z podróżnych przybyła tu jaka pani z dzieckiem?

Nani. I z mężem?.. może... nie mąż... Boże uchwaj!

Melania. Mąż, mąż; gdzież są?

Nani. Bo widzisz pani, my na to bardzo uważamy.

Melania. Gdzież są, gdzie?

Nani. Tu pod № I-ym. Dziecko położyli w łóżku, a oni siedzą przy niem, jak dwie synogarliczki. A możesz mi pani powiedzieć, czy oni tu nocować będą?

Melania. Nie wiem, nie wiem.

Nani. Bo widzisz pani, pod № I-ym jedno tylko łóżko; jeżeli-by więc mieli zanocować, musiała-byśmy otworzyć № IV-ty, gdzie pan sę-

dzia zawsze z żoną nocuje, jadąc do Pragi; bo widzisz pani, my chcemy i staramy się wszystkim dogodzić.

Amalia (*do Nani*). Proszę o wodę pod № I-szy.

Nani. Zaraz służyć będę.

Scena 6.

AMALIA.—MELANIA.

Melania. Pozwól łaskawa pani pomówić z sobą parę słów.

Amalia. Bardzo chętnie, ale chciała-bym być przy mojej Józi.

Melania. O! pod dobrą jest opieką, możesz być pani zupełnie spokojną i nie chciej odmawiać mi pani krótkiej rozmowy.

Amalia. Cóż tak nagłego?

Melania. Bardzo nagłego, dziś się rozstajemy, pańi pojedziesz na lewo, a ja na prawo, potrzeba więc wiedzieć, który z panów z którą pojedzie.

Amalia. Nie rozumiem.

Melania. Będę mówić wyraźniej: pan Aliński, jako narzeczony, miał jechać z panią do Wiednia.

Amalia. Miał jechać?

Melania. Czy pojedzie, czy zostanie, to mnie nie obchodzi, ale tu idzie o pana Karola; chciała-bym wiedzieć, czy ze mną pojedzie, czy tu z panią zostanie.

Amalia. Miał córkę odprowadzić do Przeszowy.

Melania. Miał? Ja się znowu zapytać muszę.

Amalia. Mówię miał, bo jeszcze w Przemyślu tak powiedział, co zaś teraz pan Karol uczynić zamysła, o tem dowiadywać się nie mam potrzeby.

Melania. Mielście wszakże państwo dość czasu do zawiadomienia się o wzajemnych projektach; od Przemyśla aż do Przeszowy gęba wam się nie zamknęła.

Amalia. Wypytywał o Józję.

Melania. A o matkę nie?

Amalia. Panno Melanio!

Melania. W Krakowie do mnie, swojej narzeczonej, słowa nie przemówił.

Amalia (*z przymuszoną wesolością*). W zatargi kochanków nie wypada mi się mieszać, zwłaszcza, że traktat pokoju stanie niezawodnie, i oczywiście jeszcze silniejszy, serdeczniejszy, niż był dotąd.

Melania. Tu nie idzie o zatargi kochanków, pani to wiesz bardzo dobrze, jak i ja.

Amalia. Jeżeli wiemy obiedwie, na cóż się pytać?

Melania. Idzie tu o postępowanie pana Karola.

Amalia. Nie dostrzegłam nic szczególnego... Ale dlaczego pani z nim samym nie pomówisz?

Melania. Alboż mogę przystąpić?

Amalia. Pani żartujesz.

Melania. Nie, nie żartuję wcale. W Krakowie miał z Józją miasto zwiedzić, ale że pani uznałaś zapewne za niestosowne, aby przebiegać razem ulice z rozwiedzionym małżonkiem, on także odmówił córeczce zabawy i został z panią, ażeby rozmawiać o jej przyszłym wychowaniu.

Amalia. Nie chciała-bym zrozumieć, a nie mogę, lubo trudno jeszcze uwierzyć tej dziwacznej myśli, z jej słów wszakże zgaduję, że jesteś zazdrosną.

Melania. Zazdrosną, niekoniecznie, jak to sobie pani może wystawiasz, ale nie lubię, nie chcę być zwiedzioną.

Amalia. Ale któż, przez Boga żywego, panią zwodzi?

Melania. Pan Karol.

Amalia. Dla czegoż z tem do mnie się udajesz?

Melania. Bo mi pani powiesz szczerze.

Amalia. Cóż mam powiedzieć? Co myśli pan Karol? Tego wiedzieć nie mogę, nie chcę i na wszelkie zapytania w tym względzie milczeć muszę.

Melania. A pani kochasz go?

Amalia (*z przymuszonym uśmiechem*). Więc na to wzięłam rozwód, aby się potem w mężu zakochać?

Melania. Tak... tak... jest to nonsensem, tak by być nie powinno, a mnie jednak zdaje się inaczej, nawet przeczułam poniekąd, zdawało mi się, że ta podróż razem będzie niebezpieczną. Ale ten Aliński zbyt naiwny.

Amalia. O!.. bardzo proszę...

Melania. Nie wiedział, nie przeczuwał nic z tego zbliżenia się rozwiedzionej pary, zapewniał, że niema się czego bać dawnej miłości, bo tylko bigos hultajski dobry odgrzewany. Otóż jest i bigos! (*Amalia roześmiała się szczerze*). No! tym razem roześmiałaś się pani szczerze; prawda, że Aliński tego nie wie, co ja wiedziałam i co ci powtórzyłam wczoraj; zdziwiłaś się pani moją obojętnością na oświadczenia Karola, że Amalię kochał, jak już nigdy kochać nie będzie. Nie, nie było mi to bardzo przyjemnie, ale cóż miałam robić? Ceniąc szczerść

nad wszystko zdawało mi się, że będę miała rękojmię, jeżeli nie zbyt romansowego, to przynajmniej spokojnego pożycia.

Amalia. Ale jeżeli otwartości pana Karola tak wiele ufasz, czemuż z niej teraz nie korzystasz?

Melania. Bo on sam może nie wie, co się dzieje w jego sercu, mam-że go obudzić?

Amalia. Jeżeli nie śpi, pocóż go budzić?

Melania. Prawda i to. (*p. k. m.*) Kochana pani, (*całując w rękę*) odkryj mi szczerze swoje zdanie. Nie chciała-bym stać się powodom chociażby mimowolnie czyjego bądź nieszczęścia, a tem więcej Karola, którego, jeżeli szczerze nie kocham, to wielce poważam. Moja pani, (*całuje ją w rękę*) powiedz mi otwarcie: Karol kocha panią? Bo nie powiedziałam jeszcze, że w ciągu rozwodu pisywał do twojej matki, przeproszał, błagał, dołączał bilety do żony, ale zawsze odbierał najboleśniejsze obelgi, albo nie odbierał żadnej odpowiedzi.

Amalia. Karol to powiadał?

Melania. I nieraz żalił się na matkę, a jeszcze więcej na żonę.

Amalia. Ależ ja nic nie wiedziałam.

Melania. Brakuje tylko porozumienia, a kochać się będziecie, jak dawniej.

Amalia (*przyciskając ją do serca*). Nie, nie, to być nie może.. Ale jesteś dobrą, szlachetną i powiem ci szczerze, jesteś godną serca nie zmiętego jeszcze namiętnością, Bóg z tobą, dziecię moje.

Melania (*w jej objęciu*). Dziękuję, dziękuję, dobra, kochana, biedna pani! (*do wchodzącego Alińskiego*). Gdzież mój ojciec?

Aliński. Nie wiem.

Melania. Zobaczę, co się z nim dzieje (*wychodzi*).

Scena 6.

AMALIA.—ALIŃSKI.

Amalia. Panie Kazimierzu, jestem zmuszona wymagać od pana nowej usługi i nowej zwłoki w podróży.

Aliński. Cóż tam nowego?

Amalia. Józia przestraszyła się trochę, położyłam ją do łóżka, jeżeli obudzi się zawczasu, pojedziemy, jeżeli nie, ja jej snu nie przerwę i zostanę do jutra.

Aliński. Do jutra albo i do pojutrze, pozwól pani powiedzieć sobie, że psujesz to dziecię; co to uważać na dziecinne kaprysyki? obwinąć w szal i niech jedzie.

Amalia. Ach zmiłuj się pan! słabości dziecięcia nie nazywaj kaprysykami... Gdyby to Karol usłyszał.

Aliński. To niech słyszy!.. Ja nierozsądnych pieszczot pochwalać nie mogę.

Amalia. Zmiłuj się nade mną!

Aliński. Nad panią?

Amalia. Ojciec ma zawsze prawo odebrać córkę, Karol namiętnie kocha Józję, najmniejszy cień zaniedbania, braku troskliwości względem zdrowia ukochanego dziecięcia, mógłby wziąć za powód, choćby i pozorny, do odebrania mi Józji.

Aliński. Ależ ja kocham Józję i kochać będę, ale dla jej własnego nadal dobra nie można ulegać każdym dziecinnyim zachciankom.

Amalia. Ja wiem, wiem, ja cię rozumiem, panie Kazimierzu, ufam ci zupełnie, ale, dla Boga, nie wdawaj się z Karolem w żadną polemikę w tym względzie. Odbierz z łaski swojej moje rzeczy.

Aliński. Znowu.

Amalia. Jakże inaczej? Cóż to panu szkodzi?

Aliński. Bardzo mi szkodzi, powiem otwarcie, nie że pani chcesz tu zostać, nie że rzeczy odbiorę, ale szkodzi mi ta supremacya pana Karola, którą mógł-by i nadal chcieć wywierać, a tak wpływać nieustannie przez córkę na usposobienie matki; to być nie może i nie będzie.

Amalia. Do tego tonu nie przyzwyczaiłeś mnie pan.

Aliński. Ale chciałbym przyzwyczaić.

Amalia. To będzie za trudno.

Aliński. Ja prosiłem o rękę pani Amalii, zupełnie wolnej osoby, ale nie jako matki, ulegającej niewczesnym i nierozsądnym nawet wymaganiom pana Karola.

Amalia. Dobrze, że mnie pan wcześniej poznałeś.

Aliński. Bardzo dobrze dla nas obojga.

Amalia. Ja chcę i zostanę przy Józji, ale pana nie nie zmusza, mozesz jechać, jeżeli się podoba.

Aliński. Jeżeli odjadę, nie wiem, czy będę mógł wrócić.

Amalia. A ja wiem, że nie, bo pana zapraszać nie będę.

Aliński. Jakże to mam rozumieć?

Amalia. Jak się podoba.

Aliński. Kiedy tak, to wyraźnie oświadczam, że odjeżdżam.

Amalia. Szczęśliwej drogi.

Aliński. A więc zrywamy ze sobą?

Amalia. Zupełnie.

Aliński. Bez urazy.

Amalia. Bez urazy.

(Amalia odchodzi).

Scena 7.

KROPACZEK.—M-e SZTOK.—WILHELMINA.—ANIELA.
ALIŃSKI (później) MELANIA.

(Kropaczek podaje rękę pani Sztok, siadają do ostatniego stołu na lewo.
Aniela siada tyłem do stołu przy ostatnim stoliku na prawo).

kropaczek (do służącego). Szest par wüersztłów i[!] flaszkę grän-
cigera.

M-e Sztok. To dużo. „C'est beaucoup trop, cher accoucheur“.

Wilhelmina. „C'est beaucoup trop! Monsieur Kropaczek.“

Kropaczek. Mała fraszka.

Wilhelmina (wskazując na Antona). Maman, dlaczego ten pan ma
nos tak czerwony.

M-e Sztok. Co tobie do cudzego nosa, czerwony czy zielony? to
jest nieobyczajnie. „Je vous le dis péremptoirement.“

Melania (wchodzi i siada przy Alińskim, przy pierwszym stoliku na
lewo). Nie znalazłam ojca, wolę tu zaczekać.

Aliński. Miałem długą rozprawę z panią Amalią, której skutkiem
jest zerwanie naszych zaręczyn.

Melania. A!.. tak nagle!

Aliński. Amalia była dla mnie zawsze trochę tajemniczą, ale te-
raz mniej niż kiedykolwiek rozumieć ją mogę. (p. k. m.). Może wypada
mi przeprosić, co?

Melania. Nie zdaje mi się, aby to pomogło.

Aliński. Tak pani myślisz? W samej rzeczy ta ciągła rozmowa
w wagonie..

Melania. Sam pan powiedziałeś, że niema obawiać się czego.

Aliński. Prawda, głupstwo zrobiłem.. albo i nie głupstwo, lepiej
rozstać się grzecznie, niż potem brać się za lby niegrzecznie.

Melania. Tego ze strony Amalii lękać się nie można.

Aliński. Prawda, Amalia jest dobrą, jest godną szacunku i przy-
wiązania, ale co mógł-bym znieść chociaż-by i co niedorzecznego od
niej z powodu córki, to stało-by mi się nieznośnem, wiedząc, że pocho-

dzi z poduszczenia jakiej trzeciej osoby, kontrolującej i szpiegującej mnie w każdym zakątku domowego życia. Tego nie zniósłbym nigdy, i dobrze, że się tak stało.

Scena 8.

Ciż sami.—GAMCIEWICZ.

Gamciewicz (*rozdarty kapelusz w rękę*). Melańciu, nie masz tam szpilki... kapelusz ledwie dobyteł z pod koła... ale patrz... trzyma się tylko jednym końcem. No! tak przecie do Pragi wjeżdżać nie mogę. Melanciu... chodź no tu bliżej... patrz; tu... czoło... co?.. sine? co?

Melania. Nic szczególnego, jak zawsze.

Gamciewicz. Tryknęliśmy się w wagonie; dyable masz nos twar-
dy, sąsiedzie. No!

Aliński. I twoje czoło nie bawelniane, za to ręczę (*siadają przy stole*). Zerwałem z Amalią, a raczej ona ze mną.

Gamciewicz. Czy tak? No!.. spodziewałem się, prawdę mówiąc. No! kochaliście się na zimno. Pani Dorska bardzo godna osoba, ale jakoś... jakoś... ot, jednym słowem, nie dla ciebie... No!.. I cóż martwi cię to bardzo.

Aliński. Przyznam się, że nie nadto.

Melania. Nie masz się pan czem chwalić; odmieniacie uczucie, jak rękawiczki.

Aliński. Kiedy rękawiczki za ciasne albo za przestronne, trzeba innych szukać.

M-e Sztok. Cher accoucheur, moja Wilhelmina dobra, rozumna, włada językami, jak ja sama, ale jest jeszcze „d'une naïveté indéfissable.“

Kropaczek. Bagatelle Madame Sztok, budemy się kochać z Wilhelma jak dwa holubki (gołąbki). (*całuje w rękę Wilhelminę*).

Wilhelmina. Jakie pan masz długie palce!..

M-e Sztok. „Incorrigibilité incompréhensible!.. Hélas!“

Gamciewicz. Cóż teraz zrobić zamysłasz? No?

Aliński. Sam nie wiem.

Gamciewicz. Jedź z nami do Kalisbadu. No. Konduktor zapewniał, że to bajki, co ci panowie powiadali, że źródła w Kalisbadzie wyschły do szczętu. Kalisbad Kalisbadem. No!

Aliński. Ależ doktor Ditel radził winną kurację.

Gamciewicz. Ba!.. Ja się winem kuruję całe życie, a tu coraz gorzej. No?

Aliński. Prawda, że doktor Ditel wiedział, że życzę sobie jechać z Amalią do Wiednia.

Gamciewicz. A więc widzisz! Kalisbad, ja ci powiadam, święte miejsce, tam człowiek jak...

Melania. Ależ papo!..

Gamciewicz. No! Nie wypada mówić... ale niema, jak Kalisbad, jedź z nami, ja ci radzę, panie sąsiedzie.

Aliński. Jeżeli nie dla kuracyi, to pojechał-bym może dla waszego towarzystwa, ale trzeba żeby mnie panna Melania zaprosiła.

Melania. Oho!.. za prędko jedziemy.

Aliński. Zwyczajnie, jak kolejną; weźmy „Train de vitesse.“

Melania. O nie, ja wolę jechać powoli i ostrożnie, mamy czas.

Aliński. Ty, panno Melanio, niezawodnie, ale na mnie już zadzwoniono.

Melania. Dopiero pierwszy.

Gamciewicz. Ale czekajcie no... jakże z Karolem?

Melania. Karolowi trzeba będzie dać odkosza, a on łatwo pocieszy się z Amalią.

Gamciewicz. Z Amalią? Patrzenie... więc myślicie?

Melania. Że się pogodzą? . Niezawodnie.

Gamciewicz. No! wprawdzie coś zauważyłem... coś mi się zdawało...

Scena 9.

Ciż sami i CEZAR.

(Cezar wchodzi śpiesznie, surducik zapięty, biała kamizelka i także pantalony, trzyma na lewej ręce szal a w prawej laseczkę; spostrzegłszy żonę, siada za ostatnim stolikiem na prawo, obrócony do widzów, Aniela tyłem do niego).

Cezar *(do służącego)*. Kawy tu! prędko, a gorące! Gdzież byłeś?

Aniela. Gdzie ty nie byłeś.

Cezar. Znowu kaprysy?

Aniela. Być może.

Cezar. Ja ich znosić nie będę.

Aniela. To nie znos.

Cezar. Zle-byś na tem wyszła.

Aniela. Niekoniecznie.

(Rozmawiają dalej cicho z sobą, on z zapalem, ona spokojnie).

(Dzwonią).

Anton. Drugi raz dopiero.

Gamciewicz. Do Pragi?

Anton. Do Pragi.

Aliński. Kiedy nie mogę otrzymać zaproszenia, niechże przynajmniej dostanę pozwolenie.

Melania. Pozwolenie daję, jeżeli o to idzie.

Aliński. Dobre i to...

Gamciewicz (kończąc). Tymczasem. No! ależ dalibóg na tej żelaznej kolei wszystko pędzi, zmieniają się stosunki, jak parę pędzone. No! W Przemyślu M-e Sztok chciała aresztować pana Kropaczka, w Przeszowie uśmiecha się, gdy on córkę po rękach całuje. No! Cezar Fajt ze swoim aniołkiem pieścili się wczoraj jak gołąbki, dziś zdają się dziobać, jak krogulce. No! Melania, Aliński, Amalia, Karol wszyscy i wszystkie inaczej. No! dalibóg świat dzisiaj pędzi... byle tylko z kolei nie wyskoczył. No!

Cezar. Ja ci powiadam, że pojedziesz.

Aniela. Nie pojedę.

Cezar. Musisz jechać.

Aniela. Jeżeli pojedę, to nie z tobą.

Cezar (głośno). Pojedziesz, jakem Cezar!..

(Uderza łaską w obok stojące krzesło, kobiety krzyknęły, Kropaczek mało nie spadł z krzesła).

Kropaczek. Szpektakel!

M-e Sztok. „Incongruité exorbitante.“

Cezar. Żebym miał kazać zanieść cię do wagonu, to pojedziesz.

Aniela. Ty?

Cezar. Ja.

(Aniela zrywa się, trąca tacę i zrzuca imbryczek z kawą na kolana mężowi).

Aniela. Na maszl.. teraz przymuszaj! (wybiega).

Cezar (zrywa się, rozpina surdut i pokazuje suknie złane kawą).

Of.. of.. of.. piecze, piecze, pieczel!

M-e Sztok. Nie rozbieraj się!.. Idź precz! Pérépétie exorbitante! (do córki) „Ne regardez pas!“ Kropaczek, wytrąć go za drzwi.

Kropaczek (wkładając kapelusz na bakier). Zaraz służyć będziem!

Wilhelmina. Nepomucenie! Nepomucenie! Nie bij się!

Kropaczek. Pan nemiesz!.. Zatracony!.. (*Cezara wybiegającego spotyka kompozytor, a potem Kropaczka. Kropaczek patrząc za nim*). Sapristil!.. (*wracając do dam*). Bilbym im dal, żebym się nie ball!.. wyprawić spektakel.

Wilhelmina. Chère Maman, gdzie go piekło?

M-e Sztok. Twoje zapytania i uwagi nie mają żadnej nigdy psychologicznej podstawy. (*do Kropaczka*) N'est-ce pas?

Kropaczek. An contraire.

M-e Sztok. „Achl Taisez Vous! Monsieur Kropaczek.“

Kropaczek. „Pour servir, Madame Sztok“.

Gamciewicz. Batalia na piękne. No!

Aliński. Tym razem Cezar przyszedł, zobaczył, ale nie zwyciężył.

Gamciewicz. Uciekł, jak oparzony.

Melania. Bo oparzony.

Scena 10.

Ciż sami (prócz CEZARA i ANIELI) KAROL.

Karol. Słabość mojej Józi nie pozwala mi odjechać, muszę tu jeszcze czas jakiś pozostać.

Melania. I matki odstąpić nie wypada.

Karol. Przyjadę więc później do Karlsbadu.

Melania. Panie Karolu, polubiłam twoją otwartość, daj że mi dowód, że się na niej nie zawiodłam. Powiedz szczerze, czy tylko słabość córki zatrzymuje cię?

Karol. Panno Melanio, ja chcę słowa dotrzymać.

Melania. Które zatem ja muszę złamać? Niechże i tak będzie. Życzę ci szczęścia z twoją dobrą, godną Amalią.

(*Dzwonią*).

Odźwierny. Do Pragi. (*wszyscy wstają*).

Gamciewicz. Melanciu, gdzie torba? Jest, dobrze... a bilety masz? No! dobrze... płaczesz? Jest... (*na stronie do Karola*) Mam nadzieję, że Melania z Kazimierzem... rozumiesz? Nie mam czasu... a ty z Amalią... prawda? No! szczęście Boże... Niema czasu... No!

Odźwierny. Prędko! Prędko!

Karol (*odprowadzając do drzwi*). Bóg z wami, Bóg z wami!

Scena 11.

KAROL.—AMALIA.—KOMPOZYTOR później CEZAR.

(Józia wybiega i rzuca się w objęcia ojca, za nią Amalia.)

Amalia. Ależ Józiu!. Co za trzpiot.

Karol *(biorąc na ręce).* Jużes zdrowa?

Amalia *(zbliżając się do niej).* Główka nie boli?

Józia, trzymając ojca za szyję jedną ręką pociąga drugą matkę, tak, że ich twarze dotknęły się na chwilę.)

Józia *(śmiejąc się).* O tak dobrze.

Amalia. Józiu!

Karol. Czy w istocie tak dobrze? Możesz przebaczyć?

Amalia *(podając mu rękę).* Jeżeli ty zapomnisz.

Karol. Będziemy ślubować powtórnie, a tym razem...

Amalia. Pod skrzydłami naszego aniołka.

Cezar *(wbiega bez surduta i kapelusza).* Niema tu mojej żony?..

Kompozytor *(wychodząc z bufetu).* Dirlinlin! Dirlinlin! Dirlinlin!

(Cezar wybiega.—Zastona spada).

„QUO VADIS”

Henryka Sienkiewicza.

I.

Zdając na tem miejscu sprawę z wrażeń odbieranych w ciągu czytania „Listów z Afryki“ Sienkiewicza, J. Weysenhoff w te słowa zakończył swoją ocenę: „Powiewy przechodzące przez wierzchnie dusze w Europie, nie mogą ominąć i naszego pisarza. Biją w nim wszystkie nowożytne tętna, hamowane przez miarę, smak i indywidualną, wybitną odrębność, — krótko mówiąc, przez ogromny talent. Jak ta zdrowa, samodzielna potęga talentu wchłania w siebie każdy większy głos, płynący przez ludzkość, jak mu harmonijnie oddzwiecza. choć go po swojemu przetwarza, najlepszym chyba dowodom poemat: „Pójdźmy za nim,“ ta wspaniała odpowiedź echowa na mgliste, nieokreślone jeszcze nawoływania nowochrześcian zachodnich. Tylko echo większe tu i czystsze od samego wołania.“

Tak jest, niewątpliwie, ale jest jeszcze i coś więcej. Po „Pójdźmy za nim,“ przyszło „Quo vadis;“ gdyby więc nawet Sienkiewicz chciał poematem odpowiadać na literacką pozę „dekadentów chrześcijaństwa,“ to można-ż przypuścić, aby pod ich adresem tworzył epos?

Jakkolwiek zawodne bywają wszelkie hipotezy, usiłujące wyjaśnić pobudki tworzenia poety i artysty, to przecież choćby tylko ten fakt, że „echo większe tu i czystsze od samego wołania,“ stawia już Sienkiewicza poza sferą oddziaływania mody, na stanowisku wyodrębnionem nie tylko wyższością talentu, lecz i powagą zabieranego głosu. Każdy prawdziwie wielki pisarz ma zawsze coś do powiedzenia i własnemu społeczeństwu i szerszej powszechności; im zaś jest większym, tem pewniej, nie wpadając w dydaktyzm, trafia na najlepszą porę do mówienia, i na najbardziej gotowe do posłuchu audytorjum. A wtedy nie pod wpływem „powiewów,“ i nie tylko do „wierzchnich dusz“ się odzywa; wtedy dzieło sztuki napół nieświadomie w głębinach jego indywidualności z życiowych zapłodnień poczęte, przenika nawet do kosmopolitycznego ogółu, który w niem drgnienia swojej zbiorowej duszy odczuwa.

Taka dwoista solidarność Sienkiewicza z polską i wszechludzką kulturą odbija się na twórczości znakomitego pisarza w pewnej, jakby logicznej od siebie zależności utworów, które wydają się być momentami ewolucyi, odbywającej się jednocześnie na gruncie narodowym i europejskim. „Szkice węglem,“ „Pamiętnik nauczyciela,“ „Latarnik,“ „Bartek zwycięzca“ — to z różnych stron rzucone światło na ówczesną wewnętrzną sytuację społeczności, której Sienkiewicz jest synem; zjawienie się „nowego człowieka“ w osobie Józłowicza („Na jedną kartę“), przypada w chwili, kiedy ta sytuacja zmienia się z gruntu pod działaniem nie tylko miejscowych przewrotów, lecz i przeciskających się z zewnątrz haseł społecznych, naukowych i filozoficznych. Wobec tych prądów, które obaliły wszędzie tyle ideałów, staje jednak Sienkiewicz krytycznie. I tak ze wszystkimi kierunkami, zwrotami i oddziaływaniami nowożytniej kultury. Niema może wrażliwszej na nie organizacji, niema też odporniejszej. Prawdziwy Mitydat literacki, asymiluje Sienkiewicz wszystko, zdrowe i niezdrowe, ale jadam nawet zatruć się nie da. Zaledwie odnalazł u siebie w Płoszowskim typ schyłkowca. zaledwie zdążył wyodrębnić go w świetnej charakterystyce swojskiego dekadenta, już czuje potrzebę pod wpływem reagującej w samoobronie indywidualności przeciwstawić mu typ Połanieckiego, a w tej reakcyi wyznaczyć obustronne granice, poza które zdrowie polskiej natury społeczeństwu posunąć się nie pozwoli. Płoszowski i Połaniecki kontrastują z sobą bezwątpienia psychologicznie i artystycznie; jeden należy do tych, „co sobie wiecznie siadają na jakichś tarasach, rozprawiają o sztuce, literaturze, kobiecie,“ i szukając w życiu samych „świętecznych stron,“ nie wiedzą, że tam, pod nimi, „coś się dzieje, coś się staje, jest walka o byt, o kawałek chleba;“ drugi przedstawia właśnie to kipiące pod spodem życie

„realne, pełne mrówczej pracy, zwierzęcych potrzeb, apetytów, namiętności codziennych wysilen.“ Obaj na przeciwnych biegunach egzystencji tę samą popełnili omyłkę: zdawało im się, że można obywać się bez ideału. Płoszowski rozłożył go u góry na lotne, niepochwytnie pierwiastki, w retorcie analizy; Połaniecki zmiażdżył u dołu, w młynie dnia powszedniego: jeden i drugi doszedł, każdy inną drogą, do przekonania, że w bilansie życiowym jakiejś wartości nie wpisał, i dla obydwoh — rzecz charakterystyczna — pominięty ideał w jedno wcielił się uczucie, w miłość.

Że miłość w powieściach Sienkiewicza wogóle wielką odgrywa rolę, tego wobec jej współczesnej wszechwładzy w romansie na Zachodzie, specjalnie akcentować nie widzę potrzeby; na co jednak godzi się zwrócić szczególną uwagę i co autora „Lux in tenebris“ i „U źródła,“ oryginalnie wyosabnia z pośród tłumu chorych bałwochwalców Erosa w belletrystycznej Europie, — to gatunek tej miłości i rodzaj roli, jaką jej Sienkiewicz w odtwarzaniem przez siebie życiu wyznacza. Pod tym względem, jak pod wielu innemi, polski pisarz nie uległ „kulturowej“ epidemii, i rozglądając się spokojnie za granicą po literackim szpitalu neuropatów i histeryczek, zachował jasne, bystre wejrzenie na treść uczucia, które choćby tylko dla tego, że służyć ma konserwatywnym celom przyrody musi być w swej istocie siłą, nie słabością, rozrostem, nie kalectwem, a w stosunku do niemniej zachowawczych zadań społecznych, bywa w zdrowych narodach cnotą, nie grzechem, dźwignią uie kajdanami. Działa też zwykle miłość u bohaterów Sienkiewicza, jak czynnik etyczny: podnosi, uszlachetnia, przeobraża, jest kwiatem indywidualności, i dla tego skupiają się w niej niekiedy wszystkie ideały dobra, prawdy, piękna; dla tego owładnięty nią kochanek nie przestaje być człowiekiem solidarnym z resztą ludzkości; dlatego potężne uczucie zapadłszy w serca głęboko, ogarnia rozszerzającemi się na falach życia kręgami coraz rozleglejsze jego przestwory; dla tego, nietylko w znojne południe, na stepie amerykańskim, pod liściastem sklepieniem bikorów popycha Lilianę w objęcia Ralfa; nietylko w kalifornijskim cyrku rzuca atletę Orsa do dziecinnych stopek Jenny; nietylko powalonemu rozpaczą studentowi daje w gorączce senną wizję szczęścia, a umierającemu artyście rozjaśnia mroki konania niebiańską światłością;—ale wyjałowioną indyferentyzmem duszę sceptyka Płoszowskiego idealnemi użyźnia pierwiastkami; w oschłej, trochę samolubnej naturze Połanieckiego, budzi szersze społeczne sympatyje; rozwichrzonego warcholstwem i swawolą Kmicica powraca dźwigającemu się z klęsk krajowi, pana Wołodyjowskiego krzepi w heroicznem poświęceniu życia za ojczyznę; a jeszcze dalej, na szerszej scenie swia-

ta, pogańskie czoło Vinicyusza nachyla przed krzyżem — godłem wszechmiłości.

Tacy są u Sienkiewicza bohaterowie miłości. A heroiny? Jaki im udział w tem bohaterstwie przypada? Wielki, lecz spokojny: dusza ich jest źródłem, serce ogniskiem uczucia; kto miał szczęście napić się z tego źródła, kogo przeniknęło ciepło, opromieniło światło tego ogniska, ten wprawdzie mówi, jak Dant w „Vita Nuova:“ *Ecce Deus fortior me veniens dominabitur mihi*, lecz zdobywa siłę pobudzającą do działania, do czynu, do zwalczania spotęgwaną wolą przeszkód, które osiągnięcie szczęścia tamują.

Stanowisko względem obojga płci niedość zapewne *moderne*; ale jakże Sienkiewicz mało się troszczy o tę nowożytność, jaką ma słuszość nie dbając o nią, jaki realny grunt czuje pod sobą ten poeta, który, według natury kształtując stosunek rozmiłowanych w sobie kochanków, jej każe być impulsem, jemu siłą *in actu*; jakim argumentem jest dlań potworna między nimi zamiana ról w romansie francuskim, gdzie złowrogo czynna energia erotyczna kobiety i coraz głębszy upadek poddającego się jej biernie mężczyzny, szerzą naokoło rozkład, zgniliznę, spustoszenie, którego obraz musiał-by przejąć trwogą, gdyby nie był poprostu starczem majaczeniem rozmiękczonych literacką pornografią mózgów.

Z silniejszym naciskiem zaznaczyłem znamienne rysy tej charakterystyki miłości w dziełach Sienkiewicza nietylko dla tego, żeby stwierdzić niewzruszoną samoistność autora „Bez dogmatu“ i „Rodziny Połanieckich“ wobec pewnych zachodnich „powieści“ i „powieści“, nawet wtedy, gdy Płoszowskiego wikła w epizod z Davisową, lub gdy uzupełnia plastykę figury Połanieckiego, robiąc go bohaterem jednodniowego romansu z Maszkową, ale że z takiej formuły miłości, że się po modnemu wyrażę, wynika typowy niemal układ czynników powieściowych, artystyczne ich do siebie ustosunkowanie, a co najważniejsza, stopniowe rozszerzanie i dźwiganie się ku wyżynom życiowym przewodniego motywu. Na pierwszym planie powieści rozsnuwa się zwykle historia serca nie bohaterki, lecz bohatera, bo on tylko właściwie, ze swoją męską naturą, tworzyć może tę historię w szeregu czynów, spełnianych w imię miłości, lecz pod wpływem pewnej atmosfery moralnej, pod działaniem pewnych warunków społecznych, lub nawet politycznych. Tak zwanych „kochanków rasowych“, dla których miłość jest pozycją socyjalną, Sienkiewicz nie zna; dojrzały pisarz zdaje się mieć dotąd w pamięci zakończenie jednego z młodzieńczych swoich utworów, którego bohater konkluduje: „nadto, nadto sił kładziemy w gonitwie za miłością kobiety — potem miłość gdzieś jak ptak odleci, a siły idą na marne;“ więc choć maluje dziś najchętniej miłość, która nie odlata, nie

pozwała przecież ludziom w gonitwie za nią marnować siłę, których im zawsze dość pozostawia do innych w życiu zadań, zwłaszcza, że w powikłaniu z temi zadaniami, miłość traci z wolna swoją żywiołową, instynktową cechę, i staje się nieznacznie, jakby jedną z aspiracji do ideału. Przedmiot tych aspiracji, zamiast unosić się według dawnej formuły bardzo wysoko, znajduje się w powieściach Sienkiewicza bardzo daleko, oddalenie zaś tak mu wysubtelnia fizyognomię, że typowe heroiny wyglądają tam jak poetyckie wizye, ęfa wypełniająca akcję powieściową gonitwa za temi widzeniami, jakkolwiek w przebiegu swoim materyalna i pełna faktów, rozstrzygających niekiedy o doli narodów, lub nawet o losach ludzkości, przez samą odległość celu, przez samą abnegację wysiłków uduchownia się stopniowo; bohaterowie przypominają mimo woli niemiecką definicyę: *Ideenträger* — bo i ożywiającej ich uczucie nabiera prawie znaczenia idei.

To też kiedy ta miłość, pnąc się w dziełach Sienkiewicza po coraz wyższych szczeblach ku górze, zabierała po drodze coraz czystsze pierwiastki; kiedy po indywidualnych uniesieniach, z wysokości zbiorowego ukochania objęła wejrzeniem wszechludzkiej sympatii nie tylko własne gniazdo ale i zrzeszone w jednej cywilizacji społeczeństwa; gdy wreszcie wchłonawszy w siebie na tych szczytach dolatujące zewsząd westchnienia za jakimś nowym, zbawczym duchem, któryby świat moralnie odrodził, przypomniła wszystkim odwieczną potęgę idei chrześcijańskiej — nikt się wtedy nie zdziwił.

Bo to nie było „nawrócenie“ Bourget'a, wstępującego do zakrysty w przejściu z jednej alkowy do drugiej i szukającego w prerafaelitach bodźców do rzadkich „niewydanych“ sensacji; ani snobizm Anatola France'a wkładającego z zagadkowym na ustach uśmiechem lekką duszę *modernisty* w głębokie ewangeliczne motywa; ani głoszona publicznie na rynkach księgarskich skrucha pokutującego Huysmansa, który notując w celi trapisty pewne recydywy pokus, troskliwie pamiętał o plastycznych efektach dla nieskruszonych i nienawróconych czytelników; — to był orli wzlot talentu ku najwyższej formie i ku najwyższej treści; wypowiedzenie w eposie chrześcijańskiej ostatniego słowa miłości, na którą zubożyła spoganiona w ubóstwieniu materyi nowożytna dusza; to był głos myśliciela, przeciwstawiającego dyletanckim pretensjom *neo*-chrystyanizmu, prawdy stare jak nasza cywilizacja i jak ona żywe; to było dzieło artysty, w którym blaski i aureole minionych światów zajaśniały promieniami sztuki, jak nam dziś na kosmicznym nieboskłonie świecą zagaste przed tysiącami lat gwiazdy; to był czyn człowieka przekonanego głęboko, że słowa Ciny „pójdźmy za Nim“ mieć będą i dziś moc ukojenia wszystkich serc

trawionych zwątpieniem na widok siły urągającej moralnemu światu porządkowi.

To też „Pójdźmy za Nim“, dwudziestokilkokartkowy poemat uważać trzeba poniekąd za wstęp do późniejszego eposu, a to następstwo po sobie dwóch utworów, jeżeli już koniecznie brać je mamy w stosunku do współczesnych „powiewów“, nie jest może i pod tym względem przypadkowym. Czyż cierpiąca na tajemniczą niemoc Antea, nawiedzana widziadłem o trupiej twarzy ze szklanymi oczyma, nie miała podobieństwa do owej nowożytniej duszy w widmo śmierci wpatrzonej? Poganek uzdrowił widok ostatnich chwil Tego, który wszystkich ludzi aż do ofiary z siebie ukochał; straszna Hekate przestała jej się ukazywać: Miłość odniosła nad Śmiercią zwycięstwo; | trzeba teraz żeby z Miłości narodziło się nowe życie. Więc po „Pójdźmy za Nim“ nastąpi „Quo Vadis“; męczennik z Golgoty zjawi się powtórnie na ziemi w blaskach wschodzącego słońca, by dźwignąć upadłych na duchu i świt ludzkości zwiastować.

Można silniej lub słabiej odczuć myśl przewodnią przenikającą oba dzieła; można na skrzydłach poezji dać się jej unieść mniej lub więcej w sferę analogii i zestawień; jednego tylko trudno nie widzieć— odcieni w artystycznym stopniowaniu głównych tej myśli momentów. Te odcienia wypadnie nam już teraz zaznaczyć, bo na nich budowano, niesłusznie, zdaniem mojem, zarzuty; z zarzutami zaś stawianymi Sienkiewiczowi lepiej załatwić się odrazu.

Śmierć Chrystusa na Golgocie w „Pójdźmy za nim“ i ukazanie się Zbawiciela Apostołowi Piotrowi na drodze Appijskiej w „Quo vadis“ nie na wszystkich wywarły oczekiwane wrażenie. Zestawiano z tego powodu tragedję ukrzyżowania z Ewangelią; domagano się od widzenia na Via Appia efektów powieściowych. Trzebaż przypominać to co Sienkiewicz w głębokiem poczuciu artyzmu tak subtelnie wydatnił, że plastyczne formy w obu momentach mogło mieć tylko życie nie zaś unosząca się ponad niem idea, i że Nazareńczyk, po którym został-by w wyobraźni czytelnika realny wizerunek, z wyrazem biernego, bezodpornego cierpienia, zamiast duchowego tej idei oblicza, pomnożył-by tylko szereg chybionych bohaterów literatury passyjnej? Więc mogą nas tragiczną ekspresyją uderzać skaliste kontury i posępne kolory jerozolimskiego krajobrazu, z jego „miedzianym mrokiem“, z jego przejmującą dreszczem grozy „czerwonawą ciemnością z góry przesiewaną na ziemię“ i na sfanatyzowane tłumy; może upoić wonią poezji rzymski o wschodzie słońca pejzaż, z jego eterycznymi liniami i jutrenkowymi barwami, z „leciuchną zielonością nieba szafranowo u dołu bramowaną, nasycającą się stopniowo ztorem“, z odbłaskami zaróżowionej zorzy, rozświecającej „liliowe góry Albań-

skie“ i dźwigającej ze mgieł opalowych ku jasności zarania, smukłe białych świątyń kolumny; ale tu i tam Chrystus wyda nam się zjawiskiem wyzwolonem zarówno z życiowych, jak śmiertelnych więzów; a jeżeli „oderwanemu od ziemi,“ „smutnemu ogromem jej smutków“, i „ogarniętemu nieskończonością,“ ta właśnie nieskończoność na wyżynach Golgoty, prawie w oczach ludzkich, dotykalne kształty roztopia, to niedostępniejszym jeszcze będzie dla tych oczów na gościńcu wiodącym ku równinom Kampanii. Odchodził z pośród żyjących, rozplywając się w pomroce; nawiedza potem dolinę łez, spowity w olśniewającą światłość. Widać Go nie wiele, ale czuć, że w tych cieniach i blaskach ważą się losy świata, a On trzyma w ręku wagę i kładzie na szalę ideały miłości.

II.

— *Quo vadis Domine?* — zapytał ikając Piotr Apostoł na klęczkach, ku ziemi pochylony, jakby czyjeś stopy całował.

I nie słyszał odpowiedzi towarzyszący mu Nazaryusz, lecz do uszów Piotrowych doszedł głos smutny i słodki, który rzekł:

— Gdy ty opuszczasz lud mój, do Rzymu idę, by mię ukrzyżowano raz wtóry“.

Głos przeniknął do najgłębszych tajników sumienia Apostoła. Tak—opuścił Piotr stolicę Chrystusową, w jednym z tych momentów omdlenia, kiedy widząc, że obfity plon siejby Pańskiej szatan wdeptał w ziemię; że Bestya rozsiada się w chwale nad światem, straszna, potężniejsza niż kiedykolwiek; że trzeba będzie podjąć na nowo walkę, w której stanie z jednej strony Cezar, senat, lud, legie, obejmujące żelazną obręczą cały świat, nieprzeliczone grody, nieprzeliczone ziemie, potęgą jakiej oko ludzkie nie widziało, z drugiej on, zgięty wiekiem i pracą, z trudnością już trzymający kij podróźny, w wątych od starości rękach,—prowiedział sobie, że nie jemu mierzyć się z Neronem, i że dzieła tego dokonać może tylko sam Chrystus.

Istotnie była to chwila, kiedy „Bogi i ludzie szaleli,“—a najpotworniej szalał na tronie imperatorów tacytowski *Incredibilium cupitor*. Czując pod stopami ziemię upodloną, po której przeszedł krwawy strychulec niewolniczej służalności, deptając po niewyraźnej mozaice karków pochylonych, a nad głową mając bogów oddalonych, oboję-

tnych, którym był równy, stracił Neron między temi dwiema próżniami, między temi dwiema nicościami wszelkie poczucie proporcji między sobą i resztą świata. Osoba jego ogarnia całą ziemię, jest więcej niż cezarem—bogiem; więcej niż bogiem—Przeznaczeniem; chce mieć jego ślepą potęgę i bez odpowiedzialności rządzić się jego fantazyą; przyznaje sobie przedewszystkiem jego prawo rozsiewania nakoło śmierci.

I naród rzymski jest też już tylko trzodą pod ceszarowy obuch przeznaczoną, z pośród której władca na chybił trafił wskazuje codzienne hekatombi. Dusze gasną wszędzie, jak świeczniki po skończonej uczcie. Podniecony uległością usuwa Neron żywe i martwe narzędzia śmierci: ofiara powinna dobrowolnie umrzeć. Nawet opozycyjny stoicyzm ułatwia mu to uważając panowanie matkobójcy za szkołę cierpienia i ofiary: lancet chirurga staje się straszliwym symbolem w dobie, kiedy śmierć była rzeczywiście jedynem i heroicznem lekarstwem na życie.

Po-za tragicznemi termami, gdzie konają bohaterowie i filozofowie, panowanie to wygląda jak potworna krotochwila, w której cesarz jest zarazem histryonem i impresaryem. Imperium dla Nerona to olbrzymia scena; na niej przed publicznością z narodów złożoną, popisuje się jako śpiewak, atleta, tancerz, aktor, poniewierając majestat cesarski we wszelakich błazeństwach cyrkowych. Jego podróż do Grecji jest szeregiem przygód ukoronowanego kabotyna. Śpiewa przez nos, spada z wozu, tańczy niezgrabnie, bo mu się chude nogi pod opasłym uginają brzuchem. A naród artystów krzyczy, klaszcze i udaje uwielbienie, ostrzeżony losiem owego wirtuoza z Koryntu, który ośmieliwszy się zaśpiewać czysto w turnieju cesarskim, musiał dać gardło.

Bo krew była winem tych orgii, śmierć miała w tych przedstawieniach wyznaczoną sobie rolę, a reżyserya neronowskich widowisk siliła się na wymyślenie dla niej najefektowniejszej dekoracji, jak w nowych ogrodach Watykanu, gdzie „boski“ w zielonym stroju woźnicy, prowadził swoją kwadrygę między dwoma rzędami „pochodni chrześcijaństwa.“

A kiedy dostał do dna ziemskiej potęgi, sięga do nieba. Rozpoczyna od zdegradowania wszystkich bogów, którym głowy z posągów strąciwszy, własną natomiast na kamiennych i bronzowych osadza kądłubach. Potem cześć boską dla swej brody, dla swego głosu ogłasza, jedną poświęca na Kapitolu, drugiemu ofiary każe składać. Świętokradztwo kryje dlań w sobie nieznanne rozkosze: więc gwałci westalkę, plugawi statwę bogini syryjskiej, i kąpie stę w wodzie poświęconych fontann; konfiskuje w Delfach ziemię Apollina, za to, że jego wyro-

cznia mówiła mu o Orestesie, i zamyka pod ziemią usta, przez które duch boży przemawiał do Pythii.

Co za obraz! i jakiego znalazł w Sienkiewiczu malarza; jak po mistrzowsku pendzel artysty uchwycił tę chwilę, kiedy wzrastający obłęd wielkości nawiedza już Nerona hallucynacjami wszechwładzy! Mózg imperatora rozmiękcza się, a jednocześnie twardnieje serce; maska historyjona wyżera z jego twarzy ceszarowe kontury, zostawiając tylko oblicze wyuzdanego mimy, przedrzeźniającego bogów. Zabójca nie ma już nawet polityki morderstwa, krótkiej lecz prostej logiki sztyletu: uderza na prawo, na lewo, bez powodu, paroksyzmami, jakby dla zaspokojenia fizycznej potrzeby temperamentu. Zbytek jego, kaprysy, orgie, wkraczają w dziedzinę wschodniej hyperboli i napelniają Rzym, gród na wskroś pozytywny, fantasmagoryami azyatyckiego despotyzmu.

Oto spotykamy go po raz pierwszy na uczcie gromadzącej w pałacu ceszara najprzedniejszych *augustianów*. „Była to pora zachodu słońca i ostatnie jego promienie padały na złoty, numidyjski marmur kolumn, który w tych blaskach świecił jak złoto i zarazem mienił się różowo. Wśród kolumn, obok białych posągów Danaid i innych, przedstawiających bogów lub bohaterów, przepływały tłumy ludzi mężczyzn i kobiet, podobnych również do posągów, bo udrapowych w togi, pepluny i stole, spływające z wdziękiem ku ziemi miękkimi fałdami, na których dogasały blaski zachodzącego słońca. Olbrzymi Herkules, z głową jeszcze w świetle, od piersi pogrążon w cieniu, rzuconym przez kolumnę, spoglądał z góry na ów tłum senatorów w szeroko obramowanych togach, w barwnych tunikach i z półksiężycami na obówiu; rycerzy i słynnych artystów i rzymskich pań przybranych w sposób rzymski i grecki, to w fantastyczne wschodnie stroje, z włosami upiętymi w wieże, w piramidy, lub zaczesanych na wzór posągów bogiń nisko przy głowie, a strojnych w kwiaty... W tych zorzach na niebie, w tych szeregach nieruchomych kolumn, ginących w głębi, i w tych ludziach podobnych do posągów, był jakiś wielki spokój; zdawało się, że wśród owych prostolinijnych marmurów powinni żyć jacyś próżni trosk, ukojeni i szczęśliwi półbogowie; a przecież na kolumnach i podłodze tego oto widnego zdala kryptoportyku, czerwienią się jeszcze rdzawe plamy krwi, którą obluzgał białe marmury Kaligula, gdy padł pod nożem Kassjusza Cherei; tam zamordowano jego żonę, tam dziecko rozbito o kamienie, tam pod skrzydłem jest podziemie, w którym gryzł ręce z głodu młodszy Drusus; tam otruto starszego, tam wił się ze strachu Gemullus, tam z konwulsyi Klaudyusz, tam Germanik; wszędy te ściany słyszały jęki i chrapanie konających, a ci ludzie którzy spieszą teraz na ucztę w togach, w barwnych tunikach,

w kwiatach i klejnotach, to może jutrzejsi skazańcy; może na niejednej twarzy uśmiech pokrywa strach, niepokój, niepewność jutra.“

Może—wszystko to w rękę tego, który siedział tam „schylony nad stołem i zmrużywszy jedno oko, a trzymając palcami przy drugim okrągły, wypolerowany, szmaragd, rozglądał się po współbiedniakach. Głowę miał wielką osadzoną na grubym karku, straszną wprawdzie, ale niemal śmieszną, albowiem podobną zdala do głowy dziecka. Tunika ametystowej barwy, zabronionej zwykłym śmiertelnikom, rzucała sinawy odbłask na jego szeroką i krótką twarz. Włosy ciemne, utrefione miał modą zaprowadzoną przez Othona, w cztery rzędy pukli. W jego silnie występującem czole było jednak coś olimpijskiego. W ściągniętych brwiach znać było świadomość wszechmocy, lecz pod tem czolem półboga mieściła się twarz małpy, pijaka i komedyan-ta, próżna, pełna zmiennych żądz, zalana mimo młodego wieku tłuszczem, — a jednak chorobliwa i plugawa... Po chwili Nero położył szmaragd i odsłonił wypukłe, niebieskie oczy, mrużące się pod nadmiarem światła, szkliste, bez myśli, podobne do oczu umarłych“.

To portret — zdawało-by się, że ożył pod piórem Sienkiewicza biust z galerii Kapitolńskiej, ze swoją czaszką o pełnych okrągłych konturach, ze swoim szpetnym na ustach uśmiechem.

I wszystko żyje koło tego żywego portretu. Wesołość, wyczerpująca do dna chwilę obecną, — bo nie wiadome co następna przyniesie — wzrasta podniecana chimerycznymi inwencyami w potrawach i napojach, woniami przenikającymi rozgrzaną atmosferę, widokiem ciał układających się na tricliniach w snycerskie kształty. W krzyżowym ogniu rozmów uplastycznia się charakterystyka uczujących, rysują się ich profile, sylwetki i zmartwychwskrzeszony poetyckiem technieniem duch antyku, zstępuje w ten tłum szalejący w odbudowanym z ruin przybytku zbrodni i rozpusty, Śpiewa tam Neron własny hymn do Wenery, deklamują wiersze, zmagają się atleci, tańczą bachiczne tańce syryjskie dziewczęta: „potem muzyka zmieniła się w bezładny dziki hałas cytr, lutni, sistr, trąb i rogów. powietrze przesycone zapachem kwiecia szafranu i wyziewami ludzkimi stało się duszne, lampy paliły się mdłym płomieniem, poprzekrzywiały się wieńce na czołach, twarze pobladyły i pokryły się kroplami potu; wreszcie spił się cesarz, spili się mężczyźni i kobiety — a na pijanych konsulów i senatorów, na pijanych rycerzy, poetów, filozofów, na pijane tancerki i patrycyuszki, na cały ten świat wszechwładny jeszcze, ale już bezduszny, uwieniczony i rozpasany, ale już gasnący, ze złotego niewodu upiętego pod pułapem kapały i kapały wciąż róże“.

Neronowska orgia stała się w sztuce nieledwie banalnym motywem; spojrzymy jednak jakie wysnuł z niego Sienkiewicz klasyczne maló-

widło, klasyczne nie konwencyonalną, akademicką sztywnością, lecz ową przepiękną harmonią linii i kolorytu, która, przypominając czytelnikowi że duch ujarzmionej Grecji panuje i mści się nad upadającym Rzymem, odbija się przedziwnym spokojem w artyzmie poety. Sienkiewicz opowiada ze zwięzłością i powściągliwością najlepszych rzymskich dziejopisów; ta prostota w opowiadaniu ma coś pokrewnego z opisywaną przezeń w cesarowym pałacu „prostolinijnością marmurów“, których idealne proporcje, wchłonawszy w siebie rozmiary i przestrzenie, zrównoważywszy wysokości, głębie i oddalenia, zdumiewają naturalnością i swobodą form. Jest to architektura stylu, której się nikt nie domyśla, bo jej też świadomie nie kombinuje i sam wielki pisarz, jakby bezwiednie wydobywający ze słowa poezję kształtów, barw i dźwięków. Za ledwie zdążyliśmy rozejrzeć się w prostej a rytmicznej budowie zdania i okresu, już z pośród linii uderza nas jakiś wizerunek, wynurzający się delikatnymi konturami płaskorzeźby; to znów staje przed nami, w całkowitej płastyce figura, tak imponująca, jakby tylko co z piedestału zstąpiła; gdzieś dalej wreszcie przykuwa do siebie wzrok duszy grupa, krzepnąca w wyobraźni w arcydzieło dłuta, w którym uwiecznione życie czeka tylko przebudzenia. Nie długo na nie czekać trzeba. Mignie w opisie jakiś odbłysek, jakies wyrażenie kolorem się zabarwi, „zaczerni się między białymi twarzami ciemna twarz Numida“, albo gra światła i cieni otworzy gdzieś wśród kolumnady perspektywicznie plany i rzeźba zmienia się na obraz. Potem drgania fal barwnych wywołają dźwięki, i te same róże kapiące z pod pałapu ze złotego niewodu, które tak malowniczym kontrastem koloru i kształtu odbijają od brzydoty powalonych orgią biesiadników, odezwią się łagodną nutą, wśród ciszy poprzedzającej śpiewacki popis Nerona i przerywanej tylko lekkim szmerem spadającego kwiecia. Wreszcie od drżenia światła, barw i dźwięków, ruch przeniknie wszędzie i z rzeźby, obrazu, muzyki weźmie początek tragedya, a w tragedyi podniosą się, jak mówi Krasiński, „dziwaczne kształty, migające złotem, z wiankami na czole, z pułkami w dłoni a wśród kwiecia sztylety, a wśród biesiady trucizny, a w ich tańcach konwulsyjne podrzuty, — niby to życie bez granic wśród pieśni i jęków, ryku hyen i nawoływań gladiatorów“.

Orgie są też istotnie decydującymi momentami tej tragedyi, każda w innych kształtach, na innej scenie: o zachodzie słońca w pałacu cesarza, nocą pod odkrytym niebem, w willi faworyta; w jasny dzień, na gościńcu, wśród przepychu podróznego pochodu; na ulicy w krwawych blaskach gorejącego miasta lub w cyrku przy odgłosie jęków ofiar, szarpanych przez dzikie zwierzęta. Nie wszędzie tam uczują, nie wszędzie wino i rozpusta na bachiczne

drogi akcyę popychają; ale wszędzie szaleje wyobraźnia, szukająca rokoszy w okrucieństwie i okrucieństwa w rozkoszy; wszędzie zwyrodniałe instynkta gonią za monstrualnemi wrażeniami, wszędzie rozpętany w człowieku potwór potęguje swoją dzikość zachciankami chorobliwego artyzmu. O różnicach stanowi nastrój, a wiemy już jak Sienkiewicz nastroje odtwarza.

Oto jesteśmy nad stawem Agryppy. Tam Tigellinus kazał zastać ucztę na olbrzymiej tratwie, zbudowanej z połączanych belek, podobnej, z powodu nagromadzonych na niej roślin, do ogrodu lub pływającej wyspy, która wraz z ucztą i gośćmi opisywała kręgi, wśród łodzi pełnych nagich wiosłarzy i wiosłarek o rysach i kształtach cudnej piękności i potraçała o brzegi, skąd dolatywały odgłosy muzyki i śpiewu i gdzie między kępami drzew i kwiatów, widać było grupy ludzi poprzebieranych za faunów lub satyrów, grających na fletniach, multankach lub bębenkach, oraz grupy dziewcząt przedstawiających nimfy, dryady i hamadryady.

To lubieżne *Andante*. Do rozpasanego *Scherza* dają hasło o zmroku pijane okrzyki na cześć Luni, dochodzące z pod namiotu cezara, i odpowiadające im nawoływania z lupanariów, rozrzuconych po brzegach, a zaludnionych żonami i córkami pierwszych domów rzymskich. Wreszcie przybicie do brzegu tratwy, skąd biesiadnicy rozproszyli się po namiotach, grotach sztucznych; gonitwa satyrów i faunów za nimfami, śmiechy, krzyki rozlegające się po gęstwinach, brzęk tłuczonych tyrsami lamp — złożyły się na *Final*, o którym Rzym nie miał dotąd pojęcia.

I nie podobna też w opisie Sienkiewicza ta orgia do tamtej. To już nie ujęty w urzędowe poniekąd rytmy i tempa szal, kształtujący się wśród architektonicznych linii w rzeźbiarskie grupy; to jakoś gra ślepych sił i instynktów, działających z żywiołową gwałtownością natury. Dźwięków więcej tu, niż konturów i barw, budzą one pierwotne jakieś echa w gaju, po którym inknie, nawołując się, mytologiczna maskarada przebestwionych i przebestwionych biesiadników. Plusk wiosel na stawie, szelest drzew wstrząśnionych dreszczem Pana, odgłosy erotycznego pościgu, śpiewy namiętne urywanemi zwrotkami i drżącym od żądzы głosem na przynętę rzucane, tworzą rozszalałą symfonię, której każdy pojedynczy motyw z dziwną w opowiadaniu Sienkiewicza brzmi wyrazistością, a nad której całością, z niezachwianą powagą panuje artyzm poety.

Potem Rzym oficjalny wyległ na publiczną drogę w apoteozie wędrownego majestatu. Na ożywienie tego szlaku od Porta Ostiensis ku Antium, spotrzebował Sienkiewicz wszystkie skarby swej palety. Mozajkowe efekta kobierca z kwiatów, ścielącego się na gościńcu w miarę posuwania się ceszarowej processyi; kolory szat i przepasek

wydobywające się coraz gdzieindziej jaskrawemi plamami na ruchomem tle tłumu; blaski zausznic, odbijające od czarnych twarzy numidyjskich jeźdźców; iskry migotliwe, które zapala słońce w ostrzach dzid bambusowych, w niesionych przez setki ludzi posążkach miedzianych, w naczyniach złotych i srebrnych, w bronzach, perłowcu i drogich kamieniach, inkrustujących instrumenta muzyczne,—i z tej fali żywych barw wynurzająca się niezdarne figura cezara, w laurowym wieńcu na głowie, w białej ametystowej tunice, która rzuciła sinawy blask na jego twarz rozlaną, i zwieszony pod dolną szczęką podwójny podbródek, — wszystko to lśni, mieni się i wydłuża, niby pstre cielsko jakiegoś bajecznego węża, opasującego morderczym splotem całą ziemię. Jest w tym na poły religijnym pochodzie, rozlewającym się na przestrzenie, jakby symbol nietamowanej żadnemi granicami wszechmocy, wobec której nie ukorzył się jeden tylko człowiek, stojący na głazie, przeznaczonym pod budowę świątyni, i tak nad tłum, wywyższony, że się na nim wzrok cezara zatrzymał.

To Piotr Apostoł.

„Przez chwilę dwaj ci ludzie patrzyli na siebie; nikomu zaś, ni z tego świetnego orszaku, ni z tych nieprzeliczonych tłumów nie przyszło na myśl, że spoglądają na siebie w tej minucie dwaj władcy ziemi, z których jeden, minie wkrótce jak krwawy sen, drugi zaś, ów starzec, przybrany w prostaczą lacernę, obejmie w wieczyste posiadanie świat i miasto.“

Nikt też nie przypuszczał, że pierwaj jeszcze z przygasłych źreń podróżującego komedyanta wytryśnie iskra, od której spłonie Rzym, i że oblany łuną tego pożaru, a potem powtórnie zacerwieniony krwią mordowanych chrześcian, ten celebrujący dziś ze znudzoną powagą kapłan, dwukrotnie chwyci do rąk lutnię, i raz, na wodociągu appijskim, ozwie się na urągowisko walącemu się w gruzy miastu: „o gniazdo ojców moich, o kolebko droga!“ a potem nasyciwszy w cyrku oczy i uszy konwulsyami i krzykami konania swoich ofiar, zstąpi na arenę, aby zaśpiewać:

„Mógł-żeś formingi boskiej brzmieniem,

„Zagłuszyć lamenty serc i krzyk?“

Temi dwoma rysami dokonał Sienkiewicz ostatecznie złowrogiej plastyki Nerona. Bo zważmy tylko, jak ta figura rośnie w spokojnym epickim toku opowiadania, nie tracąc w swem dźwiganiu się ku wyżynom potworności ani jednego skrzywienia arlekińskiej maski. Zdawało-by się, że kuglarstwo ściągnie nareszcie pajaca na niziny pospolitości; tymczasem blażeńskie grymasy na tem obliczu, napiętnowanem

bezdenną próżnością, przykuwają stopniowo jakąś niespokojną głębią; głowa śmieszna, bo „zdaleka podobna do głowy dziecka,“ przypomina, że igraszką losu kula ziemską dostała się do zabawy temu dziecku, które wyrosłszy, zażąda głowy rodzaju ludzkiego; aż wreszcie przychodzi chwila, kiedy clown w purpurze, staje się tragicznym. Jest to więc dla artyzmu pisarza moment prawdziwego tryumfu, jeżeli czytelnik jego teraz już czuje, że kiedy patrzą sobie w oczy Apostoł i Neron, stoją naprzeciw siebie namiestnik Chrystusowy i Antychryst — spotykają się dwa światy.

III.

Malując drugi świat, napotykać musiał Sienkiewicz liczne i nie małe trudności. Trzeba było pogasić blaski, przyćmić barwy, roztopić w cieniach kontury i kształty, i ze skąpych, indywidualnych rysów, stworzyć zbiorową, niewyraźną fizjonomię bezimiennego tłumu, bo tak wyglądało chrześcijaństwo w zaraniu swego istnienia, zwłaszcza w Rzymie. Wzmagając się w prowincjach imperyum, gdzie missye apostolskie miały swobodę ruchów, jak w Judei i Antyochii, zamknąć się musiało w stolicy Cesarów w niepozornych i niebudzących podejrzeń bractwach pogrzebowych, do których cisnęli się po chleb duchowy i po modlitwę nad grobem wszyscy wydziedziczeni i cierpiący. Maluczcy, ubodzy, gromadzący się około śmierci, tam, gdzie życie szalało w paroksyzmach zbytku, nabrali zapewne w tem stowarzyszeniu, skojarzonym wielką, wspólną miłością, jakiegoś na licach zbiorowego wyrazu. Ekspressya ta musiała być prosta, z niewielu znamienych cech złożona. Rysy twarzy pierwsze lepsze, a wśród nich pałające tylko entuzjazmem źrenice, które światłością nieznanego dotąd piękna, rozjaśniły taką nawet, jak Pawła z Tarsu brzydotę. Twarzy podobnych, rzucanych przez Sienkiewicza na tło pogańskiego świata, spotykamy dużo; odróżnić jedną od drugiej trudno, i nie potrzeba; nie idzie bowiem o to, jakie nazwisko do jakiej przyczepić postaci; którabyż z nich wynurza się z cieniu, czy w ciemnościach się pogrąża, wiemy skąd przybywa, albo dokąd dąży; wiemy, że te mroki, gdzie kryć się musi, rozświeca jej owe promieniejące wewnętrzną wizją źrenice. To nie indywidualna, którym życie różniczkuje charakterystykę oblicza grą skomplikowanych uczuć i namiętności — to chrześcijaństwo, i ta nazwa jest ich psychologią. Nikt nie pyta, kto oni w codziennej egzystencji, co robią,

czem się zajmują — są chrześcianami, i to ich jedyna racya bytu na tej ziemi, gdzie, błędząc po cmentarzach, za chwilowych uważają się wędrowców. Są chrześcianami, i mają między sobą pewne podobieństwo, niepochwytnie, lotne niejako, ale zbliżające, bodaj na chwilę, do jednego typu: prostaczka, ubłogosławionego w swem ubóstwie ducha; niewolnika, wierzącego w wyswobodzenie w innem życiu; centuryona, nienawidzącego przemocy, której jest narzędziem; patrycyusza, zapatrzonego gdzieś wdał, skąd, nawykły de blasków ziemskiej potęgi, wygląda objawienia się majestatu Chrystusa. W jasny dzień, to szara masa, po której przemykający się z góry promyk światłości Bożej rozpala tu i owdzie idealne odbłyski; o zmierzchu dopiero oddzielają się od tej massy, jakby nikłe cienie i otulone w mrok opiekuńczy, ciągną milczącą processyą ku staremu hypogeum między via Salaria a Nomentana.

„Ściemniło się już zupełnie, że zaś księżyc jeszcze nie wszedł, więc drogę dość trudno przyszło-by znaleźć, gdyby jej nie wskazywali sami chrześcianie. Jakoż na prawo, na lewo i na przodzie widać było ciemne postaci, zdążające ostrożnie ku piaszczystym wądom. Niektórzy z owych ludzi nieśli latarki, okrywając je jednak ile możności płaszczami, inni, znając lepiej drogę, szli po ciemku. Wprawnem tylko okiem odróżniać było można po ruchach młodszych mężczyzn od starców, wlokących się na kijach, i od kobiet, poobwijanych starannie w długie stole. Stopniowo migąło się naokół coraz więcej latarek, i zwiększała się liczba osób. Niektóre z nich śpiewały przyciszonemi głosami pieśni pełne tęsknoty. Chwilami można było pochwycić urwane słowa, lub zdania pieśni, jak naprzykład: „Wstań, który śpisz,“ lub „Powstań z martwych;“ czasem znów imię Chrystusa powtarzało się w ustach mężczyzn i kobiet. Niektóre spotykając się, mówiły: „Pokój z wami!“ lub „Chwała Chrystusowi.“

„... Przy bramie Ostrianum, dwaj fossorowie odbierali znaki, z którymi wchodziło się do miejsca dość obszernego, zamkniętego ze wszystkich stron murem. Gdzieniegdzie stały tu osobne pomniki; w środku zaś widać było właściwe hypogeum, czyli kryptę leżącą w niższej swej części pod powierzchnią gruntu, w której były grobowce; przed wejściem do krypty szumiała fontanna. Widocznem jednak było, że zbyt wielka liczba osób nie zdołała-by się pomieścić w samym hypogeum, i że obrządek będzie się odbywał pod gołym niebem, na dziedzińcu, na którym wkrótce zgromadził się tłum bardzo liczny. Jak okiem dojrzeć, latarka migotała przy latarce; wielu zaś z przybyłych nie miało wcale światła. Z wyjątkiem kilku głów, które się odkryły, wszyscy, z obawy zdrajców, czy też chłodu, pozostali zakapturzeni.

„Nagle, przy kryptcie zapalono kilka smolnych pochodni, które ułożono w mały stos. Stało się jaśniej. Tlum począł po chwili śpiewać,

z początku cicho. potem coraz głośniejszy jakiś dziwny hymn. Ta sama tęsknota, która już uderzała w śpiewach nuconych półgłosem przez pojedynczych ludzi w czasie drogi na cmentarz, odezwała się teraz w tym hymnie, tylko daleko wyraźniej i silniej, a w końcu stała się tak przejmującą, ogromną, jakby wraz z ludźmi począł tęsknić cały ten cmentarz, wzgórze, wądoły i okolice. Zdawać się przytem mogło, iż jest w tem jakieś wołanie po nocy, jakaś pokorna prośba o ratunek w zablakaniu i ciemności. Głowy podniesione ku górze zdawały się widzieć kogoś, hen, wysoko, a ręce wzywać go, by zstąpił.

„Tymczasem dorzucono kilka pochodni na ognisko, które oblało czerwonym światłem cmentarz, i przyćmiło blask latarek; w tej samej samej zaś chwili wyszedł z hypogeum starzec, przybrany w płaszcz z kapturem, ale z odkrytą głową, i wstąpił na kamień leżący w pobliżu stosu.

„Tłum zakolysał się na jego widok. Ozwały się naokoło głosy: „Petrus! Petrus!“ Niektórzy poklękali, inni wyciągali ku niemu ręce, starzec zaś, wzniosłszy do góry dłoń i znakiem krzyża przeżegnawszy zgromadzonych, opowiadał im o Chrystusie wszystko, od śmierci jego aż do Wniebowstąpienia — a tych, co go słuchali, ogarnęło upojenie... Ten człowiek widział! i mówi jako ten, któremu każda chwila wyrzyła się tak w pamięci, że gdy przymknie oczy, to jeszcze widzi... Pozrzucał więc z głów kaptury, by słyszeć lepiej. i by nie uronić żadnego z tych słów, które dla nich było bez ceny... W twarzach znać było zachwyt bez granic, i zapomnienie życia i szczęścia, i niezmierną miłość. Widocznem było że w czasie długiego opowiadania Piotra, niektórzy mieli widzenia... I dla tych ludzi nie było w tej chwili Rzymu, nie było szalonego Cezara, nie było świątyni, bogów, pogan — był tylko Chrystus, który wypełniał ziemię, morze, niebo — świat.“

W tym obrazie, godnym Rembrandta, są tylko światła i cienie; ale jak się to wszystko w kontrastach rysuje, jak uroczyste wygląda to zacisze, gdzie miesięczne promienie srebrzystym pendzlem rzucają na tło nocy linie architektoniczne, kontury drzew; wydobywają z pod kapturów urwypukłone w przezroczystej jasności profile i roziskrzają w ciemności oczy, niby gwiazdy; jakim natężeniem życiem w tym przybytku śmierci żyją ci ludzie, których odsłonięte głowy, zabarwione jedynie odbłaskami księżycowych smug z nieba, płonącego na ziemi stosu i migających w powietrzu błędnych ogników latarek, mają niemateryalną prawie, uduchownioną plastykę!

Tajemnica tej innej, odmiennej plastyki tkwiznowu w stylu Sienkiewicza. Uważajmy tylko, że słowo odtwarzające tę cmentarną ciszę, traci poniekąd swoje przedmiotowe natężenie; kolory w niem przybladły, za-

rysy z łagodniejszą występują wydatnością; a energia, z jaką rzeźbiło z materii świat pogański, zstępuje od powierzchni życia wgląd jego, do duszy, która się w chrześcijańskiej ludzkości ocknęła. Psycholog musi tu z konieczności głośniejszy od artysty przemawiać, i czyni to nawet z pewnym akcentem subiektywnym. Jest jakaś utajona tkliwość w charakterystyce wrażeń, których doznawała gromadka chrześcijan, słuchających nauk Apostoła; odczuwa się dźwięczącą w ich pieśni tęsknotę, słyszy się w niej „wołanie po nocy,“ a ten nastrój dochodzi do nas nie echemi dźwięków fizycznych, opisowo oddanych, lecz falą sympatyj przepływającej przez duszę autora. Sentymentalizmu w tem niema ani jednej nutki; jest tylko ów najwyższy artyzm, w którym drgająca duchowem życiem indywidualność poety wsiąka w przedmiotowe jego tworzywo.

Artyzm taki zdumiewa tembardziej, że go Sienkiewicz stosuje do odtwarzania nie jednostkowej, lecz zbiorowej chrześcijańskiej duszy, którą przedstawia z tą samą doskonałością, z jaką szkicował zewnętrzną fizyognomię tłumu. Właściwie mówiąc, z tego tłumu nie wyodrębnia się żadna postać, którąby w znaczeniu bohatera powieściowego można było przeciwstawić złowrogiej figurze Nerona. Apostoł Piotr, Paweł z Tarsu, starzec Kryspus, ze swemi wyraźniej zaakcentowanymi rysami, — to jakby zewnętrzne odmiany jednego duchowego oblicza, na którem odbijają się tylko uczucia i myśli, przenikające masy i dźwigające je stopniowo na wyżyny bohaterstwa. Jeżeli chodzi o artystyczną antytezę, Neron spotyka się z godną swej wszechwładzy siłą, a wzrost jej, przez szereg patetycznych momentów, potęguje jeszcze tragizm tego spotkania.

W jednym z takich momentów, wieje na nas jakby przedzgonna trwoga, ogarniająca duszę chrześcijanina, pod wpływem wciskającego się do niej zwątpienia. Hasło: „chrześcijanie dla lwów!“ rozlega się już po całym Rzymie, wraz z pogłoską, że oni to spalili gród cesarowy. Prześladowanie rozpoczęło się, i codzień nowemi ofiarami wypełnia więzienia. Uszczuplona już gromadka, zebrała się nocą w winnicy, dziko, ustronnie, za porta Salaria położonej. W szopie, gdzie zwykle wytłaczano wino, chrześcijanie odmawiają rodzaj litanii, powtarzając co chwila: „Chryste, zmiłuj się!“ głosem, w którym drga głęboki, rozdzierający smutek i żal.

Piotr klęczał na przodzie, przed drewnianym krzyżem, przybitym do ściany szopy, i modlił się, a do modlitwy jego głęboka mieszała się boleść, nad ludzką trwogą i niedolą. Bo oto, do uszu jego dochodzą głosy, pełne żalostnej skargi i cierpienia bez granic: „Porwano mi jedyne-go syna, który mię żywił!“ woła jeden; „kaci znieważyli córki mojej!“ rozpacza drugi; „Limusa położyli na mękę!“ skarży się trzeci, — a wszystkie powtarzają: „Biada nam, kto nas osłoni!“

Więc powstał Piotr, a rozpoczynając mówić głosem tak cichym, że go ledwie można było dosłyszeć, i wlewając stopniową otuchę w zaleknione serca, rósł w majestacie; bił mu z oczów blask, szła od niego siła, szła świętość. Głowy chyliły się przed starcem, gdy wołał:

— Siejcie w płakaniu, ażebyście zbierali w weselu. Czemu lękacie się mocy złego? Nad ziemią, nad Rzymem, nad murami miast jest Pan, który zamieszkał w was. Kamienie zwilgną od łez, piasek przesiąknie krwią, pełne będą doły ciał waszych, a ja wam powiadam: wyście zwycięzcy!... Pan idzie na podbój tego miasta zbrodni, ciemności i pychy — a wyście legie jego. Więc wam błogosławię, dzieci moje, na mękę, na śmierć, na wieczność!

I szli z tem błogosławieństwem, i pilno im było do domów, do więzień, na areny. Dusze ich wzięły lot ku nieskończoności; śpieszyli, jakby we śnie, lub zachwyceniu, przeciwstawiać tę siłę, która w nich była siłą i okrucieństwem „bestyi.“

Przeciwstawienie wstrząsa tem głębiej, że po jednej stronie występuje demoniczna wszechwładza, widomie w szatańską postać wcielona, z drugiej, dźwiga się moc jakaś, niepochwytana, o nieznanem jeszcze obliczu. Spotykają się w cyrku. Nie będę zatrzymywał się w tej chwili nad potężującymi ciągle w arenie cyrkowej kręgami tego Danteskiego piekła; zwrócę tymczasem uwagę na jeden rys, wspólny wszystkim obrazom męczeństwa — na nieosobistość cierpienia. Jest coś dziwnie wzruszającego w symbolu tej nieosobistości, w śmiertelnej maskaradzie, osłaniającej w męczennikach wszystko, co w nich jeszcze indywidualnego pozostać mogło, w tym tragicznym kontr-motywie do korowodu satyrów, faunów, nimf i bachantek, dla których strój był nadstawem Agryppy, zrównaniem w orgii i rozpuście.

„W niskim, ciemnym lochu, do którego światło dochodziło jedynie przez zakratowane otwory, oddzielające go od areny, nagromadzone tłum dziwacznych istot, podobnych do wilków i niedźwiedzi. Byli to chrześcijanie poobszywani w skóry zwierząt. Jedni z nich stali, drudzy modlili się klęcząc. Tu i owdzie z długich włosów, spływających po skórze, można było odgadnąć, że ofiara jest kobietą. Matki, podobne do wilczyc, nosiły na ręku również kosmato obszyte dzieci. Lecz z pod skór wychylały się twarze jasne, oczy w mroku połyskiwały radością i gorączką. Widocznem było, że większą część tych ludzi opanowała jedna myśl wyłączna i zaziemska, która jeszcze za życia znieczuliła ich na wszystko, co się koło nich dziać, i co ich spotkać mogło.“

Płeć, wiek, stan, węzły rodzinne, siła, słabość — wszystko znikło, została pod zbiorową larwą jedna dusza, w wizję niebieską wpa-trzona.

To samo w stanowczej chwili, gdy już umrzeć przychodzi.

„Słońce podniosło się wysoko, i promienie jego precedzone przez purpurowe „velarium,“ napełniły amfiteatr krwawem światłem. Piasek przybrał barwę ognistą, i w tych blaskach, w twarzach ludzkich, zarówno jak i w pustce areny, która za chwilę miała się zapęłnić męką ludzką i zwierzęcą wściekłością, było coś strasznego. Zdawało się, że w powietrzu unosi się groza i śmierć... Zgrzytnęły żelazne kraty, i w jednej chwili arena załadniła się gromadami, jakby sylwanów pokrywanych skórami. Wszyscy biegli prędko, nieco gorączkowo, i wypadli na środek koliska, klękali jedni przy drugich, z wzniesionemi w górę rękoma. Lud sądził, że to jest prośba o litość, i rozwścieczony takim tchórzostwem, począł ryczeć: „zwierząt! zwierząt!..“ Lecz nagle stało się coś nieoczekiwanego. Oto, ze środka kosmatej gromady podniosły się śpiewające głosy, i w teje chwili zabrzmiała pieśń, którą po raz pierwszy usłyszano w rzymskim cyrku: *Christus regnat!*..“

Nie przerwało jej wypuszczenie stada olbrzymich psów, które rzuciły się na rozmodlone ofiary. Wśród wycia i charkotu słyhać jeszcze było żalosne głosy mężkie i kobiece: *pro Christol pro Christol* ale na arenie potworzyły się drgające kłęby z ciał, zwierząt i ludzi. Krew płynęła teraz strumieniem. Psy wydierały sobie wzajem krwawe ludzkie członki. Zapach krwi i poszarpanych wnętrzności zagłuszył arabskie wonie, i napełnił cały cyrk. W moment później, gdy wypuszczono wygłodniałe lwy, „widziano rzeczy strasne: głowy ludzkie, znikające całkowicie w czeluściach paszcz zwierzęcych, piersi otwierane na roście jednem uderzeniem kłów, wyrwane serca i płuca, słyszano trzask kości w zębach. Chwilami słyhać było niehumaniczny wrzask, chwilami okłaski rozjuszonego tłumu, chwilami ryk, pomruk, kłapanie kłów, wycie molosów, chwilami jęki tylko.“

Kunikula dostarczały tymczasem coraz nowych ofiar na śmierć bezimienną, śmierć bez fizyognomii, śmierć, w której gest ojca usiłującego choć na chwilę przedłużyć życie dziecku, był ostatniem drgnięciem ziemskich uczuć; śmierć stwierdzającą wspólnością mąk i jednym dreszczem konania, nową w ludzkości potęgę — solidarność.

Z najwyższego rzędu w amfiteatrze, spoglądał na to Piotr Apostoł: jak niegdyś w Korneliuszowej winnicy błogosławił na wieczność tym, których miano pochwyć, tak teraz żegnał krzyżem ginących pod kłami zwierząt, i ich krew, i martwe ciała, zmienione w niekształtne bryły, i dusze ulatujące z krwawego piasku.“

Nareszcie umilkła na arenie pieśń: „*Christus regnat,*“ a pijany okrucieństwem Cezar napawał się przez chwilę tem milczeniem, nie czując, że nad Rzymem, wstrząśniętym w posadach od drgań w powietrzu tej pieśni, inne rozpoczęło się panowanie.

IV.

Zdawało-by się, że wśród tych epickich między dwoma światami zapasów, nie będzie miejsca na indywidualną miłość, że „nie czas żałować róż, gdy płoną lasy.“ A jednak taka właśnie miłość w doskonałej grupie, skojarzonej ręką mistrza z sielanki i dramatu, występuje na pierwsze plany powieści. Cztery postacie stanowią tę grupę: dekadent z doby, kiedy „miało się już pod koniec starożytnemu światu,“ i jego niewolnica; nawracający się na wiarę Chrystusa rycerz rzymski, i potajemnie w tej wierze wychowana córka północy, zakładniczka wojenna; miłość pogańska, która umiera, i miłość chrześcijańska, która się rodzi. Już same wchodzące do dziejów tego uczucia pierwiastki wskazują, że nie są to romansowe przygody „interesujących“ bohaterów, przedstawione na tle orgii cezorowych i prześladowań chrześcian, użytych za efektowną dekorację. Historia tych serc ściśle i nierozzerwalnie wiąże się z historią dwóch walczących ze sobą światów; a jest w tem coś więcej, prócz zręczności pisarza, który zbudował „Quo vadis,“ najorganiczniej może i najkunsztowniej ze wszystkich swoich powieści: jest głęboko dojrzone w duszach kochanków odbicie przeobrażających się ideałów iudżkości. Śmierć Petroniusza i Eunice sprawia wrażenie, jakby z nią zagasło coś w dziejach bezpowrotnie; ocalenie Viniciusza i Lygii zdaje się coś na wieki rozniecać. A przecież te dwie pary tylko się kochają. Ale wyrafinowany w hellenizmie patrycyusz, konając, przyciska do piersi głowę greczynki; a odrodzony chrztem neofita, tuli w objęciach królową barbarzyńców. Wyglądało-by to prawie na symbol, gdyby nie przeciwna wszelkiemu symbolizmowi plastyczna twórczość Sienkiewicza, gdyby nie jego nadzwyczajna moc wydobywania życia z prochów stuleci; gdyby nie doskonałość tej artystycznej organizacji, w której wszystko to nawet, co wydawać-by się mogło myślowym tylko rozwinięciem dzieła, przybiera odrazu realne kształty.

Oto Petroniusz: Kajus według Plutarcha i Tacyta, Tytus według Pliniusza — o co mniejsza, i o co się nie troszczy Sienkiewicz, skoro jest nazwa, która mu bohatera do potomności przekazała. *Arbiter elegantiarum!* Zestawmy tę definicyę z tacytowską charakterystyką Nerona, *Incredibilem cupitor*, a złoży nam się z nich całkowita psychologia upadającego Rzymu. Namiętna, lubieżna prawie żądza potworności, i wydelikaczone, nieledwie chorobliwe pragnienie piękna; demokratyczny w cezaryzmie instynkt wyolbrzymiania wszystkiego,

co jest masą, żywą czy martwą, i arystokratyczna aspiracja rzeźbienia z tej wielkiej bryły harmonijnego dzieła sztuki; Rzym - Bestya, chwiejący się pod pierwszemi ciosami nieznaney mu dotąd zewnętrznej potęgi, i Rzym - Artysta, rozkładający się sam w sobie, we własnej duszy, umierający na grecki sceptycyzm, na grecką literaturę, na grecką sztukę, na grecką kobietę. Ten Petroniusz dopełnia Nerona; ale jakże, niezależnie przy tem, jak indywidualnie u Sienkiewicza żyje!

Pięknym jest, pięknocią rzeźbiarską i innym go sobie wyobrazić nie podobna. Cokolwiek czyni, ma postawę i ruchy posągu, nie pozując nigdy, bo swoboda, naturalność i wdzięk, harmonijnym muszą odzywać się akordem w duszy nastrojonej na pogodny sceptycyzm. Ta pogoda nie ma w sobie nic z powszedniego optymizmu, lecz wykwita lekko ironicznym uśmiechem na ustach człowieka, który wszystko wie, w nic nie wierzy, do życia, ani cudzego, ani własnego żadnej nie przywiązuje wagi, a szczęście w nim widzi o tyle, o ile urzeczywistnia pewne ideały artystyczne. Nie szuka tych ideałów, jest na to zbyt spokojnie, zbyt klasycznie zrównoważoną naturą; ale wobec napotkanych, umie być wykwinnym smakoszem; a tam, gdzie ich niema, odzywa się w nim zawsze pogardliwy, nigdy oburzony satyryk, czasem, jakby zawiedziony jakiś i tęskniący za czemś poetą. Więc mu żal pustoszejącego wobec niewiary Olimpu, bo Olimp był piękny, i dla tego, dowiedziawszy się od swego przyjaciela, że chrześciane innych bogów, prócz swego, uznawać nie chcą, odpowiada mu uwagą: „nie wiem, co-by to im szkodzić mogło,“ choć znowu zdziwiłby się bardzo, gdyby mu wtedy powiedziano, że kiedyś, ktoś na tronie upomni się za tych bogów, i przejdzie z tem do nieśmiertelności; więc istnieją dla niego na ziemi czyny piękne i brzydkie, lecz wartość ich mierzy estetyką, lub popolitością gestu; więc potrafi ten wykwinny zstąpić nawet w otchłanie rozpusty, oddychać powietrzem orgii, ale potem napisze *Satyricon*, i nosobiwszy w Trymalchionie Klaudyusza, czy Nerona — to rzecz obojętna — przepuści przez różgi całą zgrają heter, pasorzytów, deklamatorów, łowców spadkowych i wszelakiej halsystry. Czy jest zły, czy dobry? Nad tem nikt nie ma ochoty zastanawiać się — jest sympatyczny, i to każdego ujmuje. Był podobno surowym prokonsulem w Bithynii, a lubi go plebs rzymski, którym zresztą pogardza wykwinny patrycyusz; umie na ulicy „krótkim mieczykiem“ pozbyć się natrętnego opoja, a nie chce być świadkiem batożenia niewolników; jest dworakiem, istoi wyżej od tych, którym, a raczej, nad którymi dworuje; ma egoizm epikurejczyka, a potrafi być przyjacielem; wyczerpał tajemnice wszystkich rozkoszy, a umie kochać. Gdzie się w nim kończy człowiek, gdzie zaczyna artysta? Niepodobna pochwycić granicy nawet w tych listach do przyjaciela, w których Sienkiewicz tyle subtelných rysów dorzucił do

jego wizerunku. „Dwóch chcę znać tylko filozofów: — pisze Petroniusz — jeden zowie się Pyrrhon, drugi Anakreont. Resztę tanio ci sprzedać mogę wraz z całą szkołą greckich i naszych stoików. Prawda mieszka gdzieś tak wysoko, że sami bogowie nie mogą jej dojrzeć ze szczytów Olimpu.“ On się na te szczyty wspinać nie raczy, ale ma w sobie prawdę, którą ceni nad wszystko, ma zmysł życia. Chrześcian nie może i nie chce zrozumieć, bo psują zmysł życia, bo każą się wyrzec różanych wieńców, uczt i rozkoszy, a kochać takich nawet ludzi, „którzy mają albo krzywe łopatki, albo grube kolana, albo wyschłe łydki, albo okrągłe oczy, albo za wielkie głowy, i którym natura nie dała kształtu Niobidów; bo na ich polach Elizejskich nie przyjęto-by go z jego gemmami, z jego wazą myrreńską i z wydaniem od Sozjuszów, i z jego Złotowłosą. Kto kocha piękność dla tego samego, nie może kochać brzydoty.“ A jeżeli ta piękność wcielona jest w kobietę, to nie należy zapominać, „że marmur sam w sobie choćby najdroższy jest niczem; że prawdziwej wartości nabiera dopiero, gdy go w arcydzieło przemieni ręka rzeźbiarza... Kochać jest nie dość, trzeba umieć kochać, i trzeba umieć nauczyć miłości. Wszak rozkosz odczuwa i plebs i zwierzęta; lecz prawdziwy człowiek tem się właśnie od nich odróżnia, że ją niejako w szlachetną sztukę zamienia, a lubując się nią, wie o tem, całą jej boską wartość w myśli uprzytomnia, a przez to nietylko ciało, ale i duszę nasycy.“

Kreśląc te słowa, nie przypuszczał Petroniusz, że się niebawem w jego własnym domu przyobloką w kształty dziwnie z życia i sztuki splecione — tylko marmurem był on, rzeźbiarką była kobieta.

Wyszedł właśnie z porannej kąpieli, którą orzeźwił się z nim przybyły świeżo z Azyi Mniejszej siostrzeniec, Viniciusz. W unctuarium dwie Murzynki, podobne do wspaniałych posągów z hebanu, i dwie, wprost bóstwom podobne greckie dziewczyny z Cos, poczęły uprzętać epilichnia z woniami. Gdy po chwili na ciche wezwanie cheiowych swawoli balneatorów, rozbiegły się po termach niewolnice, w unctuarium pozostała tylko vestiplica Eunice. „Czas jakiś nasłuchiwała od dalających się w kierunku laconicum głosów i śmiechów, wreszcie uniósłszy wykładany bursztynem i kością słoniową stołek, na którym przed chwilą siedział Petroniusz, przysunęła go ostrożnie do jego posągu. Unctuarium pełne było słonecznego światła i kolorów bijących od tęczyowych marmurów, któremi wyłożone były ściany. Eunice wstąpiła na stołek — i znalazłszy się na wysokości posągu, nagle zarzuciła mu na szyję ramiona, — poczem odrzuciwszy w tył swe złote włosy i tuląc różowe ciało do białego marmuru, poczęła przyciskać w umieszczeniu usta do zimnych warg Petroniusza.“

Ile tu motywów w tym pięknym, a tak zda się prostym pomysłem! Ta dziewczyna tuląca w namiętym uścisku posąg, jest najprzód Greczynką, w harmonijnych kształtach rozmiłowaną; potem kobietą, kochającą skrycie a bez wzajemności i spotykającą w pocałunku zimne nieczułe usta; wreszcie Galateą, która odwróci myt o Pigmalionie i objętny głaz technieniem miłości ożywi.

Jakim sposobem się to stało? Sam Petroniusz nie umiał-by tego wyjaśnić. Nie żadne błyskawiczne olśnienie otworzyło mu oczy, ani wstrząsnęła nim nawałnica żądz. Była nawet chwila, że chciał niewolnicę darować na rozrywkę krewnemu, owładniętemu nieszczęśliwą miłością, a napotkawszy coś w rodzaju oporu, kazał jej dać plagi, „tak jednak by nie popsuć skóry“. Ale kiedy nazajutrz, mówiąc z nią o lekarzu, mędrцу i wróżbicie, który jej przepowiedział przyszłość, zagał „coby jej wywróżył“ i otrzymał odpowiedź „że spotka ją boleść i szczęście“; i gdy na swoją uwagę „że boleść spotkała ją wczoraj, a więc powinno przyjść i szczęście“, usłyszał:

— Już przyszło panie.

— Jakie?

A ona szepnęła:

— Zostałam.

Wtedy Petroniusz spojrział na Eunice i wydała mu się bardzo piękna. Kiedy zaś okręciwszy go w toę poczęła ją układać, schylając się chwilami dla wydłużenia fałd, spostrzegł, że jej ramiona mają precudny kolor bladej róży, a pierś i barki precudne odbłaski perłowca lub alabastru. Potem Torquatus Silanus ofiarował mu za Eunice cztery kasztany, których nie chciał, mimo że niewątpliwie wyścig wygrają. A potem...

— Kobieta piękna warta jest zawsze tyle złota ile waży,—mówi Petroniusz do Viniciusza, — ale kobieta, która kocha, nie ma wprost ceny!

To rzekłszy zawołał Eunice, która weszła ubrana w białą drapeiryę, złotowłosa, już nie dawna niewolnica, ale jakby bogini miłości i szczęścia.

On zaś otworzył jej ramiona i rzekł:

— Pójdź.

Na to przybiegła ku niemu i siadłszy na jego kolanach, oplotła mu ramionami szyję, głowę zaś złożyła na jego piersiach.

— Szczęśliwy, kto jak ja znalazł miłość w takim zamkniętym kształcie. Czasem wydaje mi się, że jesteśmy dwojgiem bogów. Patrz sam czy Praksyteles, czy Miron, czy Skopos lub Lyziasz utworzyli kiedy cudniejsze linie, czy na Paros lub w Pentelikonie istnieje podobny marmur ciepły, różowy i rozkochany?.. To też teraz napełniam

życie szczęściem, jak puhar najprzedniejszem winem jakie wydała ziemia i piję, póki nie zmartwieje mi ręka i nie pobledną mi usta.

Długo pić nie będzie, postarają się o to u Nerona. „Słońce już dla mnie zaszło, pisze po pewnym czasie Arbitr, i zmierzch ogarnia mi głowę. Innemi słowy, ja muszę umrzeć, carissime. Tak musiało się skończyć. Ty, który znasz Ahenobarba, z łatwością to zrozumiesz. Tigellinus mię zwyciężył, a raczej nie! To tylko moje zwycięstwa dobiegły końca. Żyłem jak chciałem i umrę jak mi się podoba. Mylisz się Viniciuszu sądząc, że tylko wasz Chrystus uczy umierać spokojnie. Nie. Świat nasz wiedział przed wami, że gdy ostatnia czara wychylna, czas odejść, spocząć i umie to jeszcze uczynić pogodnie.

I nie zadał fałszu swemu światu.

Rozmowa z Eunice w willi Kumejskiej. jest arcydziełem skupionego w spokoju uczucia.

— Czy ty wiesz — rzekł do niej Petroniusz, — że już nie jesteś niewolnicą?

A ona podniosła na niego swoje spokojne, błękitne jak niebo, oczy i poczęła zaprzeczać ruchem głowy.

— Jestem panie zawsze, — odrzekła.

— Lecz może tego nie wiesz — mówił dalej Petroniusz, — że ta willa i ci niewolnicy, którzy tam wiją wieńce i wszystko co w niej jest i pola i stada, należą od dziś do ciebie.

Eunice usłyszawszy to odsunęła się nagle od niego i głosem, w którym zabrzmiał nagły niepokój zapytała:

— Czemu mi to mówisz panie?

Następnie zbliżyła się znów i poczęła patrzeć na niego, mrugając z przerażenia oczyma. Po chwili twarz jej stała się biała jak płótno, on zaś uśmiechał się ciągle i wreszcie rzekł jedno tylko słowo:

— Tak!

Nastała chwila milczenia, tylko lekki powiew poruszał liśćmi buku.

Petroniusz mógł istotnie sądzić, że ma przed sobą posąg wykuty z białego marmuru.

— Eunice, — rzekł, — chcę umrzeć pogodnie.

A dziewczyna, spojrzawszy nań z rozdzierającym uśmiechem wyszeptała.

— Słucham cię, panie.

I usłuchała z taką miłością, że gdy ugościwszy biesiadników zaproszonych na ucztę, rozochociwszy serca ich widokiem światła, bluszczowych kruż, win lodowaciejących w śniegowej pościeli; nasyciwszy się wraz z nimi wonią fiołków, dźwiękami pieśni Anakreona, i urokami rozmowy, podobnej do promienia słońca, który coraz to inny

przedmiot oświeca, lub do lekkiego powiewu, który porusza kwiaty w ogrodzie; zażywszy wreszcie roskoszy bogów, zemsty nad Nerodem, w liście, straszniejszym dla cezara-komedyanta od utraty państwa, Petroniusz kazał lekarzowi-Grekowi otworzyć sobie żyłę,—wtedy Eunice wyciągnęła również swe różane ramię i po chwili krew jej poczęła się zlewać i łączyć z jego krwią.

I tak wsparci o siebie, piękni jak dwa bóstwa, błędąc uśmiechali się; gdy zaś milkły tony pieśni, Petroniusz ostatnim ruchem objął martwą już Eunice, poczem głowa opadła mu na wężgłowie i umarł; a biesiadnicy patrząc na te dwa białe ciała, podobne do cudnych posągów, zrozumieli dobrze że z nimi razem ginie to, co jedynie jeszcze pozostało ich światu — poezya i piękność.“

V.

Nie wszyscy kontenci byli z tego, że Sienkiewicz jest zdania biesiadników Arbitra; znaleźli się tacy, którym ta miłość pogańska w zestawieniu z chrześcijańską wydała się zbyt piękną, i dla których Viniciusz i Lygia tracili obok Petroniusza i Eunice.

Jest-to, zdaje mi się, proste nieporozumienie co do stosunku autora do jego bohaterów i omyłka w ocenianiu środków, jakimi odtwarzać ich musiał. Sympatyę czuł oczywiście przy tworzeniu dla jednych i dla drugich, tylko sympatyę różnej natury; artysta, zmysłami Ignąc do piękna pogańskiego i jedynie z tych wrażeń oddając jego plastykę, jako psycholog duszą był w świecie chrześcijańskim i inne, niematerialne wydobywał z niego piękności. Chwile tryumfu święci poeta tam, gdzie urzeczywistnia poniekąd syntezę dwóch światów, gdzie kochankowie stojący na ich pograniczu i w podwójnem niejako przedstawiający się oświeceniu, promienieją skojarzonym pięknem ciała i ducha; ale takich chwil nie może być wiele, „bo skończona wielka tragedia powagi i ciszy greckiej“, bo z fizyguonii kochanków znikł spokój.

Miłość Petroniusza i Eunice była szeregiem motywów rzeźbiarskich, odtwarzających uśmiechnięty Olimp na ziemi; miłość Viniciusza i Lygii, w inne zapatrzona niebo, odbić w sobie przedewszystkiem musiała, nieznany Olimpowi pierwiastek -- cierpienie, z którym wdarł się do niej czynnik dramatu i snuje się pasmem momentów psychologicznych. Dramat, to znaczy walka, ruch, to znaczy konieczność odmien-

nego dla pisarza artyzmu. O posągach nie może być mowy tam, gdzie panować musi w fizyognomiach żywa, zmienna, wroga rzeźbie ekspresja, tam zwłaszcza, gdzie łamią się ustawicznie promienie duszy, rzucając od wewnątrz na oblicza coraz inne odblaski. Nie więc dziwnego, że postacie chrześcijańskich kochanków nie krzepną w wyobraźni czytelnika w tak skończone po snycersku kształty jak figury dwojga pogańskich bohaterów. Viniciusz i Lygia walczą nie tylko w sobie, ale w pewnym stopniu i z sobą; on usiłuje zwyciężyć w niej chrześciankę, ona pragnie w nim pokonać poganina; oboje kochają, każde po swojemu; oboje mówią chwile, kiedy się w nich pasują stare i nowe ideały i kiedy Sienkiewicz musi w lot prawie chwycić wyraz na twarzach odbijających wszystkie fazy tych przeobrażeń.

Niespokojnym, podnieconym spotykamy odrazu Viniciusza, gdy opowiada Petroniuszowi wrażenia jakich doznał na widok Lygii, w domu wychowawców jej Aulusów. Widział ją raz, podczas swego dłuższego tam pobytu, jak o świcie myła się w ogrodowej fontannie; przysięga „na tę pianę, z której powstała Afrodyta, że promienie zorzy przechodziły na wylot przez jej ciało“, i myślał, że gdy słońce zejdzie ona rozplynie mu się w świetle, jak rozpląwa się jutrzeńka. Spotkał ją potem koło cysterny, skrapiającej irysy kicią trzciny, zanurzanej w wodzie i zęgnął, błogosławiąc wypadek, który go kilkanaście dni u Aulusów zatrzymał, a ona słuchała zmieszana, ze schyloną głową, kreśląc trzcina wyobrażenie ryby na szafrannym piasku. Kiedy wreszcie na odwiedzinach z Petroniuszem, którego był uprosił aby mu towarzyszył do opiekunów Lygii, przemówił do niej słowami Odyssa, witającego Nausikę, ona, po krótkiej walce z zawstyżeniem, odpowiedziała mu, uśmiechając się swawolnie, słowami tejże Nausikai, poczem zawróciwszy w miejscu uciekła jak spłoszony ptak.

Śliczna jest ta dziewczyna, rysująca na piasku symbol chrześcijański i „pod firanką z bluszczów ze światełkami drgającymi na twarzy“, przemawiająca mową Homera do człowieka, którego kiedyś pod stopy krzyża zaprowadzi; śliczna jest, gdy później cała ozłocona wieczornymi blaskami słucha miłosnych wyznań jakby głosu greckiej fletni, kiedy jej się zdaje, że on mówi coś takiego, co w niej było już poprzednio, ale z czego nie umiała sobie zdać sprawy; śliczna inaczej niż Eunice w unctuarium Petroniusza, bo podobnie jak lica drgające po malarsku grą świateł i cieni, dusza jej mieni się także zmierzchami i blaskami, które wkrótce stanowczy bój z sobą stoczą.

Za sprawą Petroniusza. mniemającego że krewniakowi swemu przysługę wyrządza, Lygia, odebrana od Aulusów dostaje się do pałacu cezara, skąd, jak sędzi Arbiter, łatwiej zdobędzie ją dla siebie Viniciusz. Do przerażenia dziewczęcia, zdecydowanego na śmierć ra-

czej niż na poddanie się jakowej przemocy, łączy się jednakże pewna niewieścia ciekawość, zwłaszcza że ma być obecna na jednej z tych uczt, o których cuda w Rzymie opowiadano. Pierwszy i ostatni raz w posągowej i antycznej piękności wystąpi Lygia, kiedy dawna kochanka Nerona, obnażywszy ją do namaszczeń i strojów, nie mogła wstrzymać okrzyku podziwienia na widok kształtów „zarazem wiotkich i pełnych utworzonych jakby z perłowej masy i róży“, kiedy z zachwytem patrzyła na tę dziewczynę „cudną, jak cudny sen, harmonijną jak dzieło Praksytelesa, lub jak pieśń, ale zmięszaną, różową od wstydu, ze ściśniętymi kolany, z rękoma na piersi i ze spuszczone mi na oczy rzęsami“. Pierwszy i ostatni raz, spoczywając w tricilium obok Viniciusza, odurzona zatrutą atmosferą orgii, odczuje na sobie zabójcze technienie tego świata, pod którym owionie ją płomień, potem dreszcz przejmie i ogarnie wrażenie jakby leciała w jakąś przepaść, dopóki ją z objęć zeszczonego żądzą Viniciusza nie wyrwała siła Ursusa, olbrzymiego Lyga, domownika Lygii. Widzimy ją potem modlącą się w domu cesarza przy rannej zorzy, ze wzniesioną głową i rękoma, zapatrzoną w niebo i jakby oczekującą stamtąd ratunku. „Świt obrzucił światłem jej ciemne włosy i białe peplum, odbił się w źrenicach i cała w blasku, sama wyglądała jak światło. W jej pobladłej twarzy, w otwartych ustach, we wzniesionych rękach i oczach znać było jakieś nadziemskie uniesienie. I Akte zrozumiała teraz dla czego Lygia nie może zostać niczyją nałożnicą“. A później, kiedy wprowadzona przez Ursusa z Palatynu kryje się między chrześcianami i wśród nich spotykamy ją w Ostrianum, stoi w pełnym świetle płonącego stosu „kaptur zsunął jej się z głowy i rozrzucił włosy, usta miała nieco otwarte, oczy utkwione w Apostoła, twarz zasluchaną i zachwyconą. W płaszczu z ciemnej wełny, ubrana jak dziewczyna z ludu, uderzała w przeciwstawieniu do tego niewolniczego niemal ubioru, szlachetnością, cudnej patrycyuszowskiej głowy. Przy olbrzymim Lygu wydawała się niemal dzieckiem; kształty jej wyszczuplały, pleć była prawie przezrocza. Czyniła wrażenie kwiatu i duszy.“ Jakże oddaliliśmy się od rzeźby i jej plastyki!

I coraz dalej od niej będziemy.

W izbie biednej wdowy-chrześcianki, w ubogim ubiorze robotnicy, z twarzą jeszcze bledszą i szczuplejszą, okoloną skrętami ciemnych włosów, z czarą wody, którą choremu podaje, przybiera Lygia stopniowo coraz promienniejsze kontury wizji, aż w lochach Eskwilińskiego więzienia biała jak alabaster, wyniszczona gorączką ciała, wyrrywająca się na skrzydłach duszy z materialnych więzów, zdaje się przy mdłym świetle kagaka rozplwać w męczeńskiej aureoli.

Za tem widzeniem, coraz niklejszem, goni Viniciusz z całą rozpaczą człowieka, który przez jedną krótką chwilę poczuł w objęciach doskonałą piękność realnych kształtów. Patrycyusz, ceniony przez samego Arbitra za to, że w zepsuciu „umiał zachowywać pewną estetyczną miarę“, miał jednak przedewszystkiem naturę żołnierza, nieprzyzwyczajonego do oporu, Rzymianina wyrosłego w atmosferze okrucieństwa. Chciał-by zabić Aula i Pomponię, a dziewczynę uprowadzić od nich i zanieść na rękę do swego domu. „Nie będę dziś spał, — mówi w jednym z tych paroksyzmów żądy, — rozkażę ćwiczyć którego z niewolników i będę słuchał jego jęków...“ Kiedy Petroniusz odjął Lygię Aulusom, dumny ze swego postępku dumą estety, uradowanego że Lyzypp mógł-by utworzyć z obojga cudowną grupę; kiedy upojeniu na uczcie cezara tak niespodzianie kres położył Ursus; kiedy po nieudanej próbie porwania z Palatynu Viniciusz jednym uderzeniem brązowego świecznika strzaskał czerep niewolnika, który go niegdyś wyniańczył, i który odważył się oznajmić panu o odpięciu porwanej przez nieznanых ludzi; kiedy wściekłość zawiedzionego koją jedynie „jęki i świst różeg trwający do rana“; kiedy Akte upewnia go jednak, że jest kochanym, że nie nienawiść skłania Lygię do ukrywania się przed nim - Viniciusz nie może pojąć „co to za miłość, która boi się rozkoszy a płodzi boleść, co to za miłość, która się wyrzeka, wobec której istnieje coś silniejszego“, i chciałby mieć broniącą się po to tylko, żeby zdeptałą i upokorzoną niewolnicę za włosy zawlec do cubiculum, żeby lubować się znakami jakie na jej różanem ciele zostawił-by batog“. Dopiero w Ostranum rodzi się w nim niejasne jakieś poczucie, że to zapewne wyznawana przez Lygię tajemnicza nauka stworzyła rozdział między nim a dziewczyną, że Lygia na cmentarzu wchłaniająca wśród rozekstazyowanych „szaleńców“ tę naukę, którą on z trwogą i pewną nienawiścią odrzucał w duszy, czując jednocześnie „iż się od niej rozchodzi, jakby od łąki pełnej kwiatów jakaś woń upajająca“, że ta chrześcianka jest różną od innych kobiet, niedostępną żądy, bogactwom, rozkoszy, niezdolną nic ze swych prawd dla niego poświęcić, i że nie miłośnicą jego lecz ofiarą tylko stać-by się mogła.

Więc w tej samowolnej naturze, odwyklej na Wschodzie od wszelkiego hamulca wśród zachceń wszechwładnego despotyzmu, wybucha znowu recydywa rozsrożenia w nowem usiłowaniu porwania Lygii, powtórnie udaremniomem pięścią Lyga, który tym razem fizycznie obezwładnia wrzącego Rzymianina.

Choroba Viniciusza i uleczenie go przez Glauka w domu wdowy Myriam, pod okiem Lygii, jest początkiem moralnego w nim przeobrażenia, a wytyczne momenty metamorfozy i pośrednie w niej stopnie, są zarazem szezeblami, po których uczucie, wyzbywające się zwolna

fermentów krwi, unosi się ku wyżynom coraz idealniejszym. Sienkiewicz występuje tu jako skończony psycholog. Widzimy prawie dotykalnie jak z materyalnych wrażeń rekonwalescenta wytwarza się stan duszy katechumena i przestrasza się na inny ton serce kochanka; jak miłość Viniciusza czerpiąc z nowych źródeł zdrowie, prawdę i dobroć uduchownia się mimo jego wiedzy. Dawny człowiek odzywa się w nim jeszcze nie raz, ze zdwojonym nawet rozpędem, ale po to tylko, żeby tem silniej odczuć swoją bezbronność wobec potęgi, której władaniu oprzeć się już nie może. To też gdy Lygia znikła mu znowu z oczów, rozumie że nie przed nim lecz przed sobą uciekła; ale nawet odgadując jej miłość oburzy się na samą myśl nowego gwałtu; tylko rys smutku zmiękczy marsową fizyognomię młodzieńca.

Odtąd ten wyraz nie ustąpi już z oblicza Viniciusza, łagodniejąc tylko chwilami w przelotnych blaskach szczęścia. Za ledwie odnalazł ukochaną, za ledwie w odpowiedzi na swoją gotowość ukorzenia się przed wyznawaną przez nią prawdą usłyszał z drogich ust:

— Kocham cię Marku!

aliści nawałnica klęsk i katastrof odrywa narzeczonego od oblubienicy, której postać eteryzuje się coraz, subtelniej w oddaleniu.

I tu rozpoczyna się owa charakteryczna w epickich opowiadaniach Sienkiewicza akcja, w której miłość występuje prawie jak idea, a kochanek działa jak nieustraszony niczem rycerz ideału.

Pierwszy etap w tej pogoni — to pożar Rzymu, wzniecony przez Tigellina jako motyw dla Nerona do pieśni o zburzeniu Troi. Katastrofa żywiołowa, przywróciła na chwilę w Viniciuszu żywiołowego człowieka. Dosiadłszy w Antium konia „w stanie szału i jakby umysłowego zdziczenia“, miał poczucie, że na tym samym koniu siedzi za jego plecami nieszczęście i krzycząc mu do uszów „Rzym się pali!“ smaga jego samego, konia i pędzi ich w tenogień“, który odbija się przede wszystkim złowieszczemi blaskami w duszy samego jeźdźcy, mknącego wśród nocy gwiazdzistej z głową przytuloną do karku końskiego „niby senne widziadło“. „Rzym się pali“ zwiastuje mu wyprzedzająca jutrztenkowe brzaski światłość na niebie; „Rzym się pali“ tętni mu po drodze kopyta końskie, do taktu z bijącemi gorączką pulsami; „Rzym się pali“, ścigają go głosy coraz gęstszych, w miarę zbliżania się do miasta, tłumów uciekającej, obłąkanej z trwogi ludności; „Rzym się pali“, powtarza mu rytmicznie serce, szarpane rozpaczą o losy ukochanej; a jazda w takie rozpędza się fantastyczne tempa, że doznaje się wrażenia, jakby ten niedotykający ziemi koń i ten pochylony na nim człowiek zawisli w powietrzu na jednym miejscu, jakby przed nimi przesuwiała się ruchoma panorama pożaru, przedstawiająca obraz z coraz innej strony i w coraz innym oświetleniu. Nareszcie z po-za

czarnego wału dymu, mieniaącego się różowo i krwawo, uwieńczonego gorejącą, podobną do zorzy wstęgą; z purpurowej fali ognistego morza, z którego strzelają ku niebu jakby olbrzymie fontanny i słupy płomienia, rozwiewające się w górze w ogniste kiście i pióra i roznoszone w dal złotemi niemi i włosami iskier“—wynurza się Rzym. Płonące miasto widzi się oczyma Viniciusza, żar i dymy wdycha się pierśią Viniciusza; po-za nim ogień daje artyście całe bogactwo motywów malarskich, które czytelnik spokojnie już podziwiać może, bo dusza obrazu, cierpienie ludzkie, rozdrobniło się na nieznanne massy, występujące fragmentarycznie we wspaniałych epizodach pożaru; bo Viniciusz odczuwszy po raz ostatni w ogniu piekielne technienie starego świata, schyla przed nowym głowę neofity, na którą połała się woda chrztu z rąk Piotra Apostoła.

— Twoje ognisko mojem, — mówi wtedy Lygia — rozumiejąc, że już ono od innego roznieci się płomienia, ale nie przeczuwając, że wszechwładny *histrion* rozmyśla w tej chwili nad piątym aktem rozpoczętego widowiska.

Zbrodnicza farsa, która obróciła w perzynę stolicę świata, rozpostarłszy zagładę nad dziesiątkami tysięcy ludzi, odegrana; Neron wyśpiewał rymowane żale nad zgliszczami swego grodu, kopiując wyczone od tragika Aliturusa pozy i gesty; burzący się groźnie, bezdomny i głodny motłoch, uspokojono obietnicą odbudowania miasta i rozdawnictwa zboża, wina i oliwy; ale nie dość było, załatwiwszy się tak z tłumem, rzucić potem, jak Petroniusz z dezynwolturą arystokracji wykrzyknik.

— Na Polluksa! pocałuj się i cuchną!

Trzeba było znaleźć winowajców i zapewniwszy ludowi *panem* dostarczyć mu ofiar na *circenses*.

Winowajcami będą chrześciance — tak szepnie cesarowi w jedno ucho Tigellinus, podstawiając nogę oburzonemu oficjalnem kłamstwem Petroniuszowi, a w drugie Poppea, godząc przez zgubę Lygii w serce Viniciusza, który podczas uczty nad stawem Agryppy, śniwał wyrwać się z pożądliwego uścisku Augusty. I zanim Viniciusz zdołał objąć ogrom swego nieszczęścia, już go od ukochanej krata więzienna oddzieliła. Swobodny szamotać się będzie rozpaczliwiej od uwięzionej: życie jego wypełni przekupywanie dozorców, próby wydobywania ofiary ze szponów oprawców, wkradanie się do coraz innych lochów, skąd ją czujność katów coraz gdzieindziej przynosi, i bolesna ekspresya cierpienia tak się wryje w twarz Viniciusza, że z maski antycznej nie pozostanie ani śladu,

A gdy wreszcie kochankowie znaleźli się na chwilę razem w podziemiach Eskwilinu, „ona złożyła mu głowę na piersiach, i rozmawiali

cichemi głosami o miłości, i o śmierci. Oboje mimowoli w myślach, rozmowach nawet, w pragnieniach i nadziejach, oddalali się coraz bardziej od życia, i tracili jego poczucie. Oboje byli jak ludzie, którzy odpłynawszy okrętem od lądu, nie widzą już brzegu, i pogrążają się z wolna w nieskończoność. Oboje zmieniali się stopniowo w duchy smutne, rozmówiane w sobie i w Chrystusie, i gotowe odlecieć. Obojgu zdawało się, że poczyna ich już ogarniać wieczność. Mówili o tem, jak będą miłowali się i żyli razem, ale jedynie ztamtęj strony grobu... Zresztą otaczała ich cisza taka, jaka otacza dwie kolumny, stojące gdzieś na pustkowiu i zapomniane... Na ziemi jeszcze opadał ich proch ziemi... Dusze stały się w nich czyste jak lzy... Pod grozą śmierci, wśród nędzy i cierpień, na barłogu więziennym, poczęło się dla nich niebo, albowiem ona brała go za rękę, i prowadziła jakby już zbawiona i święta do wieczystege źródła życia“

Viniciusza przestała nawet przerażać groza mąk, „miał bowiem poczucie, że to jest rzecz, przez którą można przejść, jakby w zamysleniu, z oczyma utkwionemi w coś innego. Postarano się też dla jego oczów o taki widok, żeby męczennik przeszedł najwyszukańsze katusze, nie schodząc na arenę.

Amfiteatr był już widownią całego szeregu krwawych scen, kreślonych przez Sienkiewicza z taką zadziwiającą różnaitością szczegółów, z takim bogactwem motywów malarskich i snycerskich, iz tak głębokiem wniknięciem w psychologię tłumów, że stworzenie nowego obrazu, wyżej jeszcze od poprzednich nastrojonego, zdawało się wprost niepodobieństwem. Kto tak sądził, zapominał zapewne o przeprawie Skrzetuskiego przez staw zbaraski, z wyzywającą prawie fantazyą opowiedzianej czytelnikowi, który nie miał jeszcze czasu ochłonąć po wycieczce pana Podbiپیęty.

Więc i tu przypomniiał autor „Ogniem i mieczem,“ na co ważyć się może, i czego dokazać potrafi; więc po szermierce „sieciarza,“ o ślicznych posągowych kształtach z olbrzymim Gallem; po śmiertelnych zapasach gladyatorów; po męczeństwie rozmodlonych chrześcian, ginących w paszczach lwów o „złotawych cielskach“ na arenie, jakby pokrytej „ruchomą falą skór przegowanych, żółtych, płowych, ciemnych, brunatnych i centkowanych;“ po epizodzie z Numidanii „szyjącymi z łuków w gromady zwierząt, dopóki wszystko co żyło, nie legło w ostatnich drganiach konania;“ po wstrząsającej śmierci Kryspusa, który, wisząc na krzyżu, wśród gęstego „krzyżowego lasu,“ obciążonego ludzkimi ciałami, przed skonaniem, rzucił w twarz Cezarowi: „Matkobójco, biada ci!“, po całej tej fantasmagoryi strasznej jak zmora, jak potworny majak obłąkanego umysłu, a uplastycznionej ze spokojem artysty, pogardzającego taniemi efektami realizmu—wpada z bestiarium

na arenę potworny tur germański z przywiązaniem do łba nagiem ciałem kobiety.

„Amfiteatr umilkł. Augustianie podnieśli się jak jeden człowiek z miejsc, gdyż na arenie stało się coś nadzwyczajnego. Oto wprowadzony poprzednio, pokorny i gotowy na śmierć Ursus, ujrzawszy swą królowną na rogach dzikiej bestyi, zerwał się, jakby sparzony żywym ogniem, i pochyliwszy grzbiet, począł biedz pod kątem ku rozszalałemu zwierzęciu. Ze wszystkich piersi wyrwał się krótki krzyk, po którym uczyniła się głucha cisza. Lyg dopadł tymczasem w mgnieniu oka rozhukanego byka, i chwycił go za rogi.

„Wszystkich piersi przestały oddychać. W amfiteatrze można było słyszeć przelatującą muchę. Ludzie nie chcieli wierzyć własnym oczom. Jak Rzym Rzymem, nie widziano nic podobnego.

„Lyg trzymał dzikie zwierzę za rogi. Stopy jego wryły się wyżej kostek w piasek, grzbiet wygiął mu się jak łuk napięty, głowa schowała się między barki, na ramionach mięśnie wystąpiły tak, iż skóra niemal pękała pod ich parciem, lecz osadził byka na miejscu. I człowiek i zwierz trwali w takiej nieruchomości, iż patrzącym zdawało się, że widzą jakiś obraz, przedstawiający czyny Herkulesa, lub Tezeusza, albo grupę wykutą z kamienia. Ale w tym pozornym spokoju znać było straszliwe natężenie dwóch zmagających się ze sobą sił. Tur zarył się również jak człowiek nogami w piasek, a ciemne, kosmate jego ciało skureczyło się tak, iż wydawał się do olbrzymiej kuli podobny. Kto pierwsi się wyczerpie, kto pierwszy padnie — oto było pytanie, które dla tych widzów, rozmiłowanych w walkach, miało w tej chwili więcej znaczenia, niż los ich własny, niż cały Rzym i jego panowanie nad światem. Ów Lyg był im teraz półbogiem, godnym czci i posągów. W amfiteatrze można było widzieć ludzi, którzy, podniósłszy ręce, zostali w tej postawie. Innym pot oblał czoła, jakby sami zmagali się ze zwierzęciem. W cyrku słycać było tylko syczenie płomieni w lampach, i szelest węgielków opadających z pochodni. Głosy zamarły widzom w ustach, serca natomiast biły w piersiach, jakby je chciały rozsadzić. Wszystkim wydało się, że walka trwa wieki. A człowiek i zwierz stali ciągle w okropnem wysileniu, rzekł-byś wkopani w ziemię.

„W tem głuchy, podobny do jęku ryk ozwał się z areny, po którym ze wszystkich piersi wyrwał się okrzyk, i znów zapadła cisza. Ludzie mniemali, że śnią: oto potworna głowa byka poczęła się przekrecać w żelaznych rękach barbarzyńcy. A twarz Lyga, kark i ramiona, poczerwieniały jak purpura, grzbiet wygiął się jeszcze silniej. Widać było, że zbiera resztę swych nadludzkich sił, ale że mu już ich nie na długo starczy. Coraz głuchszy, chrapliwszy i coraz bolesniejszy ryk

tura, pomięszał się ze świszczącym oddechem piersi olbrzyma. Głowa z wierzęcia przekręcała się coraz bardziej. a z paszczy wysunął się długi, spieniony język. Chwila jeszcze, i do uszów bliżej siedzących widzów doszedł jakby trzask łamanych kości, poczem zwierz zwałił się na ziemię ze skręconym śmiertelnie karkiem. Wówczas olbrzym zsunął w mgnieniu oka powrozy z jego rogów, i wzięwszy Lygię na ręce, począł oddychać śpiesznie. Twarz mu pobladła, włosy polepiły się od potu, barki i ramiona zdawały się być zlane wodą. Przez chwilę stał, jakby nawpół przytomny, poczem jednakże podniósł oczy, i począł patrzeć na widzów.

„A amfiteatr oszalał.

„Ściany budynku poczęły drżeć od wrzasku kilkudziesięciu tysięcy widzów. Zewsząd ozwały się głosy o łaskę namiętne, uparte, które wkrótce zmieniły się w jeden powszechny okrzyk. Ów olbrzym stał się teraz drogim dla tego rozmiłowanego w sile fizycznej ludu, i pierwszą w Rzymie osobą. On zaś zrozumiał, że tłum domaga się, by mu darowano życie i wrócono wolność, lecz widocznie nie chodziło mu tylko o siebie. Przez chwilę rozglądał się do koła, poczem zbliżył się do cesarskiego podium i, kołysząc ciało dziewczyny na wyciągniętych ramionach, podniósł oczy z wyrazem błagalnej prośby, jakby chciał mówić:

— Nad nią się zmiłujcie! ją ocalcie! jam dla niej to uczynił.

„Widzowie pojęli doskonale, czego żądał. Na widok zemdlone dziewczyny, która przy ogromnem cieple Lyga wydawała się małym dzieckiem, wzruszenie ogarnęło tłum, rycerzy i senatorów. Jej drobna postać, tak biała, jakby wycięta z alabastru, jej zemdleńie, okropne niebezpieczeństwo, z którego uwolnił ją olbrzym, a wreszcie jej piękność i jego przywiązanie, wstrząsnęły serca. Litość buchnęła nagle, jak płomień. Dość już miano krwi, dość śmierci, dość mąk. Zdławione łzami głosy poczęły wołać o łaskę dla obojga — a Ursus tymczasem posuwał się wokół areny, i kołysząc wciąż dziewczynę, ruchem i oczyma błagał dla niej o życie.“

Nie mogłem oprzeć się chęci przytoczenia prawie w całości tej sceny; a uczyniłem to nietylko dla czytelników, lecz i dla siebie, bo któż-by pokusił się na parafrazę arcydzieła, w którym pióro jest zarazem dżutem, pendzlem i instrumentem muzycznym; kto-by zdołał prościej a potężniej wymodelować słowem heroiczne kształty tego sprzęgniętego ze zwierzęciem kolosu; kto-by z subtelniejszym poczuciem pokrewieństwa między sztukami, odgadł chwilę, kiedy barwa ma w posągu żywe tętno obudzić i na obraz go zamienić, a kiedy ten obraz rozplynie się w niemej akcji, której cichym akordem towarzyszą odgłosy serc bijących, i „szelest węgielków spadających z pochodni;“ kto-by wreszcie komentarzem potrafił tak pogłębić znaczenie tej zdobytej na

cezarze łaski, i tego wywołanego w tłumie zapalu, jak to uczynił Sienkiewicz samym tylko pomysłem artystycznym?

Bo któż to wie, czy tylko żywiołowa, nieświadoma siebie litość, wywołała ten wybuch entuzjazmu w amfiteatrze? kto wie, czy obok przesytu krwią, obok reakcyi targanych nad miarę nerwów, nie było w tym porywie trochy przewrotnej sympatyi dla przywiązanej do byka dziewczyny, która zwyrodniałym mózgom uprzytomniała w żywej grupie z taką doskonałością kształtów Europę porwaną przez Jowisza, lub arcydzieło Taurycyusza Rodyjskiego—Dirce, wydaną na zemstę synów Antiopy, a może i potworny romans Pasiphai? Kto wie, czy Rzym nie został na chwilę pokonany własną bronią: kultem siły i artyzmem w zepsuciu?

VI.

Nie o to jednak chwilowe zwycięstwo chodziło zapewne Sienkiewiczowi, ani o sielanekę w zaciszu nad zatoką neapolitańską, gdzie „Ursus w łodzi zapuszcza sieć w jasne tonie, Viniciusz patrzy na żonę, przedzając czerwoną wełnę, a duch Petroniusza unosi się nad nimi w postaci motyla; ani nawet o widok Neroua, który rankiem ucieka ze swego miasta do willi wyzwolenca po to, żeby sobie tam niezdarną dłoń wepchnąć nóż w krtań cyrkowego śpiewaka ze słowami: *qualis artifex pereo!* Jest w „Quo vadis“ coś potężniejszego od nawrócenia Viniciusza i od śmierci cezara; jest jedna jeszcze figura, jedna scena i jedno męczeństwo, które w obrazie, całkowicie już przy końcu uczuciem i myślą ogarniętym, rozleglejsze może widnokreśli na świat nowy, otwierają, aniżeli tryumfujące na pierwszym planie bohaterstwa; jest Chilon, jego nawrócenie, jego śmierć.

Rodzaj homerowego Tersytesa, o twarzy małpiej zarazem i lisiej, z poprysicszonemi policzkami i czerwonym nosem, z kędzierzawą czupryną i niechlujną brodą, z zapadniętym brzuchem i zgarbionemi plecami, osłoniętymi dziurawym płaszczem, Chilon Chilonides, przemyka się przez całą akcyę powieściową, jak złoczyńca pod murem, snując za sobą barwną nić epickiego humoru, który już wtedy mógł być zasłużyć na nazwę „humoru szubienicznego.“ Grek, znajdujący w swojej *graeca fides* niewyczerpane bodźce do wysługiwania się coraz innym panom swemi talentami wszyszkowiedza, który słyszy, gdzie i jak trawa rośnie, zdradził był przed przybyciem do Rzymu, zaprzedał rozbój-

nikom i pozbawił rodziny, mienia, chrześcianina Glauka, lekarza, a spotkawszy go później w Rzymie, w ciągu prowadzonej przez siebie z rozkazu Viniciusza pogoni za Lygią, powtórnie nastawał na życie swej uzdrowionej niespodzianie ofiary. Kiedy traf postawił później oko w oko tych dwu ludzi, Glaukos przebaczył po chrześciańsku swemu zabójcy, co nie przeszkodziło Chilonowi wydać go raz jeszcze w ręce Tigellina, gdy za chłostę otrzymaną u Viniciusza, poprzysiągł zgubić wszystkich chrześcian, dla tego tylko, że chrześcianką jest Lygia.

I ten więc złowrogi bufon odegrał jako denuncyant swoją rolę w tragedyi świata; nie wiedział tylko, że łatwiej mu przyjdzie być aktorem niż widzem. Trzeba było patrzeć na swoje dzieło, odczuć we własnem ciele przygotowane przez siebie męczarnie; oczami własnej duszy śledzić odlot tyłu dusz unoszących się nad zakrwawioną areną; a tu grecka natura odwracała się ze wstrętem od widoku cierpienia; a tu grecki zabobon rozciągał przed sykofantem „noc okropną i nie-przejrzaną, w której coś się rusza, z której śmierć ku niemu idzie“. Jeszcze krok dalej, a Furya i Eumenidy rozpoczną swój pościg w udręczonem wyrzutami sumieniu.

Krok ten postawi Chilo Chilonides w ogrodach Watykańskich, kiedy wyszedłszy z kwadrygi cezara sunącej wśród rozgorzałych już „pochodni chrześciaństwa“, znalazł się przed wysokim, płonącym masztem, z którego spojrział nań Glaukus lekarz, jakby chciał ostatni raz przypatrzeć się swemu katowi. Pod działaniem tego wzroku uczuł Grek, że coś się w nim przepelnia, coś zrywa, że przychodzi koniec życia, że wszystko znika naokół, pozostaje jedynie jakaś bezduszna, straszna pustka, w niej zaś widać tylko te oczy męczennika, które wzywają go na sąd. Obecni odgadli, że między tymi ludźmi coś się dzieje, w twarzy bowiem Chilona było coś strasznego. Nagle zachwiał się i wyciągnawszy w górę ramiona, zawołał okropnym, rozdzierającym głosem.

— Glauku w imię Chrystusa przebacz!

Uciszyło się naokół, dreszcz przebiegł obecnych i wszystkie oczy mimowoli podniosły się w górę; a głowa męczennika poruszyła się lekko, poczem usłyszano z wierzchołka masztu podobny do jęku głos:

— Przebaczam.

Chilo rzucił się na twarz, wyjąc jak dziki zwierz i nabrawszy ziemi w obie garści, przysypał sobie nią głowę. Potem podniósł się z twarzą tak zmienioną, że wyglądał jak kapłan, który nawiedzony przez bóstwo, chce odkryć prawdy nieznanne i odwróciwszy się ku tłumom z wyciągniętą w górę prawą ręką, począł wołać:

— Ludu rzymski! na moją śmierć przysięgam, że oto giną niewinni, a podpalaczem jest — ten!...

I wskazał palcem na Nerona.

Kto wyrzekł takie słowa umrzeć musiał, a mógł umrzeć tylko chrześcjaninem — i tu Sienkiewicz podniósł jeszcze wspaniałość tej sceny pomysłem prawdziwie genialnym — spotkaniem błakającego się po ogrodach Chilona z Pawłem z Tarsu. Tylko człowiek, który miał sam w pogańskiej swojej przeszłości wspomnienia prześladowcy, tylko człowiek któremu w źrenicach świeciły jeszcze błyskawice z pod Damaszku, mógł być rozpoznać pokutne blaski w oczach klęczącego przed nim nędzarza i wyrzec doń, nabrawszy wody w dłonie:

— Chilonie, oto cię chrzczę w Imię Ojca i Syna i Ducha—amen.

Chilo podniósł głowę, rozłożył ręce i pozostał tak bez ruchu. Księżyc oświecał pełnem światłem jego zbieiałe włosy i równie białą, nieruchomą, jakby umarłą lub wykutą z kamienia twarz.

Twarz tę ujrzymy raz jeszcze na arenie, przezroczystą, krwi w mękach pozbawioną, łzami zroszoną, ale promieniejącą na krzyżu uśmiechem, który na nią nieznaną dotąd jasność rozlewa.

Kiedy biesiadnicy Petroniusza patrzyli na śmierć Arbitra i Eunice, mówili sobie, że „z nimi ginie to co jedynie jeszcze pozostaje ich światu—jego poezya i piękność“. Gdy Viniciusz rzucił w cyrku swój płaszcz na nagie ciało Lygii, dał tylko plastyczne tej prawdzie światectwo. A kiedy ze śmiesznej niedawno i plugawej twarzy Chilona uderzyła na nas piękność — czujemy wszyscy, że ta piękność będzie odtąd duszą świata.

Chętnie kończę na tem co talent Sienkiewicza genialnym wzlotem wydzwignął w chrześcjanickim eposie na wyżyny nie tylko artystyczne ale i etyczne. Jest krzepiąca otucha i ożywcza pociecha w tym widoku Zła, ukorzonego przed siłą moralną, obejmującą rząd nad duszami; jest w tym tryumfie Sprawiedliwości i Dobra odwet dla umysłu i serca, w dobie, kiedy myśl europejska bałamucona przez wszelakich obłąkanych Zarathustrów, w nienawiści szukając Nadczłowieczeństwa, odwraca się od słabych, cierpiących i zgiętych przemocą.

W porę zatem przyszła książka Sienkiewicza, w porę dla wszystkich i dla niego; bo kiedy w zachwycie nad tragedją, rozstrzygającą w amfiteatrze cezara losy trojga bohaterów „Quo vadis“, przypomnimy sobie inny cyrk w małej amerykańskiej mieścinie; kiedy rozważymy

jak rozszerzona od tego czasu arena ogarnęła całe, walczące ze sobą światy; jak kalifornijski dyrektor wyrósł na wszechmocnego inscenizatora igrzysk, krwawo w dziejach ludzkości zapisanych; jak atleta Orso przeobraził się na szturmującego do bram Rzymu barbarzyńcę Ursusa; jak Jenny, naiwne dziecko rozkwitło w chrześcijańską dziewczycę Lygię, jaśniejącą miłością i poświęceniem; jak wysoko nad ziemię wleciała i ta miłość, ożywiająca heroiczne zastępy; gdy przebiegamy okiem fazy i szczeble, po jakich wspinał się na dzisiejsze szczyty talent znakomitego pisarza, tak świetnie spotęźniały w drodze od nowelli do epepei, — wtedy odczuwamy głębsze jeszcze zadowolenie że kapitalne dzieło Sienkiewicza zjawia się właśnie na zamknięcie okresu ćwierć wiekowej jego twórczości i jest jednym z najpiękniejszych jej kwiatów.

Cokolwiek da nam teraz autor trylogii narodowej i eposu chrześcijańskiego, „Quo vadis“ pozostanie prawdziwą książką jubileuszową, której piękności podjął się tu przedstawić nie krytyk, lecz rozmiłowany w swem zadaniu sprawozdawca, i która dla tego jeszcze ukazała się w porę, że ją wita wszędzie i we wszystkich sferach ducha świt nowych, pokrewnych jej ideałów.

Jest-to najpiękniejsze uświęcenie przez literaturę i sztukę jubileuszu wielkiego poety.

WŁADYSŁAW BOGUSŁAWSKI.

Z LIRYKI.

I.

Kocham Cię!

— „Kocham cię!...“

Oczy przymykam i słyszę
Szepty aniołów w letnich nocy ciszę,
Szmer pocałunków, co w upojeń chwilę
Półsejnym różom składają motyle,
I pieśń, co pełna nie ziemskiej słodyczy,
Płynie, jak pacierz słowiczy...

— „Kocham cię!...“

Wzrok mi srebrna mgła zasłania,
Przez którą blaski sączą się świtania,
Wskroś tęcz rozwitych gwiazdzisty deszcz spada

I księżycowa toczy się kaskada,
 A po niej dusza, jak wezbraną rzeką,
 Płynie daleko.. daleko..

— „Kocham cię!..“

Żarem buchnęły mi skronie,
 Na piersiach czuję płomieniste dłonie,
 Krew mi po żyłach przepływa, jak lawa,
 Jak wulkan płonę, jako głównia krwawa
 Usta się palą... drżą... pragną bez końca,
 Schną, jako trawa od słońca!..

— „Kocham cię!..“

Tonę w błogiem rozemdleńiu...
 Świat się pogrążył w głuszy, w nocy, w cieniu,
 I nic nie czuję, nie widzę, nie słyszę,
 Jakiś mnie anioł na skrzydłach kołysze
 I nad przepaści niesie mnie krawędzie...
 Niech tylko wiecznie tak będzie!..

— „Kocham cię!..“

Sykiem ozwała się żmija,
 Chce mi ssać usta, lzy z oczu wypija,
 Chce dusić w splotach, jak wąż Laokona,
 Po krew serdeczną podpełza do łona,
 I z żądlem jadu w piersi mi się wsuwa
 I duszę moją zatruwał!..

— „Kocham cię!..“

Przeszłość przedrzeźniają echa...
 Jędza szyderstwa do mnie się uśmiecha,

Ostry ząb szczyrzy bezlitośna, mściwa,
I żywe serce w kawały rozrywa,—
Strącając dawne me bóstwo z ołtarza,
„Kocham cię, kocham...“ powtarza.

Szyderstwo jędzy pastwi się okrutne,
Jak kat złowrogie, jak ofiara smutne,
I grozy pełne, jak burza gromowa...

Błogosławione i przeklęte słowa!...
Gdy nie płyniecie z źródła czystej duszy,
Niechaj was raczej śmierć zgłuszy!...

II.

Ty mi nie mów...

Ty mi nie mów, że słońce gdzieś złości
Jasne brzegi nad jezior zwierciadłem,
Że rozbłyska gdzieś kwiatek paproci,
Co noc świeży w puszczy łonie zapadłem,
Że mieć można tu jeszcze na ziemi
Ciche gniazdo przy niebios gdzieś progu,
I anioła z skrzydłami białymi,
Co do ludzi wyprosił się Bogu...

Ty mi nie mów, że w gnieździe gdzieś takim
Dłoń mi czyjaś skroń otrze ze znoju,
Gdy pod wieczór powrócił-bym ptakiem
Zażyć ciszy, spoczynku, pokoju,

Że spragniony, natrafiłbym blisko
 Na ożywczą krynicę wśród cienia,
 I miał ciepłe w noc zimną ognisko,
 I po trudach rozkosze wytchnienia.

Ty mi nie mów, że gdzieś tam po świecie
 Chodzi szczęście z uśmiechem na twarzy,
 Zrywa gwiazdy, i laury, i kwiecie
 Splata w wieniec i ludzi nim darzy;
 Bom ja życia zbłąkany wędrowiec,
 Zmylił wcześniej kierunek i drogę,
 I na błędny trafiłem manowiec,
 I do szczęścia się dostać nie mogę...

Więc mi dusza w jesienny dzień słotny
 Zadumana i smutna w mgłach brodzi,
 Jak ten żóraw, co został samotny
 W pustem polu, gdy zima nadchodzi...
 Ty mi nie mów o szczęściu!.. co tobie,
 Że mi serce, jak dziecko, zapłacze?..
 Nie budź marzeń, złożonych już w grobie,
 Ja go nawet przez łyżę — nie zobaczę.

 III.

M a s k a.

Nosić łyżę w duszy, i smutek, i skargi,
 Zaciskać zęby, by z bólu nie zgrzytać,
 W kłamany uśmiech ciągle stroić wargi,
 By świat w tajnikach serca nie mógł czytać, —

Kryć w sobie wszystko, co dręczy i boli,
 Jak piolun gorzkie, jako skra palące,
 Komedyę życia grać z ludźmi bez woli,
 A w piersiach tłumić wciąż jęków tysiące, —
 Gardzić litości jałmużną żebraczą,
 By własnej dumy przed nimi nie korzyć,
 Widząc, jak słabsi niesłuchani płaczą,
 Na skroń zchmurzoną czapkę błazna włożyć
 I wszystkie z losem lekcewazyć starcia, —
 Ileż sił trzeba i ile zaparcia!..

IV.

P o e t a — p t a k.

Przez senny bór w zimowy dzień
 Przeciąga mara blada,
 Z jej sinych ust, z jej mroźnych tchnień
 Ziębiący szron opada,
 I czepia się, jak biała śniedź,
 Bezlistnych drzew gałęzi,
 I snuje zimy gęstą sieć,
 I cały las w niej więzi,
 I stroi bór w srebrzony szych
 I w całun kryje drzewa,
 A życie ssąc i ciepło z nich,
 Przeciąga się i ziewa...
 I ziejie śmierć z jej mroźnych tchnień,
 Las w głuchy sen zapada, —
 Przez śpiący bór, w zimowy dzień
 Przeciąga mara blada,

I wszędy wiesz białą pleśń
I z lodu kładzie dłonie...
Aż zadrży... skąd w tej pustce pieśń?..
Skąd echo wiosny wionie?..
Jak, kędy wpadł zbłąkany ptak
Co senne budzi drzewa?..
I pryska z lodu śmierci znak,
Gdy w borze ptaszę śpiewa ..

Poeto, ty masz wiosny czar,
Tyś zimą ptakiem w lesie,
Co na zakłęcie mroźnych mar
Skróń słońca w śpiewie niesie!

Pierwotna germanizacya Słowian pomorskich.

Zachodnie plemiona Słowiańskie, wchodzące w skład niemieckiego cesarstwa, a germanizowane z pewnym planem politycznym, lub bez niego w epokach dawniejszych, przez lat tysiąc zachowały pod skorupą cywilizacyi, która je wypiastowała na społeczeństwa nowożytnie, sporo pierwiastków dawnej odrębności z epoki plemiennego prabytu.

Zakres dostępnych dla nauki historycznej badań nad późniejszym echem objawów tego prabytu Słowian zachodnich, bądź w sferze politycznej, o ile ta wykazać się daje, bądź też pod względem wewnętrznego, t. j. społecznego ich ustroju, stanowi w historyografii naszej lat ostatnich kartę niezmiernie barwną i ożywioną. Wielkie zdobycze nowej, po-lelewelowskiej szkoły historycznej, zmieniły w tej mierze wiele poglądów dawniejszych zasadniczo, a zmodyfikowały i przysporzyły większą jeszcze ich ilość, stwarzając nową, bogatą i oryginalną wielce literaturę, dzięki takim talentom, jak: Piekosiński, Smolka, Wojciechowski, Bobrzyński, Kętrzyński i inni. Panującą na tem polu dawniej swobodę w tworzeniu nieuzasadnionych wniosków, hipotez i twierdzeń, zastąpiła obostrzona, a nader w tym charakterze pożądana metoda, jaką ostatnia generacya naszych mistrzów historycznych wyniosła z Niemiec, gdzie ją przedewszystkiem pomnikowe wydawnictwo

„Monumentów Germaniae“ Pertza wyrobiło świetnie, znacząc w wieku pary i elektryczności nawet na polu pracy nad przeszłością postęp iście zdumiewający, zarówno pod względem jakości, jak i ilości osiągniętych rezultatów. Arkana krytyki źródeł, subtelnej ich analizy, mistrzowskiej hermeneutyki w ocenianiu, klasyfikacji i filiacji zabytków, zdziałały bardzo dużo, zarówno na zachodzie, gdzie sama nawet ich teoria skryzalizować się już zdołała w specjalnym naukowym podręczniku metody historycznej Bernheima, świadcząc jego układem o żywotności przedmiotu, jak i u nas w zasobie nagromadzonych ostatnimi czasy odpowiednich nabytków wiedzy. Nabytki te jednak z zakresu badań nad średniowieczem, które wobec świetnej metody, widniejącej z genezy ich powstania, obok wartości bezpośredniej, same w sobie, posiadają też niewątpliwie i pośrednią zasługę nastrojenia na ton odpowiedniego krytycyzmu umysłów uczonych, pracujących nad epokami późniejszymi, spotykają się już obecnie z zarzutem braku porównawczego traktowania rzeczy. Historia bowiem naszego narodu, będąc z jednej strony zamkniętą całością rozwoju danego organizmu państwowego, jest z drugiej strony pod względem bardzo wielu objawów, zaznaczających się na kartach jej historycznego bytu, najwybitniejszym może i najbardziej wyrobionym, ale mimo to jednym tylko aż po koniec średniowiecza, tonem dziejowego akordu, zakłętego w szeregu niedostatecznie dziś jeszcze zgłębionych epok rozwoju wszystkich współplemiennych, choć politycznie rozdzielonych, części składowych zachodniej Słowiańszczyzny. Odtworzenie tego akordu w pełnym jego brzmieniu było-by zarazem rozwiązaniem zagadki wszechsłowiańskiego prabytu. Wprawdzie do tego dość jeszcze daleko, możemy się już jednak śmiało zdobyć na twierdzenie, iż jedyną, a prosto ku temu celowi wiodącą drogą, jest historyczna indukcya, poprzedzona zebraniem rozproszonych tu i owdzie pojedynczych tonów tego akordu, w ich możliwych do uchwycenia eclairach. Mgliste i niejasne, bo zbyt odległe rysy Słowiańskiego prabytu, jakie znaleziono czy odczuto w dziejach naszego średniowiecza, możolnie tylko i z największym wysiłkiem, a mimo to często zupełnie błędnie umieszczać jesteśmy zmuszeni na tej *tabula rasa*, jaką jest pusta kanwa warunków słowiańskiego prabytu, które jedynie tylko przez gruntowniejszą znajomość mogły-by być należycie wyświetlone, wzmacniały-by się one jednak, utrwały i wyjaśniały niewątpliwie przy pomocy odpowiednich analogii, z dziejów plemion pobratymczych, jako ze źródła wspólności plemiennnej, czyli możliwie najdokładniejszego i najszerszego pierwowzoru, czerpanych. Prowadzenie tak rozległych i mozolnych badań, jako wymagających wielkiego nakładu nie tylko pracy, ale często i środków ma-

teryalnych, może być udziałem nie odosobnionych jednostek, ale odpowiednio uposażonych i umieszczonych instytucji naukowych. Nasze działającą w swoim zakresie z całą przykładowością, co zaś do reszty zachodnich ziem słowiańskich, zostających pod panowaniem Austrii i Niemiec, to odnośne towarzystwa naukowe i akademie berlińska, zajmując się tym przedmiotem poważniej powinny. Nim to nastąpi, wielką jest dla naszej nauki doniosłość badań cudzoziemców nad przedmiotem omawianym, a równie poważnym jest nasz obowiązek zdawania sobie pilnej i możliwie dokładnej sprawy z odnośnego ruchu naukowego za granicą, t. j. przedewszystkiem w Niemczech, rozpostartych na lwiej części zachodniej Słowiańszczyzny.

Historyografia niemiecka, poświęcająca tyle pracy i trudu badaniom nad kolebką, powstaniem i dziejami germańskiego świata, analizująca tak subtelnie rzymskie zabytki, celem najgłębszego sięgnięcia w przeszłość jego genealogii i dziejów, zwróciła też nareszcie w czasach ostatnich uwagę swoją i na tego kopciuszka, który, oddawszy Niemcom przez zagładę swej odrębności plemiennej najważniejsze bodaj podstawy geograficzne dla ich politycznego rozwoju, zapomnianym był w tych studyach i badaniach przez czas długi. Wprawdzie Niemcy, wiedząc oddawna o istnieniu tych Słowian, oddawna też o nich pisali, ale pogardliwe i zaslepione stanowisko, jakie zajmowali stale w tej mierze, niweczyć musiało w związku naukową prawdę, a z nią i istotny pożytek samego przedsięwzięcia.

Trwałość i oporność pewnych zabytków plemiennej niegdyś odrębności, zupełnie nawet zniemczonych dziś Słowian, mianowicie zaś niektóre jej pierwiastki, zaznaczające się silnie w obyczajach ludowych, a za nimi w historii prawa i w socjologii, skłoniły wreszcie ulepszającą się coraz bardziej niemiecką metodę historycznych badań i stopniowy ich pochód ku prawdzie do wytworzenia znacznej a pożądanej na tem polu reakcji. Zauważyć ją łatwo zarówno pod względem ożywienia się, jak i odrodzenia odnośnej gałęzi dziejopisarskiej w Niemczech. Dziś stanęła już tamtejsza historyografia średniowieczna w stosunku do Słowian na takim stopniu przedmiotowości, jakiego-by jej tylko szczerze w badaniach nad epokami późniejszymi życzyć na przyszłość należało.

Obok przeznaczonej na ujście dla tego nowego kierunku, choćby ze względu na swe położenie geograficzne, kolonii historycznej we Wrocławiu, a mianowicie jej ogniska, *Verein für Geschichte und Alterthum Schlesiens*, posiada wendyjski Lipsk, w poważnych wydawnictwach prof. Schmollera, drugie a szacowne poparcie dla prac tego kierunku o charakterze szerszym, wybiegającym po-za ściślejsze granice lokalne.

Temu też ostatniemu źródłu zawdzięczamy obecnie dzieło, będące dziś nie tylko pożądanem, bo krytycznym kompendyum z ubiegłej literatury, odnoszącej się do pierwotnych dziejów północno-zachodnich ziem słowiańskich, ale i pierwszą — co ważniejsza — próbą skreślenia dawniejszej z dostępnych dla badacza epok tychże dziejów, na podstawie jak najszerszego zasobu nowo wydanych a nieznanych, lub pominiętych dotąd źródeł przy zastosowaniu metody i analizy historycznej, jaka obecnie pracowników na dziejopisarskiej niwie obowiązuje ¹⁾. Praca ta, zamieszczona w końcowym zeszycie ostatniego tomu znanego wydawnictwa prof. Schmollera, którego zeszyt pierwszy przyniósł nam przed dwoma laty dzieło analogicznej dla nas wartości, ze względu na treść swoją ²⁾, staje się dla nas pożądanym punktem, z którego dostępne dziś dla historii horyzonty wspomnianego przedmiotu ogarnąć i ocenić możemy.

Stąd jednak pobieżny przegląd ciekawej karty z dziejów naszych zachodnich pobratymców, jaki zamierzaliśmy sobie, nie może mieć bynajmniej pretensyi do miana samodzielnego studyum, wyczerpującego przedmiot, ani też z zamiarem podobnym nie został przedsięwzięty. Obok względów, jakie poruszyliśmy wyżej, samo zdanie sobie sprawy z najnowszych wyników odnośnej gałęzi historyografii niemieckiej, sprostowanie niektórych, zbyt jaskrawych, jej błędów, a nakoniec ocena historycznej wartości i istoty tych nabytków naukowych, zarówno na współczesnym tle politycznych momentów, jak i wybitnych analogii z wewnętrznego ustroju monarchii Piastowskiej, uważać musimy za pożądaną przyczynę w obecnym stanie naszej literatury wspomnianego przedmiotu. Charakter podobnego zadania, w którym ze strony naszej historyografii mamy do czynienia z zupełnym ubóstwem prac samodzielnych ³⁾, a ze strony Niemców, z wyjątkiem pracy p. Sommerfelda, z literaturą, albo całkowicie już wobec nowszych źródeł przestarzałą, albo li też wskutek narodowego zaślepienia stojącą poniżej poziomu naukowych wymagań nowszej doby, narzuca z konieczności takiemu przedsięwzięciu dwie cechy nieuniknione, mianowicie na-

¹⁾ W. von Sommerfeld: „Geschichte der Germanisierung des Herzogtums Pommern, oder Slavien, bis zum Ablauf des 13. Jahrhunderts.“ Str. VIII—234 (Staats und socialwissenschaftliche Forschungen, herausgegeben von Gustav Schmoller. Bd. XIII, Heft 5. Leipzig 1896).

²⁾ Dr F. Rachfahl: „Die Organisation der Gesamtstaatsverwaltung Schlesiens vor dem drei-sig-jährigen Kriege“ (tamże r. 1894), z której zdawaliśmy sprawę w zeszycie grudniowym „Biblioteki Warszawskiej“ z r. 1894.

³⁾ Praca A. Pawińskiego o Słowianach nadłabskich pośrednio tylko i częściowo do przedmiotu się odnosi.

strój niekiedy polityczny względem autora, reprezentującego dziś ostatni wyraz odnośnej nauki, oraz ograniczenie zasadnicze samego przeglądu z naszej strony do horyzontów przez tegoż autora objętych. Poza nimi bowiem rozciąga się już niwa badań źródłowych, zbyt rozległa i specjalna, by mózdz na tem miejscu oddać się gruntowniejszej jej uprawie.

Dotkliwą szkodę wartości swej pracy wyrządził autor nadewszytko tem, że doszedłszy do słusznego przekonania, iż historyografii Pomorza należy się wobec stanu i kierunku dzisiejszych zapatrywań opracowanie nowe, a założywszy sobie wyłącznie studjum nad pierwotnymi dziejami Zachodniego Pomorza, pominął całkowicie Wschodnie, najwidoczniej nawet w badaniach przygotowawczych. Skutkiem tego pozbawił się samochcąc gruntowniejszej i szerszej znajomości tych rysów plemienne charakterystycznych, w wewnętrznych mianowicie dziejach Pomorza Zachodniego, które w swej istocie i historycznym rozwoju przedstawić pragnął, a które, posiadając tak naturalną i wybitną łączność z cechami mieszkańców Wschodniego Pomorza, daleko wyraźniej wystąpić mogły na tle tej ostatniej dzielnicy, jako dłużej wpływem swojskim podlegającej. Ograniczenie drugie, polegające na przyjęciu za kres badań roku 1300, łatwo się tłómaczy i ma całkiem racjonalną podstawę w okoliczności, że pomorski zbiór dyplomatów dopiero do XIII wieku włącznie opracowany został.

Rozporządzając z uznania godną erudycją całym, nader sumiennie nagromadzonym, zasobem źródeł bezpośrednich, poddanych przez wydawców umiejętnej a metodycznej krytyce, uwzględnia autor przede wszystkim ze starszych dzieła Bartholda i Kratzego, przechodząc zresztą do porządku nad literaturą dawniejszą, zamąconą bałamutnemi dociekaniem i ligwistyki porównawczej, które wyloniły ideę plemiennego pangermanizmu w prabycie historycznym ziem, pomiędzy Wisłą a Renem położonych, mianowicie jakoby w okresie od III do VI wieku. Hipoteza tak szerokiego zalewu ziem europejskich przez germański poczt napływowych plemion aryjskich, który usadowił jakoby Niemców na Pomorzu jeszcze w wieku IV, znalazła pod tym ostatnim względem jedyny, nawet zresztą „naukowy“, punkt oparcia w przypuszczeniu, że Germanowie, dążąc na zachód, a rozlewając się „prawdopodobnie“ szeroko, *nie mogli* pominąć nadbałtyckiej północy. Zaślepienie plemienne dalej sięgać nie może, to też autor, położywszy oczywiście krzyżyk nad ugruntuowanemi w ten sposób rezultatami badań swych poprzedników, którzy podobnie fałszywym założeniem, jeśli nie uniemożliwić, to przynajmniej bardzo utrudnić musieli wszelkie racjonalne badania nad przeszłością tych ziem, przyjmuje w punkcie

wyjścia swej pracy Słowian, jako najpierwotniejszych autochtonów Pomorza, a Niemców, jako żywioł później i zwolna tam napływający. Dzieje najdawniejszej epoki powstających stąd starć i wpływów stanowią właśnie przedmiot jego badań.

I.

Ludność ziem zachodnio-słowiańskich występuje po raz pierwszy na arenę dziejową za panowania Karola Wielkiego, jako rdzennie słowiańska. Autor popełnia jednak błąd, starając się sięgnąć, bez podstaw realnych, w zbyt odległą przeszłość tych plemion, a opierając się w tym względzie z konieczności na zupełnie balaмутnych oczywiście danych, z którymi zresztą załatwia się nader szybko i pobieżnie, dochodzi do powierzchownego wniosku, że gdy w I-em stuleciu naszej ery (sic!) zachodnim kresem siedzib słowiańskich była górna Wisła, rozszerzają się one w ciągu następnych epok, do VIII wieku włącznie czy to pod mianem słowiańskich, czy też wendyjskich, aż do Łaby (Elby) i Lasu Czeskiego (Böhmerwald), kosztem słabego jeszcze wówczas germańskiego świata. Rażąca sprzeczność pomiędzy tem, cośmy rzekli powyżej, a elukubracyą podobną ze strony autora, jest tylko dowodem, jak trudno wyzwolić się od razu z pod opinii dawnych szkół historycznych, oraz, jak w tym wypadku, echem ich i reminiscencyą. Założenie takie wytworzyć też musiało w swych logicznych już następstwach pogląd, że pierwszy i najdawniejszy stosunek powstającego na zachodzie niemieckiego cesarstwa do Słowian polegał tylko na powstrzymywaniu ich najeźdźczego a rwącego się na coraz dalszy zachód temperamentu, ze strony dbałego o swą całość i organizującego się właśnie na wewnątrz, zlepku cesarstwa, jako państwa opartego na germańskiej wspólności plemiennej. Czyby [dla równowagi i czystej bezstronności nie należało, obok przyznanych przez autora Słowianom przyrodzonych właściwości ogólnie ludzkich, przypuścić i po stronie Germanów istnienia naturalnej zasady *prima charitas ab ego*, odpowiada na to pytanie zwyczajna logika bez pomocy hermeneutyki historycznej. O tem, że *Drang nach Osten*, obleczony w szatę idei cywilizacyjnej w czasach późniejszych, znajdował swój wyraz i wówczas w zupełnie naturalnym czynniku dziejowego pochodzenia plemion germańskich, opartym na podstawach nie tylko geograficznych ale i socyalnych, autor

najwidoczniej zapozniał. Powstanie cesarstwa dało początek owemu, jak powiada autor, odpięciu dążących ku zachodowi Słowian na wschód, czyli innemi słowy, stopniowemu ich ujarzmianiu ze strony Niemców, których usiłowania w tym kierunku wypełniają w dziejach ziem wspomnianych epokę pomiędzy rokiem 800 a 1400. Ponieważ, jak wiadomo, wieki średnie, odznaczające się bogactwem barw indywidualistycznych w swych ustrojach politycznych i społecznych, posiadały również nie tylko wypływającą z nich tolerancję obyczajów i narodowości obcych, ale i brak nowożytnych dążeń centralizacyjnych, znajdujących swój wyraz w programowym wynaradawianiu i asymilacji słabszych organizmów społecznych, niepodobna, jak słusznie nadmienienia autor, dostrzedz w dawniejszym okresie stosunku Niemców do Słowian idei świadomej germanizacji. Wszelkie analogiczne objawy, jeślibyśmy je koniecznie pod pewną ideę podciągnąć pragnęli, uważać jedynie należy ze strony cesarstwa za objaw prymitywnego parcia plemion opornych a pogańskich ku ich upaństwowieniu się i skonsolidowaniu pod ówczesnym sztandarem cywilizacji. Dążność ta wypływała nie tyle zresztą z kierunku dawnej polityki rzymskiej i jej spuścizny, ile z poczucia siły przed prawem, tej siły państwowej, która w danym wypadku stanowiła zarówno o ugruntowaniu się, wzmocnieniu i wzbogaceniu cesarstwa daninami nowych poddanych, jak i o zabezpieczeniu go przed szkodliwymi dla pracy pokojowej napadami ościennych nieprzyjaciół, lub band niesfornych. W polityce tej nie tylko o niemczeniu, ale nawet o nawracaniu na chrześcijaństwo niema początkowo mowy. Pobudki religijne datują się w niej dopiero od połowy X-go wieku, t. j. od chwili, kiedy, za radą pierwszego margrafa silnie już zorganizowanej słowiańskiej marchii północno-wschodniej, Gerona ¹⁾, założył Otton I w roku 946 stolicę biskupią na ziemi słowiańskiego plemienia Chabowian nad Hobolą (Hawel), w późniejszym Hawelbergu, celem nawracania pogan północnych. Jest to fakt przez autora pominięty, pomimo, że go tak silnie zaakcentował F. Rachfal ²⁾, jako punkt wyjścia trwających później stale, a uwydatniających się tak często w ciągu całego niemal średniowiecza, praw braniborskich (Brandenburgia) do późniejszego Pomorza, o którym obecnie, jako o pewnej całości, nie może jeszcze być mowy.

Branibórz bowiem, jako część (Nordmark) dawnej marchii Gerona, odziedziczył później te „prawa“ i pretensye do Pomorza po swej

¹⁾ „... inductu et consultu... Geronis marchionis, ac ducis...“ Cod. dipl. Pomer. T. I. pag. 17.

²⁾ W pracy swej p. t. „Der Ursprung des brandenburgisch-pommerschen Lehnverhältnisses.“ (Forschungen zur Brand. u. preussischen Geschichte.).

macierzy. Przemawiało za niemi istniejące już w wiekach średnich poczucie legitymizmu, choćby jako fikcyjnego w zakresie idealnym, poparcia owej siły przed prawem... Legitymizm powyższych praw i pretensyi Braniborza do ziem pomorskich wypłynął zatem z twórczej woli cesarza Ottona I, któremu podobało się utworzyć, pod postacią marchii, taran graniczny do rozbijania, nawracania i ujarzmiania pogan, oraz darować margrafom kraje, pod sztandarem tego taranu zdobyte. Bez poparcia odpowiedniej siły, legitymizm taki równać-by się oczywiście musiał panowaniu *in partibus infidelium*, ale przy takiej właśnie odpowiedniej pomocy, stanowić on mógł, mianowicie na tle średniowiecznego ducha czasu, wielce pożądany niekiedy dla Braniborza precedens. Niesłuszny brak zwrócenia przez autora uwagi na ten szczególnie wytwarza często niejasne potem komplikacye w przedstawieniu przezeń charakteru i celu samodzielnego nieraz udziału Braniborza oraz domu askańskiego w stopniowem ujarzmianiu Pomorza przez Niemców.

Pierwsze też usiłowania podboju Słowian, pozbawione bezpośredniej inicjatywy cesarskiego rządu, wychodzą oczywiście od Marchii północnej i podległych jej władz. A ułatwiają im zadanie sami książęta słowiańscy, co stanowi naturalne tylko potwierdzenie znanego ogólnie objawu, że w krajach dziewiczych najwyższe przedewszystkiem sfery narodu, czy plemienia, poddawać się zwykły wpływowi obcej, lecz wyższej kultury; widzimy toż samo nie tylko na Pomorzu, ale w Czechach i na Szląsku. Na wschód od Odry spotykamy się już z objawem podobnym w końcu wieku XII, a jakkolwiek skądinąd naturalny, był on jednak, jak autor zauważa słusznie, dla Słowiańszczyzny bardzo nie na czasie, jako współczesny jej najpierwszym usiłowaniom samoistnego upaństwowienia się (*Konsolidierung*), celem wytworzenia odpowiednio silnej reakcyi przeciw naporowi Niemców. Plemionom słowiańskim brakło naówczas jeszcze tego poczucia jedności i wspólności interesów, jakie już dość wysoko rozwinięte były wtedy wśród Germanów. Wynik to może owej „młodszości cywilizacyjnej“ Szujskiego, która nawet w brzasku doby politycznego bytu Słowiańszczyzny mściła się na niej tak srodze. Zrzadka też pojawiać się wśród Słowian poczynają pierwsze a wątle organizmy państwowe. Powstaniu jednak jakiegokolwiek przodownictwa w świecie słowiańskim stoją na przeszkodzie, osłabiające go, wzajemne walki plemienne, utrudniające wytworzenie się plemienia przywódcy. W tym ostatnim charakterze występuje swojego czasu (623—662) efemeryda wielko-morawskiego państwa Samona; później (963) zjawia się Polska, ale byłt pierwiastkowy, zarówno pierwszego, które znikło, jak i drugiego, wyłącznie na osobistościach przywódców (Mieszko, Chrobry) polega.

Ten brak jedności sprawia, że Słowianie nader rzadko tylko stają otwarcie przeciw Germanom na polu bitwy, ale tenże sam właśnie podział plemion, połączony z brakiem kultury i obfitością czynników terytoryalnych, utrudnia wielce Niemcom całkowity ich podbój. Taki stan rzeczy występuje najwybitniej na tle dziejów Słowian północno-zachodnich, a jest on również powodem nader późnego stosunkowo, bo poczynającego się dopiero w wieku X,¹⁾ prawdziwego zetknięcia się tych ostatnich ze światem germańskim.

Z wielką erudycją przechodzi autor szczegółowo wypadki walk Karola Wielkiego i jego pierwszych następców z plemionami Bodrytów (Obotryci, późniejszy Meklenburg) i Lutyków (później dolne Pomorze), ześrodkowanych wówczas w Retrze (Rethra) słynącej pogańską świątynią Tryglawa. Podbój tych ostatnich, dokonany przez Sasów, stanowi ostatnie ogniwo epepei ciągłych z nimi walk, prowadzonych aż do czasów Ottona I. Plemiona wspomniane uledez musiały w końcu systemowi rządowemu tego cesarza, a Lutyicy, nieposłuszni jego rozkazom, ściągają na siebie wyjątkowy u tego monarchy rozkaz zupełnej zagłady w r. 983. Pressya ta wywarła najwidoczniej dla cesarstwa skutek pożądany, skoro jeden z pokrewnych Lutykom szczepów, Łużyczanie, niosą niedługo potem pomoc związkową, nie wasalską, Henrykowi II w jego wojnie z Bolesławem Chrobrym. Głucha jednak walka Słowian z Niemcami wre ciągle, a mimo powstania za sprawą księcia Bodrytów, Gotszalka, przychylnych Niemcom osad i warowni: Mikilimborga (Meklenburg), Ratzenburga i Oldenburga nad rzeką Huntą, wybuch pogański z r. 1066 kładzie tam na długo kres chrześcijańskiej kulturze i niemieckiej zwierzchności nad „Wendami“¹⁾. Wzajemne niesnaski słowiańskich plemion, jak Łużyczan, Lutyków i innych, ułatwiają wprawdzie Niemcom restytucję dawnego stanu rzeczy, ale nim to nastąpiło, zyskuje sobie Rugia przodownictwo wśród pobratymców północnych. Pod jej tchnieniem powstaje pod koniec XI stulecia wspólność plemion pomorskich, zlewających się w jedną państwową całość *Pomorza*, którego skład etnograficzny zaznacza już poprzednio, u schyłku wieku X, udzielną odrębność swoją od reszty Słowian w walkach z Polską, upamiętnionych w r. 995 założeniem biskupstwa w Kołobrzegu przez Bolesława Chrobrego, Dokładniejszego jednak obrazu tych walk zupełny niemal brak źródeł

¹⁾ Opiera się tu autor na dokonany przez Giesebrechta opracowaniu Adama Bremeńskiego.

wytworzyć nie pozwala. Część zachodnio-północna tego Pomorza należała prawdopodobnie już wówczas do Danii, a jego stosunki ze światem germańskim ograniczały się współcześnie wyłącznie pokojowym handlem wymiennym, mianowicie wywozem ryb (śledzi), a przywozem tkanin i metalów, czego ogniskiem stała się ówczesna stolica tej ziemi Julin ¹⁾ (Wollin, obw. Szczeciński). Związki z południowo-zachodnimi, względem Pomorza, Słowianami również mało ożywione być musiały, istnieją za to stosunki bliższe pomiędzy nimi a młodocianą Polską, która też wpływ przeważny na tych dalekich sąsiadów podówczas wywiera. Wkraczamy tutaj na grunt ściślej już historyczny, nad którego charakterem w kilku słowach zastanowić nam się wypada.

II.

Rozpoczynająca się w tym właśnie momencie na tle dziejów pomorskich epoka, dla badań dostępnejsza, która początkami swemi schodzi się u nas z chwilą najwyższego rozwoju, jaki w zaraniu swego bytu osiągnęła, dokonana przez Chrobrego budowa młodocianej Polski, nosi na sobie bezwątpienia w pierwszej swej fazie piętno, nakazujące przypuszczać, że dalszem przeznaczeniem historycznego rozwoju pobratymczych ziem pomorskich miał być wspólny z monarchią Piastowską i ręką w rękę z nią idący rozwój. Piętnem tem są z jednej strony usiłowania Chrobrego w cywilizowaniu i jednoczeniu Pomorzan ze zlepkiem, przezeń do politycznego życia powołanym, a z drugiej strony charakterystyczna naówczas wyłączność stosunków tegoż Pomorza z Polską. To też gdyby źródła i wiadomości, jakie nam z następującego bezpośrednio potem okresu w odpowiednim kierunku pozostały, zaginęły bezpowrotnie począwszy od tego właśnie momentu, t. j. od zgonu Chrobrego, otwarło-by się niewątpliwie dla późniejszego dziejopisa pole nader obszerne do stawiania wszelakiego rodzaju hipotez i wniosków na rachunek kataklizmów, czy niebywałego braku logiki dziejowej, który sprawił, że pobratymcy, złączeni za czasów Wielkie-

¹⁾ Gallus.

go Piasta w jedno ogniwo przeznaczeń z jego monarchią, zjawiają się po paru set latach, w stuleciu XIV, jako żywioł zupełnie już niemal zniemczony. A następuje to w tej właśnie chwili, kiedy Łokietkowe państwo, polegając na sobie i własnych siłach, ocala i chroni iście bohaterskim wysiłkiem swoją odrębność polityczną i narodową przed czyhającą na nowy zabór ziem słowiańskich ręką germańskiego zachodu, zakładając podstawy pod świetną przyszłość.

Na tle początkowego istnienia narodów zarysowuje się jednak jaszkrawo zupełnie naturalny i prosty objaw, że narody te, czy plemiona, w pewnych warunkach pokojowego rozwoju, a więc mniej lub więcej przyjacielskich stosunków z obcymi, nie zwykły zdawać sobie dokładniejszej sprawy, ani z „narodowości“, czyli jak w tem znaczeniu, raczej z odrębności swojej od plemion innych, ani też z zakreślonych przed sobą kierunków szerszej działalności. Gdy się na całe szeregi faktów, stwierdzających ten znany fenomen, spogląda z wysokości kilku stuleci okiem zbrojnym w doświadczenie i pryzmat wyświetlający dalsze tego objawu koleje, narzuca się myśli ludzkiej z konieczności wniosek, że wszystko, co się stało i dzieje, jest tylko wynikiem zakreślonego z góry celu i przeznaczenia, którego niższe zaledwo dziejowe szczeble, a nie dalsze drogi, znać nam dano.

Brzaski owej wspomnianej w dziejach pomorskich epoki, wyprowadzające, dzięki twórczemu gieniuszowi Chrobrego, północno-zachodnie plemiona słowiańskie z mroków dotychczasowej pogańskiej wegetacji na szerszą arenę cywilizacyjnego życia, trafiły właśnie na moment historyczny, w którym, pozbawiona zmarłego przywódcy, młodociana monarchia wielkiego Piasta, zrywa na czas jakiś, pod żywiołowym naciskiem pogańskich jeszcze w istocie mas ludowych, z cywilizacją, polityką i uświadomionemi sobie zaledwo kierunkami działalności państwowej, waląc się w gruzy. Tchnąwszy życie w dalekich pobratymców, zdaje się je utracać sama pod rządami Mieszka II, uczonego i bohatera, ale zbyt słabego, by sprostać wielkim zadaniom, jakie podjął jego rodzic. Zatargi rodzinne z Bezbraimem i Ottonem, walka z cesarzem Konradem i Brzetysławem czeskim o Morawy i poddanie się przewadze sąsiednich Niemiec, wypełniają jego rządy, a gdy przysposobiona tym brakiem działalności wewnętrznej reakcja pogańska bierze wśród ludu górę nad dawnemi urządzeniami, po jego zgonie, przypada w udziale następcom, Kazimierzowi a potem Smiałemu, raczej utrudniona i częściowa rewindykacja zawichrzonego spadku, niż dalsza, niemożliwa naówczas, działalność w myśl północnych na Pomorzu planów Chrobrego. Żywioły ludowe, odporne po śmierci Mieszka II władzy Piastowskiej (Masław mazowiecki), nie zaniedbują tej spu-

ściżny o tyle tylko, że spotykamy w ich szeregach w latach 1041—1047 sprowadzoną na pomoc przeciw tejże władzy i chrześcijaństwu dzicz pomorską, jako naturalnego w podobnem przedsięwzięciu pogańskiego sprzymierzeńca. Jest to na tle nader mało znanych i niejasnych walk Kazimierza Odnowiciela wewnątrz kraju jedyny szczegół, jaki nam się z ówczesnego związku rozkiełznanej Polski ze zdziżałem na modłę pierwotną Pomorzem zachował. Wogóle więc rozterki i burze wewnętrzne, o jakich mowa, zagrażające przez czas dość długi polskiej nawie państwowej, a skierowujące ją następnie za Bolesława Śmiałego, wskutek otwarcia się nowych horyzontów, na wschód, ku Rusi, sprawiają, że luźny dotąd, choć pod pomyślniejszemi, jak się zdawało, zapowiedziami nawiązany, stosunek monarchii Piastowskiej z Pomorzem, traci niebawem dawne zarodki możliwej na przyszłość siły, a ów nowy dla Polski obrót wykołaja w następstwie jej pobratymców z drogi plemiennego rozwoju. Pierwotne apostołstwo chrześcijańskie Polski, zamienione na apostołstwo Niemiec, sieje na Pomorzu pierwsze ziarna obczyzny. Od czasów Hermana i Krzywoustego nie ustaje wprawdzie znowu Polska we wskazanym jej przez Chrobrego kierunku, ale dalsze jej na tem polu działanie i powodzenie chwilowe, dla których podtrzymania brak często siły, rozproszonej po innych kresach państwowych, a często i wytrwałości, mają już tylko żywotność efemeryd. Mimo to jednak, ciekawe są dzieje tych usiłowań ze strony monarchii Piastowskiej, którym, jak wiadomo, nie brak kart imponujących, oraz przeszkody, jakie im stawały na drodze. Pierwsze wyprawy Bolesława Krzywoustego na Pomorzan¹⁾, którzy w pogańskich wycieczkach pustoszyli często ziemie do niego należące, mają, podobnie jak dawne walki Niemców z Łużyczanami, charakter krucyat, przedsiębranych, obok religijnych pobudek, prawdopodobnie i w politycznym celu zabezpieczenia granic. Wieńczy je pomiędzy r. 1102—1120 podbój plemion pomorskich aż po ziemie lutyckie, po Retrę, a księżę wielkiego, t. j. całego Pomorza (Grosspommern), Wacław I, stojący na czele zjednoczonej pod sobą północno-zachodniej Słowiańszczyzny, i jego dzierzawy, stoją otworem dla władzy i wpływu Piastów. Dawnym zdobyciom Niemców pomiędzy Łabą (Elbą) i Pienią (Peene), grozi teraz zanik zupełny, a na gruncie tak obficie ich krwią zroszonym

¹⁾ Zajmując się wyłącznie Pomorzem Zachodniem, nie porusza też autor równie ważnych a znanych wypadków z dziejów stosunku Krzywoustego do Pomorza, jak bitwy pod Naklem, nad Nidą itd. Ucierpi na tem, jak zobaczymy niżej, jego ocena arcyważnego w dziejach ogólnopomorskich stosunku Krzywoustego do Św. Ottona z Bambergą.

powstaje przerażające dla świata germańskiego widmo potęgi zjednoczonych Słowian. Pomorze płaci daninę Bolesławowi, uznaje jego zwierzchnictwo i pokojem z r. 1120 przyjmuje na się zobowiązanie otrzymania chrześcijaństwa z rąk Polski. Widmo dla Niemiec tak groźne nie przyobiekło się jednak w kształty realniejsze, a przyczyniły się do tego nie tyle nawet państwowe usiłowania Niemiec—były one bowiem bardzo nieznaczące—ile niemieckie misyonarstwo na Pomorzu, podczas gdy duchowieństwo polskie nie okazało się ani w części równieżytecznym sprawie swojego narodu.

Polscy księża nie byli bynajmniej podówczas skłonni do oddawania się na usługi interesom państwowym za cenę wielkich niewygód, a może i męczeństwa wśród wypraw apostołskich na dalekie Pomorze. Wyzwolony z pod przewagi Magdeburga, dążył ówczesny związek potężnego potem w Polsce kleru do kolejnego wyemancypowania się z pod władzy świeckiej. Wskazywało mu te cele rozwielenie w epoce krucyat duchowieństwo zachodnie. Chybia też celu apostołska wyprawa romańskiego mnicha, Bernarda (1121), wyprawionego przez Bolesława na Pomorze. Przyczynił się zaś niewątpliwie do tego i Julin, ognisko pomorskiego bałwochwalstwa, które sobie Bernard obrał arcyniezcześnie za najpierwsze miejsce misyjnej działalności swojej wśród pogan. Wówczas zwraca się Krzywousty, jak powiada autor, „o pomoc ku gnębionym przez się Niemcom“ i otrzymuje z ich rąk żarliwego apostoła, późniejszego świętego Ottona, biskupa z Bambergu. Autor traktuje zbyt powierzchownie i niedbale kwestyę osobistego stosunku Bolesława do biskupa Ottona. Wspominając o tem, że Otton bamberski, jako niegdyś przyjaciel ojca Krzywoustego, Władysława Hermana, był wiele synowi jego oddany, zapomina wyjaśnić, że późniejszy apostoł Pomorza, jako ubogi jeszcze i zapomniany wśród swoich młodzieniec, przybył z rodzinnej Szwabii do Polski, gdzie młodość całą spędził i skąd, otaczany stałą przyjaźnią dworu książęcego, pełnił rozliczne na zachodzie poselstwa, a związek małżeński Hermana z Judytą, siostrą Henryka IV, a matką Bolesława, jego był dziełem. Późniejsza życzliwość Ottona dla Krzywoustego nie była-by się zapewne wobec tych paru wiadomości wydała autorowi całkiem niepojętą. W świetle też prawdziwej genezy stosunku Bolesława z Ottonem bamberskim inaczej pojąć należy owo zwrócenie się Krzywoustego „o pomoc“ do Niemców, za których jakoby sprawą ofiarował usługi swoje Polsce. Bolesław wiedział z góry i dobrze, komu powierza tę ważną misyę, gdy złożył ją w ręce zawezwanego umyślnie w tym celu mistrza swojego i przyjaciela.

Podobnie jak Niemcy ówcześni, odpowiednio duchowi czasu, wolnymi byli od świadomych aspiracyi germanizacyjnych, wolni też

być musieli i Polacy od analogicznych dążności w swoim zakresie. Zbytecznym też wobec tego wydać się musi, bardzo mozolnie przez autora przeprowadzone, wyszukiwanie w działalności biskupa Ottona śladu pierwiastków i celów politycznych, na jedną lub drugą stronę działalność tę przeważających, a nadewszystko wyrażone szeroko zdziwienie, że apostoł Pomorza widoków państwowego interesu Niemiec nie miał na oku. Przedsięwzięta w onym czasie missya apostolska, mianowicie gdy zważymy osobistą, a wyłącznie religijną żarliwość biskupa, posłużyć co najwyżej mogła, i to pośrednio tylko, za zwiady dla kierunku późniejszej wyprawy wojennej, jako jedyne go środka, mogącego zadowolić ówczesne aspiracye polityczne organizujących się dopiero na wewnątrz ludów, którym o łup, powiększenie posiadanych terytoriów, daniny lub zabezpieczenie granic w wyprawach podobnych, chodziło. Mogła nadto missya taka przygotować grunt dla późniejszej cywilizacyjnej, w celach ekonomicznych przedsiębranej, działalności w kraju, na dziczy zdobytym, t. j. spopularyzować i w korzystnym lub złem świetle przedstawić wśród tej ostatniej tę lub ową z bardziej cywilizowanych narodowości ówczesnych. Możliwości innego rodzaju powodzeń politycznych ówczesnego apostoła przypuścić trudno. Charakterystyczny to jednak objaw, że Otton z Bambergu, mąż religijnejmi wyłącznie celami ożywiony, a oddany Bolesławowi i przezeń na Pomorze wysłany, niemieckiemu właśnie wpływowi otworzyć je musiał. Wprawdzie apostoł nie zaznaczał tam w niczem narodowości swojej, nawet bowiem o niej podczas swej missyi nie wspomina, ale—jak autor z wielką precyzją nadmienia,—na tle nienawiści dzikich Pomorzan do polskiego sztandaru, pod którym gromił ich Krzywousty, a któremu, prowadzona pod nim i zwrócona przeciw umiłowanemu pogaństwu, apostolska wyprawa Ottona, w oczach ich bynajmniej aureoli dodać nie mogła, obudzić się musiała wśród Pomorzan tem gorętsza sympatya do Niemców i niemieczyzny, reprezentowanej nader ponętnie przez osobiste zalety i cnoty Ottona z Bambergu. Czy jednak przypuszczenie to dało-by się istotnie poprzeć źródłami, których niema, przesądzać trudno.

Zabezpieczając się ze wszęch stron od możliwych utrudnień i przeszkód w przedsięwzięciu swoim, wyruszył Otton z Polski w licznem otoczeniu, bogato przez Bolesława wyekwipowany, na Pomorze, zaopatrzone już poprzednio w upoważnienie papieża Kaliksta II i nader mu życzliwego cesarza Henryka V, otrzymane na zjeździe w Bambergu. Ta pierwsza, rok trwająca, wyprawa (1124--1125), z góry niemal upewniona o pomyślnym skutku, do którego apostoł wszelkimi siłami zmierzał, uwieńczona została, po uczynionych

w imieniu Krzywoustego pogróżkach, rezultatem rzeczywiście bardzo pomyslnym, bo przedstawiającym się w cyfrach, jako 22,000 prozelitów i 11 nowo założonych kościołów na przestrzeni od prawego brzegu Odry aż do Julina i Szczecina. Zbyt odległych Lutyków pominięto, jako nie wchodzących w zakres zamierzonej działalności Krzywoustego. Biskupem ustanowił Bolesław dla tych nowych zdobyczy członka ostatniej misyi, Wojciecha, Polaka, nie poddając go jednak metropolii gnieźnieńskiej. Niechęć Pomorza względem Polski ujawniła się już jednak przed następną tam podróżą Ottona z Bambergu, kiedy Julin i Szczecin popadają na nowo w bałwochwalstwo, wzniecając zarazem powstanie przeciw zwierzchnictwu Piasta. Autor uznaje łączność obu tych objawów, którym nie był zapewne obcy sam książę Warcisław I, szukający współcześnie poparcia u Niemców i poddający się pod ich władzę, zwąc króla Rzymskiego panem swoim, „dominus noster“. Że jednak tenże książę Warcisław śle zarazem do biskupa Ottona prośbę usilną o nową apostolską wyprawę na Pomorze, wnosić by należało, iż władca pogański nie tylko uznawał korzyści nowej wiary, wprowadzającej jego państwo do grona narodów cywilizowanych, ale i żywił własne plany polityczne, dążące do samoistnego utrzymania i rozwoju Pomorza bez zwierzchnictwa zarówno Polski jak i Niemiec, w czem niejaką gwarancję pożądanego poparcia dawać mu poniekąd mogło, wyłącznie i czysto religijne usposobienie Ottona. Tego punktu nie miał autor wcale na względzie.

Druga tedy wyprawa bamberskiego biskupa na Pomorze, jako z bezpośredniej inicjatywy księcia Warcisława przedsięwzięta, nie odbywa się już pod sztandarem polskim, tem bardziej, że i król Lotar różniej brać się zdaje do Słowian, niż Henryk V. Mimo jednak swego niemieckiego pochodzenia i otoczenia, wśród jakiego wyruszył tym razem na Pomorze jego apostoł, (bo należącego do tej świty biskupa Wojciecha, który od poprzedniej już misyi stale tam bawił, pominąć można), spotyka się Otton raczej z zawiścią i przeszkodami ze strony samych-że Niemców, niż z ich pomocą i poparciem. Przywódcą tej niechęci dla działalności apostoła stał się zwierzchnik, najbliższej dzierzawom pomorskim metropolii niemieckiego kościoła, Norbert, arcybiskup magdeburgski, który nie tylko nikogo nie nawrócił, ale wręcz i jakby umyślnie zaniedbywał swoje najważniejsze w tym kierunku obowiązki. Fakt pozostawienia bez biskupa przez lat cztery (1126—1129), przeznaczonej ze strony Niemiec dla Pomorza w celach apostolskich założonej, sufraganii magdeburgskiej w Hawelbergu, najlepiej może ilustruje to położenie, które nie pozwoliło wyzyskać Niemcom obecnej wyprawy Ottona, wiernego, jak zawsze, swym wyłącznie

religijnym aspiracyom. Podobnie krzycząca obojętność Niemiec zwyciężyła, zdaniem autora, na długo pożądaną bieg ich interesów państwowych na Pomorzu. Właśnie bowiem podczas ostatniego tamże pobytu Ottona z Bambergą następuje zbrojna wyprawa Krzywoustego na Pomorze, celem ukarania go za ostatni wybuch przeciw Polsce i zaprowadzenia na nowo poprzedniego jej zwierzchnictwa. Zjawiają się też współcześnie przed Bolesławem na Pomorzu, braniborscy (Nordmark) posłowie margr. Albrechta, a choć celu tego poselstwa dla braku źródeł należyte odtworzyć sobie trudno, autor przypuszcza, iż miało ono pewne cechy i zamiary wspólnego ewentualnie przeciwdziałania Niemiec zamiarom Bolesława. Przeciwdziałanie takie nie nastąpiło jednak, a jeśli w instrukcyi wspomnianego poselstwa leżało pozyskanie sobie dla tego celu biskupa Ottona, to ostatni ten cel bynajmniej osiągniętym nie został, gdyż, jak wspomina z goryczą autor, książę Rzeszy niemieckiej (Otton), podjął się wprawdzie pośrednictwa, ale... pomiędzy Warcisławem i Krzywoustym, którego zwierzchnictwo uznało teraz Pomorze na nowo.

Takim był skutek religijnej gorliwości Ottona z Bambergą dla Niemców, ale, rzecz dziwna, że mąż ten żarliwy, który w dyecezyi swojej, w Bambergu, mnoży ciągle dobra duchowne i coraz to nowe zakłada kościoły, nie uczynił nic właściwie w kierunku tym na Pomorzu, choćby dla pojawiających już się tam zrzadka kolonistów niemieckich. Tkwił zapewne w tym objawie względ, znowu czysto religijny, aby uniknięciem zbytecznego podrażnienia pomorskiego pogaństwa odwrócić niebezpieczeństwo od wątlej, a z trudem wzniesionej w tych ziemiach świeżo nawróconych, lub nawracających się dopiero, budowy chrześcijańskiej. To też, kiedy Otton opuszcza ostatecznie Pomorze w r. 1128, pozostawia tam kilku zaledwie księży, zatrzymując przy sobie tymczasowe zwierzchnictwo duchowne nad nawróconymi, z myślą przekazania go kiedyś faktycznemu biskupowi tej krainy. Trudność urzeczywistnienia tej myśli spoczywała nie tyle może nawet w lokalnych warunkach pomorskich, ile w walce, toczącej się o przyszłe nad tym nowym kościołem zwierzchnictwo pomiędzy Hawelbergiem, Magdeburgiem i Gnieznom. Usiłowania duchowieństwa polskiego były oczywiście po stronie Gniezna, dawne prawo ze strony Niemiec przemawiało za Hawelbergiem, papież zaś sprzyjał osobiście Magdeburgowi. Mimo to jednak, w ocenie zasług apostolskich Ottona przyznała stolica papieska jego właśnie zwierzchnictwu ziemie nad dolną Pienią (Peene) położone, wraz z prawem ściągania z nich danin kościelnych. Przywilej ten, w którym zresztą o biskupie Wojciechu żadnej niema wzmianki, miał on bowiem aż do śmierci Ottona nominalnym tylko pa-

sterzem Pomorza pozostać, wymierzony był przeciw prawom hawelberskim i wywołał też wielkie w tej dyecezyi nieukontentowanie, szkodzące samej sprawie. Z drugiej strony jednak miał on, ważny w następstwach swoich, charakter pośredniego, ex-re Bamberga, nadania tych ziem cesarstwu przez papieża. Miało to znaczenie tem większe, że w owym właśnie czasie zapanował Lotar nad zachodniem Pomorzem, a Krzywousty, zgnębiony chwilowo walką z Węgrami (1135), ze zwierzchnictwa swego nad resztą tych prowincyi i z Rugii hołd mu w Merseburgu złożyć musiał.

Jest to początek nowej ery dla Pomorza, którego przyszlenu rozwojowi wpływ niemiecki, acz stopniowo jeszcze i zwolna, miał już dalszy wytykać kierunek. Chrześcijańskie dzieło biskupa Ottona przejść jednak jeszcze musiało po jego śmierci ciężką próbę, na którą naraził je przede wszystkim, rozluźniający się coraz bardziej w najbliższej zaraz przyszłości, związek pomiędzy pozostawionymi na Pomorzu przez apostoła księżmi, a klerem bamberskim, przekładającym żywot spokojny nad niebezpieczne trudy misyjne. Rozpoczyna się oto na nowo reakcja pogańska w bodryckim Meklenburgu, zdobywając sobie wpływ potężny na resztę ziem pobratymczych. Pomorzanie mordują w r. 1136 przychylnego chrześcijaństwu, księcia Warcisława I, po którym rządy, w imieniu małoletnich jego synów, Bogusława i Kazimierza, obejmuje brat zabitego, Racibór, zwycięski przywódca plemion pomorskich w wyprawie na chrześcijańską, a do Norwegii należącą, Konghelle, która pod władzę jego się dostaje. Sprzyja temu pogańskiemu zwrotowi następująca niebawem potem (1139) śmierć Bolesława Krzywoustego, ale mimo to przychodzi wreszcie, a niemal jednocześnie (1140), do konsekracyi, wspomnianego parokrotnie, Wojciecha, na biskupa Pomorza. Autor nie objaśnia, za czym stało się to wpływem, a byłby ten szczegół ciekawy wielce wobec faktu, że pogańska reakcja wśród Pomorzan i Lutyków, o jakiej mowa, wywołuje, wedle niego, prawdziwą otuchę w Niemcach, mających już teraz ręce rozwiązane w kierunku samodzielnego, a nie zamąconego niczem ze strony osłabionej podówczas Polski, działania na Pomorzu. Znalazł-by się jednak może historyczny moment możliwości takiego poparcia biskupa Wojciecha ze strony Niemiec przy wzmiankowanej konsekracyi, w czasie pomiędzy śmiercią Bolesława a pierwszym wyraźniejszym objawem owej otuchy niemieckiej, występującym dopiero w osiem lat później (1147) i to pod postacią zorganizowanej, za wpływem Bernarda z Clerveaux, zbrojnej wyprawy na Pomorze, złożonej z saskich, duńskich, polskich i morawskich rycerzy.

Spory, wynikłe podczas tego braterstwa broni, pomiędzy żywymi zbytnie rozległe rojenia polityczne, Sasami a Duńczykami, zmniejszają

wartość bezpośrednich skutków samej wyprawy, która jednak wzmacnia bezsprzecznie stronę faktyczną stanowiska biskupa Wojciecha, wyzwalając go całkowicie z pod przewagi dalekiego Magdeburga, oraz ułatwia w roku następnym (1148) Braniborzowi poddanie księcia Racibora swemu zwierzchnictwu. Najważniejsze atoli rezultaty tej wyprawy, zaznaczające się przedewszystkiem w pierwszej swej fazie na polu czysto religijnem, ocenić można należycie dopiero w następstwie. Za jej-to sprawą powstają na Pomorzu pierwsze klasztory: Benedyktynów w Słupsku (Stolpe), oraz Premonstrantów w Grobinie (Grobe), w latach 1152 i 1154. Idące w ślad za temi fundacyami, stopniowe, a nader w przyszłości ważne, pomnażanie się kleru niemieckiego na Pomorzu, ma jeszcze jednak w owej epoce charakter wyłącznie religijny. Autor nadmienia z pewnego rodzaju zdziwieniem, że w procesie powyższym nie widać nawet europejskich urzędzeń kościelnych, owych immunitetów duchownych, które-by zwolna, obok urobienia na sposób zachodni stosunku kościoła do państwa, skierować także mogły pierwotną a bezgraniczną niemal rozciągłość pomorskiej władzy książęcej ku zorganizowaniu jej na modłę europejską, konieczną dla należytego przyjęcia zachodniej cywilizacji. Objaw ten wyda nam się jednak zupełnie naturalnym, gdy zważymy, że analogiczny stan rzeczy panował podówczas i w reszcie wschodnio-północnych ziem słowiańskich, mianowicie w Polsce, starszej w przyjęciu chrześcijaństwa o lat dwieście blisko od Pomorza, a jednak zatwierdzającej dopiero w 1179 pierwszy zręb przywilejów swojego kościoła. Szeregi pomorskiego duchowieństwa rekrutu ą się teraz wyłącznie z Niemców, z zupełnem pominięciem księży polskich, w celu, jak twierdzi autor, uniknięcia podrażnień niechętnych Polsce prozelitów tamtejszych. Rzecz jednak jasna, iż miało to miejsce przedewszystkiem dla tego, że ówczesny stan rozpadającej się na dzielnice a osłabionej i w sobie zamkniętej monarchi Piastowskiej nie sprzyjał bynajmniej jej dalszej działalności na Pomorzu z energią Bolesława Krzywoustego. Trudno zaś po-za inicjatywą Polski w tym względzie przypuścić istnienie jakiego bądź powodu, mogącego skłonić Niemców, starających się o wpływ i znaczenie na Pomorzu, do powoływania tam misyonarzy polskich.

Okolo roku 1156 umiera książę Racibor, a jego synowcowie, prawi dziedzice Warcisławowego tronu, Bogusław I i Kazimierz I, na ówczas już chrześciane, rozpoczynają wspólne rządy. Cywilizacyjna ich działalność ogranicza się jednak na potwierdzeniu, istniejących już poprzednio, fundacyi duchownych. Zresztą nie robią oni nic więcej

dla kościoła, przygotowującego tam, nieświadcząc jeszcze wprawdzie, ale pośrednio, grunt dla późniejszej germanizacji. Jedynym też namacalnym dowodem wzmożenia się tam niemieckiego wpływu jest przejście w r. 1162 infuły pomorskiej po zmarłym biskupie, Wojciechu, na Konrada I, Niemca. Ważny jednak wypadek polityczny z panowania tych książąt miał mieć nader korzystne na przyszłość następstwa dla pomorskich interesów Niemiec. Oto ówczesny władca Saksonii i Bawaryi, potężny Henryk Lew, zwierzchni pan Meklemburgii, zadawał sobie początkowo skromną daninę, ściąganą z podległych sobie Bodrytów, zmuszony został wreszcie do zbrojnego przeciw nim wystąpienia. Celem tego kroku miało być ukrócenie napadów bodryckich na Danię, która się Henrykowi, za spokój ze strony jego dzierżaw, opłacała. W wynikłej stąd walce padł książę Bodrytów w roku 1160. Jeden syn jego dostał się do niewoli, a drugi, Przybysław, uciekając z podbitej ostatecznie przez Henryka ojcowizny, znalazł schronienie na sąsiednim dworze pomorskim. Tutaj, za cenę odstąpienia książętom Kazimierzowi i Bogusławowi wschodniej części Meklenburga, pozyskał sobie ich sojusznictwo i pomoc przeciw Henrykowi Lwu. Obudziło jednak tym krokiem Pomorze Lwa, istotnie dla siebie niebezpieczne. Henryk, któremu początkowo chodziło tylko o danie odpowiedniej nauczki, niezaczepionemu przezeń, a rzucającemu się nań, śmiałkowi, podbija w końcu, wbrew zamiarom pierwotnym a za namową i usilnym wpływem Danii, zachodnie Pomorze, zmuszając tem braci do uznania swego zwierzchnictwa. Wasalski ten stosunek Pomorza do Henryka Lwa, poczynający się około roku 1167, zmienia istotnie położenie tego kraju, posuwając tak daleko na wschód granice Niemiec, zyskujących większy jeszcze wpływ na Pomorzu we współczesnem niemal obsadzeniu przez rodaków swoich stolic biskupich Oldenburga, Ratzenburga i Meklenburga. Nadomiar tych powodzeń, korzystając z udzielonego sobie jeszcze w r. 1154 patentem cesarskim „prawa“ apostolskiego działania na słowiańskim wschodzie, oraz zakładania tam stolic biskupich i udzielania im inwestytury, wysłał teraz Henryk Lew do ziemi Bodrytów nowego apostoła, cysterskiego mnicha, Bernona, ze swojemi poleceniami. Pokorą i zręcznością umiał wysłańiec Henryka wyzyskać ówczesne położenie na Pomorzu dla sprawy niemieckiej. Wkradłszy się w łaski książąt Przybysława, Bogusława i Kazimierza, zyskuje Berno nominację na nową stolicę pasterską w Szwerynie, co Henryk potwierdza. Osobiste zalety nowego księcia kościoła potrafiły obrócić tak rażące zmniejszenie rozciągłości władzy, jedynej dotychczas na Pomorzu biskupa, Konrada I, na istotną korzyść chrześcijaństwa, które miało się już odtąd

zwolna, choć jeszcze nie bez ważniejszych przeszkód, rozwijać w kierunku, przygotowującym na przyszłość grunt dla niemieczczyzny. Owo też stworzenie podobnego kierunku apostołskiego na Pomorzu ze strony Niemiec uważać należy za jedyny niemal rezultat, jaki aż do połowy XII stulecia osiągnęła tam germanizacja.

(Dokończenie nastąpi).

J. K. KOCHANOWSKI.

NA MORZU.

Fantazya.

Na spienionych się falach kołysze
Łódź.

Plusk wiosła daleko unosi się w ciszę
I tylko nieznany mi jakiś głos słyszę:
Wróć!... Wróć!...

Tam toń! tam skały!
Tam, śmiałku zuchwały,
Królowa wód mściwa
Żeglarzy porywał

Zwiń żagiel! Za rudel swą wprawną chwyć dłonią!
O wierz!
Wnet zbudzą się wichry i łódź twą pogonią;
Nie walczyc ci z burzą! nie walczyc z tonią!
Spiesz!.. Spiesz!..

Hej dalej! hej dalej!
Nim świt się zapali,
Niech przemknie po fali
Twa łódź!

Mam wracać? gdy płynę
W cudowną krainę
Snów!

Gdy do mnie z za toni
„Pójdź!“ srebrny głos dzwoni?
Mów!.. mów!..

Me serce ze stali,
Nie lęka się fali,
Ni głębin ni wirów!

Łódź moja skrzydlata,
Jak orzeł przelata
Nad tonią z szafirów!

Nie wstrzymać jej w pędzie!
Co będzie, to będzie!
Marzenia ja pragnę w swem życiu najdłużej
Snuć!

Ja z niemi najsroźszej nie lękam się burzy.
Czy słyszysz? czy słyszysz?

A echo mi wtórzy:

„Wróć! . wróć!...“

„Płyn łódko! a śmiało!
Przez falę zuchwałą
Przemkniemy!

Dopłyniem do celu!
Albo też, jak wielu,
Zginiemy!

Hej dalej w odmęty!
Raz żagiel rozpięty,
Wiatr sprzyja!

Pędź łódko! pędź miła!
Gdzie myśl się nie wzbila
Niczaja!

Mej duszy potrzeba
I słońca, i nieba!
Na chwilę—na krótko!

Obrawszy raz drogę,
Już wracać nie mogę!
Płyn łódko!“

Gdzie skały, gdzie wiry, gdzie strome urwiska,
Gdzie fala się kłębi, kryształy i pryska,
Rozbita spłynęła Łódź.

A nad jej szczątkami, z mgieł białych opali,
Jak echo, gdy kona, głos leciał z oddali:
„Wróć!... Wróć!...”

A. TAT ARKIEWICZ

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Karol Potkański. „Postrzyżyny u Słowian i Germanów.“ Kraków, 1895.

Dr L. Zakrzewski. „Die russische Bauern bank mit besonderer Berücksichtigung des Königreichs Polen.“ (Schmoller. Jahrbuch für Gesetzgebung, Verwaltung und Volkswirtschaft. 1896. Erstes Heft. Str. 109 — 145).

Teodor Wierzbowski. Stanisława Orzechowskiego Książki o Ruszeniu Ziemie Polskiej przeciwko Turkowi. Warszawa 1895.

Postrzyżyny były jednym z licznych obrzędów, które wprowadzały dziecko do rodziny, a później do rodu, czy plemienia, oraz do związku sakralnego tychże grup społecznych. Dawniej dziecko, podobnie jak i dzisiaj, nie od razu stawało się uczestnikiem wszystkich praw dorosłego człowieka. Nabywało ich ono powoli, i nie wszystkich odrazu. W miarę zaś, jak ich nabywało, wyzwalalo się z pod władzy rodzicielskiej. Ojciec, lub patriarchy rodu dokonywał różnych obrzędów, które dawały możność uczestniczenia dziecku, a później młodzieńcowi, w przywilejach i obowiązkach pewnego związku społecznego.

Ojciec jednak, nietylko uznawał dziecko, ale je następnie wprowadzał do związku religijnego rodziny, był on bowiem kapłanem i stróżem tej rodziny. Różne epoki w życiu dziecka u różnych ludów były przeznaczone na takie kolejne wprowadzanie go do związku sakralnego, oraz do związku społecznego. Łączyły się one z różnymi fizjologicznymi epokami w życiu niemowlęcia, starszego dziecka, a wreszcie młodzieńca; łączyły się też naprzykład z dostaniem i zmianą zębów, co mogło być odchowaniem, później znowu z pierwszą fizyczną i płciową dojrzałością. Wszystkie te objawy, dziś pozbawione swych znaków

i symboli, dawniej je miały, i właśnie jeden z takich symboli—postrzyżyny, obrał sobie autor za przedmiot specjalnego i bardzo pouczającego studyum.

Historya polska, zdaniem autora, zaczyna się opisem postrzyżyn. Gallus bowiem w swojej kronice mówi o tem, jak książę Popiel spraszał do Gniezna przyjaciół ze wszystkich stron kraju na gody postrzyżynowe dwóch swoich synów. Z opowieści Galla można było postawić następujące wnioski: 1) przy postrzyżynach nadawano dziecku imię, 2) wyprawiano ucztę, 3) nie tylko ojciec mógł dokonywać obrzędu, ale ktoś dalszy. Wreszcie zwyczaj postrzyżyn był powszechnym, obchodzono go bowiem zarówno na dworze książęcym, jak i w chacie wieśniaka. Z rozproszonych po kronikach wzmianek można jeszcze wnosić: że postrzyżyny odbywały się w lat siedm po urodzeniu dziecka.

Nieco odmiennie przedstawiały się postrzyżyny na Rusi. Młodemu księciu strzygą włosy uroczyście, raz wspomniany jest biskup, jako dopełniający obrzędu; zdaje się jednak, że mógł strzydż i ktoś inny, np. ojciec, któryś z krewnych, lub książę zaprzyjaźniony. Po ostrzyżeniu, wsadzano chłopca na konia, a niema wzmianki o nadaniu imienia. Ojciec dziecka wydawał potem wielką ucztę, która czasami trwała i miesiąc.

Zwyczaj, złączone z pierwszym strzyżeniem dziecka, pochodzą przedewszystkiem od pogańskich postrzyżyn. We wszystkich ludowych przesądach, związanych z postrzyżynami, chodzi o nieobcinanie włosów dziecku do pewnego wieku, a to pod wpływem jakiejś niewyraźnej obawy, że się dziecku coś złego stać może, że coś nadzwyczajnego łączą się z faktem, na pozór tak nieznaczającym i tak prostym, jak obcięcie włosów. Są to ślady, że kiedyś pierwsze strzyżenie włosów miało swój sakralny, obrzędowy charakter. Z włosów tych, pierwszy raz obciętych w uroczysty sposób, wróżą; mają one jakieś odrębne własności i swoje mistyczne znaczenie.

We wszystkich krajach, zostających na niższych szczeblach kultury, bardzo znaczną odgrywają rolę różnego rodzaju fikcyjne pokrewieństwa, a więc adopcyja, przyjęcie do rodu, lub rodziny, tak zwane pobratymstwo, to jest zbratanie się dorosłych i t. p. Kościół uświęcił kumostwo ze chrztu, ale Słowianie południowi znają i kumostwo ze strzyżenia. Rodzice dziecka zapraszają kogoś, aby dopełnił tego obrzędu. Przyjmują go jak najwystawniej, częstują i ugoszczają. Następnie ojciec lub matka przynoszą nożyce na talerzu, i kum zaczyna trzy razy dziecku włosy, jakoby na pamiątkę Trójcy Ś-tej. Następnie składa je na tym samym talerzu, a ktoś z domowników wyrzuca je na gnojowisko. Taki ojciec postrzyżynowy daje dziecku podarek, i robią to wszyscy zaproszeni goście.

Zwyczaj powyższy wyzyskiwano na półwyspie Bałkańskim, jako obronę od rozbójników. Gdy rozbójnicy płądrowali dom jakiego bogatego Turka, matka zazwyczaj wynosiła niemowlę i prosiła herszta, aby je postrzygł. Herszt zwykle się zgadzał na to, oddawał część zrabowanych przedmiotów, jako podarek, i rozbójnicy zazwyczaj na ten dom już nie napadali, gdyż herszt był z nim pokumany.

Kwestya, czy dziewczęta strzyżono, nie jest zupełnie jasną. Źródła historyczne mówią o chłopcach, ale u Słowian południowych strzyżono i dziewczynki. W każdym razie to jest pewnem, że dziewczynkom obcinano włosy przed ślubem. W Polsce prawdopodobnie dziewczętom w dzieciństwie nie strzyżono włosów.

Znaczenie i doniosłość postrzyżyn dziecka w 2—3, lub 7 roku życia polegała na tem, że w tym wieku mogły być one świętem odchowania dziecka i wprowadzenia go do rodziny. Należy przypuszczać, że zaraz po urodzeniu dziecka ojciec je uznawał. Po uznaniu zaś, które dziecko chroniło przed porzuceniem, następowało wprowadzenie do rodziny, a symbolem tej uroczystości były postrzyżyny.—Postrzyżyny nie miały wspólnego z umniejszeniem władzy ojcowskiej i pełnoletnością wogóle. Pełnoletność u Słowian następowała zwykle w dwudziestu latach, i wtedy mężczyzna korzystał w całej pełni ze swych praw. Wreszcie hipoteza drugich postrzyżyn zarostu u Słowian jest bardzo daleką i o nic nie jest zaczepioną.

Jeżeli postrzyżyny należą do znaczenia ojcostwa, to gdy ojciec ustępuje komuś tego znaku, czyli pozwala go wykonać nad własnem dzieckiem, w takim razie na tego trzeciego przechodzą prawa ojca, albo przynajmniej jakaś ich część. Co więcej, jeżeli ktoś bez wiedzy i woli rodziców postrzyże dziecko, wtedy wchodzi także w pokrewieństwo z niem i z rodzicami, czyli, że sam obrzęd, wykonany przez kogoś trzeciego, może być znakiem adopcyi.

U wszystkich prawie ludów pierwotnych włosy mają symboliczne znaczenie, i bez tego może nie było-by przyszło do obrządkowego ich strzyżenia. Wszędzie prawie symbolika owa mniej lub bardziej wyraźnie się skłania ku pojęciu, że obcięcie włosów jest ujmą, długie włosy zaś oznaczają wyższe stanowisko, są ozdobą i pewnym przywilejem. Można udowodnić pośrednio, że w Polsce, a zdaje się i w Czechach, obcięcie włosów miało znaczenie poddać się komuś, tak samo zresztą, jak i na Zachodzie. Istniały u nas jeszcze w XV i XVI wieku tak zwane postrzyżyny woźnych, a obrzędem pokrewnym z temiż postrzyżynami był powszechny zwyczaj obcinania włosów pannie młodej przy ślubie, który się później zamienił w rozplatanie warkocza.

U słowiańskich ludów włosy u kobiet były oznaką ich czci, wierności małżeńskiej, należały one do tego, który je posiadał. Z dru-

giej znów strony, odstonięcie ich przez niezamężne dziewczęta, mogło wyrażać swobodę wyboru, dziewiczość w tem znaczeniu, że nie należały one jeszcze do nikogo. Należało-by więc zgodnie z symboliką włosów wnosić, że u Słowian, podobnie jak u Germanów, wolni ludzie i wogóle ludzie wyższego stanu, nosili długie włosy, niewolni zaś obcięte. Tak może i było, ale jedni Polacy zdają się być z tem w niezgodzie, i jedni tylko ich panujący nosili długie włosy.

Postrzyżyny jednak słowiańskie nie były poddaniem dziecka pod władzę ojca, lecz oznaczały prędzej pewne rozszerzenie jego praw, a nie ograniczenie. Długie włosy uważane były za ozdobę, ale obcinano je w ważnych chwilach życia, aby bogów przejednać i wkupić się w ich łaskę. Ojciec więc przy postrzyżynach występował jako ojciec i jako kapłan. Germanowie znali również postrzyżyny. Miały one miejsce między 10 a 12 rokiem życia u chłopców, dziewczęta zaś zachowywały prawdopodobnie włosy aż do zamążpójścia. Są jednak u Germanów ślady postrzyżyn o kilka lat późniejszych, między 15 a 16-tym rokiem życia, które się odnosiły do zarostu; z drugimi postrzyżynami łączył się po większej części obrzęd uroczystego nadania oręża na wiecu ludowym.

Postrzyżyny germańskie pozostawały w jakimś związku z pełnoletnością; na czas bowiem pierwszych postrzyżyn przypadał: 1) okup taki, jak za dorosłego mężczyznę, 2) odpowiedzialność sądowa, a wreszcie 3) dopuszczenie do udziału w majątku rodzinnym. Pierwsze też obcięcie włosów oznaczało dojście do lat, a pierwsze obcięcie zarostu—fizyczną dojrzałość, związane zaś z nią nadanie broni dopuszcza do pełni praw politycznych. Dla Germanów, tak samo jak dla Słowian, postrzyżyny stały się symbolem usynowienia. Ojciec wykonywał nad dzieckiem cały szereg obrzędów. Kolejno podnosił je i kropił wodą, nadawał imię, obcinał rytualnie włosy, a wreszcie zwykle sam przycinał zarost i wręczał oręż na wiecu ludowym. Można było przenieść ojcostwo za pomocą którego-bądź z tych obrzędów początkowo zupełnie, później z pewnemi ograniczeniami. Działo się to w ten sposób, że ojciec rzeczywiście ustępował część jakąś swej władzy, a nawet, co dziwniejsza, swego pokrewieństwa, komuś innemu. Można nawet było ukraść samo ojcostwo, jakby jakiś przedmiot materialny.

U Germanów obcięcie włosów było znakiem hańbiącym, znakiem poddania się, a nawet częstokroć niewoli. Obcięcie sprowadzało deminutio capitis; tymczasem z dzieckiem ma się wprost przeciwnie. Dopóki chłopiec nosi długie włosy, jest niedorosłym i niepoczytalnym sądownie; po obrzędzie postrzyżyn mundium ojca się zmniejsza, a przy obcięciu zarostu zupełnie ustaje. Tymczasem adopcyja jest zupełnie w zgo-

dzie z symboliką włosów, ale postrzyżyny, wykonywane przez ojca, nie miały znaczenia adopcyi, i dopiero nabywały jej wtedy, gdy ojciec zrzekał się na rzecz kogoś trzeciego prawa do pełnienia tego obrzędu.

Obecność tychże samych symbolów u Słowian i Germanów nasuwa myśl, czy zwyczaje owe nie mają gdzie wspólnego źródła? Odpowiedź na to dają zwyczaje ludności aryjskiej w Indjach wschodnich. Zachowały się u nich do dziś dnia postrzyżyny pierwsze i drugie, i to naturalnie w swej pierwotnej formie i sile. Podobieństwa między postrzyżynami Słowian, Germanów i Indusów są tak wielkie, i tak się same narzucają, że zbytecznem jest udowadnianie wspólnego ich początku. Przedstawiają się zaś postrzyżyny indyjskie do tego stopnia typowo, że właściwie można-by od nich zacząć, i odwrócić niejako tok całego dowodzenia.

Postrzyżyny jednak germańskie i słowiańskie nie są jedynie powtórzeniem indyjskich pierwotnych, ale dalszem ich ogniwem. Zwyczaj też każdy, mimo wszelkich cech wspólnych, musi ulegać zmianom, przystosowywać się do odmiennych warunków, czyli, musi być zwyczajem życiowym, aby mózdz istnieć. Jakkolwiek więc zmieniają się sposoby obchodzenia postrzyżyn, znaczenie ich wszędzie pozostaje to samo. W końcu nadmienić należy, że zarówno symbolika włosów, jak i zwyczaj postrzyżyn nie były wyłączną własnością Aryów; spotykamy się z nimi u Chińczyków, Japończyków, czerwonoskórych północnej Ameryki i u dzikich plemion Brazylii.

Kończąc sprawozdanie z bogatej w materyał porównawczy rozprawy o postrzyżynach d-ra Potkańskiego, nadmienić winienem, że, jak wszystkie studia uczonego, odznacza się ona niezwykłą erudycją, ścisłością i sumienniością badań oraz należytem wyrozumieniem kwestyi wątpliwych a dostępnych zaledwie za pośrednictwem przypuszczeń. Hypotezy stawia też dr Potkański z należytą ostrożnością, i nie ludząc się niemi nad miarę i potrzebę, wskazuje sam ich słabe strony oraz niedostatki, albowiem nie chce mniej wytrawnego badacza sprwadzać na manowce. Jasność wykładu, logiczność rozumowań i rozległa wiedza, czynią studyum d-ra Potkańskiego cennym nabytkiem dla literatury naszej naukowej.

Poważne wydawnictwo kwartalne Schmollera ogłosiło w pierwszym kwartalniku za rok 1896 studyum, rossyjskiemu bankowi włościańskiemu poświęcone, i to ze specjalnem uwzględnieniem stosunków Królestwa Polskiego. Autorem powyższej pracy jest dr. Zakrzewski, wychowaniec niemieckich uniwersytetów, który rezultatami swych

pierwszych badań zainteresował odrazu dwa społeczeństwa: własne i niemieckie.

Na samym wstępie autor podał źródła, z których czerpał cyfry, fakta i uwagi. Szereg ich niedługi, w czem nie należy jednak upatrywać zbyt wielkiej winy autora. Studyów, poświęconych doniosłości, lub działaniu banku włościańskiego w gub. Królestwa Polskiego, byłonie wiele, a i te, co się ukazały, były tylko luźnymi uwagami ludzi praktyki, którzy ze stosunkami ludności rolniczej, zwłaszcza po uwłaszczeniu, doskonale byli obznajomieni.

Pragnąc wszakże wykazać doniosłość banku włościańskiego w gub. Królestwa Polskiego, należało przedewszystkiem stosunki włościańskie, od czasu uwłaszczenia, przedstawić nieco dokładniej, niż to autor uczynił. Prac przygotowawczych w tym kierunku można było znaleźć dosyć, jak naprzykład: Łapickiego, o stosunkach ludności rolniczej; Feliksa Jeziorańskiego, O hypotekach dla małej własności; Ludwika Górskiego, O obowiązkach większej własności ziemskiej; wreszcie liczne artykułiki w sprawie upadającej większej własności ziemskiej, i liczne artykuły w „Encyklopedyi rolniczej,” która była zawsze nader starannie redagowaną.

Z prac powyższych, z których tylko cząstkę wymieniłem, można się było przekonać, że społeczeństwo nasze, a nadewszystko ziemianie, pomimo obdłużenia własnego, nie przestawali myśleć o doli włościan, i nawzajem, włościanie, wkrótce po uwłaszczeniu, okazywali znaczną przedsiębiorczość, nabywając majątki szlacheckie i parcelując je między sobą.

Wszelkie uwagi historyczne, które autor zamieścił w swem studyum, nie są wystarczające, zwłaszcza, że w pierwszym rządzie zostały przeznaczone dla wykształconego społeczeństwa niemieckiego, które z nich może się tylko utwierdzić w niektórych uprzedzeniach, jakie żywi stale względem naszych dziejów. Tak naprzykład: utrzymuje autor, że pierwiastek mieszczański, czyli stan średni, rozwinął się w Polsce dopiero w nowszych czasach; u szczytu bowiem swej potęgi była Polska rządzona przez szlachtę i t. d. Ponieważ XVI wiek jest bezspornie uważany za szczyt tej potęgi, przeto należało sobie zadać przedewszystkiem pytanie: czy istotnie wówczas Rzeczpospolita nie posiadała pierwiastku miejskiego, obdarzonego swobodami politycznymi, i jak w niektórych okolicach, np. w Prusiech królewskich, wcale krzepkiego? Nie tu miejsce na odpowiadanie autorowi, pozwalam sobie jedynie polecić niniejszą kwestyę jego baczniejszej uwadze.

Następnie autor przypisuje Fryderykowi Wilhelmowi II zasługę wprowadzenia hypoteki do kraju, stanowiącego dziś w znacznej części

Królestwo Polskie. Otóż zapomniano tu o tem, że istniało dawne prawo polskie, które wprawdzie rządy pruskie usunęły, ale w każdym razie to nie przesądza bynajmniej o tem, abyśmy dobrodziejstwo hipoteki mieli zawdzięczać monarsze pruskiemu. Dutkiewicz w „Prawie hipotecznem Królestwa polskiego,“ (Warszawa, 1850, str. 4 i 8) oświadcza, co następuje: „Z chlubą możemy powiedzieć, że kiedy gdzieindziej utrzymywał się system tajny i ogólny, t. j., że nie było jawności i szczególności („publicité et spécialité,“) nie było publicznych do tego ksiąg; u nas w r. 1588 zaprowadzono zasadę, na której polega hipoteka. Wolno nam przeto twierdzić, żeśmy pierwsi może mieli dokładną hipotekę, pruska bowiem datuje się od 1722 roku i t. d.“ Wobec tego społeczeństwo niemieckie dowie się z pracy autora, że za hipotekę winniśmy żywić dotąd głęboką wdzięczność dla Fryderyka Wilhelma II.

Na tejże samej stronicy czytamy jeszcze, że w roku 1863 „verloren die Grossgrundbesitzer die unentgeltliche Arbeit der Leibeigenen und wurden genötigt sich Tagelöhner zu mieten.“ Autor nazywa więc włościan pańszczyźnianych z przed 1863 roku terminem „Leibeigene,“ t. j. czyni ich upośledzonymi istotami, pozostającymi w poddaństwie możnowładców patrymonialnych, zbliżonem do niewolii. Pomijając już dawniejsze wywody, zaznaczyć wypada, że § 4 konstytucyi Księstwa Warszawskiego z d. 22 lipca 1807 r. zniósł wszelkie poddaństwo ludu rolnego, czyli włościan, a kodeks Napoleona zaprowadził uzupełniające przepisy w sprawie równości wszystkich wobec prawa, a żadne późniejsze prawodawstwo nie przywróciło dawnych patrymonialnych stosunków.

Jeżeli po konstytucyi Księstwa Warszawskiego i po kodeksie Napoleona utrzymała, się w drodze obejścia i nadużycia, pańszczyzna, to bynajmniej nie upoważniało autora do nazywania włościan Królestwa Polskiego z przed roku 1863 terminem „Leibeigene.“ Pod tą nazwą rozumiano w Niemczech włościan, którzy pozostawali w zupełnem poddaństwie swych możnowładców i nie mieli prawa odwoływania się za krzywdy i samowolę do monarchy. Włościanie zaś w Królestwie Polskiem byli przed 1863 r. jedynie poddanymi swego monarchy. Wójtowie gmin mianowani byli przeważnie z pośród właścicieli wyższych, ale funkcyonowali jako urzędnicy państwowi, i za swe nadużycia odpowiadali przed wyższymi władzami rządowemi. Że zaś wzamian za posiadaną ziemią dawali włościanie właścicielom czynsz, nietylko w formie pieniężnej, ale i w robociznie, to bynajmniej ich z pod opieki prawa i równości prawnej nie usuwało. Można ich było nazwać co najwięcej „Dienst—Robotpflichtigen,“ ale ani Leibeigenschaft; ani

łagodniejsza forma poddaństwa „Erb-unterthänigkeit“ nie mogła mieć do nich zastosowania. — Tymczasem, objaśniając uczone społeczeństwo niemieckie o tem, żeśmy aż do roku 1863 posiadali niewolników, bo tem mianem, „Leibeigene,“ wskazywano najbardziej upośledzonych włościan w średnich wiekach, autor nie oddaje nam zbyt szczególnej przysługi. Lepiej-by też było niewątpliwie, gdyby krótkie ustępy historyczne, odnoszące się do Cesarstwa i Królestwa Polskiego, w pracy d-ra Zakrzewskiego nie istniały zupełnie.

Studjum bowiem bankowi włościańskiemu poświęcone, bez wstępów i uwag historycznych, jako praca sprawozdawcza rozważane, przedstawia się daleko korzystniej, i zapowiada w Zakrzewskim pożytecznego pracownika. Autor streścił skrupulatnie statuta banku włościańskiego, zebrał starannie nieco cyfr i faktów, wyjaśniających oddziaływanie banku włościańskiego na rozwój ekonomiczny włościan, i nie można mu ani daru obserwacyjnego, ani należytego wyrozumienia obserwowanych faktów odmówić. Niedostateczną zaś znajomość dziejów prawa polskiego usprawiedliwia do pewnego stopnia fakt, że d-r Zakrzewski jest wyłącznym wychowawcą uniwersysetów niemieckich, gdzie, jak wiadomo, historia prawa polskiego jest przedmiotem nieznanym zupełnie.

Turowskiego myśli i przykłady wydawania rzadkości bibliograficznych z ubiegłych wieków w nowym przedruku, nie poszły na marne. Mamy w obecnej chwili zarówno ofiarnych wydawców, jak i starannyh pracowników, którzy przedrukami cennych broszur, zamkniętych w prywatnych księgozbiorach, starają się badaczom ułatwić zapoznanie się z literaturą naszą ubiegłych stuleci.

Tem pożytecznem dążeniem spowodowany, prof. Wierzbowski, przedrukował Orzechowskiego mowę do szlachty o podniesieniu wojny przeciwko Turkowi, znaną z kilku łacińskich wydań i z polskiego przekładu Jana Januszewskiego, wydanego w r. 1590, a przedrukowanego w Bibliotece polskiej przez J. Kazimierza Turowskiego. Zupełną więc nowością, jak prof. Wierzbowski zaznacza, mowa Orzechowskiego nie jest, ale słusznie mniema: że nowe wydanie niniejszej mowy, w nieznanym dotychczas tekście, przyczyni się do przyznania jej większego wpływu na idee, wypowiedane w literaturze polskiej przez innych pisarzy, i większego znaczenia wobec późniejszych dzieł samego Orzechowskiego, skoro widoczne są w niej zarodki politycznej teorii, którą w następstwie szczegółowo i systematycznie rozwinął w utworach swoich, pisanych po roku 1560.

Polskie współczesne łacińskiemu oryginałowi wydanie mowy Orzechowskiego znane było tylko bibliograficznie; dochowało się bowiem w jednym zaledwie egzemplarzu biblioteki hr. Czarneckiego w Rusku w W. Ks. Poznańskiem. Z tego egzemplarza skutecznie został przedruk, który prof. Wierzbowski ofiarowuje miłośnikom literatury polskiej, w nadziei, że mile przyjęty przez nich będzie, jako pierwszy, rzec można, oryginalny literacki utwór polskiej prozy, jaki pojawił się z pod drukarskiej prasy. Nazwał go zaś prof. Wierzbowski utworem oryginalnym w tem, zupełnie prawdopodobnym, przypuszczeniu, że sam Orzechowski przygotował go do druku i wydał bezimiennie, gdyż sam nie chciał uchodzić za tłumacza własnego dzieła.

Prof. Wierzbowski zaznacza wreszcie, że, ściśle mówiąc, tekst niniejszy wcale tłumaczeniem nie jest, lecz parafrazą stylistycznie rozszerzoną, ale z takim zacięciem, z taką werwą i takim napisaną językiem, jaki tylko w Orzechowskiego dziełach znaleźć można. Między współczesnymi nikogo-by prof. Wierzbowski nie potrafił wskazać, kto-by tak dzielnie i biegle władał wówczas językiem polskim. Zdaje się, że nawet w XVI wieku żaden z literatów nie odważył-by się na podobną przeróbkę cudzego oryginału i że żaden nie nazwał-by jej przekładem. Na taką swobodę w stosunku do oryginału współcześnie wydanego mógł sobie pozwolić tylko sam autor.

Na samym wstępie mowy Orzechowskiego widnieje cel, ku któremu dążyć podniosły mówca. „Soliman, turecki Cesarz okrutny, nieprzyjaciel wszego krześcijaństwa, podbiwszy pod moc swoją koronę węgierską, uczyniwszy porażkę i rozlanie krwi niesłychane ludzi krześcijańskich, przybliża się k'wam, ku waszemu złemu i ku zburzeniu dóbr waszych“. Całe przemówienie Orzechowskiego jest też niczem więcej, jak potężną pobudką wojenną, wzywającą szlachtę do walki, której w żaden sposób uniknąć nie będzie mogła, albowiem pan turecki: „z nikim nie walczy jedno kogo widzi być wolnego a swobodnego; nikogo nie broni, jedno kto chce być u niego niewolnikiem“.— „Wierście temu ślachetne rycerstwo, iż cośkolwiek czyni pan turek, k'temu myśli swe szykuje wszystkie, iżbyście wy, nie chcąc dać retuu-ku samsiadom swym, którzy z nim czynić mają, wy też sami od jego rękę zginęli“.

Ponieważ byli tak uporni a głupi Polacy, „którzy chwala to obłudne przymierze tureckie, niżli jawną wojnę“, przeto tym wszystkim oświadcza Orzechowski, „że choćby turek przed samym Krakowem był, jeszczeby tego kryć chciał, iżby na Kraków szturmować miał. A cóż mizerną węgierską ziemię, człowiek wymówić nie może, jaką chytrnością otrzymał. Przeto pan turek, jako będzie mógł wadliwiej podzirzy was w tej nadziei, a przepieczeniście przymierza“.

Przekonawszy wymownemi słowy rycerstwo, że przymierze z Turkiem nie przedstawia rękojmi trwałości, Orzechowski rozwija przynębiający obraz tureckich rządów w Rzeczypospolitej, gdyby miało zwyciężyć półksiężycą znamię.—Aby podnieść serca i obudzić animusz, wojenny wykazuje, że potęga turecka bynajmniej nie jest tak straszną, jak ją inni panowie chrześcijańscy przedstawiają, i że nie godzi się, aby się człowiek tego bał, którym Pan Bóg wzgardził.

Ale: „cobyśmy mieli bronić Korony od nieprzyjacieli, to my nowe folwarki zakładamy, ruszywszy wsi. Kmieciom role odyjmujemy, a sami ją orzemy z wielkim płaczem ubogich kmiotków. Około tego sejmy, rady, prawa, statuta, aby twój splecheć rolej mój był, abych mógł kopców moich nad granice pomknąć, abych mógł swe zagony wytoczyć na pola twe. Nieprzyjaciela się bojemy, o pokój się modjemy, ziemię od nieprzyjaciela pustoszyć a palić i posiadać dopuścimy, ledwie kęs wolności, którą nam ojcowie naszy w prawach zostawili, trzymamy. Czemuż to? iż każdy za swym pożytkiem idzie, a żaden za pożytkiem Rzeczypospolitej.“

Przekładając wreszcie konieczność nieżałowania fortun na pospolitą potrzebę i namawiając rycerstwo do uderzenia na Turka łącznie z siłami rzeszy niemieckiej, Orzechowski przestrzega następniemi słowy rycerstwo: „Ponieważ Mahomet nie gadaniem, ani argumenty, ale ostrą szablą a buławą wiarę Chrystusową i dom jego burzy, proszę ich (rycerstwo) aby takowąż też broń przeciwko tureckiemu alkoranowi wzięli: niech na ten czas doma nie będą wymowni, gdyby mieli być na swych granicach obronni, bo im więcej na ten czas na rozumy się zdobywają, tem więcej oni i my przy nich giną.“

Dając nam przedruk jedyne go egzemplarza mowy polskiej Orzechowskiego, prof. Wierzbowski zaskarbił sobie niewątpliwie wdzięczność wszystkich miłośników naszej literatury. Mowa powyższa nie tylko pod względem stylistycznym ma swą wysoką wartość. Przedewszystkiem czuć w niej pisarza politycznego wysokiej miary, którego temperament ognisty uczynił najodpowiedniejszym do wygłoszenia pobudki wojennej. U Orzechowskiego podniosłość ducha idzie w parze z zastanawiającym się i rachującym przebiegle zmysłem politycznym. Mowa też jego—czyli „Książka o ruszeniu ziemie polskiej przeciw Turkowi“, pozostanie zawsze klejnotem w literaturze polskiej politycznej XVI wieku.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rok nowy 1897 rozpoczął się dla Europy pod auspicjami pokoju. Nawet sprawy tureckie nie były w stanie tego ogólnego wrażenia osłabić, choć nic się w Turcyi na lepsze nie zmieniło. Bo pokój, acz jest zależny od polityki rządu tureckiego i od zachowania się poddanych padyszacha, daleko bardziej zależy jeszcze od usposobień i od woli wielkich mocarstw. Te zaś chcą pokoju. A chcą go z pewnością szczerze, bo każde z nich ma wiele powodów obawiania się wojny. Dla tego też na gruncie stambulskim dyplomaci, stosownie do instrukcyi swoich rządów, postępują oględnie, a we wzajemnym do siebie stosunku—pojednawczo. Żaden z nich nic nie poczyna na własną rękę, w sekrecie przed innymi. Żadne z państw nie usiłuje zdobywać przeważnego wpływu, z uszczerbkiem wpływu państw współzawodniczących. Dla sprawy pokoju jest w tem przyczyna i skutek zarazem. Skutek, bo takie zachowanie się dyplomacyi na wschodzie wynikło ze świadomej chęci mocarstw, żeby się przeciwko zawikłaniom wojennym i przeciw rozbiorowi Turcyi zabezpieczyć; przyczyna, bo skoro już raz rządy na drogę zbiorowego i solidarnego postępowania weszły, unikają tym sposobem zatargów między sobą. Kiedy w roku zeszłym Anglia wyłączyła się z pośród innych państw i próbowała sama naprawiać Turcyę, wytworzyło się stąd natychmiast poważne niebezpieczeństwo

wojny wschodniej. To też sami Anglicy przestraszyli się własną śmiałością, wyrzekli się polityki odosobnionej i przyłączyli się do skromniejszej, która się ogląda na inne mocarstwa i z nimi się liczy.

Z wyjątkiem zresztą spraw tureckich, niema w Europie motywów do blizkiej wojny. Alzacya i Lotaryngia w każdym razie nie należą do takich motywów. Francuzi pragnęli-by odzyskać te prowincye; ale nie rozpoczną o nie wojny, tembardziej zaś nie namówią na taką wojnę zaprzyjaźnionej z sobą Rossyi. Niemcy i Austria z Rosyją, Francya z Włochami, Anglia z Francją, Rosyja z Anglią mają wprawdzie różne, bądź przejściowe, bądź stałe nieporozumienia i współzawodnictwa, i to zarówno w Europie, jak w innych częściach świata. Ale widoczną jest dążność wszystkich tych państw do załagadzania nasuwających się zatargów. Wielkie mocarstwa nie chcą wojny między sobą ani w Europie, ani w koloniach, rozumiejąc, że gdyby się zaczęła w koloniach, odbiła-by się echem i w Europie. W koloniach zdarzały się ostatnimi czasy wojny; lecz zawsze wojska państw europejskich były się z tubylcami, nigdy między sobą.

Gdy tym sposobem ma Europa zapewniony pokój, czy spełniły się wszystkie jej marzenia? Pytanie to rzucić wolno, albowiem od lat wielu pokój wystawiany był jako główny, ba może jedyny, idealny cel zbiorowych usiłowań Europy. I oto jest pokój. Od lat dwudziestu nie było w naszej części świata większej wojny; a w tym dwudziestym pierwszym, który się rozpoczyna, również się na wojnę nie zanosi. Więc Europa powinna być zadowoloną i jest nią w istocie. Wejrzawszy jednak bliżej, łatwo dostrzedz, że jest to zadowolenie, które można nazwać negatywnem. Rządy i narody cieszą się, że te dwadzieścia lat nie upłynęły im w gorszych warunkach; rade są, że nie przeszły przez klęski „powietrza, głodu, ognia i wojny“, że krew młodzieży nie lala się strumieniami, że nie paliły się i nie rozsypywały w gruzy miasta, że z niegrzebanych ciał nie szerzyły się zarazy, że kontrybucye wojenne nie oglądały mieszkańców, że przemysł i handel nie były paraliżowane, że społeczeństwa nie przechodziły przez straszne wstrząśnienia moralne. I zaprawdę jest z czego cieszyć się. Ale wartości życia nie mierzy się wyłącznie ogromem złego, którego się uniknęło. Do rachunku wchodzi tu także ilość wrażeń dodatnich, wszystko, co było dobre samo przez się, wszystko, co czyniło życie miłszem, wygodniejszym, swobodniejszym, wszystko, co łagodziło zawiści stanowe i uprzedzenia międzynarodowe, a siłę utrzymywało w granicach prawa. Nie zamierzamy w tej chwili szczegółowo zestawiać dorobków we wszystkich tych pozycjach. Było-by to zbyt cenne o tyle, że pod tym względem niema między ludźmi różnicy w zdaniach. Po-

kój, jakim żyje Europa, nie jest pokojem marzeń ludzkich, co najwyżej, jest to wstęp do tamtego. Ten obecny utrzymuje się sztucznie, przy pomocy militarystyki; tamten powinien stać o własnych siłach, czerpanych z harmonii ludzkich uczuć. Powie ktoś, że mrzonka taka nigdy się nie ziści. Zapewne. Ale i o tem pamiętać trzeba, że poprawę szarej ziemskiej doli osiąga się zwykle przez ukochanie tych idealnych typów bytu, które praktyczny rozum nazywa pogardliwie mrzonkami. Z dzisiejszego pokoju trzeba odpowiednio korzystać, żeby się przez niego przygotowywał pokój lepszy, pewniejszy, weselszy i szczęśliwszy. I to jest właśnie życzenie, które pozwalamy sobie przesłać pod zbiorowym adresem wszystkich Europejczyków, na początku tego, tak pokojoworozpoczynającego się, roku. Niech myślą o tem, że obowiązkiem ich jest przygotowywać dla przyszłych pokoleń warunki doskonalszego pokoju. Dzisiejszy jest, jak dzień, spędzony przez człowieka w dzikiej puszczy, w ciągu którego nie pożarły go wilki; ten przyszły powinien być, jak dzień, spędzony w wygodnym domu, który stanął wśród puszczy i daje człowiekowi bezpieczne i spokojne schronienie. Niech korzystają z czasu, i dom taki, powiedzmy domy takie, budują dla szczęśliwszej przyszłości.

Astronomiczna działka czasu, tak zwany rok ziemski, z chwilą, gdy się pogrąży w otchłani przeszłości, zwykle pobudza nas do rozmyślań i rachunków z działalności, zamkniętej w $\frac{1}{100}$ wieku: 1) cośmy zrobili? 2) cośmy powinni byli zrobić? To są dwie rubryki w księdze buchhalteryjnej pracy i zabiegów. W pierwszej stoi mała cyfra, zamykająca drobne pyłki tej pracy i zabiegów, w drugiej długi szereg potrzeb niezalatwionych, pomysłów niewykonanych, wniosków pogrążonych w niepamięć, oczekiwań nieziszczonych. Rachunkami z przeszłości byliśmy prawie przez cały rok ubiegły zajęci: przeglądaliśmy działalność i zasługi długoletnie naszych wybitnych pracowników na różnych niwach: prawniczej, publicystycznej, powieściowej i poetyckiej; urządaliśmy jubileusze, lub przygotowaliśmy się do ich obchodu.

Na schyłku roku przypadła taka uroczystość, poświęcona Adamowi Asnykowi za jego trzydziestoletnią pracę twórczą. Słusznie mu się należy to wielkie i szczere uznanie ogółu za te piękne perły jego

myśli, odrywające czytelnika od prozy życia, której poeta tak wielce nie znosił, i ubolewał nad dziećmi wieku bez miłości, wieku bez marzeń, złudzeń i zachwytu, biadał nad tem pokoleniem, które wzrosło wśród dziwnego świata, co się zapału i uniesień wstydzi, co każdym wzniosłem uczuciem pomiata i wszędzie szuka śmieszności i szczydeł. Ta jednak dusza, czysta i pogodna, wyгнаła z siebie smutne mgły, zachmurzające widnokrąg życia powątpiewaniem, i uwierzyła w świat lepszy, w ten dzień, w którym duch ludzki ożywi na nowo zeschny życia pień girlandą kwiecia różową, „a ideału jasny kwiat z zbutwiałych obrany liści, napelni znouu wonią świat, zakwitnie pełniej i czysciej.“ Poeta, nieznający wcale pragnień egoistycznych, skierował swój wzrok ku odległym pokoleniom przyszłości. Pessimistą w dzisiejszym stylu nie jest, a jednak nie wierzy w szybkie doskonalenie ducha ludzkiego, w tę światłość niezmaconą, która szczęście zgotuje licznym rzeszom, w mrokach pogrążonym. Wprawdzie tej niewiary nie ujawnia, ale skierowanie marzeń i pragnień ducha ku dalekim wyżynom przyszłości świadczy, że pomija on okresy przejściowe, smutne i niedoskonałe. Ażeby jednak ta „pierś człowiecza,“ która „zmalala,“ mogła się rozszerzyć, wchłonąć w siebie nowe siły ducha, nowe nieprzebrane skarby uczucia i porywów szlachetnych, „trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe, a nie w uwiedłych laurów liść z uporem stroić głowę.“

Znakomitemu mistrzowi formy i natchnionemu pisarzowi, którego słowa płyną głębkim łozyskiem myśli, ślemy szczere życzenia długoletniej światłości ducha twórczego i tej pogody, która pozwala mu wznosić się spokojnie po-nad mgły życia.

Pieśni krzepią ducha, pozwalają na pewien czas wejść do krainy złudzeń od powszednich trosk życiowych. Ale zbyt długo tam gościć niebezpiecznie. Trzeba często schodzić na padoł nieomagań ludzkich, koić je, lub znieczulić. Takie przeskoki w życiu rzeczywistem są dość częste, więc i my musimy je czynić w odtwarzaniu obrazu tego życia. Musimy spojrzeć na te niziny, z których najwięcej skarg i prósb wlatuje ku miłosiernym i moźnym, w zimie, kiedy nędzą najohydniej i najzłośliwiej szczyrzy swoje zęby, kąsa niemi rzesze, zbierające okruchy po biesiadzie sytych.

Organizatorom dobroczynności chodzi o to, ażeby te okruchy nie rozsypywały się bez widocznego pożytku, lecz zebrane w większej ilości, mogły posilić głodnych. Nasza instytucja dobroczynna, dzięki zabiegom jej prezesa, ks. Radziwiła, pozyskała nową siłę, pobudzającą ogół do większej ofiarności na rzecz nędzarzów. Dotychczas Towarzy-

stwo w każdym cyrkułe m. Warszawy miało tylko jednego opiekuna, na którego spadały obowiązki tak liczne, że niepodobna było im podołać. Obecnie powołano do udziału w tej pracy ludzi, którym nie obojętna jest niedola ubogich; zaproszono duchowieństwo, i oto nadal datki mogą być składane na ręce proboszczów w każdym cyrkułe parafii. Dzięki temu, dodawnych, bezczynnych dziś rad opiekunów, wejdzie nowa organizacya pomocy. Ogół będzie chętnie składał na ręce duchowieństwa wszelkie ofiary w naturze, lub pieniądzech.

Tak więc kto zechce przasać rocznie pewną kwotę do opieki dobroczynnej swojego cyrkułu, ten się uwolni od wyzysku we własnem mieszkaniu i zdobędzie prawo polecania ofiarności cyrkułowej ubogich, protegowanych przez siebie. Cyrkuły zamożniejsze, przy wspólnem porozumieniu rad opiekuńczych, przeznaczą nieraz fundusze zbywające dla cyrkułów niezamożnych.

Reforma istotnie może przynieść większy pożytek, niż działalność dotychczasowa, w wielu wypadkach niedająca żadnej ulgi nędzarzom. Nowa organizacya łagodzenia nędzy, bądź co bądź, dąży ku temu, ażeby prawdziwie poznać nędzarzy i przyjść im z pomocą w najniezbędniejszych potrzebach. Oby Towarzystwo dobroczynności wprowadziło możliwie najwięcej tego rodzaju reform w swojej działalności.

Z zapowiedzianych reform w roku bieżącym zasługuje na uwagę jedna, która niewątpliwie wpłynie znacznie na rozwój miast i wzmoczenie w nich ruchu ekonomicznego. Oto ministeryum spraw wewnętrznych zwróciło uwagę, że położenie finansowe większości tych ognisk życia i interesów nie odpowiada istotnym potrzebom, i że miasta, w razie urządzania przedsiębiorstw użyteczności publicznej, uciekać się muszą do towarzystw akcyjnych i kapitalistów postronnych. Tym sposobem w większości miast zbudowano wodociągi i kanalizacyę, wprowadzono oświetlenie udoskonalone, tramwaje i inne przedsiębiorstwa, mające charakter handlowy, które mogą przynosić miastom zysk. Takie zaś roboty, jak budowa mostów, szpitalów, bruki różnych systemów, słowem, to wszystko, co posiada ważne znaczenie zdrowotne i ekonomiczne, albo wcale nie jest wykonywane, z braku środków, albo obciąża nadmiernie budżet miejski. Otóż ministeryum wyraziło życzenie, ażeby zarządy miast możliwie ograniczyły koncesyjne załatwianie potrzeb miejskich, a natomiast organizowały przedsiębiorstwa na swój rachunek. Przyczem samo ministeryum przyobiecuje swą pomoc w tworzeniu przez miasta przedsiębiorstw i emisyi niezbędnych pożyczek.

Na ten doniosły fakt życia bieżącego prasa nie zwróciła uwagi, pomimo, że on niepoślednią rolę odegrać może, jako środek rozszerzający pola pracy licznym rzeszom ludzi. Przedsiębiorstwa, ześrodkowane w rękach zarządów miejskich, o tyle zyskają, że nie wejdą tu w grę pośrednicy i różnego rodzaju afferzyści, którzy zazwyczaj pochłaniają znaczne summy, przedłużają roboty i wreszcie, skutkiem lichego materiału i lichych, tanich wykonawców, zniżają wartość tych robót.

Niepoślednią rolę w rozwoju miast odgrywają instytucje kredytowe. Jedna z nich, w Warszawie, skończyła dwadzieścia pięć lat swego istnienia i ogłosiła drukiem zarys działalności ćwierćwiekowej. Jako ważne ogniwo w życiu ekonomicznem miejskiem, zasługuje ona na szczególną uwagę. Nietylko bowiem przyczyniła się do wzrostu Warszawy, ale i do stworzenia takich instytucji w innych miastach, Ciekawe są również długoletnie dzieje mozolnych zabiegów około stworzenia tego ogniska kredytu w naszym mieście. Od roku 1840 do 1870 usilnie walczone z nieufnością we własne siły żywiołu miejskiego.

Według ówczesnego mniemania, ubezpieczenia „na murach“ były niepewne, natomiast obdarzano szczególnem zaufaniem tylko *ziemię*, „bo jej nie zabierze ani wojna, ani ogień, ani woda“. Nie znano wówczas jeszcze tego twierdzenia ekonomii politycznej, że nie ziemia sama, jako towar, wyrażony w kapitale, lecz jej wytwórczość, wyobrażona w rencie, jest podstawą kredytu rolnego, a więc najbardziej ziemia jest wystawiona na zrujnowanie jej wytwórczości przez wiele czynników nieprzyjaznych. Powoli jednak zaczęto rozbierać szaniec przesądów, przekonano większość o potrzebie i pożytku nowej organizacji kredytu miejskiego i, po długiej wędrówce projektu w różnych instancjach, zdobyto nareszcie możność zawiązania Towarzystwa, na wzajemności opartego.

Według ustawy, nie ograniczono czasu trwania instytucji, t. j. przyjęto zasadę, której wogóle u nas nie znano w praktyce do r. 1860. Warunek ten jest mocną podstawą Towarzystwa. Drugą jego cechą bardzo ważną był—samorząd. Wszyscy stowarzyszeni mieli radzić o swoich losach, roztrząsać czynności swych władz i wybierać do nich zarządców tudzież nadzorców, których można było zmieniać w razie konieczności.

Jak szybko odczuto potrzebę Towarzystwa kredytowego miejskiego, dowodzi fakt, że gdy po otrzymaniu zatwierdzonej ustawy założyciele zawiązali komitet i przez dzienniki wezwali właściciele domów o składanie odpowiednich deklaracji i kaucyi, w ciągu kilkunastu dni złożono przeszłodwa razy więcej, niż było potrzeba, i zadeklarowano

przystąpić z budowlami murowanemi, ubezpieczonemi od ognia przeszło na 7½ milionów rubli.

Zaznaczyć musimy, iż do steru nowej instytucji powołano przede wszystkim jej założycieli. Mianowicie, jako dyrektorowie weszli: hr. Józef Zamoyski (prezes), senator Longin Gudowski i mecenas Dominik Zieliński. Jako zastępcy: Władysław Wołowski, mecenas Henryk Krajewski i Władysław Okęcki. Pierwszy komitet składali pp.: mecenas Edward Grabowski, Leopold Kronenberg, Jan Bloch, hr. Michał Stadnicki, Aleksander Temler, mecenas Wincenty Majewski, Juliusz Wertheim i Edward Strasburger. Na prezesa komitetu powołano ks. Tadeusza Lubomirskiego, który na tem stanowisku przetrwał całe ćwierć wieku, stale po każdej kadencji na nowo powoływany.

Dziś Towarzystwo kredytowe miejskie jest silną instytucją kredytową i stanowi nie mały czynnik życia ekonomicznego; od lat 20-tu posiada kasę przezorności i pomocy pracowników. Dla dokładniejszej charakterystyki działalności Towarzystwa podajemy tu parę cyfr głównych. W ciągu 25 lat dostarczyło ono własności miejskiej 77,201,200 pożyczek dogodnych, spłacanych w dogodnych ratach. W pierwszym roku udzieliło 4,133,800 rs. pożyczek, a w 25-ym miało ich na hypotekach 53,974,500; listów zastawnych w obiegu 43,592,000 rs. Pożyczki te, zrazu użyte na spłatę przeważnie dawnych uciążliwych długów, wkrótce stały się źródłem ruchu budowlanego.

Towarzystwo kredytowe miejskie w Warszawie, jak rzekliśmy, dało impuls do założenia takich ognisk w innych większych miastach Królestwa Polskiego. Dziś już one istnieją z powodzeniem w Łodzi, Lublinie, Kaliszu i Płocku. I tutaj zabiegi pochłonęły dużo czasu. Zrazu miasta usiłowały uciec się pod skrzydła Towarzystwa kredytu ziemskiego, ale te starania oczywiście speszły na niczem. W latach 1884 i 1885 Towarzystwo przemysłu i handlu, na wniosek p. D. Rosenbluma, następnie zaś delegatów miast Piotrkowa, Suwałk, Łomży, Siedlec i Płocka, podało wniosek zawiązania Towarzystwa kredytowego, wspólnego dla wszystkich mniejszych miast Królestwa. Na to jednak z ministeryum skarbu odpowiedziano odmownie. Pozwolono tworzyć takie ogniska odrębne dla każdego miasta. Ponieważ w mniejszych taka organizacya samodzielna nie opłacała-by się wcale, ze względu na drobne obroty, więc małe miasta muszą sobie radzić inaczej i patrzeć z zazdrością na większe, korzystające z dogodnego kredytu.

Rolnicy nasi oddawna kołącą o kredyt tani dla siebie. Gdy zapowiedziano wprowadzenie w życie nowej ustawy Banku państwa,

opartej na bardzo szerokich podstawach, ziemianie z gorączkową niecierpliwością czekali ulgi dla siebie. Jakoż istotnie dano je w pewnej mierze, a co ważniejsza, że rolnicy w wielu miejscowościach zaczęli się prześcigać w rzetelnem spłacaniu sum pożyczkowych, ceniąc doniosłość tego kredytu. Nie odpowiadał on jednak wszystkim potrzebom ziemianina, mianowicie w zakresie melioracyi. Oceniono również należycie tę potrzebę i stworzono specjalny kredyt melioracyjny, który wszakże dotychczas jeszcze nie obejmuje Królestwa Polskiego.

Jest pewna kategoria własności ziemskiej u nas, która wcale nie posiada kredytu... nie lichwiarskiego, bo ani Bank włościański, ani Towarzystwo kredytowe ziemskie nie przychodzą jej z pomocą. Na to ważne zjawisko zwróciła niedawno uwagę „Gazeta Polska“, w artykule wybornym, napisanym z prawdziwą znajomością rzeczy. Zwraca ona uwagę głównie na to, że drobna własność w Królestwie Polskiem jest zupełnie pozbawiona kredytu hipotecznego. Minimum pożyczki, udzielanej przez Towarzystwo kredytowe ziemskie, wynosi 500 rs. Otóż drobny właściciel rzadko kiedy potrzebuje kredytu w summie stosunkowo tak wysokiej; nawet gdy mu chodzi o dokupienie kilku morgów ziemi, wystarczyła-by mniejsza kwota. Gdyby się jednak zdecydował na ową sumę minimalną, to stanęły-by przed nim wysokie koszty formalności hipotecznych, regentalnych i taksowych. Gdy Towarzystwo kredytowe wcale włościanom pożyczać nie może, Bank włościański służy wyłącznie ich potrzebom, ale natomiast wyklucza zupełnie osadników, należących do innych stanów; przytem owa instytucya udziela pożyczek tylko na kupno ziemi, a nigdy na ziemię już posiadaną. Powyższa więc kategoria rolników musi się uciekać do kredytu lichwiarskiego, którego skutki są powszechnie znane. A przecie drobna własność w Królestwie Polskiem zajmuje przeszło połowę ziemi. (Osady małe pokrywają więcej niż 11 milionów morgów, gdy gospodarstwa folwarczne — 9 milionów). Przytem brak dogodnego kredytu dla tej własności odbija się także ujemnie i na większej, która nie może się ratować od ruiny całkowitej sprzedażą swych skrawków. Drobny osadnik przyszedł-by z ratunkiem, gdyby właśnie miał kredyt.

„Gazeta Polska“ znajduje na to sposób; mianowicie radzi, ażeby Towarzystwo kredytowe ziemskie otworzyło tani kredyt hipoteczny dla własności drobnej, zwłaszcza, że art. 81 ustawy upoważnia tę instytucję do zabiegów około uzupełnienia przepisów w granicach wskazanych przez praktykę życiową. Ponieważ kwestya taniego kredytu dla rolników zaprzęta obecnie uwagę sfer ministeryalnych, więc najwłaściwszy byłby czas podsunięcia wniosku powyższego, z *grunt-*

wnem umotywowaniem. Wszelkie bowiem mylne, lub niedokładne dane całą sprawę psują.

Zdarzało się nam nieraz bywać na zjazdach i posiedzeniach ekonomicznych, przysłuchiwać się różnym wnioskom, budowanym na takich mylnych danych, i to budowanym ze świadomością dla celów egoistycznych. Ciekawą jest wielce psychologia takich zjazdów, w którą trzeba dobrze wniknąć, ażeby ocenić, na jakim-to podłożu ścierają się namiętne zdania, z jakiego to materiału tworzone są sztańce i baterye na przeciwników, jakich to refleksów szermierze używają do silnego oświetlenia brył a pozostawienia w cieniu włomów i rozpadlin, które należało-by usunąć i wyrównać. Gdy chodzi o jakiegokolwiek reformy i ulgi, walczą z sobą nie tylko okręgi, różniące się pod względem geograficznym, antropologicznym, socyologicznym i ekonomicznym; walczą gubernie, powiaty, nawet zaścianki; walczą spożywcy z wytwórcami, przedstawiciele kolei żelaznych z handlarzami zboża, handlarze z rolnikami, rolnicy z młynarzami, wreszcie nawet rolnicy z rolnikami i młynarze z młynarzami. Wytwarza się po prostu orgia sprzeczności interesów, wysuwają się drobne podjazdy egoistycznych celów, partyzantka mizernych pobudek. Doprowadzić do porządku ten rozgardyasz, wysnuć z niego jasne i szerokie motywy, stworzyć argumentację rzetelną i bezstronną, pogodzić sprzeczność interesów, — na to wszystko trzeba nielada świątłych i wytrawnych umysłów, trzeba nie tylko wiedzy i zdolności niepospolitych, lecz i wysoce sumiennego traktowania rzeczy.

Taka właśnie walka chaotyczna odbyła się w końcu roku ubiegłego na zjeździe taryfowym, z którego w sekcji rolnej zdał sprawę Adolf Suligowski, przedstawiciel instytucji naszych ziemian. Większość uczestników tego wiecu żądała niżsiki obecnych taryf różniczkowych na przewóz zboża, i tak już niskich. To żądanie nie było poparte żadną myślą szerszą, żadnem argumentowaniem poważnem i przekonującym. Występowała tu prowincya w ścisłem znaczeniu i żądała ulg dla siebie, bez względu na to, jakie one mogły-by dla innych pociągnąć następstwa, a nawet w przyszłości — dla niej samej. „Musimy wypełnić swoje zboże na rynki dalsze, musimy je przewieźć prawie darmo, ażeby mieć jakie takie zyski“. Nie pytano, co będą robić rolnicy w pewnym promieniu owych rynków, zapchanych zbożem dalszych współzawodników, nie troszczono się o to, że upadek rolnictwa w danej okolicy, skutkiem przeładowania rynków, może zniszczyć ekonomicznie całe prowincye. Nie troszczono się wreszcie o olbrzymie straty skarbu i kolei żelaznych. Jeden z wybitniejszych przed-

stawiciele interesów komunikacyjnych dowiódł, że już dzisiaj koleje a pośrednio skarb (jako posiadacz znacznej ich liczby), tracą na takim przewozie ziarna.

Rzecz dziwna, że poruszając tyle spraw ważnych, nie tknięto wcale kwestyi zasadniczej: zabezpieczenia się od powrotu zboża i jego produktów, wywiezionych za granicę. Bez tego warunku właściwie taryfy wywozowe nie istnieją. A przecież przed dwoma laty sami byliśmy świadkami, jak życzliwie na posiedzeniu głównego Towarzystwa przemysłu i handlu w Petersburgu przyjęto projekt Suligowskiego. Według wnioskodawcy, określenie opłaty za zboże i jego produkta, wywożone za granicę, można osiągnąć w dwojaki sposób: albo ustawić pewne potrącenie na rzecz wywozu ze skali taryf wewnętrznych, np. w stosunku połowy, albo oznaczyć specjalną niską normę opłaty wywozowej, np. $\frac{1}{75}$ kop. od puda i wiorsty i stworzyć tablicę opłat według liczby wiorst. W pierwszym wypadku system różniczkowy nie uległ-by naruszeniu, (zastosowano-by tylko większe strącenia), w drugim — wywóz odbywał-by się według jednakowej normy dla wszystkich miejscowości państwa bez różnicy. Dzięki temu, okręgi, położone bliżej granicy, wywoziły-by więcej niż dzisiaj i mogły-by utrzymać u siebie wysoki poziom cen. Miejscowości dalsze zyskały-by możliwość dowożenia swego zboża na rynki zachodnie i południowe, w celu wyrównania niedoborów, które powstały-by skutkiem ożywionego wywozu. Zresztą wszystkie okręgi przy takiej niskiej normie opłaty korzystały-by z taryf wywozowych niższych aniżeli obecnie, co wywarło-by znaczny wpływ dodatni na handel wewnętrzny i jego rozwój.

O wiele wszakże było-by dogodniej, nie naruszając zasad taryf różniczkowych, już utrwalonych, uprzystępnic wywóz w inny sposób: ustanowić jako regułę, ażeby z opłaty, pobieranej według ogólnych przepisów, zwracać eksporterom część jej za wywóz *dokonany i dowiedziony*. Tym sposobem można było-by uniknąć dwu odmiennych schematów różniczkowych, więc zarazem i rachunków podwójnych. Wywozowcy, z chwilą przejścia ich zbóż za granicę, otrzymali-by połowę summy za transport zapłaconej, podobnie jak dziś otrzymują premia za wywóz mąki w stosunku 10%, na mocy świadectwa komory celnej o wywozie zagranicę oraz frachtów, za którymi towar przyszedł na komorę. Były-by to taryfy w ścisłym znaczeniu *wywozowe*, bo nie dopuściły-by tego, co się dzieje dzisiaj: zboże i jego produkta, przeznaczone na wywóz zagraniczny, zapełniają rynki miejscowości pogranicznych i dalszych, mniej więcej na przestrzeni 300 wiorst od granicy, lub wracają wkrótce do kraju, z jego szkodą ekonomiczną.

Szkoda, że na tę ważną kwestyę zabrakło czasu uczestnikom zjazdu. Pociuszajmy się tem, że prędzej czy później musi ona wejść nie tylko na porządek dzienny obrad, lecz jako uchwała, utrwać się w życiu. Przypuszcząć tak wolno, tembardziej, że wiec niniejszy nie przyszedł do żadnych konkretnych wyników i że tylko wyrażono tendencyę pogodzenia wszystkich interesów z korzyścią społeczną. Sprawa taryf nie jest zatem załatwioną, a reformy nie są postanowione.

W literaturze i sztuce rozpoczęty rok zaznaczył się dobrmi na przyszłość zapowiedziami, przyniósł bowiem aż trzy konkursy.

Dwa z nich zapoczątkował Ignacy Paderewski, wzywając do turnieju muzycznego i dramatycznego. Konkurs muzyczny z nagrodą 2,000 rubli, ogłasza się dla kompozytorów polskich: 1) na symfonię lub suitę, w stylu symfonicznym; 2) na koncert na jeden instrument z towarzyszeniem orkiestry; i 3) na utwór z dziedziny muzyki pokojowej: kwintet, kwartet, trio, sonata z fortepianem, lub kwartet smyczkowy. Utwory, uznane za najlepsze, otrzymają nagrody: symfonia lub suita 100 rubli, koncert z orkiestrą 500 rubli, dzieło kameralne 500 rubli. Lista sędziów niebawem będzie ogłoszona; tymczasem na przewodniczącego konkursowi uproszony został dyrektor Gewandhausu w Lipsku, p. Ar. Nikisch. Termin nadsyłania rękopisów, pod adresem przewodniczącego, upływa z d. 15 grudnia 1897.

Co do konkursu na dzieło dramatyczne, inicjator i ofiarodawca miał przeważnie na celu podanie młodym, rzeczywistym talentom zachęty do twórczości w tym kierunku, pola do popisu. Obok warunków artystycznych wielką wagę przywiązuje on do czystości i poprawności języka, a że większa część młodych pisarzy nie miała czasu i możności dojść pod tym względem do stopnia udoskonalenia, do jakiego dochodzili starsi, konkurs przeznaczają się dla młodych autorów do 35 lat wieku.

Konkursowi podlega wszelki utwór o charakterze poważnym: tragedia, dramat, lub komedia, odpowiadający warunkom scenicznym, wypełniający całe przedstawienie, nigdzie dotąd nie drukowany i nie przedstawiany. Termin do nadsyłania utworów (do Redakcji *Biblioteki Warszawskiej*), upływa z d. 1 stycznia 1898 roku. Summa rs. 2,000, przeznaczona na nagrody, rozdziela się na cztery części, a rozdział zależy od uznania sędziów, z zastrzeżeniem, że nagrodę rs. 1,000 otrzymać ma dzieło, przedstawiające rzeczywistą wartość artystyczną, pozostałe zaś udzielone być mogą wszelkim utworom, świadczącym o ta-

lencie autora, lub autorki, choćby nawet pod względem artystycznym zostawiały do życzenia.

Na sędziów konkursu zaproszeni zostali pp.: Bogusławski Władysław, Chmielowski Piotr, Gawalewicz Maryan, Henkiel Dyonizy, Karłowicz Jan, Kenig Józef, Leo Edward, Lubowski Edward, Pietkiewicz Antoni, Rapacki Wincenty, Rzętkowski Stanisław, Sienkiewicz Henryk, Święcicki Adolf i Zalewski Kazimierz.

Wreszcie Redakcja *Głosu* pośredniczy w ogłoszeniu konkursu na jednotomową powieść, z inicjatywy grona obywateli z pod Krośniewic. Nagroda rs. 500, Termin 1 stycznia 1898 r. Skład sędziów: pp. Piotr Chmielowski, Władysław Jabłonowski, Stanisław Krzemiński, Antoni Lange, Ign. Matuszewski, Józefat Nowiński, Zygmunt Wasilewski.

Wiadomości bibliograficzne.

— James Sully. „Umysłowość ludzka, księga podręczna psychologii.“ Z angielskiego tłómaczył J. K. Potocki. Tom I. Warszawa. Wydawnictwo im. T. T. Jeża. 1897. (4-ka, str. 615). Dzieło to przeznaczone jest dla tych szczególnie, którzy pragną poznać ostatnie wyniki badania psychologicznego dokładniej, aniżeli to mogli uczynić z książki, mającej na względzie wiadomości pierwiastkowe i praktyczne. Stąd też autor znacznie więcej miejsca udzielił nowym postępom psychologii „filozoficznej“ i doświadczalnej; uzmysłowieniu zasad psychologii w zjawiskach życia rasowego i zwierzęcego, obłąkania i hipnotyzmu. Zarazem usiłował uwydatnić zawilość i sporność wielu zagadnień tej nauki, oraz dopomódz czytelnikowi do osiągnięcia słusznego wniosku co do owych punktów, przez wzmianki historyczne, dotyczące głównych niezgodności danej doktryny. Uznając niejako uroszczenia neurologa, aby był słuchanym w dziedzinie psychologicznej, autor bynajmniej nie rozstaje się ze swem przekonaniem i uprzedzeniem, że fizjologia nerwów nigdy nie powinna przywłaszczać sobie stanowiska psychologii właściwej, jako nauki, która ma rozwikłać i sprowadzić do postaci najprostszej tkaninę świadomości. Z drugiej strony można powiedzieć, że takie szersze uwzględnianie sprawy fizjologicznej oznacza, iż autor daleki jest od stanowiska owego ascetyzmu psychologi-

cznego, który, wywłaszczając nasze ciało całkowicie, usiłuje dziś jeszcze stworzyć teorię działalności *ab intra*, bez uwzględnienia układu sił ustrojowych, stanowiącego o tej działalności na każdym punkcie. Autor często powołuje się na prof. Wundta, prof. Ribota, d-ra Worda, prof. Ladda, d-ra Münsterberga, prof. Jamesa. Szczególnie wielkie uznanie wyraża dla ostatniego, którego „Zasady psychologii“ (*Principles of Psychology*), odznaczają się „pełnią, żywotnością i dążnościami wybitnie nowoczesnymi.“

— Aleksander Świątchowski. „Poeta, jako człowiek pierwotny.“ Kraków (4-ka, str. 51), Gebethner i S-ka, 1896. Autor w tem pięknym studyum dowodzi pokrewieństwa umysłu poety z umysłem człowieka pierwotnego i twierdzenie swoje popiera spostrzeżeniami i wnioskami znakomitych antropologów, socyologów i innych uczonych, tudzież zestawieniem obrazów, odtworzonych przez poetów, z wyobraźnią ludzi pierwotnych. Obok podobieństwa autor zaznacza trzy między nimi zasadnicze różnice: 1) Człowiek pierwotny wierzy w prawdę i rzeczywistość swoich animistycznych wyobrażeń; poeta nie wierzy i używa ich tylko jako formy do wyrażania swych wrażeń, uczuć i myśli. 2) Pierwszy tworzy mity całkowite, drugi tylko ich zaczątki i okruchy. 3) Pierwszy do wszystkich przedmiotów odnosi zawsze te same wyobrażenia, drugi — rozmaite. Czyli w przykładzie: poeta nie wierzy, że wiatr ma skrzydła, a człowiek pierwotny — wierzy. Poeta, nazwawszy słońce okiem dnia, nie rozwija dalej tego twierdzenia, a człowiek pierwotny wysnuwa całą legendę o oku Boga: Poeta mówi:

O nocy... korony Boga chłodna perła,
Nad ziemią unosisz srebrne swoje berło,

gdzie noc jest zarazem perłą korony i królową; człowiek pierwotny upostaciował-by ją w jednej, lub drugiej. Te wszakże różnice nie usuwają podobieństw. Między poetą a człowiekiem pierwotnym istnieje bardzo ściśle pokrewieństwo duchowe. Oba nietylko dopełniają lub zastępują swą wiedzę wyobraźnią, ale nawet przetapiają prawdy pierwszej na pomysły drugiej; obaj ożywiają wszystkie przedmioty duszami i nadają duchom znaczenie przyczyn w procesach i zjawiskach natury; obaj materyalizują pojęcie oderwane, włączając je również w sferę animizmu. Słowem, obaj usuwają ze wszechświata wszelki bezkształt, bezcielesność i martwość, uzupełniając go postaciami określonymi, cielesnymi i żywymi. Imaginacya szuka wszędzie życia, a jeżeli go nie znajduje, to stwarza. „Dla niej ważniejszem było-by odkrycie jednej rośliny na księżycu, niż najdokładniejsze wymierzenie jego powierzchni. Tymczasem rozum, pomimo swych niezaprzeczonych tryum-

fów w badaniu, najmniej dotąd poznał istotę życia, która ciągle stoi przed nim w nieprzeniknionej zasłonie... Są w nauce kwiaty prawd, z których poezya miód wysysa; są klejnoty, któremi ona się zdoła, ale wogóle postęp naszej wiedzy tak słabo karmi wyobraźnię, że ona musi zwracać się po zasilki do wzorów i legend kultury pierwotnej.“ — „Co się stanie z poezją — zapytuje autor — gdy rozum zdobędzie i przyłączy do swego królestwa dalsze dzielnice, zostające pod berłem fantazy? Pójdźmy w przypuszczeniu jeszcze dalej, i wyobraźmy sobie, że on opanował całym wszechświatem, że niema w przestrzeni najdrobniejszego zakątka, w którym-by się ukryła jakaś tajemnica, słowem, że wszystko wiemy; czy i wtedy jeszcze poeci mówili-by o mrugających gwiazdach i o skrzydlatych chmurach?“ W odpowiedzi na to Świętchowski wyraża domniemanie, że „gdybyśmy wszystko poznali, gdyby z wszechświata opadły wszystkie zasłony i on stanął przed nami w całej przejrzystości, może wówczas w jego naturze dostrzegli-byśmy tyle uroku, tyle piękności, że poezya nie potrzebowała-by swych utworów przystrajając szatami zmysłów, bo daleko wspanialszą dla nich ozdobę znalazła-by w prawach. Jest to wszakże tylko marzenie, którego w urzeczywistnieniu ród ludzki zapewne nigdy oglądać nie będzie. Jak dalece myślą w przyszłość wybieść możemy, widzimy tylko w dalszym ciągu powolny pochód nauki, nad którą w wysokich i śmiałych lotach krąży fantazya. Poeta zaś nadal pozostanie krewniakiem duchowym człowieka pierwotnego.“

— „Ćwiczenia stylistyczne“ we wzorach i tematach, ułożone systematycznie przez C. Bogucką, C. Niewiadomską i J. Warnkównę-Stopień I i II. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1897.

Literaturze pedagogicznej przybyło nowe dziełko, wielce pożyteczne, jako podręcznik dla uczących, a z pośród już istniejących tego rodzaju książek — może najlepsze. Zbiorową tą pracą autorki złożyły dowód staranności o dogodzenie wszystkim potrzebom umysłu dziecięcego, a także celom nauczycielskim, i wykazały wiele pomysłowości w układzie tematów. Treść każdego „stopnia“ ujęto w następujące działy: 1. Opisy różnej treści. 2. Porównania. 3. Powiastki. 4. Wiersze do przerobienia na prozę. 5. Listy. W Stopniu II są jeszcze nawet próby rozprawek literackich. Do najmniej szczęśliwych zaliczamy tylko „Porównania.“ Dziecko chętnie zestawia jedne przedmioty z drugimi, szuka różnic i podobieństw; ale nie porównywa przedmiotów tak od siebie odległych, tak zupełnie niepodobnych, jak np. „Jaskier i lipa“ (str. 163, stop. I), których jedyną wspólnością jest należenie do królestwa roślin. Do rzędu niestosownych porównań zaliczamy jeszcze: „Stół i biurko“ (str. 76, stop. I), lub „Wół i mysz“ (str. 72, stop. I), —

natomiast bardzo udatne są: „Wieś i miasto“ (str. 76, stop. I), „Zima i lato“ (str. 77, stop. I), „Rolnik i rzemieślnik“ (str. 31, stop. II) „Miecz i słowo“ (str. 155, stop. II), bardzo ładnie rozwinięty, świeży, niebanalny temat, wreszcie „Góral i Górnik“ (str. 167, stop. I).

Szczęśliwym pomysłem było wprowadzenie przeróbek wierszy na prozę. Ćwiczenie takie ma na celu przyzwyczaić dziecko do uważnego czytania poezyi, do obejmowania jej treści, co nawet często szwankuje u dorosłych: ale nie należało mieszać „przeróbki“ ze „streszczeniem.“ W streszczeniu mam prawo swojemi słowami opowiedzieć pokrótce myśl autora; przerabiając wiersz na prozę, używam tych samych i teje ilości wyrazów, co autor, unikam jedynie rymu. Czemuż sobie odmawiać urozmaiceń w mozolnym, a jednostajnym, bądź co bądź, zawodzie nauczania? Odstąpieniem więc od wyłuszczonego prawidła jest przeróbka wiersza p. t. „Mądry i głupi“ Krasickiego, w której opuszczono zdanie: „iżby nie był w odpowiedzi dłużny“ (rzekł mądry), a także użyto wyrażeń, niezgodnie z wzorem. Wypowiedzenie przy końcu morału, czyli myśli zawartej w wierszu, zasługuje na uznanie. Ale maleńkie niezrozumienie zabłąkało się do wzoru przeróbki „Przyjaciół“ Mickiewicza (str. 234, stop. I). Autorki zredagowały wstęp następujący: „Dzisiejsza przyjaźń. Trudno znaleźć przyjaźń prawdziwą na świecie.“ Brzmi to zupełnie poważnie, jako uogólnienie myśli autora, gdy tymczasem słowa początkowe bajki są ironiczne, jak się o tem przekona ten, kto doczyta ją do końca. Zamiast *wstępu*, który kwalifikuje się do odrzucenia, należało w końcu dyspozycyi dać morał, jako „prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie,“ zgodnie z myślą autora. Po-za temi uwagami, należy się paniom: Boguckiej, Niewiadomskiej i Warnkównie uznanie, a ich książce rozpowszechnienie.

-- Dr Fr. Giedroyć. „Ekspertyza lekarska w dawnych sądach polskich (do końca XVIII stulecia). Przyczynek do dziejów medycyny w Polsce.“ Warszawa, nakładem redakcyi „Kroniki lekarskiej,“ 1896, (8-ka, str. 92). Jest to owoc mozolnej pracy, jak widać z licznych i bardzo pewnych źródeł. Autor podaje mnóstwo dokumentów, stwierdzających pewien udział rzeczoznawców z dziedziny lekarskiej w orzeczeniach sądowych. Udział ten w wielu razach był przypadkowy, dorywczy, zależny od zapatrywań sędziów w danej sprawie. Przeważnie rozstrzygano różne sprawy bez pomocy lekarskiej. Medycyna sądowa mogła powstać dopiero wtedy, gdy się ukształtowały państwa, a sadownictwo przyszło do przekonania, że kwestye specjalne najlepiej oddawać pod rozagę specjalistom. Nie było więc takiego rzeczoznawstwa w starożytności i dopiero zaczyna ono powstawać w wiekach średnich. Nie można poczytywać za obdukcye sądowo-lekarskie kilku

przykładów, w których jako rzeczoznawca występuje lekarz prywatnie, t. j. nie na żądanie władz sądowych, lub gdzie prawo, wyraźnie zalecając zbadanie zdrowia, albo uszkodzeń cielesnych, powołuje do tej czynności osoby nieobeznane z medycyną. Mojżesz nakazuje wprowadzić dochodzenie panieństwa, ale wykonanie tego porucza starszym miasta. W innych wypadkach i u innych narodów było mniej więcej takie same badanie, czynione nie przez specjalistów. Po raz pierwszy pojawia się lekarz sądowy w dzisiejszym tego słowa znaczeniu dopiero w roku 1209. Pierwszą rozprawę treści sądowo lekarskiej wydali Francuzi. Autorem jej był Ambroży Paré, lekarz króla Franciszka II (r. 1575). W Polsce obowiązywały jednocześnie dwa prawa, różniące się niekiedy zasadniczo: pierwsze, prawo *polskie*, czyli *ziemskie*, krajowe, powszechne, obowiązywało w zasadzie wszystkich mieszkańców kraju; drugie — *niemieckie*, było nadawane pewnym miastom i osadom, i tam tylko miało moc stanowczą. Prawo polskie nigdzie nie zaleca, ażeby do obdukcji sądowych powoływano lekarzy, a chociaż praktyka kryminalna podaje przykłady, że niekiedy, w sprawach szczególnej doniosłości, lekarz dokonywał oględzin, to nie brak z drugiej strony przykładów wprost przeciwnych, że pomijano lekarza, aczkolwiek można go było użyć. Tak np. król Władysław IV w r. 1638, na prośbę zranionego Światosława Jahodyńskiego, podstolego bełskiego, posyła do obejrzenia ran sekretarza swojego. Pomimo, że prawo nie powołało lekarza do rozstrzygnięcia właściwych kwestyi, przewidziało jednak trudności, jakie może napotkać woźny, lub sędzia, i udzieliło wskazówek, któremi mieli się kierować, szczególnie przy opisie zranień. Im cięższe było obrażenie, tem większe wyznaczano za nie kary. Osoby, z wiedzą lekarską obeznane, powołuje do obdukcji po raz pierwszy „Zbiór“ Zamoyskiego, który wszakże nie zrywa całkowicie z rutyną, nie usuwa woźnego, tylko daje mu do pomocy w pewnych razach cyrulika, „białogłową w pługach doświadczoną,“ a *nawet* lekarza! W razie braku rzeczoznawców, zamiast cyrulika, dopuszczano dwu świadków wiarogodnych. W sprawach o dzieciobójstwo, gdzie dowodów stanowczych braknie, a oskarżona do winy się nie przyznaje, sąd powinien się przekonać, że widziano ją brzemienną, w jakim czasie mniej więcej mogło nastąpić rozwiązanie, gdzie się wtedy znajdowała oskarżona, czy zaraz potem chorowała i t. d., wreszcie wysłuchać, „jakie doświadczone w pługach białogłowy dadzą w tym świadectwo.“ W sprawach o zabójstwo, do obdukcji delegowano wielokrotnie nie tylko cyrulików, lecz i lekarzy, chociaż częściej sami ławnicy z woźnym tę czynność pełnili.

— Wł. Umiński. „Owady pożyteczne w ogrodzie, na polu i w lesie.“ (Odbitka z „Ogrodnika Polskiego“). Warszawa, druk Józefa Si-

korskiego, 1896. (8-ka, str. 34). Jest to rozprawka bardzo pożyteczna, którą można polecić każdemu miłośnikowi ogrodnictwa, zwłaszcza, że najniebezpieczniejszymi jego wrogami są owady. „Drobne te, a tak liczne na nieszczęście istoty, żyjąc przeważnie kosztem królestwa roślinnego, przyprowadzają nas corocznie o znaczne straty. Skutki ich niszczącej działalności widzimy nie tylko w ogrodzie, na polu, w lesie, ale nawet w szklarniach i mieszkaniach.“ W pewnych latach rozmnażają się zastraszająco i czynią olbrzymie spustoszenia, np. „mniszka“ (*nonna*), niszcząca wielkie przestrzenie leśne, chrząszcz kolorado, filoxera i t. d. Każdy wie, do jakich klęsk ekonomicznych doprowadzają te drobne stworzonka. Prawie wszystkie stosowane dotąd sposoby okazały się niepraktycznymi z rozmaitych względów. Musiano tedy uciec się do metody skuteczniejszej — bakterjologii. Owady podlegają różnym zakaźnym chorobom, wywoływanym przez pewne drobnoustroje. Chodziło więc o to, ażeby rozszerzać sztucznie choroby zabójcze, t. j. walczyć ze szkodnikami przy pomocy ich wrogów naturalnych. Dzięki usilnym poszukiwaniom, odkryto kilka takich gatunków mikrobotwórczych. Z tych główne miejsce zajmuje grzybek *Botrytis tenella*, sprowadzający śmiertelną chorobę chrząszcza majowego. Nauczono się hodować ten grzybek na sztucznym podścielisku, założono nawet fabryki specjalne do wyrobu substancji zarażającej. Ale tutaj nadzieje do pewnego stopnia zawiodły, gdyż środek ten nie działa tak energicznie, jak się spodziewano. Niezrażeni jednak bakterjologowie dalej czynią poszukiwania. Ale zanim doczekamy się bezwzględnie pomyslnych rezultatów, jeszcze długo będziemy musieli zbierać masy szkodników ręką. Wobec tego należy korzystać z każdego naturalnego czynnika, działającego na niekorzyść wrogów. Jednym z takich czynników jest walka o byt, srożąca się między owadami.

O tych naturalnych sprzymierzeńcach rolnika i ogrodnika mówi właśnie p. Umiński, opisuje je szczegółowo i podaje bardzo ładnie wykonaną tablicę kolorową, zawierającą 60 gatunków owadów pożytecznych. „Pozbądźmy się raz przesądów, że każdy owad jest naszym wrogiem — kończy autor swoją rozprawkę — nauczmy się odróżniać w tej skrzydlatej, biegającej i pełzającej rzeszy — przyjaciół, ochraniajmy ich, a niebawem przekonamy się, że się nam to sowiec oplaci.“

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Michał ks. Radziwiłł.

W WIELGIEM. *)

POWIEŚĆ.

IV.

Jechała z mocnem postanowieniem wydobycia z Jakóba oświadczyn, które, jak już nie wątpiła, od chwili śmierci Musiałowej, wisiały jeno na ustach rozmiłowanego gospodarza, ale spaść z nich do tej pory nie spadły.

Było w tem i jej winy nie mało. Naglonej namowami ojca dziewczynie, a zamąż pójściu niechętniej, bo całą duszą w stronę Jaska zwróconej, zdarzało się powstrzymywać w drodze z ostatniem niejako słowem wypowiadającego się Musiałę, to skierowaniem rozmowy na inne tory, to uwagą, słowu temu wręcz wrogą.

Wszakże niedawno, bo późną już jesienią, gdy zeszedł ją zajętą rozwieszaniem bielizny na tyłach ogrodu owocowego, i zbliżywszy się z paczką pierników na poczęstunek,—nigdy się bowiem z próżnemi rękoma nie zjawiał,—wspomniął w rozmowie o pustej chacie, ona, świeżą utarczką z Nowotnikiem o to zameżcie rozdrażniona, zwierzenia przerwała krótko:

*) Patrz zeszyt styczniowy.

— Wyście pewnie, Jakóbie, niewiele co od rodzica mojego młodszego?

I jakże mu było zwierzać się dalej? Odchodził smutny, a zgoła swego niepewny, ile że inna mu się przypominała z pokojówką rozmowa. Od Węgra roznoszącego po wsi towary kupił jej suto oprawny „Ołtarzyk złoty“. Na widok ozdobnej książki, do której wzdychała dawno,—czytać bo się w Bąkowej jeszcze przy dworze poduczyla,—rumiana zadowoleniem, rzekła mu sama z siebie:

— Wyście tacy chyba dobrzy Jakóbie, że ino waszą być, sprawiedliwie.

Ale on się wtedy z uradowania wielkiego nie opatrzył, a później to mu już tego nie powtórzyła więcej. Zawdy go tak, ni to, ni sio, wodziła.

— Kto ci ją wie?—powtarzał, to zwątpieniem targany, to koły-sany nadzieją.

Gdyby o Sulimową na ten przykład chodziło, nie wahał-by się pewno: wysłali-by matka Kajtaniakową na zwiady, i po wszystkim. A tu ni matki się poradzić, ni kogo, roznieśli-by na językach i tyle, a może i na śmiech ludzki podali. Samemu miarkować trzeba było koniecznie, a tu, jak co do czego, z obawy dusznej, wyraźnie odbierało mowę.

I kręcił się Jakób na saniach, jak ryba w ukropie, z każdą chwilą więcej zakłopotany, podczas gdy Magdzia zerkała nań ukradkiem, obmyślając sposoby postawienia na swoim.

Aż ich wypadek z kłopotliwego położenia wybawił:

Nadjechano do miejsca, w którym droga, niby koryto rzeki wyspę, dwoma ramionami otaczała kępę drzew, gęsto krzewami podszytą. Po pod okiścią, jako kruzgankiem śnieżnym, wypadało się tu przesunąć, a potrącenie jednej gałązki zasypaniem groziło.

Na widok niebezpieczeństwa, szybkim, bezwiednym ruchem, w bok podała się dziewczyna i całym ciężarem wsparła się o Musiałę. I stała się z nim, pod wpływem dotknięcia tego, rzecz dziwna: on, co jej dotąd myślą tknąć się nie ważył, ramieniem przygarnął Magdzię do siebie i, nie przepartej ulegając pokusie, już, już do ust się jej nachylał, gdy Wicek zaciął konie, wołając:

— A nie daj!.. A hedź gol!.. A kota!.. — i wpadł z wasągami, idącym na zatokę, jak huragan pod okiść. W oka mgnieniu i konie, i sanie zamieniły się w bryłę śniegu, wasąg zaś, zatoczywszy półkole tyłami sani, z takim utknął rozpędem, że ułożony wierzchem, jako oparcie, worek, stoczył się z niego, Jakób zaś o mało drugą nie wypadł stroną.

Wymierzony Wickowi w kark kułak, z wykrzyknikiem Musiała:

— A rozkazałem uważać, psi synul.. — rozległy się chórem po lesie, zmieszane ze śmiechem Magdzi, co, wyskoczywszy z sani, otrzępywała ze śniegu odzież, złośliwie spoglądając na Jakóba po niedoszłym zamachu.

— Nie udało się polowanie, — rzekła dwuznacznie — zajęć drogę przeleciał.

A Wicek płaczliwym tłómaczył się głosem:

— A ino, dyć scierwo walił prosto na sanie, mówiłem co zajadę...

— Ja ci, smyku, zajadę!.. Złaż mi do workal.. — wrzasnął Musiała, powtórnym kułakiem rozkaz ten popierając. Ale krzyczał i bił, dla zachowania pozorów jeno. W duszy rad był przygodzie, przyszła w porę, gdy ani rusz nie wiedział, co ma począć ze sobą, a zerkanie dziewczyny niby szpilkami go kuło. W powietrzu nadto zastygły zamiar, choć z niego drwiła Magdzia, jeszcze dodał otuchy. Skąd-że bo mu się odwaga wzięła? A skoro przyszła, no, to mogła przyjść jeszcze, czuł nawet, że oto wzbierała w nim dziwnie i nanosił z parobkiem zalegające drogę sanie i siedzenie na nich układał, śmieiej jakoś oglądając się za dziewczyną.

Ona zaś najniespodziewanej jęła grymasić:

— A to ja lepiej pójdę piechotą, — odezwała się z dąsem, gdy do wsiadania przyszło; ale ją, niepo swojemu, rezolutny, Musiała, przemocą niemal wsiąść znaglił. — Ino bez polowania, bardzo proszę,—mruknęła, niby gniewna, znacząco sadowiąc się na skraju samym wasąga. — Obejdzie się wesele przez marcepanów!..

Musiała uśmiechnął się tylko; pokazał przecież, co umie, i jego się strzedz należało, i on nie zawsze języka zapominał w gębie. I rażniej mu się jechało, choć Magdzia teraz i niespokojna zdawała się, i nie swoja.

Zbliżano się do Rozdroża. Na widniejącym już zdala gościńcu zwoleńsko-lipskim, który, biegnąc tu od Ciepiewa, pod kątem prostym przecinał drogę wielicką, jako na miejskim trakcie, ruch z okazji jarmarku objawiał się znaczny.

Co chwila na widnym skrawku drogi, jakby w ramie drzew ni-
kające obrazy, przesuwaly się to sanie, to pieszo zdążający na jarmark. Nieco w lewo, z za wąskiej już tu ściany lasu, wyraźny dochodził kwik prosiąt prowadzonych na sprzedaż. Naprzeciw żyd jakiś borykał się z krową, podczas gdy z głośnym brzękiem janczarów przemknął się zaprząg młodego dzierzawcy rządowej wioski, Jasieńca. Jarmark za powiadał się ludny.

Na kilkaset kroków przed punktem zbiegu wielickiej drogi z gościńcem, z za drzew na prawo, biały śniegiem, błysnął dach karczmny Rozdroża. Wiankiem otaczały ją zatrzymane dla wytechnienia furmanki, których właściciele, to bijąc rękoma o plecy, to przytupując nogami, skostniałe rozgrzewali członki. Spora u wejścia gromadka otulonych kobiet i we wnętrzu jej domyślać się dawała grona przyjezdnych, mniej platonicznie rozgrzewających się półkwatkiem.

Już przy gościńcu Magdzia odezwała się nagle:

— Niech Jakób zatrzymać każą, ja wysiądę...

Musiąła spojrzeć na nią zdziwiony i milczał.

— Niech Jakób zatrzymać każą, — powtórzyła — bo wyskoczę, — i przechyliła się w bok, jakby wykonać zamierzała pogroźkę.

Pochwycił ją za rękaw, ona zaś przyciszonym głosem mówiła szybko:

— Ani mi Jakób swat, ani brat, aniśmy po zrękowinach, ani też po ślubie, żebym przy nim świecić miała oczami. Niech Jakób puszcza ją i tyle!

Szarpnęła się tak niecierpliwie i gniewnie, że ją puścił.

— No już zgoda, — rzekł — zgoda, ino się za Rozdrożem spotkam w lesie...

— Dobrze... dobrze... — przerwała mu, jakby się go pozbyć chciała pędzej, i znowu nachyliła się, niby do skoku.

— A stań-no Wicek!., — zawołał Musiś, widząc, że nie ma rady.

Wyskoczyła i aż na przeciwną stronę drogi pobiegła, skąd niecierpliwie burknęła:

— A niech-że Jakób jada!

Cóż było robić? pojechał, raz w raz oglądając się za brodzącą w śniegu dziewczyną.

Przed karczmą nie zatrzymywał się wcale, chociaż go przed nią jeden i drugi kum witał. Ku lasowi, ciemniejącemu po drugiej stronie polanki, głównym już teraz zdążał gościńcem, gdzie miał nadzieję zabrać znów Magdzię. W gruncie rzeczy nie dziwił jej się, że nie chciała tak przy nim przed ludźmi świecić oczyma. Ni swatem jej był, ni bratem; ni po zrękowinach byli, ni też po ślubie. Ale bo i raz skończyć z tem wypadało, skończyć koniecznie, a bodaj zaraz; niechże się dowie, co go czekało, potem zobaczy. Bo i co sobie dziewczyna pomyśleć mogła: kręcił się, niby ta ćma, wedle niej, a gościńce zwoził i tyła na tem. Przecie niewiasty pragnęło mu się swojej, rodzonej, jak się patrzy, po Bożemu i ludzku. Teraz i gwałtowne wydzieranie się z sani Magdzine na korzyść jej przemówiło do niego:

— Miała recht, — mruknął — niema co mówić!

A potem zaraz:

— Harda dziewucha — i wzruszył ramionami na myśl o bajkach, jakie o niej chodziły, i obmowie.

— Złość to na jej urodę i tyle, kto zaś ją pojmie, ten się nie poistydzi niewiasty.

Na skraju lasu kazał Wickowi konie zatrzymać i obejrzał się znowu. Szła prosto ku niemu, pełną drożyną, na tyłach jej omijając karczmę. Wyraźnie unikała spotkania z ludźmi, a może śpieszno jej było do swojego miejsca na wasagu. Tylko, że w pewnym od lasu odaleniu przystanąła i nieznacznie jęła mu dawać znaki, aby jechał dalej. Spełnił życzenie to w połowie tylko, i wysiadłszy z sani polecił Wickowi zwolna posuwać się naprzód, sam zaś zatrzymał się, czekając w gęstwinie. Snać rozporządzenie to nie zadowolniło jej ze wszystkim, czas bowiem jeszcze jakiś widocznie wahała się, czy ma iść dalej; poczem jednak, nasunąwszy chustkę na oczy, ruszyła z miejsca.

Ale zrównawszy się z Jakóbem, nie zatrzymała się, ani nawet zwolniła kroku, szła dalej, mijając go pośpiesznie.

Poskoczył za nią.

— Niech Jakób jadą swoim dworem, — burknęła. — Ja tam niczyjego nie potrzebuję asystunku.

W rozpaczliwym położeniu, wszystkie siły ducha zebrawszy, zaczął:

— A to widzi Magdzia...

Przerwała mu, zatrzymując się gniewna.

— Sprawiedliwie, czego Jakób chcą ode mnie? -- zapytała, patrząc mu w oczy.

Zmieszało go to pytanie do reszty.

— A no, — rzekł, jakby mu się słowa na własną odpowiedzialność z ust rwały, — a no... chciałem ino wedle tych zapowiedzi... — i uciał nagle, nie wiedząc, co mówić dalej.

Ale mu teraz, dobiwszy targu, przyszła z pomocą. Zadowoleniem rumiana, innym już zgoła ozwała się głosem, dalekim od zniecierpliwienia i gniewu.

— Jakie znowu zapowiedzi?.. Co Jakób wygadują?..

— Dyc moje, nie przymierzając, i Magdusine, — odparł, zmianą usposobienia dziewczyny ośmielony.

Choć jej się na śmiech zbierało, powstrzymała się jednak, a niby zdziwiona tylko, zapytała swobodnie:

— Z kim że się to Musiała żenią? bo ja tam o swoich zapowiedziach pierwszy raz słyszę.

Jął się nareszcie tłumaczyć jaśniej.

— A to krótko mówiący, chciałem nikiej dać na zapowiedzi, ino — tu, zdjąwszy czapkę, pokłonił się dziewczynie do kolan, — ino mi o przyzwolenstwo Magdzine chodzi.

Z kolei spowaźniała i ona, chwilę pobladła, ze spuszczonei stała oczyma, jakby z nienacka zaskoczona pytaniem, na które ciężko dosyć było jej odpowiedzieć, poczem wzruszona odparła:

— Trza się rodzicowi pokłonić.

— Trza... ma się wiedzieć... ino co Magdzia?... — niepewny jeczce pytał Musiała, mnąc czapkę w rękach, niespokojnie w dziewczynę wpatrzony.

Czas jakiś trzymała go w zawieszeniu, zawzięcie koniec chustki okręcając na palcu, wreszcie, zarumieniona, odpowiedziała półgłosem:

— Ja tam nie od tego.

Tu do nóg się jej znów pochylił, a z ust serdeczne wybiegło mu:

— Bóg zapłać, — a potem, jakby w niego człek nowy wstąpił, od kolan się porwał dziewczyny, czapkę zarzucił, szybko obejrzał się dookoła, jak piłkę podniósł ją w górę, wykręcił, pocałował, a potem skoczył na drogę, wołając:

— Hop!.. Hop!.. — zatrzymał Wicka, rękami dając mu znaki, aby nawracał. — No teraz — wtrącił wesoło — to i pojedziewa razem.

— Pojechać, pojedziemy, ale niech mi się Jakób do całowania nie zrywa, będzie czas na to po ślubie.

W nim jednak grała już, podniecana pewnością siebie i odniesieniem zwycięstwem, buta iście kawalerska.

— Jak ci tu nie całować — rzekł, — kiej słodka!..

— Nie zgorzknije do wesela, — odcięła się po swojemu. — Niech ino Jakób — dodała, — nie zwleka z pokłonem ojcu. W niedzielę po niesporze na leśniczówkę zabiegnę.

Jak najrychlej pragnęła go związać, śmieć jak najrychlej wolne ręce, zbyć się wszystkiego jak najrychlej.

Nie wesoło bo też niebawem poczęły ją oblegać myśli. Targu dobiła i sprytnie, to prawda, ale co potem? Jasiiek utrzymywał, że będzie dobrze, wszystkim dobrze, i poszła za jego radą, a właściwie życzeniem. Czy się nie pomyliła jednak? Ten Musiała jakby odmłodził przy niej, nie tak bo znowu na starego wyglądał męża, i kto wie, jak to tam mogło być jeszcze. A Franciszkowa jak przyjmie? Słyszała o niej, że twarda, zabita chłopka. „Łykom“ nie rada a i dworakom także. Tu wszakże na spryt swój i przypochlebność liczyła. Niech-by tam sobie zresztą i pilnowała starowina dziecka, bo dziecko to, ta pasierbica przyszła, głównie ją przejmowało wstrętem. Macochą zostać miała, a miano to i stanowisko, tak sprzeczne z urodą jej i wie-

kiem, niby zgrzyt jaki, drażniły ją i bodły. Widziała już czepiającą się jej spodnicy Kasię, którą nie raz uczepioną tak u matki lub babki spotykała w kościele, i podrzucało ją nieledwie na wspomnienie o tem.

— Niech sobie, — pomyślała — co chcą robią z dzieckiem, byle mi święty dali z niem pokój. Ja mu tam ślubować nie myślę wcale... Dość mi starego!...

I taki ją oto strach zdjął nagle i zniechęcenie, że jeno chyba w las skoczyć, a do niego uciekać, do Jaśka, a wołać, że niczyich dostatków nie pragnie, tylko jego łaknie kochania. I ani pojmowała, co ją na saniach przy chłopie tym prostym trzymało i co on jej, wesoły, rozmowny, prawił a prawił, że usta mu się nie zamykały.

Gdzieniedzie zaledwie chwyciała słowo: Mówił o zapowiedziach, o ślubie w maju, o matce mówił, dobrej, choć „sprzecznej“ trochę, wreszcie o dziecku wspomniał i uważniej słuchać go jęła:

— Z Kasią to nijakiego — ciągnął — przyniewolenia, nijakiej zgłoby. Dziewczyna, kieby ta trusia, a na babkowej opiece. Skoro podrośnie, to i wysługa będzie z niej zawdy. Przyjmiewa dziewczkę i będzie se Magdzia w chałupie panią, nikiej ta od rozkazowania we dworze. Jest ci u Musiały dostatek, co się to przy nim Magdzi i za dworskiemi nie zatęskni marcypanami.

W miarę jak go słuchała, zwolna przychodziła do siebie; boć i korzyści w zamierzonym jej związku nie brakło. Było i sporo: i własny dach nad głową, i chleba kawał własnego, i wolność, której nie szukać w służbie, i stanowisko zamożnej gospodyni. wcale pokaźne. Ta para zaraz, jak gałki spasionych, koni, i te worki ze zbożem, i wasąg, na którym oto wygodnie wsparta, jak pani jaka, jechała, wszystko to do niej, do niej należeć miało. A tam, za niemi, to gospodarstwo znów całe—dobytek kolonisty. Wiedziała o tem od ojca, który, wychwalając jej dostatki Musiałowe, powtarzał:

— Ho!.. ho!.. Jest ci czem łzę obetrzeć, jest, i nie jedną!..

Pod działaniem tych myśli otucha w niej rosła, przyszłość nie tak się przedstawiała czarna. Spojrzała uważniej na Musiałę. Siedział teraz uśmiechnięty, z nałożoną świeżo krótką fajką w zębach i pykał z niej sobie z takim wyrazem zadowolenia i dobroduszości, że się i jej usta mimowolnie do uśmiechu rozchyliły, a do oczu napłynęły owe migotliwe, figlarno-wyzywające, błyski, które nęciły jednych, zaciekały innych, Jakóba zaś onieśmiały w dodatku okrutnie.

— Musi będzie tańcował, — pomyślała — jak mu zagrają.

Tak, przy nim i drugiemu mogło być dobrze. I Jasiek, i Nowotnik mieli bo chyba słuszność. Trochę z jej strony sprytu i przebiegłości, a wszystko pójdzie jak z płatka. Stanowczo na związku z Musiałą nic

nie traciła, a zyski?.. było ich, było, jak mówił Jasiek, dla wszystkich.

Poprawiła się na siedzeniu wygodnie, z nad oczu odgarnęła chustkę i śmiało rozejrzała się po drodze. Niech-by ją teraz i spotkał kto na Jakóbowym wasągu.

A pobyt na jarmarku utwierdził ją tylko w przekonaniu, jako wolnej, zasobnej, a na pasku wodzącej męża, gospodyni, swobodniej było, niż pokojówce przy dworze, obracać się po świecie.

Zaraz na wstępie pochlebne dla miłości własnej spotkało ją powitanie.

Mosiek Koper, wszystkich znający w okolicy gospodarzy, krawiec z powołania, od święta zaś, a zwłaszcza w czasie jarmarku, faktor, skoro tylko dostrzegł wtaczające się na rynek, zbożem wyładowane sanie Jakóba, z góry obliczając zyski, jakich spodziewać się mógł po miękkim zwyczajnie w targu Musiałe, z grzecznym podbiegł do niego pokłonem, i jał pana gospodarza, „gospodarza nad gospodarzami!“, wypytywać ciekawie, co przywiózł, a z czem zamierzał powracać. Dowiedziawszy się, że na saniach „na przedaj“ było cztery korce pszenicy i sześć żyta, skrzywił się, utrzymując, że „chłopstwo“ tyle zboża nawiozło, co „nijakich“ nie należało się cen spodziewać, co jemu tylko i „na jego sumienie,“ po dawnej znajomości, uda się kupca „prosić“, ale z trudem, bardzo wielkim trudem.

Tu markotnemu zapowiedzią złego targu, wiedząc z doświadczenia, iż Musiała miększym bywał „po wesołości“, mrugnął okiem znacząco w stronę Magdzi, której nie znał, i tak, aby go i ona, może także klientka, usłyszeć mogła, zawołał:

— Fajn panienska, takiej drugiej na całym jarmarku nie znajdziesz!.. A gdzie to się — trącając łokciem Musiałę, dodał — panienska takie rodzą?

Musiała rad był pochwale, ale poufałości nie bardzo.

— A to niech sobie Mosiek od panienek gęby nie wycierają, — rzekł hardo, — bo to nijaka tam panienska, ino moja, po zrękowinach, i szabas.

Mośka to niby aż podrzuciło z wielkiej radości. Poskoczył do wasąga i jał przed Magdzą, kłaniając się po kilka razy, wykrzykiwać w zachwycie, co jak świat światem, takiej nie widział, poczem zapytał, czem się on, żydek biedny, pani gospodyni przysłużyć może.

— Coby i Mosiek przy takim wielkim święcie zarobił.

Zarumieniona słuchała Magdzia oświadczeń żyda, pierwszy raz w życiu napawając się onem zadowoleniem, jakie z poczucia własnej godności płynie. Toć-że ten Koper, bijący jej w podrygach pokłony, ani by się za pokojówką obejrzał. Stawała się więc czemś, czem do-

tań, mimo krasnego lica i czarnych oczu, nie była, a stawała, dzięki małżeństwu, rozumnemu małżeństwu, z zamożnym gospodarzem.

— Będziesz se panią, — powtarzali jej i Jasiak i ojciec, a obiecywał Musiała, i oto państwa tego pierwsze zbierała dowody. Ostatnie ślady niepewności, lęku i wstrętu, spadły jej z duszy, i chwilę, prawie z wdzięcznością, utkwiała wzrok w Jakóbie. Choć dla Jaska uczucia jej na pozór żadnej nie uległy zmianie, już teraz jednak zdziwienie ją opanowywało na myśl o ożenku, tak uiedawno proponowanym przez nią chłopakowi. A toć obecnie otwierało się przed nią życie dopiero, i znowu w stronę Jakóba spojrzała.

Ułożono się, iż gdy on zajmie się sprzedażą zboża, ona na przeglądaniu straganów czas spędzi, sprawunki zaś, jakie załatwić mieli, załatwią razem. Przed rozejściem się jednak, na zaproszenie Musiały, wstąpili do jedyne go w mieście katolickiego zajazdu, arystokratycznego zakładu na rogu ulicy Hłeczkiej, gdzie w pierwszej, ogólnej izbie, wygodnie za stołem, kolorowym obrusem nakrytym, na wyplatanych siedząc krzesłach, wypili dla rozgrzania się po szklance herbaty z arakiem i ciastkami; pragnąc bowiem wszelkimi sposobami jak najdotadniej przedstawić dziewczynie przyszłe jej stanowisko, no i uraczyć czem mógł i umiał narzeczoną. Jakób nie oglądał się dnia tego na wydatek.

A nie śpieszno im było opuszczać zakład, grało w obojgu uczucie miłość własną podniecające przy tej herbacie z ciastkami; nadto Jakób, do jarmarcznego przywykły handlu, wyczekać chciał czas jakiś, aby żydom zbytniej do sprzedaży towaru nie okazać ochoty; a Magdzia? Magdzia napotkała tu ulubioną rozrywkę strzelania oczyma i to strzelania z za stołu, kolorowym obrusem nakrytego.

Zajęła krzesło w głębi od ściany, mając naprzeciw roztwarte drzwi do honorowej salki, dostępnej jeno dla wykwintnych gości, obywatelstwa, mieszczan i urzędników co najprzedniejszych. Obecnie na kanapie rypsem krytej, pod lustrem w złożonych niby ramach, nad szklanką herbaty także, siedział w tym gabinecie, żywo rozprawiając z Mośkiem, co chwila wśród zaklęć i przysiąg nakładającym czapkę, młody dzierzawca z Jasięca, przystojny brunet, kawaler, a jak to z pogłosek obiegających służbę wiedziała Magdzia, wielce na wdzięki niewieście łasy. Ze pogłoskami miały podstawę, sprawdziła zaraz na wstępie, skoro ją bowiem ujrzał naprzeciw Kopra, który mu część drzwi zasłaniał, znakiem ręki usunął na bok, a gdy się żyd zaciekawiony obejrzał i, dostrzegłszy Magdzię, uśmiechnął, wnet zaczął z nim rozmowę o niej zapewne, bo nie spuszczał z niej oka, aż wreszcie szeptać coś jął z faktorem, widocznie wydając mu tyczące się jej zlecenia.

Ona ze swej strony bacznie śledziła ich także, starając się jednak o pozorną w tem obojętność. Ceniła się już sama teraz, zwłaszcza wobec Moška, o tyle więcej, że pospolite mizdrzenie się pokojówki nie wystarczało jej mimowiednie. Trzymała też oczy na wodzy, zrzadka im tylko na błyskawiczne ku kanapie pozwalając wycieczki. Bawiła się przytem niezłe, prowadząc rozmowę z odwróconym plecami do honorowego „gabinetu“ Musiałą i przekonywała się zaraz w pierwszym dniu istnienia praw czyichś do niej, że prawa te łatwo obejść i w zgoła martwe zamienić litery, że gdyby jeno chciała, dziś jeszcze, przy pomocy faktora, pod bokiem, na oczach nieledwie Jakóba, zawiązać-by mogła najbezpieczniej instrygę miłosną.

Tym razem jednak wystarczało jej przeświadczenie o możności zawiązywania intryg na przyszłość, głównie zaś o możności prowadzenia ich z Jaśkiem; gdy więc Mosiek, w porozumieniu widocznem z dzierzawcą jasienieckim działający, wybiegł z gabinetu, a mrugając do niej znacząco, pod pozorem pilnego zlecenia w sprawie sprzedaży zboża, starał się na chwilę wyprowadzić z sali Musiałę. Magdzia, domyślając się, iż chodziło tu właściwie o ułatwienie zaczepki nowemu jej wielbicielowi, surowem, pełnem godności, obrzuciwszy go spojrzeniem, obrażona niby, wstała z miejsca, oświadczając, że i ona wyjdzie już także na miasto.

Wprawdzie żyd, w mniemaniu, że się na znakach jego nie zrozumiała, nie przywykły w tego rodzaju sprawach ze zbytnim spotykać się oporem, a nie rad obiecane go tracić zarobku, próbował, zbliżywszy się do niej pod nieobecność Jakóba, dokładniej rzecz wyłuszczyć, zbyła go jednak krótko a ostro, z objaśnieniami odsyłając do Musiały.

I raz jeszcze miała się Magdzia w dniu tym przekonać dosadnie, jak praktycznemi były rady jej ojca i kochanka, gdy przyszło do kupna trzewików, dla którego wrzekomo zyskała pozwolenie na jarmark. W wędrownie dokoła sklepów i straganów, w jednym z pierwszych upatrzyła sobie parę: wysokich, na guziki zapinanych, jak raz na jej nogę, a wzorzysto ciętymi kapkami lakierowanymi zdobnych. Bardzo jej do smaku przypadły, skoro się jednak o cenę ich spytała, zaśpiewano jej pół piąta rubla. Po długich targach i kilkakrotnem wychodzeniu i powracaniu do sklepu, opuszczono pół rubla, od czterech wszakże ani grosza odstąpić nie chciano, częstując dziewczynę tańszym, ale też mniej wykończonym towarem, nie zapinany na guziki, a o takie chodziło jej właśnie, bo takie, choć bez kapek, nosiły panienki wielkie. Magdzia, dla której nie grosz, lecz to, co za niego dostać było można, znaczenie miało, chętnie była-by za trzewiki zapłaciła i sześć rubli, gdyby je posiadała. Cóż, kiedy w węzélku chustki zwinięte trzymała w ręku cztery wszystkiego i trochę drobnych, od gościa za posługę

otrzymanych niedawno. Starczyło wprawdzie na trzewiki, nie starczyło zaś na piękny z czerwono-malowanej kości garnitur spinek, za które pięć złotych żądano, a który jakże-by rada, wraz z nowiną, o oświadczeniach Musiały, przywieźć Jaškowi, szczególnemu amatorowi spinek. I tu rubla ceniono zrazu, utargowała złoty groszy dwadzieścia i ani rusz więcej odstąpić nie chciano.

Markotna, biła się już z myślami, czyby na tańszym tym razem gościńcu nie poprzestać dla Jaška, i tak mu bowiem pożądaną przecie wiozła wiadomość, czy może w ostateczności, wymawiając się się prezentem dla ojca, dopożyczyć kilka złotych od Musiały, gdy ten ostatni, dobiwszy targu o zboże i nieźle je, wbrew przepowiedniom Kopra, sprzedawszy, wesół, nic już nie mając na głowie, a z pieniędzmi w kieszeni, dopadł dziewczynę zadumaną smętnie przed sklepem, z za którego wystawy świeciły się do niej lakierowanemi kapkami czterorublowe trzewiki.

— A no, kiej szelmy nic nie chcą spuścić, — rzekł, o przyczynie kłopotu Magdzi zawiadomiony — to trza zapłacić i kwita. Chodźwa do sklepu!.. — i popchnął zlekka dziewczynę ku wejściu.

Energia Musiały zdecydowała ją na kupno; skoro jednak, odebrawszy trzewiki, dobywać poczęła z węzłka w kilkoro złożone papiarki:

— Nijakiej na to zgody!.. — równie energicznie zawołał Jakób, ruchem ręki odsuwając ją od lady sklepowej. — Co się należy?—zapytał. — Ja płacę!.. — i wyjął z zanadrza, w kolorową szmatę starannie owinięty, dobrze już podniszczony, pugilares, pełny świeżo za towar odebranych banknotów, z których pracowicie grubemi palcami wysunięte wręczył szewcowi cztery ruble.

I nie dość na tem, w przekonaniu, iż chodziło o Nowotnika, zafundował Jaškowi spinki, żeby zaś pieniędzy w chustce nosić nie potrzebowała, za pół rubla kupił dziewczynie skórzaną, „zamykaną fest“ sakiewkę.

Hojność Musiały i pugilares jego, zasobny w kwotę, jakiej nie tylko, że w rękę nie miała jeszcze, ale i nie widziała może nigdy, znacznie w oczach jej podniosły przyszłego męża w sukmanie nad poziom tego, co w dworskiej gwarze przywykła mianować „chłopstwem“. Z chłopem ożenek, zwyczajnym chłopem tylko, w jakże nowem przedstawiać jej się jął świetle.

A Musiała, jakby się uwziął, na niesłychane pozwalał sobie wybrki. Kobiałka oto ze złożonemi w niej przez Franciszkową jajami, chlebem i serem, które tak dla Jakóba, jak i Wicka, wedle jarmarczne-

go zwyczaju, z co najwyżej dokupionym półwaterkiem wódki lub kuflem piwa w pierwszym z brzegu szynku, ku wielkiej jego ucieście dostała się niepodzielnie parobkowi i to z dodatkiem całej złotówki napiwku. Jakób z Magdzą raz jeszcze odwiedzili zajazd przy ulicy Iłżeckiej, gdzie nie herbatą już, ale dwiema porcyami pieczeni wieprzowej z kapustą uraczyli się, zakrapiając je dwiema butelkami piwa Radzikowskiego, obsługiwani przez kelnera w wyszarzanym fartuchu, któremu Jakób, po wydaniu reszty, dwadzieścia groszy zostawił na stole, „panem gospodarzem“ tytułowany przez wdzięczność. Hardy chłop nie znał dnia tego miary; przygotowany na ciężkie przejście z matką, jakby się z pod kurateli jej i powagi wyłamać pragnął, rzucał groszem wielce Franciszkowej miłym, z którym zresztą i sam nie rad się był rozstawał.

Postępowaniem tem jednak przejmował mimowolnym łał siebie respektem dziewczynę, co, niby pod działaniem nieświadomej przemocy, na czas pewien dziwnie mu, do smętku, spowaźniała i tak się godnością narzeczonej przejęła, że na widok, spożywającego także obiad na kanapie pod lustrem, dzierzawcy z Jasięńca, najsilniejsze w sobie hamując uczucie, zalotność, ranne Jakóba, odwrócone do drzwi gabinetu, zajęła krzesło, i ani razu nie obejrzała się za siebie. Była nawet chwila, w której ze wstydem prawie myślała o kupionych przez Musiałę, na podstawie kłamliwego objaśnienia, spinkach dla Jaśka, a zamiar obdarczenia niemi ojca i żal, że nie za swoje nabyła je pieniądze, zrodziły się w niej—i zgasły.

Bo ni wstydu tego, ni zamiaru, ni żalu nie dowiozła do Wielgiego, nie wywiozła ich nawet z Lipska. Gdy o zachodzie, pojadając kupione jej na drogę pierniki, wpatrzona w wyiskrzony ostatnimi błyskami słońca nieboskłon, na dawnym miejscu obok Musiały, ciężko zadumanego nad spotkaniem z matką, sunęła rażno z powrotem po drodze ubitej przejezdny mi na jarmark, w gorączkowo rozpalonych oczach dziewczyny i śladu nie było już pokory, a tem mniej wyrzutów sumienia. Wszystkimi myślami tonęła znowu w sobie i w Jaśku.

Teraz to już i sama nie łaćno odstąpiła-by od wydania się za Jakóba. Pobyt na jarmarku przekonał ją do zamążpójścia tego i zjednał ostatecznie. Raziło ją wprawdzie jeszcze to i owo w osobie samej przyszłego męża, raziło przedewszystkiem chłopstwo, ujawniające się na zewnątrz zgrzebną sukmaną, długimi, w grzywę strzyżonemi włosami, twarz zgolona do czysta; wszystko to jednak obiecywała sobie odmienić z czasem, pewna zupełnie wpływu swego i władzy. I uśmiechała się na wspomnienie czekającego ją niebawem sprawo-

zdania przed Jaśkiem z wycieczki, sprawozdania, które bogactwem treści, już i tak chłopaka, przychylnego bardzo związkowi jej z Musiałą, zadziwić miało, bo i on nie pojmował jeszcze dokładnie, jaka to z niej będzie pani i do jakiego stopnia wszystkim z tem będzie dobrze. Urokami jutra rozmarzona, Magdzia w tej chwili w podstępny wyłudzeniu gościńca jeno wieszowała sobie sprytu i zręczności, z góry bawiąc się myślą, jak się to z Jaśkiem uśmieją kosztem Jakóba, jak się to nieraz jeszcze kosztem jego zaśmiewać będą.

— Zachciało się staremu młodej żonki, będzie ją miał, — szepnęła w duchu, jakby na usprawiedliwienie własne. — I mnie się też światła użyć należy!..

Gdy mijali Rozdroże, noc była ciemna. Rojeniami o złocie jutrze zmorzona, ruchem całodziennym znużona i garścią nie codziennych wrażeń, spała Magdzia w najlepsze, wygodnie wsparta o szeroką pierś Musiały, który, jedną ręką w pół ją objąwszy, drugą to chustkę poprawiał jej na głowie od mrozu, to rogiem sukmany kolana jej i stopy nakrywał. Uśpioną tak aż pod ogród wielicki dowioził, do zabudowań dworskich przytykający, i tu dopiero, rozspaną znosząc prawie z wasągą, do oporu niezdołną, pocałunkiem pożegnał, swaty na niedzielę zapowiadając.

— Nie zapomnijcie tylko, — upominała, przez gumna śpiesząc ku dworowi, z myślą zajrzenia po drodze do stajni, gdzie w komórce, ak zwykle, oczekującego na nią spodziewała się zastać Jaśka.

— Kaj-bym ta miał przepomnąć... Dobranoc Magdzi!.. — odparł, a gdy mu z oczu znikła, szybko wskoczywszy do sani:

— Jedź... a jedź... — powtarzał niecierpliwie Wickowi, zdziwionemu pośpiechem, a żywo poganiającemu konie, bocznią po pod ogrodem ku wsi drożyną.

Pilno mu było dziś jeszcze, pod urokiem spędzonych chwil z Magdzą i szczęśliwie przyjętych oświadczyń, rozmówić się z Franciszkową. Pilno... czuł bowiem, że nie ulegnie, „chociaż-by go matula skłąć mieni,“ dziewuchy nie odstąpi swojej..

I od proga zaraz, wchodząc do chaty, zawołał:

— A to zmówiłem se, matka, niewiastę na jarmarku. Galantą zmówiłem se niewiastę!..

Zabudowania gospodarskie Jakóba otaczały podwórze kształtu prostokąta, szczelnie zewsząd ogrodzonego. Jednym krótszym bokiem dotykało drogi, wraz z chatą, frontem i drzwiami ku niemu zwróconą. Naprzeciw drzwi, opodal nieco, leżała studnia, obok tej zaś wysoka sterta gałęzi i odpadków różnego drzewa na opał, nadto dwa brogi, puste niemal w tej chwili, na siano i paszę. Po-za chałupą sad, przeważnie gęstą śliwiną zarosły, dalej zaś w równej z nią linii stała obórka, stajnia i chlewki, wszystko w jednym budynku, a jeszcze dalej, stanowiąc sama drugi, krótszy bok prostokąta, wznosiła się długa stodoła, o jakie trzysta kroków od chaty odległa. Zwartą ścianą tarniny obramowana, biegła po-za stodołą polna wzdłuż wsi droga, równoległa do głównej, za którą już tylko, jak okiem sięgnął, ciągnęły się pola włościan wielickich, ujęte ciemną u nieboskłonu smugą lasu.

Chata, podworko, sad i zabudowania wrzały ochotą weselną przepelnione rojem rozsypanych dokoła uczestników Jakóbowych godów. Huczało tu jak w ulu; izba trzęsła się od przytupywań, rozbrzmiewała śpiewkami.

Co chwila, rozpychając grono starszych kobiet i gospodarzy, raczących się u progu kieliszkiem i pogawędką, wybiegała z chaty, jak piwonია rumiana dziewczucha, a za nią jeden, dwóch, kilku czasem chłopaków; wśród śmiechu i umizgów, zdążali do studni, chłodu spragnieni i orzeźwienia.

To znowu, wachlując się chustkami lub rogiem fartuchów, chroniły się w cień do sadu, zalotnie śledząc, który tam zechce zwrócić je z drogi. Zaczepione, wzdragały się niby, drożyły, natarczywym opierając się naleganiom, aż gwałtem niemal wprowadzone, wśród gradu docinków i przymówek powracały do izby.

— Pójdzi Maryś... jednego ino... — powtarzał, ciągnąc ją za rękę, szczególnie wielbiciel wdzięków Marysi Nachylanki, Jędrak Sulimiak.

— Kiejem okrutecznie zmęczona, Jędrak — broniła się dziewczyna, wyrrywając się napastnikowi w sad, ku śliwinie.

— Pódzi... pódzi... jednego ino obróciw... Dziewczyna jak mur, a wzdraga się tańca...

— A juści!.. Jak mur!.. Widzita go!.. A ty kieby forteca...

— Kiej nie chcesz po dobroci, pódziesz po niewoli, -- następować porwanie.

— Jędrekl.. Sprawiedliwie!.. Eeee!.. — wołała, szamocąc się w objęciach Jędrka, Marysia, w duchu zadowolona wielce.

— A nie daj się... a nie daj się Maryś!.. — wykrzykiwały dziewczuchy.

— Trzymaj Jędrak ostro... trzymaj!..—wtórowały chłopaki.

I niknęła para w drzwiach chaty, wśród chóru śmiechu i żartów.

Za podwórkiem, na drodze, korzystając z muzyki, którą i tu nie-co słyhać było, potworzyły się na ochotnika kółka tańczących dzieci. Pocięźnie naśladowały one, z trudem takt chwytając, ruchy starszych. Kręciły się prawie w miejscu, dziewczuchy osobno, chłopaki osobno. Tu rej wodziła Kasia, a czerwona jej spodnica i świeży zielony fartuszek, do zmroku świeciły wśród codziennego przyodziewku towarzyszy.

W gronie co najprzedniejszej starszyny, wygodnie na wystawionej pod ścianą od podwórza ławie, fajkę krótką trzymając w zębach, w szaraczkowej kurcie o zielonych wyłogach i z rogu jeleniego guzikach, rozsiadł się, na weselu personat, ojciec panny młodej, Nowotnik. Chłop tęgi, barczysty, o sumiastych, szpakowatych z lekka, jak miotły wąsiskach, o cerze jak u córki śniadej, o krótko strzyżonej, gęstej, szpakowatej czuprynie i przebiegłością świecących czarnych oczach, rozpościerał się tu, raz wraz do kieliszka zaglądając, z miną nieledwie gospodarza, przyjmującego gości na swoich śmieciach.

Tam w chacie, gdzie z pomocą tylko Kajtaniakowej i Wicka, bo Magdzi nawet niczego tknąć się nie dała, krzątała się Franciszkowa, a gdzie zrazu i Nowotnik także próbował wstępny bojem „swojaka“ odegrać rolę, mniej powiodło mu się szczęśliwie. Musiałowa, o prawa swoje zazdrosna, „przybłędom“, jak zwała Nowotników, niechętna gdy się jej po komorze jął kręcić i na własną z niej rękę, to napitek, to kołacz, to mięsiwo wynosić, a częstować niemi, niby od siebie, zbyła go krótko:

— A to niech mi się gajowy po komorze nie swędają!.. Co potrzebna, to z Kajtaniakową i Wickiem usłuże...

Nie udało się również wesolością rozbroić starej, skoro bowiem podochocony w podskokach zbliżył się do niej i niby żartem jednego chciał z nią „obrócić“, dla „przypominku“, jak mówił, wciąż go z lekceważeniem „gajowym“ zowiąc, burknęła gniewnie:

— Ani ja sarna, ani gajowy zając, coby wele mnie, nikiej po lecie, wyskakiwal!.. — a gdy mimo odpraw nie ustępował, takim po-

częstowała go kulakiem, że, dając za wygraną, splunąwszy tylko, aż na podwórze się wyniósł, klnąc w duchu i pocieszając się myślą, że Magdzia przecie wnet po swojemu z „chamami“ porządek zrobi.

Ale Magdzia oczy miała tylko dla Jaśka, niepokoju pełne i trocki. Gęste brwi łukiem zwierały się jej nad niemi, na gładkie czoło głęboką ściągając za sobą brózdę, a łzy, najcięższym jeno powstrzymywane wysiłkiem, coraz to świeższą biły w nie falą, lada chwila gradem posypać się gotowe. Istne bo przechodziła męczarnie i, jak wówczas w drodze do Lipska, po oświadczeniach Musiały, lęk ją zdjął znowu okrutny, azali wolności swej i życia nie zaprzepaściła na marne, azali jej sił starczy zgotowaną sobie znieść dołą.

Po pierwszym zaraz zetknięciu się z Franciszkową odczuła jasno, że wroga miała w niej zaciekłego, że w chacie tej wszystko jej obce, wstrętne, że z „chłopstwem“ nie zżyje się nigdy; a tu Jasiek w dodatku jakby o niej zapominał, jakby jej nie widział z całą jej krasą, z całym kochaniem. Przetanączył z nią na wstępie raz, drugi, a potem za dziewczuchami jął gonić, co rade chłopakowi, roślemu jak trzcina, jedna przez drugą garały się do niego, to go oczyma wabiąc, to śmiechem i zaczepkami.

A najwięcej kowalczanka; ta nie odstępowała go prawie, a śnać przyłubił ją sobie, bo raz wraz do tańca prosi i lula z nią, lula, jak z żadną.

A Magdzi kraje się serce. Chwilami uderza jej krew zarem do głowy i skoczył-by chciała do Jaśka, i osłonić go sobą, i krzyżeć:

— Zasie wam dziewczuchy od niego!.. On mój!.. Zasie wam od kochania, powiadam, zasie od nawiści mojej serdecznej!.. Zasie dziewczuchy!..

Ona jednak niewiastą już Musiałową, a tamte dziewczuchy wolne! A tu wszystkich oczy na nią zwrócone, Jakób zaś jak przypięty do niej. Ten i ów z panną młodą dobija się tańca i tańczy, choć za chwilę rozmowy z Jaśkiem życie-by oddała!..

— Taką być miała obiecywana dola po ślubie?.. Tak-że to miało być dobrze, tak wszystkim dobrze?..

I żeby jeszcze nie ta Nastka przynajmniej!..

Zmierzchem zaledwie wyrwała się świeżego chwycić powietrza, a raczej za Jaśkiem biegła, co z kowalczanką wyszedłszy z izby, nie wracał już od godziny. W drzwiach chaty kołem ją obstały kumoszki, ale się bałamucić nie dała, chłopaka oto dostrzegła swojego i nie widziała nic więcej. U studni stał i wodę ciągnął wiadrem, a nie było przy nim nikogo.

Serce zabiło w niej młotem.

— A czekaj no, Jaśku! — zawołała — napiję się i ja, — i lotem zbiegła ku niemu. Tu, by nie dać pozoru, nachyliła się, kryjąc prawie twarz w cembrowinie i szybko a przyciszonym jęła mówić głosem:

— Dziewuchy się do ciebie śmieją, a mnie serce boli... Dłużej nie zmożę... Przed oczepinami wylecę za stodołę... Skryj się tam w tarni...

Na więcej nie było czasu, z tawy porwał się do niej Nowotnik i, dobrze już podchmielony, podczas gdy piła z podanego jej wiadra, szedł ku studni w ukłonach, uśmiechnięty bezmyślnie, zataczając się zlekka i powtarzając w kółko:

— Pani Musiałowa... Wielemożna pani Musiałowa... Jaśnie pani Musiałowa...

W tem opanowało go wzruszenie.

— Córku moja!.. — płaczącym wybełkotał głosem, uściskiem probując ją objąć.

— A to niech ojciec idzie spać, bo pijany... — odręczając go od siebie, burknęła, do wszystkiego raczej, niż do wdzięczności za skojarzenie małżeństwa z Musiałą zdolna w tej chwili. Niech ojciec idzie spać... — powtórzyła raz jeszcze i znacząco spojrzawszy, jakby się pijanego strzedz nie potrzebowała: — Leć naokoło i czekaj w tarni... — szepnęła, z wolna zwracając się ku chacie.

— Niech ojciec idzie spać... Niech ojciec idzie spać... — przedrzeźniając głos córki, mruknął do siebie, mocno z odprawy niezadowolony Nowotnik.

— Leć naokoło i czekaj w tarni... — powtórzył echem, wpatrując się uporczywie w stojącego jeszcze przy studni chłopaka, i nagle poznavszy Jaśka, jakby niespodziewaną uderzony myślą, skurczył się, przysiadł prawie do ziemi, dłoń do ust przyłożył i syknął: — Phiii... — śmiech niby tamując głośny, poczem, jak ten, co niepotrzebne zrobił odkrycie, na jednej wykręcił się nodze i na ławę powrócił, tęgim haustem, co widział i słyszał, zapijając.

Zadowolony był z córki, widocznie w „moranse“, jak się wyrażał, nie miała zamiaru wdawać się z Musiałami, a rad był podchwyconej wiadomości, bo nużby tak córka częściej „niech ojciec idzie spać“ powtarzać chciała, to i dobrze było mieć na nią sposób. Uczynione odkrycie otrzeźwiło go nawet trochę, a zaraz potem myśl zaniepokoiła, że ta Magdzia, choć sprytna, zbyt może śmiało poczyniała sobie, tak zaraz w dzień godów samych, w tarninę wysyłając chłopaków. I postanowił mieć ją na oku dla „przebezpieczeństwa“.

Jasiek bo bez zapachu przyjął zlecenie kochanki. Chcąc się bez wzbudzenia podejrzeń dookoła wsi aż za stodołę dostać, trzeba było wiorstę przeszło zrobić drogi i kawał stracić uciechy, tańca i mniej niebezpiecznych umizgów. Toć-że nie brakło dziewczuch pod ręką, z którymi schadzki nie wymagały tyle ostrożności, a Magdzia i tak nie ucieknie. Śliczna była, to prawda, i od Nastki krasniejsza, ale pozbywał się dla niej przyjemności, które nie co dnia się trafiały, tego sobie nie życzył wcale, a dla odmiany, to-by dziś i przy Nastce wołał się kręcić. Cóż dopiero mówić, gdyby ich tak podpatrzył kto lub zeszedł? Wiedział, że Nowotnika nie było się co obawiać, że córce nie sprzeciwił się w niczem, tyle się jednak ludu snuło dookoła zagrody!..

— Ani mi się śni... — powtarzał w duchu, markotny powracając do chaty. — Powiem, co mnie w drodze zdybano i nawrócić musiałem.

Ale zaraz u wejścia do izby, jakby niepewna swego jeszcze, czekała na niego Magdzia, i zanim minąć ją zdążył, szepnęła:

— Nie zmożę Jasiek... Słyszysz, nie zmożę... Idź, bo nieszczęście gotowe. .

— Dyc pójde... pójde... — odszepnął niecierpliwie.

— Trza iść, — mruknął do siebie, — trudna rada, zacięła się nikiej koza, — i jakby pod działaniem palącego groźbą i zawiścią spojżenia kochanki, kieliszkiem się odtąd głównie zabawiał, od dziewczek, o ile mógł, stroniąc.

Późnym już wieczorem, Franciszkowa poprowadziła Kasię do stodoły i tam, usławszy jej posłanie ze snopka słomy nakrytego kilimkiem, do snu ją ułożyła. Jedyne to było jeszcze w zagrodzie miejsce wolne od napływu gości. Weselna drużyna rankiem dopiero, po oczepinach, na „poprawiny“ przenieść się miała do karczmy, a tu dziecku mimowolnie zwierzały się oczy. Wytrzeszczała bo je niepomiernie dziewczynina dzień cały, różności tyle mając przed nimi. Tańce z dziećmi zmorzyły ją do reszty i bez oporu, jak nieprzytomna, dała się babce zaprowadzić do stodoły, gdzie też i wnet zasnęła twardo, ani budząc się w czasie częstych odwiedzin Franciszkowej, doglądającej przy każdej wolnej chwili snu ukochanego dziecka.

Spało też dawno, a kury już „wele północka znaczyły“, gdy niepostrzeżenie wymknęła się Magdzia na podwórze. „Kawałek“ już przed nią, oczyma jej nieledwie wygnany z izby, wysunął się z niej Jasiek na schadzkę. Liczyła, że mógł być na miejscu. Szła wolno zrazu, rozglądając się w koło przezornie. Minęła kilku dobrze podpitych weselników; ci jej nawet nie poznali. Spłoszyła z po-za brogu półgłosem sprzeczącą się o coś parę, która na odgłos kroków szybko do chałupy zbiegła, i tak nieznacznie zbliżyła się do obórki. W tej stronie

podwórka pusto już było zupełnie, od sadu jeno dolatywało głośnie chrapanie uraczonego do syta. Nie zwracając więc uwagi na uchylone wrota stodoly, gdzie zapewne także ten i ów się wysypiał, biegiem puściła się dalej i, szybko a zwinnie przedostawszy się za płot, znalazła się w tarninie.

Tu przystanąła chwilę, serce jej biło okrutnie, tchu prawie złapać nie mogła.

— Jaśku!.. — szepnęła półgłosem, uspokoiwszy się nieco. — Jaśku!.. — powtórzyła, upatrując chłopaka w gęstwinie.

Ale się nie odzywał, przysła za wcześniej.

Po-nad nią, białych chmur otoczony rojem, z ukosa już tylko przyswiecający ziemi, długie kładł po niej cienie, pyzaty, ku zachodowi chylący się, księżyc. Chwilami tonął w napływających kłębach obłoków, gasł, sam niby wstecz uchodząc, to znów na czyste wzbijał się niebo, jasny, krągły, rozświetlony, jakby rad ze zwycięstwa w lotnej z chmurami pogoni.

Słabe tu jeno dochodziły echa wesolej w chacie zabawy; tłumiała je potężna orkiestra majowa, rozgłośny chór miliona żab. Od dworskiego ogrodu ostremi tonami przebijał się śpiew słowika, a z nad pól, łąki i lasów falami biły, jedna za drugą, zapachy pogodnej, cichej a tajemniczej nocy wiosennej.

Urokiem nocy tej zdjęta, wpatrzona w niebo, w chór żab i słowików wsłuchana, zapachy chłonąc w siebie majowe, stała Magdzia od stóp do głowy bladym światłem miesiąca, białą plamą na ciemnym tle tarni widna, o Bożym zapominając świecie, srebrna, nieruchoma. Żal jakiś i tęsknota chwyciły ją tu kleszczami, pierś podnosiła się i opadała, jakby tam w niej targało się co i burzyło; łkanie gwałtem napierało się do kurczem zaciśniętej krtani, i dwie łzy, te które już dawno w oczach nosiła, jak grochy wielkie, spłynęły jej po twarzy. ciężko spadając na Jakóbowe bursztyny, blaskiem księżycy nasiaknięte.

Nagle po-nad runią zbóż, z ciemnej smugi tarniny, wynurzyła się na światło postać Jaśka. Jak sprężyna porwała się ku niemu Magdzia. Obie ręce zarzuciła mu na szyję i, łkając teraz, a obsypując go pocałunkami:

— Jaśku!.. — mówiła, słowo każde z wysiłkiem dobywając ze siebie. — Jaśku, czego ty mnie na to zamięczcie niewolił!.. czego niewolił!.. ja dołi nie zmożę swojej!..

Na wybuch ten nie przygotowany chłopak, w obawie aby płaczu jej kto nie dosłyszał z podwórza, mimowolnie dłonią zastonił jej usta, a objąwszy ją, powtarzał w kółko:

— Cichoj Magdzia... Cichoj-że mówię... — starał się ją z przestrzeni oblanej światłem w ciemny zaułek tarni sprowadzić.

Tu dopiero ochłonął nieco, gdy Magdzia płakała dalej,

— Głupiasz ty, — jął ją pocieszać, z niedowierzaniem rozglądając się w prawo i lewo, — mazgaisz się, kieby cię wielgaśne jakie napotkało nieszczęście... — i nie dokończył zdania.

Szeptem tuż za nim wydano rozkaz:

— Machaj w tarni żywo! — stłumiony okrzyk przestraszu Magdzi i skrzyp tylnych, na pola wychodzących, wrót stodoły, na której progu nagle pojawiła się zgarbiona postać Franciszkowej, w jedno zwały się echo.

Tej samej chwili, jak cień, Jasiak zaszył się w krzakach, a podczas gdy z dłonią u czoła, jakby jej stare oczy nie znosiły nawet księżycowego blasku, szybko ku bielejącej Magdzi zbliżała się Franciszkowa, z za wylęklej, do ucieczki już gotowej kobiety, wynurzył się z tarni Nowotnik.

— Nie bój się — rzekł — to ja, — poczem dodał z przekąsem:— Niech ojciec idzie spać, bo pijany.

Stara, która wypadkiem, przy doglądaniu Kasi, szmery jakiegoś głosu podsłuchiwała w pobliżu, zdaleka już poznała synowę.

— A cóżeś to, aże tu zawędrowała, a tam cię Jakób pewnie szukają, — mówiła, podejrzliwie rozpatrując się w koło. — Z kim-żeś to na rozmowie? — surowym pytała głosem, nie dostrzegając Nowotnika w cieniu. — Dyciem wyraźnie pogawędkę słyszała?

— Z kim-że by?.. — odparł gajowy, wychylając się na światło z za oniemiałej z przestraszu córki. — Dyc ze mną. W izbie par, wyszliśwa świeżem powietrzem odzipnąć.

Uspokojona, choć nie zupełnie i jakby z umysłu nie zwracając uwagi na Jana, zwróciła się Franciszkowa do Magdzi:

— Noc chłodna i o chorobę nie trudno, wracaj żywo do chałupy... Jakób w izbie, a ty za stodołą na drodze... Wracaj do chałupy, powiadam.

Bez oporu, bez słowa uwagi, cała jeszcze groźbą położenia przejęta, zawróciła Magdzia na podwórze i wraz z ojcem, gniewnie coś pomrukującym, zniknęła z oczu świekrze, co z wolna podążała ku stodole, wciąż baczną zapuszczając spojrzenie w ciemną ścianę tarni.

Nieufna z natury, była nią podwójnie względem narzuconych sobie wbrew woli „przybłędów“.

Zdawało jej się koniecznie, że inne tu, prócz Nowotnikowego, słyszała głosy, zmieszanie zaś synowej uderzyło ją także.

Raz jeszcze uważnie rozejrzała się w koło, nie jednak nie dostrzegła. Rechotały jeno chórem żaby, śpiewały w dali słowiki, a zru-

działy już mgłami zachodu miesiąc staczał się za ciemny skraj lasu.

— Kaj-że by znowu, tak zara w sam dzień godów... — mruknęła, dochodząc do stodoły.

I przystanąła chwilę w przymkniętych wrotach, ostatnie rzucając spojrzenie na łąny wysrebrzone księżycem, gdy oto krzaki tarni szeleścić jęły i rozchyłać się zwolna, wynurzyła się z nich ostrożnie na oświetloną drogę postać ludzka i pędem ruszyła dalej.

Franciszkowej błysnęły jasne, liberyjne, przy krótkiem odzieniu guziki.

Mimowolnie cofnęła się w cień, pełen goryczy uśmiech wykrzywił jej usta, poczem suchym, niskim, gdzieś z głębi gardła dobywającym się głosem, szepnęła:

— Jasiek!.. — i zwarła wierzeje stodoły.

CZEŚĆ DRUGA.

V.

Wązkim, na ścieżaj otwartem, okienkiem Musiałowej chałupy, wychodzącem na sad śliwiną zarosły, na drogę i hen dalej na łąkę, pola, tyły ogrodu dworskiego, gumna i topolową ku nim aleję; po przez wazoniki z kwiatami, po przez liście drzew sadu, lekkim powiewem wiatru poruszane, niby przez sito siane, migotliwe, złote, ukosem na izbę padały krople słońca, co, wyiskrzzone na czystem niebie, a ku zachodowi już pochylone, około piątej z południa wskazywało porę.

Jak garścią rzucone blaszki świetlane, czepiały się promyki to ścian izby, to podłogi, to pułapu, wciskając się w szparę każdą, w roz-

stawione na półkach naczynia, w ciemną jamę komina, poruszając się, niby ogniki błędne, z miejsca na miejsce, i jakby skrami obsypując, gdy się w nie zanurzała rosła postać Musiały, przechadzającego się po izbie bez sukmany, w kamizeli jeno, szerokim spiętej pasem, z igrzeczka w tył na plecach założonemi.

Na malowanej na jesion ławie z poręczą, pod oknem ustawionej, i przed takim-że stołem, na uboczu trochę, chroniąc się przed migotliwym najściem słońca, nad robotą pochyłona, w białym kaftaniku i czerwonej spodnicy, chwilami tylko i zlekka muskana płomykiem, aż do niej zabłąkanym, siedziała Magdzia i szyła.

W izbie nie było więcej nikogo, a panowała w niej cisza, przerywana miarowym jeno krokiem Musiały i z sadu dolatującym świergotem wróbli. Franciszkowa z Kasią wyszły w pole po chwast dla trzody. Byli sami.

Brwi Magdzi, lukiem po nad oczyma ściągnięte, i frasośliwe a nieśmiało rzucane ku niej od czasu do czasu spojrzzenia męża, przykrym odbijały kontrastem smętku i przygnębienia od płynącej z zewnątrz, pełnej barw, światła i woni, wspaniałej pogody dnia letniego, uporczywe zaś obojga milczenie zdało się głużyć sobą i tłumić gnane powietrzem tysiączne echa tej pogody.

W tem zwrócił się Jakób ku żonie, ręce z za pleców rozplótł i ostrożnie przysiadł przy niej na skraju ławki. Magdzia, jakby niemiłym z zadumy wyrwana dotknięciem, niecierpliwym, nerwowym ruchem w bok się podała, brwi zwarła niemal na czole, pochyliła je niżej jeszcze i szyła milcząc, podczas gdy blask słońca, refleksem pąsowego kwiatu pelargonii zabarwiony, padł jej na twarz i purpurowym, ognistym zalał ją rumieńcem.

Musiała, który właśnie przygarnąć ją do siebie zamierzał, wyciągnięte już ku niej ramię opuścił, onieśmielony nagle, zbity z tropu, aż po chwili wahania, przemocą niemal oderwawszy jej rękę od igły, pocałunkami obsypywał ją zaczął i, nie zważając na opór, miękkim, potulnym powtarzał głosem:

— Magduś... dyciem ci nie krzyw, kobito... Magduś, dyciem ci ni jak nie krzyw...

— Krzyw nie krzyw,—zachnęła się, usiłując wyrwać mu rękę, — a no puszczaj i tyle.

Ale on chwycił ją w pól i ust jej szukał.

— Magduś... — prosił — Jednego aby, Magduś...

Wyprostowała się ze wstrętem i szarpnęła całą siłą.

— A odczep-że się ty ode mnie!—i odsunęła się na przeciwny koniec ławki, gdzie znów do przerwanej zabierając się roboty, mruknęła jakby do siebie:

— A cmoktał-by ino dziad i cmoktał, niby ten młokos jaki...

Na Musiałę buchnęły zrazu płomienie, ale się pohamował. Z westchnieniem podniósł się z ławy, fajkę wziął, nałożył, zapalił i zdała naprzeciw żony na przypiecku przysiadł. Zrazu z wyrzutem niemym w oczach wpatrywał się w namarszczoną zawsze kobietę, aż zwolna twarz wypogadzać mu się jęła, wyjaśniać, niby światłem bijącej z duszy błogości zlewana, uczuciem zachwytu i uwielbienia rozpromieniona.

Tak, ów „dziad“ zgnął go jak nożem wprawdzie, nie pierwszyczna jednak mu była. Nie od dziś w przystępach gniewu częstowała go nim Magdzia, a taki ją miał niewiastą, miał swoją rodzoną, w rodzonej chacie swojej. To grunt! Bo choć mu tam nieraz i do żywego dopieklą, choć niby ta młoda koza dobodła, on, byle ją bodaj tak mieć naprzeciw siebie w chacie, czegóż-by nie zniósł, czego? A zresztą nie zawdy bywała taka, ot dziś ją napadło i bodzie, aże ją znowu ominie, aże uśmiechnięta, przylipna, jak nie spojrzy na człeka, a nie rzeknie niby śpiwanie jakie:

— Oj ty dziadu... ty dziadu ...

Ino wtedy, oj wtedy niczego już człowiekowi nie żal, niczego, a pieścił-by tylko i hołubił, na rękach, nikięj to dziecko grymaśne, nosił.

Półtrzecia roku mijało kiedy-to po raz pierwszy ujrzał ją na sali dworskiej, w takim oto samym białym kaftaniku i czerwonej spodnicy; rok przeszło, jak odmłodniały kochaniem, niby piórko chwycił ją z ziemi i z przed wrót chaty niewiastę wniósł pod strzechę, a nawiść ona, co niby piorun z jasnego nań spadła nieba, jeno w nim rosła i rosła, aż ci go do cna zmogła, jak ta rdza, co i hartowną stal trawi, w duszę się wżarła, tak iż w onej duszy nic się prócz nawiści tej nie ostało. I czuł, że mogła była z nim, co zechce, poczynać, że za skinieniem jej w ogień i wodę szedł-by, że owe troski i zło, które wniosła do chaty cichej ongi, zgodnej i pracowitej, a dziś swarliwej i próżniaczej, że coraz częstsze z matką niesnaski i opuszczenie gospodarki, zdanej prawie na głowę Wicka, i grosza trwonienie, i czasu, że wszystko to niczem mu było, że nie odczuwał tego wobec tej wielkiej, jedynej, nieustannej rozkoszy, jaka nań płynęła z oczu, postaci, ruchu każdego niemal umiłowanej po-nad wszystko i wszystkich niewiasty. Stumanila go nikięj omanem i nic po-za nią nie istniało dla niego. Byle jej się w chacie nie cniło, byle mu dobre raczyła dać czasem słowo, byle pie-szczotę znieść chciała „chamską“, duszy by się wyrzekł i życia. Nie rozumował nad tem, nie zastanawiał się zgola, ale ot tak patrząc bodaj na tę Magdzię swoją zdała, jak w obraz, widoku jej zawsze spragniony, promienny zdał się kochaniem, co z niego niby światło było promienne.

I co go jedynie żywiej już dziś obejść mogło i wzruszyć, to smutek tylko i niehumory żony. Spadały na nią coraz częściej, a tak nie spodziewanie, że nie umiał ich sobie tłómaczyć. Biedził się niemi, martwił; ilekroć jednak wprost o objaśnienia do niej zgłaszał, czekała go napewno krótka a niemiła odprawa:

— A to niech cię o to głowa nie boli, co mi jest, a tobie nic do tego.

Przypuszczał i w pewnej mierze słusznie, iż powodem sumowania onego młodej kobiety była nieprzyjaźń względem niej matki; ale choć go to z dniem każdym do tej ostatniej rozgoryczało więcej, dotąd jednak nie umiał jakoś z pod długoletniego jej wpływu i powagi otrząsnąć się zupełnie i ulewał, już i tak wydawszy ze siebie znaczny zapas oporu i energii w długiej z nią walce o ożenek swój z pokojówką.

Ot nie dawno Franciszkowa znowu mu wolę swoją narzuciła, i w tem nawet dopatrywał się, choć mylnie, powodu świeżego niezadowolonia żony. Chodziło o dziewczkę, którą chciał przyjąć, pragnąc na przyszłość od wszelkiej cięższej roboty uwolnić Magdzię, no i z przyrzeczenia wywiązać się, danego dziewczynie jeszcze w dniu oświadczyn. Zwlekał z tem do tej pory, przewidując nowe swary z matką, których, z usposobienia miękkki a słaby, unikał zawsze skwapliwie. Wreszcie zdobył się na odwagę, ale na pierwsze o dziewczce słowo Franciszkowa porwała się jak oparzona i, nie zważając na Magdzię, rzekła:

— Dziewka na podwórz, a ja z chałupy, na dziady, dość w niej jednego darmozjada!

A nie była to czcza pogróżka tylko. Pewnym był tego Musiała. Wśród starszych wiekiem gospodyń, ba i gospodarzy nawet, nie dziwotą po wsiach bywały one na dziady wędrownki, aby, gdy sił już zbrakło do pracy na zagrodzie własnej, ciężarem jej nie być próżnym, a i młodszym nie zabierać miejsca i chleba. Franciszkowa, której, mimo wiek późny, tchu w piersiach i do ciężkiej starczyło jeszcze roboty, a zabobonne czuła przywiązanie do onego świętej ziemi kawalka, na którym z pradziadów marli i rodzili się Musiałowie, mawiała nieraz, jako po odchowaniu Kasi, skoro życia nie odmówi Przenajświętsza Panienska, a mocy nie będzie w kościach nijakiej, sakwę rzuci bez plecy a kijem się podeprze żebraczym, byle tej świętej, rodzonej, nie ssać daremnie. I dobrowolna taka wędrownka, skoro-by w kościach nijakiej nie było mocy, uswięcona niejednym po wsiach przykładem, polańbienia nie przyniosła-by ze sobą nikomu, ale spełnienie groźby w obecnym stanie sił i zdrowia starowiny równało-by się wyżenięciu jej z chaty przez młodą gospodynię i wstydem ją okryło i hańbą. Dopuszczyć tego nie mógł Jakób żadną miarą; choć tedy do żywego dotknięta

„darmozjadem“, Magdzia, jak to czyniła w takich razach zwykle, zamknęła się w komorze i pół dnia przesiadywała w niej samotnie, a długo potem ani mu się przybliżyć do siebie dała; rad nie rad ustąpić musiał i poprzestać jedynie na oględnem zburzeniu matki za nieoględne „rozpuszczanie języka“.

Od tej pory, choć kilka już dni upłynęło, a żadnej nowej do boczania się nie miała przyczyny, młoda kobieta nie uśmiechnęła się ni razu, a wylatywała jeno gdzieś z chaty, to szyła milcząc, to wreszcie zamykała się w komorze, gdzie, jak ją podejrzewał Musiała, plakiwała nawet zapewne, bo z czerwonymi, zdało mu się, wychodziła oczyma, a zawsze „handryczna“ jakaś, zła i niecierpliwa.

I teraz ot, siedząc naprzeciw niej na przypiecku, a fajkę pykając w zamyśleniu, świeżo dziadem poczęstowany, szukał Jakób sposobów udobruchania chmurnej jak noc, a milczącej jak grób, niewiasty. A może i o tę dziewczkę, o którą wprawdzie nie dopominała się nigdy, tak jej żywnie chodziło? Może-by tedy raz jeszcze z Franciszkową szczęścia spróbować, a może się uda jako. Nie łatwo bo było z matką, no, ale przecież bywało skruszyć się i przekonać pozwalala niekiedy. A zresztą on tu gospodarz, on rządził..

— Słuchaj no, Magduś, — rzekł fajkę z ust doby wając; — ja się ta onej dziewczki nijak jeszcze nie odrzekł, a skorom ci ją przyjąć obiecał, to niech se ta matka co chcą gadają, a przyjmę.

Magdzia, której ani w głowie była dziewczka, zdziwiona zrazu niespodziewanym przedmiotem rozmowy, spojrzała na męża zaskoczona pytaniem znienacka, ale wnet opuściła głowę i, szyjąc dalej, mruknęła:

— Daj mi tam pokój z dziewczką, tyle mi o nią, co o ten wiatr, co wieje, chodzi. I tak mi się stara niczego tknąć nie daje, a ciebie-by ino skłęła, i tyle.

— Skłęna, nie skłęna, — zachnął się Jakób, nadrabiając miną.— Cóżem to, nie gospodarz na własnej zagrodzie, a bo co? Ino matka zawdy to matka, bił się z nią przecik nie będę, ani prawował.

— To i czemu o dziewczce wspominasz?..

— A no, to ja tak ino wele tej kłątwy powiadam, a dziewczkę, jako zechę, tak i przyjmę.

— A juści!... — uśmiechając się z przekąsem, rzuciła Magdzia.

I znowu zaległa izbę cisza.

Przerwał ją po chwili Musiała:

— Kiej ci nie szło o dziewczkę, to czego się tak handryczysz ino, a handryczysz? o kąs mi serce od patrzenia na to nie pęknie. Cni ci się w chacie, czy co?

Magdzia rzuciła się niecierpliwie, do łez prawie podrażniona pytaniem, które wszystkie jej smutki jakby na światło dobywało z duszy, a powtarzaniem się ciąglem rozpaczliwie nudzić ją zaczynało.

— Jaka jestem, to jestem, — zawołała gniewnie, — a tobie nie do tego. Siedź na przypiecku, kiedy ci dobrze, i patrz swojego nosa.

— A właśnie, co nie będę siedział, — wstając z miejsca, a wesołość udając, odparł Musiał. — Słuchaj-no Magduś, — mówił zbliżając się ku niej zwolna, — na pozajutrze walny jarmark we Zwoleniu, miałem ci ja po prawdzie kośbę poczynać, bo i czas wielki, a słyszę, co i gospodarze na łąki się zbierają, ale cobyś mi ino nie sumowała Magduś, pojedziewa do miasta.

Tu znowu na skraju ławki przysiadł się obok żony, i znowu ramieniem ją obejmując, prosił:

— Ino jednego Magduś...

Ale milcząc porwała się z ławki, jak sprężyna. robotę na stół rzuciła, i zanim się obejrzał, z trzaskiem zaparła się w komorze. Tu głowę utopiwszy w poduszkach suto zasłanego pościelą łóżka, łkać jęła całym żalem i smętkiem, jaki się w niej nie od dzisiaj i z różnych gromadził przyczyn.

Tu bo wyplakać się mogła przynajmniej swobodna. Do komory, gdy chciała, nie wpuszczała nikogo. Do dworskiego rozkładu mieszkań przywykła, a ze wstrętem jeno znosząca myśl wspólnego, jak się wyrażała, „z chłopstwem“ w jednej izbie sypiania, przed ślubem jeszcze wymogła na Jakóbie, iżby komorę na wyłączny swój, osobisty, mogła mieć użytek. Po długich utarczkach z matką, której się te pańskie „fanaberye“ nie podobały wielce, przynaglony jednak gwałtownem domaganiem się tego ze strony dziewczyny, skorzystał z nieobecności w domu Franciszkowej, na jarmarku w sąsiednim Kazanowie bawiącej, i przy pomocy parobka zwinął się tak gracko, że gdy wieczorem wróciła staruszka do domu, wszystko w nim przeinaczonem zastała. W komorze pustki; szereg zalegających ją uprzednio fasek, niecek, beczek, stosy worków, szmat, przedziwa i bielizny, wianki suszonych grzybów, poleć słoniny, wszystko to znalazło się w przepierzonej na ten cel w sieni komórce, lub na strychu. ulubioną zaś maciorę z prosiętami z sieni wygnano do chlewka. Oburzenie matki nie miało zrazu granic, ale Jakób pod groźbą zerwania ożenku gotów był na wszystko, i niebezpiecznie było za daleko posuwać opór. Zrozumiała to Franciszka wa i poddała się konieczności, ale co przeszła, w gniewnem, zaciętem przypatrując się milczeniu, jak w opróżnionej ze szczętem komorze podłogę zakładano nowiusienką, wprawiano nowe na zawiasach

okno, jak łóżko do niej, na jesion malowane, wnoszono i stołki dwa i stół sosnowy, a nawet spore, obok okna, lustro zwoleńskie przybito, w lakierowanych ramach, o tem Bóg jeden wiedział, a z czasem, z objawów wrogiego usposobienia starej, przekonać się miała Magdzia.

Tymczasem postawiła na swoim. Posiadała, jak się wyrażała, „swój pokój“, którym po ślubie długi czas cieszyła się serdecznie. Sprytna a zysku wszelakiego żadna, umiała w służbie spore nagromadzić zapasy pościeli, odzieży, bielizny i cacek różnych i drobiazgów, czem suto następnie wypełniła komorę, małpując dworski obyczaj. I obrazków porozwieszała po niej kilka różnej treści, nie wyłączając wzorów mód, i ołtarzyk sztucznymi ubrała kwiatami, po nad łóżkiem, z pościelą wysoko napiętrzoną, czystem, białem, haftowanym w kółka i ząbki prześcieradłem nakrytą. Pod lustrem kazała sobie przybić półkę, na której „toaletowe“ rozstawiła przybory: szczotkę, grzebienie, poduszeczkę na szpilki i odpustowe broszki, ozdobne po panienkach flakoniki od pachnidła, z wiązanymi na szyjkach różnokolorowemi kokardkami. Na stole, obok łóżka, pokrytym kraciatą chustką, leżała w ozdobnej oprawie książka do nabożeństwa „Ołtarzyk złoty“, dar Jakóba, przybory do szycia, w różnych uzbierane czasach, jak nożyczki, igielniki, napatarki, motki z niemi i włóczką, a wreszcie, w ozdobnem, także po panienkach, pudełku od cukierków, w watę złożone, także dar Jakóba, bursztyny. Pod lustrem na stołku stała miska fajansowa, biała, obok niej zaś na spodeczku tabliczka mydła glicerynowego. W głębi komory, nakryte prześcieradłem, wisiały pękiem spodnice i stały dwa kuferki z bielizną i rzeczami. Na ścianie, nad łóżkiem, wisiał przybity kawałek starego dywanika i takiż kawałek pokrywał u nóg jego podłogę.

Do tak przybranej komory, a jak się z przekąsem wyrażała Franciszkowa, „na pokoje“, Musiała na palcach nieledwie wchodzić; na prostą jego naturę, do niewygód przywykłą, a do sypiania latem w stodole, zimą w stajni, tak urządzona sypialnia żony nie tylko bezpośrednio oddziaływała rodzajem czaru jakiegoś i mamidła, ale i Magdzię tem droższą mu czyniła i świętszą, niby w pałacu swoim księżniczkę. Wobec progu tej izby, chłop się na delikatność zdobywał mimowiednie, nie przestępował go nigdy bez pozwolenia, a tem mniej z głową nakrytą; gdy zaś zamknięta w niej niewiasta handryczyła się i po swojemu sumowała, ani przez myśl mu nie przeszło, iżby go przestąpić można było własnowolnie. Kręcił się pod drzwiami temi, wzdychał, nasłuchiwał, po głowie się drapał, chrząkał czasem wymownie, czasem zapukał i zagadał, lecz nigdy nie pchnął i otworzyć nie próbował. Co

więcej, mimo drwin i przekąsów, nie zdając sobie z tego sprawy, szanowała i Franciszkowa „pokoje obieżyświata“, co zresztą, być może, drwinami właśnie i przekąsem pokrywała.

I tym więc razem, skoro się przed nim z trzaskiem zawarły drzwi komory, nie szukał nawet ku nim drogi Jakób. Wielka mu jeno na twarz wystąpiła zgryzota, a z ust szeptem wybiegły słowa:

— A dyć ja-bym jej nieba przychylił, niewieściel... — i nie ruszając się z ławki, zadumany, bez ruchu przesiedział dobre pół godziny, poczem z wyrzutem spojrział w stronę komory i zwolna wyszedł z izby, ot tak, hen przed siebie, na pola idąc i lasy.

Chwilę później, ostrożnie uchyliła drzwi Magdzia, a rozejrzawszy się po izbie i nie widząc w niej nikogo, szybko wybiegła z komory i, równie szybko a ostrożnie przedostawszy się za wrota, ruszyła drogą w stronę zabudowań dworskich.

VI.

Na skraju wsi, od strony kościoła i w niewielkiem od niej oddaleniu, przedzielając ogród dworski od równoległych z nim sadu i zabudowań probostwa, leżał pastewnik.

Pospolicie „pasternikiem“ zwane, kilkumorgowe było to pastwisko, ogrodzone dokoła, kształtu wydłużonego czworoboku: lecznica dla niedomagających sztuk inwentarza dworskiego, schronisko letnie osobników dożywających resztek dni na łaskawym chlebie. Spotykałeś tu więc zawsze to jarzmem poranionego wołu z karkiem obficie nakrapianym olejkiem zwierzęcym, to zółtującego żrebaka z zawłoką, to jakieś kaszlące jagnię, to wreszcie i najczęściej „Jadama“ jakiegoś lub „Jewę“, jak się utarło zwać w Wielgiem bezzębne, ostrokościste, kłapouche, a ślepe, ostatnim tchem goniące, rumaki.

Zaciszne to było ustronie a malownicze; wonne i kolorowe jak rzadko. Środkiem zieleniła się łąka, macierzanką, rozchodnikiem, smólką i jaskrami zbarwiona; jeden z jej skrajów, w rozległym od dworu nurzający się stawie, ginał w bogatej kępie olech i wierzby złotej; drugi ode wsi, wyniesiony znacznie, wzgórze prawie, tarń porastała gęsta i strzelające z niej pnie potężne nadwiślańskiej topoli. Od probostwa strumień sączył się drobny, idący hen od pola „stokami“

zwanego, smugą olszyny młodej znaczonej: od ogrodu zaś dworskiego, na wzgórzu także, w tarniowym wianku, dwie rozłożyste grusze dumwały, w których cieniu, zwykłe kłapaniem warg obwisłych opędzały się muchom tradycyjne „Jadamy“ i „Jewy“.

Na pastewnik to, od plebanii w bok skrećwszy, po pod wysokim, z wojami dzikiego chmielu majonym, parkanem proboszczowskiego sadu, przemykała się Magdzia ostrożnie, bacząc na wszystkie strony, zali jej skąd znajome nie śledzi oko. Jakkolwiek szła ścieżyną, brzegiem ogrodu ku zabudowaniom dworskim wiodącą dalej, i w razie czego, zagadnięta o cel wycieczki, łącno rzecz mogła, jako miast dłuższą, kościelną drogą, na przełaj w odwiedzinę biegną do dworu; to przecież, z uwagi na zbyt częste ostatnimi czasy wyprawy, pozorowane folwarkiem lub garderobą, wołała-by się przemknąć niespostrzeżenie.

Sunęła szybko, lekko, coraz oglądając się po-za siebie, aż dopadła płota żerdzianego, okalającego pastewnik, i w tarniowej znikła gęstwinie na topolowym wzgórku. Czas jeszcze krótki ścieżką się między krzem przedzierała, wreszcie, wydostawszy się na skraj łąki, a zawsze krzewiną kryta, przystanęła w jej cieniu, badawczem powiodła dokoła okiem, poczem pot z czoła rękawem kaftanika otarła i z westchnieniem na murawie przysiadła.

— Ciekawość też — szepnęła, — przyjdzie dziś, czy nie przyjdzie?..

Tam przed nią, ode stawu, długie, na całą niemal łąkę, kładły się chłodne cienie olch i wierzbiny. Od grusz, uszyna strzygąc a kłapiąc wargą, zwolna, ostrożnie spuszczało się w dół pastewnika, ślepe, jak rdzą żelazo, lreczką zrudziałe, stare, upałem dnia zmożone, muchami sklute, konisko, jeden z „Jadamów“, podczas gdy żreback jakiś, z łopatką w łubkach, na trzech utykający nogach, pasł się wśród kwiatów, wybierając zielone źdźbła trawy. Po nad pastwiskiem snuły się rojem jaskółki; w olszynach, podrzucając niby sprężyną ogonem, tu i owdzie łątki łowiła pliszka; z ogrodu zaś dworskiego, polująca na wiśnie, donośnym odzywała się głosem wilga.

— Przyjdzie, nie przyjdzie? — powtarzała w duchu Magdzia, rzucając przed siebie roztargnione spojrzenia. — Przyjdzie, nie przyjdzie? — i zwolna, stopniowo, tonąc jęła w bijącym tu zewsząd na nią spokoju, a choć tęsknota przelewała się przez nią wielka, bólu nie miała w sobie, gniewu i zniecierpliwienia żadnego, ba, żalu nawet nie czuła w tej chwili do Jaśka, mimo że od miesiąca zawodziły z nim schadzki.

Czy zmogła ją zgryzota? czy koilo wilgi granie i trzepot skrzydeł jaskółczych? czy może rwało się w niej co właśnie? czy wszystko razem, dość, że zamiast, jak zwykle, z gorączką wypatrywać chłopaka,

głowę na dłoni wsparłszy, nad losem zadumała się swoim, a gorzkie ostatnie czasów wspomnienia rzuciły się na nią zewsząd.

A najprzykrzejsze one z wesela. Nastkę jakby ujrzała na raz w ramionach Jaśka i coś ją w pól ścisnęło, a potem siebie z nim za stodołę, dokąd go niemal groźbą z izby wyгнаła, a gdzie jak złodziej oglądał się w koło lekliwie, w cień ją spychając tarni. Tu chwilę gorzki jej na usta spadł uśmiech.

— Bał się, był-by uciekał — szepnęła.

I znów się uśmiechnęła z przekąsem na myśl o ojcu, co to już po rublu dziesięć wyłudził od niej, wciąż przypominając jej poślubną ową schadzke, przerwana wykrzyknikiem:

— Machaj w tarń żywo!...

Jasiek bo się dnia tego już nie pokazał więcej w chałupie, wolała go jednak nie mieć na oczach, niż z Nastką widzieć w tańcu.

Nazajutrz za to, w karczmie na poprawinach, bawiła się dobrze. Starej, tak zwała Franciszkową za oczy, nie było: zmęczona, z Kasią została w domu. Nastkę okrutnie rozboleły zęby, nie przyszła także. Że i Musiała, jako gospodarz, mniej miał czasu dokoła żony się kręcić, nie brakło jej swobody, jak i powodu do korzystania z niej, bo Jasiek, ochłonawszy po wczorajszej przygodzie, stawił się wraz z innymi. Mniej gonił za dziewczuchami i dużo z nią tańczył. Wszystkiego mu zapomniała. Umówili się na dzień następny pod wieczór na pastewnik, gdzie już i dawniej latem schodzili się zwyczajnie, miała bowiem do dworu wpaść po resztę rzeczy, umyślnie zostawionych w tym celu. Jakób po oczepinach podarował jej całe piętnaście rubli, niby na szpilki; podzieliła się niemi z Jaśkiem po połowie. Rzekł, iż ją nawidzi bardzo, że tęsknić będzie do niej okrutnie, że co dnia, jeśli służba pozwoli, wyleci na pastewnik pod wieczór, zajrzeć, czy jej tam niema. A gdy niezwykłą dobrocią jego ośmielona wspomniała mu o Nastce, roześmiał się, twierdząc, że to tak dla niepoznaki tylko i odwrócenia uwagi kręcił się wele dziewczuchy, bo mu się zdało, jako niedobrze patrzali na niego Franciszkowa. I jakże nie było mu przyznać słuszności po zdarzeniu na schadzce; już wtedy przychodziło jej na myśl, że stara nie wypadkiem znalazła się w stodole, a coś musiała o stosunku jej z chłopakiem miarkować i na przespłegi wybrała się za nią. Nie przypuszczała jednak, aby dostrzegła Jaśka, ten zaś, nie zjawiwszy się więcej w chacie, sądził, że zatarł ślady, budząc we wszystkich, którzyby nieobecność jego zauważyli, mniemanie, że ot, zmęczony, spać poszedł, na dobre opuszczając wesele. To też i lekliwość ta jego, jaką wówczas okazał przy niej, a która ją mimowolnie dotknęła wtedy, rozumną teraz wydała się jej przezornością i wdzięczną mu za nią była.

Tak, bawiła się na poprawinach i dobrze, a i potem czas jakiś było jej znośnie. Choć stara boczyła się wciąż na nią i Jakóbową zwała z przekąsem, lub nawet „jaśnie panią“, nie obchodziło jej to wiele na razie. Niecierpliwili ją wprawdzie chwilami Jakób niesamowitem kochaniem swoim, ale też kochaniem tem nad wszystko jakże miłości dogadzał własnej! A przytem cieszyła ją i odmiana zupełna życia: i służby pozbycie się na zawsze, i swoboda nieograniczona prawie, i urządzenie się na swoim, w swoim, jak zwała komorę, pokoju, i objawy zazdrości nie tajone ze strony niedoszłych kandydatek do zamężnego z Musiałą związku, i tytuł gospodyni, i czepki, z któremi się z początku nie rozstawała, i ten grosz wreszcie łatwy, którego nigdy w takiej ilości nie posiadała.

A tu i Jasiiek, ilekroć znalazła sposobność wymknięcia się na pastewnik, zawsze ją i prawie na nim wypatrzył. Dobre to były czasy!.. Wynurzał się zwyczajnie, hen, od stawu, od inspektu dworskiego, i ku topolowemu, brzegiem olszyny, skradał się wzgórz. Pokazywała mu się na skraju tarni, a on przyśpieszał kroku, w niej zaś każdy krok odzywał się kołataniem serca. Czasem figle ją zbierały dziecinne i chowała się przed nim, bawiąc się jego zniecierpliwieniem, i dopiero, gdy zbierał się do odejścia, wyskakiwała nagle z ukrycia. Dostrzegła jednak, że figlów tych nie lubił, i skoro pewnego dnia, nie ujrzawszy jej zdala, tuż od inspektu zawrócił i odszedł, przestała się chować. Na powitanie rzucała mu się na szyję, a potem i do zmroku niekiedy przesiadywali jedno przy drugim, i różniej jej było wracać do kliwego Musiały i swarliwej Franciszkowej.

Tak było dawniej, nie dawno nawet, bo rok temu niespełna. A dziś? Piąty to raz w tygodniu na pastewniku czekała i piąty chyba daremnie. I wstyd ją zdjął, i gniew, i niecierpliwość wielka.

- Żeby się tak — szepnęła — gościńca jakiego spodziewał, nie czekała-bym daremnie.

I nie wiedziała sama, czego się przy nim tak upierała znowu. Już na jesieni roku zeszłego coraz rzadziej go widywała, i tylko gdy się dowiedział, że była gdzie na odpuście lub jarmarku, nie chybił nigdy, ale i ona wtedy z próżnemi nie przychodziła rękoma: bodaj papierosów paczkę, zawsze mu w dowód pamięci przyniosła.

— Pojadę — mruknęła — do Zwolenia, na złość pojadę. Przyleci, ale mu figę przywiozę.

Skoro pierwsze padły przymrózki, ani słyszeć chciał o pastewniku. Ona mu wtedy przypomniła komórkę w inspekcji na skład narzędzi ogrodniczych, gdzie dawniej schodzili się na deszczu, a do której przez znaną im szczelinę w parkanie łatwo się było dostać. I to mu się jednak nie podobało. Żądał, iżby do stajni załatwywała do niego, zu-

pełnie jakby we dworze jeszcze służyła i stajnię miała pod bokiem, i wymówkę w kręceniu się koło niej. I była raz czy dwa, ale się tyle za każdym razem strachu i wstydu najadła, że i nie poszła więcej. Już wtedy podejrzewać go jąła, że tak umyślnie kierował, chcąc się jej pozbyć, na szczęście jednak wypadkiem inny znalazł się sposób.

Przyjęto po niej we dworze na pokojówkę, przez faktora jakąś z Radomia narajoną dziewczynę, niby to wielką w służbie praktykantkę, która niezgorzej prac i prasować umiała, choć na jej, Magdzin rozum, za dużo używała farbki, a i z żelazkiem przy delikatniejszej robocie nie bardzo sobie umiała radzić i często gęsto przyżółciła coś i przypaliła. Tylko że, jak one miejskie marmuzele, „wyszczekana“ była okrutnie i, jak się pokazało, złodziej przytem. Panienkom zaczęły ginąć różne drobiazgi, a że się to nigdy przed tem nie zdarzało, dopiero po nastaniu nowej pokojówki, padł też na nią posądek. Pani kazała sobie otworzyć kuferek i wszystko się w nim znalazło. Ale ona, zamiast w pokorę uderzyć, jakże nie rozpuści języka: że to nikogo rewidować nie wolno, że skarżyć będzie do sądu, że to jej ktoś na przekór rzeczy panienek podrzucił, a może sama pani, — dość, że tego dnia jeszcze fora ze dwora, wywieziono pannę razem z kuferkiem, het, za granicę, skąd, jak niepyszna, żydowską turmanką dowlokła się do Radomia z powrotem.

Po tej przygodzie nie skoro było pani przyjąć nową marmuzelę, a tu nie było komu dojrzeć bielizny, i prania dopilnować, i prasowania. Gdy się o tem dowiedziała Magdzia, nie Jakóbowi nie mówiąc, pobiegła do dworu i bieliznę wzięła na siebie. Raz na miesiąc do małego, a co kwartał do wielkiego wzywano ją prania. Oddawano jej do pomocy ile chciała dziewczek z folwarku i po dawnemu rządzić jąła w pralni dworskiej.

Jakób boczył się zrazu na tę robotę, bo gdy się zwłaszcza zaczęło wielkie pranie, to i po dni kilka nie widywał jej prawie w izbie, nocowywała nawet we dworze. Podszczuwany przez matkę, „swędanii“ się synowej za oczyma przeciwną wielce, próbował wzbronić jej tych wycieczek. Ale na dziada swojego miała sposoby i ulecz musiał, chciwą zaś na grosz świekrę przekonała obietnicą zarobku.

I rozjaśniło jej się życie. Do służby i otoczenia dworskiego przywykła, czuła się tu w swoim żywiole, zapomniała o nudach w chacie, o „chłopstwie“ wstrętnem jej zawsze, i swobodna, wesola, a jak ongi zalotna, niby ta dawna pokojówka, kręciła się, podśpiewując, po pralni. Lubili ją tu wszyscy, nawet wykrygowana zawsze panna Paulina, piastująca wysoką godność panny służącej, za zle jej urody nie miała, z panienek czasem która zajrzała, ba, pani nawet sama wprawnej a chętniej pracownicy rada, to kawy przysłała szklankę na podwieczo-

rek, to rosółu talerz z obiadu, czy leguminy. To też, choć z myślą o nim wszystko to ułożyła, o Jaska mniej dbała teraz.

Przy dworze, jak to przy dworze, różne trafiały się okazy; z wiosną ogrodnik nastął, kawaler. Chuderlawe to było a nawet zezowate trochę, nie wpadł jej w oko, ale ona mu za to wpadła, wodziła go też, wodziła, niby ślepego, a tak się w wodzeniu onem zaciekla, że Jaskowi ani przystąpić dała, z obawy, aby tamtego nie zrazić. Całe jedno wielkie pranie tak się zabawiała, aż się i zuodził, aż ci go pewnego dnia za śmielsze jeno słowo tak przy ludziach „spospolitowała” że do Jakóba i starej wieść o tem doszła. Ta ostatnia poprawiła się dla niej trochę, a Jakób z wielkiej uciechy cichaczem pięć rubli jej podarował, któremi się już jednak nie podzieliła z Jaskiem.

Tyle ją nagryzł, namartwił tyle, że na dzień serca urazę miała do niego i pozbyć się jej nie mogła, mimo że chłopak, gdy ją tak po dawnemu śmiejącą się w pralni, a zaczepliwą, a urodziwszą jeszcze bodaj zobaczył, na nowo ją za nią gonić, aż mu się i opędzać musiała. Pochlebialo jej to i bardzo, ale nie przejmowało już szczęściem, zresztą swobody pragnęła teraz nad wszystko. Jeżeli tęskniła za nim, to z nudów tylko i beczynności w chacie, jak do jedynej po-za chatą rozrywki; jeżeli upierała się przy nim, to przez ambit i na przekorę Nastce, tej Nastce, co ją tak namęczyła ongi, a co się podobno na zabój rozmiłowała w chłopaku. Po wsi o swatach już nawet chodziły gadki, ale choć posażna dziewczucha mogła się jemu uśmiechać, nie przypuszczała jednak, aby ojcowie za takiego hołysza chcieli ją wydać. Korciło ją to wszakże okrutnie, drażniło i bolało chwilami, bolało resztką kołającego się po niej kochania może, może przyzwyczajenia tylko, a najwięcej bolało upokorzenie. I oto wybiegła na pastewnik i niecierpliwiła się do płaczu, i raz przecie, jeżeli nie z ust kochanka, to z oczu jego, szczerzej dobać się pragnęła prawdy—i nadaremnie.

Nie przyszedł znowu.

Po przez konary złotej wierzby, tuż po nad taflą wód stawu, kładły się bezpromienne, krwiste, zmartwiałe smugi słoneczne. Padały z wielkiej kuli ognistej, spowitej mgłami zachodu, co wszystek, zdało się, błysk z niej wysawszy, bezświeatny już tylko pozostawiły jej rumieniec. Jakby westchnieniem ziemi żegnając słońce, zawiąło po niej wiatrem raz, drugi, rozszczepiły się od poddmuchu tego gałęzie olch i wierzbin, raz jeszcze i drugi błysnęła ogniem łąka i zwolna począł padać cień zmierzchu. Z nad strumienia opar podniósł się wałem, rozlewał w koło, coraz szerzej, coraz wyżej, aż i „Jadam” weteran, i źrebak w łubkach, po grzbiety w mgieł zatoneły calunie. Od pola ozwał się głos przepiórki, z oparu derkacz, a czasem tylko rozlegał się chrzęst miarowy rwanej zębami końskimi trawy. Aż oto w tarni na

wzgórzu błysnęły rojem świetliki i ogarnęła ziemię wonna, gwiazdzi-
sta a bezmiesięczna, cicha a jednak gwaru pełna, noc letnia.

Magdzię dreszczem chłód przejął i ocknęła się nagle.

— A toć noc, sprawiedliwie... — szepnęła, nie dowierzając oczom
własnym, i porwała się z murawy wylękała. — Trza wracać... Nie przy-
szedł znowu... Trza wracać...

Pod wpływem doznanego zawodu i konieczności powrotu do onej
chaty, gdzie nudy czekały na nią i pustka, i natrętne pytania męża,
i złośliwe uśmiechy starej, wzburzyło się w niej wszystko.

— Trza wracać, — powtórzyła półgłosem, gniewne w stronę dwo-
ru posyłając spojrzenie, — ale mnie tu, nie bój się, nie zobaczysz już
więcej!... — i po omacku prawie przedzierać się jęła przez tarń i roz-
palone po niej świetliki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MARYAN JASIEŃCZYK.

Kredyt przemysłowy.

Różne okoliczności złożyły się na to, że kwestya kredytu przemysłowego w tej chwili właśnie rozbudziła znowu żywsze zainteresowanie. Z bodźców, które zajęcie to wywołały, do najważniejszych należy fakt następujący:

Powołana do życia w r. 1894 nowa ustawa Banku państwa, pomiędzy innymi reformami, zawierała przepisy, zapowiadające otoczenie przemysłu szczególną pieczęą kredytową. Przepisy te, (o których obszerniej mówić będziemy niżej), nie znalazły w praktyce szerszego uwzględnienia, a zwłaszcza w ostatnim czasie doznały ograniczeń, na przyszłość zaś dalszym jeszcze organiczeniom ulegną, jak to wogóle stanie się z operacjami bankowymi, nie ściśle handlowymi, które muszą zejść na drugi plan wobec obrotów, mających na celu nowe zadania Banku w kwestyi monetarnej. Te ostatnie bowiem warunkują umieszczanie funduszków banku w łatwych do zrealizowania, krótkoterminowych zobowiązaniach. Przewidywać należy, jak to z wielu poważnych wskazówek wnosić wolno, że w następstwie Bank państwa przekształci się na instytucję emisyjną, a wówczas będzie musiał zupełnie wykreślić ze swego programu wszelkie formy długoterminowego kredytu. Nawiasem dodamy, że, podług ostatnich wiadomości, nawet

rozpatrywanie projektu reformy monetarnej odłożone zostało do czasu zatwierdzenia nowej ustawy Banku państwa, przystosowanej do operacji emisyjnych. Te względy spowodowały już opinię publiczną do poruszenia ogólnej kwestyi kredytu przemysłowego, którą nastęrcza fakt nieziszczenia się nadziei, jakie kojarzono z nową ustawą bankową w zakresie przemysłowo-kredytowych obrotów.

Niezależnie atoli od takich zewnętrznych bodźców, ważniejszym jeszcze motywem do roztrząśnienia warunków kredytu przemysłowego jest niewątpliwie wzmożona potrzeba takiego kredytu, płynąca z samego życia, które przynosi z sobą stały i wszechstronny rozwój przemysłu. Ten dobrze znany i naturalny objaw postępu stosunków społeczno-gospodarczych nie potrzebuje bliższego wyświetlenia. Ponieważ jednak zdarza się spotykać z zarzutami, że wzrost produkcyi prowadzi do jednostronnego kształtowania się ustroju społecznego, a zarazem, że korzyści tego rozwoju są przeważnie udziałem przedsiębiorców, po części nawet z krzywdą dla innych żywiołów; przeto przy sposobności warto wskazać, jakie są w tej mierze najnowsze poglądy ekonomistów, wprawdzie nie tych, którzy należą do najkrańcowszego obozu, ale bardzo krytycznych i opierających wywody swoje na badaniach całego procesu ekonomicznego w obrębie dłuższych epok. Ekonomiści ci doszli do wniosku, że postęp przemysłu, acz w stopniowaniu dość powolnem, może doprowadzić do względnej równowagi społecznego dobrobytu. Skoro bowiem, jak stwierdzono, wzrost produkcyi pozostaje w zależności od konsumcyjnych sił, a więc i zasobów wielkich mas, przeto sam przemysł, mocą powiększającego się współzawodnictwa, musi dążyć do zniżenia cen, aby swoje plody tym masom uprzystępnąć. Drugim zaś warunkiem dalszego pomyślnego rozwoju produkcyi jest poprawa stopy życia warstw niższych, do czego, między innymi i przedewszystkiem, podniesienie zarobków robotniczych może się przyczynić. Przy wzroście produkcyi zachodzi więc regulujące stosunki prawo powolnego, lecz stałego falowania, które polega na tem, że zniżka cen powiększa spożycie i tem samym poprawia warunki bytu klas pracujących, a chwilowa zwyżka cen, doraźnie wywołana zwiększoną konsumcją, znowu ostatnią osłabia, co jednak z kolei dalsze jeszcze zniżenie cen spowodza. Fakt stałego spadania cen jest też niewątpliwym tej teoryi dowodem ¹⁾. W tym więc punkcie, jak słusznie powiada Juraschek w swoich „Uebersichten der Weltwirth-

¹⁾ Statystyk Sauerbeck obliczył, że w ciągu 20 lat ostatnich ceny 45 artykułów największego spożycia zniżyły się o 35—50 %. Potwierdzają to i inne badania statystyczne. (Przypisek autora).

schaft“, dążenia reformatorów socjalnych nie są w sprzeczności z istniejącym systemem gospodarczym, lecz owszem to, co stanowi słuszne postulaty humanitarnych i socjalnych poglądów, jest współcześnie naturalnem dążeniem postępu ekonomicznego i w dzisiejszej jego formie.

Skoro zaś wogóle z tego punktu widzenia dążyć należy do rozwoju przemysłu, to w naszych stosunkach, dla szczególnych powodów, z warunkiem bytu się łączących, przemysł odgrywa tem ważniejszą rolę. Rozbudzona w tym kierunku praca społeczna i jednostkowa wymaga też specjalnej pieczy. Protekcyjny system władz rozwojowi temu sprzyja, ale pewne doniosłe zapory przedstawia właśnie niedostateczna organizacya kredytu przemysłowego. Kraj, który w obecnej chwili znajduje się w fazie stałej i stopniowej ewolucyi przemysłu, potrzebuje nie tylko normalnych urządzeń kredytowych, których u nas jest mniej, niż gdzieindziej, ale nadto szczególnych jeszcze instytucyi, mających popieranie przemysłu wyłącznie na celu. Jeżeli bowiem działalność przemysłowa, o silnem już natężeniu i o wydoskonalonej technice, zadawalać się może ogólnemi formami bankowości, to do stadium przejściowego przystosowane być winny odrębne warunki kredytowego ustroju.

W niniejszych wywodach pragniemy zastanowić się nad możliwością poprawy tej organizacyi i określić formy kredytu, które w działalności przemysłowej mogły-by szersze i skuteczniejsze, niż dotąd, mieć zastosowanie.

I.

Przemysł z natury swej potrzebuje kredytu długoterminowego, opartego na odmiennych zasadach od tych, które wspierają handel, rozporządzający przeważnie łatwemi do zrealizowania krótkoterminowemi weksłami. W przemyśle sam nakład musi być względnie znaczny, skutkiem czego *kapitał zakładowy* unieruchamia większe fundusze, które nie odrazu proporcjonalne przynoszą korzyści; w dalszym zaś ciągu zachodzi jeszcze potrzeba należytych zasobów na *obrót*.

Jakkolwiek kredyt na kapitał zakładowy, ze stanowiska teoryi, a bardziej jeszcze praktyki bankowości, nie jest zalecanym, ponieważ za zasadę uchodzi, iż przedsiębiorca sam powinien rozporządzać zasobami, potrzebnymi na utworzenie przedsiębiorstwa, to atoli poglądu tego nie

można się trzymać zbyt pedantycznie. Doświadczenie przedewszystkiem uczy, że często trudno odróżnić kapitał zakładowy od obrotowego, a powtóre, przy bardzo znacznym kapitale zakładowym, przedsiębiorca z konieczności nieckać się musi albo do kredytu na część funduszów założycielskich, albo do formy spółkowej. Wtedy też ostatnia, z punktu widzenia usługi, jaka jest w niej zawarta, pełni właściwie funkcje kredytu.

Opieranie przedsiębiorstw przemysłowych na organizacyi akcyjnej ma też główną przyczynę w tej potrzebie przyciągania kapitałów z zewnątrz, z po-za koła samych przedsiębiorców i producentów, gdyż takie udziały przemysłowe (akcje) tworzą właśnie dogodny bezterminowy kredyt dla przemysłowców. Ale rozwój organizacyi akcyjnej, w jej obecnej formie wielkich przedsiębiorstw, słusznie spotyka się z zarzutem, że utrudnia zarazem byt przedsiębiorstwom średnim i małym, które, przy obowiązującym dotąd systemie koncesyjnym, dla różnych powodów z akcyjnego ustroju korzystać nie mogą.

Dlatego pragniemy tu odrazu zaznaczyć, że prawidłowe postępy przemysłu uwarunkowane są w znacznym stopniu reformą organizacyi akcyjnej. Uwaga ta jest tu tem więcej na miejscu, że, jak wiadomo, kwestya ustroju akcyjnego weszła już w fazę prawodawczych roztrząsań. Na kierunek, jaki pod pewnemi interesującemi tu nas, względami, reforma ta przybrać-by mogła, zwrócono już uwagę w publicystyce, a w jednej z prac, kwestyi tej poświęconych, wyrażony został postulat, że pożądane jest zakładanie mniejszych przemysłowych przedsiębiorstw na zasadach akcyjnych, a w tym celu najprostszą procedurą było-by urządzanie takich przedsiębiorstw, przy ustanowieniu pewnego minimum kapitału zakładowego, [podzielnego na drobne udziały akcyjne.

Podzielając ten pogląd, pragniemy atoli dla ścisłości zaznaczyć, że zarówno wśród teoretyków, jak praktyków finansowych, liczy on też wielu przeciwników. Tymczasem, podług nas, w organizacyi systemu akcyjnego, która-by sprzyjała tworzeniu się średnich i małych przedsiębiorstw przemysłowych, na zasadach akcyjnych opartych, tkwi czynnik, mogący skutecznie poprzeć rozwój przemysłu, pozbawionego prawidłowej pomocy kredytowej na kapitał zakładowy. Na tym punkcie, jako spornym, chcemy się nieco dłużej zatrzymać.

Przedewszystkiem następuje się najogólniejsze pytanie: czy ustrój akcyjny zawiera w sobie usługę kredytową?

Gdy się stoi na gruncie formalnym, bądź prawnym, bądź finansowym, przyznać trzeba, że z takiego stanowiska zachodzą między kredytem a akcją ważne różnice. Kredyt jest zobowiązaniem, akcja zaś równoważnikiem własności—wyjaśniają prawnicy. Akcja jest zna-

kiem wartościowym, stwierdzającym posiadanie udziału w przedsiębiorstwie i jego zyskach do pewnej wysokości, a kredyt jest możliwością rozporządzania cudzemi dobrami, opartą na pewności zwrotu i odpowiedniego wynagrodzenia,—mówią finansiści. Chętnie przyznajemy, że takie określenia są bardzo prawidłowe i że lepszych nie znajdziemy nawet... w encyklopediach prawnych i handlowych. Ale jeśli idzie o głębszy ekonomiczny, czy to teoretyczny, czy praktyczny, rozbiór przedmiotu, to podobne definicje, odnoszące się do form, a nie do istoty rzeczy, wystarczyć nie mogą. Gdy mamy na myśli nie to, jaka forma czynności zawarta jest w kredycie, a jaka w ustroju akcyjnym, lecz jaka gospodarczo-społeczna usługa w nich tkwi, definicje powinny być znacznie rozciąglejsze, a wtedy okaże się, że usługę ekonomiczną, mieszczącą się w akcyach, do dziedziny kredytowej zaliczyć potrzeba.

Spróbujemy dowieść, że rzecz tę zawsze tak rozumie głębsi myśliciele z pośród ekonomistów. Znakomity filozof i ekonomista, hr. August Cieszkowski, w dziele swem p. t. „Du crédit et de la circulation“ tak określa kredyt: „Kredyt jest przemianą zasobów nieruchomych i uwięzionych na zasoby obiegowe i swobodne, kredyt zatem jest narzędziem, czyniacem rozporządzalnemi i zdolnemi do obiegu kapitały, nie mające tych własności“. Na tej teorii Cieszkowski buduje cały system centralizacji kredytu. Wyjaśnienie tych postulatów zaprowadziło-by nas za daleko, ale wystarczy zrozumienie zasady, że kredyt jest przemianą zasobów nieruchomych na obiegowe i rozporządzalne, aby w tej definicji mógł już pomieścić i akcyę. Dodajmy, że przyznanie akcyom zdolności przekształcania nieruchomych zasobów w rozporządzalne, a więc świadczące usługę, prawie równoznaczną z kredytem, nie pozbawia ich innych cech, które zawarte zostały w przytoczonych powyżej utartych formułkach określeń.

Najnowsza szkoła ekonomistów uznaje też, prawie zgodnie z Cieszkowskim, że każdy kapitał obiegowy i każda wartość wymienna spełnia między innymi rolę kredytową, czyli, że nie potrzeba za nieodłączną cechę kredytu poczytywać nawet tego, co się w samej jego nazwie mieści — zaufania, gdyż wszelka możliwość uruchomienia dóbr i rozporządzania nimi w tej formie jest kredytem.

Ściśle już samą kwestyę usług ekonomicznych, świadczonych przez towarzystwa akcyjne, wyjaśnia niemiecki pisarz, van der Borcht, sekretarz kolońskiej izby skarbowej, który w artykule „Aktiengesellschaften“, pomieszczonym w „Handwörterbuch der Staatswissenschaften“ pisze: „Zdolność kredytowa towarzystwa akcyjnego jest, jak doświadczenie uczy, bardzo rozciąglą; towarzystwo to bowiem może powiększać swoje kapitały, bądź przez wypuszczanie obligacyi, bądź

przez wypuszczanie nowych akcji, bądź przez zaciąganie pożyczek hipotecznych". Nie chcąc przeciążać cytatami tej notatki, pomijamy dalsze wywody, popierające ten pogląd, tembardziej, że i to lakoniczne zdanie jasno tłumaczy, że Borgh't utożsamia emisję akcji z obrotem kredytowym. Nie przytoczyliśmy zresztą tezy tego autora, jako szczególnie oryginalnej, ale na dowód, że dość zajrzeć do dobrego podręcznika ekonomicznego, by się przekonać, czem jest urządzenie akcji dla przedsiębiorstwa, w świetle nauki o gospodarstwie społecznem. Czy można wreszcie, po zastanowieniu, nie dostrzedz w czynności handlowej, polegającej na wypuszczaniu akcji, usługi, która wspiera zasoby przedsiębiorstwa kapitałem z zewnątrz, równającym się bezterminowemu kredytowi? Trzeba tylko na emisję akcji patrzeć nie z kąta ciasnej rutyny, podług której jest to wyłącznie odprzedaż części własności, ale też z punktu widzenia usługi, jaką podmiotowo przedsiębiorca przy takiej operacji otrzymuje.

W zakresie poszczególnych postulatów co do reorganizacji ustroju akcyjnego zarzut nastęrczyć może uwaga, iż pożądane były-by akcyje małych rozmiarów, gdyż bardzo rozpowszechnionym poglądem jest, że akcyje takie sprzyjają rozwojowi spekulacji, i że dlatego najnowsze prawodawstwa zagraniczne wyłączają małe akcyje, które utrzymują się jeszcze tylko w Anglii. Stwierdzimy, że nowe prawo akcyjne w Niemczech istotnie zakreśliło dla akcji wyższe rozmiary, co przypisać należy ogólnie ujawniającym się tam dążeniom do ograniczenia rozwoju kapitalizmu i spekulacji. Pozwolimy sobie jednak być zdania, iż obrano tu właśnie środek najmniej skuteczny, ponieważ przeciwnie wielkie przedsiębiorstwa z wielkimi kapitałami zakładowymi i akcjami, brzmiącemi na duże summy, przyczyniają się do przywilejów i monopolów kapitalistycznych. Istnienie wielkich akcji nie usuwa też spekulacji, gdyż różne formy interesów giełdowych (interesy z premią, stacelazę i t. p.) ułatwiają spekulującej publiczności nabywanie drogich papierów, które przytem mają tę ponętę, że szanse zysków są większe. Doświadczenie też, choćby na tutejszych stosunkach spekulacyjnych oparte, uczy, że zawsze gra giełdowa najchętniej przyswaja sobie walory dużych rozmiarów, jako takie, które przedstawiają widoki znacznych korzyści. Tymczasem w akcjach, brzmiących na małe summy, mogą znaleźć trwałą lokatę drobne kapitały oszczędzającej publiczności. Z tego więc stanowiska, akcyje takie są bezwarunkowo użyteczne i dla przedsiębiorstw akcyjnych, które tym sposobem mogą przyciągać fundusze szerszych kół społecznych, i dla tych ostatnich, które w solidnych drobnych akcjach lokować będą swoje oszczędności. Fakt, że 1-funtowe akcyje afrykańskich min złotych przyczyniły się do rozwoju szalonej gry spekulacyjnej w Anglii i wogóle na giełdach zagranicz-

nych, — fakt ten, przytaczany jako argument przeciwko małym rozmiarom akcji, tłumaczy się wyjątkowemi zupełnie okolicznościami, mającemi związek nie z małą wartością jednej akcji, ale z naturą przedsiębiorstw, które akcye te wyobrażały.

Nie podlega atoli wątpliwości, że sama reforma ustroju akcyjnego kwestyi przemysłowego kredytu nie wyczerpuje. Ani możliwem, ani nawet pożądanem nie jest, aby cała działalność przemysłowa wtłoczona została w formy akcyjne, które, mimo swej ekonomicznej racyi bytu, nie powinny wyłączać ściśle jednostkowej przedsiębiorczości, często zdolnej do rozwinięcia żywotnej inicjatywy i energii. To też niezależnie od reformy ustroju akcyjnego, sprzyjającej usługom kredytowym za pomocą łatwej organizacji przedsiębiorstw akcyjnych, zachodzi jeszcze potrzeba urządzeń ściśle kredytowych, które-by popierały rozwój przemysłu.

Potrzebie tej w pewnym stopniu, jak zaznaczyliśmy, starał się uczynić zadość Bank państwa, który w nowej swej ustawie (z d. 6 (18) czerwca r. 1894 rozdział III pp. 1 i 2) zawiera przepisy o udzielaniu pożyczek przemysłowych i pożyczek na zastaw towarów. Pożyczki te mają następujące główne formy: 1) sola-weksle, zabezpieczone zastawem inwentarza fabrycznego (maszyn i narzędzi). 2) sola-weksle, zabezpieczone poręczeniem, oraz 3) pożyczki na zastaw towarów i na dowody towarowe. W szczególności pożyczki takie mają na celu (§ 93 ustawy) zakup inwentarza (maszyn), odnowienie już istniejącego, albo utrzymanie istniejącego. Pożyczki zabezpieczają się na inwentarzu (maszynach) i poszukiwane być mogą albo na mocy ustawy wekslowej, albo na przyjętym, jako zabezpieczenie, majątku dłużnika. Pożyczki na sola-weksle za poręczeniem dopuszczane są za zgodą komitetu dyskontowo-przemysłowego (§ 95). Nakoniec Bank udzielać może kredytów pod zastaw towarów, nie podlegających psuciu się, jako też na dokumenta na towary, znajdujące się w składzie dłużnika lub w drodze (§ 108). Towary, przyjęte jako zastaw, w zasadzie powinny się znajdować w pewnych pomieszczeniach pod pieczę Banku i pod jego nadzorem (§ 117). Osobom, które znane są bankowi, mogą być też udzielane, za zgodą komitetów dyskontowo-handlowych, pożyczki na towary, będące na przechowaniu u właściciela (§ 124).

Niestety, zastosowanie tych przepisów nie mogło być tak rozciągle, aby zaspokoilo wszystkie potrzeby rozgałęzionego w obszernem państwie przemysłu (już dla samej natury ustroju wielkiego banku państwowego, który obejmuje najszerszy zakres operacji). Robione w tym kierunku próby ograniczyły się do pewnych tylko działów przemysłu w szczupłym względnie zakresie. Przytem, dla wiadomych już powodów, nie można opierać nadziei rozwoju kredytu przemysłowego

na wskazanych powyżej obrotach Banku, przez ustawę z r. 1894 przewidzianych. Ale w tych przepisach bankowych zawartą została ważna wskazówka, pod jakimi postaciami kredyt taki istnieć powinien. Pożyczki, udzielane pod zabezpieczenie maszyn, już posiadanych, odnawianych lub zakupywanych przez przedsiębiorstwa przemysłowe, pożyczki na zastaw ich towarów, przechowywanych w składach instytucji kredytowych, a nawet, przy odpowiednich rękojmiach—u właściciela, wreszcie na poręczeniu odpowiedzialnej osoby oparte, oto są niewątpliwie najważniejsze formy kredytu, potrzebnego fabrykantom i zakładom przemysłowym na kapitał obrotowy.

Dodajmy, że kredytem przemysłowym wspierał istniejące i powstające zakłady Bank Polski, którego działalność jednak w tym względzie miała raczej charakter protekcyi, niż obrotów handlowych. W ciągu 40 lat swego początkowego istnienia Bank udzielił przeszło 100 mil. rubli pożyczek różnym zakładom przemysłowym i przemysłowo-handlowym. Z tej summy cukrownie otrzymały 9,745,222 rub., zakłady żelazne i machin 1,614,268, fabryki bawełny, wełny i płótna 850,585, papiernie 396,661 i t. p. Chcąc podnieść przemysł górniczy, Bank urządził 15 wielkich pieców w Hucie Bankowej, w Pradłach i w Rejowie, tudzież cały szereg zakładów pudlingowych, a nadto eksploatował kopalnie węgla w Dąbrowie i Strzyżowicach, puścił w ruch oddany sobie przez rząd zakład w Ostrowcu, oraz inne fabryki żelaza. Bank Polski otworzył nadto zakłady Żyrardowskie, fabrykę machin na Solcu (obecnie własność tow. akcyjnego Lilpop, Rau & Loewenstein), młyn parowy na Solcu i fabrykę papieru w Jeziornie. Taka działalność Banku przerwana została w r. 1869 Najwyższym Ukazem z dnia 26 marca, poddającym Bank pod zarząd ministerjum finansów i polecającym mu przystosować swą organizację do charakteru instytucji finansowych w Cesarstwie.

Zaznaczymy jeszcze raz, że ta działalność Banku Polskiego, lubo bardzo doniosła i obywatelska, nie była ściśle finansową—i że na tych wzorach obroty prywatnej zwłaszcza instytucji kredytu przemysłowego opierać się nie mogą.

Pozostało-by nam tedy wskazać warunki, wśród których mogłoby nastąpić urzeczywistnienie urządzeń kredytowych, zastosowanych do wymagań prawidłowej bankowości, a zarazem do rozległych potrzeb kół przemysłowych.

Zanim jednak próbujemy ustalić nasze postulaty, rzucimy jeszcze okiem na urządzenia kredytowe za granicą, by się przekonać, czy tam niema gotowych wzorów dla banków przemysłowych.

II.

Nie ulega wątpliwości, że kredyt przemysłowy w różnych odmianach za granicą znajduje się na stopie wyższego rozwoju, niż u nas; czerpać go można zarówno w bankach państwowych, jak prywatnych. Istnieją też za granicą, a w największym rozwoju w Anglii, tak zw. związki przemysłowe, do pewnego stopnia i kredytową solidarność przemysłowców mające na celu, ale zastosowane są raczej do potrzeb rękodzielniczych, niż fabrycznych, i kwestya samego kredytu gra tu drugorzędną rolę obok pierwszoplanowego zadania — zbiorowej pomocy przy zakupach surowych materiałów i przy sprzedaży wyrobów. Związkom tym odpowiadają i nasze spółki rękodzielnicze (spółka magazynowa drzewa zjedn. rękodzielników, spółka zjedn. ślusarzy, spółka zjedn. stolarzy), które jednak, niestety, wegetują tylko. Również do interesów przemysłowych bywają zastosowane niektóre typy kas wzajemnego kredytu, na systemie Schultze-Delitzschowskim oparte. Do tego celu dąży też tutejsza kasa przemysłowców, służąca atoli raczej ogólnemu zadaniu pomocy kredytowej, niż uwzględniająca specjalne formy kredytu przemysłowego. Instytucyi bankowej, która-by wyłącznie i niepodzielnie służyła wszystkim celom takiego kredytu, o ile nam wiadomo, nigdzie niema.

Pod tą formą powstały i maską tą zasłaniają się jeszcze różne banki tak zw. kredytu ruchomego (Crédit mobilier), których zadaniem miało być popieranie przedsięwzięć przemysłowych, lecz które w rzeczywistości zajmują się przeważnie handlem i spekulacją akcyami i papierami publicznymi. Banki te uczestniczą wprawdzie w zakładaniu przemysłowych towarzystw akcyjnych, za pomocą subskrypcyi części ich akcyi i za pomocą komandytowych udziałów w przedsięwzięciach, czem, przyznać to trzeba, oddają przysługi przemysłowi, ale przyczyniły się w większym jeszcze stopniu do rozwoju spekulacyjnych założeń i do popularyzowania hazardu giełdowego, czem znowu interesom ekonomicznym przeważnie szkodę wyrządzają. Nie zadawałają się one zyskami, jakie przypadają im mogą z uczestnictwa w przemysłowych zakładach, t. j. z dywidend przedsięwzięć, ani z prowizyi od kredytów i zaliczeń, przedsięwzięciom udzielanych, lecz trudnią się ażyotażem akcyi, tą drogą nabytych, prowadzą t. zw.

obroty reportowe i deportowe, (tj. zastaw papierów przy końcowomięsięcznej regulacji zobowiązań spekulacyjnych), i w innych formach uprawiają hazard giełdowy.

Prototypem takiej instytucji jest założony w 1822 roku w Brukselli bank „Société Générale (pierwiastkowo des Pays Bas) pour favoriser l'industrie nationale.“ Jak z samej nazwy widać, celem jego było popieranie przemysłu, t. j. udzielanie pożyczek na powstające przedsiębiorstwa i wydawanie kredytów istniejącym. W tej najpierwszej formie takiego banku, wyjątkowo utrzymał do ostatnich czasów dość prawidłowy charakter instytucji kredytu przemysłowego, i od interesów spekulacyjnych w ścisłem znaczeniu trzyma się dotąd bank ten zdala. Jest to jedyny może przykład banku z cechą prawdziwie przemysłową, choć i ta działalność ma charakter tylko jednostronny. Zaznaczyć jednak należy, że instytucja ta, w myśl ustawy, zakupuje akcje tylko na trwałą lokatę, i że w 1881 roku (późniejszych cyfr nie znamy) połowa jej aktywów, t. j. 101 mil. fr., składała się z akcji i obligacji. Słynny „Crédit mobilier,“ założony 1752 roku w Paryżu przez braci Pereire, jest już bankiem wyłącznie spekulacyjnym.

Inne banki, wzorowane na tej modle, również spekulacji holdują. Austriacki bank „Creditanstalt für Handel u. Gewerbe,“ niemiecka instytucja „Bank für Handel u. Industrie in Darmstadt,“ (mająca obecnie siedlisko w Berlinie), różne t. zw. „Financial Companies“ w Anglii — są to najbardziej z tej kategorii typowe instytucje, zajmujące się, obok interesów dyskontowych i lombardowych, emisjami akcji, handlem papierami, reportem z deportem, a po części założycielstwem. W zasadzie tkwi w nich idea popierania przemysłu, ale w praktyce zupełnie już spaczona ¹⁾.

Oczywiście, tego typu banków nie możemy również zalecać, jako wzoru instytucji kredytu przemysłowego. Pozostały w nich jednak pewne ślady takiego celu, które, w połączeniu ze wskazanymi przez nas operacjami pożyczkowemi banku państwa na kapitał obrotowy, mogły-by służyć za podstawy, na jakich ugruntować należy organizację takiego kredytu.

¹⁾ Niemniej atoli przyznać trzeba, że niektóre z tych banków samym faktem handlu i pośrednictwa w handlu akcjami, przemysł popierają. Tak np. berliński bank Discontogesellschaft, zajmuje się finansowaniem różnych przemysłowych przedsiębiorstw i eksploatacją nowych wynalazków, za pomocą założycielstw akcyjnych. I inne banki tą drogą wspierają kredytem przemysł. Sam tedy fakt, że do działalności bankowej, a więc ściśle kredytowej, wchodzi także operacje akcyjami, potwierdza nasz wniosek, że urząd akcyjny zawiera w sobie usługę kredytową. (*Przyp. autora.*)

Reasumując teraz wyżej wskazane różne formy kredytu, które mogą mieć specjalnie na celu popieranie przedsięwzięć przemysłowych, stwierdzamy, że streszczają się one; 1) w reformie systemu akcyjnego, która polegać winna na uproszczeniu ustroju towarzystw akcyjnych, sprzyjającym organizacyi małych przedsięwzięć, i wypuszczaniu akcji o nieznacznych rozmiarach; 2) w zastosowaniu w szerokim zakresie pożyczek na kapitał obrotowy fabryk pod następującemi poszczególnemi postaciami: a) kredytów na maszyny, b) kredytów pod zastaw wyrobów fabrycznych i pod zastaw dowodów towarowych, oraz c) pożyczek na sola weksle, z poręczeniem osób odpowiedzialnych, — i 3) w zredukowanych do należytej prawidłowości operacyach banków kredytu ruchomego, a mianowicie w obrotach, obejmujących: subskrypcyę na akcje nowych towarzystw przemysłowo-akcyjnych, skup akcji istniejących towarzystw, a nawet komandytowe uczestnictwo w solidnych przemysłowych przedsięwzięciach nieakcyjnych. Będzie to nie w dosłownem znaczeniu, ale, ze względu na usługę ekonomiczną, kredyt na kapitał zakładowy.

Pierwszy z powyższych punktów, reforma systemu akcyjnego, jest oczywiście samodzielnym postulatem, który odłączyć trzeba od form kredytowych, nadających się do działalności specjalnie przemysłowego banku, chociaż reforma ta pozostawała-by w pewnym związku z zadaniem banku w zakresie punktu trzeciego, t. j. z zakupem przez taką instytucyę kredytową akcji na trwałą lokatę.

Inne postulaty znalazły już częściowe urzeczywistnienie w różnych instytucyach, ale dotychczas stanowią tylko uboczny atrybut działalności bankowej obok odmiennych, ogólnych jej zadań, mających dominujące znaczenie.

Instytucyi, która-by założyła sobie wyłączny cel uprawiania tych wszystkich obrotów kredytu przemysłowego, dotąd nigdzie niema. Otóż zdawało-by się nam, że zespolenie ich w jeden ciągły system, przy należytem ustosunkowaniu tych kategorii, mogło-by stanowić program działalności specjalnych przemysłowych banków.

Prasa rossyjska, poruszywszy ogólnikowo temat kredytu przemysłowego, przypuszcza, że kredyt ten musi być niedość korzystnym skoro unikają go prywatne instytucye, i dlatego odwołuje się do władz miarodajnych z propozycyą, aby utworzono państwowy Bank przemysłowy, mający na celu poparcie interesów rozwijającej się produkcji fabrycznej i rękodzielniczej.

Propozycyi tej, oczywiście, tylko przyklasnąć trzeba, bo państwo bez trudności mogło-by urzeczywistnić plan instytucyi kredytu prze-

mysłowego, obejmującej wszystkie wyżej wskazane formy obrotów. Nie sądzimy jednak, aby dla prywatnej inicjatywy niedostępne było pole tej działalności. Zdaje nam się, że specjalne banki prywatne mogły-by również celowi temu służyć, nie poddając zbytniemu ryzyku swoich kapitałów, które w takiej działalności znalazły-by, owszem, i korzystne, i pewne oprocentowanie.

Naturalnie, wskazaną była-by tu wielka przezorność, dobre obeznanie się ze stosunkami i ściśle określenie granic działań.

Podług naszego przekonania, program banku przemysłowego mógł-by się oprzeć na następujących zasadach:

I. Bank ma prawo połowę (jedną trzecią, jedną czwartą, dla przykładu) swego kapitału zakładowego trwale umieszczać w akcyach przemysłowych po kursie, nie przenoszącym prawnie ustanowionego maksimum ponad imienną wartość akcji, a odpowiednio ustosunkowanym do rentowości akcji i ewentualnie do kapitałów zasobowych towarzystw akcyjnych.

II. Kapitały zasobowe banku mogą być również w pewnej części i na tych samych warunkach umieszczane w akcyach przemysłowych.

III. Pożądanem jest, aby część kapitału, przeznaczonego do lokaty w akcyach, znajdować mogła pomieszczenie w udziałach przedsiębiorstw, fundowanych przy pośrednictwie Banku i przy pomocy subskrybowania przezeń części wypuszczających się akcji. W tym razie kurs akcji nie może być wyższym od nominalnej wartości akcji, a faktyczne nabycie następuje dopiero po dopełnieniu warunków, wskazanych przez ministerjum finansów, dla ukonstytuowania towarzystwa akcyjnego.

IV. Zakup akcji winien być nadto ustosunkowany (stosunek określa ustawa) do ogólnej summy, przeznaczonej na inne operacje bankowe.

V. Wszelkie spekulacyjne obroty akcyami (interesy z premią, stallaże, sprzedaże na termin i inne, ukrywające spekulację interesy) są bankowi zakazane.

VI. Bankowi przysługuje prawo umieścić $\frac{1}{5}$, ($\frac{1}{6}$ albo $\frac{1}{10}$ — *exempli gratia*) kapitału zakładowego w komandytowych udziałach przedsiębiorstw nieakcyjnych, przyczem oszacowanie tych udziałów winno być dopełnione przez organa, specjalnie do tego w banku ustanowione.

VII. Specjalne artykuły ustawy określają stosunek do summy, na ogół obrotów przeznaczonej, operacji skupu weksli przemysłow-

ców, przyczem stosunek ten powinien być taki, aby skup krótkoterminowych weksli przewyższał rozmiary innych obrotów. Władze banku powinny jednak czuwać nad tem, aby weksle były istotnie przemysłowe, t. j., pochodzące ze sprzedaży wyrobów fabrycznych.

VIII. Bank wydaje pożyczki pod zastaw wyrobów fabrycznych, objętych wykazami, zatwierdzonemi przez zarząd banku. Termin tych pożyczek ograniczony jest do roku (znowu — *exempli gratia*). W wyjątkowych razach następują prolongaty. Wysokość pożyczki określa się podług ustalonej części szacunku, dokonanego przez stosowne organa Banku. Towary, przyjęte na zastaw, przechodzą do magazynów Banku. W wyjątkowych wypadkach, zastawione towary mogą być w przechowaniu u właściciela, który (jak się to praktykowało w Banku Polskim), oddaje klucze bankowi, lub daje inne gwarauce nietykalności zastawu. Ubezpieczenie towaru należy do zastawcy. Pożyczki te stwierdzają się dokumentem, w którym pożyczający składa deklarację, że bank mocen jest sprzedać towar drogą licytacji, lub przez agenta giełdowego, bez sądowego wyroku. (Ostatni przywilej winien być zatwierdzony w ustawie banku). Nadto, pożyczka zostaje stwierdzoną jeszcze sola-wekslem pożyczającego. Stopa pożyczki musi być zależna od rodzaju towaru.

IX. Bank wydaje pożyczki na świadectwa składów towarowych, konosamenty i frachty, na podobnych, jak w § VIII, warunkach.

Uwaga do §§ VIII i IX. — Bank dla rozwoju operacji, wskazanych w §§ VIII i IX, mógł-by się oprzeć na ogłoszonej w 1888 roku ustawie o składach towarowych. W takim razie przyjmował-by towary do przechowania we własnych składach, wydając dowody składowe, bądź proste, bądź podwójne, t. j. złożone ze świadectwa składowego i zastawnego, a na ostatnie mógł-by sam udzielać zaliczeń. W każdym razie jednak te operacje nie powinny-by wyłączać zaliczeń na towary, przechowujące się nie w składach banku, na świadectwa innych składów towarowych, oraz na konosamenty, frachty i t. p.

X. Bank udziela pożyczek na sola-weksle, zabezpieczone zastawem inwentarza fabrycznego (maszyn). Pożyczki te wydają się bądź na istniejące maszyny, bądź na odnowienie ich, bądź na zakup nowych. W ostatnich wypadkach, bank wypłaca walutę bezpośrednio dostawcom maszyn, po udowodnieniu, że maszyny zostały dostarczone i funkcjonują. Pożyczki na maszyny wydają się tylko do wysokości pewnej części ich wartości, i na czas nie dłuższy nad trzy lata, (dla przykładu), z warunkiem, aby pożyczka *amortyzowała się stopniowo na okre-*

stonych warunkach. Pożyczki te mogą być poszukiwane drogą sądową na mocy prawa wekslowego, lub też bezpośrednio na przyjętych pod zabezpieczenie maszynach, przyczem od pożyczającego ma być odebrane zobowiązanie, że nie zawrze takich umów i nie dopuści takich działań, które-by wartość lub dochód jego fabryki zmniejszyły. (Prawo zawierania takich umów winno być również ustawą bankowi przyznane).

XI. Bank ma prawo wydawać przemysłowcom pożyczki na sola-weksle z poręczeniem osob trzecich, przyczem pożyczka nie może przenosić określonej przez ustawę banku części kapitału obrotowego przemysłowca, którego odnośne potrzeby zbada stosowny organ banku. Pożyczki te mogą być spłacane częściowo, w określonych ratach, w ciągu lat paru, albo kilku.

XII. Bank ma prawo wypuszczać obligacye, przynoszące $4\frac{1}{2}\%$. Ilość wypuszczać się mających obligacyi ma być ustosunkowaną z jednej strony do kapitału akcyjnego banku, z drugiej — do stanu czynnego posiadanych przez bank akcji różnych przedsiębiorstw i papierów publicznych, oraz do ilości jego operacyi pożyczkowych, a w szczególności jeszcze do liczby świadectw zastawniczych, o których wyżej ¹⁾.

Uwaga. Ogólny system amortyzacyjnych pożyczek winien w kredytach banku na maszyny i sola-weksle z poręczeniem osób trzecich, a ewentualnie i za kaucjami hipotecznymi, znaleźć możliwie najszersze zastosowanie.

Oto są mniej więcej wszystkie główne punkta programu działań banku przemysłowego. Dodamy jeszcze tylko, że potrzeba-by zgromadzić znaczny kapitał zakładowy, aby bank mógł w należyty sposób

¹⁾ *Société générale de Crédit mobilier*, o której to instytucji wyżej mówiliśmy, miała początkowo prawo wypuszczenia obligacyi procentowych na sumę, przenoszącą 10 razy kapitał zakładowy, czyli na 600 mil. fr. Obligacye te z różnemi terminami płatności (najkrótszy był 10-dniowy) miały zabezpieczenie na akcyach i obligacyach, skupionych przez bank, tak, że stan czynny tworzyły skupione papiery, a stan bierny własne obligacye banku, któremi bank skutecznie znaczną część wypłat. Pomysł tak ufundowanego banku oparty był właściwie na socyalno-reformatorskich ideach st-simonizmu, lecz, rzecz szczególna, w skutkach doprowadził do wyrafinowanej spekulacyi giełdowej.

System kredytowy, proponowany przez Augusta hr. Cieszkowskiego w jego dziele p. t.: „Du crédit et de la circulation“, również w St-simonizmie bierze źródło. Cieszkowski widzi ideał ustroju kredytowego w instytucji centralnej, która-by ześrodkowywała wszelkie zasoby, uruchomione pod formą świadectw zastawowych i hy-

pniu uprawiać dział długoterminowych pożyczek, unieruchamiających dużą część jego zasobów.

Same obroty, wyżej wyszczególnione, nie stanowią żadnych oryginalnych pomysłów, lecz wzorowane są na operacjach różnych istniejących banków. Ważną nowością jednak w takim programie byto-by połączenie wszystkich postaci kredytu przemysłowego w zadaniu jednej instytucji, która-by innym (ogólnym) celem kredytowym nie służyła i która-by wyłączała ze swych działań spaczne formy takiego kredytu. Szkic nasz do zupełnej dokładności nie rości sobie prawa. Rzuciliśmy myśl, która, gdyby sobie zasłużyła na uwagę kół fachowych i kompetentnych, mogła-by z ich strony doznać praktycznego rozbioru. Dodać jednak winniśmy, że i nam nie są tajne trudności, między innymi natury formalnej, na które urzeczywistnienie projektu natrafić może. Co do tych trudności jednak dziś liczyć się wolno z faktem innego kierunku, do jakiego będzie musiała zostać wprowadzoną działalność Banku państwa w związku z ostateczną reformą waluty. W tych warunkach można się spodziewać przyznania instytucji prywatnej, mającej na celu kredyt przemysłowy, większego zasobu przywilejów.

Co się tyczy nastęrczać się mogących ogólnych zarzutów, to pod tym względem wymagają propozycje nasze kilku teoretycznych wyjaśnień.

potecznych, oraz depozytów w naturze, przyczem instytucja centralna emitowała-by bilety obiegowe niewymienialne, lecz procentujące się i prawie równoznaczne z monetą. To są już bardzo daleko sięgające postulaty, których częściowem i ograniczonym urzeczywistnieniem były obligacje „Crédit mobilier.“ My jednak nie dochodzimy w swoich dezyderatach nawet do systemu obligacji o tak obszernym zakresie, jak ostatnie. Należało-by wszelako oprzeć prawo emisji obligacji na szerszych podstawach, niż to się obecnie praktykuje w bankach handlowych. Główną co do tego wskazówkę wyraziliśmy powyżej. Rozwinięcie praktycznych warunków pomijamy, idzie nam bowiem nie o szczegółowy program, który wymaga już dokładnego rachunku, lecz o samą zasadę, aby emisja obligacji poruszać się mogła w granicach, z jednej strony zawarunkowanych sumą kapitału zakładowego, a z drugiej ustosunkowanych do stanu czynnego banku. W granicach tych dwóch współczynników, emisja ta mogła-by być rozmaicie ustalana, zawsze jednak z zastrzeżeniem, aby obligacje nie przenosiły summy kapitału zakładowego. (*Przyp. autora*).

III.

Pierwsze wyjaśnienie odnosi się do dziedziny prawnej.

Naprzód musimy tu pokrótce zastanowić się nad *zastawem* z punktu widzenia obowiązującego u nas prawodawstwa, aby propozycje nasze pogodzić z przepisami kodeksu. Zaznaczyliśmy, że w ustawie proponowanego banku przemysłowego powinien być zastrzeżony przywilej poszukiwania należności, bez interwencji sądowej, z przyjętych pod zastaw przedmiotów (maszyn, towarów i t. p.), przyczem przywilej ten przysługiwać ma bankowi i w tych wypadkach, gdy rzecz zastawiona (maszyny, a w niektórych razach towary) pozostaje u dłużnika. Otóż, zastrzeżenie takie, ustawodawczo przyznane, było-by dlatego niezbędne, że znajduje się ono, pozornie zresztą tylko, w sprzeczności z obowiązującym u nas prawem.

Podług przepisów kodeksu francuskiego, utrzymanych i w naszym prawodawstwie, niewolno wierzycielowi rozporządzać zastawem nieruchomości, lecz tylko posiada on prawo wyjednania od sądu postanowienia, iż zastaw przy nim, aż do odpowiedniej wysokości, ma pozostać. Zarazem atoli prawo orzeka, iż do domów handlowych, upoważnionych do udzielania pożyczek na zastawy (co do których stosować należy przepisy, ich dotyczące), prawo to zastosowania nie ma. Dzięki temu, banki handlowe, lombardy i t. p., na mocy własnych ustaw, mogą, jak wiadomo, same rozporządzać zastawem, w razie niezapłacenia należności, którą zastaw poręcza. Dla banków niema więc trudności, o ile zastaw jest w ich posiadaniu. My jednak proponujemy prawo rękojmi na zastawie i rozporządzania nim, gdy on pozostaje u dłużnika. Tymczasem z kodeksowem pojęciem zastawu łączy się przepis, iż przywilej na zastaw nieruchomości służy tylko o tyle, o ile takowy oddany był wierzycielowi i pozostał u niego, lub u trzeciej osoby, na którą strony się zgodziły. To pojęcie *dzierżenia* zastawu pochodzi jeszcze ze starożyńskiego prawodawstwa o tak zw. „*pignus*“ (zakładzie) i jest bezwarunkowo instytucją przestarzałą i utrudniającą obroty. To też już w banku polskim praktykowały się pożyczki, wydawane na zastaw pozostający w rękach dłużnika, ale sądy w razach spornych nie przyznawały bankowi przywileju do takich zastawów, z przepisami kode-

ksu francuskiego niezgodnych, ponieważ nie były one zastrzeżone instrukcją szczegółową banku, która nadawała mu prawo pożyczek na zastaw różnych przedmiotów.

Instrukcja jednak, którą się rządzi tutejszy kantor Banku Państwa co do pożyczek, na zastaw zboża tutejszym rolnikom wydawanych, zrobiła już, pod względem pozostawania przedmiotu zastawionego w rękach dłużnika wyłom w przepisach kodeksu. Można więc z tego wnosić, że ustawodawczo i bankowi prywatnemu mógł-by zostać przyznany przywilej do zastawów, pozostawionych u dłużnika. Należałoby tylko jeszcze pogodzić taki przepis z prawnie przysługującymi innym osobom przywilejami, jak np. co do inwentarza (maszyn) — z przywilejem właściciela domu.

Drugim komentarzem pragniemy opatrzyć postulat nasz w zakresie oparcia pożyczek przemysłowych na podstawach długoterminowego, częściowo umarzalnego, kredytu. Taką formę pożyczek proponujemy powyżej dla większości kredytów, które mają być udzielane przez bank przemysłowy.

Forma pożyczek amortyzacyjnych bardzo mało stosowaną jest w naszych bankach handlowych. Ponieważ jednak w wielu wypadkach staje się konieczną, przeto przepisy o jednorazowej spłacie obchodzone są zwyczajem odnawiania weksli o zmniejszonej walucie, po uprzednim wykupieniu dawnych weksli. Jest to zawsze jednak procedura utrudniona, zawiła i kosztowna. Za granicą, w kredytowej praktyce prywatnych banków handlowych, daleko szerzej rozpowszechniły się już zobowiązania pożyczkowe, stopniowo umaralne w ciągu dłuższego okresu czasu, choć i tu stosowane są najwięcej jeszcze do kredytu hipotecznego. Teoria o kredycie zaleca postać pożyczek amortyzacyjnych nie tylko hipotecznych, lecz i innymi rękojmiami obwarowanych, jako odpowiadającą każdemu celowi częściowego i peryodycznego pokrywania większego długu, który zaciągnięty był na specjalne potrzeby. Niektóre teorie idą w swych dezyderatach tak daleko, iż wymagają, aby wszelkie pożyczkowe zobowiązania, prócz weksli ciągnionych, stopniowo były umarzone. Krańcowi reformatorzy kredytu — socjaliści, żądają nawet, iżby pobieranie procentu było dozwolone tylko z tem zastrzeżeniem, że jego zapłata zawsze umarza część kapitału, a po pewnym dłuższym czasie amortyzuje cały kapitał. Odrzucając tak radykalne innowacje, sądzimy jednak, że większość kredytów na cele przemysłowe powinna być oparta na zasadach amortyzacyjnych i że takie właśnie formy kredytu winny znaleźć szerokie uwzględnienie w organizacji banku przemysłowego, czy to w tych postaciach pożyczek, które wskazaliśmy, czy też w innych ogólniejszych obrotach.

Mogły-by tu wprawdzie zachodzić obawy, że taki kredyt przez dłużnika użyty zostanie nie na cele produkcyjne, lecz na konsumpcyjne (do czego przy jednorazowym zaciągnięciu pożyczki większej i wobec spłat ratowych, następuje się pokusa), ale ten zarzut miał-by też zastosowanie do amortyzacyjnego kredytu hipotecznego, który przecie już się utrwalił i obaw tych nie potwierdził. Kwestya zawsze więc redukuje się do rękojmi, wierzycielowi nadanych.

Praktyka przekonywa też, że, mimo trudnych warunków, na jakich u nas, przy braku prawidłowej organizacyi, może być uzyskanym kredyt długoterminowy, w rzeczywistości toruje on sobie drogę, a raczej toruje manowce. Bądź jak bądź, znajduje on zastosowanie, i to, ściśle biorąc, często nawet w formie amortyzacyjnej. Czem bowiem są istotnie w przeważnej części pożyczki prywatnych kapitalistów *minorum*, a nawet *majorum gentium*, do których to kredytów wielu przemysłowców uciekać się musi, często pod formą ratowych weksli z owym sakramentalnym, a tak zdradliwym warunkiem: „w razie uchybienia jednej raty i t. p.“? A jednak i taki kredyt, niewątpliwie nieprawidłowy i w założeniu zgubny, czasami podtrzymuje, a nawet podnosi liczne produkcyjne egzystencje, które do innej pomocy kredytowej bezskutecznie się odwoływały. Za regułę zaś uważać można, że tam, gdzie jest dobra wola, a tembardziej, gdzie są rękojmie, pożyczki, nawet tak uciążliwe dla dłużnika, wierzyciela nie zawodzą. Owoż zdawało-by się, że sprawdzenie moralnej odpowiedzialności i zawarowanie materialnych gwarancji było-by dla instytucyi kredytu przemysłowego w tym samym przynajmniej stopniu dostępne, co dla pokątnych finansistów. Zresztą, ujęcie kredytów w określone formy, o których wyżej mówiliśmy, mieściło-by już w sobie, jak się nam zdaje, należyte rękojmie.

Nakoniec trudno zaprzeczyć, że, choć instytucya, którą proponujemy, ma być tylko połączeniem w całość istniejących już tu i owdzie form kredytu przemysłowego, stanowiła-by ona poniekąd eksperyment, a jako taka może budzić wątpliwości, czy ma szanse praktycznego rozwoju. Można-by zarzucić temu pomysłowi, że, skoro specjalny bank kredytu przemysłowego nie znalazł dotąd urzeczywistnienia za granicą, nie ma on prawa bytu. Pomijamy już wzgląd, iż taki sposób argumentacyi nie wytrzymał-by dlatego krytyki, iż, gdybyśmy opierali się tylko na wzorach zagranicy, żaden sumorzutny postęp nie był-by możliwy. Dowodzenie to jednak było-by i nieściśle, bo właściwie wszystkie instytucje kredytu ruchomego miały popierać kredyt przemysłowy, a tylko z biegiem czasu przeistoczyły się na banki spekulacyjne,

na co się złożyły lokalne, niezdrowe stosunki spaczzonego ustroju kapitalistycznego. Skrępowanie ustawą działań banku w taki sposób, aby spekulacja była dlań niedostępną, wystarczyło-by, aby bank utrzymał się w granicach swego zadania.

Inny zarzut polegać może na tem, że każdy bank z natury swej przedewszystkiem musi uprawiać pole kredytu handlowego, a tylko za drugorzędne, dodatkowe operacje uważać może przemysłowe pożyczki. Pierwsze bowiem pole pozwala bankom obracać największą część funduszków na kupno wartości, łatwo zbywanych i dobrze procentujących, oraz na operacje skupu weksli, mające te same cechy; obie te operacje dostarczają też bankom największych zysków. Gdyby banki przechowywały w akcyach i długoterminowych zobowiązaniach dużą część swych zasobów, obroty ich utraciły-by elastyczność i fundusze, potrzebne na ciągłe wypłaty, mogły-by się unieruchomić, a więc wyczerpać. Takie zarzuty, które przewidujemy, wydają się pozornie dość poważnemi, ale i one pierzchają, gdy uprzytomnimy sobie następujące okoliczności: 1) że w powyższym naszym szkicu proponujemy pomieszczenie w akcyach dużej części, lecz zawsze tylko części funduszków; 2) że amortyzacyjne pożyczki, choć jako całość obrotu są długoterminowym kredytem, nie unieruchamiają funduszków, bo powodują ciągły i stały ich dopływ w formie peryodycznych rat; 3) że możność wypuszczenia obligacji dostarczała-by nadto bankowi specjalnych środków wypłat; 4) że skup weksli przemysłowych, w myśl § VII naszego szkicu, warunkuje lokatę znacznych funduszków w krótkoterminowych zobowiązaniach, i 5) że za niezbędny warunek urzeczywistnienia naszego planu poczytujemy znaczny kapitał zakładowy. Nakoniec dodać winniśmy, że powyższy program, mający na celu specjalnie przemysłowy kredyt, nie wyłącza jednak wkładów, rachunków bieżących i t. p., t. j. tych operacji, które bankowi pozwalają rozporządzać obcemi funduszami. Cały punkt ciężkości operacji musi atoli spoczywać na wyszczególnionych przez nas obrotach kredytu przemysłowego, gdyż współrzędne połączenie pożyczek handlowych i przemysłowych zawsze w praktyce daje przewagę pierwszym, jako łatwiejszym i zyskowniejszym.

Nie ulega też wątpieniu, że, gdy trzeba tu torować drogę nowym kierunkom, operacje takiego banku, zwłaszcza z początku, mogą być mniej korzystne, choć przy przezornej działalności, ani niekorzystnemi, ani zbyt ryzykownemi nie będą. W każdym razie przyznajemy, że warunkiem do urzeczywistnienia myśli banku przemysłowego musiałoby być także i poczucie obowiązku obywatelskiego ze strony założycieli.

Nie była-by to działalność filantropijna, lecz, bądź co bądź, taka, która-by miała źródło w świadomości, że przemysł, jako ważna społeczna dziedzina, wymaga szczególnej opieki kredytowej.

Potrzeba tu jeszcze śmiałej inicjatywy, która jest nieodłącznym warunkiem każdej nowej organizacyi. Uprzedzenia i obawy towarzyszą wszelkiemu zapoczątkowaniu, a nigdzie silniej nie występują, jak właśnie w sferze interesów handlowych, gdzie rutyna uchodzi za główną rękojmię prawidłowości. Dość przypomnieć, że, gdy w Anglii zaczęły powstawać banki akcyjne, napotkały one wśród ogółu najsilniejszą opozycyę. Z całej współczesnej literatury handlowej, między 1830 i 1840 rokiem, a nawet i później, przebija poczucie obawy, że bankom takim niedostaje wszystkich warunków, potrzebnych do bankierskich operacyi. Dowodzone, że działalność bankierska wymaga skupienia wszystkich funkcyi w rękach jednej osobistości, która-by czuwała bezustannie nad wszystkimi szczegółami i wnikała bez przerwy w każdą tranzakcyę, a nadto wymaga orzeczeń stanowczych, często natychmiastowych, oraz w wielu wypadkach nadzwyczajnej dyskrecyi. Z tych pobudek do przeciwników banków handlowych należał i Robert Peel, który uważał je za coś tak niebezpiecznego, że aktem z 1845 roku zakładanie ich uwarunkował nader uciążliwymi ograniczeniami. Mimo to, banki te zakwitły i rozpowszechniły się w całej Europie, a nawet więcej, uchodzą już teraz za machinę tak doskonałą, że świat handlowy i niektórzy ekonomiści nie widzą po-za niemi prawidłowych instytucyi kredytu.

To też i tym razem trzeba przełamać rutynę, trzeba nabrać wiary do eksperymentu, który na tem polega, że w projektowanej przez nas instytucyi punkt ciężkości winien być przeniesiony z krótkoterminowego handlowego kredytu na operacye pożyczkowe o rękojmiach, spoczywających na przemysłowej działalności dłużnika i na tych zasobach, jakimi fabryka rozporządza.

Oto wszystko, co mieliśmy do powiedzenia. Chodziło nam po części o poruszenie konkretnego planu banku przemysłowego, nad którym może warto-by w tej chwili znowu pomyśleć, więcej zaś jeszcze, o rzecz bliższą naszym sił, o przykładowe stwierdzenie, na czem działalność takiej instytucyi polegać-by musiała. Wywody niniejsze miały na celu: skojarzenie w system zasadniczych form kredytu przemysłowego, które dotychczas w pewnem rozproszeniu tu i owdzie istnieją, oraz rzucenie światła na cały problemat tego kredytu, o którym w szerszych, ni fachowych kołach, niedość jasne panują pojęcia. Dodamy, że, próbując

powyżej skreślić w najogólniejszych zarysach szkic projektu banku przemysłowego, dalecy byliśmy od przekonania, iż dokładnie zdołaliśmy udeterminować w nim zarówno wszystkie punkta działalności podobnej instytucji, jako też warunki, gwarantujące bezpieczeństwo jej operacji. Takiego znaczenia nie mógł mieć nasz zarys projektu, który opiera się raczej na wskazaniach z teorii, nie na praktycznem objęciu wszystkich stron przedmiotu.

ST. A. KEMPNER.

KRONIKA PARYSKA.

W końcu listopada odbyła się doroczna uroczystość w Akademii francuskiej, rozdanie nagród za uwieńczone prace. Z pomiędzy czterechset przeszło dzieł, nadesłanych na konkurs, sześćdziesiąt sześć otrzymało nagrody. Sekretarz Akademii, prof. Boissier, nie trzyma się zasady poprzednika swego, Doucet'a. Tamten wymieniał skrupulatnie wszystkich laureatów, każdemu poświęcał chociażby krótką wzmiankę. P. Boissier przeciwnie, wybiera kilkunastu najcelniejszych, mówi o nich obszernie, innych zaś pomija milczeniem. Zwróciło to uwagę naszą, że nie wspomniął ani jednej laureatki, a przecież nie zabrakło ich na tegorocznym konkursie.

Najstarszą nagrodę, ufundowaną razem z Akademią, zwaną *prix d'Eloquence* otrzymał współzawodnik, który najświetniej obsypał kwiatami wymowy ogłoszoną na konkurs osobistość. Zmieniło to się z czasem. Dziś miejsce pochwał zastąpiła krytyczna rozprawa, objęta w ściśle oznaczonych ramach. Przedmiotem konkursu tegorocznego był Ronsard, koryfeusz plejady z epoki odrodzenia. Dwudziestu sześciu kandydatów nadesłało swe prace. Z pomiędzy tych sąd wyszczególnił dwóch: Augusta Devaux i Alberta Thibaudet. Pierwszy traktuje rzecz stylem wytwornym, z całą ścisłością krytyczną, ale zimno, bez życia. Thibaudet przeciwnie, z najwyższym zapalem mówi o poetach tej epo-

ki. Podnosi w Ronsardzie wielkie bogactwo rytmów, oryginalność w stylu i obrazach; zowie go pierwszorzędnym mistrzem w poezji francuskiej, twórcą nowej epoki w literaturze. Ody jego, jak mówi, większy sprawiły przewrót, niż w późniejszych czasach zjawienie się Kornelowskiego Cyda i Medytacji Lamartine'a. Sąd rozdzielił nagrodę między dwóch autorów, którzy dopelniają się wzajem. Obie ich prace, zebrane w całość, złożyły-by istne arcydzieło.

Jako temat do przyszłego konkursu na rok 1898-my, ogłoszono rozprawę krytyczną o pracach Michelet'a.

Konkurs fundacyi *Monthyona*, z zastrzeżeniem „pożytku dla obywateli“, pobudził liczne współzawodnictwo. Nadesłano w tym roku sto ośmdziesiąt dzieł rozmaitej treści. P. Boissier zatrzymuje się tylko nad uwiecznioną pracą Rajmunda Thanin, w której autor porównywa *rozprawę o powinnościach Cycerona z rozprawą ś. Ambrożego* tejże samej treści, a zarazem pokazuje podobieństwo i różnicę w traktowaniu jednego przedmiotu w punktach sprzecznych. P. Thanin daje poznać, co chrystyanizm przyniósł nowego światu i co stanowi jego samoistność. Zaznaczone podobieństwa świadczą, że święty Ambroży nie gardził wcale mądrością starożytnych, brał z niej to, co się nie sprzeciwiało jego doktrynie, a tem samem nie dopuścił zupełnego zerwania pomiędzy epoką starożytną, a nowoczesną. Autor wykazuje zatem dwa różnorodne żywy moralności religijnej w księdze świętego Ambrożego: połączyły się tam, ale nie zlały w jedność; są, mówi on, chwile w pasmie wieków, kiedy cnoty starożytne wypływają na powierzchnię,—tak było w epoce odrodzenia.

Na konkurs poetyczny fundacyi Archon Desperouse'a, czterdziestu pięciu poetów nadesłało swoje utwory. Wieniec akademicki przypadł Karolowi Pomarols za zbiór p. t.: *Regards intimes* (Wejrzenia wewnętrzne). Wybór ten zasługuje na uwagę, pokazuje bowiem jakąś dążność do nowego odrodzenia w duchu poezji klasycznej. Pomarols mieszka we Francji południowej, gdzie Rzym panował wcześniej, aniżeli na północy, i gdzie pozostawił wyraźniejsze ślady. Rozmiłowany w przyrodzie, poeta, patrzy na nią okiem starożytnych, bada z upodobaniem jej myty i symbole. Drobne jego poemaciki, pełne wdzięku i prostoty obok formy wytwornej, zjednały mu wielką nagrodę.

Poezya, rzecz można, tryumfowała na tegorocznym konkursie. Inną, nowo-ustanowioną nagrodę, którą Akademia rozporządza co lat pięć, naprzemian z innymi działami Instytutu, otrzymał Leon Diers, nieznamy prawie szerokiej publiczności. Nie szukał on nigdy rozgłosu, bo go tu i nie znalazł, ale wyższe umysły oceniły pieśni jego, nacechowane powagą i słodyczą, wyśpiewane rytmem smętnym, dziwnie melodyjnym.

Jeśli odkrycie Leona Diers'a było niespodzianką dla ogółu, większy jeszcze podziw sprawiło odgrzebanie z przeszłości innego poety, o którym świat zapomniał. Był nim Trystan l'Hermite, poeta z pierwszej połowy XVII wieku. Wydobył go z pomroku filolog Bernardin, poświęcił mu wielki tom o sześciuset stronicach; w tej obszernej pracy rzucił światło na dzieje literatury z czasów Ludwika XIII go.

Ów Trystan, awanturnik, szaleniec i włóczęga, nie był w swoim czasie typem wyjątkowym; wielu takich, jak mówi biograf, można było wtedy naliczyć. Urodzony w domu szlacheckim, od młodu wywiczony w naukach, przyszedł do takiej nędzy, że pisał panegiryczne ody i sonety, aby zdobyć kęs chleba. Był to jednak poeta niepospolitego talentu. Tragedya jego, „Mariamne,” używała niemałej wziętości; grywano ją w teatrze do początku ośmnastego wieku. Całym nieszczęściem dla poety, że przyszedł nie w porę. Sława Kornela i Rasy na pochłonęła całkiem jego pamięć.

Od po ezji przejdziemy do historii. Najwyższa nagroda *Gobert* przypadła panu Hanoteau za dzieło o kardynale Richelieu. Praca ta w trzeciej części dopiero ukończona; autor dotyka zaledwie początkowych działań wielkiego polityka. Przedstawia nasamprzód stan królestwa, w chwili, kiedy biskup z Luçon, zanim ujął w rękę sprawy państwa, przebiega wzdłuż i wszerz całą Francją, zatrzymuje się nakoniec w Paryżu w roku 1614. Mamy tu przed oczyma ów Paryż, najeżony mnóstwem szpiczastych dachów, poprzecinany wązkiemi, cuchnącemi błotem uliczkami. A przecie cudzoziemcy odwiedzają tłumnie gród nadsekwański, zachwycają się nim, zowią go z Montaignem chwałą Francyi, jedną z najcelniejszych ozdób świata.

Niedość, że p. Hanoteau ukazuje czytelnikom wsie i miasta, ale daje poznać, jak w nich upływa życie, co czynią, co myślą ci wielcy panowie, ci księża, ci mieszczanie, ci chłopci, których tam co krok napotyka; zaznacza ich wzajemny stosunek, ich zależność od władzy. Wyjaśnia początek rządzących nimi instytucyi i zmiany już dokonane. Na czterystu stronicach zebrana tu cała historia Francyi. Rzekłby kto, że ta różnaitość opisów, ten blask kolorytu w obrazach, żywy i dramatyczny sposób przedstawienia zawilych pytań, skierowane tu głównie, aby działać na wyobraźnię, a przecież ważna wypływa z nich nauka. Widzimy tu, z jaką stałością, i z jak nieprzerwanym ciągiem Francya po wszystkie czasy idzie zawsze do jednego celu, jak instynkt narodowy popycha ją w nieprzeparty sposób do łączenia się z silnie ześrodkowaną władzą, zapewniającą jej przedewszystkiem spokój i jedność, te dwa warunki bytu narodowego. Słusznie mówi p. Hanoteau, że niema piękniejszego zjawiska w historii, nad widok tych milionów

ludzi, osiadłych na jednej ziemi, gotowych ulegać, dla wytworzenia wyższej siły, jaką daje połączona wola i ofiara jednostek.

Chwała Richelieuu, dodaje autor, że pracował dla tak wielkiego celu. Pokazuje potem, jak się do tego przysposabiał. Od młodych lat przewidywał on wielkie swoje zadanie. Młodszy syn ubogiej rodziny, przeznaczony do stanu duchownego, zaparty w małoznaczącej dyecezyi, układa już plany na przyszłość. Jakoż w trzydziestym drugim roku życia zostaje ministrem, odrazu występuje stanowczo, wraca do tradycji Henryka IV; przemawia do nieprzyjaciół tak zewnętrznych, jak i wewnętrznych, językiem, jakiego od dawna nie słyszeli. Raz po raz popełnia błędy, nie umie zapanować nad sobą. Porywczy, obraża jednych, drugim ufa zbyt szczerze. W pół roku strącony z wysokiego stanowiska, usunięty od rządu, korzysta z twardej próby. W ośm lat potem występuje znów na widownię, jako doświadczony mąż stanu; geniusz jego przyświeca pełnym blaskiem. Na tem kończy się drukowana część dzieła.

Inną wysoką nagrodę w dziale historycznym otrzymał p. Texte za pracę p. t.: „Jan Jakób Rousseau i początki kosmopolityzmu literackiego.“ Sekretarz Akademii, podnosząc to dzieło, zastrzega tylko niewłaściwość tytułu. Francya, jak mówi, nie zamykała się nigdy w geniuszu własnym, nie usuwała się od obcych wpływów, z tą tylko różnicą, że kiedy dawniej oddziaływały na nią literatury ludów południowych, od wieku XVII wpływ północnych literatur coraz to silniej czuć się dawał, aż nakoniec stał się groźną powodzią.

P. Texte opowiada, skąd to przyszło; sięga do czasów odwołania dyktu nantejskiego, który, jak wiadomo, zmusił protestantów francuskich do osiedlenia się w Anglii, Hollandyi i Niemczech. Ci emigranci w broszurach polemicznych i dziennikarskich rozprawek obznajamiali ziomków ze stanem literatury w krajach, które im dawały przytułek. Tym sposobem obce idee zaczęły napływać do Francyi. Wkrótce do tego wnięszala się i moda. Wyższe warstwy społeczne naśladowały zwyczaj angielskie, czytały z zachwytem pisarzy i poetów angielskich. Zniecierpliwiony tem Ludwik XV, utyskiwał, że Anglicy przewrócili ład w jego królestwie. Ale moda zmieniła kierunek: wiatr zawiął od strony Niemiec. Zwrot ten potężnie ustalił J. J. Rousseau: on wprowadził geniusz germański w literaturę francuską. P. Texte w obszernem i gruntownem studyum o pracach filozofa genewskiego wykazał to w niezaprzeczony sposób.

Z wydziału badań historycznych Akademia zwróciła uwagę na pracę p. Lanza de Labardie o „panowaniu Francuzów w Belgii.“ Autor, opierając się ściśle na archiwach narodowych, pokazuje, dlaczego dwudziestoletnie rządy francuskie stały się tak wstrętnymi Belgijczykom.

Kiedy Belgia anektowana została do Francji w roku 1795, nie miała powodu do niechęci, nigdy bowiem nie była niepodległą. Belgowie mówili po francusku, czytali dzieła słynnych autorów francuskich, żyli duchem ościennego narodu. Aby ich zniewolić, wypadało tylko Francuzom uszanować ich obyczaje, ich tradycje, ich religijną wiarę. Ale Francuzi obrali drogę wprost przeciwną. Nie dosyć, że Belgijczykom narzucili swoje prawa i formuły administracyjne, ale nasłali im całą chmarę urzędników, którzy rozdrażniali na każdym kroku miejscową ludność. Widząc przywiązanie do wiary ojców, uderzyli naprzód w tę stronę: konfiskowali dobra kościelne, zamykali klasztory, zabraniali bezczynności niedzielnej, zarówno jak pracy w dni „dekady,” przeznaczone na wypoczynek; prześladowali tych, którzy słuchali mszy w dni świąteczne, jak i tych, co unikali cywilnych obchodów. Słowem, obudzili tak wielką nienawiść przeciw Francuzom, że czas nie zatarł jej do szczętu. Książka p. Labardie smutna do czytania, ale bardzo nauczająca; wytyka bowiem dawne błędy i uczy, jak ich nadal unikać (mianowicie w Algierji).

Weselszą myśl budzi inne uwieńczone dzieło' Gastona Meaugras o głośnym niegdyś księciu Lauzun. Jest to po prostu zbiór anegdot, ale i anegdoty, umiejętnie wybrane, przedstawiają tę stronę dodatnią, że malują dzieje danej epoki, lepiej nieraz, niż poważne wywody. Lauzun należał do najciekawszych typów XVIII wieku. Lekkomysłny, błyszczący, sypał dowcipne słowa, gonił za powodzeniem. Na dworze wersalskim przebiegały z ust do ust jego żarty. Gdy zwiedzał zagraniczne stolice: Londyn, Warszawę, Berlin, wszędzie wyprawiano mu uczy, każdy chciał go widzieć i słyszeć. W oczach wszystkich był on przedstawicielem kraju, którego szaleństwa i zalety w owym czasie zachwycały Europę. Jakoż przedstawiał on najwierniej tę część społeczeństwa, którą za czasów pani de Sevigné zwano całą Francją.

Obznajomiony z koryfeuszami tej wesołej epoki, p. Meaugras zapytuje, czy Francuzi dzisiejsi, z całym rozmysłem i powagą swoją, więcej wari od tamtych. „Byli oni szaleni, czy my dziś tacy mądrzy?” pyta, i nie wie sam, co na to odpowiedzieć. Odpowiada za niego sekretarz Akademii, Boissier; powtórzmy jego słowa: „Nie wiem, o ile zmądrzeliśmy dzisiaj, ale trudno zaprzeczyć, że tamci byli szaleńcami. Świadczy o tem książka p. Meaugras. Szaleni byli, bo nie widzieli groźnego niebezpieczeństwa, lub widząc je, nie chcieli go oddalić. Szaleni byli, bo wobec niechybnej walki, składali naprzód oręż, przyjmowali z zapalem najsprzeczniesze im opinie, zrzekali się wiary, która stanowiła ich siłę, zachowali tylko przesady i nadużycia. Dzieło p. Meaugras najlepiej daje nam poznać, jakim sposobem to społeczeństwo, tak wesołe i tak lekkomyślne, znikło odrazu, jakby teatralna dekoracja.”

Inne, uwieńczone również w tym roku dzieło, z innej strony pokazuje społeczeństwo z końca XVIII wieku. Hr. de Ségur poświęcił je pamięci swego naddziada, marszałka Francji i ministra wojny za czasów Ludwika XVI. Marszałek należał do rodziny, która strzegła wiernie czystości obyczajów, szanowała cnoty rycerskie i nie usuwała się nigdy od pełnienia powinności. Mężowie przelewali krew w służbie królom, niewiasty nie miały czasu uganiać się wiecznie za słodyczami życia. Byli zatem ludzie poważni, były ucziwe stadła w tem społeczeństwie, tak na pozór błyszczącym, lekkim i skażonym. Pięknie przedstawia się postać marszałka; on-to w swoim czasie przywrócił karność w wojsku i zreorganizował armię. Pamiętał o tem pierwszy konsul i okazał mu wdzięczność. Dnia jednego, otoczony oddziałem gwardyi, spostrzegł z dziedzińca tuilleryjskiego pałacu przechodzącego opodal starego marszałka. Na ten widok rozkazał uderzyć w bębny i oddać mu honory wojskowe. Pragnął w ten sposób podziękować ministrowi Monarchii, że przygotował armię dla Rzeczypospolitej.

Nagrodę fundacyi *Vitet*, za dzieło pożyteczne dla literatury, Akademia przyznała p. Bazin, za opis podróży, pełen życia i oryginalności. Francuzi, o ile dawniej nie lubili oddalać się od kraju, o tyle dziś upodobali sobie dalekie podróże po świecie. Sypią się też opisy różnych krajów, lecz te po większej części bezbarwne, lub przesyczone erudycją. Bazin pomija starodawne pomniki, nie bada tego, co niegdyś było, maluje wiernie to, co widzi w warunkach dzisiejszego życia. Naprzód obserwował on ludzi w obcych krajach, potem postanowił nie szukać ich daleko, ale ograniczyć się dokładnem poznaniem ich w obrębie Francji. Obejrzał się więc wokoło siebie, i wszystko, co wpadło mu w oko, opisał w książce, nadzwyczaj zajmującej. Umie on patrzeć, umie pisać. Najwycyzajniejszy wypadek: polowanie, czy połów ryb, spotkanie na drodze żelaznej, czy rozmowa u stołu z podróżnymi, wszystko pod jego piórem zamienia się w scenę pełną barwy. Omija on wielkie miasta, znane powszechnie, w małych zwiedza nasamprzód stare dzielnice, rad zagląda do starych domów, odkrywa w nich oryginalne postacie, te maluje z niepospolitą werwą. Z większem jeszcze upodobaniem przebiega pola, rozmawia z włościanami, zna ich dobrze, mówi o nich ze szczerem współczuciem. W tych wycieczkach spotyka najczęściej poczciwych ludzi, opowiada najdrobniejsze przygody z ich życia. Książka jego wielkie znalazła powodzenie; widzimy stąd, że aby zająć czytelnika, nie potrzeba wyszukiwać szpetnych przedmiotów, malować skażone uczucia. „Miejmy nadzieję,” mówi sprawozdawca z konkursu, „że zajmujące to dzieło da niejednemu pisarzowi pobudkę do zbadania i odkrycia nam pięknej strony ludzkości.”

Na wypadkach z ostatnich czasów osnuł komendant Rousset strategiczną pracę o wojnie w 1870 roku, nagrodzoną w Akademii. Autor, profesor w szkole wojskowej, ułożył książkę z kursów swoich. Znaczący wielką wagę przywiązują do tej pracy, a ci nawet, którym obcy militarizm, podnoszą bezstronny pogląd autora i głęboką wiarę w przyszłość Francji. Wiarę tę opiera p. Rousset na młodym pokoleniu, w którym, jak mówi z pocięciem, nie wygasł bynajmniej zapał do rycerskich czynów i poświęceń.

P. Boissier, z powodu wielkiej liczby dzieł nagrodzonych, większą część ich pominął milczeniem.

Wszystkie nagrody tegoroczne wynoszą 87,200 fr. Dodajmy tu, że cztery inne Akademie, składające Instytut, rozporządzają też co rok znaczną summą. Dowód to wielkiej szczodrości Francuzów w sprawie nauki i literatury.

Teatr Odeonu przedstawia na tygodniowych porankach tragedye klasyczne starożytnych poetów. Każde przedstawienie poprzedza naukowa konferencya. Niedawno, przy odegraniu tragedji Eschylosa „Persowie,” uproszona przez dyrekcję pani Dieulafoy wystąpiła z pięknym przemówieniem. Łatwo pojąć, jak się wywiązała z zadania głosna podróżniczka, która dzieliła z mężem archeologiczne prace w Persyi, a wytrawnym piórem opisała starożytną Suzę, stolicę Daryusza i Kserksesa.

Jeszcze skały Salaminy nie ociekły ze krwi stoczonej, jeszcze okrzyki tryumfu brzmiały w powietrzu na cześć Temistoklesa, a serca oswobodzonych Ateńczyków drgały pełne radości i dumy, kiedy Eschylos przedstawił na scenie tragedję „Persowie.” Poeta, jak wiadomo, z równą siłą władał orężem, jak tworzył nieśmiertelne rymy. Walczył on na polach Maratonu, walczył i pod Salaminą.

Jakie to było — mówi prelegentka — uniesienie greckiego ludu, kiedy zmierzył całą doniosłość zwycięstwa swego, na wieść o odwrocie Kserksesa, o przejściu Helespontu, o popłochu nieprzeliczonej, tak groźnej, armii. Zapał ogarnia wszystkie serca, a Grecya znajduje genialnego tłumacza własnych uczuć w poecie, potężnym, jak pokolenie, którego jest żywym wyrazem.

Eschylos przedstawia rzecz w Persyi. Rozpacz zwyciężonych nowym będzie tryumfem dla pogromców. Dramat odbywa się w Suzie, przy grobie Daryusza.

Zgromadzeni tu starcy trzymają straż nad Persyą w nieobecności monarchy. Smętnym chórem opiewają wyprawę w dalekie kraje, dokąd młody ich pan, niesyty chwały, poprowadził azyatyckie zastępy. Słowa ich objawiają złowrogie przeczucia.

Ukazuje się Atossa, córka Cyrusa, wdowa po Daryuszu, matka Kserksesa. Chór składa jej cześć boską. I ona czuje tajemniczą trwożę. Miała okropny sen tej nocy. Bada starców: serce matki drży na wspomnienie syna.

Podczas, gdy obecni wyrażają dotyczące ich obawy, zjawia się długo oczekiwany goniec. Pędzi w cwał, nie staje przed królową, nie przemawia do starców. Ogłasza katastrofę Suzie, Persyi, Azyi całej. Zrazu wszyscy oniemieli, jak ugodzeni piorunem, po chwili gwałtowna rozpacz objawia się jękiem, urywanemi słowy, w końcu kłatwą na Ateńczyków.

Goniec, zagadniony przez Atosę, opisuje bohaterską walkę, w której Persowie padli ofiarą. W miarę, jak opowiada tryumfy, a potem klęski pokonanych, szal ogarnia umysły.

Zrozpaczeni starcy wywołują z grobu wielkiego króla Daryusza, małżonka Atossy, ojca Kserksesowego. Nikt mędrszej nie udzieli im rady. Królowa składa ofiarę. Na błagalny głos starców, ukazuje się cień zmarłego. Nie podziela on próżnych uczuć ludzkich, nieszczęście zadziwić go nie może, zdobył już spokój pozagrobowy. W klęskach, wyliczonych przez Atosę, Daryusz widzi spełnienie wyroków. Ręka bóstwa zaciężyła nad Persami. Przypomina klęski Maratonu, zapowiada Plateę i niechybny upadek. Zaleca Persom umiarkowanie i roztropność, odwodzi ich od nowych podbojów. Nakoniec widmo zstępuje do grobowca.

Podczas, gdy chór opiewa dawne tryumfy Daryusza nad Grekami, przybywa Kserkses, smutny, ponury, przygnębiony klęską. Wódz tyłu zbrojnych zastępów, król, którego potęga nie miała granic, mocarz, na którego imię drżała niegdyś Grecya, przybywa sam jeden, bezbronny, złamany boleścią. Na wyrzuty wiernych odpowiada tylko łkaniem i jękiem. Ukazuje im próżny kołczan, niema w nim ani jednej strzały. Oto wszystko, co mu z dawnej potęgi pozostało.

Pani Dieulafoy, obznajomiona dobrze ze sprawami Persyi, wskazuje liczne anachronizmy w tragedyi Eschylosa. Nie czyni mu z tego zarzutu. On wyrwał z duszy Greków to, co ich najżywiej obchodziło w chwili tryumfu, i poprzestaje na tem. Nie wspomina wcale Temistoklesa, pogromcy Persów pod Salaminą, nie chce obrażać bitnego zastępu, który przyczynił się do zwycięstwa.

Wiedzieli dobrze Grecy, że grób Daryusza nie był w Suzie, ale w Istachos, miejscu oddalonym stamtąd o dwa miesiące drogi.

Podróżniczka zna ten grobowiec, z pozostałych szczątków odtwarza jego całość. „Na opość, wygładzonej ręką ludzką, mówi, wyrzeźbiono fronton pałacu. Tam, na tronie podtrzymywanym przez dwudziestu czterech Satrapów, przedstawiony monarcha, z łukiem w ręku, przed ołtarzem, na którym płonie święty ogień. W powietrzu unosi się geniusz królewskości, nieopodal słońca i księżyca.

Do wnętrza prowadzą drzwi, tak wysoko pomieszczone, że same tylko skrzydlate ptaki mogą ich dosięgnąć. Tam, w wyżłobieniu skały, kości monarchy, oddzielone od ciała, znajdują wiekiusty spoczynek.

Daryusz wznosił sobie za życia ten grobowiec. Gdy dokończono budowy, zaprosił ojca i matkę, aby poznali ten cud świata. W dniu naczynym, starzy rodzice zasiedli w koszu. Magowie, ustawieni na szczycie góry, mieli wciągnąć linami ów kosz do drzwi grobowca. Kiedy wnieśli na dwadzieścia stóp po nad poziom, ogromny wąż wypełzał z załomu skały. Na ten widok Magowie wypuścili z rąk liny, rozbiegli się, kosz tymczasem runął na ziemię. Uniesiony gniewem, Daryusz, rozkazał pochwyć czterdziestu Magów i powbić ich na pale przed własnymi oczyma.

Prelegentka inny podnosi anachronizm. Na scenie występuje Atossa, z odsłonięciem obliczem, żali się wobec starców. Tymczasem królowa matka żyła w haremie całkiem odosobniona. Znano imię jej, ale nikt jej nie widział. Gruby mur oddzielał ją od świata, oblicze osłaniał gęsty welon, oko ludzkie nigdy jej nie dostrzegło.

Powrót Kserksesa do Suzy sprzeczny zarówno z prawdą historyczną. Poeta ukazuje króla zrozpaczonego, z dawnej potęgi pozostał mu tylko pusty kołczan. Genialny to pomysł, mówi prelegentka, ów Kserkses, na wpół szalony z bólu, opuszczony przez bogów, stracony z majestatu przez walecznych synów Hellady. Serca Ateńczyków rosły na ten widok, ale jakże odmienna była rzeczywistość.

Pokonany Kserkses dopada okrętów, ratuje się ucieczką. W drodze porzuca namioty purpurowe, stół jego nie błyszczy od złota. Powierza synów Artemizie, pięknej królowej Karyi, wyprawia ich do Efezu. Ale skoro stawia stopę na ziemi azyatyckiej, podnosi pyszną głowę; ukazuje się oczom Persów, jako mocarz wszechpotężny, jako zesłaniec niebios. Ledwie że przepłynął Hellespont, spotyka upokorzonych Satrapów, rozwija wschodni przepych. Mija pomału piękną Jonię, zatrzymuje się w Sardes. W kilka miesięcy potem przybywa do Suzyany, poi z rozkoszą oczy widokiem jej bogactw, a kiedy dostrzegł wieże czarodziejskiego pałacu i wysokie blanki, błyszczące emalią, zapomina o klęsce, czuje się, jak dawniej, panem świata.

Tu prelegentka rozwija cudny obraz kraju, który zwiedziła przed dziesiątkiem lat, i królewskiego akropolu, z którego odgrzebanych szczątków złożyła pyszną całość.

„Naprzeciw Kserksesa przybyli do Suzy przedstawiciele krajów ujarzmionych i hołdowniczych: Partowie, Etyopy z czarną skórą i kędzierzawym włosiem, Armeńczycy, odziani w baranie kozuchy, Arabcy, Medy, Fenicyanie; wszyscy, pochyleni do ziemi, głosili chwałę Pana.

„Mocarz zasiadł na tronie ze srebra i kości słoniowej. Pod złocistym baldachimem, w jednej ręce trzyma berło, w drugiej wiązkę lillii. Przez wonny dym kadzidel widać tłum dostojników i dworzan. U stóp tronu defilują Magowie. Ziemianie, wojsko i roje cudzoziemców, znoszą mu daniny, składają czołobitność.

„Pomiędzy prawdą a fikcją — dodaje prelegentka — ogromna zachodzi różnica. Eschylos miał słuszność, budując na fikcyi. Co innego historia, co innego dramat. Historia powienna uczyć; dla dramatu dość, gdy porusza serca, gdy zapala umysły. Pomimo tytułu, „Persowie,“ to tragedia czysto grecka. Stworzył ją poeta pełen zapalu, który pragnął własnym żarem rozplomienić serca współziomków.“

Ten nieporównany poeta był zarówno walecznym żołnierzem. Na grobowym napisie własnego układu, Eschylos, dumny z zapasów przeciw nieprzyjaciółom Hellady, nie wspomina tryumfów, odniesionych na polu dramatycznym. W tych słowach brzmi ów napis:

„Grób ten zamyka Eschylosa, syna Euforyona. Zrodzony w Attyce, zmarł na żyznych polach Gela. Med z długim włosiem i sławny las Maratonu świadcząc o jego waleczności.“

Pani Dieulafoy zakończyła konferencyę zwrotem do ziomek swoich. „Wsluchujcie się pilnie w dzieło bohatera, a jeśli chcecie zrozumieć zapal jego starożytnych słuchaczów, niech w sercach waszych zbudzi się nadzieja, że kiedyś zrodzi nam się nowy Eschylos, że pomysłne losy przyszłej Francyi pozwolą poecie po odniesionem zwycięstwie podjąć lirę złotą i opiewać niedolę pokonanych nieprzyjaciół.“

Wśród wielu dzieł historycznych z końca zeszłego wieku, wydanych pod firmą Plon, ukazały się niedawno bardzo ciekawe pamiętniki, p. t.: „Rodzina Wandajska podczas wielkiej wojny (1793—1795.“ Autor ich Boutillier de S. André, zmarły przed laty sześćdziesięciu, nakreślił je dla licznej rodziny; dotąd spoczywały w rękopisie, dziś dopiero znalazły wydawcę.

Urodzony w roku 1781, autor miał zaledwie lat trzynaście, kiedy ukończył się krwawy dramat współczesny pod jego oczyma. Ale wśród tych gwałtownych wstrząśnień, dzieci przedwcześnie dojrzewały. Mały Boutillier, najstarszy z czworga rodzeństwa, przepisywał notatki, które ojciec kreslił z dnia na dzień, ukryty w ciemnym zakątku domu, lub też w gęstwinie leśnej, gdzie z żoną i dziećmi szukał ochrony przed pogonią. Te notaty spłonęły podczas pożaru: syn, nieodstępny towarzysz ojca, zapamiętał spisane przygody, i wiernie powtórzył je z pamięci Nic okropniejszego, jak obraz tej dwuletniej wojny domowej. Obie strony, pijane krwią, uniesione szałem, z równą walczyły zaciętością. Rodzina Boutillier, od wieków osiadła w Wandei, przywiązana do wiary ojców, opierała się z całą siłą zapaleńcom, którzy z mieczem, głównią pożarną, przynosili nowy porządek. Nie będziemy za autorem powtarzać krwawego dramatu, dodamy tylko, że z objęć trzynastoletniego chłopca wydarto naprzód matkę, następnie ojca: pierwsza umarła w więzieniu, drugiego głowa spadła pod gilotyną w mieście Nantes. Nieszczęśliwe sieroty tułały się, wszelkiej pozbawione opieki. Z najbliższych krewnych młodszy wytoczyli krew, starsi pomarli, wypędzeni z własnych ognisk. Obraz to przerażający. Autor maluje rzecz z godnym podziwieniem spokojem. W końcu dzieła zamieszczone urzędowe dokumenta poświadczają autentyczność opisanych wypadków.

Historja wojny domowej w Wandei, dotąd, jak utrzymują, niedostatecznie zbadana, znalazła w tych czasach niemały rozgłos. Wydane pamiętniki komendanta artylerji Bravais, Wspomnienia pani de Bouère, pamiętniki Jerzego Cadoudal, wreszcie pamiętniki markizy de la Rochejacquelin, wydane świeżo z oryginalnego rękopisu, wszystko to rzuca nowe światło na tę ważną w dziejach epokę. Dodajmy tu dzieło Ernesta Daudet p. t.: „La police et les Chouans sous l'Empire,“ uwieńczone w tym roku przez Akademię francuską.

Jak zwykle w epokach przejścia, poeci wyszukują dziś nowych dróg, aby wyrobić sobie samodzielne stanowisko. Wśród prądów, działających na młode umysły, daje się czuć jeden, najmniej spodziewany. Powiew od starożytnej Hellady objawia się dziś dość wyraźnie. Jest-że to poprostu fantazja chwilowa, czy też przedświt jakiegoś nowego renesansu, trudno dotąd odgadnąć. Widzieliśmy już na sędzijskim konkursowym znaczną nagrodę (8,000 fr.), jaką z pomiędzy kilkudziesięciu kandydatów otrzymał młody Karol de Pomerols, autor sielskich obraz-

ków, przypominających Teokryta. Inny dowód na to mamy w świeżo ogłoszonym tomie poezyi p. Marka Legrand, p. t.: „l'Ame antique“ (Dusza starożytna). W zbiorze, złożonym z dwustu poemacików, znajdujemy do pięćdziesięciu przekładów z poetów łacińskich: Wergilego, Plautą, Lukana i Horacego. W stu przeszło drobnych utworach mamy antologię ateńską: przełożone ustępy z Homera, Hezyoda, Anakreonta, Tyrteusza, Arystofana i wielu innych. Wierność tłumaczeń poświadczają lingwiści; wszędzie uderza nas wytworność i wdzięk formy. W pięćdziesięciu oryginalnych utworach występuje poeta, na wskroś przesiąknięty duchem starożytnej poezyi.

Zbiór ten zachwycił Hellenistów tutejszych. Obszerny wstęp nakreślił znany filolog, Emanuel des Essarts. Podziwia on doskonałość wiersza i stawia młodego autora obok najpierwszych koryfeuszów poezyi francuskiej. Przytaczamy jego słowa na dowód, jak żarliwych miłośników liczy tu starożytna Hellada:

„My, Francuzi, — mówi des Essarts — jesteśmy Gallo-Grekami i Gallo-Latynami, a śpiewacy chmurnej północy, których stawiają nam za wzór, są wrogami naszego plemienia, mocno zagrożonego. Poeci północni o tyle tylko byli poetami, o ile szli torem Greków i Rzymian. Czemże był Szekspir, czem Spencer, Ben Johnson, jeśli nie dziećmi pogańskiego odrodzenia. Czem Müller, jeśli nie jednym z wielkich humanistów, czem Goethe, jeśli nie synem Fausta i Heleny, jak jego Euforyon. Nie wymieniam już Byrona i Shelleya, Kietsa i Swinburna, którzy są raczej Hellenami, niż Anglikami.“

Tenże sam zachwyt wyraża w liście, ogłoszonym na czele tomu, inny filolog, Emil Gebhard. Zachęca on poetę, aby szedł dalej obranym torem i nie porzucał fletni Wergilego, która w pieśni jego tak uroczo pobrzmiwa.

W słowach dwóch filologów, obok uznania wytwornej formy w młodym Helleniście, widzimy jeszcze zamach na nową szkołę mistyków, symbolistów i dekadentów, która, zbudowana na piasku, rozleci się i śladu nie zostawi po sobie.

Czy zręby tej szkoły powali prąd wiejący od Aten, Rzymu, czy nią wstrząśnie jakiś nowy cyklon, ukryty w tajnikach dwudziestego wieku, o tem dziś wyrokować niepodobna.

Na zakończenie przytaczamy tu jedną z pieśni Marka Legrand, p. t.: „Zółw“, w przekładzie o tyle wiernym, o ile nim przekład być może.

• W Helladzie, ponad rzeką, wśród pustych wybrzeży,
Stary zółw pełzał zwolna po murawie świeżej.

Skarżył się: „Spojrzyj na mnie, wielki Apollinie,
 Jam szpetny i bezsilny, źle mi żywot płynie.
 Z dobroczynnych promieni twych korzystam mało,
 Wciąż ukryty w sitowiacz, lub pod stromą skałą.
 Czasem głucho się spuszcze w ciemną wód głębinę,
 A w porze południowej gdy na ląd wypłynę,
 Choć słoneczko przypała, nie czuję go przecie,
 Bo mi twarda skorupa wyrosła na grzbiecie.
 Klnę losy, co się pastwią nad dolą nędznika,
 A jednak myśl o śmierci grozą mnie przenika.
 Czy jaszczurka przebiegnie, czy listek szeleśnie,
 Kryję głowę pod pancierz; na jawie, czy we śnie,
 Cały drzę; — gdy się tarzam obciążon bez miary,
 Widzę, jak lada owad prześciga mię szary;
 I zazdroścze ptaszętom, gdy z poranną rosą
 Wysoko, po nad lasy, piórka je uniosą.
 Rad-bym wygrzęznąć z bagna, ulecieć za niemi,
 I pobujać po świecie, i panować ziemi!

Słyszy Apollo skargę: wnet żółw zamknął oczy,
 Promienistego boga orszak muz otoczy.
 A on potworny pancierz od grzbietu odlupie,
 Wystruże go misternie, i twardej skorupie
 Nadaje kształt uroczy. Ta szpetna istota,
 Co w nędzy i tęsknocie przeszła dni żywota,
 I nigdy nie zaznała słonecznych promieni,
 Niech myśl ludzką po jasnej roznosi przestrzeni.
 Niechże na skrzydłach rytmu dźwięk jej pomknie złoty
 Dalej, niż pieśń słowicza, niż orle poloty,
 Niech drga w niej dusza, rwana dolą czy niedolą.
 Żółwia w cudowną lirę przemienił Apollo!

Obok tej dążności do odrodzenia literatury na wzorach starożytnych, widzimy inną, zdaniem naszym, nierównie żywotniejszą, podjętą przez „Towarzystwo etnografii narodowej.“ Towarzystwo to, niedawno założone, liczy do członków komitetu pierwszorzędnych literatów i artystów, jak Gaston Paris, malarze Bounat i Puviv de Chavannes,

że pominiemy innych. Celem towarzystwa rozpowszechnić smak w badaniu francuskiej tradycyi i obudzić poszanowanie dla tysiąca przedmiotów życia miejscowego, zalecających się oryginalnym charakterem. Wystawy prowincjonalne, konferencye i przedstawienia, wydobywać mają z ukrycia zabytki literatury i sztuki ludowej. Tym sposobem przygotowuje się pomalą świetną wystawą etnografii, z którą Towarzystwo zamierza wystąpić w roku 1900.

W ubiegłym roku inaugurowano w mieście Niort seryę kongresów, poświęconych Wandei i prowincyi Poitou. Organizatorowie nagromadzili tam wielką moc dokumentów, dotyczących historii, literatury i sztuk pięknych, zebrali też kostiumy i wyroby ludowe. Znani autorowie: Andrzej Theuriet, Gustaw Deschamp, uczeni księża: Lhommeau i Parisot, przemawiali na kongresie. Mowy te, zebrane w tomik, wyjdą wkrótce p. t.: „Tradycye w Poitou.“ Taka broszura ukaże się w każdej prowincyi po odbytych zjeździe. Oprócz tego rozpoczęto publikacyę buletynu miesięcznego, obejmującą wszelkie nowo-odkryte dokumenta, dotyczące centralizacyi artystyczno-literackiej.

Przykład Francyi oddziałał na Szwajcaryę. Erudyci tamtejsi założyli towarzystwo tradycyi ludowych. Ogół zajął się żywo tą sprawą, liczba członków wzrasta z dniem każdym. Obszerny programat obejmuje najdrobniejsze szczegóły z domowego życia Szwajcarów: obserwacye antropologiczne, zajęcia rolnicze, uczty, pokarmy i napoje, zwyczaje i obyczaje, gry i zabawy, przemysł, gusła i zabobony, melodye, pieśni, przysłowia, stare podania historyczne i t. p.

Zwracamy tu uwagę, że blisko przed stu laty, w roku 1803, Kołłątaj, zamknięty w więzieniu ołomunieckim, nakreślił takież sam program, z odezwą, zachęcającą ziomków do badań w tym przedmiocie. Na wezwanie Kołłątaja odpowiedział cały zastęp pracowników, począwszy od Zoryana Chodakowskiego, Łukasza Gołębiowskiego, K. W. Wóycickiego i tylu innych, a między nimi niespracowanego Oskara Kolberga. Wymowny to dowód, że uczeni nasi powzięli bez obcej inicjatywy pomysł, który tak żywo zajmuje dziś Francuzów i sąsiednie im ludy.

Korespondencya Prospera Merimée, ogłoszona w „Przeglądzie dwóch światów,“ w roku ubiegłym wyszła osobno z druku. Czytelnicy popularnego „Przeglądu“ mieli sposobność poznać i ocenić listy, nie będzieny ich zatem szczegółowo rozpatrywali. Zatrzymamy się tylko na

wstępie Ferdynanda Brunetièrè'a, umieszczonym na czele ciekawej publikacji.

Z pomiędzy wszystkich romantyków, utrzymuje znakomity krytyk, sam tylko Merimée posiadał prawdziwy talent epistolarny. Nie mówi wyłącznie o sobie. W listach osoba piszącego powinna być zakrytą, co stanowi główną ich zaletę: odróżnia to właśnie korespondencyę od pamiętników. W tych ostatnich wolno autorowi zajmować się sobą, odwoływać się do sądu potomności w sprawie, którą przegrał u współczesnych.

„W literaturze francuskiej — dodaje Brunetièrè — mnóstwo mamy pamiętników, nie brak nam też i korespondencyi, ważnych dla historii i literatury, a bardziej jeszcze rzucających światło na życie pisarza, lub artysty, niewiele jednak takich, które-by czytać można dla samej przyjemności, dla ich wysoko estetycznych zalet. Do małej ich liczby należą listy Merimée'go. Ciekawe są niewątpliwie listy Sainte-Beuve'a, Flaubert'a, George Sand'a, ale zajęcie, jakie budzą, polega na czem innym, a nie na przyjemności, jaką nam sprawia ich czytanie.“

Obecnie wydane korespondencye Merimée'go różnią się od znanych jego listów do „Nieznajomej.“ Ton ich całkiem odmienny. Wytrawny pisarz umie go zastosować do ducha korespondentów. Tak samo czyniła pani de Sevigné: inaczej pisywała do córki, inaczej do Busy Rabutin'a. Merimée, sceptyk, szyderca, niekiedy cynik w listach do Ponigello, tu okazuje się skromnym, pełnym poszanowania, czasami smętnym, jednym słowem to nowy Merimée.

Nie wiadomo, do kogo pisane te listy, łatwo jednak poznać wzniosły umysł tej kobiety i wielką moc jej charakteru, skoro umiała zaplanować nad tym sceptykiem i nie dopuścić najmniejszego żartu z jej głębokich przekonań religijnych.

Merimée występuje tu w całkiem nowej postaci, uchyla z oblicza maskę obojętności, którą się dobrowolnie przysłaniał. Haussonville w studyum o Prosperze Merimée obojętność tę nazwał maską. Wydana korespondencya chlubnie świadczy o przenikliwym jego sądzie. Zapowiadają nowe publikacje; pozostało, jak mówią, wiele jeszcze niewydaanych listów. Te rzucają zapewne nowe światło na zagadkową dotąd osobistość Merimée'go.

Oprócz uroczystości akademickiej, o której mówiliśmy powyżej, pięć wydziałów Instytutu francuskiego odbyło wspólne doroczne po-

siedzenie. Prezes Ravaisou, wyliczył dwudziestu zmarłych w tym roku członków naukowego grona. Gustaw Larroumet z wydziału sztuk pięknych przedstawił obraz starożytnego teatru w Atenach; zatrzymuje się szczegółowo nad teatrem Bachusa, którego szczątki świeżo odkopane zostały. Doktor Dieulafoy, z akademii napisów, wygłosił rozprawę o prorokach, opierając się głównie na świadectwie Biblii; Jansen, dyrektor obserwatorium, przebiegł historyczne epoki w astronomii. Obok tych ściśle naukowych przedmiotów, członek Akademii francuskiej, Lemaitre, podjął przedmiot czysto literacki, w rozprawie o „snobach“ i „snobizmie.“ Wyraz ten, bardzo dziś głośny we Francyi, nie znalazł dotąd miejsca w słowniku naszym, nie wiemy zatem, jak go wytłómaczyć.

„Snobizm,“ mówi Lemaitre, określa umysły dobroduszne, a zarazem pełne próżności. „Snob“ chwytą wszelką nowość. W literaturze i sztuce rozgłasza ją i częstokroć przyczynia się do jej rozpowszechnienia. Każda epoka przejścia miała takich heroldów; nie brakło ich w czasach klasycznego rozkwitu. Ważną rolę odegrali w chwili przewrotu romantycznego, jak i w późniejszych przejściach do naturalizmu, do pozytywizmu i pesymizmu; popierają również dzisiejszą propagandę symbolistów, dekadentów i tym podobnych nowatorów.

Snoby, to umysły pospolite, ale ruchliwe — mówi Lemaitre; — rzucają się na oślep za oryginalnością i modą. Nieraz głoszone przez nich nowatorstwa spełzną na niczem, zdarza się jednak i przeciwnie. Jeżeli idea, do której się przyczepili, ma w sobie siłę żywotną, wtedy snoby oddają prawdziwą posługę literaturze, budzą bowiem z uspienia wyższe, ale spokojne umysły, bronią je od zastołości, popychają do ruchu i działania.

Snobizm — dodaje w końcu Lemaitre — przyszedł dziś do pełnego rozwoju, dowodzi to, że nigdy jeszcze ogół nie zajmował się tak żywo, jak obecnie, sztuką i literaturą, i nigdy też pole artystyczno-literackie nie wydawało tak obfitych, jak dzisiaj, plonów. Te plony — dodaje krytyk — nie zawsze zdrowe, ale sama ich obfitość świadczy o żywotności i ruchu umysłowym społeczeństwa.

Nie tak optymistycznie zapatruje się na literaturę dzisiejszą René Doumic, jeden z pierwszorzędných krytyków terażniejszych. Sprawozdania jego z umysłowego ruchu w przeglądach i dziennikach na szczególną zasługują uwagę, tak jasnym poglądem na rzecz, jak

stylem, pełnym wdzięku i życia. Rozprawy o teatrze złożyły już sześć czy siedm tomików osobnych. Jeden z nich p. t.: „od Skrybego do Ibse-
na,“ zjednał autorowi nagrodę akademicką.

Obeenie wyszedł z druku nowy tom p. t.: „Zarysy teatru współ-
czesnego;“ krytyk rozbiera w nim ostatnie utwory najcelniejszych pi-
sarzy dramatycznych: Dumasa, Paillerona, Wiktoryna Sardou, Fran-
ciszka Coppée'go, Borniera i innych. W każdym z tych dramaturgów
Doumic podnosi właściwe mu zalety. W Pailleronie przenikliwy po-
gląd na społeczeństwo, w Sardou mistrzostwo w układzie scenicznym,
we Franciszku Coppée dykcję, posuniętą do wytworności klasycznej,
w Bornierze odwagę do podjęcia wyższych zagadnień, wbrew uprze-
dzeniom publiczności. Mimo tylu dodatnich stron, krytyk przychodzi do
rezultatu, że sztuka dramatyczna w ostatnich latach wyraźnie chyli się
do upadku. Powód do tego widzi w młodszym pokoleniu autorów. „Je-
śli — mówi on — młody pisarz ściągnie na siebie uwagę w literaturze,
lub dziennikarstwie, zwraca się natychmiast do teatru, chce wy rozgło-
su, jaki scena dać może. Dlatego-to mamy powieściopisarzy, poetów,
krytyków, kronikarzy i publicystów, którzy przynoszą do teatru poe-
mata, romanse, studia, rozprawy i kroniki, ale nie mamy właściwych
autorów dramatycznych.“

W końcu książki znajdujemy bardzo ciekawą konferencyę, wypo-
wiedzianą na poranku w teatrze odeońskim, przy odegraniu starej
sztuki Picard'a, przedstawionej przed stu laty p. t.: „Małe miasteczko.“
Nie będziemy zatrzymywać się nad komedyą, w której autor pokazuje
ze śmiesznej strony życie prowincjonalne. Doumic nie dzieli tych
uprzedzeń, przeciwnie, ostrą chłostą dotyka Paryżan, a raczej tę ich
garstkę wrzaskliwą, pyszałkowatą, próżniaczą, którą określa nazwą
„bulwardowców.“ Powtarzamy ten charakterystyczny ustęp:

„Oddawna zapowiadają nam upadek bulwarów, mówią, że bulwar
żyć przestał. Co do mnie, gdyby to prawdą było, chętnie bym poszedł
na jego pogrzeb. Ale nie cieszymy się przedwcześnie. Wprawdzie wy-
tworne towarzystwo nie zasiada już przed kawiarnią Tortoniego, bo
Tortoni już nie istnieje. Może być, że bulwar wyemigrował w nowszą
dzielnicę miasta, ale to pewna, że duch bulwarowy istnieje, groźniejszy,
niż kiedykolwiek. Tu, jak dawniej, wydają sądy bezwzględne, nie opar-
te na niczem; tu jednych podnoszą do apoteozy, drugich strącają niżej
zera. Oceniają wyłącznie to, co bawi, a dziwne rzeczy zabawiają dziś
ogół. Bulwar nie zrozumiał nigdy żadnej nowości, zasługującej na
uwagę; stawia opór wszystkiemu, co świadczy o postępie, upokarza
wszelką nowość, cechą jego zarozumiałość. Bulwardowcy tak przechwa-
lają się sami, iż w końcu drudzy im uwierzą, Stąd częstokroć rozum ich

uchodzi za rozum paryski, a paryski za rozum całej Francyi. Przyszło wreszcie do tego, że poniżyli Paryż, mieszając go z tem, co nazwano *Tout Paris*."

„Bo tak zwany „cały Paryż“ (*tout Paris*), dąży do skupienia w sobie całej literatury. Pomijam już dzienniki, ale weźmy romanse i sztuki teatralne. I cóż tam przeważnie spotykamy? Oto obrazy tego życia sztucznego, fałszywego, które jest zaledwie życiem jakich trzy-stu osób. Opowiadają nam w najdrobniejszych szczegółach, niekiedy z pozorem głębokiej psychologii, czyny i sprawy garstki ludzi chorobliwych, z umysłem spaczonym; zatrzymują się nad tą zgnilizną, patrzą, jak się rozkłada społeczeństwo, pokazują nam typy wyjątkowe. Nudzą nas te wstrętne obrazy; dość już tej parodii francuskiego rozumu. Zagrożony tu rozsądek, smak estetyczny, a co więcej, zagrożone pojęcia moralne. Jeśli pozwolimy tak zwanym reprezentantom literatury francuskiej iść dalej tym trybem, wtedy literatura w wielkiem słowa znaczeniu zniknie bez powietrza, zduszona niedołęstwem i trującym miazmatem “

Niemniej stanowczo występuje Doumic przeciw skażonej literaturze, gdy ocenia ostatni dramat Borniera („*Le fils de l'Arétin*“) w którym autor pokazuje truciznę, działającą na młody umysł.

„Krytyka, mówi Doumic, nie jest rzeczą martwą, przeciwnie, zamyka w sobie pierwiastek życia i siłę oddziaływania. Idea, przeprowadzona w książce lub na scenie, wnika w głąb sumień ludzkich, sprawia w nich zamęty, przeistacza się w uczucie, przechodzi w czyny; a ponieważ wszystkoma związek w duchu ludzkim, objawia się przeto w danej chwili i świadczy o żywotności swojej w niespodziewany sposób. Literatura tworzy atmosferę, w jakiej żyjemy. Ktokolwiek podjął pióro, winien o tem pamiętać.“

„Istnieje, dodaje krytyk, pomiędzy publicznością a pisarzem wspólność duchowa, która przygiusza w autorze poczucie odpowiedzialności. Ogół szydzi z tych, co wymagają w literackiem dziele dążności moralnej; wielu utrzymuje, że talent wszystko usprawiedliwia, że estetyka ma także swoje prawa. Teorya to równie bezmyslna, jak obłądna. Dla tego-to wdzięczność należy się p. Bornier, który ośmielił się z desek teatralnych, wobec Paryża, zawołać na głos, że istnieje literatura niebezpieczna dla porządku społecznego, że istnieją złe książki, że ze złych książek wypływają złe czyny!“

W chwili, kiedy kończyliśmy nasze kwartalne sprawozdanie, nastąpiło w Akademii francuskiej uroczyste przyjęcie Anatola France. Nowy członek zjednał sobie ten zaszczyt pięknym stylem i formą do wysokiej posuniętą wytwórności, tak w powieściach i nowellach, jak i na polu krytyki literackiej. Przy dzisiejszem zaniedbaniu i napływie obcych frazesów, te zalety popłacają, zwłaszcza w Akademii, obowiązanej, jak wiadomo, trzymać straż nad czystością języka.

Mowa p. France żywo zajęła licznych słuchaczy. Nowy akademik podniósł w niej długoletnią działalność poprzednika swego, Ferdynanda Lessepsa, i niesłychaną energię, z jaką dokonał wielkiego dzieła, owego kanału Sueskiego, który, mimo późniejszych klęsk i zawodów, imię jego mespożyła otoczy chwałą.

Mowa nowego akademika, pełna powagi i prostoty, wywołała gorący poklask. Słuchacze nie dostrzegli w niej cienia ironii, a wiadomo jak Francuz umie walczyć tą bronią. W odpowiedzi pana Gréard łatwo było za to dostrzedz nie jeden delikatny pocisk, obwinięty w najpochlebniejsze słowa. Podnosi on wysoko talent i erudycję Anatola France, „język jego ponętny i doskonały aż do zbytku, krzepki i przeczoczysty, prosty a ubarwiony, uczony a swobodny zarazem. W tym języku siła ukryta pod wdziękiem, szpony pod formą pieśzcotliwą. W bogactwie jego zlewają się najdelikatniejsze odcienie różnorodnych stanów cywilizacji: geniusz grecki w pełnym rozkwicie, z wyrafinowaną sztuką aleksandryjską; słodczy chrześcianina pierwszych wieków z cierpkim rozumowaniem współczesnego sceptycyzmu, miłość piękna jedyną tu religią.“

Przebiegając prace nowego akademika, Gréard zatrzymuje się dłużej nad książką p. t.: „Opinie Hieronima Coignard.“ Zobaczymy, jak kresli obraz tej zagadkowej postaci. „Jakże artystycznie — mówi on — ten słodki mistrz włada ironią, jakże zuchwale burzy, a z jakim wdziękiem, jak wesoło nagromadza ruiny! Prawa boskie i ludzkie, religia i ustawy społeczne, zasady i przesady, fakta, idee, uczucia i marzenia, nauki i sztuki, odwagę, cnotę, geniusz, sprawiedliwość, wszystko to rozbiera Hieronim Coignard, wszystkiem potrząsa, wszystko strąca w otchłań możliwych zdarzeń. Z czułością gardzi ludźmi; poświęcić się dla kogoś, to mrzonka; umrzeć dla idei, to niedorzeczność. Jedyną tylko prawdą sztydzić ze świata, litować się nad światem. Tak to z okiem

rozjaśnionem, z twarzą uśmiechniętą, słodki mistrz cieszy się obrazem powszechnego w świecie nicestwa.”

Kto wie, czy Gréard, kreśląc ten smutny obraz, nie widział odbitej w nim postaci utalentowanego autora, którego nazwał poganinem z epoki odrodzenia.

W końcu rozprawy, poświęca akademik kilka gorących słów Lessepsowi:

„Imię to — rzekł — otoczone niegdyś aureolą chwały, dziś żalobnym pokryte całunem. Słyszeliśmy jęki ofiar, przywiedzionych do zguby straszliwą katastrofą, nie uchylajmyż teraz ucha na poszept nadziei. Tak jest, prace przerwane mogą być rozpoczęte na nowo. Przez kogo i dla kogo, przyszłość nam to rozjaśni. Ale w dniu, kiedy pierwsze okręty przebiegną tryumfalnie przestrzeń dzielącą dwa Oceany, świat cały, zapominając nieszczęścia i błędy, nieodłączne od późnego wieku, przypomni sobie, że człowiek, który dla dobra ludzkości podjął myśl Leibniza i Goethego, był tym, którego głos ludu nazwał niegdyś wielkim Francuzem.“

W dniu 26 grudnia nastąpiło uroczyste przeniesienie zwłok Pasteura ze sklepień katedry paryskiej do krypty pod kaplicą Instytutu jego imienia, gdzie rodzina wzniosła mu grobowiec. Wszystkie wydziały rządowe, wszystkie naukowe instytucje wzięły udział w uroczystości. Przedstawiciele ich w dwunastu mowach przebiegli wielkie pomysły i prace genialnego męża, tak dobroczynne dla ludzkości. Głęboko poruszyły słuchaczów słowa, nakreślone przez Legouvého, nestora Akademii, odczytane przez Boissier’a, dyrektora kolegium francuskiego. Przypomina Legouvé mowę akademicką Pasteura, w której uczony fizyolog określił nieskończoność. „Kiedy — wyrzekł on — idea nieskończoności ogarnie pojęcie nasze, rozum ukorzy się musi. Moc nadprzyrodzona wpływa nam do serca, idea Boga jest tylko formą nieskończoności.”

„Na te słowa — dodaje Legouvé — dreszcz zachwytu i wiary przeniknął zgromadzenie. Jakież to *sursum corda*, takie *credo*, wybiegłe z ust takich! Znam niejednego, któremu głos ten stał się światłem i przewodnikiem. Tak, zaprawdę, jeśli odkrycia Pasteura uczyniły go

dobroczyncą biednego ciała ludzkiego, można rzec śmiało, że wielki ten myśliciel, łącząc w sobie naukę z wiarą, stał się dobroczyncą dusz ludzkich!"

Brak miejsca nie pozwala nam wspomnieć o pięknych dziełach, wydanych z nowym rokiem; zostawiamy je do przyszłej kroniki naszej.

Pierwotna germanizacya Słowian pomorskich.

(Dokończenie).

III.

Całe zachowanie się Henryka Lwa względem ujarzmionego przezeń faktycznie zachodniego Pomorza nacechowane było wielką wszelako, jak na owe czasy, względnością. Względność ta, zadziwiająca przedewszystkiem w stosunku Lwa do księcia Przybysława, na którego wasalstwie względem Saksonii zwycięzca poprzestał, sprawiła, że Pomorze, ocalone od grożącego mu wpływu Danii, pozyskanem zostało dla Niemiec. Sam Berno działał tam wprawdzie wiele w zakresie zwiększenia ilości duchowieństwa, ale wnioski wsteczne autora każą przypuszczać, że był-by on niewątpliwie znacznie naówczas pożyteczniejszym w Meklenburgii, gdzie Bodryci szczególniejszym z pośród innych plemion północno-słowiańskich odznaczyli się uporem w pogaństwie i dzikością obyczajów, okazaną właśnie w tym czasie w okrutnem wymordowaniu mnichów i zburzeniu klasztoru w Dobrzanach (Dobberan) koło r. 1150. Schyłek wieku XI jest już jednak epoką,

w której nie tylko panujący książęta, ale i wyższe warstwy Pomorzan protegować zaczynają chrześcijaństwo, choćby ze względu na świtającą w ich umysłach ideę politycznej centralizacji plemion pobratymczych pod jednym rządem, czemu kapiańskie instytucje bałwochwaltwa, o silnie ugruntowanym charakterze lokalnym, stały na przeszkodzie. Objawy analogiczne spotykamy we wszystkich świeżo nawracanych krajach słowiańskich: w Czechach, w Polsce i na Morawach. Wzrosło też na Pomorzu i poczucie potrzeby zwiększenia ilości misjonarzy, którym dużo jeszcze pozostawało do zdziałania. Trudności w tym kierunku znaczne były jednak jeszcze naówczas i to właśnie ze strony Niemiec, monopolizujących, dzięki pomyślnym warunkom, wpływ swój wśród pogan pomorskich. Walka Wawelberskiego duchowieństwa z Magdeburgiem z jednej, a nowo powstałymi na Pomorzu dycieczami z drugiej strony, o hegemonię i władzę, pomnażała znacznie te trudności, tkwiące zarówno w braku odpowiednich księży-ochotników w samych Niemczech, jak i w arcy wygodnym tam wtedy położeniu duchowieństwa, powstrzymującym w jego łonie zapal misyjny. Jako jedyny niemal środek zaradzenia omawianej potrzebie, pozostawały zakony, których członkowie we wspólnym trybie życia znaleźć mogli, nawet i na Pomorzu, pewną osłodę wśród obczyzny. Klasztory wymagały jednak większego uposażenia, niż świeckie jednostki duchowne, czyli, jak na stosunki tamtejsze, odpowiedniej energii i szczodroblowości ze strony panujących. Paraliżują początkowo możliwość tego warunku zatargi, wynikłe pomiędzy obu ówczesnymi aspirantami do faktycznego zwierzchnictwa nad Pomorzem: Waldemarem, królem duńskim, a Henrykiem Lwem, który nie cofa się nawet przed wyzyskaniem pogańskich namiętności Pomorzan, gdy mu chwilowo było na rękę skłonienie tych ostatnich do najazdu na chrześcijańską Danię. Niebawem jednak następuje znowu zgoda, która na tle stosunków pomorskich zaznacza się podczas sejmu frankfurckiego w r. 1170, cesarskim, przez Fryderyka I-go wydanem, zatwierdzeniem biskupiej godności Henrykowego wysłańca, Bernona, oraz uznaniem książęcego tytułu obu autochtonicznych władców Pomorza, Kazimierza i Bogusława. Do czynu tego skłoniło cesarza pragnienie skaptowania, łakomych na podobne odznaczenia, ówczesnych książąt słowiańskich dla chrześcijaństwa. Nie widzi w tem jednak autor bynajmniej włączenia wspomnianych władców do książąt Rzeszy.

Jakoż pomyślnie skutki cesarskiego kroku występują prawie natchmiasz na jaw. Książę Kazimierz, podczas pobytu swego w Hawelbergu, czyni znaczne nadania dla założonego pomiędzy r. 1126 a 1134, przez arcybiskupa magdeburgskiego, Norberta, klasztoru Pre-

monstrantów w Brodach (Brodden, niedaleko Stragardu), zwalniając zarazem jego mnichów od ceł na przestrzeni całego Pomorza, oraz od publicznego ciężaru budowy grodów (Burgenhau). Dało to początek dalszym tego rodzaju darowiznom, pomimo że powyższa nie była, zdaniem autora, wolną od pewnych cech oportunistu ze strony ks. Kazimierza, pragnącego w celach finansowych ożywić niezaludnione przestrzenie swego państwa, mianowicie wobec niedawnego opustoszenia klasztoru w Grobinie (Grobe). W niespełna dwa lata potem (1172), powstaje w Dargach (Dargun) nowy klasztor, tym razem Cystersów, zakonu, na ziemiach słowiańskich wielce zasłużonego, który nie wahał się tam poczynić znacznych nawet modyfikacji w swej regule pustelniczej, byle tylko mógł służyć z pożytkiem dziełu nawracania. Klasztor ten, w obecnej regencji Szczecińskiej, nie daleko Dymina (Demmin) położony, obdarowany został szczerze, nie tylko przez samego ks. Kazimierza, ale i przez trzech członków szlachty pomorskiej, spełniającej tym razem pierwszy czyn cywilizacyjny dla swego kraju. Książę Kazimierz miał jednak i teraz uboczną myśl podniesienia kultury krajowej, łączy bowiem z darowizną wspomnianą rozciągnął przywilej dla osadników i kolonistów klasztornych, oraz rzemieślników wszelakich narodowości, jakich-by klasztor do posiadłości swoich ściągnął. Jako rywale rozwijającego się na Pomorzu niemieckiego wpływu, osiadają jednak zaraz w roku następnym 1173 duńscy Cystersi w Colbatz, nad granicą własnej ojczyzny. Przybyli tu oni w samą dla siebie porę, gdyż skutkiem nieobecności ówczesnego szermierza kultury niemieckiej na Pomorzu, Henryka Lwa, bawiącego właśnie w Jerozolimie, jego polityczny wpływ na Słowian słabnie zwolna i zanika na korzyść Danii. Wspólnik rządów i brat Kazimierza, ks. Bogusław, szuka przeciw niej poparcia w Polsce, a uznawszy na nowo, dawną powodowany tradycją, jej zwierzchnictwo nad Pomorzem, żeni się z Anastazyą, córką Mieszka Starego. Chybiony był to jednak kierunek, gdyż, jak wiadomo, detronizacja Mieszka, dokonana na rzecz Kazimierza Sprawiedliwego, zwracającego swe idee polityczne w stronę Rusi, nie dozwoliła Piastowskiej monarchii zająć się na seryo Pomorzem, pozostawionem przez nią obecnie własnym swoim losom. Korzystając z położenia, przypomina sobie teraz Brandenburgia „prawa“ swe do Pomorza, a popierając je, organizuje margraf Otton zbrojną wyprawę w gronie saskich, duńskich, a nawet, jak przypuszcza autor, i polskich ¹⁾ rycerzy. W odwecie zapuszczają Pomorzanie

¹⁾ Wniosek, oparty na odnośnym ustępie Saxo Grammaticusa.

zagony swoje w głąb Łużyc i Brandenburgii, a wśród krwawych tych wypadków nadchodzi rok 1180, w którym, ze śmiercią bezdzietnego ks. Kazimierza I, jednowładztwo spływa na jego brata, ks. Bogusława I-go. W epoce samodzielnych rządów tego monarchy, zaznaczonych jeszcze poprzednio, bo w r. 1175, ważną dla cywilizacji Pomorzan, fundacją i uprzywilejowaniem kościoła w Kamieniu (Cammin, reg. Szczecińska), widzimy przy osobie księcia, obok szlachty miejscowej, i dygnitarzy pochodzenia niemieckiego, jak biskupa Konrada, oraz proboszcza słupskiego (Stolpe), podczas gdy Berno trzyma się na uboczu. Fundacja kamieńska uczynioną została w poważnym celu przeniesienia tam biskupiej stolicy Pomorza. Jakoż już w kilka lat później (1183), dotychczasowa nazwa „biskup pomorski“ zamienia się na tytuł „biskup kamieński“ (von Cammin), a tejsze chrześcijańskiej działalności księcia, mającej, jak widać, na celu dogodniejszą organizację kościoła w kraju, zawdzięczyć należy rychłe niebawem powstanie kapituły w Kołobrzegu, oraz nowej, a wielkiej fundacji i uprzywilejowania klasztoru Premonstrantów w Grazinie (Granzow, powiat Gdański).

Wspomniane a obszerne przywileje książąt Kazimierza i Bogusława dla klasztorów i ich kolonistów są pierwszym istotnym umożliwieniem niemieckiego osadnictwa, a i za niem i swobodniejszego napływu kultury, mającej dokonać w swoim czasie dzieła germanizacji. Postępując w porządku chronologicznym, zaznaczyć jednak na tej drodze wypada nowe, a poważniejsze niż kiedykolwiek, bo dość długotrwałe przeszkody polityczne, stworzone przez własną nieostrożność niemieckiego rządu. Oto, pragnąc podczas oblężenia Lubeki odjąć jej możliwość otrzymania pomocy ze strony Pomorza, uczynił cesarz Fryderyk Rudobrody w roku 1181 Bogusława pomorskiego księciem Rzeszy. Sam już ów zaszczyt, stawiający na jednym poziomie pseudo-wasala Danii z jej królem, podrażnił potężne to naówczas mocarstwo niepomniernie; ale miara ze strony cesarza przebrała się stanowczo, gdy Fryderyk, pragnąc zbuntowanego przeciw zwierzchnictwu swojemu króla duńskiego, Kanuta, syna Waldemara, upokorzyć, użył jako narzędzia w tym celu, pozyskanego sobie tanim kosztem, Bogusława. Cały ogrom politycznego błędu cesarza w zaczepieniu Kanuta z tak nieodpowiedniej strony wyobrazić sobie tem łatwiej, gdy zważymy, że król duński był właśnie przygotowany do ukrócenia zwiększających się na Pomorzu wpływów niemieckich na niekorzyść Danii, nową wyprawą, jaką przed samym zgonem, projektował sobie jeszcze ojciec jego, Waldemar. Dania silniejszą była obecnie, niż podczas zapasów swoich z Henrykiem Lwem w roku 1168, odkąd zdążyła nawet holdować so-

bie całkowicie Rugię. To też, podwójnie teraz do zbrojnego wystąpienia przeciw Pomorzu zachęcony, podbił je Kanut gwałtownem natarciem a bez zbyteńnego wysiłku, ku wielkiej klęsce tego kraju, a na hańbę cesarstwu. Bogusław został prawdziwym wasalem Danii, która, wydartą mu, a najdalej na północo-wschód położoną, prowincję pomorską (Neuvorpommern), oddała w lenno wiernemu sobie księciu Rugii, Jaromirowi. Już w roku następnym, 1182, dzwiga Bogusław na dworze królewskim w Roeskild miecz przed panem swoim, jako wasal, a umierając wkrótce potem, poleca, jako zachęcony przykładem wiernego Danii ks. Jaromira, żonę swą, Anastazyę, i dwóch małych synków miłosierdziu duńskiego monarchy, oraz okazaną w ten sposób Kanutowi lojalność przekazuje szlachcie pomorskiej swoim testamentem politycznym. Ta ważna pod względem politycznym epoka nie wywiera jednak wpływu zbyt doniosłego na zmianę, zainstalowanych już dawniej, stosunków wewnętrznych na Pomorzu. Handel, a za nim i stosunki kulturalne z Niemcami, ożywiają się coraz bardziej, zwiększając zasoby niemieckiego wpływu. Mnożą się również i klasztory, nawet za poparciem szlachty miejscowej, a względ ten, więcej niż cokolwiek bądź. ułatwia niemiecką kolonizację, która teraz dopiero rozwijając się poczyna szerzej. Na kilkaset zaledwo głów obliczone przez autora u schyłku XII stulecia osadnictwo niemieckie znajduje wprawdzie na Pomorzu dość już silny punkt oparcia w sześciu klasztorach i dwóch kapitułach, których zwierzchnicy zajmują stanowiska u boku księcia, ale nie starczyło tego jeszcze, by mózdz zwycięsko krzewić kulturę niemiecką wśród obcego żywiołu. W położeniu podobnem zastaje germanizację na Pomorzu wiek XIII, ale odbywającemu się od samych jego początków dalszemu rozwojowi kolonizacji niemieckiej wśród Pomorzan znacznego bardzo postępu zaprzeczyć trudno. Pomimo, że daleko mu jeszcze naówczas do późniejszej potęgi, znajduje się on jednak już teraz w fazie, nader dla siebie korzystnej. Przyczyniają się do tego nie mało usiłowania duchowieństwa, którego powodzenie w tym kierunku stanowi dowód, jak pożytecznie dla interesów swoich potrafił świat germański wyzyskać nawet epokę duńskiego jarzma na Pomorzu. Autor zapomina nadmienić, że objaw ten, częściowo przynajmniej, przypisać-by należało zmianie, jaka w agrarnych stosunkach Niemiec nastąpiła w początkach wieku XIII, popchnąwszy całe zastępy uciśnionych w swej ojczyźnie osadników do szukania lepszej doli na kresach słowiańskich, t. j. na Pomorzu i w Polsce, o czem pomówimy jeszcze niżej.

Poczynione w ubiegłym stuleciu duchowne fundacye książąt, bo szlacheckie bardzo są jeszcze nieliczne, umożliwiają ten napływ i po-

myślne podtrzymywanie rozpoczętej już kolonizacji w pierwszych latach XIII wieku, zaznaczających się, z powodów natury politycznej, zupełnym brakiem nowych fundacji religijnych na Pomorzu, aż do roku 1207. Jest to właśnie okres regencji ks. Anastazy i krewnego jej zmarłego męża, Bogusława, pomorskiego magnata, Warcisława Świętoborowicza, skrępowanych w rządach i duchownych darowiznach przez nieprzychylną jeszcze w swej większości kościołowi szlachtę pomorską.

Spełniając prośbę zmarłego, oddał król Kanut jego synom, Kazimierzowi II i Bogusławowi II, ojcowiznę pomorską w lenno, a na czas małoletności swych wasalów ustanowił wspomnianą regencję. Współrządy Świętoborowicza trwają jednak niedługo, gdyż, jak się zdaje, wskutek rojenia jakichś wrogich względem Danii zamysłów, znika on z widowni i kończy życie gdzieś na uboczu, jeszcze w roku 1196, a wkrótce potem następuje wyprawa duńska przeciw Pomorzu, zakończona oddaniem wakującej współregencji faworytowi Kanuta, ks. Rugii, Jaromirowi, któremu król przeznaczył Szczecin na rezydencję. Następują smutne dni dla tego kraju, a kiedy z jednej strony Jaromir stara się zagarnąć na dobre oddaną sobie pod tymczasowe rządy prowincję, ks. Anastazy z drugiej sła skargę za skargą do króla duńskiego na uzurpatora. Gdy zaś Kanut częściowo tylko uwzględniła sprawiedliwe pretensje Anastazy, zwraca się ona o pomoc przeciw wrogom ku Brandenburgii i Polsce. Zajęty wewnątrz zatarzami z Leszkiem Białym, Stary Mieszko, który znowu chwilowo przyszedł w Krakowie do władzy (1200), udzielił tej pomocy córce nie był w stanie. Spiesz z nią wszelako spadkobierca Albrechta Niedźwiedzia, Otton II, margraf brandenburski, który, jak autor na podstawie mozolnych zestawień źródłowych wnioskuje, zawładnął też przy sposobności przyległą swym dzierżawom częścią Pomorza. Brak źródeł nie pozwala należycie ani owego ponownego wskrzeszenia „praw“ brandenburskich, ani innych, związanych z niem, wypadków tej epoki, wyświecić. Daje się wszelako stwierdzić, że lojalność względem Danii zanika wówczas na Pomorzu nader szybko. Następca Kanuta, Waldemar II, pragnąc zdobyć swego poprzednika odzyskać na nowo w dawnej rozciągłości, przedsięwzię wyprawę na Pomorze, ale zabiega mu tymczasem drogę brat Anastazy, Władysław Laskonogi (1203), podówczas książę krakowski, i, gdy osłabiona przez śmierć margrabiego Ottona II Brandenburgia interesów swych z poprzednią energią popierać nie jest w stanie, dostaje się Pomorze znowu pod chwilowe zwierzchnictwo Polski.

Zastanawiając się nad podobnie groźnym dla niemiecczyzny faktem, zaznacza autor między innymi, a z całą słusnością, szkodliwość regencji w ówczesnych ziemiach słowiańskich, zniżając bowiem powagę władzy monarchicznej, sprzyjała ona nie tylko, osłabiającym kraj, walkom wewnętrznym, ale i pogańskim reakcyom, wynurzającym głowę z pod lekkiej jeszcze powłoki chrześcijańskiej, a grożącym zagładą wszelakim nabytkom cywilizacyjnym. To też, gdyby występujące wtedy wyraźnie na Pomorzu obudzenie się pogaństwa potrafiło było zyskać sobie warunki pewnej trwałości, to nie tylko młode związki kultury, ale nawet i ślady chrześcijaństwa mogły-by zniknąć z powierzchni tych ziem, skoro zważywszy, że współczesne osłabienie Polski nie było-by w stanie procesu tego powstrzymać. Było tam już jednak widocznie na podobne wskrzeszenie się bałwochwaltwa nieco za późno, wobec nawrócenia dworu książęcego i znakomitszej szlachty pomorskiej, które to warstwy, nawet samym sobie pozostawione, zwrócić się musiały w naturalnym biegu rzeczy po pomoc chrześcijańską i cywilizacyjną przeciw powstającemu barbarzyństwu, w stronę, skąd pomoc taka jedynie naówczas była możliwą, t. j. w stronę Niemiec. Pozostałe na gruncie duchowieństwo niemieckie, utrzymujące łączność z macierzą swoją, ułatwiło im pomyślny skutek tych starań. Około roku 1205, z początku połowicznie, a potem zupełnie już samoistnie, obejmują rządy dorastający spadkobiercy zmarłego Bogusława, księcia Bogusław II i Kazimierz II, którzy w dziejach swego kraju nową rozpoczęli erę.

Zaraz w początkach nowego panowania widzimy szczodre wznawienie, opustoszałych podczas regencji, klasztorów w Kamieniu i Dargach. Jednocześnie powstaje za sprawą Danii świeża fundacja klasztoru w Ilda (Eldana), wśród nadanych ks. Jaromirowi w roku 1181-ym przez Kanuta północno-zachodnich ziem pomorskich (Neuvorpommern). Ilda staje się w przyszłości ogniskiem kultury, przemysłu i kolonizacji niemieckiej, mianowicie z chwilą, gdy ziemie wspomniane powróciły znowu do Pomorza. Tymczasem jednak zyskuje znowu Dania na siłach, dzięki powodzeniom Waldemara II, zamysłającego o utworzeniu pod egidą swoją wielkiego państwa na północy. W myśl tych planów, narzuca on w roku 1210-ym zwierzchnictwo swoje wschodniemu Pomorzu (Pomerellen), mającemu już naówczas, u schyłku wieku XII, swoją osobną, acz pokrewną książętom zachodniego Pomorza, dynastyę. Książę Kazimierz II, pragnąc dobre stosunki z potężnym a niebezpiecznym sąsiadem utrzymać, żeni się z kuzynką Waldemara II, Ingardą. Dotknięty podobnemi związkami, zapowiadającymi wzmoże-

nie się ks. pomorskiego w potęgę, wznawia margraf brandenburki, Albrecht II, „prawa“ dziedziczne do Pomorza, i, zamieniając je w czyn, zajmuje Szczecin. Odbiera mu go jednak niebawem Dania, dzierżąca podówczas nietylko Holsztyn, Meklenburg, Ratzenburg, Szweryn i zwierzchnictwo nad resztą Pomorza, ale nawet siedziby pogańskich Estów (Estończyków) i Liwów (Łotyszów). Waldemar II doprowadza państwo swoje do kulminacyjnego punktu potęgi, jakiej nigdy już w przyszłości osiągnąć powtórnie nie miało. Są to jednak, ze względu na rozwój Pomorza, wypadki natury i znaczenia wyłącznie politycznego, które, co najwyżej, opóźniły tam tylko niepodzielne zapanowanie wpływów niemieckich. Nietylko o duńczeniu tych ziem, ale nawet o wypieraniu niemieckiej z nich kultury, nie może być mowy.

Naród i państwo duńskie, aczkolwiek oddawna już podówczas do świata cywilizowanego należące, przyjęło bowiem chrześcijaństwo w okresie od IX — X wieku ¹⁾, posiadało skutkiem dziedzictwa pierwiastków normandzkich raczej geniusz zaborczy, podbójczy, który brózdził swego czasu nietylko w państwie Karolingów, ale nawet w odległym kalifacie Korduby, niż talent assymilowania sobie ludów pokonanych. Na ten ostatni wzgląd, jako na pracę pokojową, nie kładli Duńczycy żadnego nacisku, posiadając równie imponującą rzutkość w wielkich przedsięwzięciach i szerokich zamysłach, jak i mały zaśób, a raczej zupełny brak warunków do pracy wewnętrznej, organizacyjnej, na obcy m gruncie.

Nie można też bynajmniej zauważyć, aby duński i duńskiem prawem rządzący się, klasztor w Ildzie, szerzył jakiekolwiek wpływy własne na Pomorzu; owszem, sprzyja on nawet dalszemu osadnictwu kolonistów niemieckich. Mnożą się też w tych warunkach i nowe fundacye duchowne na rzecz klasztorów, w których coraz już częściej brać poczyna udział szlachta pomorska, a sam książę Kazimierz obcuje chętnie z niemieckimi mnichami z Dymina, udzielając im coraz szerszych przywilejów. Otrzymywane zwolna przez duchowieństwo, immunitety pozwalają wprowadzać częściowo prawo niemieckie do dóbr klasztornych, w których, już w drugim dziesięcioleciu XIII wieku, czyli znacznie wcześniej, niż w Polsce ¹⁾, widzimy instytucye wójtów, nieznane, jak wiadomo, organizacyom czysto słowiańskim.

¹⁾ Król Harald Blataud (Błękitny Zęb) przyjmuje chrześcijaństwo w r. 960-ym.

¹⁾ Osadą, berlu Piastów podległą, a najdawniej ze wszystkich innych w Polsce na prawo niemieckie przeniesioną, był, jak wiadomo, szląski Neumarkt pod Wrocławiem; lokacya ta zaś nastąpiła dopiero w roku 1250-ym,

Takie są cywilizacyjne rezultaty panowania obu wspomnianych książąt, którzy niemal współcześnie umierają około roku 1220-go. Pozostają dwaj znowu po nich następcy: Warcisław III, syn Kazimierza II, z Ingardy, księżnej duńskiej urodzony, oraz Barnim I, syn Bogusława II i Mirosławy, księżniczki wschodnio-pomorskiej. Jak poprzednio, tak i teraz, obie wdowy obejmują regencyę w imieniu nieletnich synów, a regencya ta odznacza się pod względem politycznym nader ścisłym związkiem Pomorza z potężną Danią. Młody ks. Warcisław chełpi się pokrewieństwem swoim z duńskim domem królewskim, i używa jeszcze w roku 1225-ym, czyli już po upadku wielkiego sąsiada, pieczęci z arcy-oryginalnym, nawet jak na ów czas, napisem: „S. ducis. Worzlai. E. Sanguine. Regis. Danor.“²⁾

IV.

Nadzwyczaj ważny w skutkach, choć zwykły, jak na wieki średnie, wypadek, kładzie kres zarówno zrozumiałej dotąd dumie księcia Warcisława, jak i przyczynie politycznej, która ją usprawiedliwiała, t. j. potędze Danii. Oto w nocy z dnia 6-go na 7-my maja 1223 roku, zostaje król Waldemar II, wraz z koronowanym już synem swoim, Waldemarem III, podstępnie przez hrabiego szwerykańskiego, Henryka, schwytany i uprowadzony do Niemiec. Cesarz Fryderyk II, aczkolwiek w inicjatywie tego czynu nie brał żadnego udziału, potrafił go jednak na korzyść swoją wyzyskać, zmuszając uwięzionego króla do zrzeczenia się na rzecz cesarstwa wszystkich ziem, przezeń zagrabionych. Waldemar wzbrania się z początku; przeciągające się atoli rok cały jego uwięzienie sprawia, że rozliczni wasale Danii wymawiają jej swoje posłuszeństwo, przechodząc na stronę cesarza. Objaw to tragiczny, ale nader w wiekach średnich zrozumiały. Upór więźnia trwał jednak dalej, a gdy po 2½-letniej niewoli, znalazłszy się wreszcie, za cenę różnych abdykacyi, w osłabionej nieobecności królewską Danią, wypowiada Waldemar II wojnę cesarzowi, to, pomimo znacznych

²⁾ Cod. dipl. Pomer. Nr 153. Tab. 7.

do niej przygotowani, ponosi klęskę zupełną na polu bitwy pod Bornhöwed, dnia 27-go lipca 1227-go roku. Jest to kres politycznego znaczenia potęgi duńskiej, a wpływ jej na Pomorze słabnie teraz niemal całkowicie. Przy Waldemarze zostaje tylko, z pośród tych ziem, wierna mu Rugia pod ks. Wisławem, synem Jaromira; co zaś do samego Pomorza, to brak źródeł nie dozwala, nawet w przybliżeniu, określić jego stanowiska względem upadającej Danii. Zdaje się jednak, że wobec zwiększonego w owym czasie wpływu na rządy pomorskie wzrosłej w potęgę szlachty miejscowej, nieodznaczającej się bynajmniej duńskimi sympatjami, a obojętnej na to, czyje w przyszłości zwierzchnictwo znośić jej przyjdzie, zajęło Pomorze postawę neutralną i stanowisko wyczekujące, wobec rozgrywających się w jego sąsiedztwie wypadków. Gdy jednak bodrycką Meklenburgię widzimy naówczas po stronie Niemiec, zdają się książęta pomorscy marzyć teraz o politycznej samodzielności swej władzy i oparciu jej na szerszych podstawach plemiennych, czego autor nie zaznacza. Że podobne pragnienia, a nawet i programy niezawisłości, oraz naturalnego wzmoczenia się w siły, jakie zaznaczyliśmy dawniej, mówiąc o przypuszczalnych przed stu laty, zamiarach ks. Warcisława I, starającego się uzyskać nową misję Ottona z Bamberga, istniały prawdopodobnie i obecnie, przemawia za tym fakt zwrócenia teraz przez obu książąt pomorskich bacznej uwagi na wschodnie Pomorze. Prowincya ta, zostająca stalej i dłużej pod swojskim wpływem słowiańskiej Polski a rządzona dotąd przez potomków Racibora, ks. sławnińskiego (v. Schlawe), brata Warcisława I, którzy właśnie około roku 1220-go bezpotomnie w linii starszej ¹⁾ wygaśli, stać się mogła najnaturalniejszą oczywiście i przyrodzoną podstawą do osiągnięcia tego rodzaju planów. Barnim jako najlegalniejszy obecnie po-za Świętopelkiem spalkobierca wygastej tam linii panującej, zajął księstwo Sławnińskie (Schlawe), wraz z ziemiami, pomiędzy rzeką Prośnicą (Persante), a Łebą (Leba) położonemi, wkrótce zaś potem i ziemie nad Wkrą, (Uckerland, obw. Szczeciński). Obszar dzierżaw pomorskich, zjednoczonych pod jednym berłem obu współpanujących książąt, zwiększył się teraz do rozmiarów niebywałych. Ograniczone na północ Bałtykiem, sięgają one na południe do Szpandawy, na wschód do Łeby, a na zachód do wschodniej Meklenburgii. W tak powiększonym państwie Barnima I, nie tylko nie

¹⁾ Z linii młodszej tego rodu, a raczej dynastji wschodnio-pomorskiej, pozostał Świętopelk II, wuj Barnima I, jako brat matki jego, Mirosławy.

powstają już żadne poważniejsze przeszkody na drodze dalszego rozwoju niemieckich wpływów wśród Pomorzan, ale owszem, z postępem czasu znajdują one grunt, coraz dla siebie podatniejszy. Za Barnima osiadają niemieccy Joannici w Stargardzie (1229), a już po roku 1230 zauważyć się daje potężny wzrost kolonizacji i kultury niemieckiej na Pomorzu, zarówno od strony Niemiec, jak i Brandenburgii, z którą utrzymuje ono teraz stosunki przyjacielskie. Jeszcze w roku 1224 zawiera siostra ks. Barnima, Dobrosława, związki małżeńskie ze szlachcicem braniborskim, Jaczonem, którego Kratz, badacz dziejów pomorskich, uważa wprost za Niemca, a który, w każdym razie, był człowiekiem, kulturze niemieckiej oddanym. Babka księcia, Anastazy, czyni też teraz, ze szczodrobliwością, pierwej niebywałą, liczne fundacye duchowne, połączone, jak zazwyczaj, z otwarciem nowych wrót dla immigracji Niemców, a wzmagająca się w tych warunkach hojność książęcego domu dla Kościoła łączy się już nawet niekiedy z pokojowym wywłaszczaniem, obdarowanej poprzednio ziemią przez książąt, szlachty pomorskiej. Za inicjatywą Anastazy, powstają nowe klasztory w Dargach i Belbaku, gdzie, wśród sprowadzonych tam Premonstrantów, osiadła nawet na stare lata córka Mieszka Starego, aczkolwiek zbyt liczne jej darowizny na korzyść tego zakonu zmniejszone zostały nieco następnie przez wnuków. Ze wzrostem ułatwionej przez przywileje kolonizacji na ziemiach duchownych, obejmujących już pomiędzy rokiem 1230 a 1233-cim 1220 mil kwadratowych z dwustu wsiami, powstaje za inicjatywą Niemców pierwsza na Pomorzu mennica, w Kołobrzegu. Główna osada pomorska nad Wkrą (Uckermünde) otrzymuje prawo niemieckie, a za nią i wsie niektóre, nawet w okolicy duńskiej Ildy (Eldena) położone, gdzie też z pierwszym wśród Słowian sołtysem spotykamy się już podówczas, jak również z pierwszymi wsiami o nazwach niemieckich. W roku 1233-cim nakoniec obsadza Barnim niemieckich Templaryuszów w Pierzycach (Pyritz, miasto powiatowe), przyczyniając się tym krokiem może najpoważniej do sprawy późniejszej germanizacji Pomorza. Prócz prawnopublicznych przywilejów dla przybywających z Niemiec osadników, otrzymuje też nader liczne udogodnienia napływająca tam, acz skąpo jeszcze, szlachta niemiecka. Są to w latach 1220 — 1230 pierwszy lennicy pomorscy, podkopujący zwolną u niemczącego się stopniowo dworu stanowisko szlachty autochtonicznej, która w dalszej dopiero przyszłości osiąga zupełne pod względem praw zrównanie się z nimi, ale już za cenę całkowitego zniemczenia. Tak poważnie już przedstawiają się w połowie XIII stulecia owoce stuletniej z górą, a właściwie pokojowej, działalności Niemców na Pomorzu. Germanizacji świa-

domiej, polityczno-narodowej, niema tam jeszcze, choć posiew pod nią, mimo warunków często nieprzyjających, został już ostatecznie rzucony. Stało się to jednak głównie skutkiem kulturalnej wyższości Niemców i przyrodzonego w historyi prawa, które, jak nas uczą dzieje, zwykle podporządkowują niższe szczeble cywilizacyjne wyższym. Dalszego rozwoju rzuconych na karty dziejowe losów Pomorza dopilnowuje sama już kolonizacya niemiecka, wzmagająca się odtąd z każdym niemal rokiem.

Wzgląd ten, gdy go po-za autorem naszym, na tle wewnętrznych dziejów monarchii Piastowskiej rozpatrzymy, każe niewątpliwie przypuszczać, że wbrew zdaniu dzisiejszych badaczy naszego średniowiecza, ówczesna kolonizacya niemiecka w Polsce rozmiarami swojemi nigdy pomorskiej nie dorównała, stając się tutaj w znacznej większości wypadków i w porę raczej pobudką do samozachowawczego przenoszenia dawnych wsi autochtonicznych o prawie polskiem na dogodniejsze dla kmieci, a przez wymagania ekonomiczne kraju poddyktowane, prawo niemieckie, niż do zupełnie nowych i czysto-niemieckich lokacyi wiejskich. Przesadna bowiem mnogość tych ostatnich pozostawiła-by z pewnością jakieś trwalsze ślady pokojowej germanizacyi u nas, niż język niemiecki, w paru znanych księgach wiejskiego sądownictwa w Polsce zachowany.

Drugą część pracy swojej poświęca właśnie autor mozolnemu i szczegółowemu przeglądowi pokojowych a stopniowych zdobyczy, jakimi ze strony niemieckiego osadnictwa znaczy się niezamącony już niczem rozwój dalszego, pod względem kulturalnym, niemczenia się Pomorza. Ważniejsze z nich, które w krótkości zaznaczyć tu musimy, przedstawiają się w sposób następujący: Zarówno autochtonowie, jak Niemcy, rozproszeni są po całym kraju. Ci ostatni, jako wyżsi kulturą, a umiejący sobie pozyskać pierwszeństwo u germanizującego się na wzór czeski, lub szląski, dworu, spychają zwolna Słowian na plan ostatni, zachęcając ich w ten sposób, choć może i wbrew chęci własnej, do wstępowania w ich ślady. Toż samo da się u schyłku wieku XIII powiedzieć i o Rugii, mimo jej luźnych tylko, do niedawna, związków z Niemcami, a długoletniego hołdowania Danii. Swoją jednak drogą, do zupełnie samodzielnej a stanowej organizacyi prawnej niemieckiego osadnictwa na wzór ojezysty przychodzi na Pomorzu dopiero później, w wieku XIV. Stara władza książęca nie jest tam bowiem w XIII stuleciu zbyt jeszcze pochopna do pozbywania się swej siły patryarchalnej na rzecz dobrowolnie udzielanych eksepceyi i imunitetów poddanym, chociażby nawet i protegowanym skądinąd. Ten

stan pośredni. w którym tkwią już niespożyte w swej młodocianej żywotności pierwiastki, umiłowanej duchowo przez książąt, kultury niemieckiej, obok skazanych przez nią na zagładę, starych, ale trzymających się jeszcze, czynników słowiańskiego absolutyzmu władzy książęcej, stanowi istotne tło stosunków wewnętrznych Pomorza u schyłku wieku XIII.

Tak pożądanę dla germanizacji zakładanie miast niemieckich na Pomorzu ma też podówczas charakter oryginalny wielce. Nie całe bowiem wspólnoty miejskie (*communitates*), ale tylko jednostki mieszczkańskie otrzymują prawo niemieckie. Na takich warunkach następuje w roku 1337-ym przeniesienie Szczecina na prawo magdeburskie, a w trzy lata później (1240) powstaje tam, dla obdarzonej niem reszty kolonistów niemieckich na Pomorzu, wyższy sąd prawa niemieckiego, w czym, jak widzimy, kraj ten o lat sto z górą wyprzedza Polskę. Współcześnie też przeważają już liczebnie Niemcy w składzie książęcego dworu, a za ich sprawą i ku ich pożytkowi tworzy się sejm ziemski, *Landding*, oraz niektóre kasztelanie zamienione zostają na województwa krajowe (*Landvogteien*). Słowianie trzymają się jednak od urzędzeń tych jeszcze zdaleka. Stopniowo daje się wszelako zauważyć wpływ urzędzeń niemieckich na stosunki agrarne Pomorza. Autor podnosi w tej mierze ciekawy jakoby szczegół częstego wprowadzania niemieckiej miary rolnej, łana, czyli włóki (*Hufe*), na grunta dawniej słowiańskie, znające miarę inną, zapewne, jak w Polsce, morgę, (*jugum*), oznaczającą pierwiastkowo kawalek ziemi, dający się w ciągu dnia jednego zorać. Jest to oczywiście objaw zwykłego przenoszenia wiosek słowiańskich na prawo niemieckie, o czym autor nie wspomina ani słowem, jak gdyby mu pojęcie podobnie zwykłego na ziemiach słowiańskich procesu, datującego się właśnie od schyłku wieku XIII, było obcem. Fundacye duchowne, jak np. nowego klasztoru Cystersów w roku 1245-ym, przywileje dla Niemców i rozliczne dla nich udogodnienia, sypią się, jak z rogu obfitości, z rąk ożenionego z Niemką, ks. Barnima I. który też zamienia dawną opłatę słowiańską *wogiwotniza* ¹⁾, na podatek łanowy. (*Hufenschoss, census mansorum*). Wójt w Stargardzie i Pierzycach (*Pyritz*) otrzymuje w roku 1240-ym prawo bicia monety, a nawet duńska dawniej Hlda (*Eldena*) staje się już około roku 1260-go istnem ogniskiem germanizacji. Jedyny Julin trzyma się dłużej, bo aż do roku 1280-go, w którym jednak, za rządów nastę-

¹⁾ *Wojewodnica*, chyba opłata na rzecz wojewody = księcia.

pcy Barnima, ks. Warcisława IV-go, daje zupełny już do siebie przystęp Niemcom przez zaprowadzenie u siebie wójtostwa w roku 1277. Kołobrzeg i Kamień zamieniają się również w tymże czasie w postępniki germanizacyjne. Nie zapomina też Barnim I o cywilizowaniu pobratymców, zagarniając w roku 1270-ym z tą myślą wschodnio-pomorski Neumark i Soldyń (Soldin). O pierwszy toczy on nawet walkę z Polską i Szląskiem, których chwilowe powodzenia nie były jednak trwałe. Soldyń zatrzymuje Barnim nawet na dłużej, mimo silnego oporu swego wuja, ks. wschodnio-pomorskiego, Świętopelka, rezydującego w Gdańsku. I ten książę jednak, utrzymujący ciągle stosunki z Polską i obu Władysławami, Laskouogim i Odoniczem, niemczy się w końcu, podobnie, jak znaczna u samego schyłku wieku XIII część szlachty pomorskiej, przyjmującej obyczaje niemieckie i ubiegającej się usilnie o pasowanie na rycerstwo, zachodnim, czyli, jak w tym wypadku, niemieckim obyczajem.

Jakże więc wielkie już u schyłku XIII stulecia zaszły zmiany na Pomorzu od czasów apostołstwa świętego Ottona. Słowiańscy pobratymcy Polski są teraz skłonniejsi raczej do stanowczej z nią walki, niż do stawiania oporu coraz silniejszemu napływowi niemiecczyzny, mającej ich w końcu całkowicie pochłoniąć. Przychodzi nam też na myśl pytanie, czy chwila (r. 1295), w której ks. Mestwin pozostawia wschodnie Pomorze Przemysławowi wielkopolskiemu, nie była zbyt już późną, aby nawet jednocząca się znowu i wzrastająca w siły, monarchia Piastowska, przy usiłowaniach, nie nadwerężających jej własnej budowy, była w stanie z pomocą tych, tak pokrewnych zachodniemu Pomorzu ziem, zwrócić jeszcze to ostatnie na tory plemiennego rozwoju i ocalić je w przyszłości dla świata słowiańskiego. Wobec tego blizkie z jednej strony powinowactwo cywilizacyjnych dążeń obu tych dzierżaw pomorskich, skierowanych już u schyłku XIII wieku w sposób niemal stanowczy ku zupełnemu ugięciu się pod wyższością niemieckiej kultury, pomimo zaznaczonych przez nas wyżej efemerycznych błysków idei samodzielności, z drugiej zaś strony silna a energiczna gospodarka niemieckich Krzyżaków, będących od północy mieczem Damoklesa dla Polski XIV wieku, zdaje się w świetle zupełnej konieczności przedstawiać ustąpienie wschodniego Pomorza Zakonowi przez Kazimierza Wielkiego. Zaznaczam tu względ ten, celem pożądanego dopełnienia i podniesienia słuszności naszej historyografii (Szujski) ¹⁾, która do analogicznego już doszła wniosku, nie ty-

¹⁾ „O warunkach kaliskiego traktatu.“ (Dziela, tom VII).

kając nawet wewnętrznych stosunków Pomorza, ale ograniczywszy się do samej tylko oceny politycznych pobudek i pressyi, jakie zmusiły swojego czasu ostatniego Piasta do zrzeczenia się Pomorza na rzecz Krzyżaków traktatem kaliskim w roku 1343-cim. To też, jeśli w szóstym dziesięcioleciu wieku XV-go spotyka się tam działalność Kazimierza Jagiellończyka z objawami nie małej dla Polski przychylności, należało-by je przypisać nie tyle trwającemu oddawna pragnieniu złączenia się Pomorza ze współplemienną mu monarchią, ile pobudzonej już tam naówczas uciskiem ze strony Niemców chwilowej reakcyi, znanych z przyrodzonej odporności, pierwiastków słowiańskich, zaznaczających się dziś jeszcze tak silnie w Czechach, na Łużycach i na Szląsku, a szukających wtedy w Polsce ocalenia od doszczętnej zagłady, prócz ewentualnego polepszenia losu.

V.

Dzieło swoje podzielił p. Sommerfeld na dwie części, a te na piętnaście rozdziałów, utrudniających nie mało, z powodu wadliwego ich układu i niepotrzebnego często powtarzania się, jasny przegląd ciągłości i ściślejszego związku opowiadanych wydarzeń. Jeden z rozdziałów początkowych (III) traktuje o wewnętrznych stosunkach zachodniego Pomorza, a raczej o jego samoistnej, słowiańskiej organizacyi, o ile ta z odnośnych źródeł, aż do wieku XIII włącznie, da się obecnie odtworzyć. Ponieważ, zdaniem naszym, dotychczasowe pominięcie obrazu tej organizacyi społecznej Słowian pomorskich nie mogło czytelnikowi polskiemu nie utrudnić zupełnie dokładnego zrozumienia przedstawionej wyżej karty początkowych dziejów ich germanizacyi, odłożyliśmy część tę na koniec, jako wymagającą osobnej, a w danym wypadku i ostrzejszej, krytyki. Wyróżnia się też ona z całości samego dzieła zupełnym brakiem odnośników źródłowych, a była prawdopodobnie pisana dodatkowo z luźnych notat, jakie autor w ciągu studyów ogólnych poczynił przy sposobności, uzupełniając je potem z pamięci. Zupełny brak cytat i dodatków, w których-by jedynie geneza i wartość bardziej złożonych wniosków należycie uwydatnić się mogła, stara się autor usprawiedliwić brakiem miejsca, ograniczonego przez wy-

dawcę. Należało-by nam wobec takiego gwałtu, zadanego najprostszym wymaganiom nauki, który nas gruntowniejszego niemieckiego studyum o wewnętrznych stosunkach zachodnio-słowiańskich pozbawił. apellować na przyszłość do profesora Schmollera, gdyby nie widoczna z jednej strony i musowa poniekąd powierzchowność w przeprowadzeniu tej części pracy przez autora, a z drugiej prawdziwie zbyt wielka na dziś jeszcze dla Niemca trudność w należytem opanowaniu podobnego zadania, które wymaga niezbędnie odpowiedniej znajomości społecznych urządzeń słowiańskich wogóle, a więc między innymi języków i prawnych zwyczajów słowiańskich, dla badacza, zamierzającego traktować je w szczególności. Byli-byśmy wszelako niesprawiedliwi, odmawiając całkowicie wartości wspomnianej części pracy autora. Są w niej bowiem szczegóły dość cenne, które, wobec odnośnego w czasach ostatnich ruchu naszej historyografii, zarówno w swych pracowitych, a wielkim mozolem okupionych rezultatach, obfitej, jak i skąpej zarazem względnie do stopnia szerszego zainteresowania się tym przedmiotem, podnieść tu z całą słusznością należy. Ogólną sumę tych wiadomości zgrupujemy nietylko ze wzmiankowanego, a poświęconego im specjalnie rozdziału, ale i z odnośnych, a rozrzuconych po całej pracy, szczegółów. Całość zaś, w ten sposób zebraną, postaramy się, dla większej dokładności i jasności, przedstawić, w myśl naszego założenia, w oświetleniu analogicznego ustroju społecznego Polski Piastowskiej.

Sam teren zachodniego Pomorza, sięgający z jednej strony do Dymina (Demmin, reg. Szczecińska) i Wolgastu, a do Koszalina (Cöslin regencyjny) i Łeby (Leba) z drugiej, obfitujący zarówno podówczas, jak i dziś jeszcze poniekąd, w lasy, bagna i wody, podyktował, już w epoce pierwotnego osadnictwa tych ziem, plan i charakter ich zaludnienia. Zestawiając ogólną przypuszczalnie liczbę najdawniejszych w epoce historycznej mieszkańców zachodniego Pomorza z ich ilością w miejscowościach poszczególnych, uderza, bijący w oczy, brak stosunku pomiędzy przeciętnem zaludnieniem jednych a drugich okolic, co też i w procesie cywilizacyjnym tego kraju nie małą odgrywać musiało rolę. Nazwy najdawniejszych osad zachodniego Pomorza są oczywiście słowiańskie, a ich końcówki mają pod względem etymologicznym bądź charakter dzierżawczy, jak *in*, lub *ów*, bądź też patronimiczny, jak *ic*. Ponieważ, jak wiadomo, patronimiczna końcówka *ice*, lub *yce*, zwykła w zniemczonem brzmieniu nazw miejscowości słowiańskich przechodzić w *itz* (np. Pierzyce = Pyritz), a *ów* i *owo* w *ow*, autor zaś, nieznający języków słowiańskich, a spotykający w dokumentach średniowiecznych, pisanych na Pomorzu niemal wyłącznie przez Niemców, tylko trzy po-

wyższe końcówki, więcej nam ich i w sposób dokładniejszy przedstawić nie mógł. Wyłuszczone przez nas końcówki: *in*, *ów*, lub *owo*, oraz *ice*, lub *yce*, stanowią, jak wiadomo, najczęstsze zakończenie nazw miejscowości nie tylko wielko, ale i małopolskich. Stwierdzić nam więc na podstawie omawianych badań należy przede wszystkim znany już zresztą fakt o jednakim u Słowian zachodnich sposobie tworzenia nazw dla swych osad. Słowiańskie osady na zachodnim Pomorzu, pustoszące, zdaniem autora, nader często w XII i XIII stuleciu, zarówno pod względem rolnym, jak i mieszkalnym, wskutek obfitości ziemi, a braku rąk roboczych, miały przede wszystkim charakter jednodworczy (Einhofsystem, einzelgehöft). Wsie we właściwym znaczeniu, mające za podstawę zarówno większą ilość rolników, jak i pewną wspólnotę, w znaczeniu nie tylko prawnem, ale i agrarnem (Mehrhofsystem, Dorfmarken), powstają tam dopiero pod wpływem niemieckiej kolonizacji. Do podobnego zapatrywania się, ogólnego zresztą w nauce niemieckiej, z którym-by się jednak nasza szkoła Lelewelowska nie zgodziła, dochodzi autor na podstawie następującego spostrzeżenia. Zakładaniu wiosek niemieckich towarzyszył, jak wiadomo, jeden stały plan, polegający na tem, że przez osadę (wieś) biegła szeroka droga ze wspólną sadzawką w środku, a nad tą drogą pobudowane były wzdłuż, z obu jej stron, a w dwóch równoległych rzędach, zagrody kmiece. Typ charakterystyczny wiejskiej osady słowiańskiej, należącej zresztą do rzadkości, zasadzał się zazwyczaj na pobudowaniu zagród dokoła stawu, czy sadzawki; grunta wiejskie, zarówno tu, jak tam, biegły we wszystkich kierunkach po-za chatami wieśniaków. Otóż, gdy typ pierwszy, niemiecki, jest ogólnym zarówno na Pomorzu, jak i w innych krajach zachodnio-słowiańskich, typ drugi, w Niemczech zupełnie nieznan, a spotykający się wyłącznie w najstarszych osadach słowiańskich, należy w badanych przez autora ziemiach pomorskich do wyjątkowych rzadkości, tam nawet, gdzie się wykazać daje prastarą przeszłość osady. Wynika stąd przypuszczenie, że jeśli z jednej strony *wsie* słowiańskie posiadały swój typ przeważnie odrębny, a ślady tego typu nie zachowały się w danej osadzie, sięgającej swym początkiem zamierzchłej przeszłości, z drugiej zaś strony typ słowiański, jak świadczy jego zachowanie się w wioskach, później na prawo niemieckie przeniesionych, nie przeszkadzał zastosowaniu do takiej wsi agrarnych urządzeń tego prawa, osada taka przedstawiać musiała ongi zaginiony typ trzeci. Jeśli zaś typ ten postaramy się odtworzyć z jedynych w tym względzie, a pozostawionych nam przez najstarszych pisarzy bizantyńskich i arabskich, wiadomości o bycie Słowian, będzie nim osada, złożona z pewnej ilości luźnych zagród jednodworczych, rozrzuconych na danej przestrzeni bez żadnego systemu, świad-

czącego o ich wspólności. Ustęp ten w opracowaniu autora jest niejasny i niewyczerpujący.

Grody pomorskie, zarówno pierwszorzędne (Szczecin), jak drugorzędne (Dymin, Kołobrzeg, Kamień, Juliu i t. d.), nie miały oczywiście, podobnie jak i wsie, prawnych cech późniejszej miejskiej wspólnoty, co z całą stanowczością stwierdzić możemy i w Polsce ówczesnej, lecz były tylko ogniskami politycznego, wojskowego i sądowego życia. Składały się one, podobnie jak u nas, z właściwego, przez siłę zbrojną zajmowanego, grodu (*castellum*, rzadziej *castrum*) i podgorozdia (*suburbium*, *vicus*, *Flecke*), zamieszkałego przez służbę dworską, lub grodzką, oraz drobnych rzemieślników i ludność, trudniącą się handlem. Z powodu małego atoli swego zaludnienia, może z wyjątkiem jednego Szczecina, będącego najgłówniejszym ogniskiem handlowym Pomorza, nie mogły one swego czasu wybitnego na kraj wpływu wywierać.

Najniższą ludność Słowian pomorskich dzieli autor na dwie klasy: *Leibeigene*, czyli ludzi, stanowiących czyjś fizyczną własność i *Grundhörige*, t. j. przywiązanych, choćby na pewnych, nawet dogodniejszych warunkach, do gleby. Pierwszych, zwanych w źródłach *decimi rustici*, albo *decimarii*, grających niewielką tylko rolę w ustroju społecznym Pomorza, rekrutowano z brańców wojennych, używając ich, czy to jako czeladź dworską (*Hausgesinde*), czyli też jako robotników rolnych, parobków (*Ackerknechte*). Autor nie uważa ich jednak za niewolników we właściwym tego słowa znaczeniu i o tych nie wspomina wcale, poglądu swego jednak uzasadnić należycie nie umie.

Klasa wspomniana znajduje wierne swe odbicie i w przedstawionym przez prof. Piekosińskiego pierwotnym ustroju społeczeństwa polskiego, również jako czeladź, dworska i rolna, lub jako ciury wojenne, których dowódcami byli dziesiątnicy i setnicy, oraz stojący nad nimi główny naczelnik, zwany *Pstresto*. Gdy jednak autor, nie badający rzeczy specjalnie, ogranicza się zarówno z tego powodu, jak i z braku odpowiedniego przygotowania, do źródeł dyplomatycznych wieku XIII, gdyż zasób wcześniejszych jest zbyt szczupły, a na tle tego wieku, wobec właściwych mu warunków i wpływów obcych, rzecz sama przedstawiać się już musi w świetle zmienionem, bada nasza historyografia przedmiot analogiczny z całym wysiłkiem wstecznego wnioskowania i znajomością rzeczy. Otóż wspomniana klasa pomorskiej czeladzi przedstawia się na gruncie polskim, również pod mianem *decimi rustici* i *decimarii*, jako całkowicie niewolnicza w swym pierwokształcie, który jednak następnie, już od połowy XII wieku począwszy, raz skutkiem wzmagającej się potrzeby pomnożenia produkcji rolnej i ożywienia rolnictwa, a powtóre, z braku potrzebnej po temu ilości

rąk roboczych, zlewać się poczyna z wolna ze swobodniejszą od niej, dawną ludnością rolną. Proces ten w wieku XIII zbliża się już w Polsce ku swojemu końcowi. Podobnie być musiało prawdopodobnie i na Pomorzu, a stąd też pochodzi zrozumiała całkiem chwytliwość autora w odnośnem wypowiedzeniu bardziej określonego wniosku. Poddziałów specjalnych tej najniższej klasy ludności pomorskiej, mianowicie z epoki jej zupełnie odrębnego bytu, autor nie przedstawia, zaznaczając tylko ogólnie, że istniały one na Pomorzu Wschodniem. Wielka jednak szkoda, że nie podaje on wcale tamtejszych analogii, znanych w Polsce, specjalnych kategorii służby grodzkiej (naroczników), jak np. Kuchary, Piekary, Winiary, Kołodzieje i t. p., którzy w pobliżu grodów bywali zazwyczaj osadzani. Pomorze zachodnie różnić się zaś w tej mierze zbyt wielką odrębnością od wschodniego nie mogło wówczas.

Druga klasa ludności pomorskiej, wymieniona przez autora, *Grundhörige*, znajduje w Polsce ówczesnej analogiczny swój wyraz w kmieciach, lokowanych na prawie polskiem. Ludzie ci, przywiązani na pewnych warunkach do gleby, mieli, wedle autora, w posiadaniu swoim grunt książęcy, lub pański, t. j. szlachecki, z którego przez właściciela prawdopodobnie tylko za odpowiednem wynagrodzeniem, jeśli przewidzianych a określonych nie popełnili przestępstw, *rugowani* być mogli. Zapewne więc i naodwrot, samowolne opuszczanie roli musiało im być pod pewnemi tylko warunkami dozwolone ¹⁾, nic jednak autor o tem nie wspomina. Byli to zatem, jak, wbrew przypuszczeniom autora, sądzić nam wypada, ludzie osobiście wolni. (gdyż z pojęciem *rugów* wolność taka ściśle łączyć się musi), jednym słowem nasi kmiecie-dziedzice (haeredes), których prawne stanowisko w Polsce, oczywiście z biegiem czasu nieco zmodyfikowane, ale w każdym razie w głównym swym zarysie na starodawnych jeszcze zwyczajach oparte, określa po raz pierwszy w sposób bardziej wszechstronny statut Kazimierza Wielkiego. Z niego też, jako z całkiem przystępnego dla obcych *ex re* łaciny, powinien był autor w tym wypadku skorzystać.

Z przypuszczalnem stanowiskiem ekonomicznem tych ludzi łączy się on w ten sposób nader ogólnikowy i pobieżny, oświadczając, że rodzaj ciążących na nich obowiązków i prestacji publicznych zależał od poszczególnego postanowienia monarchy, a prywatnych od takiegoż rozporządzenia pana. Zestawiwszy twierdzenie to z dalszym ciągiem odpowiednich analogii, wykazanych na współczesnym gruncie

¹⁾ U nas później uprawomocnione: gwałt, klątwa, ciąża i rabunek ze strony pana. (Statut wislicki).

polskim, które zarówno w tym wypadku, jak i w poprzednich, zawieść-
 by nie powinny, rozróżnić przede wszystkim wypadnie dwie strony
 ewentualnego prawdopodobieństwa, wyrażonego w tem twierdzeniu
 autora, mianowicie: teoretyczną i, sprzeciwiającą jej się częstokroć, po-
 lityczną. Co do pierwszej, to autor okazuje zupełny brak gruntowniej-
 szej znajomości rzeczy, co zaś do drugiej, powinszować mu tylko należy
 iście mistrzowskiej, hołusznej, intuicji. Obowiązki i prestacye publi-
 czne wymienionej klasy ludności rolnej, o ile z polskich znowu analogii
 wnosić wolno, unormowane być musiały i na pobratymczem jej Pomor-
 rzu przez pewne, lokalne zwyczaje ziemskie, które dana osobistość
 panującego księcia, wzmocniona odpowiednią siłą, a opierająca się na
 teoretycznej pełni, ograniczonego w istocie temi zwyczajami, patriar-
 chalnego wszechwładztwa, łamać niejednokrotnie musiała. Tak przy-
 najmniej przedstawia się rzecz ta na tle wieku XIII, bo o wcześniej-
 szem wśród Słowian zachodnich ustaleniu się pewnych zwyczajów,
 przechodzących stopniowo w prawo, mówić trudno. Toż samo ma się
 i z ciężarami prywatnemi wspomnianej klasy ludności rolnej. Że i pod
 tym względem, podobnie jak w Polsce, istniało podówczas na Pomorzu
 jakieś unormowanie, podyktowane przez warunki ekonomiczne danej
 epoki, wątpić niepodobna. Ponieważ jednak geneza tego unormowania
 zawisła ściśle od danego stosunku kapitału, czyli, jak w tym wypadku,
 własności ziemskiej, do pracy, t. j. od danego ustosunkowania w pe-
 wnej ekonomicznej epoce podaży i popytu zarówno jednej, jak drugiej,
 zmieniać się też niekiedy musiały nie „rozporządzenia“ pana, o jakich
 mówi autor, ale poprostu warunki ustnego, czy piśmiennego kontraktu,
 jaki pan z rolnikami swoimi zawierał. Tak nam się rzecz ta przedsta-
 wia w oświetleniu dokładniejszym, gdy ją przez porównanie ze współ-
 czesnemi stosunkami agrarnemi w Polsce rozjaśnimy. O bliższem okre-
 szeniu siły podatkowej i ekonomicznego stanu tej klasy ludności po-
 morskiej nie może oczywiście naówczas być mowy. Autor wnosi ze
 źródeł, że po-za rolnictwem, pasterstwo, pszczelarstwo, łowiectwo
 i rozpowszechnione wielce, dzięki warunkom terenu, rybołówstwo, by-
 ły najglówniejszemi rodzajami pracy tych ludzi, trudniących się
 w rzadkich tylko wypadkach rzemiosłami, lub drobnym przemysłem.
 Podlegali oni, podobnie jak w Polsce, jurydyceyi książęcej, gdyż pań-
 ska dopiero w czasach późniejszych, na podstawie różnych przywile-
 jów i immunitetów, szlachcie przez księcia udzielanych, rozwinąć się
 mogła. Niesiusznie też przypuszcza autor jej istnienie w Polsce ów-
 czesnej, gdzie w wieku XIII należała ona tylko do wyjątków, jakie
 zapewne i na Pomorzu wykazać-by się wtedy po gruntowniejszych ba-
 daniach dało. Sądownictwo książęce jednak spoczywało teoretycznie
 tylko w rękach panującego; w praktyce należało ono przede wszystkim

do gniotących ludność wiejską na własną rękę jego urzędników. Że zaś średniowieczny świat urzędniczy, hasający swobodnie, gdy mu chwilo-wo silniejszego z góry hamulca brakło, dawał jej się często we znaki, to pewna. Było też bezwątpienia, jak twierdzi autor, faktyczue położenie tej ludności na Pomorzu znacznie gorsze, niż analogicznej z nią klasy ówczesnego społeczeństwa niemieckiego, która, znajdując łagodne z sobą postępowanie w licznych posiadłościach duchowieństwa ¹⁾, obdarzonego rozległemi ze strony rządu przywilejami i immunitetami, posiadała nadto, nieznanem Słowianom, urzędzenia stanowe, a z niemi możność i prawo szukania wyroków (ortyle, Urtheil) po-za autorytetem pana duchownego, lub świeckiego. Dla dokładności dopełnić tu musimy autora wzmianką, że twierdzenie powyższe może być uzasadnionem jedynie przed wiekiem XIII, wiadomo bowiem, że już od połowy tego stulecia faktyczne położenie włościan niemieckich pogorszyło się tak znacznie, iż w owych gorszych poprzednio warunkach, panujących w Słowiańszczyźnie, szukać oni musieli na przyszłość polepszenia własnego losu.

Pochodziło to mianowicie ze zmiany, jaka zaszła podówczas w stosunkach agrarnych całych niemal Niemiec, z wyjątkiem ich prowincyi południowych. Aczkolwiek wspólność osadników rolnych, zamieszkałych w danej miejscowości, składała się, zarówno pod względem prawnym, jak i agrarnym, na pojęcie i istotę wioski niemieckiej (Dorf), a dalej wogóle instytucyi wiejskiej wspólnoty (Dorfgemeinde), nie była jednak bynajmniej ta wspólność komunizmem, gdyż każdy z włościan posiadał wydzieloną sobie z gruntów wiejskich, a określoną ilość roli, łąki, lasu i t. d., czyli osadę, rozproszoną niekiedy w swych częściach składowych, w miarę rodzaju wiejskiego terenu, na większej przestrzeni, a noszącą w całości nazwę włóki = łana (Hufe, mansus). Powstała wskutek takiego urzędzenia szachownicę gruntów włościańskich spotykamy i dziś jeszcze u nas nawet we wsiach, używających w przeszłości prawa i urzędzeń niemieckich. Do połowy wieku XIII tedy byli włościanie niemieccy czynszowymi, a więc i dziedzicznymi często posiadaczami gruntów pańskich, podzielonych, jak widzieliśmy, na drobne po wsiach części, które uważać tam należy za późniejsze odbicie małorolnego pierwowzoru, stanowiącego ongi w Niemczech, za Merowingów i Karolingów jeszcze, przeważający typ posiadłości ziem-

¹⁾ Charakteru postępowania duchowieństwa polskiego z podległymi mu kmieściami zbadać w Polsce przed końcem wieku XIV, t. j. w epoce braku ksiąg sądowych, niepodobna. Później atoli jest rzeczą pewną, że gorzej się ono z ludnością tą obchodziło, niż szlachta.

skie. Czysznz płacili oni aż dotąd nader umiarkowany, a niezbyt też uciążliwe były i inne ich ciężary względem panów. Obecnie, t. j. około połowy wieku XIII, zachodzi tam zmiana podobna, jaką w Polsce spotykamy w dwieście lat później. Pomimo wielkiego nagromadzenia ziemi w jednych rękach ¹⁾, szlacheccy i duchowni właściciele gruntu, trzymający się przedtem zdala od samodzielnego gospodarstwa rolnego, poczynają zwiększać dworskie, czyli samoistne, na własny rachunek prowadzone, fermy rolnicze (folwarki = Vorwerke ²⁾, allodia), kosztem rozległości dawnych gruntów czynszowych. W dalszym zaś ciągu tej działalności, w której panowie czas swój i zajęcia pomiędzy miecz i pług w równej mierze dzielą, obalają też przez wprowadzenie ochrony lasów, przeważający w dawnym sposobie prowadzenia gospodarstwa rolnego system, polegający na trzebieży i karczunku odwiecznych borów, który przedewszystkiem zwiększał dotąd ilość gruntów pod uprawę, (Rodung). Wytwarza się stąd łatwo zrozumiały brak roli w porównaniu z powstającym w prostym stosunku nadmiarem rąk roboczych. Dawniej włókowe udziały chłopskie (Hufe, 14 do 15 hektarów) rozpadają się obecnie na mniejsze udziały, jako to: pół i ćwierć włókowe kawałki gruntu (Halb-u.viertel-Hufen), z których czynsz jednak, zatrzymując się, wobec wielkiego popytu na dzierżawę gruntu, w wysokości dawnej opłaty z całej włóki, zwiększa się niekiedy w czwórnasób w stosunku do warunków poprzednich, a z nim i inne ciężary chłopskie względem panów (Frohndienste), którzy, nie wyzbywszy się swych potrzeb, pragnęli osiągać z mniejszej ilości gruntu tyleż, lub często więcej jeszcze usług i danin, niż dawniej ze znacznie większych, a oczynszowanych przestrzeni. Nadto, ponieważ dawna hufa była małą osadą, posiadającą i budynki gospodarskie, do których budowy zobowiązywali się zazwyczaj włościanie odpowiednym punktem kontraktu, zawieranego z panem, teraz zaś mniejsze, t. j. pół i ćwierć włókowe udziały gruntu potrzebowały powiększenia ilości tych budowli, stała się ta praca w rezultacie dodatkowym ciężarem, jaki spadł na bary włościan niemieckich wskutek zmiany warunków ekonomicznych kraju, zwiększających nadmiernie podaż rąk roboczych w stosunku do zmniejszonej podaży gruntu. Minęły więc złote dla nich czasy: z optywających dawniej w dostatek ich szeregów tworzy się zastęp proletaryatu, który, na domiar złego, popada w osobistą zależność od panów (Leibeigenschaft), którzy dawne swe prawa do gruntu, złączonego ściśle w ich poję-

¹⁾ Arcybiskup Fuldy posiada podówczas przeszło 20,000 włók ziemi, a wielu innych dygnitarzy duchownych blisko tyleż.

²⁾ Gdy ogół gruntów wiejskich nosił miano *Werk*, leżąca po-za nim dworska część gruntu zwala się *Vorwerk*.

ciu z siedzącymi na nim, dziedzicznie zazwyczaj, pracownikami rolnymi, czyli pojęcie poddaństwa, skojarzone dotąd siłą faktów z pojęciem roli i pracy na niej, przenoszą teraz, po osobistym zajęciu tego gruntu, na samychże włościach. Podobna zmiana warunków ekonomicznych i agrarnych nastąpiła też i we Francji ówczesnej, a wojny chłopskie i zamieszki, szerzące się na Zachodzie w wieku XV, nie są niczem innym, jak tylko rozpaczliwym buntem uciśnionych przez dwa wieki chłopów, dla których wtedy i wschód słowiański, dotychczas ziemia obiecana, zamknął ostatnie wrota ratunku. To, co widzimy na Zachodzie już w połowie wieku XIII, rozwijać się poczyną w sposób ściśle analogiczny w Polsce, począwszy od drugiej połowy XV stulecia. W wieku XIII i XIV jednak, oraz początkach XV-go, trwa ciągle jeszcze u nas stosunek odwrotny do agrarnego położenia Zachodu, t. j. wielki popyt na ludzi, robotników rolnych, a wraz z nim i olbrzymia podaż ziemi, skłaniająca panów polskich do ustępstw na rzecz kolonistów, wobec czego, niekorzystne poprzednio dla Niemców warunki słowiańskie zmieniły się, w porównaniu z zaszłą na Zachodzie zmianą, w ziemskie eldorado.

Popelnivszy wykazane powyżej błędy i niedokładności, dziwi się oczywiście autor, nie znajdując na Pomorzu klasy ludzi wolnych, która-by pomiędzy powyższą, a niewłaściwie, jakśmy wykazali, pojętą przezeń ludnością, i szlachtą stanowić mogła w społecznym ustroju Słowian pomorskich pośrednie ogniwo. Jest nam już¹ono jednak, po tem, cośmy powiedzieli, zupełnie zbyteczne, a nie znalazł-by go autor i w Polsce, gdyby przy badaniu jej dziejów ówczesnych podobną zechciał zastosować metodę.

Przechodząc do szlachty, zastanawia się autor nad pytaniem, co mianowicie stanowiło niezbędny warunek szlachectwa na Pomorzu w epoce przezeń badanej: pochodzenie, nobilitacya, czy posiadłość ziemska, i dochodzi do wniosku, że prawdopodobnie urodzenie i posiadanie ziemi. Ma on też bezwątpienia rację zasadniczą co do punktu pierwszego, gdyż, przed rozwinięciem się wpływów niemieckich na Pomorzu, nobilitacya, jakiej zresztą źródła w żadnej nie wykazują formie, w wyjątkowych tam tylko warunkach zdarzać się prawdopodobnie mogła, i to zapewne, a wyłącznie, w postaci monarszej adopcji, jak w Polsce. Co zaś do władania, czy szerszego posiadania ziemi, stanowiącego później synonim szlachectwa u nas, to szukać go na Pomorzu przed połową wieku XII, czyli w epoce czysto jeszcze patryarchalnego i jedynowładczego stanowiska księcia, było-by rzeczą nadaremną. Pod tym więc ostatnim względem „posiadania“ (Grundbesitz), wniosek autora jest conajmniej wyrażony piejasno. Z kwestyi przypuszczalnej a przeciętnej ilości szlachty na Pomorzu w epoce badanej,

autor, nie znający wcale odpowiednich co do Polski prac prof. Piekoskińskiego, wpada jednak na domysł bardzo zbliżonego jej ustosunkowania do ogólnej cyfry ludności, oznaczając na 250,000 mieszkańców ówczesnego zachodniego Pomorza liczbę szlachty na niespełna 2,000 głów, czyli 400 — 500 rodzin. Pewna pełnia prawno-społecznych prerogatyw, uważana dotąd za ogólnie-szlachecką, przysługiwała tam, zdaniem autora, nie rodowi szlacheckim wogóle, lecz różnym, przez księcia uprzywilejowanym, jednostkom ze szlachty. Autor stwierdza dowodzenie to poważnemi cytatami ze źródeł, a godzimy się na nie chętnie, sądząc, że jednostki te były w większości wypadków seniorami znakomitszych rodów. Świadczył-by mianowicie o tym ostatnim punkcie fakt, że pierwsza, t. j. około połowy wieku XII zjawiająca się większa darowizna ziemi ze strony księcia, połączona z odpowiednim uprzywilejowaniem jej właściciela, odbywa się na rzecz książęcego krewnego, Warcisława Świętoborowicza. Nazwy najznakomitszych podówczas rodów szlacheckich na zachodnim Pomorzu, przywiązane następnie obyczajem obcym do posiadłości, były w późniejszym brzmieniu niemieckim następujące: Borceke, Kamecke, Use-dom (?), Natzmer, Kleist, Bonin i t. d., w których nietrudno jednak i obecnie odczuć pochodzenie słowiańskie. Jakkolwiek w obliczu księcia i pod względem prawnym teoretycznie sobie równa, różniła się jednak oczywiście szlachta pomorska między sobą, podobnie jak i polska, nietylko bogactwem, ale i wynikającemi z niego wpływami i znaczeniem, na niem opartem. Nie stać jej jednak na wspólną organizację, ani na urządzenia stanowe, co też bardzo już wczesnie, a zapewne pod wpływem Niemiec, wywołuje wśród niej powstawanie pewnych faktycznych cech ustroju lennego, pozbawionych wszelako w istocie swojej pewnych, nieodłącznych odeń właściwości. Mowa tu o systemie dziedzicznego dzierżawienia i poddzierżawiania posiadłości ziemskich, należących do magnatów, przez ich dworzan, assystentów-rycerzy, oraz wogóle szlachtę uboższą, co ani potrzebą książęcego zezwolenia, ani też płcią dzierżawczych spadkobierców, nie było uwarunkowane. System ten przedstawia nam się też, jako czysto ekonomiczne podporządkowanie mniejszego kapitału większemu. Formą swoją świadczy on jednak o wpływie obcym. Owo, tak wygodne dla szlachty bogatszej, a nieznanie w Polsce urządzenie, staje się raz powodem wielkiej z jej strony niechęci do obdarowywania ziemią, rządzącego się innym prawem i odmiennemi zwyczajami, Kościoła, a powtóre, czyni ją następnie całkowicie już przygotowaną do zastosowania na Pomorzu ustroju lennego. Mimo stanu rzeczy, jakiśmy zaznaczyli, należą prawnopubliczne przywileje, czyli immunitety takich quasi suwerenów jeszcze do rzadkości na Pomorzu, gdzie władza książęca, wspierana

prywatną niemal i zupełną własnością całego państwa, oraz jego dochodów ze strony panującego, trwała w pełnej swej sile, a względ ten raz jeszcze świadczy o wyłącznie ekonomicznym charakterze wzmiankowanych urzędów.

Piastowanie urzędów państwowych było wyłącznym przywilejem szlachty, a urzędnicy ci, jako mandataryusze księcia, posiadali wówczas na Pomorzu daleko większe znaczenie, niż w Niemczech, gdzie rozwój immunitetów stanowych i osobistych znacznie ich atrybucye zmniejszał. Brak, nieznanym Słowianom, urzędów stanowych sprawiał, że otrzymanie urzędu zawisło wyłącznie od woli i nominacy książęcej, a nie od przedstawienia, pressyi, czy wyboru poddanych. Stąd też i pierwiastek dziedziczości, jeśli go się niekiedy w spadkowym przekazywaniu danego urzędu spostrzedz daje, uważać należy jedynie za objaw faktyczny, bynajmniej prawem, ani teorią nie usankcyonowany.

Najwyższymi na Pomorzu urzędnikami są podówczas kasztelanowie (Castellani), po niemiecku Burgrafami zwani, a dający się, co do rodzaju i rozciągłości swej władzy wojskowej, administracyjnej i sądowniczej, porównać z niemieckimi wójtami ziemskimi (Landvogt), lub starostami (capitaneus) w Polsce. Podlegał im bowiem zazwyczaj, nie tylko sam gród, ale i pewien obszar okoliczny, niekiedy zaś nawet i inne grody, jak np. Pierzycy (Pyritz) kasztelanowi szczecińskiemu. Pod nimi stoją w zależności bezpośredniej trybunowie (heregravi), o których autor nie wie nic więcej nad domysł, że byli oni funkcyjnymi wojskowymi, jak jednak nazwa ich wskazuje, należało-by ich zapewne uważać na tle średniowiecza za opiekunów i przywódców rodzin rycerskich w czasie wojny (Wojscy). Jest to jednak również tylko domysł z naszej strony, choć niezupełnie anachronistyczny.

Ściąganych przez siebie dochodów księcia strzegli komornicy (camerarii), których ilość dorównywała zazwyczaj liczbie książęcych rezydencyi, lubo nie było to zasadą ogólną.

Z szeregu urzędów dworskich napotyka autor pod rokiem 1216 cześnika (Mundschenk, pincerna), a wcześniej jeszcze stolników (Truchsess, dapifer). Byli też oczywiście i sędziowie specyjalni (judices), wyręczający w sądach księcia, lub kasztelanów, albo assistujący im podczas sądenia spraw. Szereg urzędów powyższych reprezentował też i interesa szlachty przed księciem, o ile tego zachodziła potrzeba.

Z urzędów niższych, które, choć państwowe, jednak na wpeł służebnymi były, wymienia autor urzędowych ofycjalistów, funkcyjnych przy urzędach wspomnianych, mianowicie woźnych, napotkanych już koło roku 1250-go (nuncii, famulantes, nie ministeriales).

Stan administracji na ówczesnem Pomorzu zachodniem uważa autor słusznie za nader prosty i nieskomplikowany. Wobec ciągłych wypraw wojennych, zarówno zaczepnych, jak odpornych, oraz zamieszek wewnętrznych, miała ona przede wszystkim za zadanie utrzymać względny porządek w kraju, oraz budowę, konserwację, lub burzenie grodów i mostów. Czy po-za kasztelaniami istniały jeszcze jakie, ułatwiające administrowanie krajem, a na starodawnej organizaciji oparte, poddziały w tym rodzaju, jak np. polskie opola (vicinia), niewiadomo wobec braku stosownych wzmianek źródłowych.

Ściągane przez administrację podatki i daniny kstążące gromadzono w specjalnych składach krajowych (Landeskrugen), których większa ilość znajdowała się w każdej kasztelanii, czyli prawdopodobnie po jednym w każdym okręgu kameralnym, pozostającym pod odnośną władzą danego komornika.

Co do wojskowości, to na pytania, kto, czy, na jakich warunkach i kiedy, obowiązany był uczestniczyć w wyprawach zaczepnych, autor nie odpowiada wcale, bo co do wypraw wewnętrznych a obronnych i samej obrony, toć sama logika narzuca przypuszczenie, że obowiązane do nich być musiało każde indywidualum ludzkie, obdarzone pewną siłą. Na pytania powyższe dają jednak ówczesne stosunki wewnętrzne w Polsce odpowiedź, że do wyprawy zaczepnej, nakazanej przez panującego, byli, po-za utrzymywanymi w tym celu po grodach ciurami, obowiązani w miarę możności (secundum facultatem bonorum, secundum posse) i rycerze szlachta bez żadnego wynagrodzenia, z wyjątkiem ewentualnych łupów, aż do wygaśnięcia dynastji Piastowskiej. Odtąd dopiero datują się odpowiednie, a dla całej szlachty wystawiane, przywileje Ludwika, Jagielly i Kazimierza Jagiellończyka, wprowadzające stałą normę takiego wynagrodzenia. Poprzednio jednak, o ile rycerz obdarzony był ziemią i dochodami, uważać musiał tego rodzaju służbę za swój obowiązek, o ile zaś nie miał jeszcze i żył z łaski księcia w danym grodzie monarszym, opatrywał go oczywiście tenże na podobną wyprawę. Inaczej nie mogło też być i na Pomorzu, wobec wykazanych tam stosunków.

Skutkiem zupełnego braku ksiąg sądowych z epoki tak odległej, nie może nam oczywiście autor przedstawić podziałów ówczesnego sądownictwa na Pomorzu, ani wykazać jego poszczególnych atrybucji. Kwestya ta, o ile-byśmy całkowitej analogii w stosunkach sądowych pomiędzy ówczesną Polską i Pomorzem nie przypuścili, nie dała-by się też naturalnie zbadać tam dokładniej, nawet metodą wsteczną, bo chwila, z której najdawniejszy a obszerniejszy nieco zasób bezpośrednich w tej mierze źródeł datować się może, jest już epoką zupełnego niema zniemczenia plemiennych instytucji pomorskich. W każdym jednak ra-

zie, księga prawa zwyczajowego z wieku XIII i pamiętnik fundacyi Henrykowskiej (*Liber foundationis Claustri etc. in Henrichow*), stać-by się z pewnością musiały źródłem pierwszorzędnego znaczenia dla gruntowniejszych badań tego przedmiotu. Autor zaznacza tylko, że przed połową wieku XIII nie posiada jeszcze Pomorze sądów ławniczych (*Schöffengericht*), bo ich zresztą jako instytucyi niemieckiej, posiadać wówczas jeszcze nie mogło, oraz, że słowiański sędzia na Pomorzu jest wtedy zarazem i wyrokodawcą (*Urtheilsfinder*), podobnie jak w Polsce, choć zwyczaj (u nas w wieku XIV i XV t. zw. *terminus ad interrogandum*) nie zabrania mu bynajmniej w sprawie wydania wyroku radzić się kogokolwiek.

Mniej jeszcze, niż o owem „niższym od niemieckiego,“ sądownictwie Pomorza, bo literalnie nic nie wspomina autor o jego finansowości państwowej i zwyczajach prawnych, co zresztą wobec trudności przedmiotu, a niskiego stanu odpowiedniej historyografii, raczej przedmiotem porównawczych i ściślejszych, niż tak szeroko założonych studyów, stać-by się powinno.

Zastanawiając się nad stopniem samodzielnej kultury ówczesnych Słowian pomorskich, posługuje się autor najwidoczniej wynikami dawniejszej nauki niemieckiej, twierdząc, że ich rolnictwu całkowicie była obcą metoda intensywnego, t. j. płodozmianowego gospodarstwa, czyli, wniosek stąd prosty, że znali tylko rabunkowe, polegające na uprawie coraz to nowych gruntów co lat parę, a porzucaniu dawniejszych, wyeksploatowanych. Systemowi takiemu jednak, graniczącemu niemal z nomaderyą, możliwą do przypuszczenia jedynie w najpierwotniejszym okresie słowiańskiego osadnictwa na Pomorzu, przeczy przedewszystkiem istnienie tam w epoce omawianej (st. X — XIV), stałych i dawnych osad ludzkich. Nadto zaś, gdy obok powyższego względu przyjmiemy tam za zasadę, pozbawiony wspólności zajęć i robót rolnych, jednodworczy przedewszystkiem system osadnictwa Słowian pomorskich, przeczyć będzie podobnemu przypuszczeniu autora i ewentualna, a zwiększona w tych warunkach, trudność karczunku. Za jedyne, znane przy uprawie roli narzędzie, uważa tam autor pług drewniany (*uncus, aratrum*), dający się oczywiście na lżejszych tylko gruntach stosować. To też nie podając żadnych, bo niemożliwych w tym przedmiocie obliczeń, wyraża autor przekonanie głośowne, że wydajność gruntów niemieckich była naówczas większą, niż słowiańskich. Produkowano już jednak wtedy na Pomorzu żyto, jęczmień, owies i len, co zaś do pszenicy i warzyw, to źródła bezpośrednie żadnych nie udzielają nam wiadomości,

Związki małżeńskie Słowian tamtejszych z Niemcami należą podówczas do rzadkości, nawet w rodzinie książęcej. Jest też jeszcze bez-

wątpienia ów świat pomorski, na tle epoki omówionej, czysto plemienną krainą słowiańskich wierzeń, legend i pieśni, które w swych echem odległych, nawet wobec tak silnie już w nim rozwiniętej wtedy skłonności do wejścia w świat obcy, a doszczętnej jakoby potem germanizacji, stać-by się może jeszcze mogły i dzisiaj ciekawym dla nas przedmiotem folklorystycznej analizy. Nie zmienia to jednak bynajmniej tych warunków politycznych i społecznych, zarówno ze strony Pomorza, jak i Polski Piastowskiej, które rozwinęliśmy obszerniej w zakończeniu poprzedniego rozdziału, zaznaczając ich wielką doniosłość i wpływ na decyzję Kazimierza W-go w kwestyi pozostawienia północnych pobratymców temu losowi, jaki zgotowali sobie sami, przeważwszy już podówczas szalę dalszego rozwoju swego kraju na stronę kultury i narodowości niemieckiej, mającej ich z czasem całkowicie pochłonąć.

J. K. KOCHANOWSKI.

PRZYSTAŃ.

Jest przystań jedna spokojna i cicha,
Owiana mgłami, nakryta pomroką,
Kędy w ciemnościach żaden wiatr nie wzdycha,

Gdzie gnuśne wody, rozlane szeroko,
Nie śmia uderzać o skaliste złomy,
Co po-nad martwą piętrzą się zatoką.

Na skałach siedzi Sfinks — i nieruchomy
Umarłą przystań trzyma w swojej straży,
I szklistej toni bezkresne ogromy.

Woda odbija siność jego twarzy,
I wielkie, ciągle otwarte powieki,
W których się jakaś tajemnica waży.

Siedzi — źrenice w przestwór wbił daleki,
Jakgdyby temi krwawemi oczyma
Widział w ciemnościach mijające wieki.

Umarłą przystań w swojej straży trzyma,
Do której wiecznie czarne płyną łodzie,
Chociaż ich żagli żaden wiatr nie wzdyma.

Bez szmeru suną, bez plusku po wodzie,
Chwieją się tylko w jednostajnej mierze
I bieg ich ledwie ślizkie nurty bodzie.

Blade Anioły w łodziach są przy sterze,
A na pokładzie stoją smętne duchy,
Bielmem ócz trupich patrząc na wybrzeże,

Na ten ład ciemny, skalisty i suchy,
I na twarz Sfinksa ołowiano siną,
Który się ciszy przysłuchuje głuchej.

Tak pochylone nad czarną głębiną,
Z rękoma kornie na krzyż złożonemi,
Duchów gromady coraz nowe płyną.

I zawijają pielgrzymowie niemi
Do tej zatoki nieznanego świata,
Gdzie ani echo pogrzebowych dzwonów,

Ni jęk żałoby ludzkiej nie dolata.

LUCYAN RYDEL.

Piśmiennictwo angielskie w roku 1896.

Czy to przypisać znacznej liczbie nowozałożonych po miastach i miasteczkach czytelni publicznych, czy dojściu do pracowitej dojrzałości, lub do dojrzałej twórczości wielu nowych pisarzy, czy wreszcie narodowej w ostatnich czasach opinii, jakoby honorarya poczytnych autorów przewyższały dochody wielu właścicieli złotych kopalni,— faktem jest, iż rok ubiegły był w Anglii wyjątkowo obfity w dzieła literackie i naukowe, ściśle historyczne, ekonomiczne i filozoficzne. Mówiąc ogólnie, niepodobna przeczyć, iż sumienna praca autorska popłaca w Anglii i Szkocyi; że, byle odpowiadała pewnym, nie nazbyt trudnym, wymaganiom publiczności, znajduje chętnych, nierzadko skwapliwych, nakładców; że mnożą się (a to już chyba fakt przekonywający) domy wydawnicze, nietylko w Londynie i w Edynburgu, lecz nawet w wielu miastach fabrycznych. Tyle już razy, pisząc o ruchu literackim w W. Brytanii, wskazywałem, do jak wysokiego, i na stałym łądzie Europy całkiem bezprzykładnego, stopnia, Anglicy są namiętnymi czytelnikami, że dziś już powtarzać nie będę. Dla tych czytelników, choćby dopiero kilkoletnich, powstają bezustannie, co kwartał, jeśli nie co miesiąc, tygodniki i miesięczniki najrozmaitszej treści, dą-

żności, ceny i wartości; piszą dla nich powołani i niepowołani zdumiewające mnóstwo książek, a tak jednak zrównoważony jest stosunek produkcji książkowej do popytu, że poważne czasopisma podają bezinteresownie i bezpłatnie, z tygodnia na tydzień, spis dzieł nowych, jakie dopiero co opuściły prasę.

Było-by zadaniem trudnem chcieć zorientować się pod koniec roku w dantejskim lesie, *questa selva selvaggia*, angielskich płodów piśmienniczych, wyszłych w ciągu dwunastu miesięcy, gdyby się miało przedsięwziąć wyczerpujący przegląd krytyczny. Lecz łatwo jest uczynić wybór, kiedy się ma na celu zaznajomienie naszych czytelników z temi i takimi książkami, jakie, albo istotnie wzbogaciły literaturę angielską, lub, z powodów rozmaitych, dodatnio czy ujemnie, przysporzyły autorom rozgłosu, zajęły społeczeństwo, zaciekawiły ludzi myślących bliżej i dalej.

I.

Jest jeden rodzaj książek, którego można szczerze pozazdrościć Anglikom — ich Pamiętników, Dyaryuszów, Życiorysów. U nas jest ten rodzaj tak mało krzewiony i ceniony, że od dwóch, trzech pokoleń coraz rzadsze pojawiają się okazy, te zaś są coraz staranniej, bojaźliwiej obcinane i trzeb one. Dawniej bywało, iż niemal każdy obywatel, z zacisza swego na świat i ludzi ciekawie patrzący, zapisywał z dnia na dzień pewne spostrzeżenia swoje, w kalendarzu, czy w konotatniku, tuż po gospodarskich i familijnych notatkach. Czy dziś, i do jakiego stopnia, od prowadzenia dyarusza odstręczać mogą te i owe względy, nie przesądzam. W Anglii, każdy przyzwoicie wychowany, a dość w stosunkach swoich niezależny mężczyzna (więc „dżentelman”), prowadzi mniej więcej regularny dziennik swego życia. Czynią to samo panie i panny, choć jużćie inaczej. Rys to obyczajowy, ważny, doniosły, charakteryzujący zarówno jednostkę, jak całe społeczeństwo. Prowadzenie dziennika jest w Anglii koniecznością, prawie tak samo wyraźną, jak prowadzenie ksiąg handlowych i korespondencyjnych. Stosunki towarzyskie są niezmiernie ściśle, ich kodeks jest stanowczy i twardo obowiązujący, a to przedewszystkiem mają do siebie, że rozgałęziają się i mnożą z niesłychaną szybkością. Jeżeli tak jest w sferze średnio-towarzyskiej, przy środkach materialnych skromnych, cóż dopiero w sferach wyższych, przy sposobnościach nieograniczonych? Cho-

ciaż atoli prawie każdy trzeci Anglik prowadzi regularnie i spisuje wiernie codzienną kronikę swego życia, to już ciż nie każdy ma do zapisania, a jeśli ma, to nie zapisuje tych wszystkich okoliczności, spostrzeżeń i doświadczeń, które stanowią rąbek mniej lub więcej ozdobny i bogaty codziennych wypadków. Ograniczając się tem zaznaczeniem ogólnem „dyaryomanii“ angielskiej, niepotrzebnie wskazywał-bym jej użyteczność ogólną, czasem szkodliwą autorowi, jak np. Karolowi Dilkemu w rozgłośnym jego procesie, czasem niespodziewanie szczęśliwą, jak hrabiemu Russellowi w niedawnej sensacyjnej sprawie, lecz nade wszystko użyteczność dla całego społeczeństwa i późniejszych jego pokoleń. Dużo zależy od tego, kto pisał dyaryusz, w jakim otoczeniu, z jaką systematycznością i miarą przedmiotową prawdy; dużo również od tego, kto i w jaki sposób, i w jakim czasie ogłasza światu uporządkowane pamiętniki. Tomasz Carlyle, gdyby dziś znanym był tylko ze swoich „Bohaterów,“ gdyby z którejkolwiek innej pracy, choćby i ze swego „Krawca,“ jakżeżby inaczej, podniosłej, szlachetniej się nam przedstawiał od tego mruka, złośnika, gburą, pogardy i zarazem litości godnego chorego we własnej wyobraźni, którego nam odtworzyły: „Wspomnienia i poufna korespondencya“ mędrca z Chelsea, tak niedyskretnie, aż brutalnie wiernie przepisane przez Antoniego Froude'a! Wzorem, dotychczas może nigdzie niedoścignionym, pamiętników znakomitego człowieka, jest „Życie i korespondencya lorda Macaulaya,“ uporządkowane i wydane przez siostrzeńca autora „Dziejów Anglii,“ Jerzego Trevelyana. Lecz i to zaznaczyć trzeba, iż w latach dzisiejszych mało który spadkobierca znakomitego człowieka kwapi się z ogłoszeniem zostawionych sobie pamiętników. a za to, w Anglii przynajmniej, mnożą się tomy autobiografii, wydawane na świat pośpiesznie, jak gdyby autorowie, nauczeni smutnemi przykładami wielu spadkobierców i wykonawców ostatniej woli, uprzedzić chcieli możliwe niedyskrecyje, lub prawdopodobną i doskonale usprawiedliwioną opieszałość.

Wątpić można np., czy sędziwy pan Augustyn Hare, dygnitarz anglikański, wielki niegdyś światowiec, znalazł-by kogoś, kto-by wziął na swoją odpowiedzialność wydanie pamiętników takich, jakie ogłosił zeszłej jesieni. W trzech dużych tomach, na 1,600 stronicach ścisłego druku, zawarł p. Hare dzieje swego życia od lat najwcześniejszych, od dni dziecięcych, do mniej więcej roku 1885-go, w którym autor ustąpił z widowni wielko-towarzystwiej do spokojnego na wsi zacisza. Życie to, czerze i próżne dla społeczeństwa, zajmującym być może dla rodziny pisarza, choć ani ta nie przywiąże zapewne zbyt wielkiego znaczenia do ogłoszonego dziś faktu, że: „Ostatniej nocy położono mnie do łóżka rozgrzanego, włożyli mi ogrzewaczkę w nogi, i, co najokropniejsza, dali

mi dwie pigułki, a dziś rano, na śniadanie, dostałem wielką filiżankę rumianku; więc głowa mnie boli i żołądek także!“ Hare podróżował dużo, spotykał się w europejskich salonach z głośnymi postaciami pierwszej wieku połowy, znał niemal wszystkich słynnych dyplomatów, od Talleyranda do Beusta; wszystkich literatów, od Lamba w Londynie, do Juliusza Janin’a w Paryżu; zajmowały go kobiety takie, jak hrabina Lezen, księżna Metternichowa i cesarzowa Engenia. Ale choć nie brak skrętnie zapisywanych anegdot, brak rażący w tem „Mojem życiu“¹⁾ poglądów i wglądów w ludzi i rzeczy. Pod tym względem, bezporównania więcej zajmujące i, oczywiście, cenniejsze są „Listy Andrzeja Edwarda Koźmiana“, niedawno wydane przez syna, a obejmujące lata mniej więcej te same.

Dużo poważniejsze dzieła zyskały angielskie sfery kościelne, teologiczne i filozoficzne, w ciekawych „Listach arcybiskupa Magee“²⁾, żyjącego dostojnika państwowego Kościoła, a rówieśnika Newmana i Manninga. Zajmujące są rodzinne dzieje jednej z najstarszych rodzin katolickich, opowiedziane w „Listach rodziny Jerningham“³⁾. Lecz ani te, ani tamte nie wychodzą po-za ciasną sferę interesów rodzinnych, lub może ciaśniejsze jeszcze granice interesów kościelnych. Pamiętnikami historycznej, lub historyczno-obyczajowej doniosłości, są „Wspomnienia sir Johna Drummonda Hay, oparte na jego własnych dziennikach i korespondencyi“⁴⁾. spisane przez jego córki. Zmarły przed paru laty sir John urodził się w roku 1816, z ojca, który, opuściwszy służbę wojskową z rangą majora, ożenił się i osiadł w Edynburgu. Tu się kształcił przyszły dyplomata, t. j. dojrzewał w latach, bo do nauk ani się nie kwapił. ani zgola żadnego nie okazywał pojęcia ani uzdolnienia. Słynął wówczas jako pierwszy biegacz wśród szkockiej młodzieży i najsilniejszy zapaśnik. Pewnego dnia spotkał go, idącego do kollegium, znajomy jego ojca, lecz jemu samemu wcale nieznanym, lord Cockburn, prezes najwyższego trybunału i słynny jurysta.

— „Gdzie siedzisz w klasie? — zapytał.

Zwiesiłem tylko głowę i nie odpowiedziałem.

— No, powiedz! — rzekł jegomość nieznanomy. — Pewnieś na szarym końcu?

¹⁾ The Story of my Life. By Augustus J. C. Hare. 3 tomy, Londyn (G. Allen).

²⁾ The Life and Correspondence of Archbishop Magee. By John C. Macdonnell, D. D. 2 tomy, Londyn (Isblster).

³⁾ The Jerningham Letters (1780 — 1843). Edited by Egerton Castle. Londyn (Bentley).

⁴⁾ Memoir of Sir John Drummond Hay. P. C. etc. Londyn (Murray).

Odpowiedziałem więc, że jeszcze nigdy indziej nie siedziałem, jak na samym końcu klasy.

A on mi na to:

— No, to bardzo dobrze, mój kochany! siedz tam zawsze, a zostaniesz z pewnością wielkim człowiekiem... czy znasz mnie?. jestem lord Cockburn; jak ty, zawsze siedziałem w klasie ostatni. Może i ty zostaniesz najwyższym sędzią, lub większym jeszcze człowiekiem!“

Z Edynburga przeszedł John Hay do londyńskiego kollegium, Charterhouse, gdzie, pamiętny słów sędziego, jeszcze mniej się do nauk przykładał. Lecz w r. 1829, major Hay, mianowany agentem politycznym i konsulem generalnym w Maroku, zabrał obu synów do Tangieru. John, mając lat 15, zaczął tam uczyć się języka arabskiego, i wyuczył się go tak doskonale, że w kilka lat później, uwiadomiony o tem lord Palmerston, nie zważając na polityczny przeciw sobie antagonizm rodziny Hayów, wysłał 23-letniego młodzieńca do Konstantynopola, do boku ambasadora brytańskiego, lorda Ponsonby. O tym dygnitarzu czytamy we „Wspomnieniach“ dużo anegdot, między innemi jedną, charakteryzującą dosadnie ówczesny świat dyplomatyczny nad Bosforem, dwór i otoczenie sułtana (Abdul Medżyda): „Dzień był uroczysty po wojnie syryjsko egipskiej, w którym generałowie angielscy i tureccy mieli złożyć przed sułtanem sztandary zdobyte, ambasadorowie zaś mocarstw wygłosić stosowne powinszowania. Lord Ponsonby przygotował był mowę, szczególnie ważnej doniosłości. Ale, nie ufając własnej pamięci, dał rękopis mowy tłumaczowi, i polecił mu nauczyć się jej doskonale na pamięć i, swego czasu, wygłosić, bez względu na to, cokolwiekby przy uroczystości z ust ambasadora usłyszy. Nikt ze świty poselskiej nie wiedział o tem. Pisze więc Drummond Hay: „Zbliżając się z wielką godnością do tronu i trzymając w prawej ręce jeden ze zdobytych sztandarów, lewą zaś, czyniąc gest od czasu do czasu krasomówczy, lord Ponsonby począł z wielką powagą... rachować *One, two, thred, four, five* i t. d., aż do 50-ciu, przyczem zmieniał ton głosu, jakgdyby mu szło o zrobienie wrażenia na umyśle sułtana i słuchających, kładł silny nacisk na niektórych cyfrach, a gdy doszedł do wyższych, ponad 30, 40, uśmiechał się z widocznem zadowoleniem. Ambasador wiedział oczywiście, iż nikt z przytomnych, prócz jego własnej świty, nie był z angielszczyzną obeznany. Kiedy skończył, zwrócił się do tłumacza, i skinął mu na znak, iż na niego kolej. Tłumacz, Pisani, odrecytował przygotowaną przez ambasadora mowę, w kwiecistym języku tureckim. Sułtan odpowiedział, wyrażając wdzięczność rządowi brytańskiemu, angielskiej marynarce i armii, oraz ambasadorowi za jego słowa. Pisani znów przetłumaczył lordowi wyrazy Padyszacha, a wtedy ambasador, poczynając rachować po angielsku od

60-cin, tonem i gestem usiłował nadać swej oracyi znaczenie jak najuroczystsze. Znów Pisani powtórzył zdanie naprzód przygotowane, potem lord Ponsonby wręczył sztandar jednemu z baszów, i ze zwykłym ceremoniałem wycofał się, my za nim, dusząc się od śmiechu.“

Bardzo podobnie postąpił przed Ludwikiem XIV w Wersalu szwedzki poseł, młody hr. Koenigsmarck: zabawiwszy się zbyt nieroztropnie przez całą noc do poranku, w którym miał stanąć przed wielkim monarchą z listami uwierzytelniającemi, zapomniał doszczętnie przygotowanej mowy i, w chwili stanowczej, wyrecytował królowi parę stron szwedzkiego katechizmu, zapamiętanych od niedawnych lat szkolnych.

Drummond Hay zaczął karierę samodzielną w roku 1844, kiedy lord Aberdeen wysłał go ze specjalnemi instrukcjami do Tangieru, wkrótce po zbombardowaniu tego miasta przez ks. de Joinville. Major Hay był wtedy w głębi Maroka, gdzie też, sterany kłopotami politycznemi i fizycznem zmęczeniem, życia dokonał niespodzianie. Syn, zaledwie 28-letni, otrzymał rozkaz natychmiastowego wzięcia w ręce kierownictwa spraw politycznych sułtanatu. Czasy były krytyczne, prócz nieporozumień z Francją i wewnętrznych rozruchów, miał sułtan do zwalczania trudności z Hiszpanią, ze Szwecją i z Danią. Dzięki bystrości i energii młodego agenta brytańskiego, ułożyły się wszystkie sporne sprawy z korzyścią dla sułtana, i rozumie się dla Anglii. Nieporozumienia z mocarstwami ponawiały się jednak równie często, jak rokosze plemion w głębi kraju; każdy nowy sułtan zaczynał rządy próbą zapoczątkowania odmiennej taktyki i dyplomacyi, każdy z nich usiłował pozbyć się rad i samej obecności w kraju angielskiego agenta, lecz też każdy kończył na uznaniu politycznego rozumu Haya i jego zasług. To też pozostał on w Maroku do późnej starości, do roku 1887-go. „Wspomnienia“ obfitują w opisy codziennego życia na dworze każdego z kolejnych sułtanów, w sylwety krajowych i cudzoziemskich znakomitości, w bardzo zajmujące opowiadania przygód myśliwskich i romantycznych doświadczeń wśród półdzikich plemion górskich. Sir John, wynagrodzony przez rząd swój wysokimi orderami i wyrażeniem narodowej podziękli w obu izbach parlamentarnych, wrócił do rodzinnej Szkocyi przed ośmiu laty, i tam wkrótce życia zasłużonego dokończył.

Do dziejoznawstwa Indyi angielskich ważnym przyczynkiem jest autobiografia ¹⁾ sir Ryszarda Temple, który był namiestnikiem prowincji

¹⁾ The Story of my Life By the Rt. Hon. Sir Richard Temple, Bart., etc. 2 tomy. Londyn, Paryż i Melbourne (Cassel).

eyi północno-zachodnich w czasach dla berła brytańskiego najniebezpieczniejszych, w ciągu krwawych rozruchów i fanatycznych rewolucyi (1851 — 60), następnie zaś generalnym sekretarzem rządu wicekrólewskiego w Kalkucie, generalnym komisarzem królewskim dla prowincyi środkowych, wreszcie ministrem finansów i, na tem stanowisku, reorganizatorem indyjskich spraw skarbowych. Mąż stanu zadziwiająco pracowity i energiczny, sir Ryszard, nie potrafił ukryć w swej książce, jak ciężkiego doznał zawodu, gdy, za liczne i trwałe zasługi, nie doczekał się płaszcza wice-królewskiego! Ale też niepodobna, czytając autobiografię, nie domyślać się powodu rzekomej niewdzięczności rządu: Temple należy do tej kategorii Anglików, na szczęście, coraz szczuplejszej, w której przekonaniu każdy cudzoziemiec jest liłości godnym pół-człowiekiem, a ludy po-za-europejskie są tylko kupami pół-bydła! Dzisiaj sir Ryszard zasiada w parlamencie i jest w kwestyach finansowych azyatyckiego cesarstwa wysoko cenionym doradcą rządu.

Sumienny biograf Waltera Scotta, Lockhart, doczekał się również sumiennego kompilatora swoich dyaryuszów i listów ¹⁾, w osobie Andrzeja Langa, jednego z najzdolniejszych publicystów. Potężne dwa tomy streszczają, prócz osobistych zapisków Lockharta, także jedenaście tomów rękopisów, zachowanych w Abbotsfordzie, dawnej rezydencji Scotta, i w majątności Lockhartów pod Edynburgiem, a zawierających listy oryginalne Crokera ²⁾ do młodego przyjaciela wielkiego poety i romansopisarza. Z tego powodu, jako też ze względu na wybitne stanowisko, zajmowane przez Lockharta w Londynie i Edynburgu, w szeregu literatów pierwszej połowy tego wieku, praca Langa zjednała mu wdzięczne uznanie szkockich i angielskich bibliografów.

Staje się doprawdy obyczajem w Anglii, bynajmniej nie do naśladowania, iż osoby, które na jakiembądź polu odegrały rolę, z jakiegobądź powodu wybitną, albo znajdującą za życia biografów, lub same życiorysami swojemi obdarzającą świat, który znów jest nienasyconie ciekawy szczegółów i zwierzeń, mniej lub więcej poufnych i szczyrych. Biografami bywają zbyt często podrzędni pismacy, goniący za honora-

¹⁾ The Life and Letters of John Gibson Lockhart. By Andrew Lang. 2 tomy. Londyn (J. C. Nimmo).

²⁾ John Wilson Croker (1780 — 1857), polityk i literat, autor cennych prac o Irlandyi, wslawił się brutalną krytyką poezyi Keats'a. O nim—to wyraził się Macaulay: „Nienawidzę go bardziej od gotowanej, zimnej cielęciny!“ Lord Beaconsfield odtworzył wiernie Crokera w Rigbym, w powieści „Coningsby.“

ryami, i umiejący wyzyskać w lot przemijającą ciekawość publiczności; ich produkcje mają po największej części wartość dziennikarskich „interviews.“ Większą jest, rozumie się, poczytność autobiografii, a bywa tem skwapliwszą, im się ukazują wcześniej i niespodziewaniej. Do takich właśnie należy wydana w końcu roku książka pani de Navarro, z domu Maryi Anderson, do lat niedawnych niezmiernie popularnej, lubianej i powszechnie szanowanej artystki dramatycznej ¹⁾. Spisała ona dość szczegółowo te wypadki swoich lat najmłodszych i doświadczeń najtwardszych, jakie wpłynęły na jej postanowienie obrania, dla zarobku, zawodu dramatycznego. Okoliczności zaś, jakie towarzyszyły jej przyjsciu na świat, tłómaczą poniekąd wyjątkową na późniejszym stanowisku opinię, jaką sobie o tym zawodzie wytworzyła. Marya Anderson urodziła się w Kalifornii. Matka jej, córka rodziny niemieckiej, katolickiej, „była chowaną według zasad najsurowszych (czytamy); własnych myśli nie śmiała zwać swojemi, czytać wolno jej było tylko Żywoty Świętych i inne dzieła nabożne, a zabawy, tańce i rozrywki, dozwolone zazwyczaj młodym dziewczętom, były jej zakazane, lub zgola nieznane. O teatrze mieli jej rodzice najskrajniejsze wyobrażenia, żadne z dzieci nie mogło marzyć o przejściu progów takiego miejsca. Jednakże... najstarszy syn, który używał i nadużywał zaufania rodzicielskiego i większej swobody, zabrał pewnego dnia z sobą do teatru tę z siostr, która była najciekawszą zobaczyć... „przedpiekle.“ Natępstwa tej tajemnej wycieczki były romantyczne: dziewczyna zakochała się w młodym Angliku, wychowanym w Oksfordzie, przybyłym do Nowego-Yorku za chlebem. Kochankowie prowadzili czas jakiś sekretną korespondencyę, w końcu panna porzuciła dom rodzicielski i została żoną, w 17-tym roku życia, Karola Andersona.

Pod względem materyalnym wiodło się małżeństwu najgorzej. Po kilku miesiącach nędzy w Nowym-Yorku i Filadelfii, zdołali dostać się do San Francisco, stamtąd do Sacramento, gdzie, w roku 1859, przyszła na świat jedyna ich córeczka, wreszcie osiedli w stanie Kentucky, w pobliżu miasta Louisville, spodziewając się pomocy od miejscowego proboszcza, który był stryjem pani Anderson. Marya utraciła ojca, mając lat cztery, matka wyszła powtórnie zamąż. Póki stryj był w blizkiej okolicy, wpływ jego na wychowanie, nawet na usposobienie dziewczęcia, był największy, a mąż to był wielkiej zacności charakteru, wielkiej prostoty i świętobliwości. Marya, ku zgorszeniu kapłana, wyznawała, dorastając, coraz silniejszy pociąg do teatru, do zawodu dra-

¹⁾ A few Memories by Mary Anderson (Mrs. de Navarro). Londyn (Osgood).

matycznego, a kiedy proboszcz, przeniesiony w odległą stronę, przestał być jej codziennym doradcą, postanowiła wstąpić do pierwszej lepszej trupy wędrownej. Matka opierała się z początku, następnie uległa prośbom córki i słowom męża, który wierzył w zdolności pasierbicy. Marya miała lat 15, kiedy dyrektor przygodnego towarzystwa w Louisville pozwolił jej wystąpić na próbę w roli szekspirowskiej Julietty. Gdy się pokazała na scenie, usłyszała okrzyki zdumionych widzów: „Patrzcie! patrzcie! to ta małeńka Mamie Anderson!“ „Wczoraj jeszcze biegła za obręczą!“ i t. p. Nie straciła jednak przytomności, i po scenie tragicznej rzucono jej kwiaty, cukierki i... lalkę!

Dalsze jej koleje przeplatał los rozmaicie. W domu bywało biednie, towarzystwa wędrowne rzadko się spotykały z powodzeniem wytrwałem, Marya przechodziła z jednej trupy do drugiej. Dopiero w Nowym Orleanie, zastępując chorą koleżankę w głównej roli melodramatu, wywołała tak wielki entuzjazm, że panie obsypały ją na scenie klejnotami, które z siebie zdjęły, a mężczyźni—kwiatami i banknotami. Dochodziła lat 18-tu. Obwołana w Nowym Orleanie „najpierwszą artystką w Zjednoczonych Stanach,“ stanęła u szczytu powodzenia. Podróże jej po miastach amerykańskich, owacy ze strony mieszkańców, tryumfy na scenach, bajecznie świetne propozycje nie tylko dyrektorów i impresaryów, opowiedziane są na kartach Wspomnień nieco pobieżnie, może dla tego, iż zarówno w Anglii, jak w Ameryce, są w pamięci wszystkich. W Londynie Marya Anderson wystąpiła raz pierwszy w roku 1885, w teatrze Liceum, w roli Julietty, następnie lady Macbeth i Porcyi, oraz w kilku tytułowych rolach melodramatów i w specjalnie dla niej napisanej „Galatei.“ Widywałem ją często ówczesnie, ilekroć wracała nad Tamizę z wycieczek amerykańskich. Wrażenie, jakie sam zachowałem, zachowali inni: Marya Anderson istotnego talentu dramatycznego nie posiadała, lecz miała urodę klasyczną, świeżość, głos niezrównanie dźwięczny, miękki i swobodny, ruchy bez zarzutu. Przedewszystkiem była i jest dziś jeszcze posągowo piękną.

Lat temu niespełna cztery, wystąpiła w Londynie raz ostatni, nazajutrz porzuciła scenę na zawsze. Sądzono, iż powodem było wyjście za mąż; ja, który ją widywałem nierzadko w kościele (mieszkała wtedy w moim sąsiedztwie), przypisywałem krok ten uczuciom religijnym. Dziś atoli łatwo nam wyczytać między wierszami we Wspomnieniach, że istotne pobudki zrodziły się więcej może w kobiecej próżności, aniżeli sama się domyślała była artystka, była „Galatea.“ Przynajmniej twierdzić można, że, gdyby Marya Anderson posiadała, z uspo-

sobieniem i z zaletami artystycznymi, prawdziwe zdolności dramatyczne, to święciła-by swoje tryumfy dziś jeszcze i jutro. Tymczasem, pani de Navarro tak pisze o zawodzie dramatycznym: „Ostatnie lata Sary Siddons, największej artystki, jaką się chlubi Anglia, zrobiły na mnie głębokie wrażenie. Jej pozorną obojętność na wszystko przypisuję nietyle podeszłym latom i przytępienym władzom umysłowym, co gasnącemu wpływowi tej nadmiernie, a bezustannie podniecającej atmosfery wzruszeń, w której spędziła życie.“ Zaś nieco dalej: „To pewna, iż, w bezustannym wirze teatralnym i światowym, młoda osoba wiedzie życie, pełne zamętu, niepokoju, ambicyi i pragnień jakichś, które, zaledwie cel swój osiągną, natychmiast w nowym potęgują się kierunku... Są jeszcze ludzie, mniemający, iż zawód ten jedno znaczy z niemoralnością. Zbijać takiego sądu dziś już nie potrzeba. Moje własne spostrzeżenia przekonały mnie, że największem złem teatru jest silna skłonność do próżności, jest pewna obojętność na wielką prawdę życiową (którą się wyzyskuje jedynie na zdobycie dramatycznego efektu), nakoniec gorączkowy brak (*sic*) spoczynku. Niedobrze jest, jeśli instrument nastrojony jest zbyt wysoko, a mojem zdaniem, aktor, instrument o wielu strunach, jest bezustannie nastrojony koncertowo...“ Cóż na to powiedzą takie artystki, jak Sara Bernhardt, Modrzejewska i Ellen Terry?

Ale dość już o pamiętniakach. Zapisać tylko wypada, że z Ameryki otrzymała i bardzo dobrze przyjęła publiczność angielska przekład Dziennika Franciszki Krasieńskiej, dokonany przez Kazimierza... Dziekońską. Winszujemy tłumaczowi pomysłu i jego dokonania; szkoda, że powinszować nie możemy stylu i staranności. Zaś chyba nie Kazimierza Dziekońską winić musimy za wprowadzenie do Anglii nas, polskich mężczyzn, z żeńskimi końcówkami! Przykro czytać np., że: „Franciszka była drugą córką hrabiego (*of the Count Krasinska*)! Na tytule amerykańskiego wydania nie zapomniano dodać, że polska hrabianka stała się „prababką Wiktora Emanuela“¹⁾.

¹⁾ The Journal of Countess Françoise Krasinska, Great-grandmother of Victor Emanuel. Translated from the Polish by Kasimir Dziekonska. Chicago (Mc Clure).

II.

Na ostatni tom ¹⁾ szeroko zakreślonego dzieła Herberta Spencera czekanio niecierpliwie w Anglii, niecierpliwiej zapewne w Niemczech i innych krajach, w których prorok pozytywizmu na dużo wyższym znalazł się piedestale od tego, na jakim go postawili współkrajowi wielbiciele. Lat temu 36, Spencer zapowiedział wydawnictwo prac swoich, mające zawrzeć w wielu tomach kompletny „System filozofii syntetycznej,” który, poczynając od pierwszych danych wszytkiej wiedzy, miał wskazywać wpływ „prawa ewolucyi“ na stopniowy rozwój życia, umysłowości i moralności społeczeństw. W roku 1862 ukazały się przeto „Pierwsze zasady,” po nich zaś nastąpiły: „Zasady biologii“ (1864—67), „Zasady psychologii” (1870—72), „Zasady socyologii“ (tom I, 1876); dalej: „Instytucje ceremonialne,” „Instytucje polityczne,” „Instytucje kościelne“ (1879—85), „Zasady etyki“ i tom II „Zasad socyologii“ (1879 i 94); nakoniec obecny tom ostatni „Zasad socyologii,” poświęcony wyłącznie „Instytucjom przemysłowo-zarobkowym.“ Wiek podszły i ciągle niezdrowie uniemożliwiają Spencerowi (czytamy w przedmowie do ostatniego tomu) dokonać całości zakreślonego planu: miały jeszcze nastąpić osobne prace o postępie językowym, moralnym i estetycznym, lecz autor zmuszony jest zaniechać ich nieodwołalnie.

W „Instytucjach przemysłowo-zarobkowych“ omawia Herbert Spencer naglące zagadnienia współczesne, trzymając się jednak stalej swej zasady: *laissez faire*. Jego zapatrywania na skuteczność prawodawstwa, tak początkującego, jak zapobiegającego, zarówno monarchego, jak parlamentarnego, streszczają się w zdaniu, iż interwencya państwowa w jakiejbydz formie jest bezskuteczną, a może być zgubną. Jakżeż atoli pogodzić tę naukę z rzeczywistością? Jeżeli władze rządowe są zmuszone zajmować się oszustami i rozbójnikami, oraz wielu im podobnymi, którzy idą za popędami spaczzonego samolubstwa, to czemuż-by władze nie szły konsekwentnie dalej? Tu więc, również jak w poprzednich dziełach Spencera, mamy naukę, teorię, lecz nie mamy żadnych wskazówek, jak pogodzić teorię z praktyką, jak ją zastosować i przeprowadzić. Słusznie wyrzeka autor na współczesnego ducha

¹⁾ The Principles of Sociology. By Herbert Spencer. Vol. III. Londyn i Oxford (Williams and Norgate).

wojny, i potępia potworny w Europie stan uzbrojenia. Ale nie wskazuje, w jaki sposób ma naród dany bronić się przeciw zawiści, lub chciwości sąsiedniego. Tem więcej chodziło-by nam o radę Spencera pod tym względem, iż, stosownie do znanych jego teoryi, zasady chrześcijańskie, oparte na illuzjach... nie mają między społeczeństwami kierowniczego *locum standi*. Z tem wszystkim, pozostaje Spencer wiernym swoim przekonaniom anty-socyalistycznym: tom obecny można-by nazwać „księgą ostatecznego wyroku“ przeciw doktrynom socyalizmu i spółek zarobkowych robotniczych, pozbawionym istotnie naukowych podwalin i danych, a dążącym do uprzywilejowania klas jednych kosztem drugich.

Odnosnie do kwestyi tej samej, oryginalne znajdujemy poglądy w świeżem dziele profesora prawa konstytucyjnego przy wszechnicy w Glasgowie ¹⁾, Williama M'Kechnie. Mogę tu tylko zaznaczyć jego tezę naczelną. Według niej, chociaż zasady socyalizmu przeciwnie są w *teoryi* jednostkowości, to w *praktyce* są koniecznem zasad jednostkowości dopełnieniem. Autor przyznaje, iż zawsze i wszędzie praca wszelka, początkowa, była, jest i będzie pracą, zapoczątkowaniem jednostki. Lecz twierdzi dalej, że, po zlaniu się jednostek w dużą społeczność, potrzebnym jest koniecznie żywioł socyalistyczny, we własnym takiej społeczności interesie. Pozostaje tylko do orzeczenia, w jakich okolicznościach i w jakiej mierze miała-by ta sól socyalistyczna być dodaną? To zaś niezupełnie jasno wykląda szkocki profesor.

III.

W mowie, którą powieściopisarz Conan Doyle wygłosił na inauguracyjnym bankiecie nowego prezesa królewskiej Akademii sztuk pięknych, Johna Poyntera (2-go grudnia), był ustęp dowcipny i trafny o niezmiernem mnóstwie współubiegających się o najwyższe nagrody angielskich autorów i autorek. „Dziś już — powiedział Doyle — bodaj niema miejsca dla nowych powieściopisarzy na rynku wydawniczym i wzdłuż stoków tej góry, na której szczycie czeka nieśmiertelność. Sam szczyt za to pozostaje próżny i głuchy!“ Innemi więc słowy,

¹⁾ The State and the Individual, etc. By W. S. M'Kechnie, Londyn (Macmillan).

nie brak angielskiemu piśmiennictwu powieści, lecz brak jest wielki w powieściach tych oryginalności, świeżości i obejmowania szerszych widnokręgów od tych, jakie daje powszedniość życia i charakterów. Czy to jest winą czasowego prądu, czy winą rozdrobnienia się warstw społecznych i kół, i kółek towarzyskich, orzec trudno; faktem jest, że specjalistów, że specjalnych majstrów do poszczególnych rodzajów powieści jest liczba potworna, zaś mistrzów, którzy-by potrafili zająć uwagę, zaciekawić umysły, niezależnie od tych i owych upodobań, coraz dziś trudniej doszukać się w Anglii.

Przeciętnie wychodzi dziennie pięć nowych powieści w 8-miu do 10-ciu tomach. Jedne z nich wychodziły peryodycznie w stołecznych czasopismach, lub w prowincjonalnych dziennikach, drugie są pierwocinami nowych autorów, wydanemi nakładem ich własnym, lub odważnych wydawców. Zbyt powieści, póki tylko nie obrażają moralności zabardzo brutalnie, jest zapewniony w kraju, który mnoży bezustannie swoje czytelnie publiczne, którego ludność czyta tak chętnie. O ruchu księgarskim w Londynie trudno dać pojęcie niepatrzącym nań z dnia na dzień, niewidzącym go w ulicach olbrzymiej metropolii. Wielkie jest współzawodnictwo takich przedsięwzięciach, isticie kolosalnych, jakimi są wypożyczalnie spółki Mudie'ch, W. H. Smitha, Willinga, Grosvenorów, posiadające filie i agentów po wszystkich miastach i miasteczkach prowincjonalnych, szkockich i irlandzkich, mające swoje domy w Indyach, Australii, w Kanadzie i w południowej Afryce. Większe jest współzawodnictwo księgarzy komisowych, ustępujących kupującym od 20 do 25% rabatu na książkach najnowszych i... przyjmujących drobne spłaty tygodniowemi, lub miesięcznemi ratami. A cóż dopiero powiedzieć o współzawodnictwie wypożyczalni mniejszych, których nie brak w żadnej prawie ulicy, których, na większych ulicach przedmiejskich, spotyka się po kilka i po kilkanaście. Kto przejdzie sto metrów wzdłuż ulicy londyńskiej, zauważyć musi ruch ten i zdumiewać się nad nim.

Jest nadto wyraźny ład i system w tym ruchu. Anglik każdy, a tem więcej każda Angielka, zaczyna czytać dzieła wyobraźni od lat najwcześniejszych, i czyta je do końca życia. Ale rzadki to chłopiec 14-letni, który, zapytany, co czyta, nie odpowie niezmiennie: Dickensa lub Ainswortha, Maryatta lub Fennimora Coopera, obok może Rider Haggarda i Conan Coyle'a. Anglicy chorują poprostu na chroniczny głód czytania, i prawie każdy wyrostek, jak gdyby przewidywał, iż głodu tego nie pozbędzie się nigdy, że prędzej się uwinie z przeczytaniem nagromadzonych stosów narodowej belletrystyki, aniżeli zdążą autorowie dostarczyć mu nowych książek, zaczyna czytać *ab ovo*; jeżeli nie od Fieldinga i panny Edgworth, to z pewnością od Dickensa. Są

więc powieści, że tak powiem klasyczne, których nieznanostwo równoznaczny w Anglii, i to już w przekonaniu młodzieży, z umysłem upośledzeniem. Zapewniam uroczyście, że nie jest to zdanie przesadne. Lecz pomysłowi wydawcy, nauczeni doświadczeniem, nie mogą nie uznać faktu, iż, jak wczorajsze pokolenie zaczęło czytać w latach wczesniejszych, aniżeli onegdajsze, tak też pokolenie jutrzejsze zechce czytać Dickensa i Rider Haggarda wcześniej od dzisiejszego. Stąd to powstały w ciągu ubiegłego roku najprzód wydawnictwa klasycznych powieści *skrótowych*, następnie *kompletnych*, a tak tanich, że już chyba każdy żaczek nabywać je może co tydzień z kieszonkowego kapitału. Za jednego pensa (cztery kopiejki) można nabyć każdą powieść autorów wyżej wymienionych, oraz prawie wszystkich nieżyjących, każdą powieść starego Dumasa i Wiktora Hugo w doskonałym przekładzie! Cóż powie czytelnik na to, że od niedawna skład tanich książek, ładnie oprawnych, służy za reklamę sklepom towarów lokciowych?

Śmiało więc można powiedzieć, iż popyt na książki, a przede wszystkim na powieści, jest w Anglii równie gorączkowy, jak jest ciągły. Stąd wysoka płaca autorów, zwłaszcza autorów, umiejących pisać dla kół najliczniejszych. Rider Haggard był do niedawna znany, jako najlepiej płacony pisarz: dochody jego obliczają na około 4,000 fst. rocznie. Lecz dziś wiadomo, że zmarły w październiku Jerzy Du Maurier zarobił na swojej „Trilby“ blisko 60,000 fst., a wydawcy miesięcznika „Harpers Magazine,“ zamawiając sobie u niego nową powieść (rozpoczętą niedawno p. t.: „The Martian“ — Obywatel z Marsa), zapłacili mu 10,000 fst., zanim autor znalazł pomysł, zanim napisał jeden wiersz! Dr Conan Doyle porzucił dla literatury doskonałą praktykę lekarską; wielebny R. Wilson („Jan Maclaren“) zaniebuje z tego samego powodu swoją parafię... Powieściopisarstwo w Anglii, jako zawód, jest wielką loteryą: przystępują do niej powołani i niepowołani, wykształceni i nieokrzescani nawet, lecz jaką taką obdarzeni wyobraźnią. Wygrywają wielkie losy pisarze, nie roszczący sami najmniejszej pretensyi do literackiej erudycyi i ogłady. Jednem słowem, zgłodniałym rzeszom czytelników o literaturę chodzi najmniej, byle jednak styl był jasny i niezupełnie, nieotwarcie reporterski. Czytelnikom chodzi... ba! o cóż im nie chodzi!

Powieść pełna przygód jest zawsze czytaniem najulubieńszem młodych i starych. kobiet i mężczyzn: *quo fata trahunt retrahuntque, sequamur!* Doskonałość zaś powieści osądzą czytelnicy według stylu, teatru wypadków, logicznego następstwa epizodów, charakterów i umiejętnego rozwiązania. Styl jak najprostszy, jeśli jest okraszony szczerą, nienaciąganą poezją, jeśli nadto urozmaica go humor, dowcip serdeczny, zapewnia autorowi z góry posłuchanie skwapliwe. Tak pi-

sał Blackmore, autor „Lorny Dooue,” Karol Read, autor „Gotówki“ i „Stawcie się w jego miejscu.“ Do mistrzów stylu tego, bynajmniej nie łatwego, należą dziś: Walter Besant, Stanley Weyman, J. M. Barrie i Crockett; w mniejszym już stopniu R. Haggard i Conan Doyle, a kobietom nie udaje się on jakoś wcale. Robert Stevenson stoi jednakże, pod względem stylu, na stanowisku niedoścignionem przez żadnego z żyjących, stał-by wyżej od Reada i Blackmore'a, gdyby był obierał swojskie, tak jak oni, teatru swoich opowieści. Te atoli są, oczywiście, coraz trudniejsze do ułożenia w powieści obyczajowej współczesnej, cóż dopiero mówić o współczesnej powieści opisowo-przygodniczej! Walter Besant, nestor dzisiejszych powieściopisarzy, wydał w ciągu ubiegłego roku dwie powieści: pierwsza „Majster kołodziej,” wywija-
zuje się z awanturnicznych przygód pradziada w Indyach, stawia w przeciwieństwie umysłowem i towarzyskiem dwóch jego potomków, zrujnowanego panicza i bogatego kołodzieja; temat drugiej powieści, „Miasta Schronienia,” jest najzupełniej fikcyjny, przypomina nieco „Dom wewnętrzny“ Besanta (1889), przenosi nas do Nowego Yorku: między ludzi, jeśli nie osobliwie ekscentrycznych, to chyba obłąkanych, a obłąkanych myślą wytworzenia idealnej społeczności. Mistrz adeptów, przyjmując do swej gminy nowicjusza, mówi mu: „Tu poddasz się dyscyplinie pracy, dyscyplinie milczenia i dyscyplinie życia prostego. Tu będziesz wolnym od troski, ambicyi, zawiści, zazdrości; wszystko, co cię odgradza od życia wyższego, zblaknie i zniknie.“ Dale mu następnie kartę, z wydrukowanym porządkiem dziennym: „5 1/2: wstań i ubierz się; 6—8, praca; 8, posiłek; 9—12 1/2, praca; 1, posiłek. Potem, spoczynek i rozrywka; 6, posiłek; 7, medytacya; 9, spoczynek.“ Medytacya „wieńczy i uszlachetnia dzień cały; stanowiła ona niegdyś część wyższego życia między ludami Wschodu.“ Gmina obywa się bez książek: „Bo cóż-byśmy czytali? Dzieje?.. toć one są kroniką ludzkich nieprawości i okrucieństw. Rzeczy naukowe? Umysł w nich pełza po ciemku za rzeczami, które, znalezione, stają się środkami do nowych nieprawości. Człowiekowi nie dzieje się ani krzty lepiej z powodu naukowych odkryć! Poezye? W najlepszym razie, budzą wzruszenia, niektóre społeczności posługują się poezją w śpiewaniu hymnów; więc może poezya, w razie najlepszym, przyczynić się do wzniesienia ducha. W najgorszym zaś razie, napelnia duszę potępienia godnymi złudzeniami. Powieści? Po największej części są to bałwochwalcze ofiary na ołtarzu miłości, z której zrobiono bożyszcze. aj! wyższe nad bogów wszystkich! U nas, tu, miłość zajmuje to miejsce, jakie jej wyznaczyła przyroda, nic więcej. Cóż jeszcze mieli-byśmy czytać? Teologię?.. toż ona jest czczeniem Słowa! U nas — milczenie. My nie potrzebujemy teologii. Filozofia? My już mamy wszystko, czego nam potrzeba.“ Po-

wieść, jedna z najsłabszych Besanta, ma swoją drogą bardzo zajmującą grupę postaci... „składających ofiary na ołtarzu miłości.“

Rider Haggard, porzuciwszy na jakiś czas głębie Afryki i ruiny starożytnych miast meksykańskich, opowiada w „Joannie“ nieco za śmiało przygody miłosne urodziwej wieśniaczki angielskiej, naturalnej córki wielkoświatowego cynika, który zmienia poglądy na świat i ludzi w drugiej połowie życia. Bohaterem jest zubożały baronet. Nie jest to książka *virginibus puerisque*, ale, pod względem literackim, jest jednym z najlepszych utworów. Stanley Weyman, pisarz młody, znany od lat dopiero siedmiu, należy do tych, których bardzo gorąco polecam tłumaczom naszym. Wyzyskuje on dziwnie szczęśliwie, zajmująco i oględnie niwę, którą, zdawało się, wyzyskał Aleksander Dumas doszczętnie: dziejowych epizodów Francyi. A doprawdy, przygody biednych szlachciców normandzkich, gaskońskich i pikardyjskich, lub intrygi dworskie i mieszczańskie obyczaje z czasów ostatniego Walezyusza i następnych, przedstawiają się, nie tracąc bynajmniej kolorytu francuskiego, zupełnie świeżo i oryginalnie, opowiedziane przez gawędziarza angielskiego. Jego „Czerwona kokarda,“ na tle wielkiej rewolucyi, i „Pod czerwoną sutanną“ (z epizodem oblężenia Rochelli), należą do najlepszych, a ostatnią zdramatyzował autor do spółki z artystą, Jerzym Aleksandrem, i sztuka nie schodzi z programu teatru St. James, choć jest grana od pięciu miesięcy codziennie. Barrie celuje w nowelkach, na które polują kompanie finansowe, wydające miesięczniki ilustrowane. Crockett, pisarz bardzo płodny, jest z Janem Maclaremem chlubą Szkocyi. Obaj znajdują tło w malowniczej Szkocyi, w jej zakątkach wiejskich i rybackich. Ale, jeżeli czytelnicy angielscy zmuszeni są utyskiwać na trudność rozumienia gwary tych pisarzy, złożonej z prowincjonalizmów celto-szkockich, to można wybaczyć Polakowi, że poprzestaje na skonstatowaniu rozgłosnej poczytności szkockich autorów.

Conan Doyle, znany u nas z przekładu paru powieści, reprezentuje może najlepiej metodę najliczniejszego tłumy... angielskich fabrykantów belletrystyki „popularnej.“ Nazwać-by tę metodę wypadało „reporterską,“ gdyby autorowie najzdolniejsi, a na ich czele autor „Przygód Sherlecka Holmesa,“ nie uszlachetniali jej krasą literacką. Wzorowali się początkowo na Emilu Gaboriau, lecz, szanując spekulacyjną moralność wypożyczalni i publicznych czytelników, odczepili się rychło od kobiecego fartuszka, i wytworzyli ten rodzaj opowieści, w którym rzemiosło tajnego policyanta stało się sztuką, sztuką piękną, znajdującą adeptów w kołach wykształconych i wytwornych. Dr Doyle spróbował w końcu roku innego rodzaju, w „Kamieniu w Rodney,“ historyczno-obyczajowego, ale... natura ciągnie wilka do lasu: obecnie

wyczekuje publiczność nowej seryi, z bohaterem — „amatorem detektywem.“ Najzdolniejszym naśladowcą Doyle'a jest Morrison, wytrząsający z wyobraźni, jak z rękawa, serye za seryami „Przygód Hewitta.“ Zapytałem się go razu jednego, skąd u licha czerpie coraz oryginalniejsze awantury? Odpowiedział: „Napisz w kilku wierszach, że dnia tego a tego, tam a tam, znaleziono trupa nieznanegoj dziewczyny; albo, że księciu X. zginął szmaragd, ukradziony niegdyś z jakiejś pagody, lub klasztoru tybetańskiego; albo, że ktoś, kupiwszy osobiście połędwicę u rzeźnika na rogu, znalazł w niej egipskiego skarabea! Tyle napisawszy, puść wodze fantazyi: im coś fantastyczniejszego wymyślisz, tem usilniej myśl dalej, a znajdziesz niewątpliwie coś tak kolosalnie nadzwyczajnego z pozorów, coś tak oryginalnie niemożliwego, że dłużej myśleć nie będziesz. Bierz ten skarb (bo skarb to prawdziwy) zanotuj sobie pomysł, odpocznij, zwróć myśli ku innym rzeczom, np. ku polityce południowo-afrykańskiej. Tydzień później, siądz nad tem, coś napisał i nad ową notatką: buduj most z jednego na drugie... a jeśli wyobraźnią nie zdołasz, to chwytaj za pióro i pisał pisał mówię ci, pisał.. dopóty, dopóki nie napiszesz czegoś, co na most, na ściśle logiczne ogniwo wygląda. Jeżeli po dwóch, trzech próbach nie dojdiesz do świetnego rezultatu, to daj literaturze spokój!“

Wymienić tu wypada pisarza, który w powyższy sposób pracował nad dalszym ciągiem pierwszych kilku wierszy swego rękopisu. Guy Boothby wymarzył sobie młodego lekarza, niezadowolonego z farmakopei nowożytnej, przekonanego, że benzowie w górach Tybetu wiedzą dużo więcej od paryskich, wiedeńskich i londyńskich profesorów. Następnie, „Doktor Niccola“ dowiedział się, iż w klasztorze pewnym, do którego wstęp bywa karany śmiercią, spoczywa sanskrycki rękopis, zawierający medyczne formułki, cenniejsze od wszystkich skarbów świata, bo zapewniające nieśmiertelność na ziemi. Skąd inąd posłyszał o zamierzonej wyprawie do Chin młodego oficera, który tam zostawił był narzeczoną. Więc, pewnego dnia, zwierza się oficerowi ze swoją ambicyą, poczem obaj, samowtór, udają się przez Indie do Chin i Tybetu. Ich doświadczenia, okropne przygody, straszliwe niebezpieczeństwa przykuwają uwagę. Jest-że to literatura? Bezwątpienia! Nawet odważę się powiedzieć, iż ten rodzaj utworów wyobraźni daje najszersze pole najpiękniejszym natchnieniom, jeżeli autor jest czemś więcej, niż dziennikarskim reporterem. Boothby zna kraje, przez które przechodzili jego awanturnicy; zna ludy stron owych, zna doskonale ich obyczaje. Jest nadto poetą i jest głęboko czytany w piśmiennictwie starożytnem Indostanu.

Tyle o powieściach, znajdujących w Anglii, we wszechpaństwie brytańskim, najliczniejszych i najskwapliwszych, zawsze głodnych i nie nazbyt wybrednych, czytelników.

Z powieści, których alfą i omegą było, mniej lub więcej, posępne obchodzenie się bez pewnych dwóch przykazań Bożych, otrząsa się zeszlazocznaz literatura angielska prawie zupełnie. Grant Allen opuścił, zdaje się, nieodwołalnie „Kobietę, która...“ pani Wiktorya Cross porzuciła „Kobietę, która nie...“ Pozostaje bieżącemu piśmiennictwu otrząść się z reszty dekadentyzmu, do którego to prądu zachęca bardzo młodych pisarzy wydawca John Lane, wspierany przez młodziutkiego krytyka, Maxa Beerbolma i rówieśnika jego, J. Beardslaya, rysownika Trójka ta wydaje czasopismo p. t. „Księga żółta,“ a wśród pań współpracujących spotykamy często ową Mienie Muriel Dowie, która spędziła kilka tygodni letnich (1890) na Pokuciu, między Kossowem i Mikuliczynem, chodziła tam między lucułami w ubraniu męskim, najchętniej boso, a powróciwszy do Anglii, wygłosiła (mając lat 21) odczyt o swej wycieczce przed poważnym areopagiem Brytańskiego Stowarzyszenia, i wydała bardzo dowcipnie zredagowaną książkę, dedykowaną po polsku: „Mojemu Miłemu,“ p. t.: „Dziewczyna w Karpatach.“

Anglicy nie znoszą w teatrze sztuki dydaktycznej, powieści tendencyjne, wyraźnie tendencyjne, czytają niechętnie. Lecz jeśli tendencyja jest umiejętnie zamaskowana starannie wykończonemi charakterami, a przytem fabuła powieści nie jest zbyt sztuczna i jest zajmująca, powieść znajduje najchętniejszych czytelników. Mistrz najpoważniejszego rodzaju powieści, Jerzy Meredith, milczał w roku ubiegłym; nic też nowego nie napisał Tomasz Hardy. Za to pani Humphry Ward zdobyła sobie opinię wyższości nad Jerzym Eliotem, powieścią najnowszą: „Sir George Tressady.“ Kilka postaci z poprzedniej „Marcelli“ obecne tu w nowych kołach, te zaś są przeważnie polityczne, zajmują się przeważnie problematami robotniczymi w celach rozmaitych, szczyrych, altruistycznych i stronnicych. Marcella, żona członka parlamentu, lorda Maxvella, baronet Jerzy Tressady i żona jego, Letty (Letycya), to postaci główne, stojące na pierwszym planie. Lord Fontenoy, przywódca nowej frakcyi w izbie niższej, przypominający głośnego lorda Randolfa Churchilla; lord Maxwell, czynny polityk i dyplomatyczny mecenas warstw robotniczych; wreszcie światowiec i lekkoduch, lord Ancoats, to figury drugiego planu, na którym widzimy także osoby z kół proletaryatu wojowniczego i z kół wyłącznie salonowych. Węzłem fabuły środkowym jest miłość, rosnąca między Marcellą i Jerzym, bezwiednie naprzód, świadomie później, a potęgowana bezustannie przez okoliczności. Bogaty baronet ma śmieszną,

gminną świekrę, płochą, rozrzną, płytkiego umysłu żonę. Wciągnięty mimo chęci do parlamentu przez lorda Fontenoy, obowiązany jest z wielu doniosłych powodów głosować z jego stronnictwem, z opozycją, przede wszystkim głosować przeciw pewnemu wnioskowi (w kwestyi robotniczej) ministryalisty, lorda Maxwella. Marcella podejmuje się zdobyć mężowi głos baroneta, nieświadoma zgoła jego honorowych zobowiązań. Jej usiłowania, opowiedziane z ogromnym talentem, wśród mnóstwa zajmujących wypadków wielkoświatowych i innych, odnoszą skutek, przez Maxwella pożądany: Tressady z kilkunastu kolegami w izbie popiera wniosek rządowy, wydziera opozycji spodziewane zwycięstwo. Kosztem jednakże własnego honoru wobec Fontenoy i kosztem spokoju i próżności żony, kosztem wszystkich swoich ambicyi. W tej to godzinie przychodzą oboje, on i Marcella, do najpełniejszej świadomości, iż się kochają i kochali się od pierwszego spotkania. Jerzy, charakter słaby, gotów teraz rozciąć ostatnie węzły domowe i publiczne, a wtedy Marcella podejmuje wielkie, bohaterskie dzieło zwrócenia ukochanemu stanowiska publicznego, męskiej godności i... zwrócenia znienawidzonej Letycyi, jeśli nie szczęścia, to przynajmniej domowego spokoju. Czego dokonawszy, Marcella opuszcza salony i obiera mieszkanie wśród rodzin wyrobniczych w odległej dzielnicy Londynu.

Na tem, z konieczności, niewyczerpującem sprawozdaniu dziś mi wypada poprzestać. Ruch piśmienniczy w Anglii w ciągu roku ubiegłego odczuł i starał się odbić wielkie tętna ogólnych dążeń w Europie. Pałace zagadnienia polityczno-międzynarodowe miały swoich wykładców, polityków i poetów; miały ich wielkie zdobycze wiedzy ścisłej i wielkie odkrycia. O tych wszystkich, jako o tematach specjalnych, przemilczałem.

EDMUND S. NAGANOWSKI.

NA DWORZE WŁADYSŁAWA IV.¹⁾

II.

Finanse królewskie.

Gdy mamy przedstawić życie na dworze Władysława IV, to zaraz u wstępu narzuca się pytanie: jakie były warunki materialne tego życia? bo, rzecz prosta, zarówno urządzenie dworu, jak i jego utrzymanie, było zawisłem od środków, jakimi król rozporządzał, od jego zwyczajnych i nadzwyczajnych dochodów.

Wiadomo, że w Polsce elekcyjnej nie wolno było królom posiadać żadnego osobistego, dziedzicznego majątku; (co prawda, nie przestrzegano zbyt ściśle tej zasady): podstawą ich materialnego bytu miało być to zaopatrzenie, które im dawała Rzeczpospolita. Nie wyznaczono królom żadnych stałych dotacji, lecz oddawano im do użytku różnorodne źródła dochodów w dobrach ziemskich, cłach, mytach i t. d. Do dóbr stołu królewskiego należały za czasów Wazów w Koronie ekonomie: samborka, sandomierska, rogozińska, malborska (z tczewską) i t. zw. Wielkorządy krakowskie; na Litwie ekonomie: brzeska, grodzieńska, kobryńska, szawelska, olicka i mohylewska. Osobną grupę stanowiły dochody z t. zw. żup krakowskich, pod którymi rozumiano

¹⁾ Patrz zeszyt grudniowy „Biblioteki.“

kopalnie zarówno wielickie, jak bocheńskie; jako też z olbory olkuskiej, t. j. z kopalń srebra i ołowiu w Olkuszu. Trzeciem, i to bardzo cennem źródłem dochodów, były cła i myta: w rachunkach z czasów Jana Kazimierza znajdujemy wyróżnioną ogólną kategorię „ceł koronnych,“ obok osobno i szczegółowo wymienionych: zakroczymskich, ruskich i wrocławskich; codo Litwy, istnieje jedyna kategoria: „myt starych.“ Jako ostatnie wreszcie, większe źródło dochodów, figurują w tychże rachunkach t. zw. „darowizny,“ a faktycznie stałe daniny pieniężne miast pruskich, i osobno z miast: Gdańska, Elbląga i Malboga. Wymieniamy w końcu oddzielnie t. zw. „Gottespfenig,“ t. j. dochód z miejscowości Tiegenhoff, leżącej na Żuławie malborskiej (o 27 km. na północ od Malboga), który także miał swoją osobną pozycję w wykazach budżetowych dworu z XVII i XVIII wieku. Dochodów z mennicy zrzekł się Władysław IV na rzecz skarbu Rzeczypospolitej w paktach elekcyjnych ¹⁾. Zarówno ekonomie, jak i cła, były wydzierzawiane: pierwsze szlachcie, zazwyczaj magnatom, drugie najczęściej Żydom.

To były zwyczajne, stałe dochody skarbu królewskiego. Oprócz takich miewali królowie z domu Wazów także dochody czysto-osobiste w procentach od sum neapolitańskich, któremi dzielili się jednak z innymi członkami swej rodziny ²⁾; a nadto, wszyscy wogóle królowie elekcyjni, także źródło dosyć znacznych korzyści materyalnych w prawie używalności wakujących starostw w ciągu roku i sześciu tygodni, od chwili nastania wakansu ³⁾. To były źródła czyste; nie całkiem czystem natomiast wydać nam się musi inne, które właśnie miało przynosić bardziej troskliwym o skarb panującym nie mało pieniędzy. Mamy na myśli rodzaj okupów, nakładanych na tych, którzy ubiegali się o wyższe godności, lub o starostwa. Wakans, lub urząd, dostawał się w takich razach oczywiście więcej ofiarującemu. Jakkolwiek konstytucye Rzeczypospolitej targów tego rodzaju nie dopuszczały, świadkowie, spółcześni Wazom, zapewniają, że szczególnie Zygmunt III czerpał niejednokrotnie z tego niedozwolonego źródła dochodów, a Jan Kazimierz miał podobno pod tym względem wstępować w ślady ojca ⁴⁾.

¹⁾ „Volumina legum,“ t. III. str. 765.

²⁾ Por. w moim zbiorze szkiców historycznych p. t.: „Z czasów Jana Kazimierza“ ustępy na str. 109 — 110; nadto w relacyi Cefalego o stanie Polski z roku 1665 ustęp na str. 313 — 14. (Relacya nunc. Apost., t. II).

³⁾ Por. wskazany powyżej ustęp w relacyi Cefalego.

⁴⁾ Por. ustęp na str. 314 w przytoczonej wyżej relacyi Cefalego; nadto w relacyi nuncjusza Marescottego z roku 1670/1 ustęp na str. 369 — 70 (w tymże zbiorze źródeł); wreszcie depezę cyfrowaną nuncjusza Filonardego z 8 marca roku 1642. (Archiw. watyk. Nunz. di Polonia, t. 51).

Rozumie się, że takich i tym podobnych dochodów nadzwyczajnych, zwłaszcza tajemnych, nie spisywano i nie wciągano do rachunków skarbu nadwornego; trudno więc wyrobić sobie o nich jakieś dokładniejsze wyobrażenie. Zresztą nawet o zwyczajnych dochodach królów w XVII wieku możemy mieć obecnie pojęcie, jedynie do prawdy zbliżone, niezupełne: bo dane, któremi na razie rozporządzamy, nie wystarczają nawet do odtworzenia najogólniejszego zarysu dziejów skarbowości nadwornej. Wiadomo, że już w pierwszej ćwierci XVI wieku skarbu nadworny został oddzielony od skarbu Rzeczypospolitej; i podczas, gdy rachunki skarbu publicznego musiały być przedstawiane sejmom do sprawdzenia, to rachunków domu królewskiego nie miał prawa kontrolować nikt, prócz króla. Sporządzano więc wykazy dochodów i rozchodów dla użytku królów, i w archiwach też prywatnych królewskich musiały się one przechowywać, a następnie wraz z niemi rozproszyły się, lub może nawet w części przepadły. Dzięki badaniom Lubomirskiego, Pawińskiego i Korzona znamy dokładniej obroty kasowe skarbu nadwornego z czasów Zygmunta Starego, Stefana Batorego i Stanisława Augusta. Dzieje natomiast skarbowości nadwornej z wieku XVII i z pierwszej połowy XVIII stoją dotychczas odłogiem; brak nie tylko opracowań, ale i wydanych materyałów, które-by tę stronę stosunków dworskich pozwalały wszechstronnie oświetlić. Z całego XVII wieku posiadamy, prócz kilku pobieżnych wzmianek w relacjach współczesnych, jedyny wydany drukiem krótki wykaz dochodów dworskich, i to tylko dochodów samej królowej Ludwiki Marii, sporządzony w r. 1667 przez des Noyers'a dla informacyi ks. Kondeusza, a więc nie wykaz urzędowy ¹⁾. Poszukiwania w mnóstwie nieskatologowanych jeszcze rękopisów naszych archiwów publicznych i prywatnych usuną niezawodnie z czasem ten brak świadectw: bo oto wśród niewielkiej liczby przejrzanych przeze mnie manuskryptów archiwum XX Czartoryskich w Krakowie udało mi się znaleźć dwa bardzo ważne wykazy dochodów i rozchodów skarbu królewskiego z lat 1651 — 1653, jeden niezupełny, i tylko w kopii zachowany, drugi zupełny i oryginalny, opatrzony podpisami urzędników, którzy rachunki kontrolowali ²⁾.

To, co dotychczas wiedzieliśmy o stosunkach finansowych królów polskich z czasów nowszych, dotyczy, jak już powiedziałem, jedynie wieku XVI i końca XVIII. Wedle zajmujących dochodzeń Lubomir-

¹⁾ Raczyński: „Portofolio Marii Ludwiki,” t. II, str. 363 — 73.

²⁾ Bliższe szczegóły o tych rękopisach będą podane w dalszym ciągu.

skiego, dochód zwyczajny skarbu królewskiego za Zygmunta Starego, w czasie między rokiem 1518 a 1523, wynosił od 30 do 40 tysięcy złp.; w czasie między r. 1525 a 1531,—przeciętnie około 60 tysięcy ¹⁾. Na tych datach urywa się nasza wiedza o finansach dworskich z czasów Jagiellonów ²⁾. Badaniom Pawińskiego zawdzięczamy natomiast szczegółowe i ważne wiadomości z czasów Batorego. Król Stefan miewał, wedle obliczeń znakomitego uczonego, przeciętnie po 180,000 złp. z Korony, a 130,000 złp. z Litwy, czyli razem 310.000 złp. ³⁾. Wedle opinii p. Korzona, który obliczenia Pawińskiego kontrolował, należało-by tę kwotę powiększyć o jakieś 120,000, a więc przyjąć, że przeciętny dochód Batorego dosięgał summy 430,000 złp. ⁴⁾. W relacjach z końca XVI i z całego XVII wieku znajdujemy zaledwie parę niecałkiem pewnych, bo pochodzących od cudzoziemców, wzmianek o stosunkach materyalnych królów polskich. I tak nuncyusz Malaspiną w roku 1598 utrzymuje, iż Zygmunt III nie miewał w tym razie więcej, jak 500,000 złp. rocznego dochodu ⁵⁾. Możemy uznać tę datę za wiarogodną, gdyż przystaje ona do tego, co wiemy o skarbie nadwornym z czasów Batorego: przyrost dochodów o jakichś kilkadziesiąt tysięcy w ciągu lat dziesięciu jest całkiem prawdopodobnym. Dalsze znane relacje przenoszą nas odrazu w czasy ostatnich lat rządów Jana Kazimierza. O dochodach wymienionego co dopiero króla mówi w swej relacji o stanie Polski Sybastyan Cefali, ale tylko ogólnikowo, bez podania jakichkolwiek dokładniejszych danych w cyfrach; natomiast nuncyusz Galeazzo Marescotti zapisuje wyraźnie, że król miewał około roku 1670 dochodu rocznego 1,200,000 złp. ⁶⁾. Zresztą, ze znanych opracowań i wydanych drukiem źródeł wiemy tylko tyle, że za Augusta II dochód ten zmalał (wyjątkowo) do 1 miliona złp., ale za Stanisława Augusta podniósł się zaraz w pierwszych latach do przeciętnej

¹⁾ Lubomirski Tadeusz: „Trzy rozdziały z historyi skarbowości.” por. ust. na str. 24 — 80, 51, 56, 63, 66, 93 i 102.

²⁾ W relacjach Fulwiusza i Juliusza Ruggierich z r. 1565 i 1568 (Rel. nunc. Apost., t. I, str. 143 i 179), znalazłom dwie wzmianki o dochodach Zygmunta Augusta, które jednak na nie nam się przydadzą, bo obaj Włosi pomieszali dochody skarbu królewskiego z dochodami Rzpltej. Przesadną niezawodnie jest także data w relacji Giovanriniego, który dochody Zygmunta Augusta z roku 1565 oblicza na 500 — 600 tysięcy złp. (Korzeniowski: „Analecta Romana,” str. 192).

³⁾ „Skarbowość za Stef. Batorego” str. 130 i 467.

⁴⁾ W recenzji książki Pawińskiego, („Tygodnik Ilustrowany,” 1881, nr 283, str. 347).

⁵⁾ Relacya nunc. Apost., t. II, str. 79 — 80.

⁶⁾ Relacya nunc. Apost., t. II, str. 313 — 14 i 369 — 70.

summy 6,600,000 złp., a w latach 1790 — 1792, wynosił od 8½ do 10 millionów ¹⁾.

Wobec wielkiego niedostatku danych z XVII wieku, bardzo szacowną wartość mają dla nas te dwa wykazy, które się przechowały w rękopisach archiwum kks. Czartoryskich w Krakowie, tembardziej, że dotyczą dwulecia od wiosny roku 1651 do wiosny roku 1653, a więc mogą nam dać pojęcie o stanie skarbu nadwornego w czasach, bardzo blizkich okresowi rządów Władysława IV ²⁾.

Rok budżetowy liczył się wedle tych wykazów od 1 kwietnia, kończył na 31-szym marca; wykaz pierwszy odnosi się do roku budżetowego 1651/2, wykaz drugi do następnego, 1652/3. Ogólne summy dochodów królewskich w tych dwóch latach różnią się między sobą bardzo znacznie: w roku 1651/2 dosięgał ogólny dochód summy 1,004,027 złp. 27 gr., w następnym wynosił tylko 684,332 zł. 3 gr. ³⁾. Różnica ta

¹⁾ Korzon: „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta,” t. III, str. 12 — 87, (por. nadto przypisek 3-ci str. 5).

²⁾ Rękopis bibl. Czartor. z r. 1739 zawiera jedynie odpis rejestru dochodów królewskich w ciągu jednego roku, t. j. od 1 kwietnia r. 1651 do 31 marca roku 1652, i nadto odpis rejestru wydatków na dwór, w ciągu jednego tylko kwartału r. 1651. Wedle notatki, umieszczonej na czele rękopisu (która brzmi: „Przepisano w Sztokholmie r. 1810”), oryginał rejestru musi się znajdować w którymś archiwum sztokholmskiem. Natomiast rękopis z roku 1729 zawiera wyłącznie oryginalny, urzędowy rejestr dochodów i rozchodów skarbu nadwornego z całego jednego roku, उपatrzony na końcu wizą z własnoręcznymi podpisami urzędników nadwornych, takiej osnowy: „Visum. My, niżej podpisani, rewidowaliśmy ten rejestr roku 1654 d. 30 marca. G. Butler, P. N. K. (podkomorzy nadworny koronny). Thom. Lezeński. St. Sarnowski.“

³⁾ Tu musimy nadmienić, że w kopii rejestru z r. 1651/2 zachodzi kilka bardzo grubych błędów, a to w samym zsumowaniu dochodów, tak koronnych i litewskich z osobna, jak oczywiście wskutek tego także w zestawieniu dochodów ogólnych. Omyłka jest bardzo znaczna, bo chodzi o różnicę w stukilkudziesięciu tysięcy. „Summa percepty z ekonomii koronnych” podana jest w rękopisie 272,469 zł. 4 gr., podczas gdy ze zsumowania pojedynczych pozycji wynika, że powinna być wynosić 272,064 zł. 4 gr.; summa percepty z Litwy wynosiła wedle rękopisu tylko 598,464 zł. 17 gr., podczas gdy wedle mego obliczenia powinna-by dać summę 731,963 zł. 23 gr. Wskutek tego też w rękopisie ogólny dochód obliczony na 870,933 zł. 21 gr. 13 den., podczas gdy zliczenie obu podanych przeze mnie sum powinno-by dać kwotę 1,004,027 zł. 27 gr. Rachunek sprawdzałem kilkakrotnie, ale nie mogłem dojść, jaka była przyczyna tej tak grubej omyłki. Jest rzeczą wprost niemożliwą, żeby przy sporządzaniu oryginalnego rejestru przepuszczone tak rażące niedokładności: albo więc kopista sam zsumował szczegółowe dane, i przeprowadził mylnie obliczenie, albo też przy odpisywaniu błędnie odpisał niektóre pozycye, czego nieuniknionem następstwem musiała być ta różnica, jaka zachodzi między cyframi sum w rękopisie, a mojem obliczeniem. Ja wychodzę z założenia, że prawdopodobniejszem jest, iż zaszła omyłka w rachunku, w sumowaniu; odrzucam więc ogólne summy, a trzymam się szczegóło-

pochodzi stąd, że w rachunkach z roku 1651/2 figurują dysycy znaczne pozycye dochodów, które zapewne wpływały do skarbu tylko co lat kilka (mianowicie donatyw), jako też zwrotów (ze skarbu Rzeczypospolitej) sum, wydanych z kasy królewskiej w poprzednich latach na potrzeby publiczne. Biorąc jednak z konieczności za podstawę obliczenia dwie powyższe dane, jako jedynie autentyczne, musimy przyjąć, że przeciętny dochód skarbu nadwornego w pierwszych latach rządów Jana Kazimierza wynosił około 850 tysięcy złp. Ponieważ mamy do czynienia z rejestrami nader rzadkimi, bo na razie, o ile wiadomo, jedynie na cały wiek XVII, przeto wypada nam z niektórymi, przynajmniej ważniejszymi, ich szczegółami zapoznać bliżej czytelników, zwłaszcza, że, wobec braku analogicznych danych z czasów Władysława IV, dadzą nam one zarazem względnie najbardziej przybliżone do prawdy wyobrażenie o źródłach i wysokości dochodów skarbu królewskiego, także i za życia tego bezpośredniego poprzednika Jana Kazimierza.

W obu wykazach znajduje się obok pozycyi, stojących w związku z znanymi i wliczonymi wyżej źródłami dochodów królewskich, także jedna, która wymaga wyjaśnienia, a brzmi zazwyczaj: „Ze skatuly J. kr. Mci.“ Wedle naszego rozumienia, pod rubryką tą uwidocznione są te summy, które król wykładał na potrzeby dworu ze swoich ściśle osobistych dochodów, a więc tak tych, które mu przybywały w formie procentów od sum neapolitańskich, jak może i innych nadzwyczajnych, które napływały ze źródeł bliżej nieznanych. Nadmieniamy nadto, że w obu wykazach są wprawdzie zestawione dochody z Korony i osobno z Litwy, ale pod kategorię dochodów litewskich podciągnięto rozmaite przybytki, które właściwie żadnego związku z W. Księstwem i źródłami tamtejszych dochodów nie mają. W zestawieniach poniższych będziemy więc podawać, obok obliczeń urzędowych, także i nasze własne, z osobnem wyszczególnieniem tych dochodów, które ani pod dział koronnych, ani pod dział litewskich podciągnąć się nie dają.

wych pozycyi. Jak jednak rzecz miała się w istocie, to będzie można stwierdzić dopiero po wykryciu oryginalnego rejestru. Porównanie z oryginalnym rejestrem z następnego roku nie może pomódz do sprostowania danych wykazu z roku 1651/2, gdyż różnice między pojedynczemi pozycyami w jednym i drugim wykazie są od początku do końca bardzo znaczne. W rejestrze oryginalnym z roku 1652/3 omyłek niema. W dalszym ciągu, cytując cyfry, będę podawać kwoty w złotych i groszach, a pomijając denary.

Wedle wykazu pierwszego, dochód w ciągu roku urzędowego, od 1 kwietnia roku 1651 do 31 marca 1652, wynosił z Korony 272,064 zł. 4 gr., z Litwy 731,963 zł. 23 gr. Po przeprowadzeniu kontroli, możemy jednak tylko summę dochodów koronnych przyjąć bez poprawki; co do drugiej cyfry zaznaczamy, że, ściśle biorąc, z samego W. Księstwa przybyło do skarbu królewskiego tylko 502,916 zł. 15 gr., a reszta weszła do rachunków litewskich całkiem niewłaściwie, gdyż składają się na nią takie pozycye, jak donatywy z ziem i miast pruskich, wpłaty ze szkatuły królewskiej i t. d. Ogólna summa tej wpłaty wynosi 33,988 zł.; z donatyw wpłynęło 155,506, różne inne źródła dochodów, także niemające związku z litewskimi, przyniosły razem 39,553, zł. 3 gr.

W szczególności przyniosły ekonomie koronne:

Wielkorządy krakowskie	8,000 zł.
Samborska	66,000 „
Rogozińska	12,000 „

Dochodów z innych ekonomii koronnych w rachunkach z roku 1651/2 uwidoczniionych niema, (być może, że dzierżawcy ich spłacali summy należne w ratach kilkoletnich, albo zaliczyli kwotę, przewyższającą kilka razy należytość za wydzierżawienie, z góry w którymś roku poprzednim).

Z żup krakowskich wpłynęło w tymże samym czasie 101,400 złp. z ceł koronnych 52,202 zł. 28 gr., z ceł wrocławskich 7,000, z ceł ruskich 156 zł. 6 gr., z ceł zakroczymskich 2,000, i wreszcie z Tiegenhoffu ¹⁾, czyli Nowego dworu, 7,000 zł.

Ekonomie litewskie dały:

Szawelska i olicka razem	92,214 zł.
Brzeska	54,274 „ 15 gr.
Kobryńska	168,588 „
Grodzińska	24,884 „ 10 „
Mohylewska	139,616 „
Pińsk	4,000 „

Z „myt starych“ litewskich wpłynęło 19,349 zł. 19 gr.; w formie donatyw: od ziem pruskich 100,000 zł., od Gdańszczan 42,012, od Elb-

¹⁾ W rękopisie kopista, mylnie odczytawszy ten wyraz, napisał: „Pygnoff.”

łązań 6,000, od mieszczan malborskich 12,000, od Gniewu 300 — i jedna od „Nakielskiego,” której bliżej objaśnić nie umiemy, w kwocie 5,994 zł.

Na summe 39,553 zł. 39 gr., którąśmy podciągnęli pod ogólną kategorię nadzwyczajnych dochodów, złożyły się w części zwroty ze skarbu koronnego i parę innych pozycyi, które wymagały-by bliższych komentarzy. aby się stać mogły dla nas zrozumiałemi (np. pozycya: „zwrot za srebro od Świętochowskiego 8,050,” od „Radwańskiego“ 6,000 i t. d.).

Tyle z pierwszego wykazu. Rachunki z roku 1652/3 wykazują, jak zaznaczyliśmy wyżej, dochód o 319,696 złp. mniejszy od dochodu z poprzedniego roku. Na dochód ten złożyła się Korona summa 226,626 zł. 24 gr., Litwa wedle wykazu summa 457,705 zł. 9 gr.; tylko co do tego wykazu litewskiego musimy znowu zauważyć, że wciągnięto doń rozmaite dochody, które z litewskimi źródłami żadnego związku nie miały. Ściśle biorąc, z Litwy wpłynęło właściwie nie więcej, jak 383,706 zł. 24 gr., a reszta to były wpływy po części ze szkatuły królewskiej, po części z dóbr, leżących po-za obrębem W. Księstwa. Wciągnięto mianowicie do rachunku litewskiego dochód z ekonomii malborskiej w kwocie 1,625 zł.; z Nowego Dworu (Tiegenhoffu) w kwocie 3,700, wpłatę ze szkatuły królewskiej w wysokości 15,132 zł. 29 gr., i dalej summy 15,305 zł. 19 gr., wpłacone „za assygnacyą podskarbiego koronnego“ (znowu jakiś zwrot pieniędzy, wydanych przez króla na potrzeby Rzeczypospolitej), 1,800 „od królowej JMci na piechotę węgierską,” 1,000 „od JMci X. Prażmowskiego na stajnię.“

Z ekonomii koronnych wpłynęło w tym roku bardzo mało bo tylko 15,000 zł., a to z Wielkich Rządów 3, z Rogoźna 12 tysięcy zł. (ekonomii malborskiej nie wliczają rachunki do koronnych).

Ekonomie litewskie dały nierówie więcej, bo razem 358,106 zł. 21 gr., a to:

Szawelsko-olicka	58,517 zł.
Kobryńska	35,500 „
Mohylewska	119,000 „
Grodzińska	57,750 „
Brzeska	60,000 „

Zaległości z lat poprzednich 27,339 zł. 21 gr.

Z „myt starych“ litewskich przybyło 25,600 zł.

Takie były dochody króla Jana Kazimierza w pierwszych latach jego panowania. Cyfry powyższe mogą nam dać jednak tylko przybli-

zone pojęcie o przeciętnej summie dochodów Władysława IV: bo to jest widoczna, z zestawienia danych z różnych czasów, że summy dochodów królewskich stopniowo wzrastały: jeżeli-byśmy przyjęli datę Marescottego z czasów Michała Wiśniowieckiego za ścisłą, (a nie mamy powodu powątpiewać o jej dokładności, bo cyfra, przezeń podana, jest wyższą tylko o 200,060 od cyfry dochodów królewskich z roku 1652/3); to można-by stwierdzić, że w ciągu niecałego wieku, od czasów Batorego, summa roczna dochodów królewskich urosła do potrójnej liczebnej wysokości. Jeżeli-by więc przeciętny dochód za czasów Jana Kazimierza osiągał nawet summy 850,000 złp., to dla czasów Władysława IV nie wolno nam przyjąć przypuszczalnej przeciętnej kwoty wyższej nad 600 — 700 tysięcy.

Cokolwiek wiemy o stosunkach materialnych Władysława IV i o całej jego gospodarce finansowej, wszystko zgodnie świadczy o tem, że po śmierci rządneho i oszczędneho Zygmunta III, za panowania jego syna, dochody nadworne (wyjątkowo!) bynajmniej się nie powiększyły, mimo, że Rzeczpospolita oddała mu do dyspozycyi też same źródła korzyści materialnych, z których czerpał Zygmunt III, a nawet nieco je pomnożyła ¹⁾. Wiemy nadto z relacji Cefalego z roku 1665, iż „półki administratorami żup solnych byli przedniejsi senatorowie, co trwało aż do roku 1649, król nie miał z nich więcej, nad 40,000 złotych“ ²⁾ gdy już wedle rachunków z lat 1652 — 3, zwyczajny dochód z żup solnych wynosił blisko 100,000, a wedle wyjaśnień wymienionego co dopiero Cefalego, w ciągu wojen szwedzkich miał urosć aż do 400 tysięcy. Szczegóły powyższe przestrzegają przed zbyt wygórowanemi obliczeniami: może więc najwięcej zbliżymy się do prawdy, jeśli przyjmiemy przypuszczalną cyfrę możliwie najniższą, to jest oznaczymy prawdopodobny przeciętny dochód roczny skarbu Władysława IV na sumę 600,000 złp.

Czy było to dużo? Aby dać odpowiedź na to pytanie, trzeba-by przeprowadzić porównanie między dochodami naszych królów i współczesnych innych monarchów, z uwzględnieniem ich rangi, że tak powiemy, mocarstwowej, w rządzie władców europejskich. Ale, niestety, przeprowadzenie takiego porównania jest obecnie prawie niemożliwem, z powodu braku pewniejszych danych o dochodach przeważnej części

¹⁾ Por. zwłaszcza w znanej relacji nunc. Viscontego ustęp na str. 190 — 1. (Rel. nunc. Apost. II), i nadto depeczę cyfr. nunc. Filonardego z 8 mar. 1642 (Archiw. watyk. Nunz. di Polonia, t. 51).

²⁾ Relacje nunc. Apost., t. II, str. 317.

monarchów z XVII wieku, a potem i dla tej przyczyny, że w państwach, samowładnie rządzących, skarb państwa był faktycznie zarazem skarbem królewskim, z którego panujący czerpali dowolnie. Materiałów do dziejów skarbowości w państwach europejskich XVII wieku wydano dotychczas bardzo niewiele, a jeszcze mniej opracowań tychże dziejów: co wiemy pewniejszego, to odnosi się głównie do stosunków finansowych Francji, i w szczególności dworu francuskiego za Ludwika XIV. Wedle dochodzeń Philippsona i Levasseura, obracał Ludwik XIV w siódmym dziesiątku lat XVII wieku na swoje osobiste i dworskie wydatki rocznie około 40 milionów liwrów, a to mniej więcej po 10 milionów na potrzeby domu królewskiego, dworu, na budowlę i na wydatki tajemne („dépenses secrètes,“ jak się ogólnie wyraża Levasseur). Wiemy skądinąd, że stół królewski kosztował rocznie półtora miliona, i osobno sama piwnica milion; że płace urzędników nadwornych pochłaniały 2½ miliona, a rachunki apteki królewskiej wykazywały zwykle 180,000 liwrów. Nadzwyczajne wydatki dosięgały nieraz sum ogromnych: i tak, wedle Philippsona, w ciągu jednego roku wydano na rozmaite uroczystości dworskie 2 miliony; jedna podróż do Wersalu kosztowała 1,200,000 liwrów, jedna wystawna uczta 300,000. Otóż trzeba wiedzieć, że właśnie w tym samym czasie, wedle tabelki Payena, 1 liwr równał się co do wartości ówczesnemu złotemu polskiemu¹⁾; cyfry więc powyższe, podane w liwrach, odpowiadają takim samym summom w złotych. Łatwo wobec tego zrobić porównanie z przeciętnym dochodem królów polskich w tych samych latach (za Jana Kazimierza 850,000 złp., a ponieważ chodzi o siódmy dziesiątek XVII wieku, przyjmujemy nawet z uwzględnieniem cyfry, podanej przez Marescottiego, z roku 1670/1, przeciętny milion). Okazuje się, że król polski miał w trzeciej ćwierci XVII wieku do rozporządzenia fundusze, *czterdzieści razy mniejsze*, od dochodów króla francuskiego; że dochód jego roczny wynosił mniej, aniżeli wydatek Ludwika XIV nadzwyczajny na jedną podróż do Wersalu; tyle, ile pochłaniała rocznie sama piwnica „Króla - Słońca,“ i wreszcie trzy razy tylko więcej, niż kosztowała jedna uroczysta feta na dworze francuskim! Ale zamiast przyrównywać do królów zstąpmy niżej, i wciągnijmy do zestawienia dochody magnatów. Oto majątek Wallensteina wynosił około roku 1625 jakieś 50 milionów guldenów; majątek Mazariniego w chwili jego śmierci (r. 1661), 40 do 50 milionów liwrów; a więc pierwszy reprezentował (licząc tylko 5% dochodu) dochód roczny 2½ miliona gulde-

¹⁾ Por. w dziełku: „Les voyages de M. Payen, lieutenant général de Méaux“ (wydanie drugie z roku 1668), na str. 158 tabelkę: „Monnaie de Pologne.“

nów, (a 1 „Reichsgulden“ równał się, wedle Zagórskiego, i zł. 24 gr. z czasów Władysława IV), drugi 2 — 2½ miliona liwrów, czyli tyleż złotych polskich, to jest znowu 2 — 3 razy więcej, niż współczesny dochód króla polskiego.

Wracając do porównania z dworem francuskim, uznajemy, że był to dwór najbogatszy i najwspanialszy w całej Europie; że inni monarchowie prawdopodobnie znacznie mniej wydawali na swoje potrzeby i zbytki; ale czyżranga Rzeczypospolitej i króla polskiego, w stosunku do Francyi i jej panującego, była tak podrzędna, iżby odpowiadała stosunkowi 1 : 40? Z pewnością nie: Polska była w XVII wieku mocarstwem, bądź co bądź, drugorzędnem, i mogła się stawiać w tym rzędzie, w którym stawiano Hiszpanię i Szwecyę. A jeśli honor Rzeczypospolitej i względy na „decorum“ wymagały tego, ażeby, co do zewnętrznej okazałości życia i wystąpienia, nie pozostawać w tyle poza innymi równorzędnymi państwami, i godnie występować nawet obok najświetniejszych dworów europejskich, to łatwo zrozumieć, że utrzymywanie dworu polskiego na stanowisku drugorzędnem w stosunku do francuskiego było u nas poprostu niemożliwem wobec kilkadziesiąt razy mniejszych dochodów naszych królów.

Mógł-by ktoś wywnioskować z powyższego wywodu, że ubolewamy nad niedostatecznem uposażeniem królów polskich i jesteśmy zdania, iż Rzeczpospolita powinna była lepiej zaopatrywać swych panów. Zastrzegamy się przeciw takiemu domysłowi wyraźnie: gdyż wniosek taki był-by wprost sprzeczny z naszym na rzeczy poglądem. Że Ludwik XIV potrzebował aż 40 milionów liwrów na swoje rzekome „potrzeby,“ i w istocie tyle zazwyczaj rocznie wydawał, to z pewnością jemu chluby nie przynosi, a Francyi przyniosło większą szkodę, niż pożytek; a że natomiast królowie polscy umieli zaspakajać analogiczne potrzeby summa 40 razy mniejszą, to można uważać jedynie za objaw, korzystnie o nich świadczący, a nie ubolewania godny. Wykaz przeciętnych wydatków dworu polskiego w XVII wieku jest nowem świadectwem przeciw niesłychanej rozrzutności królów francuskich, jest jedynym dowodem więcej, jak niezmiernie wiele po-nad potrzebę wystawnego nawet dworu pochłaniał corocznie dwór wersalski, kosztem milionów poddanych, z których wielu nie miało dachu nad głową, i wedle dochodzeń Taine'a, w latach nieurodzaju, żywiło się samą nieledwie trawą... Jeżeliśmy przeprowadzili powyższe porównanie, to jedynie dlatego, aby w niem posiąść jeden więcej argument, pomocny do częściowego przynajmniej usprawiedliwienia tej rzekomej niegospedarności finansowej, o którą się obwinia częste zarówno Władysława IV, jak i Jana Kazimierza. Obydwaj oni byli zawikłani całe życie w kło-

poty pieniężne; obydwoj zabrnęli w długi, których ciężar spadł w znacznej części na spadkobierców. Otóż, warto się zastanowić, czy zadłużenie się to nie miało swej głównej przyczyny w chęci, a niekiedy wprost w potrzebie dostrajania się do kamertonu innych równorzędnych dworów zagranicznych? Trzeba było przyjmować gości królewskich, posłów zagranicznych; trzeba było wchodzić w związki pokrewieństwa z najmożniejszymi rodami, panującymi w Europie. Trzeba było wreszcie okazywać wobec cudzoziemców, że królowie polscy są bogatymi, bo to znaczyło, że i Rzeczpospolita jest możną i bogatą; i nie tylko, że są bogatymi, ale że nie są biedniejszymi od królów hiszpańskich, angielskich i szwedzkich. Każda taka próba dotrzymywania towarzystwa i utrzymywania się w równym rzędzie z bogatszymi, zwłaszcza dorównania, choćby na czas krótki, dworowi francuskiemu pod względem wystawności życia (np. w chwili jakiejś nadzwyczajnej proczystości, koronacyi, wesela i t. d.), musiała za sobą pociągnąć znaczne przekroczenia budżetu dworskiego.

Bo zresztą, gdyby dochód królów polskich wziąć sam w sobie, bez uwzględnienia relatywnego stosunku do budżetu innych dworów społecznych, to właściwie trzeba-by uznać, że mógł on zupełnie wystarczyć na utrzymanie nawet bardzo wystawnego dworu. Summa 600,000 złp., (przeciętny dochód za Władysława IV), wydaje się na pierwszy rzut oka niezbyt wielką. Ale rzecz to wiadoma, że w owych czasach złoty polski miał inną wartość bezwzględną; a względna jego wartość, wobec ówczesnych, znacznie niższych, cen zboża i towarów, była nierównie wyższą od dzisiejszej. I tak, wedle tabelki Czackiego, 1 złp. z czasów Władysława IV równał się przeciętnie 3 złp. z naszych czasów ¹⁾. Dalej, wedle ustawy cen miasta Warszawy, korzec pszenicy kosztował w początkach drugiej ćwierci XVII wieku 1 złp. 20 groszy ²⁾. Gdy-

¹⁾ Tabelę Czackiego i nadto wiele danych o wartości pieniędzy z czasów Władysława IV podaje Ignacy Zagórski w dziele p. t.: „Monety dawnej Polski,” Warszawa, 1845 (Por. zwłaszcza następ. na str. 46).

Wedle tabeli Czackiego, 1 złoty z roku 1639 miał wartość dzisiejszych 3 zł. 4 gr., z roku 1640 — 2 zł. 26 gr., z roku 1650 i 1662 — 3 zł. dzisiejsze. Przyjmujemy więc jako przeciętną wartość bezwzględną 1 złotego z czasów Władysława IV i Jana Kazimierza okrągło, jako równą dzisiejszym 3 złp.

²⁾ Brak nam, niestety, danych pewniejszych co do cen zboża i innych towarów z czasów Władysława IV. O ile wiemy, żadnych cenników z czasów tego króla dotychczas u nas nie wydano. Natomiast ogłosił, jak wiadomo, p. Adam Chmiel w „Archiwum Komisjii historycznej” t. VII cenny wykaz p. t.: „Ustawy cen dla miasta starej Warszawy, gdzie się znajdują dane co do cen zbóż i innych towarów z pierwszych trzech dziesiątków lat XVII wieku: do czasów więc Władysława IV wykaz ten nie

byśmy w braku danych z późniejszych czasów przyjęli tę cenę za wy-
miennik, i zestawili ją z dzisiejszą ceną korca pszenicy (przeciętnie 8
złr. w. a., to jest 6 rubli 30 kop.), i uwzględnili nadto określony wyżej
stosunek wartości bezwzględnych, to okazało-by się, że 1 zlp. z dru-
giej ćwierci XVII wieku miał wartość dzisiejszych 72 zlp. Znaczyło-
by to, że 600,000 zlp. z czasów Władysława IV równało się co do war-
tości jakimś 43,200,000 dzisiejszych złotych pol., czyli (przy terażniej-
szym kursie $66\frac{2}{3}$ kopiejek w złocie za 100), 4,266,240 rubli w złocie.
Przeszło cztery miliony rubli, to znaczy więcej, niż wynosi dzisiaj lista
cywilna cesarza austriackiego (niespełna 5 mil. złr. w. a.), więcej, niż
takż listy królowej angielskiej (przeszło 400 tysięcy funtów szterlin-
gów), i nie o wiele mniej, niż pobiera z kasy państwa cesarz niemiec-
ki (około 13 milionów marek). Prawda, że każdy z wymienionych mo-
narchów posiada, prócz funduszków z listy cywilnej, nadto ogromne do-
chody ze swoich własnych majątków; ale, bądź co bądź, summy, wy-
szczególnione powyżej, mogły-by dzisiaj same doskonale wystarczyć
na utrzymanie nie jednego z drugorzędnych dworów, a więc też i ró-
wnająca się im co do wartości summa 600,000 zlp. powinna była sta-
nowić wystarczające utrzymanie nawet wystawnego dosyć dworu
w XVII wieku.

Tak nam się wydaje: ale ze źródeł współczesnych wiemy na pe-
wno, że Władysławowi IV nie wystarczała. W ciągu całego okresu
swoich rządów znajdował się król prawie ustawicznie w kłopotach pie-
niężnych, i to nieraz w kłopotach nader dotkliwych: niektóre szczegó-
ły o stosunkach materialnych Władysława, przekazane nam przez wia-
rogodnych świadków, są tak drastyczne, że wydają się nieledwie nie-
prawdopodobnemi. Mimo, że Zygmunt III miał zostawić synowi dosyć
znaczne summy w gotówce, bo co najmniej 50,000 dukatów w złocie ¹⁾,
mamy wiadomość już z roku 1634, że część klejnotów królewskich
znajdowała się w zastawie u Żydów ²⁾. W przeciągu pierwszych sie-

sięga. Z tego to wykazu bierzemy najpóźniejszą względnie, bo z roku 1627 pochodzą-
cą, wzmiankę o cenie pszenicy (str. 240) korzec po 1 zł. 20 gr. Możemy tę cenę psze-
nicy przyjąć bez obawy popełnienia grubej omyłki za minimalną dla pszenicy w pierw-
szej przynajmniej połowie rządów Władysława IV. Różnica między cenami z roku
1627, a np. z lat 1635 — 40 nie mogła być znaczną, skoro od roku 1606 urosła tylko
o 16 gr. (cena z roku 1606 wedle daty na str. 69: 1 zł. 6 gr.)

Rozumie się, że całe powyższe obliczenie, oparte na zestawieniu cen samej
tylko pszenicy, nie może mieć pretensyi do uchwycenia za ścisłe.

¹⁾ Radziwiłła Albr. „Memoriale:” ustęp z 4 maja 1632.

²⁾ Por list Władysława IV do podskarbiego kor. z 8 grudnia roku 1634 (Gra-
bowski A.: „Wład. IV listy,” str. 65 — 6).

dmu lat panowania położenie materyalne króla nietylko się nie poprawiło, lecz musiało się, owszem, pogorszyć bardzo znacznie, skoro od roku 1639 mnożą się wzmianki w źródłach o „niedostatku“ królewskim, a od roku 1640 datują się usilne zabiegi Władysława IV, o uzyskanie od Rzeczypospolitej subwencji dla pokrycia osobistych swych długów. Kanclerz litewski, Albrecht Radziwiłł, notuje w Pamiętniku swoim pod datą 8 grudnia roku 1639, że „takie ubóstwo panuje u stołu króla, iż ledwie około południa drzewo i mięso przyniesiono do kuchni, i służba do czwartej po południu czekała o głodzie, a król sam przy zamkniętych drzwiach spożył obiad, z kilku potraw złożony...“¹⁾ Musi być w tym szczególnie coś prawdy, skoro w roku następnym Władysław uznał za konieczne odwołać się do skarbu publicznego z żądaniem, aby obaj podskarbiowie Rzeczypospolitej, „wobec ciężkiej nawały długów,“ uciskających króla, „łącznie obmyśliли utrzymanie i porządek stołu królewskiego.“ Podskarbiowie uczynili zadosyć woli pana: skarb koronny wziął na siebie pokrywanie wydatków stołu i stajni; skarb litewski wypłatę pensji dla służby dworskiej i gwardyi²⁾. Jakim prawem? Tego dobrze nie rozumiemy: boć przecież skarb Rzeczypospolitej nie był obowiązany do utrzymywania dworu i podskarbin nie było wolno używać pieniędzy publicznych na pokrywanie wydatków osobistych króla. Król miał sobie przeznaczone osobne, wiadome źródła dochodów, i z tych tylko źródeł miał prawo czerpać fundusze na opłacenie potrzeb własnych i swojego dworu. Ponieważ Radziwiłł, za którym powtarzamy tę całą wiadomość, rzeczy bliżej nie wyjaśnia, przeto musimy rozumieć, że podskarbiowie przyjęli tylko na własną odpowiedzialność i tymczasowo ciężar wydatków królewskich na skarb publiczny: to jest, dostarczali królowi do czasu funduszy ze skarbu Rzeczypospolitej, w formie pożyczki³⁾. Był to więc środek ratunku doraźny i chwilowego znaczenia, który stawiał króla w jeszcze trudniejszym położeniu, czyniąc go dłużnikiem Rzeczypospolitej. Długi narastały z każdym miesiącem, i wreszcie, w roku 1642, doszło do tego, że, jeśli wierzyć nuucyuszowi Filonardemu, wówczas z Władysławem

¹⁾ Jak zwykle przytaczamy nie tekst przekładu, wydanego przez Raczyńskiego, lecz przekład, dokonany przez nas samych z oryginalnego tekstu „Memoriale.“

²⁾ Radziwiłła „Memoriale:“ ust. z 6 czerwca 1640.

³⁾ Domysł nasz znajduje dosyć wyraźne potwierdzenie w słowach samegoż podskarbiego koronnego, który na sejmie konwokacyjnym z roku 1648 publicznie niesprawiedliwił ubóstwo skarbu Rzeczypospolitej między innymi racjami i tą: że „za żywota ś. p. króla JMci wiele się *anticipative* na *necessitates* króla JMci *occurrentes* przybierało...“ (Michałowski: „Księga pamiętu.“ str. 143).

poróżnionemu, „król widział się zupełnie pozbawionym możności popłacenia tych długów, i pokrywania nie tylko wydatków, odpowiednich godności, ale nawet koniecznych,“ i że kupcy poczęli mu po prostu odmawiać kredytu ¹⁾. Zresztą, możemy sobie o ówczesnem położeniu materyalnym Władysława IV wyrobić dosyć jasne wyobrażenie, bo mamy pod ręką wykaz długów, które Rzeczpospolita w roku 1643 za króla popłacała ²⁾.

¹⁾ Por. depezę nunc. Filonardego z 8 marca 1632 (Archiw watyk. Nunc. di Polonia, t. 51). Uwagi godnem jest także, co podaje Radziwiłł w „Memoriale” pod datą czerweową roku 1641. Jak wiadomo, przyjmowanie i utrzymywanie posłów cudzoziemskich było obowiązkiem króla. Otóż król miał się znajdować — wedle Radziwiłła — w roku 1641 w takich kłopotach pieniężnych, że nie chciał, czy nie mógł opłacać kosztów utrzymania przebywających właśnie w lecie roku 1641 w Polsce posłów tatarskich. „Tartari illi,” — są słowa Radziwiłła — „qui Solcum missi (erant), iam Gostinium migrarunt, destituti victu consueto dando et pecunia Regia; equos proprios comederunt et vi venditoribus extorquebant victualia fugamque meditabuntur; fuerant aliquot consilia, qua ratione legatis extraneis provideri possit, ne egestos denudaretur etc.”

²⁾ Wykaz ten znalazłem w rękopisie, będącym własnością hr. Romana Michałowskiego z Dobrzeczoła (w Galicyi). Rękopis, oznaczony starą sygnaturą jako tom XIV, jest jednym z siedmiu, pozostałych po Jakobie Michałowskim, wojskim lubelskim, a później kasztelanem bieckim, który żył za czasów Władysława IV i Jana Kazimierza. Zawiera on „miscellanea” z czasów Wazów; prócz kopii rozmaitych aktów publicznych, także prywatne akta familijne. W tymże tomie znajduje się między innymi odpis rejestru, który jakaś inna ręka (nie ręka kopisty) opatrzyła w XVII wieku napisem: „Króla JMci Władysława IV długi, które Rzeczpospolita płaciła” Jest w tym wykazie, dopełniającym kilka stronic pisma, kilka oddziałów. A więc najpierw: „Regestr wydatków prywatnych J. K. Mci, pieniędzy na potrzeby Rzeczypospolitej podczas rekurowania Prus.” Dalej rubryka: „Inne długi.” Dalej: „Na stołowe potrzeby Króla JMci długi zaciągnięne.” I wreszcie: „A zasłużone dworowi Kr. JMci,” (zaległości pensyi dworskich niewypłaconych).

Wykaz cały jest widocznie nie żadnym oryginalnym, urzędowym aktem, lecz kopią jakiegoś wykazu, niezawodnie sporządzonego na rozkaz Władysława IV dla poparcia prośby, zanesionej do Stanów o subwencyę na zapłatę długów, i to sporządzonego z pewnością w ciągu roku 1641, bo na końcu onego, w dziale, wykazującym niespłacone zaległości pensyi dworskich, jest wzmianka o potrzebie obmyślenia „dalszego zasłużonego dworowi Króla JMci” na ostatni kwartał r. 1641, i dwa kwartały r. 1642 (w czem dowód oczywisty, że wykaz spisano przed końcem r. 1641).

Wiarogodności rejestru niniejszego nie mamy powodu podawać w wątpliwość. Kopia sporządzona została w XVII wieku, a Jakób Michałowski przekazał nam sporo odpisów innych aktów publicznych, których dokładność została naukowo stwierdzoną (część ich bowiem ogłosił drukiem Helcel w znanej „Księdze pamiętniczej Michałowskiego.”) Zresztą, mamy też pod ręką pewne dane o długach królewskich, zaczerpnięte z innych źródeł, które się uniej więcej zgadzają z danymi, zawartemi w rejestrze Michałowskiego. Ogół długów, „które Rzeczpospolita płaciła,” wynosił wedle tego rejestru 4,447,239 złp. Radziwiłł zaś w „Memoriale” pod datą stycznia r. 1642

Dosięgały one, wedle literalnego brzmienia wykazu, już w roku 1641 łącznej summy 4,447,239 złp. 9 gr. Muszę jednak nadmienić, że jest to wprawdzie kwota, którą Rzeczpospolita miała wypłacić, ale nie przedstawia ona summy samych wyłącznie długów królewskich. W wykazie tym bowiem, u wstępu, znajduje się udział, pod napisem: „Regestr wydatków z prywatnych J. Kr. Mci pieniędzy na potrzeby Rzeczypospolitej podczas rekuperowania Prus,“ z którego wynika, że Władysław IV miał do Rzeczypospolitej uprawnioną pretensję o zwrot znacznych funduszków, wyłożonych z własnej kieszeni na cele publiczne państwa. Wykazano tu ogółem wydatków na summę 820,399 zł. 10 gr. Otóż tej summy nie mamy powodu wliczać do długów królewskich, bo nie mamy żadnej wskazówki upewniającej, iż Władysław IV pieniądze tych nie wyłożył z własnej kieszeni, lecz uzyskał je także tylko sposobem pożyczki. Nadto, na końcu wykazu u Michałowskiego wstawiona jest kwota 120,000 złp. z tem objaśnieniem, że przeznaczono ją na pokrycie przyszłych, czekających króla w najbliższym czasie wydatków (chodziło o zapłatę pensyi dworowi na dalsze trzy kwartały), ale w owej chwili, kiedy wykaz układano, kwota owa długu nie stanowiła. Wypada więc odliczyć co najmniej 940,399 zł od wykazanej wyżej ogólnej summy, aby otrzymać kwotę, przedstawiającą w istocie stan zadłużenia się króla. Dostaniemy i tak pokąźną summę 3,506,840 złp.

Dowiadujemy się w szczególności z wykazu w rękopisie Michałowskiego, iż własnej służbie winien był król w zaległościach pensyi

podaje, że król, wniósłszy prośbę do sejmu z r. 1642 o pomoc w spłaceniu długów: „expensarum summam ad quatuor milliones quadraginta millia elevabat” Jest między cyfrą rejestru, a daną u Radziwiła, co prawda, różnica o przeszło 400 tysięcy złp. Ale czy to nie omyłka rękopisu? Bardzo jest prawdopodobnem, że w pośpiechu, zamiast „quadringenti” napisał Radziwiłł, czy też jego jakiś sekretarz „quadraginta.” W każdym razie i u Radziwiła summa długów przewyższała 4 miliony. Wedle innego świadka naocznego, nuncjusza Filonardeggo (por. depezę z 8 czerwca 1642 roku. Archiw. watyk. Nunz. di Pol. t. 51) summa długów królewskich: „se arriva, non passa á un milione e ducento mila scudi de' nostri.” Skud równał się talarowi, a talar bity szedł za Władysława IV za 3 złp. (Zagórski: „Monety,” str. 46); summa, podana przez Filonardeggo, równała-by się więc 3,600,000 złp. Cyfra ta odpowiadała-by najlepiej temu obliczeniu długów królewskich, które przeprowadziliśmy w tekście, a którego wynikiem, że właściwe dlugi króla, nawet wedle wykazu Michałowskiego, nie wynosiły więcej, nad 3,506,840 złp. Różnica o niecałe 100 tysięcy da się łatwo wytłómaczyć tem, iż Filonardi poślawiał cyfrę okrągłą.

Spełniam przy tej sposobności miły obowiązek, składając hr. Romanowi Michałowskiemu uprzejme podziękowanie za łaskawe wypożyczenie rękopisu, zawierającego wykaz długów Władysława IV.

przeszło 760,000 zł.; że na „stolowe potrzeby“ szafarz jego musiał zaciągnąć pożyczkę w kwocie 150,799 zł., na stajnię owiesny p. Baryczka znowuż 131,625 zł. 27 gr. Pozycye powyższe i liczne inne okazują, że król większą część długów porobił ze względu na zwyczajne wydatki dworskie, na których pokrycie widocznie dochody mu nie wystarczały.

Wedle wyjaśnienia, zamieszczonego na rękopisie wykazu, obejmuje on te długi Władysława IV, „które Rzeczpospolita płaciła.“ Król bowiem, jak wiadomo, udał się w r. 1642 do szlachty, zgromadzonej na sejmie, z prośbą o ulżenie mu ciężaru długów. Sejm z r. 1642 zajął wobec pretensyi króla stanowisko niechętne, tylko województwo łuckie wystąpiło z darowizną w kwocie 280,000 zł. ¹⁾ Dopiero na następnym sejmie z r. 1643 przeszła miła dla Władysława IV uchwała „wdzięczności“; prawie wszystkie województwa zgłosiły się do udziału w spłacie długów królewskich, i to przeważnie summą „czworgu podymnemu korrespondującą“. Zastrzegła się jednak szlachta w konstytucyi: „O niezaciąganie długów na Rzeczpospolitą,“ że do ponoszenia tego rodzaju ciężarów w przyszłości nigdy pociąganą nie będzie. „A ktoby kolwiek takowe długi ważył się in publico promować albo mimo to postanowienie in spem zapłacenia od Rzeczypospolitej dał pieniędzy, takim penom podlegać będzie, jakie de terra Sandomiriensi non abliganda są uchwalone“ ²⁾.

Skoro w wykazie, powyżej omówionym, znajduje się na czele zapiska, że owe 4 miliony z okładem przedstawiają summę długów, „które Rzeczpospolita płaciła“, przeto wolno przypuszczać, że po uchwale z r. 1643 popłaciła je w istocie, i to w takiej właśnie ich wysokości. Dzięki temu zbył się Władysław IV niezawodnie znacznej części ciężaru, który go przygniatał, ale—nie na długo pozbył się kłopotów pieniężnych. Już bowiem z r. 1646 mamy wiadomości o nowych jego stosunkach z wierzycielami. W r. 1646 był król dłużnikiem kupca i rajcy krakowskiego. Hieronima Pinoccego na 28,943 zł. 15 gr.; nawiasem dodamy, że pozostał dłużnikiem tego obywatela do końca życia, bo wiemy na pewno, że Pinocci jeszcze w r. 1664 czynił u dworu płonne, zdaje się, zabiegi, aby ową summę wierzytelną odzyskać ³⁾. Że Wła-

¹⁾ Radziwiłła „Memoriale“, ustęp z 25 lutego r. 1641.

²⁾ Volumina legum, t. IV, str. 56—60.

³⁾ Parę oryginalnych aktów, dotyczących stosunku Władysława IV z Pinocem i specjalnie długu, zaciągniętego przez króla u tego Włocha, znaleźliśmy

dysław IV zapasów pieniężnych w r. 1646 nie miał, to wykazaliśmy już dawniej, w opracowaniu „Planów wojny tureckiej“; przypominamy, że w tym czasie zapożyczył się król ze względu na cele wojny tureckiej u królowej Ludwicy Maryi na sumnę 660,000 złp. ¹⁾ I do zwrotu tej summy nie przyszło za życia Władysława ²⁾; co gorsza, niedługo po jego śmierci podskarbi koronny publicznie się uzał na sejmie konwokacyjnym, „że mu został winien s. p. król JMć. fl. 380,000 ³⁾. A trzeba wiedzieć, że i te trzy pożyczki znanych nam długów królewskich nie obejmowały wszystkich niespłaconych przezeń należności; bo wedle notatki, zachowanej w archiwum ministerstwa spraw zagranicznych francuskiego, jeszcze w r. 1672 ciążyły na skarbie Wazów długi, pozostawione ze spuścizną Władysława IV Janowi Kazimierzowi, w summie 797,894 talarów ⁴⁾.

Jaka była przyczyna tych ustawicznych kłopotów finansowych, tego zadłużenia się króla? Wspominaliśmy już o tem, podając charakterystykę Władysława IV, że za życia i po śmierci jego pomawiano go o rozrzutność, a raczej o zbyt nieopatrzną szczodroliwość.

O tej nadzwyczajnej i nadmiernej hojności swego pana napomyka nawet największy jego chwaleca, Koberzycki. Już jako królewicz lubił Władysław okazywać się hojnym „bez wszelkiego względu na

w archiwum miejskiem krakowskiem, w zbiorze t. zw. „Pinoccianów“ (por. tekę z czasów Władysława IV). Jest tam między innymi akt p. t. „Origine e stato del credito di fior. 32 mila con la M-tà di Vladislav IV, fatta presentare dopo la morte di detta M-tà del Ser-mo Principe Carlo — di Girolamo Pinocci.“ Dług urósł dopiero po śmierci Władysława IV do wysokości 32 tys. złp.; za życia króla, w r. 1646, wynosił tyle, ileśmy podali w tekście, jak dowodzi „Sommaro generale del debito“ z r. 1646, zachowany w brulionie wśród papierów Pinocego. Treść kilkunastu listów, pisanych do Pinocego, w latach 1649—1664, przez sekretarzy królewskich i inne osoby, (które to listy znajdują się w tej samej tece), okazuje, że po rok 1664 Pinocci zwrotu summy, pożyczonej Władysławowi IV, się nie doczekał.

¹⁾ Por. w dziele o „Planach wojny tureckiej“ ust. na str. 190—1. Przy tej sposobności prostujemy omyłkę, która się tam wkradła, co do summy pożyczki: wynosiła ona 660, nie 650 tysięcy złp., jak wynika z treści ogłoszonego przez Raczyńskiego „Skryptu Władysława IV, wydanego Maryi Ludwicy etc.“ (Portofolio, t. I, str. 28—32).

²⁾ Por. przypisek Raczyńskiego w wydawnictwie: „Portofolio Maryi Ludwicy“, t. I na str. 35.

³⁾ Michałowski: Księga pamiątnicza, str. 143.

⁴⁾ Por. w zbiorze moich szkiców historycznych „Z czasów Jana Kazimierza“ przypisek I na str. 112.

swoje mienie i bez wyboru osób¹⁾, które obdarzał¹⁾. W ciągu podróży zagranicznej w roku 1624 i 5 rozdał, wedle Wassenberga, 150,000 złp.²⁾ „To pewna, że ta jego dla drugich powolność to sprawiła,⁴⁾ — świadczy także nuncyusz Visconti w znanej relacji z r. 1626³⁾ — „że osoba i majątek jego stały się łupem otaczających go osób, tak iż gdy był jeszcze królewiczem, dochody jego, w części trwonione na uboczne cele, w części rozdrapane, nie wystarczały na codzienne potrzeby“. I zaraz dodaje Visconti, przechodząc do czasów późniejszych: „Podobnie, gdy został królem, też dochody przez hojne rozdanie dóbr stołu królewskiego tak dalece zmalały, że Stany Rzeczypospolitej na ostatnim sejmie musiały w to wejrzeć, osobnemi konstytucjami dobra królewskie od dalszego obwarować uszczerbku.“ Viscontemu musimy wierzyć, bo fakta, znane skądinąd, stwierdzają prawdziwość jego przedstawienia rzeczy.

W dyaryuszu sejmu konwokacyjnego z r. 1648 czytamy, że była na tym sejmie mowa o gospodarce finansowej zmarłego króla. Przy tej sposobności „JMP. Podskarbi sumitował się to rejestrami pokazać, że Król JMé s. p. pierwszego roku panowania swego zaraz samych procentów solnych i żupnych rozdał na 600,000 fl. swojej intraty⁴⁾; z drugiej strony wejrzanie w „Volumina legum“ upewnia, że w istocie szlachta próbowała kilkakrotnie hamować hojność króla osobnemi konstytucjami: „O ekonomiach“. W r. 1633 przypominano, że „dawne jest prawo, żeby ekonomie, cła i insze dobra wszystkie, do stołu królewskiego przynależne, jurgieltami żadnymi i daninami nie mogły być onerowane,⁴⁾ i uznając te przywileje, które Zygmunt III i Władysław IV (rozumie się, wbrew swemu prawu) po ten czas powydawali, włożono na króla zobowiązanie, że w przyszłości tego rodzaju przywilejów wydawać nie będzie⁵⁾. Ponownie, w r. 1635, konstytucya umarzała i kasowała poprostu „wszystkie przywileje, listy na jurgiely i pensye“, powydawane przez króla po sejmie koronacyjnym, jako też „libertacye wszystkich miast i miasteczek“, „które-kolwiek ubliżenie procentów stołu królewskiego za sobą pociągają⁶⁾. Trzecia konstytucya sejmowa, z 1638, dowodzi, że król mało się liczył z poprzedniami dwiema uchwałami: w pierwszych słowach

1) Historia Vladislai Principis, str. 923.

2) Wassenberg: Gestorum Vladislai IV pars I, str. 208.

3) Relacye nunc. Apost., t. II, str. 190—1.

4) Michałowski: Księga pamiętnicza, str. 143.

5) Volumina legum, t. III, str. 803.

6) Tamże, t. III, str. 853—4.

nowego artykułu o „ekonomiach“ znajdujemy wyznanie publiczne samego Władysława IV, iż „niektórzy nadużywają tego dobrodziejstwa Rzeczypospolitej, którego im pozwala konstytucya sejmu szczęśliwej koronacy naszej i drugiego sejmu r. 1635, i nie przestawają otrzymywać sobie przywilejów na jurgiely i lekkie arendy na dobrach do stołu naszego należących“, — poczem następuje znowuż kasata wszelkich takich wbrew prawu wydanych przywilejów i zakaz ubiegania się o nie i korzystania z tychże w przyszłości ¹⁾. Zdaje się, że i ta nowa konstytucya pozostała tylko uchwałą na papierze, bo w relacyach z późniejszych czasów znajdujemy znowuż u jednych nagany, u drugich pochwały szczodrobliwości króla, takie same, jak i w dawniejszych.

Sama Ludwika Marya twierdzi po półrocznem pozyciu z Władysławem IV, że „gdyby go Bóg uczynił trochę więcej oszczędnym i mniej skłonnym do rozdawania, to mógł-by zgromadzić wielkie mienie,“ ²⁾. Współcześnie pobłażliwy Tiepolo, poseł wenecki, nie może zaprzeczyć, że „król tak jest szczodrym, że aż zubożał,“ bo „nie tylko rozrzucił wszystkie skarby ojca, ale pogardza bardzo znacznemi korzyściami królowania, rozdając wakause Rzeczypospolitej *bez żadnego zysku dla siebie*“ ³⁾. Całkiem podobne szczegóły znajdujemy we wcześniejszej relacyi rodaka posła weneckiego, nuncjusza Filonardeggo. Donosząc kuryi w depezy z 8 czerwca r. 1642 o kłopotach finansowych króla, czynił Filonardi następujące uwagi: „Dług J. kr. Mci jeżeli dosięga, to z pewnością nie przekracza miliona dwustu tysięcy naszych skudów; co do dochodów, to nie posiada innych, jak te, które mu wyznaczyła Rzeczpospolita; co się zaś tycze tego, co się nabywa z rozdawnictwa łask i co ongi cośkolwiek przynosiło, J. kr. Mość nic z tego nie ma, bo albo rozdaje je pierwszorzędnym panom, a ci, zamiast płacić, dopraszają się ich i ubiegają o nie nieraz ostremi słowy, a nawet z pogrózkami; albo też rozdaje je zwykłym kompetentom, którzy, jeśli co dają, to ich darowizny dostają się faworytom, starającym się o nie; słowem, że król, *nie ciągnąc nic z rozdawnictwa łask* i rozdawawszy albo rozdzierzawiwszy z własną niekorzyścią owe dochody, wyznaczone mu przez Rzeczpospolitą, a nie mając ani nie mogąc na-

¹⁾ Volum. legum, t. IV, str. 925—6.

²⁾ List królowej do kardynała Mazariniego z datą: „Varsovie le 10 Décembre 1646“ (odpis z oryginału w ręk. bibl. Ossol. we Lwowie, w t, zw. tece Lukasa III, na k. 201).

³⁾ Generalrelation des Gio. Tiepolo 1647 (Ehrenberg: Urkund. und Acten. zur gesch. der Provinz Posen, str. 466).

kładać ani spodziewać się innych wypłat od Rzeczypospolitej, prócz tych, które już posiada, — widzi się zupełnie pozbawionym sposobu spłacenia swoich długów i środków nie tylko dla pokrywania wydatków, odpowiadających godności, ale nawet niezbędnie koniecznych¹⁾. Charakterystyczne są opinie obu tych Włochów: biorą oni nieledwie za złe Władysławowi IV, że nie ciągnął dochodów ze źródeł nieprawych, że nie nakładał haraczu na tych, których wyszczególniał przy rozdawnictwie wakansów!

Jeżeli rozważymy bliżej wszystkie przytoczone powyżej szczegóły, to ostateczne wnioski, jakie z nich wysnuć wypadnie, dostarczą więcej danych, przydatnych do usprawiedliwienia króla, aniżeli do poparcia tych zarzutów, któremi go obciążali współczesni i potomni. Trzeba bowiem wiedzieć, że nie tylko Jan Kazimierz, ale i Władysław IV uchodził w opinii potomnych za rozrzutnika; mniemaniu temu dał drastyczny wyraz nawet dosyć umiarkowany w swoich sądach poeta, Wacław Potocki.

W zbiorze „Jovialitates²⁾” poświęca on naszemu królowi niezbyt pochlebne wspomnienie, a raczej wkłada jemu samemu w usta następujące wyznanie:

„Gdy mi bronią z Turczyнем szukać sławy w mieczu,
Puściłem cug pieszczony Wenerze w Mereczu:
Com miał mało od Marsa między kawalery,
To mię między dziewczęty potka od Wenery...
Umieram; nie jako król w tentu grób otwarty
Ja Władysław sromotnie zawieram się Czwarty,
Umieram, dwa klejnoty różnego gatunku
Zostawiwszy Polakom w swoim podarunku:
Jeden—wojna kozacka, drugi—zbytek sprosny,
Z Francuską wprowadzony; nie jednej-że wiosny,
Nie jednej głowy praca takie zgoi rany:
Długo będzie Władysław w Polsce pamiętany!“

Czy historia ma przyklasnąć temu sądowi poety? Potocki jest w tym wypadku echem opinii szlacheckiej, a opinia szlachty była w XVII wieku prawie zawsze zwróconą przeciw królom. Zapewne, i my także nie potrafimy temu zaprzeczyć, że król zanadto łatwo i nazbyt nieopatrnie rozrzucił pieniądze: ale gdzie szły te pieniądze?

¹⁾ Depesza cyfrowana w archiwum watyk. (Nuuz. di Polonia s. 51).

²⁾ Wydanie z r. 1747, str. 77—8.

Przeważnie do kieszeni szlachty, do kieszeni panów i faworytów. Była to więc rozrzutność, której słusznie wielu współczesnych dawało szlachetniejszą nazwę — królewskiej hojności. Wszak konstytucye sejmowe wytykały królowi, że wydawał za dużo aktów darowizn, za dużo przywilejów na jurgiely, — a nie że sam na swoje zbytki potrzebował za wiele. Tiepolo i Filonardi zdają się ubolewać także i nad tem, że król nie ciągnął zysków ze źródeł, które podobno miały się przyczynić do wzbogacenia Zygmunta III. ale których czystemi nazwać nie można! Najbardziej słuszne i trafne zdanie o tych rzeczach wypowiedział, jak sądzimy, kanclerz Jerzy Ossoliński, tłumacząc szlachcie na sejmie konwokacyjnym z r. 1648: „że niedostatku nie skarb, ale sam ś. p. król JMć był przyczyną, a *chciwość ludzku bez dyskrecyi*, która, obaczywszy pana *ze wszystkiem dobrego, bez niawry, samemu tylko iniquum*, ciągnęła go ledwo nie ze skóry *ex hac occasione*“¹⁾.

A jeśli przypomnimy nadto ów omówiony już wyżej stosunek zwyczajnych dochodów królów polskich w XVII wieku do dochodów królów francuskich w tem samym stuleciu, to uznamy potrzebę jeszcze bardziej względnego i pobłażliwego sądu. Nie mogło być u nas ani mowy o tem, aby król polski zdołał pod względem wystawności życia dorównać królowi francuskiemu; ale godność Rzeczypospolitej i jej stanowisko mocarstwowe wymagały, bądź co bądź, tego, aby król mógł się choć w wyjątkowych wypadkach pokazać godnie obok innych współczesnych monarchów. Każdy taki występ nadzwyczajny kosztował tyle, że musiał spowodować nadmierne obciążenie budżetu dworskiego. Ze znanego wykazu długów królewskich widać, że pogrzeb Zygmunta III pociągnął za sobą wydatek w kwocie 468,752 złp., to znaczy więcej niż $\frac{2}{3}$ przeciętnego dochodu rocznego; „weselny akt“ króla (z r. 1637) 321,879 zł. czyli półroczny dochód! Nie przeczymy, że to są summy znaczne, że oba te obrzędy dały-by się, być może, opędzić mniejszemi kosztami. Ale cóż one znaczą wobec zwyczajnych wydatków Ludwika XIV, wobec tych danych o rozrzutności króla francuskiego, któreśmy zestawili wyżej? Porównanie cyfr budżetu dworskiego Ludwika XIV z podanemi co dopiero kilku cyframi wydatków Władysława IV dowodzi raz jeszcze, że król i dwór polski prowadził życie nierównie skromniejsze, aniżeli francuski, i nawet w nadzwyczajnych wypadkach nigdy nie posuwał się w rozrzutności ani w dziesiątej części tak daleko, jak skarb „Króla-słońca“. Jeżeli przyjmujemy, że u nas król miał rocznie dochodu 600,000 złp., to w ciągu 16 lat swoich rządów wybrał z dóbr stołowych i innych źródeł

¹⁾ Michałowski: Księga pamiętnicza, str. 143.

zyskowych, oddanych mu do rozporządzenia przez Rzeczpospolitą, około 9,600,000 złp.; doliczmy do tego przeciętny dochód królowych z „oprawy“ po 200,000 złp. na rok, w ciągu lat dziesięciu (bo przez lat 10 tylko niecałych miał Władysław IV przy boku swoim królowę) dwa miliony, — to otrzymamy razem summę 11,200,000 złp.; a po doliczeniu nadto summy owych 4,400,000 złp. (bierzemy summę okrągłą), którą Rzeczpospolita przyczyniła się w r. 1643 do spłaty długów królewskich, przekonamy się, że cały dom i dwór królewski Władysława IV w ciągu całego jego panowania nie kosztował Rzeczypospolitej więcej jak 15,600,000 złp. ¹⁾ Czyż może ciężar taki iść w porównanie z tym ciężarem, jakim przynięciony był naród francuski wskutek wystawnego i zbytowego nad wyraz życia Ludwika XIV? Dom i dwór króla francuskiego wyciągnął przez taki sam, 16-letni okres czasu, w szóstym i siódmym dziesiątku lat XVII wieku, z kieszeni podwładnych około 640 milionów liwrów czyli tyleż złotych polskich! Choćbyśmy przyjęli, że Francya była pięćkroć bogatszym krajem aniżeli Polska, a więc mogła z równą łatwością ponosić pięć razy większe ciężary, i choćbyśmy z uwzględnieniem takiego stosunku bogactwa narodowego ową summę 640 milionów pięćkroć zmniejszyli, to i tak okazało-by się, że utrzymanie naszych królów było dla narodu polskiego *osiem razy mniejszym ciężarem*, aniżeli utrzymanie królów francuskich dla Francyi.

Prawda, że Władysław IV miał-by się być lepiej, gdyby był umiał rozumniej i nieco oszczędniej gospodarować dobrami, które mu Rzeczpospolita oddała do dyspozycji. Ale czy ta rzekoma rozrzutność króla, a raczej jego szczodroblivość i łaskawość, nie była dla niego poniekąd koniecznością, nie była wskazaną pewnemi względami politycznemi, nie była narzuconą temi warunkami, wśród jakich wypadło mu królować w Rzeczypospolitej? Wiadomo, jaka była pozycja królów w państwie polskim XVII wieku wobec jego wadliwego ustroju, wobec przemocnego uprzywilejowania innych Stanów. Król podtrzymywał właściwie swoją powagę i swój wpływ na sprawy państwa i na podwładnych, głównie dzięki temu, że miał w ręku rozdawnictwo łask. Jeśli chciał przeprowadzić jakieś przedsięwzięcie własnego pomysłu, nawet najbardziej rozumne i szlachetne, to nie mógł

¹⁾ Dobra stołowe, część dóbr Rzeczypospolitej, zastępowały pieniężną dotacyę, wypłacaną ze skarbu państwa; oddając je królowi do użytku, Rzeczpospolita tem samem odejmowała skarbowi państwowemu część źródeł dochodów; a więc mamy prawo uważać dochody, jakie król ciągnął z dóbr stołowych, za ciężar, który faktycznie ponosiła Rzeczpospolita.

nakazać jego wykonania, nie mógł go narzucić szlachcie, lecz musiał się odwoływać do dobrej woli, do życzliwości poddanych. Partję dworską stanowili głównie ci, co potrzebowali względów króla albo cokolwiek mu zawdzięczali: im więcej ludzi sobie zobowiązał dowodami łaski, tem pewniej siedział na tronie. Hojność, szczodroblliwość — były to więc główne środki, podtrzymujące tron i wzmacniające jego stanowisko w Rzeczypospolitej. Chcąc zbyt oszczędzać, zbyt ściśle rachować się z groszem, trzeba było abdykować z samodzielnych dążeń, z wszelkich celów osobistych: a do tego najmniej zdolnym był Władysław IV, — ten król-polityk, o głowie, pełnej górnych marzeń i ambicyi, pełnej śmiałych i rozległych planów powszechno-dziejowego znaczenia. Gdy się pomyśli, że większa część tych zamysłów miała na celu dobro, wielkość, sławę, potęgę Rzeczypospolitej, że niejednen z nich, wykonany, mógł wprowadzić Polskę na drogę odrodzenia, a wszystkie prawie upadły głównie dla tego, że królowi brakło osobistej potęgi, bardziej samodzielnej władzy, brakło środków, odpowiadających doniosłości zadań, a więc brakło tej koniecznej do pewnego stopnia niezawisłości moralnej w stosunku do otoczenia, która się zwykle opiera na niezawisłości materyjalnej,—to chce się raczej ubolewać nad tem, że Władysław IV nie był bogatszym, że nie mógł być rozrzutnym bez obawy zubożenia siebie, że nie miał do dyspozycyi takich funduszków, jak Ludwik XIV.

Osobno jeszcze musimy się zająć kwestyą dochodów królowych. Królowe polskie miały zapewnione osobne źródło dochodów w tak zwanej „oprawie“, uchwalanej przez Stany po każdym nowem małżeństwie króla. Sposób pobierania tych dochodów został, o ile nam wiadomo, uregulowany dopiero konstytucyą sejmową z r. 1593. Oto tekst tej ustawy: „Iż wedle konstytucyi przodka naszego, króla Stefana, anni 1581 miało być namówiono od wszech stanów, na których-by dobrach oprawy królew polskich miały być czynione, tedy za radą Panów Rad i pozwoleniem wszech stanów obojga narodów mianowane i naznaczone tu są na tym sejmie dobra stołu naszego królewskiego, to jest Bielsk, Rajgrad, Grudziądz, Tuchola, Świecie, Łomża, Uście z Piłą, Jurbork z Nową Wolą i z leśnictwem, Upita ze wszystkimi włościami i folwarkami, unacum iuribus patronatus w tych wszystkich dobrach, na których salvis iuribus Królowej JMci Ciotki naszej et modernorum possessorum natenczas oprawę pięćdziesiąt tysięcy złotych

polских wiana, a drugie pięćdziesiąt tysięcy przywianku Kr. Jej Mci Małżonce naszej nieomieszkanie wydać z kancelaryi naszych rozkażemy. A przytym wedle obyczaju dawnego donum nuptiale złotych dwa tysiąca czerwonych we złocie doroczne Kr. JMci ma być naznaczone¹⁾.

Przyznajemy się, że brzmienie tej konstytucyi nie całkiem jest dla nas jasne i zrozumiałe. Z pierwszej jej części wynika, że królowa miała zapewnioną oprawę na dobrach *stołowych*, a więc należących do źródeł dochodów króla, ale widocznie na takich dobrach stołowych, z których królowie sami w ostatnich czasach przed r. 1593 nie ciągnęli już żadnych dochodów, gdyż część ich przeznaczona była na utrzymanie Anny Jagiellonki, a reszta znajdowała się w rękach posiadaczy prywatnych, t. j. jako darowizny królewskie tego rodzaju, iż obdarowani nie mieli wprawdzie dóbr oddanych sobie na wieczystą własność, ale mieli zapewnioną dożywotnią pełną używalność wszystkich płynących z nich dochodów. Stąd niezawodnie zastrzeżenie, zawarte w końcowej części konstytucyi, iż oprawa będzie wydawana z *kancelaryi królewskich* (a więc ze skarbu króla!) „salvis iuribus królowej JMci Pani Ciotki naszej et modernorum possessorum“ — zastrzeżenie, które rozumiemy w ten sposób: iż król brał na siebie spłatę sum, stanowiących oprawę, a miał je sobie odebrać później z owych dóbr, wyliczonych w konstytucyi, po wygaśnięciu dożywotnich ich posiadaczy. Z treści konstytucyi powyższej dowiadujemy się zatem, że dochód roczny królowej miał wynosić od r. 1593 sto tysięcy złp. i dwa tysiące czerwonych złotych. Te dwa tysiące czerwonych złotych nazwane są w konstytucyi: „donum nuptiale“; rozumiemy, że to był dar osobisty króla, to jest, że tylko ową sumę 2,000 dukatów miał król wypłacać królowej ze swoich dochodów. Potwierdza ten nasz domysł brzmienie późniejszych konstytucyi o „oprawach,“ z których widać, że spłatę owego „daru małżeńskiego“ zapewniał król żonie na żupach krakowskich, a więc na jednym z głównych źródeł dochodów korony.

W dwóch konstytucyach z czasów Władysława IV, ustanawiających oprawy, w r. 1638 dla pierwszej żony, Cecylii Renaty, w r. 1646 dla drugiej żony, Ludwiki Maryi, dochody królowych zabezpieczone są po części nie na tych samych dobrach, które były wymienione w konstytucyi z r. 1593, ale z treści ich można wywnioskować na pe-

¹⁾ Volumina legum, t. II, str. 1402—3.

wno, że w tych czasach dobra, wyznaczone do użytku królowym, stanowiły już osobną grupę, t. j. nie należały do dóbr stołowych, lecz państwowych (nie są one już w konstytucyi z r. 1638 nazwane stołowemi, jak w r. 1593) i że Rzeczpospolita zapewniała królowym dochód na jednych lub drugich, stosownie do tego, jakie w danej chwili wakowały.

W r. 1638 otrzymała królowa Cecylia Renata oprawę w kwocie 200,000 złp. (po 100,000 z Korony i z Litwy), zabezpieczoną w Koronie na Niepołomicach, Knyszynie, Krzeczewie, Stanisławowie, Kamieńcu Mazowieckim z Zawiszynem i Jadowem, Tykocinie, Surazie, Wiśniowie, Kapinosie z Młodzieszynem i Kazuniem, Uściu z Piłą, Brodnicy, Gołubiu i Tucholi; a w Wielkiem Księstwie litewkiem na Bobrujsku „ze wszystkimi włościanami, zdawna należącemi do niego, którekolwiek się znajdują teraz u różnych possessorów, które po zejściu terażniejszych wracać się do oprawy Królowej JMci za oddaniem summy sukcesorom, która się z prawa pokaże, mają“; dalej „na Jurborku z Nową Wolą, Sokółce z leśnictw, Hodorówce i Kamiennej z leśnictwy, Przerośli z leśnictwy, Giemnie i Metellach“. Od siebie miał król dodawać, jak dawniej, po 2,000 czerwonych złotych rocznie ¹⁾. Królowej Ludwice Maryi natomiast przyznał sejm z r. 1646 oprawę w takiej-że summie 200.000 złp., zabezpieczonych w przeważnej części nie na dobrach, wymienionych w konstytucyi z r. 1638, lecz na tych samych, których używała królowa Anna od r. 1593, przydawszy do nich Kapinos i Kazuń z Młodzieszynem w Koronie, a na Litwie Bobrujsk i Sokołkę z leśnictwami (a więc tylko te przydane dobra były z rzędu używanych przez Cecylię Renatę). ²⁾.

Jeden szczegół tych konstytucyi wymagał-by bliższego wyjaśnienia. Jak mianowicie rozumieć owo dokładne określenie summy dochodów, jakie królowe miały ciągnąć z dóbr, wyznaczonych im do użytku? Czy królowe miały pobierać w istocie tylko dochody nie przekraczające summy 200 tysięcy złp. i czy z drugiej strony miały zagwarantowany dochód, który *musiał* osiągać takiej wysokości? Zdaje się, że nie; że konstytucya podawała summę 200 tysięcy złp., jako cyfrę określającą w przybliżeniu wysokość przypuszczalnych dochodów, obliczonych na podstawie ryczałtowego oszacowania wartości samych-że dóbr, a że faktycznie królowa mogła rozporządzać temi dobrami dowolnie,

¹⁾ Volum. legum, t. III, str. 926.

²⁾ Tamże, t. IV, str. 90.

wydzierżawiać je, komu chciała (byle szlachcie), i za taką summe dzierżawną, jaką jej się wyznaczyć podobało. Z notatki, jaką spisał des Noyers, informując księcia Kondeusza o dochodach Ludwika Maryi w ostatnich latach przed jej śmiercią, dowiadujemy się, że królowa z części starostw, wydzierżowianych „największym panom w królestwie“, nie miała więcej jak 30,000 złp. rocznego dochodu; z innych dóbr, mianowicie z Świecia, Połagi, Uścia, Pily, Bielska, Grudziądza, Okolnik i trzech innych wsi czy też kluczków, których des Noyers nie wymienia, choć wlicza dochody, jakie z nich płynęły, do ogólnego rachunku,—razem 104,000 złp. ¹⁾ Dochody ze wszystkich dóbr przyniosły zatem ogółem zaledwie 134,000 złp. Natomiast z żup solnych przybywało jej wedle tegoż des Noyers'a aż 228,000 złp., podczas gdy wedle konstytucyi z r. 1646 „dar małżeński“, zabezpieczony na żupach solnych, miał wynosić tylko 2,000 czerwonych złotych czyli 12,000 zł. (licząc wedle wskazówki Zagórskiego 6 złp. na 1 czerwony złoty). Musimy stąd wnosić, że Ludwika Marya z biegiem czasu wyrobiła sobie u Jana Kazimierza udział w dochodach żupnych znacznie większy, niż jej wyznaczył Władysław IV, być może, że ewentualne ustępstwo ze strony Jana Kazimierza było tylko formą spłaty tych długów, jakie on i jego poprzednik zaciągnęli byli u królowej.

Królowe miały nadto drugie, osobiste źródło dochodów w swoich posagach. Posag Ludwika Maryi wynosił, zdaje się, nie więcej jak 220,000 talarów, czyli 660,000 złp. ²⁾ Licząc tak wysoki procent

¹⁾ Raczynski: Portofolio Maryi Ludwika, t. II, str. 368—364.

²⁾ Nie umiemy oznaczyć dokładnie, jak wysokim był posag Ludwika Maryi, dla braku autentycznych danych. De Brégy, poseł francuski, pisał w liście do Ludwika Maryi z 1645, z Warszawy, co następuje: „Fundując się na ustnej deklaracji W. K. M., umieściłem między artykułami kontraktu, że W. K. M. jako córka domu mantuańskiego, masz prawo do 200,000 talarów posagowej summy, stosownie do familijnego zwyczaju, ale nie wiem, co na to powie nasz dwór, bo w danej mi instrukcyi niemasz żadnej wzmianki o tych 200,000 talarów?“ (Portofolio, t. I, str. 16).

Jakkolwiek de Brégy zdaje się powątpiewać o tem, aby Ludwika Marya mogła posiadać w istocie posag takiej wysokości, jaką oznaczył sam w kontrakcie, jest rzeczą niezawodną, że królowa rozporządzała w roku 1646 (przed uzyskaniem oprawy) własnymi funduszami w summie co najmniej 660,000 złp. czyli 220,000 talarów, bo właśnie taką summe „w talarach bitych i dukatach dobrej wagi, pochodzących z dóbr dziedzicznych i z posagu tejsze Najjaśniejszej Królowej“, dostał od niej w formie pożyczki Władysław IV, jak dowodzi rewers królewski, wystawiony 16 września r. 1646 (Portofolio t. I, str. 28—31). Akt „assekuracyi tej summy“, tegoż dnia wydany (tamże, str. 33—34) zapewniał królowej procent roczny w kwocie 46,200 złp.

dochodu od tej summy, jaki płacił Ludwice Maryi Władysław IV, otrzymalibyśmy jako dochód roczny z posagu około 46,000 zł. A że des Noyers inne dochody królowej oblicza na 332,000 zł., przeto razem miała-by Ludwika Marya do rozporządzenia rocznie summę, nie dosięgającą 400 tysięcy złp.

WIKTOR CZERMAK.

Przed sklepem mechanika.

Uwagi luźne o znaczeniu przyrządów w nauce.

Przed składem rycin, przed „Włochem,” jak dawniej mówiono tłum widzów wciąż się gromadzi. Za szybami rozwieszono naiwne malowidła zatrzymują przechodniów, podniecają ich wyobraźnię, serca ich wzruszają. Zwykle też znajdzie się tam i mówca, co z obrazków tych czerpie przedmiot do perory, która zawsze chętnych znajduje słuchaczy, a często i do ożywionej pobudza ich dyskusji.

Za przykładem tym właśnie pójść sobie pozwalam, czytelników przed sklepem mechanika zatrzymując. Na wystawie jego rozłożone przyrządy zwracają przecież uwagę naszą, jak obrazki „Włocha,” — można przy nich na chwilę przystanąć. Nie dla tego, by jeden po drugim kolejno opisywać, ale sklep mechanika jest jakby uzewnętrznieniem widomem nauki współczesnej; przy pomocy przyrządów jego buduje się wiedza przyrodnicza, fizyka zwłaszcza, która już samym swym olbrzymim w czasach naszych rozrostem daje dowód, że należyte do budowy gmachu swego wzniosła rusztowanie i właściwe do poznania natury wykryła drogi. Przed wystawą mechanika nasuwają się pytania o tem rusztowaniu i o tych drogach; od przyrządów samych myśl mknie łatwo do celów, jakim one służą. Pozostańmy więc na chwilę przed owym sklepem mechanika, gdzie rozprawić możemy swobodniej, aniżeli w gabinecie fizycznym, nieskrępowani porządkiem wykładu systematycznego i ścisłości naukowej.

I.

Nie zawsze, jak dziś, był sklep mechanika nauce potrzebny; bez przyrządów obywatela się długo fizyka.

W czasie, gdy się fizyka rozpoczęła, posiadał już człowiek niewątpliwie obfity zasób wiadomości fizycznych. Były to pierwsze spostrzeżenia, dokonane wtedy, gdy ledwo co siłą swą duchową po-nad przyrodę otaczającą wybijać się on zaczął i uporeczywie z nią walki o utrzymanie bytu swego staczać musiał; były to wynalazki proste, które dały początek rzemiosłom i sztukom, narzędzia, broń, wozy, których wyobrażenia przechowały nam napisy i rysunki przedwieczne, assyryjskie, egipskie, których szczątki znajdujemy dziś jeszcze w grobach dawnych, w jaskiniach, w wykopaliskach. Wszystko to wypełnia dzieje cywilizacji pierwotnej. Fizyka powstała dopiero, gdy wysoko już w cywilizacji posunięty człowiek uznał potrzebę uporządkowania faktów poznanych, gdy w następujących mu się zjawiskach łączność spostrzegać zaczął, gdy objawy przyrody objaśnić zapragnął i o przyczyny ich zapytał.

Fizyka starożytna jest prawie wyłącznie fizyką grecką. Indowie, Chaldejczycy Egipcjanie posiadali wprawdzie pewną znajomość przyrody; umysły wszakże narodów wschodnich, grozą bóstw ujarzmione, rozplywały się w spekulacjach teologiczno-mistycznych i nie zdołały wznieść się do pojęcia prawidłowości w naturze. Swobodny dopiero duch grecki w objawach świata otaczającego umiał się dopatrzeć związku przyczynowego, niezależnego od wpływów nadprzyrodzonych, a tem samem w Grecji dopiero zrodzić się mogła nauka przyrody, fizyka. W fizyce greckiej tkwią już zarody wszystkich dzisiejszych działów nauki, znane bowiem były Grekom nawet najprostsze objawy magnetyczne i elektryczne; zarodki te wszakże u nich się nie rozwinęły, istotnej znajomości przyrody i oni zdobyć nie zdołali. Nie dla braku dostatecznej potęgi umysłowej, której przecież tak świetne dowody w geometrii złożyli, ale stąd jedynie, że starożytni nie wykryli właściwej drogi, która do rozumienia natury prowadzić mogła, nie posiadali istotnej metody badań.

Fizyka grecka była pierwotnie filozofią natury. Jest to młodzieńczy w dziejach okres, i z tą młodzieńczą butą i pewnością, która na przeszkody nie zważa i powolnie, stopniowo kroczyć nie lubi, ale woli

wzbijać się w górę i orlim wzrokiem świat obejmować od końca do końca, pragnęła fizyka grecka z pewnych założeń dowolnych, z ogólnych, z góry przyjętych poglądów, wysnuć prawidłowość przyrody, i jednym rzutem myśli zagadkę całą świata rozwiązać. Pierwszym z tych mędrców greckich, o przyrodzie filozofujących, jest Tales, najdawniejszy fizyk grecki. Główną zasadą wszechrzeczy jest dla niego woda, wszystko jest z wody i wszystko w wodę znów się obraca. Pogląd taki Talesa potwierdza może prawdopodobne przypuszczenie, że źródła nauki jego pochodzą z Egiptu, który żytność swą jedynie wodom Nilu zawdzięczał.

Szczęśliwszym w spekulacyach swych był Pytagoras, opierał się bowiem nie tyle na substancji zasadniczej, ile raczej na porządku wszech rzeczy, na ich liczbie i mierze; jakkolwiek bowiem liczba miała dla niego znaczenie mistyczne, mogła go choćby przypadkowo tylko do uchwycenia prawidłowości zjawisk doprowadzić, jak o tem świadczą wykryte przezeń stosunki liczebne tonów muzycznych.

Anaksagoras rozmaitość ciał opiera na nieskończonej rozmaitości cząstek nadzwyczaj drobnych, a współczesny mu Empedokles sprowadza substancje zasadnicze do czterech żywiołów: ziemi, wody, powietrza i ognia. Leucyp i uczeń jego Demokryt słyną, jako twórcy nauki o atomach, które różnić się mają między sobą, nie jakościowo, jak Anaksagorasa, lecz tylko postacią, położeniem i porządkiem, w ustawicznym nadto pozostając ruchu.

Duch grecki miał osobliwą zdolność tworzenia hipotez, a rozwijał je tak obficie, że wszystkie teorie nauki nowoczesnej powiązać się dają ze złudnemi rojeniami starożytnych. Z wybujałością tych hipotez szła razem i pogarda dostrzeżeń, a Platon, wielbiciel matematyki czystej, lekceważy nawet astronomię praktyczną. Astronomów zalicza wprawdzie do mędrców, ale odręca astronomów rzekomych, którzy zajmują się obserwacją wschodu i zachodu gwiazd, lub innych podobnych zjawisk; istotnymi astronomami są dla niego ci raczej, którzy zastanawiają się nad ośmiu sferami niebios i nad wielką harmonią wszechświata, co jedynie tylko godnem jest przez bogów rozjaśnionego umysłu ludzkiego.

Najwyższego kresu rozwoju swego dosięga grecka filozofia uatury u Arystotelesa. Góruje on niewątpliwie po-nad wszystkimi poprzednikami swymi olbrzymią wiedzą i więcej, niż oni, liczy się z faktami dostrzeżonemi, ale do rozpatrywania przyrody stosuje też samą metodę filozofowania, a spekulacja prowadzi go zawsze do błędnych rezultatów. W przestrzeni pustej, która jest jedynie negacją materii, naucza Arystoteles, niema rozmaitości miejsca, a tem samem jest w niej niemożliwy ruch, z ruchem bowiem łączy się pojęcie rozmaitości

w przestrzeni. Poszukując zasad rzeczy zmysłowych, napotykamy tylko cztery antytezy pierwotne, dające się wyróżnić czuciem, to jest ciepło i zimno, suchość i wilgotność; są to elementarne własności materji. Ponieważ zaś sprzeczności łączyć się z sobą nie mogą, kombinacye tych własności przeto wytwarzać mogą tylko cztery substancye elementarne, a zatem: gorący i suchy ogień, gorące i wilgotne powietrze, zimną i wilgotną wodę, oraz zimną i suchą ziemię. Substancye te są to żywioły, z których się ogół ciał tworzy. Ziemia jest to żywioł bezwzględnie ciężki, ogień bezwzględnie lekki, powietrze i woda są ciężkie lub lekkie, stosownie do tego, z jakim elementem są połączone. Stąd to i wszystkim ciałom właściwa jest ciężkość lub lekkość, dążą więc na dół ku ziemi, lub w górę ku niebu. Są to ruchy naturalne, które trwają, dopóki gwałtownie nie będą powstrzymane; nie są wszakże jednostajne, a tem samem nie są doskonałe. Doskonałym jest tylko ruch kołowy i wieczysty, a dla urzeczywistnienia go istnieje żywioł piąty, eter, z którego składa się niebo, „quinta essentia,“ sfera gwiazd stałych; planety są już zmieszane z substancjami ziemskimi, bo ruchom im brak zupełnej jednostajności. Ziemia, jako żywioł najcięższy, poruszać się nie może i spoczywa w środku świata. O biegu ciał spadających mniema Arystoteles, że prędkość spadku jest proporcjonalna do ich ciężaru, że zatem ciałodwa razy cięższe spada dwa razy prędzej. Więcej trudności nastroczają mu ruchy gwałtowne; dziwi się, że ruch ciała rzuconego trwa jeszcze, choć rękę opuściło, sądzi więc, że pozostawia ono za sobą przestrzeń pustą, a wpadające tam powietrze napiera je coraz dalszym naciskiem. Cała mechanika Arystotelesa utyka na nieszczęśliwem przypuszczeniu o ciałach bezwzględnie i względnie ciężkich lub lekkich; z zasady tej wynika, że woda nie jest ciężką względem ziemi, ani powietrze względem wody, a stąd woda nie może cisnąć na ziemię, ani powietrze na wodę. Aby więc wytłómaczyć podnoszenie się wody w pompie, odwołać się musi do dalszego przypuszczenia, że natura lęka się próżni, do słynnego „horror vacui,“ jakkolwiek wie, że powietrze jest ciężkie i nawet próbuje je ważyć.

Urywki te fizyki Arystotelesa dostatecznie błędność jej wykazują. Największy z filozofów starożytnych pozostawił potomności same tylko fałszywe fizyczne. Źródłem tak uderzającego niepowodzenia nie jest brak dostatecznej podstawy faktycznej, ale błędność obranej metody. Arystoteles nie odwracał się wprawdzie od rzeczywistości, gromadził zasób dostrzeżeń, ale dążył zawsze do poszukiwania pojęć ogólnych, prowadzących do wyjaśnienia całości. Cel ten, wytłómaczenie natury przez logiczne wywody z pewnych zasad naczelných, przeprowadził w sposób tak konsekwentny, że dzieło jego słuszny budzić musi po-

dziw; pomimo to fizyka jego runęła tak doszczętnie, że z niej kamień nie ostał na kamieniu.

Praca mędrców greckich jałową nie jest i straconą nie została zupełnie, złożyła bowiem świadectwo stanowcze, że znajomości przyrody człowiek z umysłu swego wysnuć nie zdoła. I w najnowszych wszakże jeszcze czasach ludzili się filozofowie, że drogą rozumowania filozoficznego istotę przyrody odsłonić potrafią; tem mniej więc Arystoteles na zarzut zasługuje, gdy w jego czasach brakło jeszcze uzasadnionych powodów do powątpiewania, że obrana przezeń droga do celu prowadzić nie może.

Wraz z przeniesieniem się nauki greckiej z Aten do Aleksandryi zmienia się charakter fizyki, rozpoczyna się nowy dziejów jej okres, z filozoficznej staje się matematyczną. Jak prąd jej poprzedni streszcza się w osobie Arystotelesa, tak najwybitniejszym przedstawicielem kierunku nowego jest Archimedes, największy matematyk starożytności, o którym Cycero wyrażał się z zachwytem, że posiadał geniusz większy, aniżeli to być może z naturą ludzką zgodnem. Dwa wprawdzie tylko zdobył on odkrycia, dwa tylko poznane prawa przekazał czasom dalszym: prawo równowagi dźwężka i prawo ciał zanurzonych w cieczach, ale zasady te przetrwały niewzruszone i na całą przyszłość bez zmiany pozostaną.

W obu swych dziełach fizycznych, o równowadze płaszczyzny i o ciałach pływających, zachowuje Archimedes metodę matematyczną od początku aż do końca; opiera się na pewnych twierdzeniach z góry przyjętych, na pewnych założeniach, jakby na pewnikach, które są same przez się widoczne, a stąd drogą wnioskowania matematycznego coraz dalsze wyprowadza twierdzenia. W teorii dźwężka założenia te przyjmują, że wielkości jednakowo ciężkie, w jednakich odległościach od punktu podpory, pozostają w równowadze, gdy zaś w różnych przypadają oddaleniach, w równowadze się nie utrzymują, ale wielkość dalej się od punktu podpory mieszcząca opada ku dołowi. Nauka znów o ciałach pływających polega na zasadach, że ciecz we wszystkich swych częściach jest jednostajna i ciągła, że w każdej cieczy część mniej uciskana usuwana jest przez część bardziej uciskaną, i że każda część jest uciskana przez ciecz nad nią będącą.

Pisarze nowsi często Archimedesą pierwszym fizykiem nazywają. Jeżeli mamy na uwadze zdobyte przezeń rezultaty, trzeba się na to zgodzić; zdanie to wszakże jest niesłuszne, gdy mamy na uwadze i metodę fizyczną, to jest wyprowadzanie praw na podstawie obserwacyi i doświadczeń. Badania fizyczne i mechaniczne budzą w nim zajęcie jedynie ze względów matematycznych, i sam uważa je tylko, jako zastosowanie matematyki. Obrane przezeń zasady są już rezultatami do-

strzeżeń, jakkolwiek tak prostych i powszednich, że przybierają pozór pewników koniecznych, oczywistych. Mędracy starożytni doświadczeń nie prowadzili, dlatego też obok mechaniki, a raczej statyki tylko, mogła się w starożytności rozwinąć jedynie optyka jeszcze, a przynajmniej pewne jej działy, które również z prostych i bezpośrednich wynikają dostrzeżeń. Ale podobnie jak filozofia, tak też i matematyka nie może sama przez się fizyki wytworzyć, dla swych wywodów bowiem musi najpierw materyał posiadać. Z punktu zatem widzenia fizyki nowożytnej, zarówno Archimedes, jak i Arystoteles, nie są fizykami; matematyka wszakże drogą pewną i ścisłą wnioskowania swe jedne z drugich wysnuwa, gdy filozofia na każdym kroku narażona jest na zboczenia i pomyłki, a tem się tłómaczy uderzająca sprzeczność między rezultatami prac Arystotelesa i Archimedesesa.

Początek fizyce nowożytnej daje dopiero wprowadzenie metody doświadczalnej, uznanie, że jedynym źródłem naszej znajomości natury, otaczającego nas świata, jest doświadczenie. Początkiem tym doświadczalnym różni się wiedza nowożytna od nauk znanych w starożytności i wiekach średnich, które się na podstawie Organonu Arystotelesa rozwijały. Dawna metoda syllogistyczna uczyła łączyć między sobą pojęcia już gotowe, ale nie wskazywała, jak się nowe pojęcia tworzą i odkrywają. Rozwój wszakże nauki polega nie na przedstawianiu w postaci wniosków coraz odmiennych tego, co już wiemy, ale na zdobywaniu wiadomości coraz nowych; potrzebna była droga nie dowodzenia rzeczy znanych, ale odkrywania i wynajdowania rzeczy nieznanych, a tą właśnie jest metoda doświadczalna. Odrodzenie nauki w czasach nowożytnych rozpoczyna się szczęśliwem stosowaniem obserwacyi i indukcyi w badaniach astronomicznych Kopernika, Tycho-
na Brahe i Keplera; ale pierwszym eksperymentatorem, pierwszym i istotnym przedstawicielem metody doświadczalnej był Galileusz, którego badania nad spadkiem ciał dają początek fizyce obecnej. W poszukiwaniach tych wybija się duch nauki nowożytnej, który usuwa na plan dalszy pytanie, dlaczego ciała spadają, a przedewszystkiem wykryć usiłuje, jak ciała spadają, jak ruch ten się dokonywa, wedle jakiego odbywa się prawa. Odpowiedź na pytanie to dać może doświadczenie tylko, które też odtąd staje się początkiem każdego badania natury. Zwrót ku doświadczeniu sprowadził fizykę na grunt realny, rzetelny; dał jej treść istotną.

Doświadczenie wszakże naukowe na innym mieści się stopniu, aniżeli doświadczenie pospolite, czyli dostrzeganie zwykłe, które jest sprawą naszą powszednią i stanowi niejako dziedzictwo całej ludzkości. Dostrzeżenia niejasne, pobieżne, prowadzić mogą jedynie do wyobrażeń mylnych, rzekomych; dlatego doświadczenia, na których można-

by opierać wnioski naukowe, muszą być pewne i dokładne. W dawniejszej filozofii — mówi Bacon, — który dla nowej metody nowy organon ułożył, postępowano z doświadczeniem, jak w państwie, gdzie-by działania polityczne przedsiębrano nie według listów i rad wiarogodnych posłów, ale według pogłosek miejskich. Doświadczenie popolite jest jedynie macaniem w noc ciemną; stosowniejsza wszakże czekać dnia, lub latarnię zapalić. Przez doświadczenie zagnaliśmy przyrodę do odpowiedzi na pytanie, jakie jej zadajemy, ale odpowiedź umożliwić i ułatwić jej musimy przez wywołanie zjawiska w warunkach odpowiednich, przez ustrzeżenie od okoliczności ubocznych, gmatwujących, wprowadzających niejasność i dwuznaczność, przez staranne usunięcie wszelkich możliwych źródeł błędu. Takie zaś wykonywanie doświadczeń wymaga przyrządów, narzędzi pomocniczych; odtąd więc też pracownia fizyka zawiązać musiała stosunki z warsztatem mechanika.

II.

Tego, co się dziś przyrządem naukowym uazywa, potrzebowali w starożytności właściwie astronomowie tylko. Już warunki pierwotnego bytu koczowniczego zmusiły człowieka do obserwacji gwiazd, a gdy dokładniej położenie ich oznaczyć zapragnął, zbudować musiał przyrządy miernicze. Sfery armilarne i astrolabia dawnych astronomów, są to też właściwe kątomiary tylko, do pomiarów na sferze niebieskiej zastosowane, a prostym tym przyrządom astronomia wczesny swój rozkwit zawdzięcza. Łudzi nas Matejko, przedstawiając na obrazie swym Kopernika, z rękoma ku niebu wzniesionemi, jakby świadomość porządku układu słonecznego objawieniem mu spłynęła w zachwycie nagłym; Thorwaldsen słuszniej dzieło wielkiego astronoma ocenił, dając posągowi jego mierniczą sferę obrączkową w rękę. Wdzieliśmy, że pracę tę astronomów filozofowie w pogardzie mieli; podobnież gromi Platon i współczesnego Pytagorasowi Archytasa z Koryntu, że do rozwiązywania zadań geometrycznych przyrządy mechaniczne stosował. Pomimo biegłości mechaników ówczesnych, nauka z usług ich korzystać nie chciała. Własne nawet swe wynalazki mechaniczne, jak twierdzi Plutarch, lekceważył Archimedes tak dalece, że o nich zgoła w dziełach swoich nie wspomina, chociaż miały to być maszyny osobliwe i zdumiewające,—prócz bloków złożonych, szrub bez końca, szrub

wodnych, zwierciadeł palących, jeszcze sfery odtwarzające bieg ciał niebieskich, potężne katapulty i balisty wojenne, przeobrażone legendą późniejszą w olbrzymią rękę żelazną, która z murów Syrakuz chwyciła okręty rzymskie i o skały nadmorskie rozbijała. W czasie późniejszym nieco zasłynęły w Aleksandryi pierwsze przyrządy, w których znalazła zastosowanie prężność powietrza i pary, jak wytrysk Herona i eolipila, a już na samym schyłku nauki greckiej, gdy wielkie jej niegdyś ognisko dogasało, tłumione naciskiem prądów nieprzyjaznych, na ostatniej karcie fizyki starożytnej zapisał się wynalazek areometru. Jest to wprawdzie skromny tylko probierz do cieczy, ale dotąd dobrze nam służy. Chciano wynalazek ten przypisać Hypatyi, pięknej protoplastce przyrodniczek dzisiejszych, ale historia, tak niegrzecznie szperająca po starych szpargałach i dydaktycznych poematach greckich, stanowczo temu zaprzeczyła, chociaż istotnego wynalazcy nie wyszukała. Wiemy tylko, że areometr służył pierwotnie do celów lekarskich; ówczesni już zatem medycy, prócz typowego instrumentu, którego wynalazcą miał być ibis święty, czy też inny ptak długoszyjny, a który rozślał Molière, posiadali i inne przyrządy fizyczne, ale gabinet fizyka z kresem wieków starożytnych nie był jeszcze zaopatrzone.

Nie z bogacili go i Arabowie, którzy, wspaniałością nauki greckiej olśnieni, metod jej zmieniać nie myśleli. Przewyższyli wszakże mistrzów swoich starannością i ścisłością pomiarów, o czym świadczy zwłaszcza waga, zbudowana przez Alkaziniego, i dla szczególnych swych zalet nazwana przez niego wagą mądrości.—Zresztą na cały ciąg wieków średnich przypada za ledwie zaznajomienie się z własnościami igły magnesowej i wprowadzenie okularów, co dało początek szlifowaniu szkła, które się następnie stać miały ogniskami ożywionej działalności technicznej. Nieskrępowana więzami nauki ścisłej, fantazyja pisarzy ówczesnych wylewa się w pomysłach niedorzecznych, dziecinnych. Robią oni wynalazki, ale na papierze tylko; opisują maszyny, przyrządy, które działać mają w sposób najdziwaczniejszy, ale nie troszczą się bynajmniej, czy to wszystko da się wykonać, urzeczywistnić, pozostawiają moźół ten praktykom, rzemieślnikom. Czytelnikom przypadają do smaku utwory takie, jak romanse za czasów naszych. W ten sposób fizyka wyradza się w magię, nauka zlewa się z baśnią, a średniowieczny okres nauki,

„Gdy mnich, przez szyby patrząc barwione,
„Światu nadawał tych szyb kolory,“

o całe stulecie jeszcze przetrwał epokę, od której historia dzieje nowożytne liczyć zaczyna.

Z brzaskiem dopiero wieku szesnastego świta jutrzienka nowożytnej wiedzy przyrodniczej. Nauka oswabada się od ucisku scholastyki, zdiera zasłonę, zakrywającą jej świat rzeczywisty, nieci światło dookoła, rozgląda się, obserwuje. Drobnym dotąd zasób wiadomości rozrasta się, mnoży; poglądy rozjaśniają się, uitorowana droga badań rozpościera się szeroko. Uderzony widokiem rozbujanej lampy kościelnej, zawieszanej na długiej linie, biciem własnego tętna równoczesność wahnień wyczytuje Galileusz i kładzie tem podstawy dynamiki, mechaniki nowej; współcześnie ukazują się w Anglii pierwsza praca naukowa o magnetyzmie i elektryczności, a z Hollandyi przybywa luneta, która zaraz daje moc nauce Kopernika i tajemnice światów dalekich odsłania. Optyka rozszerza swe granice przez odkrycie praw załamania światła, a ujawnienie ciśnienia atmosferycznego prowadzi do budowy barometru i pompy powietrznej, umożliwia badania dalszych własności gazów i skłania do dostrzeżeń meteorologicznych. W pokrewnych działach wiedzy też samo tryska ożywienie; fizjologia osiąga pierwsze swe wielkie odkrycie podwójnego obiegu krwi, alchemia przeraża się w chemię.

Tak doniosłe odkrycia i wynalazki, tak niesłychany dotąd w nauce postęp, tak nagły jej przewrót i rozwój wznieca wszędzie zapał do doświadczeń; uczeni wiążą się w stowarzyszenia, by współdziałaniem wzajemnem trudności badań eksperymentalnych pokonywać. Przyrząd staje się pomocą niezbędną każdego fizyka, każdego badacza natury. Pierwotne te przyrządy pierwszych przodowników nauki doświadczałnej są skromne jeszcze bardzo, doskonałą się stopniowo, ale historia ich zespala się z dziejami nauki i nie da się od niej wyodrębnić samodzielnie. Jak murzyn, gdy zadanie swe spełnił, odejść już może, tak też i przyrząd naukowy ustępuje, skoro dzieła swego dokonał, gdy powiódł do wielkiego może odkrycia, gdy doniosłe prawo natury wykazał. Odtąd wartość już historyczną tylko posiada.— W starych ogniskach naukowych szczątki tych instrumentów dawnych przechowują się, jakby relikwie szacowne. W wielkich muzeach, które zgromadziły zabytki wieków ubiegłych, gdzie uderza nasze oczy pełny obraz życia, zwyczajów, zabiegów pokoleń minionych, znajduje się też często i kryjówka niewielka, mieszcząca nieliczne takie pamiątki naukowe, przyrządy tak różne od dzisiejszych, prostsze, roboty rzemieśniczej, bez zawilosci żadnej i bez ścisłości dziś tak niezbędnej, niekiedy zdobne ornamentami, przypominającemi ówczesne wyroby ślusarskie lub tytuły druków starych. Gdy jednak przed zbiorem tym drobnym stoisz, a wzrokiem rzucasz dookoła na otaczające cię mnóstwo spłowiałych szat pańskich i zardzewiałych zbroi rycerskich, spokojnych sprzętów domowych i narzędzi tortur okrutnych, przypominasz sobie owo prorocтво Wiktora

Hugo: „ceci tuera cela,“ to zabije tamto, stąd bowiem dochodzi cię powiew przyszłości, masz przed sobą początek życia nowego, zaród, do wielkiego rozwoju przeznaczony. Gdy i po-nad nami przejdą stulecia dalsze, gdy miejsce nasze na ziemi zajmą pokolenia odległe, muzea, które czasy nasze odtwarzać zechcą, na miejscu najokazalszem, najwybitniejszym, dzisiejsze przyrządy naukowe rozłożą.

W drugiej połowie wieku siedemnastego nauka doświadczalna mężnieje, postępuje dalej, a dawno upragniony wynalazek zegarów i rozszczepienie światła na barwy, są to najwybitniejsze zapewne okresu tego trofea. Wiek ósmnasty bardziej do matematyki należy, ale udoskonalenie maszyny elektrycznej nową kategorią przyrządów gabinet fizyka zapelnia i nową podniętą zapal powszechny do doświadczeń elektrycznych budzi. Maszyna elektryczna wydobywa się po-za ściany pracowni fizycznej; elektryzują się wszyscy, w salonie i w budzie jarmarcznej, podziwiają blask i trzask iskry elektrycznej, w której właśnie zdrobniały obraz pioruna dostrzeżono. Po-za tą wrzawą elektryczną spokojniej rozwijają się inne działy fizyki. W szczególności zaś wykończenie termometru dało wtedy dopiero możność dokładnego badania objawów ciepła, za czem poszło rychło i udoskonalenie maszyny parowej, która zyskuje już dzisiejszą swą postać i rozpoczyna tryumfalny, zwycięski swój pochód. Współcześnie na schyłek wieku ósmnastego przypada i nagły rozwój chemii, która przez wprowadzenie ścisłych badań fizycznych zdobywa trwałą i mocną podstawę naukową.

Jakkolwiek tedy doniosłą i podziwu godną była już praca minionych lat dwustu, stanowi ona wszakże prolog tylko, przygrywkę, przygotowanie do tego olbrzymiego i wspaniałego rozwoju, jaki oczekiwał wiedzę przyrodniczą w naszym stuleciu. Jakby jego zapowiedź, u otwierających się wrót wieku dziewiętnastego zawitał stos galwaniczny. Nie oceniony w pierwszej chwili dostatecznie, nabiera on w ciągu stulecia znaczenia coraz wybitniejszego, coraz bardziej górującego, i zapelnia gabinet fizyka coraz liczniejszym orszakiem zawisłych od niego przyrządów, z których każdy coraz bardziej zdumiewający stanowi wynalazek. A następują jedne po drugich tak szybko, tak nieprzerwanie, że jeszcze nie zdążyliśmy się z jednym oswoić, gdy nas już nowy olśniewa. Te elektromagnesy i induktory, elektrometry i galwanometry, telegrafy i telefony, maszyny magneto-elektryczne i dynamo-elektryczne, lampy żarowe i lampy łukowe, te rury puste i dziwacznie pokręcone, gdzie wytwarzają się osobliwe objawy świetlne i skąd wybiegają te promienie zagadkowe, same niewidzialne, a które nam wnętrze ciała naszego rozpatrzeć pozwalają, same już dostateczne składają świadectwo, jak doniosłe, podstawowe stanowisko zdobyły sobie

przrządy w nauce. A gdy obok tych aparatów elektrycznych rozłożymy wszelkie inne przrządy fizyczne, astronomiczne, meteorologiczne, chemiczne, fizyologiczne, przekonamy się, jak bogato uposażone są dzisiejsze pracownie naukowe, jak zasobny być winien sklep mechanika, by żądania te zaspakajać.

Jeżeli trudną byłoby rzeczą napisanie historii przrządów, to miałby kłopot nie mniejszy, kto-by wszystek ten ogrom rozłożyć chciał na kategorie oddzielne, w pewną ująć je klasyfikację. Przedewszystkiem mają one to na celu, by wzmódz działalność zmysłów naszych, by braki ich, niedostatki, słabości zastąpić, wynagrodzić. Gdy rozglądamy gwiazdy, na niebie nocnem rozsiane, dostrzegamy wprawdzie, że jedne mniej, inne więcej są nad poziom wzniesione, ale gdy dokładnie oznaczyć chcemy położenie każdej z nich na sklepieniu, oko w kątomiar uzbroić musimy. Tak samo nie wystarczają zmysłowe wrażenia nasze do oceny ciężarów lub temperatury ciał różnych, — odwoływać się musimy do wagi, do termometru. Zmian ciśnienia atmosferycznego nie odczuwamy nawet zgoła, chociaż są one źródłem wszelkich objawów meteorologicznych, — pytać o nie musimy barometru. Są to wszystko przykłady przrządów mierniczych, bez których żadne badanie naukowe nie mogło-by się rozpocząć. Ale i inaczej jeszcze są zmysły nasze ograniczone. Gdy dokoła nas brzmią dźwięki orkiestry, jakżeż wprawnego trzeba ucha, by w zawilosci tej, w tym splocie tonów każdy oddzielnie wyróżnić; ale analizę taką dźwięków ułatwiają nam rezonatory, działające tak wiernie, że samogłoskę każdą rozbierają na tony pojedyncze, które się na właściwe jej brzmienie składają. Bardziej jeszcze pod tym względem upośledzone jest oko, różnaitość bowiem barw wzajem mieszanych w jednolite łączy wrażenie; rozdziela je wszakże spektroskop, rozszczepia każdy promień świetlny i ze składających go smug barwnych odsłania nam naturę ciała, które go wysłało. Działalność oka i tem nadto jest ograniczona, że nie na wszystkie otwarte jest promienie, siatkówka nasza wrażliwa jest na pewną ich tylko, nierozległą kategorię; po-za fioletem tęczy rozpościerają się jeszcze promienie słoneczne, już dla nas niewidzialne. Widzi je jednak płyta fotograficzna, chwyta je i nam odsłania. Odkryła nawet w ten sposób na niebie mgławice, które-by bez jej pomocy zawsze dla nas utajone pozostały. Ale i w szczupłym zakresie dostępnych mu promieni jest oko nasze ograniczone, jakby zastosowane tylko do wymiarów, wielkości ciała naszego odpowiadających, nie dostrzega przedmiotów zbyt drobnych i zbyt dalekich; granice te rozsunięły nam dopiero mikroskopy i teleskopy. Pierwsze odsłoniły nam misterną budowę ciała naszego i wydołyły z kryjówek twory najdrobniejsze, w których ród ludzki poznał najgroźniejszych swych wrogów; drugie zapełniły przestrzeń miliona-

mi światów, wykryły mgławice, z których się słońca rodzą. Bez pomocy maszyny elektrycznej i stosu galwanicznego nie znali-byśmy nawet zgoła zjawisk elektrycznych, gdyż nie posiadamy zmysłu, który-by nam o nich bezpośrednio świadomość dawał. Podobnie i pompa powietrzna sprowadza zjawiska, które-by bez niej nigdy się nie ujawniły, dobrowolnie bowiem przyroda nie następuje nam próżni, a fizycy dawni samej nawet możebności istnienia próżni przeczyli.

Doskonalenie przyrządów wiąże się ściśle z postępem nauki; są to czynniki wzajem sprzężone, tak, że każde istotne ulepszenie przyrządu do nowych odkryć prowadzi, a każdy postęp nauki pomysłom nowych przyrządów nasuwa. Podziwiamy słusznie genialność badaczy, którzy tajemnice przyrody prostymi środkami przenikali, odsłaniając nam nowe dziedziny badań; ale proste takie środki u wstępu tylko do nauki, do pewnej gałęzi wiedzy wystarczać mogą. Do wykrycia praw zasadniczych ruchu wahadłowego dostateczny był ciężarek na sznurku zawieszony, ale by wahadło nieść mogło pomoc przy badaniach postaci ziemi, by przydatnem się stało do ujmowania wszelkich odstępstw od prawidłowego działania siły ciężkości w różnych miejscach, przeobrazić się musiało w przyrząd zawily i ścisły. Pryzmat szklany w ciemnej izbie rozszczepił już promień światła na składowe jego części barwne, ale, by z barw tych odczytywać skład chemiczny brył niebieskich, trzeba było spektroskop zbudować.

Pierwotne pompy powietrzne złożyły wprawdzie zdumionym wiedzom świadectwo o istnieniu próżni, ale gdy rozrzedzenie gazów tysiąckrotnie dalej posunięto, wtedy dopiero poznano osobliwe objawy elektryczne, w przestrzeni pustej występujące, światło uwarstwowane, promienie katodalne, promienie Röntgena, a każdy z objawów tych przybywał w miarę, jak wzrastał się stopień próżni w rurce, doświadczeniom poddanej. Gdy gazy skraplać zaczęto, różne z nich łatwo uległy i przez słabe już stłoczenie dały się w stan ciekły przeprowadzić; rychło jednak okazały się między niemi odporne, które przemocą ujarzmić się nie dały i pod naciskiem setek atmosfer lotność swą utrzymywały, tak dalece, że je za trwałe uznano i bezcelową z niemi walkę zawieszono. Ale gdy odpowiednie urządzenia obmyślono, trwałość ich złudną się okazała, najoporniejsze uległy i w postaci cieczy ujrzeliśmy powietrze.

Co się nam niepodobnem, do urzeczywistnienia niemożebnem wydaje, przyrząd to nieraz wykonać potrafi. Trzysta tysięcy kilometrów przebiega światło na sekundę, co znaczy, że przez krótką tę chwilkę mogło-by siedmiokrotnie równik ziemski okrążyć, a najrozleglejsze na ziemi przestrzenie w ciągu nikłego ułamka sekundy przebywa; dla tak

zawrotnej szybkości wymiary planety naszej zbyt są już drobne, i niemożliwą chyba wydawało się rzeczą bieg ten uchwycić i doświadczeniem prędkość światła oznaczyć. A jednak przyrząd trudności wszelkie pokonywa i daje rezultat, zgodny z tem, czego nas pomiary astronomiczne nauczyły. Kto-by dziś jeszcze o obrocie ziemi powątpiewał, temu przyrząd naocznie go okaże. Tam nawet, gdzie, zdawało-by się, dostępu zgoła mieć już nie powinien, tam jeszcze daje odpowiedź stanowczą. Spór wiekowy o istocie światła, czy jest ono substancją, czy też ruchem tylko, rozstrzyga przyrząd, — dwa zwierciadła, stosownie, umieszczone, rzucające na przegrodę smugi jasne naprzewian i ciemne. A gdy dla poczucia fal elektrycznych zmysłu zgoła nie posiadamy, chwytą nam je i ujawnia znów przyrząd szczęśliwie obmyślony.

Aż dotąd był przyrząd pomocnikiem tylko badacza, teraz wyręczyć go nawet pragnie, zastąpić zupełnie. Mówimy tu o automatycznych, samopiszących przyrządach obserwacyjnych. Wszystkie te termografy i barografy, aktynografy, anemografy, seismografy, i jak się wreszcie nazywają, są to pracownicy niestrudzeni, działają bez wytchnienia dniem i nocą, zapisują spostrzeżenia swe nieprzerwanie, w sposób ciągły, gdy najgorliwszy nawet obserwator termometry swe lub barometry zaledwie trzy, cztery razy na dobę odczytywać może. Z balonem samopas puszczone wzbijają się do wyżyn, dokąd aeronauta pod karą śmierci nieuchronnej nie mógł-by już sięgnąć, i z niedostępnych tych kresów znoszą nam wiadomości o panujących tam warunkach atmosferycznych. Na szczytach gór wyniosłych pozostają bezpiecznie przez długie miesiące zimowe, a latem znajdujemy na nich nakreślony przebieg wszelkich zjawisk meteorologicznych. Są wszakże i do innych celów przydatne, a w przyszłości niewątpliwie nauka do usług ich częściej odwoływać się będzie.

Mówimy niekiedy o naukach obserwacyjnych i doświadczalnych, rozróżnianie takie nie jest już wszakże teraz istotnie uzasadnionem, przyrząd bowiem utworzył sobie dostęp i do takich gałęzi wiedzy, gdzie dawniej wydawał się zgoła niepotrzebnym, niemożebnym nawet. Astronom, odkąd nie zadowolnił się rozpatrywaniem ruchów tylko dalekich brył niebieskich, ale zapragnął też badać budowę ich i naturę, musiał do dostrzegalni swej przyłączyć pracownię fizyczną i chemiczną. Istnieje już mineralogia doświadczalna i geologia doświadczalna; fizyologia posługuje się przyrządami w równej mierze, jak fizyka i chemia, a za jej pośrednictwem przedostały się one i do badań psychologicznych, chociaż tam pierwsze dopiero, próbne kroki stawiają. Spirytizm nawet, parodując naukę ścisłą, pragnie sprawy swych duchów

czy sobowtórów, na gorącym uczynku uchwycić przy pomocy przyrządów, aby ich powagą oczy tumanionego ogółu olśnić.

Obok przyrządów, które służą do badań, do dalszego rozwoju nauki, oddzielną ich kategorię stanowią przyrządy demonstracyjne, przeznaczone do pomocy przy wykładach, mające zatem znaczenie pedagogiczne. Zostały one tak ulepszone i uproszczone, że korzystając z nich mogą nie tylko szkoły średnie, ale łatwo dostępne są też dla szkół początkowych i ludowych; drobne nawet zbiory przyrządów prostych i dogodnych wyrabiane są tak tanio, że oddawane być mogą do rąk dzieciom, by samodzielnie w użycie ich wprawiać się mogły, rozwijając naukową tą zabawką zdolność spostrzegania i biegłość ręki. Wspaniałością natomiast i okazałością wyróżniają się przyrządy, do wykładów publicznych przeznaczone. Szczególniej zaś do przedstawiania doświadczeń znacznej liczbie słuchaczy pożyteczne są przyrządy projekcyjne, będące w istocie rzeczy jedynie udoskonaleniem dawnej latarni czarnoksięskiej, które pozwalają na ekran rzucać obrazy nie tylko gotowych już malowideł, ale uwidoczniają na nim cały przebieg wykonywanego doświadczenia, którego-by bezpośrednio ze wszystkich punktów rozległej sali widzieć nie można było. Uderzające te doświadczenia, w których zarówno wytworność narzędzi, jak i biegłość eksperymentatorów dzisiejszych podziwiać trzeba, nadają urok tak ponętny odczytom przyrodniczym i w rzędzie środków rozpowszechniania wiedzy potężnym są ogniwem.

III.

Przed sklepem mechnika nie zatrzymują się panie i panowie. Nie jest to przecież wystawa artystyczna, zbiór utworów sztuki, a upodobania i nawyki prowadzą nas tam tylko, gdzie zadowolenie znajdujemy estetyczne; naukowe zaś, mechaniczne przyrządy nie sprawiają bynajmniej wrażenia piękną. Rozprawiano już wszakże nieraz, czy posiadają one pewną, właściwą sobie estetykę. Zapewne, nie jest to ten rodzaj piękna, jaki podziwiamy w obrazach lub rzeźbach, ale posiadają może wspólność pewną z pięknem architektonicznym. Zbudowane wedle miary i liczby, jakby gmachy w wymiarach zmniejszonych, w ścisłym zastosowaniu środków do celu, w należytem zużytkowaniu i obrobieniu materiału, urzeczywistniają ideę harmonii, ładu, porząd-

ku, a idea ta tak wybitnie wyraża piękno wszechświata, że oba te pojęcia Grecy wspólnym terminem „kosmos“ obejmowali. Ale sztuka i natura z odrębnych stanowisk na świat się zapatrują, a utwory artystyczne i przyrządy naukowe są różnicy tej najistotniejszym wyrazem.

Przed sklepem mechanika nie zatrzymują się więc paule i panowie, staje tam tylko uczeń w mundurku szkolnym i ślusarczyk początkujący. Jeden marzy o chwili, gdy przyrządy te zjawią się w sali szkolnej, gdy doświadczenia zabawią go wśród ciągłej, nużącej jednostajności; a może budzi się w nim też pragnienie wiedzy przyrodniczej, której szkoła dzisiejsza tak skąpo mu udziela; drugi zachwyca się pięknem wykończeniem wyrobów i rad-by dorównać biegłością mistrzom, co to wykonać potrafią. Przedstawiciele dwu różnych warstw społecznych, wiedzy i rzemiosła, myśli i pracy, spoglądają na siebie wzajem z niechęcią, jeden z lekceważeniem, drugi z zawiścią, nie przeczuwając zgola, jak blizkie węzły łączą naukę z techniką, jak ściśle zawarły one między sobą przymierze. Rozwój jednej i drugiej równomiernie idą. Nauka ożywia technikę, każda jej zdobycz, odkrycie każde staje się źródłem ulepszeń w technice, wskazuje jej nowe środki, nowe materiały następuje, nowe działy przemysłu otwiera, uczy oporną przyrodę do potrzeb człowieka naginać. Ledwie w gabinecie fizyka poznano prądy galwaniczne, działaniem magnesów wzbudzone, już budują się potężne maszyny magneto-elektryczne i dynamo-elektryczne, które dają podstawę całej elektro-technice, z jej światłem elektrycznym i jej kolejami elektrycznymi, z przenoszeniem energii i galwanoplastyką, nie mówiąc już o telegrafach i telefonach, co wszystko razem prowadzi aż do przeinaczenia form zwykłego naszego, powszedniego życia.— Gdy z czarnej smoły, tworzącej się przy suchej dystalacji węgla kamiennego, wydobył chemik nieprzebrane substancje, zalecające się wspaniałem i wielorakiem ubarwieniem, słynne barwniki smołowe różnych nazw: anilinowe, antracenowe, naftalinowe, fenolowe i inne jeszcze, natychmiast rozwinęła się rozległa produkcja fabryczna tych materiałów, która do cna przeinaczyła przemysł farbierski, i zamiast dawnych kilkudziesięciu barwników roślinnych obdarzyła go tysiącami wspaniałych i olśniewających wzrok nasz barwników, wszelakich odmian i odcieni, dawniej zgola nieznanych, a których źródłem są nędzne, czarne odpadki, pozostające przy wyrobie gazu oświetlającego lub przy koksowaniu węgla kamiennego. Cały przemysł chemiczny zresztą, tak dziś rozrosły i olbrzymi, jest tylko spotęgowaniem pracowni naukowej, odtworzeniem na wielką skalę robót, które chemik w drobnych swych epruwetkach i retortach przygotowu-

je.—Rozwój teorii mechanicznej ciepła sprowadził bezpośrednio udoskonalenie motorów parowych, a gdy nauka poznała, jakimi drogami zmuszać można gazy do przyjęcia stanu ciekłego, już nabywać można kwas węglany skroplony w butelkach, jak każdą ciecz pospolitą.

Wzajem też technika nauce usługi świadczy i postęp jej w różny sposób popiera, już coraz nowe nastroczając jej zadania, już to budując dla niej na udoskonalonych swych warsztatach coraz lepsze, coraz dzielniejsze przyrządy, które do odkryć dalszych moc jej dają.—Trudności, które przy budowie pomp napotkano, powiodły do wielkiego odkrycia ciśnienia atmosferycznego.—Przez połączenie ciemni optycznej z płytą na światło wrażliwą powstała fotografia; ale dopiero, gdy udoskonalony przyrząd fotograficzny zwróciła technika nauce, zyskała astronomia nową metodę badania ciał niebieskich, a fizjologia mogła go użyć do analizy zawitych ruchów zwierzęcych. Niemniej uderzający przykład przedstawia najnowsza historia fabrykacji szkła. Przedziwny ten materiał, dla przezroczystości swej i podatności tak niezbędny w przyrządach naukowych, okazał się wszakże wadliwym; poznano, że liczne błędy termometrów, które tamowały użycie ich do ścisłych pomiarów, wypływają z pewnych nieprawidłowości w rozszerzaniu się szkła przy zmianach temperatury, a gdy wzrastająca ciekawość dalekich światów zażądała lunet coraz potężniejszych, stanęły temu na zawadzie zakłócenia barwne, wywiązujące się przy przejściu światła przez soczewki szklane. Usunięciem tych wad zajęła się wszakże gorliwie technika i wytworzyła nowe rodzaje szkła, różnego składu chemicznego i różnych właściwości fizycznych, z których każdy danej potrzebie odpowiada. Termometry odzyskały swą powagę, jako przyrządy miernicze, a refraktory astronomiczne przekroczyły potęgą swą granicę, która niedawno jeszcze wydawała się nigdy nieprzebytą. Z podziwem przyglądamy się pracy hutnika, gdy kroplę szkła stopionego wydyma w ponętne, artystyczne nieledwie formy, ale najwytworniejsze, najbardziej mistrzowskie swe dzieła składa on w ofierze nauce, przygotowując dla niej te rury osobliwe, w tak zawity sposób skręcone, że nie wiesz, czy bardziej podziwiać samą ich formę, czy też wspaniałe objawy świetlne, które się w nich działaniem prądów elektrycznych wzbudzają. Gdyby nie ta uderzająca biegłość technika, nie znali-byśmy jeszcze tych zdumiewających promieni Röntgena, dopiero co odkrytych, a które z rur takich właśnie się rodzą.

Jak w maszynie dynamo-elektrycznej drobny, zarodkowy zaledwie, magnetyzm, wzbudza słaby najpierw prąd elektryczny, który podsyca z kolei magnetyzm pierwotny, a przyrost ten magnetyzmu staje

się znowu źródłem następnego wzmożenia prądu, by proces ten dalej się powtarzał, aż do granicy, do jakiej zdolną jest zbroja magnetyczna maszyny; tak też nauka i technika wspólnie na siebie oddziałują, a kresu wzajemnego tego potęgowania dziś jeszcze zgola przewidzieć nie możemy. Ścisłą tę zależność dwu wielkich kierunków działalności ludzkiej najlepiej może zrozumiano w Niemczech, gdzie od lat dziesięciu istnieje wielki „Państwowy zakład fizyczno-techniczny,“ w którym najwyższe badania naukowe znajdują w każdej chwili wszelkie pomoce techniczne, a technika otrzymuje odpowiedź naukową na pytania, jakie w praktyce swej wciąż napotyka. Dzięki też należytemu pojmowaniu tej wspólnej łączności nauki z techniką, wybujał w krótkim czasie przemysł niemiecki tak wysoko, że stary przemysł angielski z zawiścią i niepokojem nań spogląda, a przemysł francuski już na wielu polach musiał mu ustąpić. Jeżeli zaś uprzytomnimy sobie ten olbrzymi rozwój przemysłu dzisiejszego, jeżeli zważymy, ile tysięcy i setek tysięcy rodzin utrzymanie bytu swego zawdzięcza fabrykom, kolejom, fotografii choćby, zgodzimy się bez wahania, że przymierze nauki z techniką nie ogranicza się w ścianach pracowni, ale posiada też i niesłychaną doniosłość społeczną, potężniejsze jest nad wszelkie przymierza polityczne, potrójne i podwójne.

Wystawa mechanika rzuca nam przed oczy drobny obraz tego przymierza nauki z techniką, ale sprawiała-by nam więcej zadowolenia, gdyby to, co tu widzimy, u nas wyrobionem było. Wszystko to wszakże, od precyzyjnych przyrządów mierniczych, do aparatów szkolnych i aż do drobnych zabawek dzieciny, wszystko to z Niemiec przybywa. Nauka nasza wyrosła już wprawdzie w pewnej mierze, zyskała moc niejaką; dopóki sobie jednak sama w domu radzić nie potrafi, pozostać musi importem zagranicznym.

Sławiąc tak znaczenie przyrządów w nauce, nie chciałem twierdzić bynajmniej, że są one wyłącznym jej czynnikiem, że cała jej budowa z nich się jedynie wznosi. Widzieliśmy, że w dziejach trojaki brała początek fizyka. Umysł ludzki domagał się wyjaśnienia przyrody kolejno: od filozofii, matematyki i doświadczenia, a przedstawicielami tych trzech kierunków byli: Arystoteles, Archimedes i Galileusz. Trzy te czynniki i na dzisiejszą składają się fizykę, ale w porządku odwrotnym. Badanie bowiem każde rozpoczyna się od doświadczenia,

a zebrany przez nie materiał ujmuje matematyka w prawa ogólne i z nich drogą dedukcyi wnioski swe wyprowadza, gdy filozofia nauki ujawnia się w teoriach ogólnych, w hipotezach, rozległy obszar zjawisk obejmujących. O tych metodach wszakże, o tych drogach nauki, nie miejsce już przed sklepem mechanika prawić.

STANISŁAW KRAMSZTYK.

MŁODOŚĆ.

— Gdzieś przepadła moja młodość,
By kamień w topieli...
Może wy ją, dobrzy ludzie,
Jak tu szła, widzieli?

— Oj, widzieli my nie jedną,
Pewnie, że i twoją....
Czy to ona biegła z chaty,
Gdzie w rząd grusze stoją?

Czy to ona z chaty biegła,
Gdzie same dostatki:
Chleb bieluchny, jasne ściany,
Przyodziewek gładki?

Biegła jasna, nie wiedząca
O bólu, ni trudzie?
— Nie, to była inna młodość,
Moi dobrzy ludzie...

— Oj, widzieli my nie jedną,
Pewnie, że i twoją...
Chybaż ona biegła z chaty,
Gdzie w rząd grusze stoją.

Biegła krasna, jak obrazek,
Rozkoszna, jak łania,
Niosąc w oku żar, na ustach
Piosnkę miłowania...

Biegła, niby ómy do świecy,
Marząca o cudzie.
— Nie, to była inna młodość,
Moi dobrzy ludzie.

— Oj, widzieli my nie jedną,
Pewnie, że i twoją;
Więc to ona biegła z chaty,
Gdzie w rząd wierzby stoją?

Więc to ona biegła z chaty
Gdzie zarasta ścieżka;
Gdzie niedola w śmieciach grzebie,
A w dymie głód mieszka?

Biegła, nie pytając nawet,
W piekła, czy niebios?

— Tak, to była moja młodość,
Odarta i bosa.

— Oj, widzieli my, widzieli,
Aż żal serce ściska;
Przeszła tędy przez te grudy,
Przez ostre ścierniska.

Krwią broczyły nagie stopy,
Łzami myła lica,
A wiatr chwiał nią, niby trzcina,
I wył: „Upiorzyca!”

ST. ROSSOWSKI.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Prof. Franciszek Piekosiński. Jeszcze o ustawodawstwie wiślicko-piotrkowskiem Króla Kazimierza Wielkiego. Kraków 1896.

Dr. Szeliga. Reforma uniwersytetu wileńskiego i szkół jemu podwładnych za rektora Twardowskiego. Dokumenta urzędowe z „Teki Twardowskiego.“ Kraków 1895.

W „Słowie wstępnem“ autor przypomina, że na drugim zjeździe historyków i prawników polskich we Lwowie w r. 1890, Dr Balzer podniósł myśl ponownego, zupełnego wydania średniowiecznych prawa polskiego zabytków, że myśl ta została przez zgromadzenie przychylnie przyjęta i tylko Dr Bobrzyński wystąpił z ostrzeżeniem, że nie wszystkie pomniki średniowieczne prawa polskiego są tak krytycznie opracowane, iżby już obecnie do ponownego wydawnictwa „Corpus juris Polonici medii aevi“ przystąpić było można.

Że do najcelniejszych pomników prawodawstwa średniowiecznego należą przedewszystkiem wiślicko-piotrkowskie króla Kazimierza Wielkiego, to nie potrzebuje chyba żadnego głębszego uzasadnienia. I to też równie wiadomo, że polemika, prowadzona z ogromnym nakładem erudycy w przedmiocie krytycznego opracowania tego pierwszorzędnego pomnika pomiędzy takimi potentatami nauki polskiej, jak Lelewel, Helcel i Hube, nietylko nie doprowadziła do ostatecznych rezultatów, ale ze śmiercią ostatniego szermierza, ś. p. Hubego, przerwała się i zgasła.

Aby dać potrzebny do wznowienia dyskusyi impuls, prof. Piekosiński wydał w r. 1891 małą rozprawkę p. t. „Uwagi nad ustawodawstwem wiślicko-piotrkowskiem króla Kazimierza Wielkiego“, w której stara się niektóre kwestye sporne w nowem świetle przedstawić.

Ale rozprawa prof. Piekosińskiego chybiła głównego celu. Upłynęło już cztery lata, a nie odezwał się nikt z zarzutem przeciw zapatrywaniom autora i dyskusya nad tym przedmiotem, tak konieczna, wznowioną nie została.

Prof. Piekosiński postanowił tedy jeszcze raz zapukać do wrót młodych, uczonych prawników polskich i pracą swoją, pod powyżej zamieszczonym tytułem ogłoszoną, skłonić ich do podjęcia dyskusyi. W paragrafie drugim podaje autor do rozwagi i zastanowienia się uczonym swój „Projekt rozdziału zwołu ogólnego ustawodawstwa wiślicko-piotrkowskiego króla Kazimierza Wielkiego na pojedyncze statuta.“ Prof. Piekosiński przyszedł do następujących ostatecznych wniosków: 1-o, w r. 1346, może na Wielkanoc, odbył się pierwszy zjazd prawodawczy małopolski w Wiślicy, na którym król przedstawił zebranym stanom projekt statutu małopolskiego, w kancelaryi królewskiej wcześniej przygotowany, który to statut, obejmujący artykułów 42, prawdopodobnie w formie przez kancelaryę królewską opracowanej, przez wielmożów małopolskich bez zmiany uchwalony został. 2-o. Tegoż roku na Zielone Świąta wyznaczył król pierwszy wiec ustawodawczy dla Wielkopolski w Pyzdrach, na którym to wiecu projekt statutu wielkopolskiego, na wzór statutu małopolskiego ułożony, przedstawił wielmożom wielkopolskim do uchwalenia. Przedstawiony projekt spotkał się jednak u wielmożów wielkopolskich ze stanowczą opozycją, skutkiem czego wiec Pyzdski spełził na niczem. 3-o. Pragnąc statut wielkopolski doprowadzić do skutku, prosił król Jarosława, arcybiskupa gnieźnieńskiego, o pośrednictwo, które odniosło skutek o tyle, iż wielmożowie wielkopolscy okazali się skłonni do uchwalenia statutu, ale formą i treścią odmienną od projektu królewskiego. Król zgodził się na odmienny statut i zwołał drugi wiec do Piotrkowa na dzień 11 Marca 1347 r., na którym to wiecu uchwalony został jedyny statut wielkopolski, obejmujący artykułów 56. 4-o. Dnia 20 stycznia 1356 r. odbył się w Wiślicy drugi wiec ustawodawczy małopolski, na którym został uchwalony drugi statut małopolski, obejmujący art. 17. Zdaje się, że na tymże wiecu ustanowioną została także pierwsza organizacya sądu wyższego prawa niemieckiego na zamku krakowskim. 5-o. W roku 1361 odbył się trzeci wiec małopolski w Krakowie, na którym uchwaloną została instytucya sądów wiecowych oraz ich organizacya. Oprócz tego zajmował się ten wiec reformą sądu wyższego prawa niemieckiego na zamku krakowskim, i 6-o, w roku 1368 odbył się prawdopodobnie w Krakowie czwarty i ostatni wiec ustawodawczy małopolski, na którym uchwalony został czwarty statut małopolski, zawierający artykułów 47, między którymi jest 26 artykułów obejmujących ca-

sus secundum ordinem juris, powstałych z prejudykatów sądów wiecowych małopolskich.

Prof. Piekosiński porusza przytem kwestyę: czy, odnośnie do redakcyi pojedynczych statutów, jesteście w możności odtworzyć ten porządek artykułów, w jakim pierwotne statuta były zredagowane, i na to zapytanie daje kategoryczną odpowiedź, że nie. Tylko tyle da się powiedzieć, że porządek w pierwotnych statutach nie był oparty na ściśle naukowej podstawie, lecz był wprost dowolny. Gdyby był oparty na podstawie naukowej, byli-by go dygestatorowie niewątpliwie przejęli i byłby nam się w najdawniejszych rękopisach nienaruszoną dochował.

Pominąć muszę drobiazgowo i sumienne porównywaniami statutów małopolskich z wielkopolskim, jakże w pracy prof. Piekosińskiego się znajdują. Pozwolę sobie tylko zwrócić uwagę na § 4, w którym autor wskazuje na pewne powinowactwo, jakie zachodzi między artykułem 133 zводу zupełnego statutów króla Kazimierza Wielkiego, a przywilejem mielnickim króla Aleksandra z r. 1501. Z uwagi, że przywilej mielnicki nie dochował się w oryginale, a przywileje królewskie, zawierające prawa Stanów Rzeczypospolitej, były bardzo starannie i troskliwie przechowywane, autor przyszedł do przekonania, że przywilej mielnicki albo nie istniał wcale, czyli że mamy z falsyfikatem do czynienia, lub też w drodze legalnej wycofany i skasowany został.

Praca najnowsza prof. Piekosińskiego obudzi niewątpliwie żywe zajęcie się w gronie historyków dawnego prawa polskiego. Autor dowiódł w tem studyum, nie wiadomo po który-to raz, że w sumiennosci badania, w pracowitości i wielkiej erudycyi, może służyć za wzór naszym uczonym.

Nad ustawą uniwersytetu wileńskiego, zatwierdzoną przez Cesarza Aleksandra I w dniu 4-ym kwietnia r. 1803, zawisł zdaniem D-ra Szeligi, jakiś fatalizm od pierwszej prawie chwili jej powstania. Przedewszystkiem nikogo nie zadowoliła, mimo że była niezmiernie liberalna i dostatecznie zabezpieczała uniwersytet pod względem materialnym. Ksiądz biskup Stroynowski, członek redakcyi pomienionej ustawy i zarazem rektor uniwersytetu, nie miał z jej powodu i chwili spokoju, zmuszony odpowiadać na różne kwestye, stawiane mu przez malkontentów.

Od pierwszej chwili istnienia uniwersytetu ustawa jego była ciągle naruszana przez któregoś z członków ciała nauczającego. Najwięcej się zaś do tego przyczyniał Józef Frank, człowiek bardzo uczony, lecz niemniej silnego uporu i zarozumiałości. Szczególniej rok 1812 był

niezmiernie dotkliwym dla Uniwersytetu i on-to największe szczyby poczynił w ustawie, do tego stopnia, że tylko strzępki z niej zostały. Wielu profesorów opuściło uniwersytet, pomimo że nie był zamknięty, a nawet tak sprężysty administrator, jakim był Jan Śniadecki, widział się bezsilnym wobec anarchii, jaka wielu drogami wkraczała do uniwersytetu. Odtąd coraz gorzej było z ustawą, pod względem zaś naukowym, dziwnym a szczęśliwym zbiegiem okoliczności, uniwersytet stanął na bardzo wysokim stopniu

Ksiązę-kurator widział konieczną potrzebę reformy, ale nie mógł do niej prędzej przystąpić, aż znalazł człowieka, zdolnego do przeprowadzenia całego dzieła. Gdy takiego upatrzył, a był nim Józef Twardowski, zaczął swe plany szybko rozwijać. Twardowski stworzył prędko nową ustawę, ale wejściu jej w życie stanęły nieprzywidziane okoliczności na przeszkodzie, gdy tymczasem starej ustawy prawie już nie było. Ze zaś należało coś zrobić dla usunięcia chwiejnej tymczasowości, przeto minister zalecił utworzyć w Wilnie komitet pod prezydencją Pelikana, a zadaniem jego miała być reforma szkolna w okręgu naukowym wileńskim. Pelikan zatrzymał całą ustawę, opracowaną przez Twardowskiego, a poczyniwszy w niej nieznaczne modyfikacje, pozyskał jej zatwierdzenie.

Ponieważ ustawa szkolna dla okręgu naukowego wileńskiego nie była w pierwotnym tekście ogłoszona drukiem i pozostała prawie nieznaną dla dzisiejszego pokolenia, przeto Dr Szeliga powziął szczęśliwą myśl ogłoszenia jej drukiem. Autor powstrzymał się od wszelkich krytycznych nad tą ustawą roztrząsań, zwracając jedynie uwagę czytelnika na niezmierną jej doniosłość dla tych, co zechcą się zająć opracowaniem ówczesnej epoki. Niepodobna w krótkiej sprawozdawczej wskazówce zastąpić D-ra Szeligę i podać rozbiór krytyczny ustawy uniwersytetu wileńskiego. Odsyłając też czytelnika do tekstu ustawy, pozwałam sobie jedynie ogólnikowo zaznaczyć, że przebijają się w powyższej ustawie na każdym kroku duch nieufności, a nawet pewnej podejrzliwości dla wszelkiego objawu samodzielności, jaki wśród młodzieży uniwersyteckiej z samej natury rzeczy rozwijać się musi i powinien. Pomysł zaś zorganizowania dozoru uczniów w ten sposób, że dziekani wydziałów wybierają celujących studentów na dozorców swoich współkolegów, uważać należy za zupełnie chybiony. Dozór, zbliżony zupełnie do objętego w Rozdziale IX ustawy uniwersyteckiej, istniał później w gimnazyach i szkołach wyższych realnych w Królestwie Polskiem. Prymusi klasowi, którymi byli najlepsi i wzorowi uczniowie, pomimo młodego wieku, uważali za ujęcie dla siebie skazywać na karę krnąbrnych kolegów i niejednokrotnie ją dobrowolnie przyjmowali na siebie; środek, niewłaściwy dla gimnazjalnej młodzie-

ży musiał zatem dla studentów uniwersyteckich być zupełnie chybiącym. Dojrzałość umysłowa i samoistność wyrobionego charakteru nie mogły bowiem ani na chwilę pogodzić się z systemem opiekuńczym, opartym na delatorstwie współkolegów.

Bez względu na to jednak, jak fachowa krytyka oceni ustawę uniwersytetu wileńskiego, należy się D-rowsi Szelidze szczerze uznanie za to, że nam publikacją swoją ułatwił zapoznanie się z organizacją uniwersytetu wileńskiego i szkół jemu podwładnych za rektoratu Twardowskiego.

A. R.

Wydawnictwo Akademii Umiejętności w Krakowie. 1895. „Sprawozdanie Komisji do badania historii sztuki w Polsce.“ Tom V. Zeszyt IV.

Wydanie to, ściśle naukowe, bogate jest bardzo w materiały umiejętnościowy; uie ma gałęzi sztuki, której-by nie dotknęło, a niejeden dział jej zasadnie obrobiło, opierając się na materyale, z natury swej niewyczerpanym, dającym się wszakże do dna zbadać. W zeszycie obecnym „Radziwiłłowska fabryka pasów w Słucku” dostarczyła p. Aleksandrowi Jelskiemu materyału obfitość, autor zaś ze swej strony zdołał z danych, jakie zebrał, utworzyć bardzo dokładny obraz gałęzi przemysłu już nieistniejącego, przyczyny powstania i powody upadku, w zajmujące zaopatrzywszy uwagi.

Wszakże autor tej zajmującej monografii nie wyjaśnia, jaki mógł być powód nagłego faktu przeniesienia fabryki pasów i materyi złotolitych w granice Rzeczypospolitej; objaśniają to następujące konstytucje sejmowe: w roku 1620-tym zakaz przywożenia materyi złotolitych ze Wschodu, ponowiony w latach 1655, 1764; w 1776 roku prawo pozwalające nosić tylko krajowe tego rodzaju wyroby, w 1780 zaś zakaz noszenia wszelkich wyrobów z ciągnionego złota, lub srebra ¹⁾).

Budownictwo zajmuje największą część kart sprawozdawczych, składa się też na ten dział kilku wytrawnych w badaniach architektury autorów. P. Stanisław Tomkowicz daje nam obszernie studyum „twierdzy magnackiej z XVII wieku,” zbudowanej przez architekta włoskiego, Wawrzyńca Senesa, dla Krzysztofa Ossolińskiego w Opatowskiem, niedaleko miasteczka Iwanisk, przy wsi Ujazd. Nazwa zamczyska Krzyżtopór, godłami przybramnymi naznaczona, sama już mó-

¹⁾ Łukasz Gołębiowski. „Ubiory w Polsce.“ Wydanie Turowskiego, str. 82. (leges oemptuaria).

wi o fantazyjnym nastroju fundatora, który, wedle legendy, żądał, aby zamek wyobrażał liczbą składowych części swoich obraz roku, miał więc mieć cztery wieże, 12 dziedzińców, 52 komnaty, a 365 okien i drzwi. Epoka to była tego rodzaju fantazyi, atoli zniszczenie, w jakim ruina ta znajduje się, tak z powodu ogołocenia z dachów, jak i z powodu wrywania z niej marmurowych otoków, drzwi i kominków przez samych właścicieli posiadłości, nie pozwala na sprawdzenie prawdziwości zagadki. W każdym razie, budowniczy, Włoch, był dzielnym mistrzem w swej sztuce. To, co pozostało, świadczy o wielkim jego talencie i dzielnej umiejętności fachowej. Brodząc niegdyś (lat temu 44) po tych ruinach, miałem sposobność odnaleźć parę ciekawych lokalności, dziś już znać zawalonych gruzami, bo o nich p. T. nie wspomina, i żałuję, że autorowi poszukiwań nie miałem sposobności przysłużyć się rysunkami lepszymi od tych, jakich mu dostarczono. Fotodruki. dołączone do opisu, dobrze objaśniają o strukturze i stanie niektórych części zameczyska; wszakże malowniczej stronie całości należały-by się dokładniejsze i bardziej wyczerpujące odwzorowania. Ze względów badań architektonicznych, obrobienie jest bardzo ściśle, należy się też autorowi podzięka za skrzętne archiwalne poszukiwania w odnalezieniu nazwiska budowniczego.

P. Władysław Łuszczkiewicz obdarza świat naukowy badaniami, czynionemi u samych podstaw historii sztuki; romańszczyzna jest umiłowaniem jego polem pracy. Obecne studia zajmują się „Katedrą płocką i zabytkami klasztoru w Jędrzejowie.” Nie można być dosyć wdzięcznym badaczom tej staranności i wszechstronności, do jakich należy prof. Łuszczkiewicz, za tego rodzaju mozolne dochodzenia, tembardziej, że dochodzeń, że opisów tych budowli monumentalnych nietylko za wiele mieć nie można, ale zaledwie tyle, ile potrzeba, żeby zadokumentować wszystkie starych budynków cechy, żeby odczytać z nich życie, które je wytworzyło. Dziwić się więc nie powinniśmy, gdy wśród skrzętnej szperaniny znajdzie się jakieś niedopatrzenie, lub niedorozumienie, gdy badacz sumienny a głębokki, nie chcąc uczuciu lub odczuciu wodzów popuścić, powie, że katedra płocka może „w oczach znawców wywołać pewne wspomnienie romańskich kościołów” (str. 223), że nawet powie, iż katedra ta ani na zewnątrz, ani wewnątrz nie zachowała nic wybitnie romańskiego (str. 220). Sami bowiem swojego czasu doznaliśmy, na widok tych łuków ogromnych, śmiało rzuconych pomiędzy wielkie czworoboczne filary, wrażenia, jakie czynią najdawniejsze sklepienia termów rzymskich, to jest te, które stały się ideałem romańskich przesklepień. Odczuwa nie-raz p. Ł. zamiary budowniczych dawnych tak trafnie, iż rzeczą było-by wielce pożądaną, aby tym poczuciom nieco więcej dał pola do roz-

winięcia badań, drogą bodaj hipotez. Ile-by na tem zyskało zbadanie wież płockich katedralnych, przewidzieć nawet trudno. Światło, jakie już na nie rzucił uczony badacz, zajaśniało-by nam jeszcze dobitniej.

Przy rozbiorze szczątków starego opactwa Cysterskiego w Jędrzejowie p. Łuszczkiewicz jest na swoim gruncie, tę przecież epokę i ten rodzaj budowania, jego obyczaje wszelkie, uczony ten w licznych badań zabytkach. Sulejów, Koprzywnica i Wąchock doczekały się już dawniej jego świątłych rozbiorów, Jędrzejów częściowo tylko, a głównie ze względu na oryginalne części składowe kapitułarza, które zostały tu rozpatrzone i nowem światłem obrzucone. Dalszych obiecanych w tem studyum opracowań oczekiwać będziemy z upragnieniem.

Kompetentne pióro architekta, p. Zygmunta Hendla, opracowało „Opis kaplicy zmarłych, zwanej *Ogrójcem*, przy kościele Ś-jej Barbary w Krakowie“. Plany, pomniki i liczne ryciny w tekście dopełnione są tablicą oddzielną ogólnego widoku tej zajmującej i pięknej przybudówki. Autor umiejętnie wyświeśla jej istotne znaczenie i przeznaczenie, jako kaplicy zmarłych, w której się nabożeństwa żałobne odbywały za dusze zmarłych, grzebanych na przyległym cmentarzu kościoła Maryackiego.

„Zamek w Baranowie“, opisany przez budowniczego, profesora Sławomira Odrzywolskiego, objaśniony fotodrukami i rysunkami w tekście, z dołączeniem wielkiej tablicy z elewacją frontową. Budowa ta piękna z epoki świetnego rozwoju stylu odrodzenia, postawiona w końcu XVI wieku, zasługiwała na to wyczerpujące studyum, samych już wprawdzie tylko murów, dachem nakrytych po pożarze, który w r. 1849 strawił ogromne mnóstwo zabytków, zdobiących tę rezydencję magnacką. Fundatorem jej był Andrzej Leszczyński, a zajmowali go następnie Wiśniowieccy, Lubomirscy, Małachowscy, Potoccy i Krasiccy, do których obecnie należy. Największą ozdobą architektoniczną Baranowa jest dziedziniec, otoczony podcieniami piętrowymi, których-by się Florencyja nie powstydziała. P. Odrzywolski domyśla się, że budowniczym zamku Baranowskiego był Włoch, Santi Gucci.

„Kilka słów o dawniejszych bożnicach drewnianych w Polsce“ napisał Mathias Bersohn. Bożnica w Zabłudowie jest głównym przedmiotem tego artykułu o kilku fotodrukach i rysunkach. Budowla ta, jako struktura, nie przedstawia nic zajmującego, szczegóły ozdobię drzewnych tylko nie są bez interesu.

„Dary Dymitra dla Maryny Mniszhówny“ podał Dr Ludwik Boratyński, na podstawie dokumentów w archiwum Watykańskiem, po włosku sporządzony jest spis, do artykułu dodany portret fotodrukowy

Maryny z oryginału, który był w zamku w Wiśniowcu, obecnie zaś znajduje się w Moskwie.

„Jan Matejko,“ wspomnienie pośmiertne, przez Maryana Sokołowskiego skreślone. Z fotodrukiem podług własnoręcznego portretu zmarłego i z faksymiliami takież kilku jego rysunków własnoręcznych z dziedziny archeologii i historii sztuki, tego rodzaju bowiem prace wziął p. S. za punkt wyjścia do wspomnienia. Tym rzutem oka na zamiłowanie Matejki do zabytków starożytnych rozpoczynają się „Sprawozdania z posiedzeń komisyji od r. 1893 do 1894“, niemniej bogate w szeregi wiadomości z historii i sztuki, jak w większe elaboraty. Nagrobek Szafrancowej z Sułoszowy z r. 1501, nagrobek Kempieńskiego w Zbyszycach, oba rzeźbione, pierwszy figuralny, bardzo zajmujące. Z budownictwa, zamek w Zbarażu i dwie cerkiewki wiejskie murowane, drewniany kościół w Rozenbarku, synagoga murowana w Łucku, fragmenty budowli kamiennych z Krasnegostawu, fasada kościoła Panien Wizytek w Krakowie, baza romańska z Wąchocka i projekt ołtarza wielkiego u PP. Wizytek w Krakowie, budowniczego Groliańskiego z wieku XVII, zapełniają ten dział. Ciekawe są wiadomości o cechu złotników i malarzów we Lwowie, jak wiadomo, niegdyś połączonych w jeden. Sprawozdania profesorów Sokołowskiego, Łuszczkiewicza i p. Leouarda Lepszego niemało tu zajmują miejsca, a są pełne żywotnych kwestyi, — jednym z ważnych jest sprawozdanie o dziele Ditrichsona, mówiącem o kościołach drewnianych w Norwegii. Zabierają głos w rozmaitych kwestyach: W. Demetrykowicz, Dr Antonowicz, Dr Czołowski, p. Kowalczyk, p. Bostel, ks. kanonik Petrusiewicz z powodu przedstawionego w rzeźbie z kości słoniowej ukrzyżowania z wieku XI. Dr Jerzy Mycielski o portrecie Maryi Antoniny, wykonanym przez polskiego malarza. P. Łoziński o ludwisarzach lwowskich, p. Rabezyński z powodu laski sędziowskiej starożytnej, ks. Fijołek z powodu pastorału biskupa Golanczewskiego z XIII wieku, i inni. Słowem bogactwo przedyskutowanych, wniesionych i postawionych do dyskusyi przedmiotów, ogromne. Zakończa sprawozdanie index (dla czego nie wykaz albo spis) alfabetyczny osób, wymienionych w V tomie sprawozdań komisyji do badania historii sztuki w Polsce i chronologiczny spis dokumentów, ogłoszonych w tym tomie.

Alfred Konar. „Pierwsza miłość“. Warszawa. Nakład i druk Emila Skińskiego. Rok 1896. Str. 253.

Exterus. „Po zdrowie“. Powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Rok 1896. Str. 303.

Dziesięć krótszych i dłuższych opowiadań, nowel i szkiców złożyło się na nową książkę autora „Bankrutów“ i „Sióstr Malinowskich“. Tytuł pierwszego w tym zbiorku i najdłuższego zarazem utworu nadał p. Konar książce całej, uprzedzając pośrednio czytelnika, z jakim przedmiotem będzie miał w niej głównie do czynienia. I rzeczywiście, do tematu pierwszej miłości, któremu całkowicie poświęcona została pierwsza nowella, powraca autor kilkakrotnie, dotykając go ze stron różnych. Nie szukajmy tam tylko tego, prawdziwie młodzieńczego, pełnego marzeń, gorących uniesień i cudnych snów na kwiatach uczucia, które z takim wdziękiem odmalował Gaszyński w swojej „Sielance“, o którym Asnyk napisał na pół żartobliwą, ironiczną na poły „Legendę pierwszej miłości“, a Sienkiewicz takie głębokie, a takie proste zarazem i z serca płynące obrazki, jak „Hania“, albo „Przez stepy“... O miłości takiej p. Konar nie mówi wcale. Nie zna jej może, a może nie wierzy w nią nawet. Przypuszczenie ostatnie prawdopodobne jest dosyć, wobec sceptycyzmu, który tu i owdzie z kartek jego książki wychyla smętne oblicze.

Zobaczymy wszakże, jak w interpretacji nowellisty wygląda to opiewane przez poetów tylu uczucie. Przy kominku, w wytwornie urządzonej gabinecie, siedzi towarzystwo, złożone z kilku utytułowanych panów i kolegi ich czy przyjaciela, prawnika Romana X. Na dworze wyje zawierucha, deszcz jesienny leje, jak z cebra, — goście hrabiego Wiktora zajęci są przyjemną pogawędką poobiednią przy czarnej kawie, likierach i cygarach. Rozmawiają o miłości; analizują istotę jej i wartość, wywierając przytem wrażenie smakoszków, rozprawiających po uczie lukullusowej o spożytych przed chwilą przysmakach. „Wrażeniom trzeba się poddawać, — robi wreszcie uwagę gospodarz domu. — Tylko wtedy możesz dać się unieść, jeżeli nie analizujesz jednocześnie siebie, jej, krzesła, na którym przy niej siedzisz, powietrza, jakim oddychacie. Ach! ten hiperkrytycyzm, ten nasz rozum wielki, — cóż to za głupota! Co nam też mówić o miłości! Dla takich, jak my, stworzone są miłostki. Kochać potrafią tylko młodzi.“

— Ej! daj pokój, Wiktorze! — odpowiada na to adwokat. — Ta idealizowana młodość, w swojej naiwności, w swoim braku krytycyzmu bywa nieraz bardzo okrutną, nie zdając sobie z tego sprawy. Wiem o tem coś z własnego życia“...

I dla poparcia słów powyższych, opowiada zebrany epizod ze swej młodości. W ostatniej klasie gimnazjum poznał na lekcjach tańca uroczą Jankę, siostrę mistrza swojego w sztuce choreograficznej. Z nią tylko tańczył, rozmawiał, i miłość, nieświadomiona z początku, prędko dosyć zakradła się do ich serc. Rozpoczęły się potem spotkania w parku, wspólne wycieczki z młodym akademikiem i jego kolegami i cały ten poemat miłości, zakończony tylko, niestety, nie zbyt poetycznie. Uwiódłszy dziewczynę, która go kochała i posłuszna mu była bez zastrzeżeń,—na życzenie ojca wyjechał przysły mecenas na dalsze studia za granicę; napisał z drogi list do Janki, ale go podarł po namyśle i słówkiem jednym nie odezwał się już potem do przedmiotu swych uczuć młodzieńczych.

„*Es ist eine alte Geschichte, doch bleibt sie immer neu,*“—można by z Heinem powiedzieć, gdyby autor nie usiłował wmówić w nas, że odmalował rzeczywiście pierwsze uczucie osiemnasto czy dwudziestoletniego chłopaka. Tak, później trochę, doświadczywszy tego i owego w życiu, pan adwokat mógł-by się zdobyć na czyn heroiczny rzucenia uwiedzionej i kochającej go szczerze dziewczyny;—ale w dwudziestym roku życia, na pierwszym kursie uniwersytetu, nie zapomina się tak prędko o ideale pierwszym i wogóle tych rzeczy nie załatwia się tak obcesowo, jeżeli naturalnie nie brać w rachubę wyjątków. Roman do wyjątków takich nie należy,—tak przynajmniej sądzić nam wolno ze znajomości, zawartej z nim w gabinecie hrabiego Wiktora,—więc też cały epizod z Janką wydaje się nam utrzymanym w zbyt ciemnych barwach i przez to rzucającym jednostronne dosyć oświetlenie na podniesioną przy czarnej kawie kwestyjkę.

Niezależnie od tego, opowiadanie adwokata ma dużo wdzięcznych ustępów, a postaci takie, jak sympatycznej, mimo wszystko, bo kochającej szczerze i bez wyrachowania żadnego, Janki, siostry jej i „mistrza“ Twardowskiego, chociaż traktowane sylwetkowo, wykazują rękę wprawną i rozwinięty zmysł obserwacyjny.

Wyraźniej jeszcze zarysowuje się sceptycyzm autora w „Spełnionych marzeniach“. Krótki ten obrazek, malujący rozstanie się młodego małżeństwa wskutek ciężkich warunków życia, wywiera może najsilniejsze wrażenie w książce całej. Przed kilku laty poznali się i pokochali. On był młodym, rozpoczynającym praktykę lekarzem, ona córką rodziców, którzy wprawdzie paniąkom dawali niewielkie posagi, ale za to prowadzili dom duży, otwarty. Mimo pewne przeszkody, które im zwalczyć wypadło, młodzi dopięli celu, marzenia swoje spełnili, pobrali się. Do małego, lecz wesołego mieszkanka, z różowymi mebelkami, z pianinem, żandynierką, pełną kwiatów etc., oprócz obustronnej miłości i trzech tysięcy rubli posagu młodej mężatki,

wnieśli dużo wiary we własne siły, pięknych zamiarów i piękniejszych jeszcze nadziei. A dziś, po latach paru, mieszkanko przybrudziło się, w całym domu czuć „miętą, rumiankiem i pieluchami“, i nieład panuje, jak na popasie, posażek stopniał oddawna, wszelkie środki wyczerpały się, praktyka nie wystarcza na zaspokojenie potrzeb najważniejszych. I oto młody lekarz ma wyjechać na dorobek w głąb Rossyi, a ona, z trojgiem drobnych dzieci, powraca do rodziców, „do domu, do ich ciasnego, gwarne go mieszkania, do tego fałszywego blichtru, jak zawalidroga dla siostry, dorosłej pannicy, dla której trzeba było szukać męża,—jako kula u nogi dla ojca, z trudem wyżywiającego liczną rodzinę,—złamana, żyjąca już nie przyszłością, lecz wspomnieniami.“ (str. 150).

Smutne to bardzo niewątpliwie, ale i tutaj nasuwa się uwaga, że bohaterka obrazka nie zawiodła—by się może w taki sposób, gdyby hipotecki do ulokowania skarbów uczuła nie szukała na „jednym z balów,“ wśród fraków, najgęściej usianych złotemi gwiazdami orderów kotylianowych, wśród świetnych i modnych młodzieńców, wyciskających w buduarach ogniste pocałunki na ramionach pięknych danserek. „Podźwignąć ciężar, co się życiem zowie,“ łatwiej podobno we dwoje, i marzenia spełniają się niekiedy, — gdy, nie poprzestając na nich, umiemy odważnie zajrzeć rzeczywistości w oczy i wziąć się z życiem za bary, świadomi tego pewnika, że na drodze swej obok róż niejednen cieri ostry spotkamy...

W obrazku „Po burzy“ maluje autor pierwszą miłość piątoklasy, który zdołał wzbudzić uczucie gorętsze w jednej z koleżanek siostry, ułatwiającej „zakochanym“ spotkanie w ogrodzie. Mamy i tutaj sporo dobrze zużytkowanego materiału obserwacyjnego, ale charakter Janka wywiera wrażenie odpychające. Autor chce go zrobić śmiesznym tylko w niedopasowanej do jego wieku i wzrostu roli dorosłego młodzieńca,—po za tem jednak możemy dostrzedz w tym chłopcu wyborny materiał na przyszłego filistra i adonisa na większą skalę. „Szczęśliwi ci dorośli mężczyźni, donżuanii! —rozmyśla np. Janek, przechodząc przez ogród Saski,—żadnych belfrów, egzaminów! Same rozkosze! Ho! ho! I on niedługo tak żyć będzie!“ (str. 229). Bywają niewątpliwie i tacy,—ale szkoda, że dla kontrastu chociażby nie dał autor jednego przynajmniej obrazka „Pierwszej miłości“ w innym troszeczkę rodzaju...

Nie możemy streszczać nowel wszystkich. Niema między niemi rzeczy, pisanych bez talentu, — autor panuje w zupełności nad formą i włada stylem doskonale; praktycznością tylko, z którą rozwiązuje pewne kollizye życiowe, nie zawsze nam trafia do przekonania. Sądząc np. z „Listów pani mecenasowej,“ można-by przypuszczać, że zdaniem

p. Konara, połączenie siedemnastoletniego dzieciaka, nie mającego pojęcia o życiu i jego wymaganiach, z dwa razy starszym „panem mecenasem,” przed ślubem obcym zupełnie dziewczęciu, jest najlepszą drogą do zapewnienia szczęścia obojgu. Ptaszek poszamocze się trochę w klatce złoconej, podokucza mężowi i pogrymasi, a potem przyzwyczai się do wszystkiego i przez całe życie wdzięczność czuć będzie dla rozumnych rodziców, którzy go w tak wygodnym ekwipażu ulokowali na drogę życia. Że pogląd podobny trafić może do przekonania niejednej z praktycznych mam, oglądających się za „dobremi partyjami“ dla dorastających córeczek,—o tem nie wątpimy ani na chwilę,—czy jednak rację bytu przyznać mu można, sądząc z wyższego nieco stanowiska etycznego, to znowu kwestya inna, nad którą nie zamierzamy rozwodzić się tutaj obszerniej.

Sympatyczniej o wiele rozwiązuje autor inne znowu zagadnienie życiowe („Janinka“), wynikające z egoizmu dwojga małżonków, zsyłając im maleńką Janinkę, która obojgu zapomnieć każe o popędach egoistycznych i zbliża ich przy swej kołysce. Uczucie dla tego maleństwa jest też niewątpliwie ich pierwszą prawdziwą miłością.

Zagadkowym nieco jest „Dziwak“ p. Konara. Rozumie on całą nicłość i marność otoczenia, w którym żyje, zżyma się na te wszystkie małe podłości, płoteczki, intryżki, na całą nędzę codziennego życia, co to éni, jak ból zęba spróchniałego, którego wyrwać nie można, a dla którego cierpieć nie warto,—lecz nie ma siły raz na zawsze zerwać z tem wszystkim, znaleźć dla siebie środowisko odpowiedniejsze, lub zamknąć się w sobie samym i wystarczyć sobie w zupełności. Miał to być, jak się zdaje, utwór obszerniejszy,—może nawet zajmujące studjum psychologiczne,—został jednak po paru rozdziałach .przerwany, i w tej formie brak mu jednolitości.

Z obrazków pomniejszych na uwagę zasługuje jeszcze „Pijak i jego kufel,” traktowany realistycznie, ale bez przesady w tym kierunku i zbyt jaskrawych efektów. Skargi żon na obojętność mężów, uganianie się podstarzałych lwic za wielbicielami, zwierzenia pięknych „rasowych blondyn“ etc. („Spotkanie,” „Zwierzenia,” „Ciekawa”), chociaż odznaczają się wskazanemi wyżej zaletami pióra p. Konara mniej już zajmują czytelnika, który, dostawszy się w atmosferę tych sztucznych nieszczęść i uczuć kłamanych, chorobliwie podniesionych pragnień i pożądań, nadziei i zwątpień, miał-by ochotę zawołać z poetą:

„Nie mów, chociaż-byś miał ginąć z pragnienia.
Że wszystkie źródła wyschły już bijące —

Tyś gonił pustyń piaszczystych złudzenia,
A minął strumień na zielonej łące!" —

i wypowiedziawszy tę parę wierszy pod adresem autora i całej tej grupy jego bohaterów i bohaterek, otworzyć szeroko okno, aby, po cieplarniano-mdłej atmosferze buduarów, flirtu i obłudy, odetchnąć powietrzem balsamicznem, ożywczem, a przedewszystkiem świeżem.

Tego świeżego, ożywczego tchnienia nie daje nam i powieść Exterusa p. t. „Po zdrowie“. Cokolwiek jednak powiedzieć-by się dało o chorebliwo-cieplarnianej atmosferze, w którą nas ten utwór wprowadza, o pełnych egzaltacyi duszach kilku występujących w nim postaci, o pewnej niekonsekwencyi w charakterze jednego z głównych jej bohaterów, Ruszczyca, i wreszcie o sztucznem nieco zawikłaniu akcji,—wątpliwości mimo wszystko nie ulega, że jest to dzieło talentu dużego, rozpoczynającego działalność pisarską utworem, pełnym zalet pierwszorzędnych i wogóle dalekim od tuzinkowości. Czytając powieść Exterusa, uwierzyć trudno, że mamy do czynienia z debiutem powieściopisarskim, a nie z dziełem pisarza wytrawnego, władającego wybornie językiem i stylem i umiejącego (nie zawsze co prawda w równym stopniu) czytać w głębinach dusz ludzkich wogóle, a biednych, chorych dusz, trawionych gorączką pragnień, które się ziścić nie mogą, w szczególności.

Akcyja powieści rozwija się w większej części na tle słonecznem uroczej doliny alpejskiej, przerznętej na dwoje kamienistą Passerą. „Po zdrowie“ dla rozstrojonych nerwów, dla płuc, poszarpanych gruźlicą, przyjechało do Meranu wykwintne towarzystwo polskie, złożone z kilku młodych i pięknych kobiet i trzech mężczyzn. Przypadkiem prawie, dla parotygodniowego wypoczynku pod cudnem niebem południa, zboczył tam z drogi do Paryża, dokąd go powoływały interesa, poważny mecenas z Warszawy, a znalazłszy w gronie stałych mieszkańców i bywalców willi Parwa dawnego przyjaciela i kolegę, oraz dwie dobre znajome, zbliżył się do towarzystwa całego i stał mimowolnym świadkiem podwójnego dramatu. Wspomnienia owego mecenasa, jego spostrzeżenia i uwagi, spisane przez p. Exterusa w formie artystycznej, stanowią właśnie treść powieści „Po zdrowie“.

Dramatu, który gdzieś w powietrzu zawisł nad głowami głównych bohaterów utworu, czytelnik z początku nie domyśla się prawie.

Towarzystwo, zgromadzające się codziennie na tarasie willi Parwa,— jak na kuracuszów i rekonwalescentów, spędza czas nader przyjemnie. Wspólne spacery i wycieczki, muzyka lub rozmowa wykwinna—oto trzy barwne uici, z których się spleta jednostajne dosyć życie w Meranie pani Keszmarowej z siostrą, pani Adeli Przygodzkiej, panny Zosi Dolskiej, Własto wicza, Ruszczyca i innych. Jest to, według wyrażenia mecenasa, życie, z góry przeznaczone na odpoczynek, oderwane od trosk i kłopotów, życie, którego jedynym celem: miłe zabicie czasu,—wegetacya półsenna, w jakiej człowiek mimowoli odrywa się myślą od wszystkiego, co pozostawił za sobą, i żyje tylko chwilą obecną.

Przyjazd do willi nieznanego, ciężko chorego Polaka, którym, jak się okazało następnie, był Leon Krzycki, — młody lekarz i entuzyasta, marzący o nowych dla wiedzy zdobyczach,—jego zemdleńie pod wpływem dźwięku mowy rodzinnej i czarujących, pełnych tęsknoty, krakowiaków Chopina w interpretacyi Zosi Dolskiej, — rozpoczynają bardziej określoną akcyę. Z całego towarzystwa na plan pierwszy wysuwają się powoli cztery postaci: pani Adeli, Zosi, Krzyckiego i Ruszczyca, którym rozdane zostały główne role w tej cichej tragedyi, rozgrywającej się w powieści przed oczyma czytelnika.

Tragizm polega tutaj z jednej strony na uczuciu bezgranicznej miłości, które, jak fala morska, porywa z siłą niezwalczoną duszę Ruszczyca, człowieka czterdziestoletniego blisko, połączonego oddawna związkiem małżeńskim z kobietą niekochaną, pełnego instynktów najszlachetniejszych, i odbija się echem potężnem w sercu słabego, nerwowego, artystycznie nastrojonego dziewczęcia. Jakiem jest Zosia Dolska, gotowa dla ukochanego do poświęceń największych, ale vzdrygająca się mimowoli przed położeniem dwuznacznem i mająca w dodatku gdzieś daleko na wsi dwoje starych rodziców, dla których jest wszystkim na ziemi. Z drugiej strony widzimy tam, jak do serca Krzyckiego wkrada się powoli miłość dla „zwyczajnej zalotnicy, przybranej w skrzydła anioła“, dla pięknej, ale obłudnej, jak szatan, pani Adeli Przygodzkiej, która, pod pozorem opieki, roztaczanej nad chorym młodzieńcem, umie oplątać jego duszę czarem, rozsiewanym dokoła, i staje się powodem jego przyspieszonego powrotu do kraju, a następnie śmierci przedwczesnej.

„Wy bo wszyscy pofiksowaliście tu na punkcie miłości,—odzywa się raz pan mecenas, na wiadomość, że pani Adela kocha się w Leonie, a Leon w pani Adeli.—Próżnujecie i z nudów wmawiacie w siebie najróżniejsze głupstwa. Niby to leczycie się, a rzeczywiście uprawiacie flirt... czy jak go tam; wytwarzacie sobie urojone zmartwienia i hodujecie sztuczne uczucia, jak ablegry pod szkłem.“ Był to niewątpliwie pogląd w znacznej mierze słuszny, ale sztuczne, czy naturalne, uczucia

te prowadzą w konsekwencji do sytuacji tragicznej i pociągają za sobą ofiary, z którymi rachować się trzeba. Nie próbujemy dokładnie streszczać utworu, którego wartość zasadza się głównie na subtelnej i trafnej charakterystyce większej części występujących w nim postaci, na grze półtonów i półcieni, w której p. Exterus okazał się miejscami wirtuozem.

Do najlepszych jego postaci należy przede wszystkim pani Adela. Obluda kobieca, doprowadzona do mistrzostwa, ukrywająca właściwe oblicze przed otoczeniem najbliższym, udająca z powodzeniem bezinteresowność, poświęcenie i czystość, lękającą się nawet cienia pozorów, i dająca jednocześnie upust instynktom najniższym, — w postaci tej odmalowana została wybornie. Mniej jednolitym jest Ruszczyce. Szalone uczucie jego dla Zosi nie zostało przede wszystkim umotywowane dostatecznie. Pomijając jednak tę okoliczność, a pamiętając tylko krótkie, lecz dobitne słowa, w których na początku książki określiła on uczucie swoje dla syna („Ten dzieciak to moje wszystko!“ str. 11), nie możemy zrozumieć ociągania się jego z wyjazdem na ratunek biednego Jurka, kiedy nieszczęśliwy chłopiec leży w tyfusie, bez rodzicielskiej opieki. A słowa jego ojca, wypowiedziane do Zosi: „Niech pani będzie spokojna, bo to mi droższe nad życie dziecka!“... brzmią wprost fałszywie w ustach takiego Ruszczyca, jakiego poznajemy w powieści. Człowiek dojrzały i szlachetny, za jakiego miał-by on prawo uchodzić, może czasem popełnić szaleństwo, ale „dla jednej chwili spędzonej przy ukochanej istocie“, nie poświęci dziecka własnego... Szkoda również, że nie nam nie tłumaczy, dlaczego Ruszczyce, zamiast deklamować o porwaniu Zosi i wywiezieniu jej daleko „do Algieru, do Indyi, do Australii, gdzie zechce“ (str. 236), nie próbuje nawet wynaleźć jakiegoś praktyczniejszego sposobu wyjścia z sytuacji zawikłanej, co przy jego środkach i wpływach nie leżało zapewne poza granicami możliwości.

Innym postaciom powieści nie mamy wogóle nic do zarzucenia. Aż do drugo i trzecio-planowych zarysowują się w wyobraźni naszej wyraźnie i brakiem konsekwencji nie rażą. Do najudatniejszych zaliczył-bym obok pani Adeli młodego szalawilę, Julka Dolskiego, który tchnie życiem w każdym calu i, mimo wady swe wszystkie, zjednywa sobie chwilami szczerą sympatię czytelnika.

Wiadomości bibliograficzne.

— Profesor Stanisław Mieczyski przysłużył się znów literaturze przekładem interesującego dzieła. Po „Helladzie i Romie“ Kohla i Konera, której druk ukończyła firma Gebethnera i Wolffa, ukazała się w wybornem tłómaczeniu książka Ludwika Geigera „Odrodzenie i humanizm we Włoszech i Niemczech,“ wydana w „Bibliotece najcenniejszych utworów“ S. Lewenthala. Będzie to doskonale dopełnienie „Historji Odrodzenia“ Burkhardta, pomnożonej przez tegoż Geigera w drugiej edycji, której tom I-szy wyszedł w roku zeszłym nakładem Spółki Wydawniczej w Krakowie.

— Dr Władysław Ołtuszewski. „Czwarty przyczynek do nauki o zбочeniach mowy (niemota, bełkotanie, mowa nosowa, jąkanie).“ Warszawa, 1896, (4-ka, str. 18). Logopatologia należy stosunkowo do bardzo młodych gałęzi medycyny praktycznej. Ponieważ podstawowe nauki teoretyczne, dotyczące mowy (z wyjątkiem fizjologii dźwięków, a więc jej rozwoju u dziecka, psychologii oraz filozofii), prawie dotychczas nieistniejące, powstały dopiero w ostatnich czasach, więc i objawy patologiczne zбочeń mowy nie mogą być ustalone. Poglądy w tej dziedzinie, w miarę opracowania podstaw, tudzież zwiększającego się materiału klinicznego i szerokich doświadczeń, ulegają znacznym zmianom. Otóż w broszurce niniejszej autor, poprzestając przeważnie na materiale klinicznym, zaznacza jednak zmiany, jakim uległy zapatrywania jego, wypowiedziane dawniej. Nadto mówi i o tem, co dotychczas pomijał, mianowicie o niemotach pozakorowych i afonii spacyjcznej. Od lipca 1895 roku do lipca 1896, dr Ołtuszewski spostrzegł w praktyce prywatnej, łącznie z polikliniką, 200 wypadków zбочeń mowy.

— Aniela Milewska. „Studentka.“ Poznań. Nakł. „Dziennika Poznańskiego,“ 1896, (8-ka, str. 94).

— Kajetan Kraszewski. „Ze wspomnień kasztelanica. Przyczynek do historii obyczajów, życia domowego i wychowania w końcu XVIII wieku.“ Wydanie drugie. Petersburg. Grendyszyński, 1896, (8-ka, str. 114).

SPROSTOWANIE.

W zeszytcie styczniowym, w Fantazyi poetyckiej: „Na morzu“ M. Tatarkiewicza, opuszczono na str. 158 trzy wiersze, które w niniejszem sprostowaniu przywracamy, drukując je kursywą, z powtórzeniem zwykłym drukiem kilku poprzedzających, i kilku następnych wierszy:

„Hej dalej! hej dalej!

„Nim świt się zapali,

„Niech przemknie po fali

„Twa łódź!

„Hej! skieruj ją w biegu,

„Niech płynie do brzegu,

„Wróć, wróć!

„Mam wracać? gdy płynę

„W cudowną krainę

„Snów!

i t. d., i t. d.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Michał ks. Radziwiłł.

Kierunki nowożytne polityki francuskiej.

I.

Francuzi w ostatnich czasach z niezwykłą energią rzucili się do badań źródłowych nad nową i najnowszą historią polityczną swego narodu. Na tem polu, jak na wielu innych, znacznie wyprzedzeni przez Niemców, wysilili się, aby ich doścignąć. Nie chodzi tu oczywiście o samą naukę dla nauki. Owym wysiłkom przedewszystkiem przydaje ostrogi wzgląd na najżywotniejsze interesy kraju. Owe badania nie cofają się zbyt daleko w przeszłość, nie gubią w czasach obumarłych i przedawnionych zagadnieniach, lecz przeważnie mają się epok nowożytnych i wszędy ciążą wyraźnie ku sprawom obecnej i przyszłej doby. Jest to zupełnie zrozumiałe. Klęska, poniesiona przez Francję przed cwiercią wieku, była nie tylko klęską armii, lecz w równej mierze i polityki francuskiej. Zrobić obrachunek kierowniczych tradycji politycznych narodu, które go były uczyniły wielkim w radzie mocarstw i ludów; od onych tradycji wskazać zboczenia, które go poniżyły, — ta sprawa naukowa stała się pierwszorzędną sprawą obywatelską. Spółczesne dziejopisarstwo francuskie okazało się niezmiernie czulem na takie hasło. Licznie stanęli do apelu badacze, których nazwiska — Aumale, Noailles, Haussonville, Broglie, — nierozdzielnie są związane

z tradycjami Francyi dawnej; tłumnie stawili się inni, których nazwiska — Hanotaux, Rambaud, Sorel, Chuquet, Vandal, — są na czele rządów i nauki Francyi dzisiejszej. Nie przesądzamy na razie, o ile te gorączkowe usiłowania są zdrowe w zasadzie i wykonaniu, o ile ta ankietna naukowa istotnie oświeciła samowiedzę polityczną. Na razie, z ogólnego obrachunku, podjętego przez nowoczesną historyografię francuską, pragniemy pewne tylko poszczególne pozycye wyosobnić, sprawdzić i podsummować. Pragniemy sformułować pewne tylko poszczególne wnioski, wypływające z podjętych przez nią rozległych i ważnych badań. Gdyż te badania, jakkolwiek z rozmaitych względów wiele pozostawiają do życzenia, są jednak niewątpliwie i bardzo doniosłe, i przedsięwzięte na bardzo dużą skalę. Wzięto się do nich zupełnie na seryo. Porzucono dawne uniwersalne sposoby wykładu, świetne a ogólnikowe wzory Voltaire'a i Michelet'a; zwrócono się natomiast do poszukiwań monograficznych, dosięgających rdzenia rzeczy. Obostrzono kontrolę naukową, stworzono specjalne czasopisma historyczne i krytyczne, zaprowadzono specjalne wykłady, założono specjalną instytutę i przegląd dla dziejów dyplomacyi. Zaś przedewszystkiem, przystąpiono w jak najszerszym zakresie do wydawnictwa dokumentów, rozpoczęto pomnikową publikację Inwentarza Analitycznego archiwów ministeryum spraw zagranicznych, daleko posunięto Zbiór Instrukcyi poselskich, zyskano poparcie materyalne i pomoc czynną rządu, podano rękę wydawnictwom rządów zagranicznych, petersburskim, wiedeńskim, berlińskim, ściągającym się do spraw francuskich. Różnolity ogrom ujawnionych w ten sposób przyczynków daje się sprowadzić na ogół do dwóch wielkich działów zasadniczych, stykających się i rozszczepiających u końca zeszłego wieku. Tutaj jest punkt przełomowy, jak dla ogółu nowszych dziejów francuskich, tak w szczególności dla dziejów nowożytnej polityki zagranicznej tego narodu, rozdartej tutaj na dwa nierówne okresy przez żywiołowy wybuch wojen rewolucyjnych. Poczęta w stuleciu Franciszka I i Henryka IV, wyczerpana w stuleciu Richelieugo i Wielkiego Ludwika, wyczerpana w stuleciu Ludwików XV i XVI, pierwszy, pełny swój okres zamknęła upadkiem starych rządów królewskich, które ją były wydały; drugi, trwający podziś dzień, rozpoczęła od rządów rewolucyjnych i Napoleońskich, które ją pchnęły na nowe tory. W obydwu kierunkach zrobiono wiele, rozwidniono obadwa okresy, do obu wniesiono światło dokumentów społecznych i autentycznych. Te dokumenty z pierwszej ręki, pod najróżnorodniejszą postacią: korespondencyi monarszych, gabinetowych memoryałów, obrad kongresowych, sprzymierzeńczych układów, instrukcyi ministeryalnych, albo poselskich doniesień, ogarniają całokształt spraw europejskich w erze nowożytnej, sięgają od Neapolu do Sztokholmu, od Lizbony do

Moskwy, wykreślając we wszystkich kierunkach główne szlaki francuskiej polityki zagranicznej. Z tych świadectw najniezawodniejszych, z własnego oficjalnego świadectwa rządzących i ich wykonawców, dobywa się przenikliwy głos Francji, jak skrót spletaną polifonię polityki powszechnej, zwraca się z osobna do każdego uczestnika wielkiej rodziny europejskiej, jakby w szeregu długich dyalogów odrębnych, które, doprowadzone do zamknięcia pierwszej, przedrewolucyjnej epoki, w drugiej, porewolucyjnej, nieprzerwanie podziśdzień dalej się ciągną. Albowiem wszędzie nieprzerwanie trwają podziśdzień, z tą zaledwo odmianą, iż kierują się dzisiaj do Rzymu, zamiast do Turynu, lub zamiast Ratyzbony do Berlina. W jednym tylko wypadku nie, przędzona przez wieki, całkiem się urywa, zgola ustaje oficjalny dyalog, zupełna następuje cisza. Jest tu jeden uczestnik zamilkły, jedno państwo umarłe. Jest to Rzplta polska.

Czem się stało, iż dwa narody, tak oddalone a różne, przez tyle czasu utrzymywały z sobą stosunek tak blizki i życzliwy? czem się stało, że obustronne stąd korzyści tak były nikłe, ciężary tak niespółmierne, wynik ostateczny taki, iż państwu starszemu a opiekuńczemu wypadło być bezczynnym świadkiem ponawianych agonii młodszego?—oto zagadnienia, które oddawna narzucały się rozwadze umysłów badawczych i czujnych sumień. Nie przestają narzucać się i nadal. Pozbyć się ich, pogrzebać, niema sposobu. Badania nowoczesne, o których mowa, wszędzie niemal rozbrzmiewające echem rzeczy polskich, wszędzie też potrącają o tamte zagadnienia, potykają się o nie, uwydatniają ich doniosłość, ich ponowną, choćby ryczałtową, rewizję czynią obowiązkiem.

Francja i Polska z natury rzeczy długo musiały pozostawać sobie obce. Oddalone od siebie przestrzennie, przegrodzone są, od początku swego istnienia, olbrzymim gmachem gotyckim świętego państwa rzymskiego. Chciano z tej właśnie okoliczności wyprowadzić predestynację powinowactwa politycznego obu narodów. Istnieje pewna osobliwsza teoria, którą można-by nazwać teorią ujemnego powinowactwa w polityce. Wedle tej teorii, o związku politycznym narodów nie, albo niewiele stanowią wspólne cechy dodatnie, sąsiedztwo u wspólnych źródeł kultury, równoległy kierunek duchowego rozwoju, solidarność i pokrewieństwo zadań i potrzeb cywilizacyjnych. Wedle niej, nie bardziej i wyłącznie nie umacnia przyjaźni politycznej, jak posiadanie wspólnego wroga, nie bardziej i pewniej jej nie utrwała, jak niepodobieństwo wyrządzenia sobie krzywd dotykalnych.

Ta teoria podobno dziś uchodzi za pewnik. Jest to nauka obłądna i barbarzyńska. Przywraca i uświęca zasadę jawnej lub utajonej wojny wszystkich przeciw wszystkim, wymazuje drogocenne nabytki międzynarodowego społecznienia, — tedy barbarzyńska; naraża przyszłość dla widoków tymczasowych, buduje na samej nienawiści, na tem, co krótko łączy a zawsze rozdziela, — tedy z gruntu błędna. Rozciągnięta do stosunków polsko - francuskich, już w samym ich zaraniu, polega nadto na oczywistem nieporozumieniu. Nie ulega wątpliwości, iż stare Niemcy cesarskie wspólnym wrogiem narodowym Polski i Francji nie były bynajmniej. Zapewne, jeszcze kędyś, w najciemniejszej pomroce średniowiecznej, w tym samym prawie czasie, kiedy Paryż jest oblegany przez cesarza Sasa, i zbrojne zastępy niemieckie po raz pierwszy obozują na wysokościach Montmartre'u, Polska rozpoczyna ciężką przeprawę z cesarzami domu saskiego. Cóż jednak z tego, skoro jeszcze w znacznie późniejszym okresie obrany król niemiecki bije się pod Crécy pod sztandarem francuskim, zaś rycerze francuscy dod sztandarem Zakonu nacierają pod Trokami na Litwę i Polaków, broniących swej ziemi. Nie może być niedorzeczniejszego anachronizmu, jak przeniesienie pojęć narodowościowych do tych epok odległych. Germańska mrzonka imperyum wszechrześcijańskiego, potężnej myśli rzymskiej mgliste romantyczne odbicie, mogła nieraz zmorą przytłaczać sąsiadów ze Wschodu i Zachodu: trwałego dziejowego antagonizmu narodu względem narodu, ani nawet mocarstwa względem mocarstwa, od Niemiec dawnych, jako całości, nie doświadczali oni zgoła. A przecież jeden i drugi sąsiad spotkał się wewnątrz Niemiec z właściwym swoim przeciwnikiem. To nie wychodzi na jedno. To nawet wprost odwrotne miało znaczenie i skutki. Każdy z obu sąsiadów Niemiec innego pośród Niemiec znalazł przeciwnika. Francja — dom Habsburgów i Austryę, Polska — Zakon krzyżacki i Prusy. Stąd nie wynikało powinowactwo interesów francusko - polskich, na którym-by można było się opierać, lecz, wprost przeciwnie, wynikała sprzeczność, z którą należało się liczyć. Tę prawdę niezmiernej wagi, bezwiednie, czy rozmyślnie, najzupełniej zapoznała polityka francuska. Tutaj tkwi jeden z jej błędów kardynalnych. Błąd, który trwał i coraz się pogłębiał przez trzy stulecia, który najwięcej się przyczynił do spaczenia samej istoty stosunków polsko - francuskich, który ciężką krzywdę wyrządził Polsce, a naostatku dotkliwie się pomścił na losach samej Francji.

Początki zatargu między Francją a Austryą sięgają pierwszych początków ery nowożytnej. W XV wieku Habsburg, arcyksiążę au-

stryacki, król rzymski, a wkrótce cesarz niemiecki, poślubił bogatą dziedziczkę burgundzką. Jego syn poślubił bogatszą dziedziczkę kastylską, jego wnuk, Karol V, z klejnotem burgundzkiego spadku połączył koronę królewską Hiszpanii i cesarską Niemiec, z trzech stron jednocześnie opasując Francję: od południa, północy i zachodu. Odtąd walka była nieuchronną. Wyglądała ona u wstępu na współzawodnictwo dwóch ludzi, kiedy pierwszy herold Francji przynosił cesarzowi Karolowi od króla Franciszka wyzwanie na pojedynek osobisty; później mogła wydawać się współzawodnictwem dwóch dynastii, odziedziczona przez Bourbonów po Walezych, ciągnąca się szeregiem wojen sukcesyjnych, pozornie zamknięta związkiem małżeńskim delfina z arcyksiężniczką, pozornie przypięczętowana krwią obojga, pomieszana na rusztowaniu rewolucyjnym. W rzeczywistości, od pierwszej chwili do ostatniej, była spółzawodnictwem dwóch równoważących się potęg politycznych. Złamać od południa duszącą obręcz habsburskiego uścisku, zerwać łączność między Wiedniem a Madrytem, znieść Pyreneje i zagarnąć zwierzchność nad Hiszpanią; sięgnąć na północy po płodne równiny wallońskie, już przedmiot pragnień Ludwika XI, po handlowe porty belgijskie, jeszcze przedmiot rachub Napoleona III, stanąć na straży oceanu i podważyć sam byt Anglii; od zachodu przywrócić dawne kresy galijskie, dotrzeć do granicy naturalnej, do Renu, otworzyć sobie tędy wylot do Niemiec i ustalić swoje nad nimi panowanie: te trzy zasadnicze dążenia polityki francuskiej, dążenia nieprzeparte i wielkie, a przez sam swój rozpęd i bezmiar zdradne i niebezpieczne, wciąż odnawiały i rozżarzały długowieczną walkę francusko - austriacką, czyniły ją nieuniknioną koniecznością dziejową, tak samo dla spokojnego Ludwika XVI, jak dla jego ambitnych dziadów i pradziadów, tak samo dla rewolucji i cesarstwa, jak dla dawnych rządów królewskich. Ale była to, od pierwszej chwili do ostatniej, jedynie polityczna walka dwóch mocarstw. Żywiołu narodowego nie masz w tym zatargu. Niezawodnie, wielka jest nienawiść w Palatynacie dla rozbójniczych band francuskich Melaca i Durasa, lecz równe było wcześniej rozjątrzenie w Niemczech północnych dla austriackiego żołdactwa Wallensteina i Tillego, albo później na Szląsku i w Saksonii dla pładrujących pruskich wojsk Fryderyka. Żywioł narodowy jest tutaj tak dalece nieobecny, iż walka Francji z Austrią, a więc przeciw Niemcom, jeduakże, od pierwszej chwili do ostatniej, jest prowadzona pospółu z Niemcami, najczęściej nawet pospółu z ogromną większością Niemiec. Jest to okoliczność niezmiernego znaczenia. Ona dopiero nadaje owej walce właściwe piętno, decyduje o całym jej przebiegu i ostatecznych wynikach. Obrócić Niemców przeciw Austrii, książąt niemieckich użyć przeciw monarchii habsburskiej, ta zasada staje się kamieniem węgiel-

nym polityki francuskiej. Zasada prosta, dyktowana przez najoczywistszy rachunek, okazała się jednak w praktyce obosieczną, w skazaniu zgubną. A mianowicie, przy jej stosowaniu polityka francuska miała się naprzemiany dwóch z gruntu odmiennych sposobów. Pierwszy polegał na tem, aby obrócić przeciw Austrii Niemcy rozstrzelone, utrzymywane w swem pierwotnem rozproszeniu plemiennem, dynastycznym i stanowem, jednoczone tylko w miarę potrzeby, przeciw Austrii, przez kierujący protektorat francuski. To była, w świetnych lecz przemijających przeblyskach, polityka Richelieugo, Dantona, Napoleona I, i jeszcze starego Thiersa. Ale obok niej rozwielmożniła się na stałe inna, wygodniejsza napozór i skuteczniejsza, polityka niemiecka Ludwików, Vergennes'a, Żyrondy i jeszcze Napoleona III. Polegała ona na tem, ażeby raz na zawsze oszczędzić sobie kłopotliwej fadygi zbierania przeciw Austrii drobnych państweczek i drobnych książątek Rzeszy, ażeby raz na zawsze przeciwstawić staremu rodowi i rozrzuconym dzierzawom Habsburgów jedną spólzawodniczącą dynastję, jedno dużej miary mocarstwo: młody dom Hohenzollernów, skupioną potęgę pruską. Skutki ostateczne tej polityki były nadzwyczajne. Z jej-to łaski istotnie wziął nareszcie koniec zatarg między Francją a Austrią. Zatarg odwieczny, odradzający się uparcie, nierozstrzygnięty przewagą orężną, ani uspokojony układem, nierozstrzygnięty pod Pawią i Marengo, nieuspokojony w Wersalu i Schoenbrunn, został nareszcie usunięty z akt dziejowych dzięki interwencji strony trzeciej, dzięki onej interwencji pruskiej, rozmyślnie powołanej przez Francję, zdecydowany pod Sadową i Sedanem, ubity w Pradze i Frankfurcie. Późno odczuła Francja takie skutki swojej polityki, której inne skutki wcześniej odczuła wszystka pozostała Europa, zaś odczuli najwcześniej wszyscy pozostali przyjaciele i sojusznicy francuscy. Musieli oni nie tylko nałamać się do antagonizmu Francji względem Austrii; musieli nadto znosić konsekwencye opieki, roztoczonej przez Francję nad Prusami. I ten mianowicie drugi serwitut przyjaźni francuskiej okazał się dla wszystkich zaprzyjaźnionych z Francją narodów nieskończenie uciążliwszym od pierwszego. Gdyż jeśli można jeszcze w polityce znaleźć kompromis w stosunku do wroga naszych przyjaciół, chociaż-by naszym nie był, — przecież względem ich przyjaciela, skoro naszym jest wrogiem, kompromis jest niepodobieństwem. Doświadczyli tego na sobie wszyscy sojusznicy i przyjaciele Francji, bez różnicy, czy to wewnątrz Niemiec, czy po-za ich granicami, Szwecya czy Dania, Saksonia czy Hanower. Najdotkliwiej doświadczyła Polska.

Z innym albowiem antagonistą, niż Francya, a dużo wcześniej, zetknęła się w Niemczech Polska. Sam do niej przyszedł, nie sąsiad nawet, obcy zdaleka przybysz, w białym płaszczu mniszym, z czarnym krzyżem na napierśniku, ze zdumiewającą energią i zdumiewającą bezwzględnością, zahartowaną na kaźniach sycylijskich i saraceńskich rzeziach. Przyszedł z Niemiec: wszakże pod żadnym względem nie mógł uchodzić za uosobienie Niemiec, które wtedy zapatrzone były gdzieindziej, nie na surowy wschód, skąd same były wyszły, gdzie nie miały czego szukać, mając jeszcze podostatkiem miejsca u siebie w domu, lecz na szczęśliwe południe, dokąd je ciągnęły starodawne tradycye, piękniejsze miasta, czystsze niebo, dokąd wzywały nagłące wołania Danta i Petrarcki, gdzie tyłu pochowały swoich, gdzie podziśdzień w ziemi klasycznej spoczywa kilku największych ich cesarzów. To parcie ku południu było pierwotną, powszechną, żywiołową dążnością duszy germańskiej; parcie ku wschodowi było czemś sztucznie wszczepionem, wyjątkowem, co najmniej przedwczesnem. W rozprawie śmiertelnej, ciągnącej się przez przeszło pięć wieków między Polską, a mistrzem krzyżackim, brandenburskim elektorem, królem pruskim, prawdziwe Niemcy niemieckie stroną nie były. Niewiele one zrazu baczyły na pierwsze wysiłki i przewagi krzyżackie; później obojętnym były świadkiem porażki Zakonu, obojętnie dopuścili upokorzenia elektorstwa, bez żadnej wreszcie sympatyj przypatrywały się nieprzewidzianemu odwetowi, jaki wziął ostatecznie czarny orzeł królewski. W XV wieku stany pruskie, kwiat niemieckiego mieszczaństwa, podają rękę koronie polskiej dla złamania krzyżackiej potęgi; i Zakonem, z nóg zwalonym, opiekuje się nie jego suzeren, cesarz, lecz papież. W XVI i XVII stuleciu już się zatarły w pamięci dawne ambitne zamiary na Węgry i Czechy, niegdyś żywione przez pierwszych Jagiellonów; i w znośnych stosunkach z domem cesarskim Habsburgów pozostaje Rzplta, kiedy stawia nogę na karku margrabiego brandenburskiego. W XVIII wieku, król polski, w charakterze elektora Rzeszy, podwakoć, w drugiej wojnie szląskiej i siedmioletniej, jest czynnym sprzymierzeńcem dziedziczki cesarskiej w zapasach z królem pruskim, do których usiłuje wciągnąć Rzpltą; i prawie do samego końca cesarz niemiecki, Habsburg - Lotaryńczyk, będzie interesownym protektorem i zazdrosnym doradcą Rzpltej przeciw koronie Hohenzollernów. A tymczasem elektor brandenburski już od początku XVI wieku, t. j. od pierwszej chwili, kiedy poczyna gotować się do zagarnięcia spuścizny zakonnej, kiedy zatem podnosi się bezpośrednio przeciw interesom

Rzpltej, staje się jednym z najważniejszych, pielęgnowanych najtroskliwiej, sprzymierzeńców Francyi. Staje się nim w tej samej chwili, kiedy Francya, w przededniu pierwszego potężnego starcia z Austryą, wybuchu rywalizacji między Franciszkiem I a Karolem V, po raz pierwszy sięga po przymierze polskie, kiedy, za ostatnich Jagiellonów i Walezycy, dokonywają się pierwsze próby ścisłego przeciw Habsburgom złączenia Rzpltej polskiej z monarchią francuską. Najrzęczniejszy agent i powiernik Franciszka trzykrotnie odbywa drogę z Paryża do Krakowa, przynosi Zygmuntowi ponawiane projekty aliansu, narzuca propozycje małżeńskie dla małoletnich synów obu monarchów, szczegółowo traktuje o posagach i wyprawach, zaś na stronie przekupuje pierwszych dygnitarzy koronnych ¹⁾. Lecz zanim tego rodzaju starania rozpoczął u Zygmunta, miał już Franciszek zawarty potajemnie alians z elektorem Joachimem; zanim prosił o rękę księżniczki polskiej dla delfina, miał już w sekrecie spisaną umowę przedślubną między księżniczką francuską a kurprinzem brandenburskim. Oprócz samych obietnic matrymonialnych, na wszystkie strony rzucanych dla przynęty, i oprócz dukatów na cele przekupstwa, król Francyi nic nie znalazł do ofiarowania Polsce. Cesarz ofiarował jej przynajmniej jedną rzecz realną, — obojętność dla losów Zakonu. Skutek był do przewidzenia: Zygmunt z cesarzem się ułożył, pożądana dywersya z Polski nie nastąpiła, Francya uległa, — i oto okazało się, iż nic na tem nie straciła Rzplta, stracił wróg jej najgorszy, Zakon. Bezpośrednim echem porażki króla Francyi na równinie lombardzkiej był hołd, złożony przez mistrza krzyżackiego na rynku krakowskim; i dzisiaj pruski historyograf „Polityki pruskiej“ słusznie nad bitwą pod Pawią kładzie napis „katastrofa“: była nią dla Prus klęska francuska, dla Polski habsburska przewaga była wygraną. Takim-to sposobem, zaraz u wstępu stosunków ściślejszych pomiędzy Francją a Polską, zamiast mniemanej harmonii interesów wzajemnych od strony niemieckiej, wynurza się, jak rzekliśmy, uderzający rozdźwięk polityczny, który aż do końca brzmieć nie przestanie i zgubnych objawiać skutków. Zaś jednocześnie, zaraz u wstępu, wyłania się zupełnie błędna w zasadzie, zupełnie w praktyce chybiona, metoda traktowania rzeczy polskich przez politykę francuską. Owa metoda polega w zasadzie nie na dążności do usunięcia albo złagodzenia tamtego rozdźwięku, lecz na prostej onego negacji, nie na wejrzeniu w istotne interesy państwowe polskie i po-

¹⁾ Wydawca „Instrukcyi dla Polski,“ p. Farges, miesza missye Rincona i Langeaca, — idąc śladem p. de Noailles, którego wprowadził w błąd Niemcewicz i Charrière.

godzeniu ich, zharmonizowaniu z francuskimi, lecz na ślepej obojętności dla pierwszych i bezwzględnem ich podporządkowaniu nietylko drugim, ale nawet interesom innych sprzymierzeńców Francyi; polega w praktyce na zbywaniu wszelkich trudności sposobem ubocznym, przez przekupstwa, przez swatania, przez kandydatury. Zamiast związać się z Rzplłą i ją do siebie przywiązać, Francya umyśliła ją kupić, poślubić, odziedziczyć.

Gdybyż przynajmniej do takich chociaż-by sposobów włożono głębszą świadomość, iż są to tylko małe środki dla osiągnięcia wielkiego celu, gdybyż przynajmniej jęto się ich z pełną rozważą i konsekwencyą w takich mianowicie chwilach, kiedy istotnie po temu mogła się nadarzać pomyślna sposobność. Najpomyślniejsza, zdało-by się, tego rodzaju okazy nadarzyła się nader wcześnie. Krótco po wzmiankowanych niefortunnych próbach spojenia przyjaźni polsko - francuskiej, podjętych w pierwszej połowie XVI wieku, zaszedł wypadek, który, czyniąc przełom fatalny w dziejach Rzpltej, zdawał się otwierać najświetniejsze widoki francuskim na Polskę rachubom. Ród Jagiellonów wygaś. Dzieje tej szlachetnej dynastyi, wyrwane najdowolniej z całości społecznych dziejów europejskich, z najdowolniejszą ignorancją społecznego stanu rzeczy na całym Zachodzie, na Węgrzech, w Czechach, Niemczech, Szwecyi, Anglii, w najmonarchicznniejszej nawet Francyi, jeszcze aż do XVII wieku skazanej na najgroźniejsze przesilenia antymonarchiczne, — nadużywane bywają jako argument dla udowodnienia rzekomej niezdolności polskiej do nagięcia się do trwałych i zdrowych rządów monarchicznych. W rzeczywistości, dzieje tej dynastyi niezbitcie świadczyły o wyjątkowej do takich rządów zdadności, o wyjątkowem oraz uzdolnieniu assymilacyjnem narodu polskiego. Obca wiarą, mową, obyczajem, nawet rasą, przez szczęśliwy a bezprzykładny akt rozumu stanu, powołana do rządzenia narodem wrogim, potężnym, cywilizacyjnie nieskończenie wyższym. przez dwieście lat tylko cztery wydała generacye, w gorączkowym pośpiechu przebiegłszy wszystkie fazy rozwoju, jakie pradziada, krzepkiego barbarzyńcę, dzieła od wydelikacanej postaci bezdzietnego prawnuka; zaś w warunkach, tak wyjątkowo niepomyślnych, przecież potrafili żyć się duszą z narodem Jagiellonowie, mimo wrodzoną predylekcyę dla swojej starej Litwy, i naród z nimi się żył i zrósł, mimo burzącą się w nim żyłę anarchiczną. Gdy ich nie stało, poczuł wielką pustkę; zaraz jednomyślnie zwrócił się do Europy po nowego pana, i wziął go od

Francyi. Chwila była epokowa. Szereg monarchów, których wzięto z obcego gniazda, a z których żaden nie był wielkim. — stał się sercem narodu, utrzymał faktycznie dziedziczość korony, uczynił Polskę pierwszorzędnym mocarstwem. Utrwalić tę potęgę i uczynić ją rządną, tak wspaniałe zadanie zdawało się być godnem syna świętego Ludwika, bratanka Filipa Pięknego. Jeśli poprzednio cesarz, sadowiąc się w Hiszpanii, był osaczył Francję; teraz, zdawało się, Francya, sadowiąc się w Polsce, zajęła po-nad głowę cesarstwa posterunek niezwalczony, skąd wyforować się nie da, którego utrwalenie i wzmocnienie uczyni odtąd pierwszym zadaniem swojej polityki. Punkt zwrotny, zdawać się mogło, następował w dziejach Polski, Francyi i Europy.

Stało się, iż zamiast wielkiego aktu historycznego, odegrała się farsa, której przegrywka, przebieg i zakończenie, doskonale dopasowane, na jedyną w swoim rodzaju złożyły się całość. Henryk Walezy trafunkiem dostał się na tron polski. Medyceuszka wprzód po całym świecie szukała korony dla ulubionego syna, kolejno myślała go wynieść na wojewodę Transylwanii, księcia Medyolanu, króla Anglii przez małżeństwo z Elżbietą, króla Szkocyi przez małżeństwo z Maryą, w końcu bodaj na de ja algierskiego; kiedy wszystkie te plany chybiły, kiedy nawet u Porty nie dało się wyprosić tytułu księcia piratów, lennika sułtana, zdecydowano się, w braku innej, wziąć jejdyną wakującą koronę polską, o której już wcześniej przemyślano ¹⁾. Takie były początki kandydatury andegaweńskiej; sama negocyacya godną była tych początków. Nie było rzeczy, której nie przyrzekli-by Stanom polskim pełnomocnicy francuscy: katolikom biskup, noszący katowskie nazwisko „rzeźnika“ Monluca, obiecywał zgromienie herezyi, heretykom obiecywał tolerancję; ponieważ wiedział, że wyborcy przywiązani są do krwi Zygmuntońskiej, święcie przyrzekł, iż elekt pojmie przekwitłą Jagiellonkę, choć był pewien, że kochanek pani Châteauroux i Maryi Clèves nigdy na to zgody nie da; ponieważ widział, że pić lubią, nie omieszkał w faktach urzędowych zapowiedzieć przywozu dobrych win francuskich. Krótkie rządy elekta godne były takiej negocyacyi. Pamiętnikarze francuscy opisują króla Henryka na zamku krakowskim, jak udaje chorego, tygodniami leży w łóżku, wdychając za Paryżem, pisując krwią zamiast inkaustu czułe epistoły do księżny Condé; polscy ukazują go, jak zasiada w senacie milczący, znużony, apaty-

¹⁾ „Ce projet formé vers 1571,“ pisze p. Farges; jednak z nowszych poszukiwań de la Ferrière'a okazuje się, że z tą myślą wystąpiono już w roku 1566.

czny, słowa nierozumiejąc rozpraw. „Słyszano, jak się zaklinał, powiada Piotr Mathieu, że wolał-by żyć niewolnikiem we Francyi, niż w Polsce królem.“ Za przykładem pana, jego otoczenie francuskie daje swobodne ujście pogardzie dla nieokrzesanych Sarmatów; jego ulubieniec, sprorny pisarz „Psalmów,“ co znajdował natchnienie do opiewania królewskich kochanków, Polsce barbarzyńskiej ciska obelżywe „Pożegnanie“ i zasłużoną bierze odprawę od wielkiego poety polskiego, który nigdy w Paryżu był się kształcił, poznał Ronsardów i Du Bellayów, inną był poznał Francję, niż ta, co z Henrykiem zjechała nad Wisłę. Nareszcie nastąpiło zamknięcie, godne takiego panowania. Nastąpił epilog nieprawdopodobny, niebywały, ucieczka króla. Ucieczka króla - Francuza, chyłkiem, w przebraniu, nocną porą, wprawdzie jeden raz jeszcze, jakgdyby z pomsty dziejowej, miała powtórzyć się w historyi, i obraz tamtej nocy czerwcowej w Krakowie z przed trzystu lat, dzwonów bijących na trwogę, tysiąca koni, cwałujących w pogoni za zbiegłym monarchą, wywołuje w pamięci inną noc czerwcową w Paryżu z przed stulecia: lecz co tutaj jest tragedją, tam było farsą, i kiedy Bourbon napróżno przed okrutną uchodzi fatalnością, ostatni Walezy szczęśliwie umyka, — że użyjemy dobitnych słów jego francuskiego dziejopisa, — „jak ulatnia się z gospody podróżny, co nie chce płacić rachunku.“ Niepospolita okazyja najhaniebniej została zmarnowaną, i, jak się okazało, zmarnowaną niepowrotnie.

Polska na razie mogła się pocieszyć. Po najędźniejszym ze swych królów elekcyjnych otrzymała najlepszego. Ale jeszcze przy następem bezkrólewiu Francya musiała być nieobecna, gdyż Henryk Batorego przeżył, nie przestawał tytułować się *rex electus Poloniae*, i pieczętował orłem białym i pogonią, Wzmogły się wpływy austriackie w zrażonej dla Francuzów Rzpltej. Wprawdzie kandydatury arcyksiążęce ostatecznie nie doszły. Ułatwione zostało natomiast powodzenie kandydatury domu szwedzkiego. Skutki stąd były nieobliczone, i jeśli zgubne były dla Polski, dla Francyi były zgoła niepomyślne. Nowa przegroda wzniosła się między polityką obu narodów. Dla pustego dźwięku korony gockiej, szwedzkiej i wandalskiej, wplątana została Rzplta w zabójczą wojnę dynastyczną z nową przyjaciółką Francyi, a zarazem musiała ściętnić stosunki z Austryą, przeciw której w tym samym czasie podnosił się oręż szwedzki, kierowany ręką francuską. Szwedzka polityka Francyi, podobnie jak jej polityka pruska,

obróciła się przeciw interesom polskim. Jedna, podobnie jak druga, sprowadzała się, koniec końcem, do forytowania bliższych, tymczasowych przeciw Austrii sprzymierzeńców w cesarstwie, jakimi byli Szwed i Brandenburczyk, kosztem odleglejszego mocarstwa, zdolnego zostać trwałym filarem systematu francuskiego w Europie, jakim była Rzplta. Z podwójnych więzów takiej polityki, obliczonej na zbyt krótką metę, nie potrafił wyzwolić się w jednym ani drugim kierunku nawet największy monarcha francuski czasów nowszych, pierwszy Bourbon. Usilnie za elektorstwem wstawia się u Stanów polskich Henryk IV, po kilkakroć polecające listy i posłów śle do Krakowa, „w imię osobliwego affektu, jaki zawsze żywiłem dla domu brandenburskiego“; zaś jednocześnie, do uspokojenia wojny północnej, ofiaruje się, zresztą bezskutecznie, z przychylną dla Szwecyi medyacją ¹⁾. Za jego syna podjął się tej samej medyacji, w tym samym duchu, największy francuski minister. Richelieu istotnie doprowadził do skutku między Polską a Szwecyą krótki rozejm, lecz po to tylko, aby Gustawa - Adolfa rzucić w wojnę trzydziestoletnią, do której rachował również wtargnąć Rzpltą. Powinni-by Polacy — tak zachęca kardynał króla Władysława — „odnowić słuszne do Szląska pretensye i wtargnąć tam ze znacznem wojskiem, do czego nigdy pomyślniejszej nie znajdą okazji, jak w chwili obecnej, kiedy potęga cesarza gdzieindziej jest zajęta, kiedy zatem łatwo im pójdzie zdobycie tej pięknej prowincyi, która im z prawa się należy i której ludność wyciąga do nich dłonie, dopraszając się pomsty za ucisk, doznawany od domu austriackiego.“ Takim-to sposobem Francya w XVII wieku, wprowadzając króla szwedzkiego w samo serce cesarstwa, króla polskiego usiłuje wprowadzić do Szląska, dokąd w XVIII wieku wprowadzi króla pruskiego, Fryderyka II, który bez żadnego tytułu dokona czynności zaborezej, jakiej, acz nie-najgorsze był-by miał tytuły, wolał nie dopuścić się Władysław IV. Że się jej nie dopuścił, dobrze się stało. Już Szwecyi nie wyszło na zdrowie wdanie się, z poręki francuskiej, w dalekie sprawy cesarstwa, gdzie wyczerpała siły, które powinna była zachować dla najbliższego, naturalnego swego nieprzyjaciela. Polska, szczególnie w owym okresie, kiedy punkt ciężkości jej polityki spoczywał na wschodzie, pomiędzy dwiema wojnami moskiewskimi, pomiędzy dwiema szwedzkimi, jeszcze

¹⁾ Zwracamy przy tej sposobności uwagę na zupełny brak wyczerpującego opracowania ciekawych z Polską stosunków Henryka IV, do czego mogły-by dostarczyć zajmujących przyczynków poselstwa Lablanque'a, Fresnes - Canaye'a i t. d.

mniej miała do roboty w cesarstwie. Sprzęgnąć ją, łącznie z Brandenburczykiem i Szwedem, przeciw Habsburgom, zwabić ją tędy tanią szlaską pokusą, do takiego tylko pomysłu wzniosła się polityka polska wielkiego kardynała. Zaś zawiedziony na tym pomysle, nie zdobył się na nic innego, jak na niegodny wybryk złego humoru, kiedy królewicza polskiego, Jana - Kazimierza, mijającego brzegi francuskie, rozkazuje pochwycić i z pogwałceniem prawa narodów w długiem trzymać zamknięciu. Z takiego też jedynie stanowiska, najwyłącznie mając na oku najbliższy interes francuski, zupełnie lekceważąc najżywotniejsze interesy, godność, samo istnienie Rzpltej, zapatrywała się naogół Francya na cały przebieg zatargu szwedzko - polskiego. O tyle tylko ją zajmował, o tyle tylko do pacyfikacji gotową była się przyłożyć, o ile-by stąd przybyły jej bezpośrednio, do sukursu szwedzkiego przeciw cesarzowi, nowe posiłki polskie. To też w rzeczy samej, z wyjątkiem jedyne go wypadku, że od kresów polskich oddaliła Gustawa - Adolfa, który był jej niezbędny dla zgromienia Wallensteina, przez cały przeciąg stuletnich blisko wojen szwedzko - polskich ani jednej realnej przysługi nie wyświadczyła Rzpltej. Owszem, podejrzewając ją o skłonności austriackie, jakkolwiek nie przestawała narzucać się jej z ofiarami przyjacielskiego pośrednictwa, w gruncie rzeczy uważała za użyteczne trzymać nad nią zawieszoną groźbę szwedzkiego oręża. Kiedy po zgonie pierwszej małżonki Władysława powstał projekt związku z Krystyną szwedzką, dyplomacya francuska, pozornie witając z aplauzem tę myśl zupełnego pojednania dwóch poważnionych państw i dynastyi, w rzeczywistości wszelkich dołożyła starań, ażeby jej wykonaniu zapobiedz. Nie mamy zapewne powodu żałować, iż zabójczyni Monaldeschiego, szalona przyjaciółka Descartes'a, nie została królową polską; lecz, bądź co bądź, zachowanie się Francyi w tym wypadku nader jest znamienne. Jeszcze znamiennejszem było zachowanie się Francyi wobec wypraw polskich Karola X. Mieniać się ciągle najżyczliwszą opiekunką Rzpltej, nie powstrzymała przecież ani opłacanego przez siebie Szweda od zdeptania Polski, ani płatnego również złotem francuskim brandenburskiego sojusznika od uczestnictwa w grabieży. Ograniczyła się do platonicznych morałów, do zalecenia zdobywcom względności i umiarkowania. Zresztą obojętnie patrzyła na ruinę Rzpltej, spokojnie brała do wiadomości szwedzkie projekty rozbiorowe i umowy podziałowe z Wielkim Elektorem. Nazajutrz po traktacie malborskim, stanowiącym o cessyi Wielkopolski na rzecz Fryderyka - Wilhelma przez Karola, kardynał Mazarini odnawia traktat sprzymierzeńczy ze Szwecją. Czy Polska będzie nadal istniała, czy też rozpołowiona będzie rządzoną ze Sztokholmu i Berliua, to zda-

wało się mało obehodzić Francję, byle elektor brandenburski oraz król szwedzki, uczyniony przez nią księciem Rzeszy, członkiem Związku reńskiego, wysługiwali się nadal dla zburzenia potęgi habsburskiej. Zbawiła się Polska własną mocą, z daleka przyszła jej z odsieczą flota holenderska dla uratowania Gdańska, przyszła z sukursem Austria, w końcu nawet elektor, zaprawiający się w zdradzie względem wczorajszych swych sprzymierzeńców i spółników: Francya ciągle była nieobecna, i stawiała się wtedy dopiero, kiedy była zbyt cenna; nie poniosłszy żadnego trudu, nie wywiązawszy się z żadnego obowiązku opieki, zjawiała się ostatnia po najpierwsze zaszczyty opiekuńczego superarbitra. Lecz nawet obejmując niezasłużone prezydium na naradach oliwskich, bynajmniej nie troszczyła się o samą istotę dzieła pacyfikacji, o przywrócenie steranej Rzpltej dobrodziejstw trwałego pokoju. Przeciwnie, w tym samym czasie, kiedy pośredniczy przy układaniu artykułów pokoju między Polską a Szwecją, już gotuje Francją nowy najazd szwedzki na Polskę, i niebawem formalnym traktatem tajnym zobowiązuje Szwecję, za sowite subsydia, do dostarczenia nowej armii napastniczej, którą niezwłocznie myśli rzucić na ledwo zmartwychwstałą Rzpltą, aby wprowadzić przemocą na tron polski księcia domu francuskiego ¹⁾.

Gdyż do przedstuletnich zachodów kandydackich, górujących w oplakany epizodzie obioru Walezyusza, a zatamowanych przez dziedzicność faktyczną domu szwedzkiego, skwapliwie powróciła polityka francuska, skoro tylko nowe po temu otworzyły się widoki za rządów bezdzietnego Wazy. Jej działanie i wpływy w Polsce, długo zaniedbane, naraz odżyły w stopniu, niebywałym dotychczas. Wystąpiła kandydatura Kondeusza, za nią, nieprzerwaną koleją, pociągnęły inne. Miarę odnowionych w ten sposób zabiegów elekcyjnych daje ta okoliczność, iż wcieleniem ich stały się i nadały im ton i kierunek dwie ko-

¹⁾ Rzeczywista data głównego traktatu, dotyczącego elekcji, jest 22 wrześ. 1661 (nie 19 wrześ., jak jeszcze podawał na tem miejscu p. Korzon, „Bibl. Warsz.“ 1892, 1895, CCVII, 153, CCXX, 228); z ratyfikacją, która miała nastąpić w terminie trzymiesięcznym, rozmyślnie przez ośm miesięcy wstrzymywała się Szwecya, aby uniknąć rozpoczęcia kampanii już na wiosnę 1662 r.

biety, osadzone na tronie polskim. Tym razem bowiem elekcji francuskiej miały utorować drogę małżeństwa francuskie. Pomysł nie był szczęśliwym, wykonanie było fatalne. Po jednym królu, który oddawał się nienaturalnej rozpuście, podarowała Francya Rzpltej dwie królowe, które nie ustrzegły swojej czci niewieściej; najprzód kochankę Gastona Orleańskiego, Kondusza, zapewne i Cinq - Marsa, potem niewierną żonę Zamoyskiego. Lecz o to jeszcze mniejsza, choć jest to rzecz głęboko upokarzająca. Ludwika - Marya i Marya - Kazimiera, tak skądinąd różne, jak tylko różnić się może duża ambicya córki krwi książęcej od małego sprytu koronowanej amantki z romansów panny Scudéry, oprócz wspólnych ułomności na punkcie cnoty, miały obiedwie przedewszystkiem tę cechę wspólną, iż jakkolwiek nosiły polską koronę, żadna z nich przecie nie była prawdziwie królową polską. Były i pozostały Francuskami, poddanemi Ludwika XIV, z ducha, z postępów, nawet z prawnego tytułu. Jedna, w najlepszych swych chwilach, kiedy ryczowała armatę na Szwedów, nie wniosła się po nad poziom ambitnych a lekkich bohaterek Frondy, pań Montpensier albo Lougueville; druga przez całe życie pozostała płaską Astreą; królewskości, mianowicie królewskości polskiej, nie nosiła w sobie żadna; i obiedwie też nieraz poniżyły godność monarszą i narodową swoich małżonków. Sprowadziły one niemalą klęskę na kraj, i tak dosyć skolatany, sprowadziły rządy kobiece. Po stu latach, spisując „Historję czasów swoich,“ brutalnie orzeka o Polsce Fryderyk Wielki: „rozum stanu w tem państwie zabrany przez spodnice, one wszystkich prowadzą i kierują wszystkim.“ Wiadomo, jak wyraźne a szkodliwe były wpływy kobiece na losy Rzpltej w okresie upadku, jak ostatecznie dopełniły zamieszania, osłabiły odporność, utrudniły odnowę; wiadomo, iż odtąd figurują niechybnie we wszystkich aktach oskarżenia przeciw upadłemu państwu. Otóż, należy pamiętać, iż jest to tradycya czysto francuska, przeszczepiona na obcy grunt polski. Królowe, przybyłe z Francyi, małżonki Jana - Kazimierza i Sobieskiego, potrafiły rządzić z całym fraucymerem i do rządów swoich wzwyczać naród; i tutaj wzięła początek i zatrute puściła korzenie niezdrowa tradycya obyczajowo - polityczna, utrwalona w hulaszczkiej epoce saskiej i za czasów szalonych ostatniego elekta. Tutaj też zaczerpnęła nastroju na całe stulecie dyplomacya francuska w Polsce, dyplomacya swatań, przekupstwa i bałamuctw, będąca na usługach polityki targów kandydackich i elekcyjnych knowań. Ludwika - Marya pragnie wydać dobrze za mąż siostrzenicę; poseł francuski ofiaruje jej do wyboru księząt: Este, Neuburg, Mercoeur; ale ona chce Longueville'a, i jeśli go nie dadzą, grozi wziąć habsburskiego arcyksięcia i otworzyć mu drogę

do tronu. Maryi - Kazimierze odmówił Ludwik XIV tytułu para dla starego grzesznika d'Arquien i doświadczył dotkliwych skutków jej urazy kosztem swego tureckiego sprzymierzeńca; ujmuje ją sobie, ofiarując królewiczowi rękę panny Condé albo panny Conti, zależnie od tego, czyjej ojca elekcya będzie poręczona. A oto pierwsza lepsza próbka samej techniki dyplomatycznej przy tego rodzaju robotach. Kiedy wypada jawnie poprzeć obiór Neuburga, Condé na jego rzecz formalnie zrzeka się swojej kandydatury listem urzędowym, przeznaczonym do rozpowszechnienia w Warszawie, pod adresem tamecznego ambasadora Francyi; zaś razem z listem odbiera ambasador poufne zlecenie ministerjalne, aby zręcznie puścił pogłoskę, iż list książęcy jest podrobiony przez stronników Neuburga: „dostrzeże pan zapewne, — dodaje minister, — iż dla uczynienia listu bardziej podejrzanym, umyślnie nie był pisany własnoręcznie, a że Książę często cierpi na podagrę, więc i podpis jest nieczytelny.“ Od tych matactw dziecinnych dyplomacyi z 1668 r. niedaleko do szarlatańskiej dyplomacyi „sekretnej“ z r. 1764, kiedy trzech agentów francuskich w Warszawie, bez najmniejszych widoków powodzenia, popiera jednocześnie cztery kandydatury. Naogół można powiedzieć, iż dla polityki francuskiej w Polsce, przez całe to stulecie, od połowy XVII do połowy XVIII wieku, z całego życia Rzpltej jakgdyby istniały tylko chwile bezkrólewia, ze wszystkich tutejszych interesów Francyi, jakgdyby tylko zostały się szanse takiego lub innego pretendenta. Do pięciu bezkrólewia, jakich jeszcze w tym okresie doczekała się Rzplta, wystawiła Francya tuzin swoich pretendentów, zaczynając od dwóch Konduszów, a kończąc na ks. Ksawerym i młodszym Contim. Ta stuletnia taktyka gonitw elekcyjnych kosztowała ogromne summy, rezultatów nie dała żadnych, zgotowała same upokorzenia. Po elekcie Walezym, który ze swojej stolicy polskiej był uciekł, ukazał się elekt Conti, który się do niej nie dostał, i elekt Leszczyński, którego z niej wygnano oboją przemocą. Ta taktyka osobistych kombinacyi, podziemnych intryg i jawnego przekupstwa, zniechęciła opinię publiczną, znieprawiała, rozbiła, wreszcie zniweczyła partyę francuską w Polce. Zwicnęła ostatecznie cele wytyczne polityki Francyi względem Rzpltej. Jak fałszywa polityka braudenburgska i szwedzka Francyi wyrządziła szkodę sprawie polskiej w Prusach i Inflantach i przyczyniła się do zachwiania z zewnątrz gmachu państwowego Rzpltej, podobnież fałszywa polityka kandydacka Francyi wywarła zgubny wpływ na najgłówniejsze sprawy domowe i przyłożyła się niepomalu do wewnętrznego rozkładu życia publicznego i urzędzeń polskich. Rząd francuski, wiecznie występując w imieniu różnych niedoszłych pretendentów, wszedł z natury rzeczy w stosunek ciągłej

nieprzyjaźni i spółzawodnictwa względem faktycznego rządu polskiego; zaś taki stosunek musiał koniec końcem odbić się fatalnie na stosunku Francyi względem samej Polski. „Należy przyjąć za zasadę—oświadcza Ludwik XIV. — iż nietylko są powody do niedowierzania królowi polskiemu ¹⁾, lecz iż istnieją jeszcze mocniejsze powody do niedowierzania samym folakom“. Goniąc bezustanku za wciąż umykającą się koroną elekcyjną, pokłócona ustawicznie z panującymi elektami, czy to Szwedem, Piastem, czy Sasem, którzy ten wyścig wygrali, Francya zupełnie ostygła dla narodu polskiego, zubożyła dla najpierwszych wymagań jego zdrowia, bezpieczeństwa, a nawet egzystencji. Ze środka uczyniwszy sobie cel, zgola utraciła z oczu jedyny swój cel istotny: trwałe zespolenie interesów francuskich z interesami zdrowej, bezpiecznej, nietykalnej Polski. Gdyż jasnym było, iż tylko od takiej Polski mogła się spodziewać dla siebie rzeczywistych korzyści politycznych. Tylko w Rzpltej rządnej mogła Francya odległy wpływ swój ustalić, tylko w zbrojnej mieć oparcie na drugim krańcu Europy; musiała nie dotrzymać bliższym wpływom sąsiedzkim w Polsce anarchicznej, od rozbioru bezbronnej musiała oczekiwać niebezpiecznego wywrotu równowagi europejskiej. A że zdrowie, bezpieczeństwo, byt Rzpltej na tem wielce zawisły, aby był w niej mocny, jednolity rząd monarchiczny, podniesiona powaga władzy królewskiej, ustalone następstwo tronu, — o to można było jeszcze się spierać na polskich sejmikach, lecz te prawdy, oddawna głoszone przez światlejszych statystów polskich, musiały być najoczywistszym pewnikiem dla rządu francuskiego, rządu Richelieugo i Ludwika XIV, dla państwa, będącego najdoskonalszym wzorem *absolutum dominium*, uosobieniem najskrajniejszych konsekwencji logicznych nowożytnego pojęcia monarchii nieograniczonej. I otóż ten sam rząd, to samo państwo systemacznie przykłada się do podkopania w Polsce tych samych właśnie zasad państwowości i rządzenia, na jakich samo stało. Gdyż cóż innego, jeślinie elekcyjność korony, poniżenie władzy królewskiej, spółzawodnictwo z istniejącym rządem, swobodny przetarg pomiędzy nim a opozycją możnowładztwa i szlachty, było głównym przedmiotem akcji politycznej w Polsce dla wszystkich ministrów francuskich, od Mazarinego do Choiseula, dla wszystkich posłów francuskich, od Lumbres'a do Paulmege? Dyplomacya francuska, która Janowi-Kazimierzowi przepisała godzinę abdykacyi, gotowała detronizacyę króla Michała, dopięła detronizacyi Augusta II-go, brała pod rozważę spro-

¹⁾ Augustowi II.

wadzenie abdykacyi Augusta III ¹⁾, wpłynęła na ogłoszenie detronizacyi Stanisława-Augusta, — w ogólnym wyniku, aczkowiek działała w zgoła innych intencjach, niż dyplomacya sąsiedzka, wzięła przeciw nie mniejszy udział, jak tamta, w zepsuciu najważniejszych instytucyi Rzeczypospolitej. Im bliżej ma się ku upadkowi, tembardziej uwidoczni się ta niespodziana jednakowość skutków, bez względu na różnicę pobudek. Skazówki Argensona dla Saint-Séverina i Castéry, reprezentantów francuskich w Warszawie, równie stanowczo oświadczają się przeciw naprawie rządu, przeciw aukcyi wojska, urządzeniu skarbu, ustaleniu successyi, jak skazówki Podewilsa dla pruskich, Wallenrodta i Benoita, jak Kaunitza dla austryackich, Swietenau i Mercy'ego, albo jak Panina dla rossyjskich, Kayserlinga i Repuina. Nareszcie Choiseul anarchię w Polsce wyraźnie proklamuje jako jedną z podwalin systematu francuskiego w Europie: „ponieważ anarchia polska jest użyteczną dla interesów francuskich, przeto cała polityka nasza w tym kraju powinna się ograniczyć do jej utrzymania.“ Maksyma takiego brzmienia. wygłoszona przez rząd Ludwika XV, a pod którą byli-by podpisali się z ochotą Fryderyk II, Józef II, Katarzyna II, streszcza ostateczny moral jałowych wysiłków dyplomacyi francuskiej w rzeczach polskich i stanowi dla niej bezwzględny wyrok potępienia. Że należy za wszelką cenę utrzymać anarchię polską, zawisłość tronu, rywalizację magnatów, niesforność szlachty, instytucye wolnego *veto*, wolnego *rumpo*, konfederacyi, że żadną miarą nie należy dopuścić odnowy konstytucyjnej, dziedziczności korony, pomnożenia siły zbrojnej, uporządkowania skarbu, — te kardynalne zasady polityki zwolna a niechybnie zabijającej, powinny były, zdawało się, zostać wyłącznym przywilejem najbliższych sąsiadów Rzpltej. Kiedy z temi zasadami zsolidaryzowała się Francya, dotarła do krańcowych wyników swojej krótkowidzącej, pełnej wewnętrznych sprzeczności, zamkniętej w błędnem kole polityki sukcesyjnej względem Rzeczypospolitej, dotarła do punktu, gdzie spotkała się oko w oko z wyrachowaną, konsekwentną, w linii prostej dążącą do celu, polityką rozbiorową trzech mocarstw sąsiedzkich: Prus, Austrii, Rossyi.

¹⁾ Starania, podjęte w Wersalu w r. 1759, aby skłonić Augusta III do abdykacyi w Polsce na rzecz ulubionego brata Delfinowej, wykryte i zniweczone przez Brühla, — przedmiot zupełnie nieznanu (z wyjątkiem tajemniczych wzmianek w Inventarzu papierów ks. Ksawerego oraz w Korespondencyi Fryderyka), obicujemy sobie kiedyindziej szczegółowo wyświecić.

Prusy najwcześniej i najzręczniejszym wyzyskały, jak ogólną politykę zagraniczną Francji w Europie, tak w szczególności jej politykę polską. Wskazaliśmy, jak urastały w cieniu protekcji francuskiej, przeznaczone dla zrównowżenia Austrii wewnątrz Rzeszy. Wprawdzie rychło mogła przeświadczyć się Francja, czego wypadało oczekiwać od sprytnego wychowanka pruskiego. Dwukrotnie, już na schyłku XVII w., w krytycznych dla niej chwilach, wojska Wielkiego Elektora i jego syna i następcy, wyekwipowane za pieniądze francuskie, zjawiły się nad Renem, pod dowództwem austriackim, naprzeciw armii Turenusza i marszałka Luxembourg. Dwukrotnie wówczas, wobec jawnej zdrady sojusznika brandenburskiego, pomyślano w Wersalu obrócić przeciw niemu naturalną jego nieprzyjaciółkę, Rzpltą polską. Ludwik XIV dwukrotnie ofiarował Sobieskiemu swoją pomoc dla odebrania Prus Książęcych, lenna polskiego, a nawet zawarto w tym duchu układ sprzymierzeńczy. Były to wszakże tylko chwilowe niesnaski w przyjacielskiem pożyciu prusko-francuskim. Wyrozumiałość Wersalu dla zbroceń politycznych Berlina była niewyczerpaną. Już w traktatach utrechckich Francja pośpieszyła uznać godność królewską Fryderyka I, tego samego elektora, któremu była zamierzała odebrać Prusy Książęce dla Polski, a który tymczasem, przyswajając sobie, wbrew słusznemu protestowi Rzeczypospolitej, nieprawny tytuł króla pruskiego, podarowany mu przez cesarza za zasługi, przeciw Francji położone, uczynił tem samem krok wstępny do zaboru Prus Królewskich dla Brandenburgii. Fryderyk Wilhelm I, wstępując w ślady ojca i dziada, rywalizację między domem Bourbonów i Habsburgów usiłował wyzyskać na swoją korzyść, przedewszystkiem kosztem Rzeczypospolitej. Doczekał się wojny o sukcesję polską, ofiarował naprzód swoje usługi Austrii przeciw Francji, potem wziął w opiekę Leszczyńskiego i zaofiarował swoje usługi Francji przeciw Austrii, warując sobie z góry zapłatę, nie gdzieindziej oczywiście, jak w Wielkopolsce: niestety, przespekulował, nie zarobił nic, pókój za jego plecami został zawarty. Z mocy pokoju wiedeńskiego, za cenę wyrzeczenia się prawego elekta polskiego, odzyskała Francja Lotaryngię, — jako dziedziczka króla Stanisława, z rąk polskich, kosztem polskim, odzyskała ziemię lotaryńską, którą niedawno, z mocy pokoju ryswickiego, wydarł jej elektor brandenburski pospołu z koalicją europejską, a którą po upływie półtora stulecia, na czele koalicji niemieckiej, raz jeszcze wydrze jej król pruski na mocy pokoju frankfur-

ckiego. Tak odległej przyszłości nie mogła przewidywać Francya czasów Fleurego; najbliższą przeszłość zupełnie puściła w niepamięć, skoro tylko odezwał się głos kusicielski Fryderyka II. Nastąpiła wojna o sukcesyę austryacką. Ale do ograbienia córki Karola VI nie chciała przyłożyć się Rzplita polska. Zaś z chwilą, kiedy August III-ci pogodził się z Maryą-Teresą, powstała możliwość, iż Rzeczpospolita obróci się przeciw grabieżcom, a przedewszystkiem przeciw inicjatorowi pruskiemu. Francya, mimo zdrady Fryderyka w wojnach szląskich, związana z nim, spólnictwem w Niemczech przeciw dziedzicze cesarskiej, związała się z nim również spólnictwem w rzeczach polskich przeciw królowi Sasowi, sojusznikowi cesarzowej. Pod kierunkiem pruskim, a przy najczynniejszej pomocy i za pieniądze francuskie, został zerwany sejm grodzieński r. 1744, jeden z najważniejszych sejmów XVIII stulecia, który miał więcej widoków politycznych, niż późniejszy konwokacyjny, więcej niż czteroletni, do uskutecznienia niezbędnej naprawy rządu. W taki sam sposób, dzięki spólnictwu prusko-francuskiemu, spełził sejm r. 1746. Dypłomacya francuska w Polsce stała się powolnem narzędziem rozkładowej polityki Fryderykowej; i jakkolwiek jasno uświadamia sobie jego zamysły „położenia ręki na Prusach Królewskich“, „zmniejszenia korony polskiej“, wszakże tymczasowo uznaje za stosowne „przedewszystkiem rozpraszać obawy, jakie Polacy przeciw niemu żywią“, ustalać owszem w nich przekonanie, iż „nie jest on mniej od nich zainteresowanym w nietykalności wszystkich praw i swobód Rzpltej“. I niepodobna wcale przewidzieć, jak daleko była-by zabrnęła Francya Ludwika XV na tej drodze biernego wysługiwania się i złej wiary, prowadzona na pasku przez Antymachiawela, gdyby, na czas jakiś przynajmniej, w nowym kierunku nie pociągnęła jej Austria.

Austrii stosunek względem Francyi, ciągle nieprzyjacielski, oparty na zakorzenionej tradycyi wzajemnych obaw, zawiści i spółzawodnictwa, jednakże, od początku XVIII wieku, poczynął ulegać pewnym wyraźnym zmianom. W najgłówniejszych punktach toczonej na Zachodzie walki, Habsburgowie ulegli. Od początku stulecia dla Francyi nie istnieją więcej Pyreneje, Bourbon po ostatnim Austryaku dziedziczy koronę hiszpańską; Bourbon również osadzony we Włoszech; Lotaryngia ostatecznie oderwana od cesarstwa. Kiedy Francya, skuszona przez Fryderyka, chciała pójść jeszcze dalej, i nietylko zabezpieczyć się od Austrii, lecz ją zniweczyć, zupełnego doznała zawodu: z wojny o sukcesyę austryacką zdradziecko wycofały się Prusy z łupem szląskim, Francya, opuszczona, ledwo obronną ręką z niej wyszła. I wtedy narodziła się myśl, iż zamiast przedłużać dalej, ku wyłącznej

korzyści pruskiej, szkodliwe dla obu stron zapasy z Austryą, byłoby dorzeczniej wejść z nią w porozumienie, i nagrodziwszy ją kosztem pruskim, zyskać od niej w drodze polubownej dalsze ustępstwa nad Renem i w Niderlandach. Ta myśl doprowadziła do słynnego „odwrócenia aliansów“ i do wojny siedmioletniej. Myśl, w zasadzie trafna, wykonana przez rządy margrabiny Pompadour, przez dyplomatów takich, jak Bernis, przez takich generałów, jak Soubise, sprowadziła ostateczną ruinę powagi francuskiej w Europie, oddała Francję na usługi Austrii, jak poprzednio Prus, rozwiązała Austrii ręce na Wschodzie, dokąd niebawem, ku sprawom tureckim i polskim, po nieudanej krucjacie przeciw Fryderykowi, zwróciło się spojrzenie cesarza Józefa. Miała nadto jeden jeszcze skutek pierwszorzędnej wagi. Francya, spokrewniona, sprzymierzona z Austryą, ściślej się sprzegła, sprzymierzyła formalnie z mocarstwem, z którym pierwiej już zbliżyła się za pośrednictwem Prus, z kolejnym sprzymierzeńcem Prus i Austrii — z Rosyją.

Rosyja ze wszystkich państw europejskich najdłużej i najzupełniej pozostała obcą Francji. Ze wszech miar uderzającą jest rzeczą, jak późno polityka francuska doszła do świadomości o roli dziejowej urastającego na wschodzie olbrzyma. We wszechogarniającym „wielkim planie“ Henryka IV nie było wcale mowy o caracie moskiewskim. Kiedy w czasie wojen moskiewskich za Wazów przybywali do Paryża posłowie od Wielkiego Księcia, „nie wiedziano zgoła, po co oni właściwie przychodzą, gdyż wszystko, co rozpowiadali wielomównie, pokazując jakieś dokumenty rossyjskie, polskie, łacińskie, zupełnie nie obchodziło nikogo na dworze francuskim i zaledwie było dostępnem zrozumieniu którego zabłąkanego awanturnika albo misyonarza. Że Wielki Książę moskiewski prowadził wojnę na najdalszych kresach Polski, to bynajmniej nie zajmowało króla Francji.“ Król wyprawiał listy ceremonialne pod adresem Michała Fiodorowicza przez dwanaście lat po śmierci tego cara, o której nie miał pojęcia. Ludwik XIV nie chciał przyjmować u siebie Piotra, Regent-sceptyk oglądał go dla rozrywki, jako godną widzenia osobliwość. Lecz nadeszła chwila, kiedy Francji wypadło po raz pierwszy zetknąć się bezpośrednio z potęgą rossyjską. Stało się to na ziemi polskiej. Stanisław, teść króla francuskiego, wyparty jest z Warszawy przez wojska Anny Iwanówny; poseł francuski więziony przez Münnicha; pod Gdańskiem, w obronie elekta Rzeczypospolitej, ginie od kuli rossyjskiej nieszczęśliwy Pléto z garstką marynarzy francuskich: pierwszy dług krwi, który rzetelnie będzie spłacony. A nie było to ostrzeżenie jedynem. Natychmiast po osadzeniu swojego elekta w Rzeczypospolitej, Rosyja uderzyła na

Turcyę; Münnich z Gdańska i Warszawy wprost obrócił drogę na Perkop i Chocim. Drugi to był cios dla polityki francuskiej. Klasyczna polityka Francji na mużułmańskim wschodzie, bez względu na chwilowe zboczenia, jakim ulegała zarówno za Sullego w XVI wieku, jak za Polignaca w XIX, naogół niezrównaną okazała konsekwencyę i jednolitość. Francya oddawna była się wyrzekła gorliwości krzyżowniczej Froissartów i Villehardouinów, i pierwsza wśród mocarstw chrześcijańskich pozbywszy się uprzedzeń przeciw niewiernym, obsługiwana nad Lewantem przez szczęśliwie dobrany poczet najdoskonalszych swych dyplomatów, zyskała w Porcie pierwszorzędną podporę dla utrwalenia swojego stanowiska w Europie. Drogocenna, tradycyjna przyjaźń padyszacha stała się jedną z najgłówniejszych podwalin potęgi i bezpieczeństwa króla Arcychrześcijańskiego. A była to zarazem okoliczność wielkiej wagi, i zewszecmiar pomysłna, dla akcji francuskiej w Polsce. Gdyż te same pobudki rozumu stanu, które Francję skłoniły do stałej przyjaźni z sultanem, wyrobiły w Polsce, mimo ciężkie przeprawy, jakie miewała z półksiężycem, tę zasadę naczelną polityki, iż należy ograniczyć się do koniecznej obrony od Turcyi, dążyć do utrzymania z nią pokoju, a nawet przymierza. I jakkolwiek niejednokrotnie sprzeniewierzano się tej zasadzie, a zawsze z obcej zachęty i narażeniem się własnem, przecież pozostała ona skazówką wytyczną dla lepszych mężów stanu, świątelszych kierowników opinii publicznej, ogromnej większości narodu. Nad pobudkę wojenną porywczego Orzechowskiego przekładano roztropną miarę głębszego statysty, jakim był Modrzewski, trzymano na wodzy popędy odwetowe albo zdobywcze: to też zawsze z osobliwszym respektem brano do wiadomości powagę głosu francuskiego u Porty i wiele stąd sobie wrożono korzyści. Zupełnie na opak rozumiejąc te stosunki, dzisiejszy historyk i minister francuski wyraża przekonanie, jako-by jednym z kardynałnych szkopułów, niedopuszczających zgody interesów francuskich a polskich, był zaślepiający Polaków „zapal rycerski, gorączka krzyżownicza, nienawiść dla poganina“, fanatyczna zapalczliwość do wypraw tureckich, oczywiście wprost przeciwna całemu realistycznemu kierunkowi tureckiej polityki Francji. Jest to tak dalece opaczne, iż raczej wprost naodwrot, taki właśnie, a nie inny, kierunek owej polityki i nadzieja zyskania za jej pośrednictwem trwałego pokoju z Portą, stanowiły główny argument partji francuskiej w Polsce, główny atut stronników elekcji Walezego, zarówno jak elekcji Kondusza, kiedy natomiast świadomość, iż polityka austriacka równa się antytureckiej, była jednym z głównych powodów zwicnięcia wszystkich kandydatur habsburskich, od arcy-

księcia Ernesta aż do Karola Lotaryńskiego. Przez długi czas tutaj mianowicie, w rzeczach tureckich, spoczywała jedna z donioślejszych racyi ciążenia Polski ku Francyi, która tutaj mogła oddać Rzpltej doniosłe realne przysługi. Wiadomo, iż tej racyi nie wyzyskano, tej przysługi nie wyświadczone. Dyplomacya francuska nie oszczędziła Polsce i Turcyi ani jednego starcia, dopuściła, iż głowa wielkiego hetmana obnoszoną była na oszczepie po ulicach Stambułu, dopuściła, iż święta chorągiew proroka stała się zdobyczą hussaryi polskiej. Dwaj niefortunni pupile Francyi, osłabieni od ran, z których wiele najcięższych sami sobie wzajem zadali, jednemu przemożnemu przeciwnikowi razem niemocni są stawić oporu. Owóż, że takim wspólnym obu przeciwnikiem jest Rossya, że ona chce i potrafi zgnieść razem i Portę, i Rzeczpospolitą, to nie mogło ulegać dłużej wątpliwości, odkąd armie cesarzowej Anny stanęły jednocześnie nad Wisłą i Dunajem. Jednak polityka francuska nie wzięła zbytnio do serca tego podwójnego ostrzeżenia. W gruncie rzeczy w Wersalu i radach Rossyi niedoceniano. Przekonano się naocznie, podczas tułaczki Leszczyńskiego i podczas układów belgradzkich, iż jest potęgą; lecz mniemano, iż jest czemś w rodzaju ślepej potęgi tureckiej, i że na sposób tamtej snadnie sobą pozwoli kierować. Ustalono system przyjacielskich z Rossyą stosunków. Zarazem na wielką skalę, sposobem wypróbowanym w seraju, i nasamprzód ręka w rękę z Prusami, zainaugurowano kunsztowny system działań zakulisowych na samym dworze petersburskim. Śród tych arcymisternych kombinacyi, konszachców z Münnichem, katastrofy Birena, praktyk Lestocqa, niespodzianek Lachétardiego, korespondencyi tajnej Ludwika XV z Elżbietą, mniej sobie wazono, iż tymczasem w Rzpltej polskiej raptownie potężniały i pogłębiały się wpływy rossyjskie. Zaś odkąd, po „odwróceniu aliansów“ i zawarciu sojuszu francusko-austryackiego, weszła do niego Rossya, od lat dziesięciu złączona z Austryą przymierzem, — natenczas już zupełnie swobodnie, pod okiem Francyi, rząd rossyjski mógł obwarowywać swoją wszechwładzę w Polsce, gdzie rozpadały się ostatnie szczątki dawnego stronnictwa francuskiego, pozbawionego wszelkiej racyi bytu od chwili dojścia porozumienia francusko-austryacko-rossyjskiego. Objęcie rządów przez Katarzynę II, dokonany przez nią powrót do systematu pruskiego, podjęta w wielkim stylu polityka zagraniczna, dążąca do osiągnięcia najbliższych celów Rossyi na Wschodzie przez nacisk wywierany na najdalszym Zachodzie, do reszty zbiły z tropu dyplomacyę dworu wersalskiego. Zupełnie inaczej, niż z przyjaciółką Lestocqa i korespondentką Ludwika XV, wypadło liczyć się z przyjaciółką i korespondentką Fryderyka II. Katarzyna odrazu staje na zupełnie

niezależnem względem Francyi stanowisku. Nie waha się w piśmie własnoręcznem do dyktatora wolnej Korsyki dać ujścia swoim sympatyom dla walki republikantów korsykańskich przeciw najazdowi francuskiemu i dodać im gorącej zachęty, aby do ostatka „opierali się obcej przemocy, bronili i uratowali od niesprawiedliwej uzurpacji ojczyznę“¹⁾. Zarazem łamie ostatni opór konfederacyi barskiej. Przystępuje do wojny eksterminacyjnej z Turcyą. Spóźnione są wtedy nieporządne wysiłki rzucającego się na wszystkie strony Choiseula, który upadającej Rzpltej z odsieczą posyła zrujnowaną Portę, wspomaga spóźnioną radą, trochę grosza i garścią awanturników, co za trzydzieści dukatów na miesiąc idą ginąć nienżytecznie na Podolu, albo kończą się na dalekiem wygnaniu. Rozluźniwszy aż do zupełnego zaniku łączność naturalną interesów swoich a polskich, kolejno związana łącznością sztuczną z Prusami, Austryą, Rosyą, nie związawszy z sobą żadnego z tych mocarstw, Francya pod koniec, w chwili decydującej, z założonemi rękoma jest obecną przy dokonaniu się ich związku pod hasłem pierwszego rozbioru Rzpltej.

Kiedy krótko przed pierwszym podziałem możliwość takiego rozwiązania, od lat stu zawieszona nad Rzplcią, rozważaną była na radzie gabinetowej w Wersalu, pierwszy minister francuski wygłosił zdanie, usankcjonowane obecnością francuskiego monarchy, iż „jest jeszcze nader wątpliwem, azali taki wypadek mógł-by obchodzić Francję“: *il est encore très douteux que cet événement pût intéresser la France*. To był, w rzeczach polskich, testament bankrutującej dawnej monarchii francuskiej, zaskoczony znienacka przez wypadki, których nie mogła nie przewidywać i które przewidywała istotnie. Pierwszy podział Polski przygotowany i dokonany został tak, jak gdyby królestwa Francyi i Nawarry nie było w Europie. Kiedy przyjdzie następny, już ono w rzeczy samej nie będzie istniało. Pomiędzy ścięciem Ludwika XVI a ścięciem Maryi-Antoniny spełniony zostanie drugi rozbiór Rzeczypospolitej polskiej, i Rzeczpospolita francuska, objąwszy spadek po Walezych i Bourbonach, doświadczy skutków ich polskiej polityki, zagnana do obrony własnego bytu przeciw koalicji mocarstw rozbiorowych. Nowa Francya, która nożem gilotyny przecina wewnątrz państwa łączność organiczną z przeszłością, — w rzeczach międzynarodowych, na widowni europejskiej, odziedziczy cię-

¹⁾ Katarzyna do Pasqu. Paolego, czerw. 1769, Zbiór Ces. Ros. Tow. Histor. X, 342 sq.

żary, a przecież niemocną będzie wyzwolić się od ducha starej Francyi, i sprawdzi swoim przykładem sprawdzone o tamtej orzeczenie głębokiego znawcy państw i narodów: *stimano tanto l'utile e il danno presente, che cade in loro poca memoria delle ingiurie o benefizii passati, e poca cura del bene o del male futuro* ¹⁾.

SZYMON ASKENAZY.

¹⁾ Machiavelli „Della natura de' Francesi“.

W WIELGIEM. *)

POWIEŚĆ.

VII.

Kawałek przed zachodem powróciły z chwastami Franciszkowa i Kasia. Obie przydzwigały je w płachtach: w większej staruszka, a w mniejszej dziecko, i na przedsieniu złożyły. Jakób, który wyszedłszy z chaty, zgryziony a markotny, po poletkach swoich jął się na razie tuż za stodołą kręcić, powędrował następnie aż na łąki gromadzkie, stan trawy sprawdzić na miejscu i porę košby oznaczyć. Łąki te, hen. po-za lasem, za leśniczówką, mieszkaniem Nowotnika, Borowcem zwaną, po nad brzegami rzeki Iłzanki leżały, dobre trzy ćwierci mili ode wsi, późnym tedy wieczorem, nocą zaledwie, mógł być Musiała z powrotem. Franciszkowa pustą zastała izbę, pustą komorę.

— Znowuj się kajś na wender wyprowadzili, — mruknęła, pewna, że wyszli razem, lecz niedaleko, bo drzwi otworem zastała, i wciąż już, jak to zwyczajem jej było, to do siebie, to do wnuczki zagadując, zabrała się do wieczornego po zagrodzie obejścia.

Dokoła babki, coraz to nowe odbierając od niej zlecenia, a bosemi wytupując piętami, to po izbie, to podwórzu, płowa jak len zmeđło-

*) Patrz zeszyt lutowy.

ny, kręciła się Kasia, wcale słuszna już dziewczynina. Ruchliwa a pojętna, raz wraz w oczy spoglądała babuli, która z miłością spojrzzeniami odpłacając się za spojrzenia, raz wraz na nieme odpowiadała pytania:

— A ino dziecko... Dobrze dziecko... A dyć tak wnusiu...

I rozpała Kasia ogień na kominie. popłókała u studni obrane już na wieczrę kartofle, przesiała i zaczęła mąkę na kluski, zebrała z garnka z mlekiem zsiadłem śmietaną, pomogła babce usiekany chwast do chlewu nosić, a gdy niebawem pastuch gromadzki nadpędził bydło i owce, z zapalem zajęła się zaganianiem ich do obory. Szła też robota rażno, i ledwo że się słońce schowało, po nastawieniu wieczery, z wiązką doborowego ziela pod pachą, w towarzystwie zawsze nieodstępnej wnuczki, co teraz niosła za nią skopek i stołek, wybrała się Franciszkowa spełnić ostatnie z zajęć „obejsia“: wydoić, poddawszy im świeżej trawy, dwie krowy. Kasia znów poskoczyła do sadu za pokrzywami i, z wiadomego sobie pod płótem miejsca zerwawszy ich garść sporą, garnek z kolka do izby przyniosła i szmatą go nakryła czyściutką, na szmacie zaś ułożyła pokrzywy, aby, gdy babka z mlekiem nadejdzie, precedzić je przez co miała.

Kończyło dziecko właśnie ostatnie to ze swoich zadań dziennych, gdy przez uchylone wrota, zamykając je za sobą starannie, wsunęła się na podwórze Kajtaniakowa. Plotek musiała nieść wiązkę świeżych, bo twarz jej pulchna i male zatopione w niej oczy błyszczały zadowoleniem. Rozejrzała się po zagrodzie, a nie widząc nikogo, ona, co we śnie chyba, i to nie zawsze, milczeć umiała, zagadywać ją do siebie, kierując się ku chacie.

— Powymierali, czy co?... Nikaj żywego ducha... Poroztwierane wszędy na przestrzał: i wrota... i chlewki... i chałupa... jedna ino stodoła zawarta... Musi chyba kto w izbie... — i wchodząc do niej, spostrzegła nareszcie Kasię.

— Jesteś dziewczyna?... A kaj to babka? — i nie czekając odpowiedzi, pytała dalej: — Kaj tatuś... Kaj matula się podzieli?..

Zajrzała do komory.

— Nie szukajta, niema tam nikogoj, — zauważyła Kasia i wystąpiła z objaśnieniami, przekraczającemi nawet granice stawianych jej pytań.

— Wicek — mówiła szybko piskliwym głosem, — do Kazanowa powioz żyto na razówkę, do młyna; babula doją ci krowy w obórcie, a tatuś i matula musi kajś wyszli, bo ich niema.

— Razem wyszli? — pytała dalej ciekawie baba, korzystając skwapliwie z nastreczającej się sposobności wybadania dziecka bez

świadków. Tak bo pragnęła dowiedzieć się czegoś bliżej o pozyciu Musiałów!

— Razem, abo nie razem, — trzepała Kasia, przybierając miny dojrzałej niewiasty. — Jakeśwa z babulą na chwast wychodzili pod księżę jezioro, to byli w izbie, a tera to ich niema, musi kajś poszli.

— Toś dziewczyna nie widziała, jak wyszli?

— A kaj-że bym ta z pola, aże od księżego jeziora, mogła co widzieć? Jakeśwa ino za stodołę wyszli, tośwa już nic nie widzieli.

Tu Kajtaniakowa, zbliżywszy się do dziecka, przyciszonym jęła mówić głosem:

— Słuchaj-no Kasiu, przyniosę ci z jarmarku piernika, ino mów dziecko prawdę: bijają tatuś matulę?

Gdyby już nie sama treść pytania, to sposób, w jakij je podano, zmusił-by do zastanowienia się nad niem dziewczynę, która z ust babki niejednokrotnie spotykała się z zakazam opowiadania ludziom, co się działo w chacie. Wytrzeszczyła też oczy na Kajtaniakową ze strachem, i czując że się tu coś niedobrego święci, po pewnem wahaniu, potrząśnięciem głowy przeczącą dała odpowiedź.

— A prawdę ino dziewczyna gadasz?— badała Kajtaniakowa.

— Aści prawdę...— szepnęło dziecko ze spuszczonej już oczyma, zbite z tropu, a za babką oglądające się na drzwi, i nagle wyskoczyła do sieni, z sieni na podwórze i wołać jęła:

— Babulu... babulu... a chodźta żywo, Kajtaniakowa przyszlil...

Niespokojna trochę popędziła Wojtkowa za Kasią, chcąc jej zalecić milczenie, lub jako zagadać sprawę; ale dziewczyna kręciła się teraz po podwórzu w kółko jak fryga i, przykucając od czasu do czasu, bawiła się w najlepsze rozdymającą się przytem, niby bania, spodnicą. Nie było co jej zaczepiać nawet, widocznie nie pamiętała już rozmowy.

A tymczasem i Franciszkowa ze skopkiem wyszła z obory.

— Kasial — zawołała po drodze. --- A idź ino dziecko po stołek i popłócz go u studni.

Zatrzymała się przed chatą, na „pochwalony“ Wojtkowej odpowiadając:

— Na wieki... — Ale nie zapraszała jej do izby, skopek z mlekiem postawiła na progu i bystro spojrziała jej w oczy. Krótko ją zbyć pragnęła w podwórzu. Bała się teraz języka Kajtaniakowej podwójnie. Wiedziała starowina i dobrze, że język ten i bez złej woli, dzięki jedynie niepohamowanej swej ruchliwości, nie szczędził-by nikogo, a tu w chałupie nie wszystko działo się najlepiej i nie było się czem

przed ludźmi chwalić. A nużby co podpatrzyła sąsiadka, podchwyciła. Bezpieczniej zawdy trzymać się od niej zdala, i przytrzymała ją na progu. Lęk ją ogarniał przytem, zali nie przynosi przykrej nowiny jakiej; spodziewała się jej zawsze od czasu powtórnego ożenku Jakóba, spodziewała każdej chwili sromu i zgryzoty.

— A skąd-że to idzieta? — zapytała.

Jak nakręcona, rozpoczęła Kajtaniakowa:

— A to lecę, — mówiła szybko — od Szarpakowej z końca, odnosiłam ci jej kawałtoko omasty, co mi nią bez tydzień temu wygodziła. Skaranie Boże, moja kumo, z temi chłopami... Kobita aże zawodzi, tak ci się znowuj schlał, jak nieboskie stworzenie... Leży ścierwo w komorze, a jęczy, okeż się po chałupie rozlega... Ino z kosą niby to wyszedł do klepania, a tera to i gdzie kosa nie wiadomo... Przepił musi, psia wiara, a bo co? Miała ci się niewiasta pytać Jukła... A dyć patrzajta ino, akuratnie leci drogą...

Szła nią rzeczywiście, biegła prawie, potykając się, jak pijana, z twarzą opuchniętą od płaczu, Szarpakowa, ratować przepitą kosę w przeddzień kośby, a w zaciśniętej dłoni przygotowaną na wykupniosła złotówkę.

Widok ten poruszył snać starą, bo zmarszczyła się, a potrząsając głową smutnie, mruknęła jakby do siebie:

— Oj gorzałka, gorzałka! — Na myśli Jakób jej stanął, Jakób, co nigdy dawniej nie przebrał miary, ale dziś, przy tym tam latawcu, czy mogła za niego ręczyć? Dawnoż-to z ciepielowskiego odpustu spity wrócił, jak bela, a ona, tamta, śmiała się ino i śmiała, póki ci go spać nie wyгнаła do stodoły. Choć to z nim razem przecie na odpust jeździła, a ustrzedz go nie umiała. Był tam podobno z nimi i ten „gajus“ Nowotnik, i Jasiak furmańczyk, co dziedzica woził do księdza, i widzieli, jak ci się ponoś gziła z chłopakiem, a swojemu to ino lała w gardło, co wlezie, aż ci go i załala. Musi tak jej trza było, bo że z tym Jaśkiem nieczysta, to nieczysta sprawa.

— Oj, gorzałka... gorzałka... — powtórzyła z westchnieniem, ale się i opamiętała: — Mój tam nie pijał nigdy, — dorzuciła pośpiesznie, w obawie, aby jej źle nie tłómaczono.

— Bogać tam, — podchwyciła żywo sąsiadka, — a dyć wiadomo, co Jakób najtrzeźwiejszy są gospodarz we wsi, — tu jednak nie mogąc przenieść na siebie, by zlekka nie zaznaczyć bodaj, że i ona coś przecie o odpuście ciepielowskim słyszała,

— A choć-by ta se, moiściewy,—od niechcenia dodała, a w wielce pobłażliwym tonie, — podchmielił czasem, to i trudno na kłódkę znowuj, nie przymierzając, chłopu gębę zamykać.

Wszystko to jednak przedwstępna było dopiero szermierką Kajtaniakowej. Z inną przychodziła tu wieścią, z którą się właśnie po wsi obnosiła. A ciekawą była okrutnie, jakie też u Musiałów sprawi wrażenie, i żałowała tylko, że ni Jakób, ni Magdzia słyszeć jej oto nie mogli.

— Ale, ale, moiściewy, — podjęła nagle, przechodząc do nowego tematu, podczas gdy Franciszkowa przybladła trochę i znów ją niespokojnem zmierzyła okiem, — a dyć była-bym na śmierć zabaczyła. Jasiek Górajczyk, ten ze dworu, od koni, żeni się z Nastką kowaliczanką — i zatrzymała się chwilę, śledząc wrażenie. Staruszka jednak, choć nowinie wielce rada, ani drgnęła, a Wojtkowa, zawiedziona, prawiła dalej:

— Podobno ci się do Kuczek, gdzie to dziedzic siedzi kawaler, aże pod Radom na stangreta całego zgodził, bo mu inaczej nie chcieli ojcowie dać dziewuchy. A i tak ponoś wymodliła go sobie sama, jako że to od roku, abo i więcej, ekeż oczów za chłopakiem nie zgubi. Wianna weźmie nikięj stu rubli i tę krasą jałówkę, co to ją kowalowa na wiosnę we Zwoleniu kupili. Wesele na po żniwa. Górajowa lata ci po wsi z językiem, a wszystkim ino o tym trefunku opowiada Jaśkowym, bo się to nikięj dzisiaj zrana rozbiło.

I znowu zapuściła sondę.

— No, no, moi ludzie, — po małym ciągnęła przestanku, — i kto by się to był spodziewał. A ja mówiłam se zawdy, jeszcze zanim to się wasz pobrali, co to z nich będzie para, z Jakóbowej nikięj i Jaśka...

I tym razem wszakże Musialina ani słówkiem myśli swoich nie zdradziła, Kajtaniakowa zaś przypomniawszy sobie, nareszcie nieobrane jeszcze na wieczkę kartofle, jęła się żegnać.

— A no ostanicie z Bogiem, kumeczko... Niech będzie pochwalony...

Od wrót jeszcze rzuciła pytanie:

— Kaj-że to Jakób z niewiastą? — i ogólnikową odebrawszy odpowiedź, że wyszli w pole, popędziła ku domowi, z mocnem postanowieniem nie wstępowania już nigdzie po drodze.

Franciszkowa weszła do izby z głową mocno nabitą Jaśkiem. O istniejącem podobno między Magdzą a chłopakiem kochaniu słyszała od Kajtaniakowej jeszcze, później starała się nawet sama, w nadziei, iż wpłyną na postanowienie Jakóba, o bliższe w sprawie tej wiadomości; nic się jednak stanowczego dowiedzieć nie mogła, pogłoski zaś Musiała zbywał lekceważeniem, mianując je bajkami ludzkimi. A skąd-że tu wziąć było dowodu? Już, już, zdało się, choć zapóźno, miała go w ręku, gdy z za przymkniętych wrót stodoły, w noc go-

dów błysnęły jej w miesiącu liberyjne guziki Jaśka, na usta zaś gorzki wybiegł jej uśmiech pewności nieszczęścia. Cóż, kiedy pewność trwała, niby ten błysk guzików, i rojem zwalczać ją wątpliwości jęły rozliczne. Przedewszystkiem tropiła ją obecność Nowotnika, a potem w czasie weselisk nie dziwota chłopak w tarni, bo i dziewczuch nie zawsze w izbiedoliczyć się można. Gdzie dowód, że Jasiak Magdzi w niej właśnie szukał? Że jak ona synowę z ojcem, tak oni jego nie zesłi? Wychodząc do stodoły, i Magdzię jeszcze zostawiła w chacie, i Nowotnika na przyźbie. Nie było tylko Jaśka, to pamiętała, a czy dziewczuchy nie brakło której, i przez myśl nie przyszło jej badać. Nie przypuszczała, iżby tak w dzień godów zaraz szukać się mieli po nocy i nie dopilnowała na razie. Później sposobności jej nie stało i sposobów, domysłami żyła jeno i przywidzeniem. Bywało, gdy coraz częściej powtarzać się zaczęły wycieczki Magdzi do dworu, a coraz dłużej przewlekać, chęć ją zbierała wyglądającemu powrotu żony Musiale, jakoby w jasnowidzeniu, wołać:

— Idź-że ty za nią, miasto tu wzdychać daremnie, idź niedołego za nią, a przekonaj się przecie, na własne przekonaj oczy...

I gdyby nie żal, jaki odzywał się w niej wtedy nad synem, zaślepionym aż do niedołęstwa w nawiści swojej, kto wie, czy nadzieja pozbycia się jako nienawistnej z chaty synowej nie była-by w niej przemogła tej hardej w honornej chłopce przed językami ludzkimi obawy.

Boć na języki te nie zważała, gdy, broniąc pokojówce wstępu pod strzechę, u proboszcza była cichaczem dwa razy, a raz we dworze, gdzie pańszczyźniane czasy przywodząc sobie na pamięć w potrzebie i dawną nad gromadą władzę dziedzica, całując go po rękach, prosiła, by nijak na ożenek z Magdzą nie dawał pozwolenstwa Musiale, a dziewczkę hen, za siódmą aż wyżenał granicę, coby jej we wsi oko ludzkie nie oglądało więcej.

Uległa w końcu i uspokoiła się pozornie, ale wrzało w niej wszystko. Wrzało wspomnieniem odniesionej porażki, wrzało obawą wpływu w chacie i przewagi młodej kobiety, wrzało widokiem próżniactwa i marnowania tak zawsze dotąd szanowanego grosza, wrzało przeczuciem, jasnowidzeniem nieledwie, wstydu i hańby, wiszącej nad głową syna, już dziś poteranego we własnej zagrodzie, a nadewszystko wrzało lękiem o przyszłość Kasi, tej ukochanej wnuczki, żrenicy oka, co sama jedna z pięciorga dzieci pierwszej żony Musiały, najmłodsza, na pociechę lat jej starych uchowała się zdrowo.

Podejrzliwa, nieufna, kamieniście uporna, pełna gospodarskiej dumy, a lekceważeniem przejęta i pogardą dla „przybłądy“, stara nawet w razie spotkania w synowej tylu cnót, ilu się w niej słusznie i niesłu-

sznie wad i zdrożności wszelakich dopatrywała, nawet w tym razie lat potrzebowała-by zapewne, aby się wyrzec uprzedzeń swoich i zapomnieć urazy, jakiej syn nieposłuszeństwem w wyborze żony stał się powodem. Ale ta żona nie przyniosła nic z sobą, prócz urody, marnej w oczach świekry, a trzymana od wszelkich zajęć domowych zdala przez chłopkę, zazdrosną o panowanie w chacie, do którego od pół wieku przywykła, i na grosz cheiwa do skąpstwa, darmozjadem stawała się jeno, wyzyskującym nagromadzone pokoleniami zasoby, zagrażającym bytowi a nawet dobrej sławie rodziny. Bo wspomnienie sceny owej za stodołą z dnia godów prześladowało ją ustawicznie, a podejrzliwość wrodzona, pobudzana wciąż tem wspomnieniem, jeden z głównych a nieprzemierzonych wstretów rodziła w niej i podtrzymywała do synowej. O stosunek z furmańczykiem podejrzewała ją ciągle, a jeno siła podejrzeń owych rosła w niej lub malała wedle okoliczności. Byle pozor, byle słówka starczyło, aby wątpliwość ustępowała pewności zupełnej; to znowu, pod działaniem osłabiającej ją niedostateczności zarzutów, do poziomu wątpliwości spadała; podejrzenie jednak i nieufność trwały niezmiennie.

Na wieść o energicznej odprawie, danej ogrodnikowi, czas krótki życzliwiej spoglądała na Magdzię, płynęło to jednak raczej z zadowolenia dumy, troskliwej o dobre imię Musiałów, nie zaś z przekonania do synowej.

— Spospolitowała ogrodnika, — mówiła sobie, — bo jakże go ci nie miała zwymyślać przy tantym — i zasługa kobiety nikła w jej oczach, szczęśliwy jeno względnie dla strzechy pozostawiając wypadek.

Tak i teraz. Na wieść o związku Jaśka z kowalczanką doznała pewnej ulgi, ale nie ukojenia, bo oto zrodziło się w niej przypuszczenie, jako smutki Magdzine, gniewy jej i sumowania, miały źródło w zdradzie kochanka. I cóż stąd za pociecha? Zabraknie Jaśka, znajdzie się kto inny, takiej tam gachów nie szukać, na gładkie lico łasych korcami, jej zaś starej strzedz jeno wypadało i bronić, co jeszcze ustrzedz się i obronić dało: Kasi, świętej ziemi kawałka, strzechy nad głową i tych pozorów dobrej sławy i imienia, co się hańbie nie pozwalała na ludzkie dostać języki. A gdyby ta tam jakaś przebrała miarę, wtedy i ona stara wyrzekła-by się pomiarkowania i zgody, i wstydu-by jawnego nie zniosła. Ufna w powagę swoją i władzy wierzyła święcie.

Dawno i ogień przygasł na kominie, i kluski rozmiękły na nic w mleku, i uraczona, wyjątkowo dla niej przyrządzonym specyalem, kartoflami suto co najprzedniejszą okraszonemi śmietaną, drzemała Kasia na przypiecku, a Franciszkowa, przy świetle lampki, zabierała się

już nawet do słania sobie i dziecku, gderając półgłosem na one „włóki“ Jakóba z żoną po nocach, niespokojna, gdzie-by się zaś tak długo zabawiać mogli, czy aby nie w karczmie może, gdy do izby weszła Magdzia sama.

Badawczem rzuciła w koło spojrzeniem, a spragniona i głodna, blaszanką z cebrzyka pod półkami napiła się wody, poczem sięgnęła po talerz fajansowy głęboki, łyżkę cynową, i zawsze milcząca, ze stojącego na kominie garnka naląła sobie zacierki, siadła na ławce za stołem i jeść poczęła.

Teraz dopiero Franciszkowa, która baczenie każdy jej ruch śledziła z pod oka, zdziwiona nieobecnością syna, spytała:

— Kaj-że się Jakób podział?

Nie przestając jeść, burknęła Magdzia:

— A czy ja wiem? cóżem to, nianka jego, czy co?..

Półuśmiechem, przekąsu pełnym, przyjęła stara odpowiedź, i dalej, zwolna, z przerwami, spokojnie a zdradliwie, z tym spokojem i podchwytliwością, które młodą kobietę do ostatnich granic zniecierpliwienia doprowadzały, jąla badać ją Franciszkowa i pytaniami zarzucać, widocznie z ukrytym celem.

— Kaj-że to znowuj, — rzekła po chwili — chodzili sama?

— Chodziłam, gdzie chodziłam, gdzie mi trza było i tyle. Nic nikomu do tego.

— Nikomu, jak to nikomu... A no pewnikiem we dworze, a może ino gdzie pode dworem byli, — ciągnęła stara — to i o nowinie slychali...

Magdzia pobladała. O jakiej-że to nowinie wspomina Franciszkowa? A jeżeli wspomina, to coś ją pewnie złęgo czekało. Co zresztą z pytaniem tem zrobić? Na pastewniku żadnej się nie mogła dowiedzieć nowiny. A nie znać jej, to może zdradzić się, przypuszczenie zrodzić w starej, że pode dworem nie była nawet. I chwyciła się kłamstwa.

— O żadnej nie slyszalam nowinie, — mruknęła, niepewna swego—do ojca, na Borowiec chodziłam.

Tu Franciszkowa, rozpoczęte porzucając słanie, zbliżyła się do stołu i zatrzymawszy się naprzeciw synowej, a bystro patrząc jej w oczy, rzekła:

— Jasiiek furmańczyk żeni się.

Mimo że z góry na przykrą przygotowana była wiadomość, a w rozmowach ze świekrą zawsze na bacności się miała, tym razem nie zapanowała nad sobą, i podniesiona łyżka z brzękiem opadła jej na talerz, a z ust mimowolne wybiegło krzykiem prawie:

— Z Nastką?

Tej samej chwili, okrzykiem onym i brzękiem łyżki zbudzona, na przypiecku Kasia, niby przez sen odezwała się nagle:

— A to pytali się Kajtaniakowa, czy tatuś matulę biją...

Zrozpaczona położeniem, załapawszy się samochcąc, pewna już bowiem umyślnego ze strony Franciszkowej podejścia, rozżalona do siebie samej, wzburzona nowiną i po nad wszelki wyraz zniecierpliwiona, nie wiedząc zgoła, co czyni, rzuciła się Magdzia ku dziecku, odezwaniam się jego do reszty wyprowadzona z równowagi, i wołając:

— Ty smarkulo... ty szczeniaku .. ty mi tu jeszcze przyganiać będziesz... — zanim z obroną wnuczce zdążyć Franciszkowa zdołała, chwyciła Kasię za ramiona i potrząsać ją nią z całej siły, aż uderzenia głowiny jej o ścianę głuchym po izbie rozległy się łoskotem.

Jednocześnie w drzwiach izby stanął Jakób i jak wryty zatrzymał się w progu. Magdzia na widok męża puściła dziecko, chwilę to na Musiałę spoglądając, to na świekrę, wahała się co począć, aż z głośnym, spazmatycznym płaczem, zatrasnęła się w komorze.

Teraz i Franciszkowa jakby oprzytomniała nagle, poskoczyła do dziecka, co z pierwszego ochłonąwszy przestraschu, zanosiło się w niebogłosy. Przysiadła obok wnuczki i z wyrazem namiętnego przywiązania tuląc biedotę do siebie:

— Cichoj Kasiu .. cichoj dziecko... cichoj wnusiu... — powtarzała, to całując ją, to głaszcząc po rozbitej głowinie, a guzów szukając na niej drżącą ręką.

A potem porwała się do syna.

— Słuchaj Jakób, ty ojciec — wołała, kurczowo zaciskając pięście, — ino mi ty dzieciny tykać nie dawaj, ino mi dziecka broń od krzywdy, bo pomsta ci i matczyne przekleństwo, i hańba, i zatrącenie... Słuchaj, dziecka niech mi ta tam nie tyka, od dziecka mojego wara, bo wieś całą na ratunek sprowadzę i świadków, kiej ty, ojciec, nad krwią dajesz się znęcać rodzoną...

A potem kręciła się po izbie, niby zwierz dziki w klatce, a z ust jej rwały się zdania:

— Cały odwieczyrz nie było jej znowuj w chacie... Na Borowiec, mówi, chodziła, aż do ojca... Przyszła zziąjana, zła, nikiem ten pies rozżarty, i skorom ci jej o zmówinach Jaśka furmańczyka z kowalcanką spomniała, a dziecko cosik musi bez sen mruknęło, nikiem nie-samowita rzuciła mi się na nie i tłuc ci je zaczęła, i rozbijać o ścianę, kieby drewno.. Nie w smak jej musi furmańczykowe zmówiny... Nastka jej chłopaka odbiła, co go u swojej trzymać chciała spodnicy... Galantąś se na jarmarku zmówił niewiastę... galantą... galantą...

I powtarzała w kółko „galantą“, zdyszana, kręcąc się między cebrzykiem a dzieckiem, któremu maczaną w wodzie szmatą jeją okładać głowę.

A Jakób? On jedno, jedyne słyszał tylko z ust matki chwyczone zdanie:

— Na Borowiec, mówi, chodziła, aże do ojca... — no, a on przecie z Borowca wracał właśnie, gdzie obejrzawszy łąkę, po drodze wstąpił do Nowotnika. Na leśniczówce dobrą zabawił chwilę, i jako żywo nie spotkał się na niej z Magdzą.

— Na Borowiec, mówi, chodziła, aże do ojca... — brzmiało mu w uszach dzwonem. Twarz krwią nabiegła, ruszył do drzwi komory, ale go coś przed niemi w miejscu wstrzymało. Wpatrywał się w nie chwilę bezmyślnie, chwilę znowu niby głuchy i niemy, z założonemi za siebie rękoma, chodził po izbie, aż napotkawszy przed sobą drzwi jej otwarte, bezwiednie wyszedł z niej milcząc.

Drugie już odzywały się kury; na łóżku, pod ścianą obrazami świętych zasłaną, spały już dawno Franciszkowa z Kasią, gdy boso, w bieliznie jeno, wysunęła się Magdzia z komory i cicho, na palcach, na podwórze wymknęła.

Szła do stodoly za mężem i uśmiechnięta, pewna siebie, pocałunki niosła mu na zgodę.

VIII.

Około południa nazajutrz, z workiem mąki a drugim otrąb, zajechał przed zamknięte wrota zagrody Wicek; zatrzymał konie i zeskoczywszy z wozu, jął je otwierać, ramieniem unosząc po nad spodem w ziemię wbity kołek, gdy od chaty, na której przyźbie siedziała właśnie okok wygrzewającej się na słońcu babki, porwała się z radośnem wołaniem Kasia:

— Wicek przyjechał ze młyna... Wicek przyjechał..

Skoczyła do wrót i pochwyciwszy je od wnętrza z wielkim wysiłkiem pomogła niby to odsunąć je chłopakowi, stękając przytem pocieszenie, poczem przystanąwszy za niemi, z widocznem weselem na twarzy, przyglądała się ciekawie przejazdowi wozu w podwórze, na które Wicek skręcał, kierując końmi. Mijając dziecko, nieznaczny ru-

chem dobył z zanadru trzygroszową, w opaskę kolorowego papieru oplecioną, paczkę pierników i podał ją dziewczynie.

— Naści — rzekł — kiejś wrót pomogła otworzyć.

Spojrzeniem pełnem nieograniczonej ufności i przywiązania podziękowała Kasia za gościniec, szybko wsunęła pierniki za rozchyloną na piersiach koszulinę i z wielkim zapalem, jakby się poczuwała do obowiązku zamknięcia ich, chwyciła wrota oburącz, ale ich z miejsca ruszyć nie mogła.

Wicek zatrzymał znów konie, chwilę z uśmiechem przyglądał się daremnym wysiłkom dziewczyny, wreszcie, zbliżając się do niej, zapytał:

— A co dasz, to pomogę?.. Dasz piernika?..

Bez namysłu sięgnęła Kasia w zanadrze i, milcząc, całą podała mu paczkę.

— Schowaj Kasia, schowaj la siebie, ja tak ino, bez żart mówilem, — rzekł, odsuwając zlekka wyciągniętą ku niemu rękę dziecka. Zamknął wrota, a gdy do koni wrócił, by je poprowadzić dalej, Kasia siedziała już na worku z mąką, zajadając pierwszego piernika, ostrożnie z pod opaski wysuniętego.

Tak zajechali przed chatę. Uchylając kapelusza, pochwaleniem Chrystusa powitał Wicek Franciszkową, zdziwiony niezwyuczajnem jej o tej porze wygrzewaniem się na słońcu, i spojrzał na starą uważniej, zali to nie choroba może na bezczynność ją skazywała. Prócz wielkiej jednak surowości w twarzy i oczach, nie dostrzegł nic niezwykłego; jął jej tedy, jak zawsze, liczbę podawać odsypanych na młewo miarek, utyskując na chciwość młynarza Joska, któremu z wielkim targiem jedną zaledwie miarczynę urwać potrafił, i opowiedziawszy następnie, jak długo ze zbożem swojej musiał czekać kolei,—po dłuższej bowiem suszy i naprawie pogródek, zerwanych następnie nagłym przyborem wody, z mlewem kto żyw domłyna walił,—zapytał wreszcie, widząc, że się Franciszkowa z miejsca nie rusza, czy znosić ma worki z wozu, czy na klepisko jechać z niemi do stodoły.

Staruszka, co w pierwszej chwili, zdało się, słuchała go uważnie, zwłaszcza gdy o miarkach odsepu mowa była, roztargnione już tylko potem zwracała na niego oczy, i dopiero zapytana wprost, ocknęła się niby nagle, ruchem niecierpliwym w bok się odsunęła i z gniewem prawie rzekła:

— Idź do gospodyni... Pani gospodyni się pytaj, Jakóbowej... Ona tu rządzi...

A gdy Wicek, nie zrozumiawszy na razie o co chodzi, stał przed nią dalej z pytaniem w oczach, zachnęła się:

— A no, nie słyszysz?.. Pani Jakóbowej się pytaj... gospodyni... Ja tu nic nie znacząca, — i skuliwszy się tak, że brodą sięgała prawie kolan, mruknęła jakby do siebie: — Mnie już z kijem, pod kościół... W świat z sakwami na dziady... Ja tu nic nie znacząca...

Chłopak osłupiał. Spojrzał na Kasię, ale ta najspokojniej do drugiego zabierała się teraz piernika, zwyczajnie dziecko, cała nim wyłącznie zajęta. Franciszkowa zaś, w ziemię wpatrzona, jakby go nie widziała. Stał jeszcze chwilę wystraszony jakiś, niepewny, wreszcie zdała już zdjawszy kapelusz i mnąc go w rękach, ruszył do chaty, skradając się do niej, jak złodziej.

W izbie przy kominie warzyła strawę Magdzia, wesola, swobodna, rumiana od ognia, jak wiśnia, Jakób zaś, z fajką za stołem, wsparty na rękę, niby po deszczu wypogodzone niebo, siedział pogodny.

Pokłonił im się Wicek od proga.

— Mliwo przywiozem — rzekł. — Kaj z workami? Franciszkowa nie wiedzą...

Z za stołu podniósł się Jakób.

— A no, Franciszkowa nie wiedzą — odparł — bo jej się też wiedzieć nie patrzy. Wiedzący to ja, nikiem gospodarz i nikiem niewiasta moja, gospodyni, wiedząca. Rozumiesz?

— Rozumiem — mruknął chłopak, nic a nic nie pojmując, co się stało, zupełnie zbity z tropu.

— Pódzi... zuiesiewa workil

Machinalnie, przez pół jeno świadom czynów swoich i mowy, nosił Wicek z pomocą Musiały mlewo do komórki i na pytanie jego o odsep, wyczekiwanie kolei, stan wody i pogródek, ilość zwiezonego do młyńa zboża, odpowiadał. Powtórzył objaśnienia, dane już uprzednio Franciszkowej, bezmyślnie, jak i bezmyślnie wsiadł na wóz potem, aby go przed wyłożeniem koni, jak zwykle, na klepisko stodoły zatoczył, i dopiero widok Kasi, co usadowiwszy się obok niego, do lejc wyciągała ręce, wołając:

— Ja będę powozić Wicek... ja będę... — otrząsnął go ze zdziwienia, a jednocześnie poczuł ból jakiś w sobie, i żal, i półświadomość niejasną jeszcze krzywdy, jaka widocznie stać się tu musiała staruszce, którą niby rodzony kochał.

Oddając lejce Kasi, ukradkiem spojrział ku przyźbie i spotkał się ze wzrokiem Franciszkowej, zwróconym w niego i we wnuczkę, lecz nie surowym i twardym, ale przyjaznym wielce, choć tęsknym, bardzo tęsknym. Kiwnęła mu głową staruszka, jakby wskazując na Kasię, jemu zaś od patrzenia onego w oczach się niby łzami zamgliło.

Swojak to był raczej, niż sługa. Daleki Musiałów powinowaty po krewniaczce jeszcze Franciszka. Siwcowej. Sierota, przygarnięty wyrostkiem, gdy się dzieci Jakóbowi z pierwszej żony nie wiodły, i czworo ich przed Kasią pomarło, na uproszenie łaski Bożej, niby swój wychował się pod okiem Franciszkowej, przywykły od dzieciństwa powadze jej ulegać i wpływowi przemożnym w chacie. Trzymany krótko, w ciągłym znoju i pracy, nigdy jednak krzywdy nie zaznał, przywiązał się też do wszystkich w chacie, a już najwięcej do samej starej, co chociaż nie folgowała zbyt, a nieraz i kułakiem poczęstowała w gniewie, to przecież, jak rodzonego, troskliwą otaczała go zawsze opieką. I przyobleczenia nie brakło nigdy, i przyodziewku, i czapkę całą miewał na głowie, buty na nogach, i strawy nie żałowano mu gospodarskiej, a zanim dano zasługi, grosz jaki często gęsto wsuwano do rąk. Dobrze mu było, niby u swoich. Do bezwzględnego nałożony posłuchu i ślepej dla opiekunów wiary, rósł, nie myśląc o jutrze, pełen w nich zaufania, pod twardym kierunkiem miękkim, za dobro wdzięczny, usłużny, powolny, pracowity, aż wyrósł oto na zdrowego ciałem, sercem dobrego, a uczciwego z duszy, choć nie wymyślnego wola i głową chłopaka. Co się i jak dzieć miało, wiedziała o tem Franciszkowa najlepiej, wiedział gospodarz, a że się od lat tyłu dobrze działo i słusznie, co nakazali tedy, spełniał, co postanowili, uznawał, a swoje robił i tyle.

Tylko że teraz, nie samowiedzą wprawdzie położenia, ale bólem poprostu odczuwanym i żalem, a nawet lękiem, sądził się w nim budził samodzielny. Bo nie dobrze się chyba działo, jeżeli nie Franciszkowa tu rządzi, jeżeli nie ona przed innymi wiedząca, jeżeli, czego i za nieboszczki jako żyw nie bywało, niewiasta Jakóbową pierwszą miała być w chacie gospodynią. Męciło się chłopakowi w głowie i duszy, męciło w sercu i spoglądał na Kasię, przywiązane do niego, niby do brata, dziecko, któremu równą wypłacał się wzajemnością, spoglądał, zali w rozbawionej powożeniu dziewczusze nie odbije się znak jaki, a z ust jej nie dobiedzie się słowo, które-by mu do równowagi powrócić dało i opamiętania. Z kolei prosta zdjęła go ciekawość za tem, co się tu pod nieobecność jego dzieć mogło, boć wyraźnie dzieć się musiało coś i niezwykłego.

A nie śmiał jakoś pytać Kasi, czemu, nie wiedział,—czy lękał się objaśnień sam dla siebie, czy nasuwać ich na myśl dziecku nie chciał, czy wreszcie niewiele się od niego dowiedzieć spodziewał,—dość że z pytaniem zwlekał; wyłożył konie, wóz do stodoły zatoczył, i zwracał się już ku stajni, gdy nagle Kasia zatrzymała go w miejscu. Stała przed nim z wytrzeszczonymi oczyma i z wielką powagą w sobie,

chwyciła się rączynami za głowę, a kiwając nią to w lewo to w prawo, wymuszonym głę opowiadać mu szeptem:

— O Jezus... Jezus... kieby to Wicek wiedział, jak ci mnie to matka wczoraj na odwieczyrz sprali... Tak ci mnie sprali, okeż w izbie dudniało i w piecu... sprawiedliwie... O, tak mnie chycili za plecy — tu dziecko dłońmi ujęło się za ramiona, i pochylając się w tył i naprzód, mówiło, — i tłukli głową o ścianę, aże się ozligalo... A potem to ci matka poszli i tatuś poszli, ino się ostali babula, co mi głowę nikiej obwiązali chustą... sprawiedliwie... O Jezus... Jezus... kieby to Wicek widział... — i znowu głę kiwać głową w obie strony, ogromnie sama opowiadaniem swoim przejęta, aż dostrzegła tuż obok przelatującego motyla i żywo skoczyła za nim.

Ale motyl za płot pofrunął i wróciła do Wicka, napierając się, aby jej jednego konia dał prowadzić do stajni. O wypadku wczorajszym, z takim przejęciem opowiedzianym przed chwilą, nie pamiętała już wcale, aż ją rozciekawiony chłopak zagadnął:

— A czego cię to Kasiu matula zbili?

— A to siadłam se na przypiecku, a mówiłam se: wróci Wicek na wieczereż ze młyna, nie wróci? — a matka, jak ci nie skoczą do mnie z za stoła, jak ci nie strząchną.. O Jezus... Jezus... prawila już dziewczyna swobodnie, jakby nie o nią chodziło, i zakończyła uwagą: — Musi wiedzieli czego, kiej sprali...

Wicek jednak niewiele się dowiedział i napróżno starał-by się teraz odwróconą już od wypadku myśl dziecka zająć nim znowu. gdy w dodatku samo widocznie nie zdawało sobie sprawy dokładnie z tego, co zaszło. Nie badając tedy przyczyny zajścia, próbował jeszcze o dalszym bodaj przebiegu zdarzeń wydobyć co z dziewczyny, ale i tutaj bezładnemi się jeno zadolownić musiał wskazówkami.

Opowiadała mu Kasia szeroko, jak jej babula obwiązywali głowę, jak potem spać się pokładli, jak rankiem „tatuś z babulą rajcowali ci okrutnie, a rajcowali,“ jak ci matka i krowy wydoili, i z wieczorowego mleka sama zbierali śmietankę, i sama zwarzyli strawę, jak potem ona z babulą chodzili w pole, a potem na przyźbie siedli, aż tu i on, Wicek, wrócił ze młyna i takich ci jej smakowitych przywiózł pierników.

I rozebrał chłopak konie i po kłaczku rzucił im siana, a gdy przegryzły z drogi, napoił i zasypał im wreszcie obroku, wydanego mu z komórki przez Musiałę przy znoszeniu mlewa jeszcze; a Franciszkowa, siedząc na przyźbie, skulona. wpatrzona w ziemię, wciąż wygrzewała się na słońcu, bez ruchu, bez znaku życia. Wickowi, co ku niej spojrział, burzyło się w duszy, krajało w sercu i chęć zbierała go wielka biedz do niej, i do nóg się pokłonić starej, i za wszystko dozna-

ne od niej dobro dziękować i prosić, by się nie gryzła, i pocieszyć jako i wspomódz, i zapewnić, że on, przygarnięty przez nią sierota, póki tehu w piersi, zawdy ją w chacie za pierwszą uważać będzie, że tamtej, co ino swary wniosła ze sobą, a gospodarzem nawet pomiata i wieku uszanować nie umie, znać nie chce więcej, że... Ale gdzie jemu, słudze, do gospodarskich mięszać się interesów? I sfrasowany, smutny, przysiadł na progu stajni, wspominając te czasy, kiedy to za nieboszczki śmiało do izby wchodził z południa, i wesoły, swobodny, czekając strawy, to garnka podał, to wody przyniósł, to Kasię bawił, to z gospodarzem o roli i dobytku gawędził. A choć potulny zawsze, a trzymający się zdała, jako na sługę przystało, między swoimi czuł się tu jednak „swojakiem“. A jak to sobie rozważał teraz, nie od dziś wszystko się to zmieniło. Po onej drodze do Lipska na jarmark, co im to ją zając przeleciał, gospodarz z Franciszkową swarzyć się jeni, a swarzyć o ten niby gospodarzów ożenek, a skoro nowa gospodyni nastala, to i do chaty zajrzeć nie było po co. Ani go tam widzieli, a ino Kasia bawiła się z nim po dawnemu. Wszystko się psuło, nie od dziś psuło, a teraz to i popsuło całkiem. Ona tu rządzi, a Franciszkowa nie nie wiedząca...

— Świat się musi do góry nogami przewraca, — mruknął chłopak, któremu pod wpływem ciężkich myśli znowu się w głowie mącić poczynalo na dobre.

A z izby echem się na podwórze Magdzine rozlegało śpiewanie. Od czasu jak przestąpiła próg Musiałow, jeszcze jej tak swobodnie pod strzechą „chamską“ nie było. Ale bo i czemu się gryzła Jaśkiem? Było też czem, oj było! A toć-że ją od wczoraj, jak ręką odjął, cała do chłopaka nawiść odpada. Żeni się z Nastką? A niech się żeni, byle jej nie zwodził dłużej, nie męczył, i dobrze, że się to raz skończyło. Bo ona teraz pani, i w sobie pani, i w chacie, i na nikogo oglądać się już nie potrzebuje i życia użyje teraz wolna do woli. Co chce, to robi, oj robi, i uśmiechała się na myśl samą, jak łatwo jej wodzie „chłó-pem“.

A stawiał się niby wczoraj okrutnie, a raz wraz pytał, gdzie była, skoro jej na Borowcu nie było? Na złość przetrzymała go chwilę, a potem rzekła mu tylko:

— Głupiś, byłam we dworze, a no, co Franciszkowej do tego? O Jaśkowych zmówinach wiedziałam także, bo i do Nastki wstępowałam po drodze, a skoro do niej urazy nie mam, to mi o chłopaka nie chodzi. Dziewczynę stłukłam, bo mi, nauczna widać przez babkę, od bicia przygadadywała twojego, a nie na bicie, ani przygadki niewiastę brałeś. Obiecywałeś mi państwo. Śliczne mi państwo! Do garnka zaj-

rzyć mi wara, komorę na klucz zamykają przede mną, niczego tknąć się nie dadzą, a mamroczą pod nosem, mamroczą niby na wroga. A ty co? Pykasz fajkę i pykasz i z założonemi rękami łazisz po izbie, a tylko ci się całowania żoniniego zachciewa. Pieścić cię może jeszcze, za tyła od was dobrego, całować za potyrkę i pośmiewisko? Niedoczekanie twoje! Znosiłam wszystko do czasu, i zgody chciałam, i przymierza w chałupie; choć mi panienki welon dawały i same obiecywały upiąć, w stroiku poszłam do ślubu, w chłopskim staniku, byle się Franciszkowej, coś mówił, że źli na mnie, przyłasić. Znosiłam wszystko, ale jak skoro na ludzkie mnie chcą podać języki, chłopaków przypinają do spodnic, a ty, miasto ją zgromić, mnie jeszcze na spytki bierzesz, to i sprawiedliwie nie zniosę. Ja ci tu oto rzec przysłałam, co dłużej nie dam pomiatać sobą, a kiedy się starej boisz, to zostań-że se z nią z Panem Bogiem, a ja sobie poradzę sama. Do ojca wrócę, w świat pójdę i tyle mnie będziesz widział.

Jakże ci to jej wtedy przepraszać nie zaczął, a przepraszać, i po rękach całować i nogach, a bić się w piersi, i do winy przyznawać, i obiecywać poprawę.

— Dyć — tłumaczył się — mówiłem Magduś, co ty nikiej i rada, jako cię matka przy garnku zastępują i gadzinie. A no, kiej gospodarzyć chęć masz i wolę, to zasie matce od tego. Dość mają dziecka na stare lata pilnować, a strzedz, coby językiem nie wojowała kaj nie trza. Będziesz se Magduś, będziesz se gospodynią, kiej wola; przyjmiewa dziewczkę i rozkazować będziesz w zagrodzie, a jeśli czego, to się i grosza znajdzie w potrzebie, ładnego grosza, co go tam sporo w żeleźniaku w stodole. Kaj-że by ci po świecie lepiej być miało, kaj Magduś, jako oto w chałupie własnej? Będziesz se panią, ino nie sumuj, ino mi nie płacz, Magduś ty najmilsza.

Co chce, to zrobi, oj zrobi! Od świtu zaraz samego Jakób jej rządy zdał w chacie, aże krzyknął na matkę, co on tu gospodarzem a gospodynią niewiasta. I oto rządzi, i na nikogo się już oglądać nie myśli, ani na starą nawet, której, co prawda, był czas, przypodobać się chciała szczerze, obejść wroga podstępem, uspić go pozornie. I nie kłamała, twierdząc, że stroik wdziała do ślubu i nabijany blaszkami stanik, i szychem bramowaną spodnicę, że się welonu dla przypodobania Franciszkowej wyrzekła, widziała jednak, że chociaż w „chłopskim“, w stroju jej tym do twarzy, jak żadnej nie było chłopce. Z natury i upodobań zalotna, wolała zgodą zdobywać ludzi, jednać uśmiechem, łaszeniem się wkraść w łaski, niż wojną iść i przebojem. Choć tedy pewna swego, Musiały jak siebie pewna, próbowała i szczerze do serca wkraść się teściowej, zniewolić ją, jak syna, i zapanować, jak nad

nim. I po raz pierwszy może przegrała sprawę, i zabołało ją to, aż do otwartej stanęła walki — i zwyciężyła.

Mściwości nie mając w sobie, znęcać się nad starowiną nie chciała, ani jej też ze wszystkim od gospodarki usuwać, byle jej wszakże krzyżować planów nie próbowała, bo snuła je teraz różne, snuła na przyszłość, zwłaszcza gdy jej się Jakób o żeleźniaku z groszem wygadał. Chłopskiej wstydzila się doli, sukmany męża i wygolonej twarzy; no, to przerobi go sobie, na kolonistę przerobi, w granatowej, sukiennej, kapocie, czerwonym przepasanej pasem, i blachę mu do niej przypnie sołtysią, albo mu na niej łańcuch zawiesi wójci. Co chce, to robi, skoro i grosz był w garnku, i oczy miała, jak węgle.

Wszystko to dawno umyśliła już sobie, a tylko Jasiiek stał na przeszkodzie, ale się go pozbyła i, wolna, zwolna robi, co zechce.

I przyspiewywała sobie wesoło, żartami z dziadem zabawiając się swoim, do którego wzięła się ostro, w przewidywaniu pewnych z chłopstwem jego trudności, aż i zwarzywszy obiad, z proga zawołała na matkę, Kasię i Wicka.

Dziewczynina, co, załatwiwszy się już z wszystkimi sześciu piernikami, zabawiała się pod płótem starannem okręcaniem dokoła palca barwnej po nich opaski, na głos macochy skoczyła do babki, jak oparzona. i za fartuch się jej chwyciła. Z wystraszonych jej oczu, z całej postawy, znać było, że bez niej, tej opiekunki swojej, za nic-by się do izby wejść nie ważyła. Poglądziła ją tedy starowina po twarzy.

— Nie bój się, wnusiu, babuła z tobą, — szepnęła, i ująwszy Kasię za rękę, weszła do chaty dopilnować dziecka swojego. Wszedł za nią Wicek, a wszedł jak z musu.

I nie wesoło pierwszą strawę Magdzinego warzenia spożyto. Jedzono milcząc. Milczała Magdzia, swarom nie rada, w obawie, by nowych nie wywołała sporów: milczeli inni; a tylko gdy Musiała, zabierając się do miski z kaszą, rzekł, „co się nowa kucharka niczego wele garnków popisala“.

— A patrzaj, — burknęła stara, ilością w misce tej omasty wzburzona, — patrzaj, coby w nie zawdy było co włożyć.

Hardo rzucił jej Jakób:

— Moja w tem głowa, — i nie odzywał się już, a jadł dalej, aż kiedy skończył, krótkie jął wydawać rozkazy: — Wicek z grabiami na łąkę dworską... Kasia naczynie pozmywa z matką — i odwracając się do Magdzi, łagodnie już i miękko dodał: — Pajdziewa Magduś w pole, na chwasty.

Napoiwszy konie z południa, szedł Wicek na łąkę dworską, gdy pod wrotami zastąpiła mu drogę Franciszkowa.

— No, Wicek, — rzekła mu zwolna, dobitnie, w oczy się chłopakowi patrząc z uporem. — Nowe nastaly rządy... Mnie starej iść w służbę do niej... a garnki po niej zmywać i miski... Dla Kasi strzymam, dla wnuczki... A no, nie długo tego... Ino ty Wicek, — tu głos do rozkazu, groźby podniosła prawie, — ino ty Wicek, za dobro moje, opiekę, nie odstępuj mi dziecka, nie odstępuj Wicek... Pamiętaj!

A chłopak ryknął płaczem i z za wrót mruknął tylko:

— A ino...

IX.

Nazajutrz zaraz, w drodze na jarmark zwoleński, zwierzyła się Magdzia mężowi ze swoich planów co do przyszłych dostojęństw.

— Cóżes to ty, — mówiła — gorszego od Leskiewicza soltysa, abo i wójta samego? Tak ci im, jak i tobie. Co gospodarz na urządzie, to na urządzie, inakwsze zaraz ma poszanowanie i głos inszy, choćby u dworu. Abo to raz widziałam, jak dziedzic, niby gościa jakiego, sadzał wójta przy sobie, cygarem częstował i przekąską, a „panie wójcie“ mówił do niego i rękę mu podawał. Idź ino ty, a wystoisz się w sieni albo i przed gankiem, a ino ci pan przechodząc głową kiwnie: „a co to powiesz, Jakóbie?“ rzeknie, wysłucha, potem do rządcy albo i ekonoma odeśle, trzaśnie drzwiami i tyle go widziałeś. Może i nie?..

— A bo i prawda, — odparł Musiała — ino, — tu się jął drapać po głowie, — wójtem ostać nie mała rzecz. Cała parafija, aż więcej, bo aże pięcioro wsi pod sobą, i pisarz, i kancelarya, i stójka, i soltysowie, a jak czego, to i starszy strażnik posłucha, nie mówiący o młodszym. To nie śpas.

— Nie śpas... nie śpas... A kto wójta obiera, jak nie ludzie? Mogą i ciebie wybrać. Cóżes to gorszego?

— Dyc wójt nasz, Majchroski, śród czerwieńskich kolonistów, nie przymierzając, największy: dwóch parobków, dwie dziewczki, cztery szkapy, ziemi aże trzy włóki, lasu będzie samego ze dwadzieścia, a bo i pięć morgów, a dobytku moc i gadziny... I na książce nauczny, i w kapocie, i z wąsami... Taki to tam na wójta, — tłómaczył się Jakób, przelękniony prawie hardemi zamysłami żony.

Ale ona nie zrażała się wcale.

— A tobie co braknie? — prawiała dalej. — Dziewkę przyjmimy, parobek jest, dobytku i ziemi także sporo, a sam gadałeś, co i grosza się znajdzie w jakimś tam garnku...

— Juści jest go tam trochę, bo jest, skoro jeszcze rodzic składali... — tu jednak z pewnem wahaniem, jakby niechętnie przedmiotu tego dotykał, dodał: — Ino... tak dokumentnie, to nie wiadomo ile... Zawdy chyba z tysiąc będzie, a bo i dwa...

Magdzia uśmiechnęła się nieznacznie.

— Nikt ci tam — rzekła — do garnka twojego nie zagląda, ale wójtostwo także warte grosza, a i dobrego...

— Warte, bo warte... to się wie... — mruknął Musiała.

— Abo i z tą kapotą i z wąsami? — ciągnęła Magdzia. — Niby to w Zwoleniu nie dostanie kapoty... a wąsy to i same wyrosną...

Jakób spojrział na żonę, a potem na sukmanę, a potem przeciągnął ręką po twarzy, jakby sprawdzał na niej stan zarostu, mocno w tej chwili potrzebujący brzytwy, i rzekł osłupiały:

— Co też to Magdzia gada...

Aż ją to zniecierpliwiło.

— Nie gadam, ino powiadam — zachnęła się. — Sprawiedliwie, to ci dopiero chłopisko zatwardziało! Ty swoje, a on swoje, ty tak, a on siak! A cóżbyć to zginął od wąsów, czy jak? Jeszcze by ci z nimi lepiej było do twarzy, co nią jak kolaniem, nieprzymierzając, świecisz... — i po chwili dorzuciła już spokojnie: — Na książkę nauczny? A od czego pisarz? Co mu przykażesz, to napisze, a odczytać to i ja drukowane odczytam... Wielkie mi rzeczy!

Ale Musiała nie gniewał się już więcej. Zamyślony, jechał milcząc, od czasu jeno do czasu po brodzie głaszcząc się i policzkach, tak bardzo tem, co usłyszał, poruszony, że fajki nawet do samego Zwolenia nie zapalił.

Magdzia zaś nie przerywała mu zadumy. Własnymi rozkołysana słowami, tonęła także myślą w przyszłości, zresztą na razie zrobiła swoje, niech-że się więc, jak mówiła, „chłopisko wysapie teraz“, zanim go dalej przynaglać zacznie. I obmyślała drogi, jakimi dążyć by wypadało do celu. Chodziło przedewszystkiem o zjednanie wsi własnej, a sposób na to prosty: dość Jukła i półkwaterek. Dobra też pomoc ojca, bo choć się skrzywi na tę robotę, co grosza sporo szarpnie na marne dogodzenie miłości własnej, to przecież chwyci się jej skwapliwie, choćby ze względu na one posiedzenia w karczmie z kieliszkiem, odbywane na rachunek wyborów i zięcia. Przytem dębczakiem z lasu dworskiego w potrzebie mógł się przysłużyć, a choć Musiała przysługi

takiej świadomie przyjąć-by nie chciał, jako uczciwy chłop z gruntu, a zamożnością ambitny, zawsze się we wsi nie jeden bo znajdzie taki, co i za brzózkę nie pożałował-by głosu. Pocóż-by zresztą i wtajemniczać Jakóba. Toć by się pewno i na ów sposób nie zgodził, jakim pisarza przejednać liczyła sobie. Nie młody to już był człowiek, żonaty, sprawdziła jednak we dworze jeszcze, jako na wdzięki niewieście czuły, a wdzięków miała aż nadto. Wiedziała wprawdzie po świeżem zajęściu, że niebezpiecznie było to może narażać się pod tym względem Musiałe, ale wiedziała, że i stłumić go łatwo, że wreszcie to nie pierwszyna, ani też znowu ostatek.

Dojeżdżano już do Zwolenia, gdy, długie przerywając milczenie, Jakób do siebie mruknął półgłosem:

— Na sołtysa, to ta jeszcze nie mówię, ale na wójta... — i znowu ręką powiódł po brodzie.

— A niech-by i na sołtysa, — odparła w duchu Magdzia, bo i los sam na tyle tylko, zdaje się, pozwalał zrazu.

Wybory na wójta odbyć się miały w gminie czerwińskiej, do której należało i Wielgie, dopiero za półtora roku, na wiosnę jednak kończyła się służba sołtysa. A tu Szymon Leśkiewicz, sołtys wielicki, a z Magdzinowych jeszcze godów starosta, wiekowy już bardzo gospodarz, zaniemógł podobno ciężko i wiosny mógł nie doczekać. Choć go tedy, aż do wyborów z urzędu, zastępował podsołtys, Maciej Sulima, ubywał jednak miły gromadzie współzawodnik, którego od lat już wielu wybierała zawsze bez zmiany, a który niewielkie urzędowanie, po parę groszy z morga zysku załedwie dające, pełnił ot dla powagi, jak pełnił-by je Musiałe. Przeglósowanie Sulimy nie było rzeczą tak trudną: mniej od Leśkiewicza zam ożny, liczną obarczony rodziną i nie dobijał-by się o urząd może, gdyby nie zwyczaj, podsołtysostwu przyznający w tych razach pierwszeństwo. Zwyczaj obalić, wiedziała Magdzia, nie łatwa to po wsiach sprawa, wcześniej koło niej zakrzętnąć się wypadało, wcześniej też zatem, niż to zamiarem jej było, z planów swoich zwierzyła się Jakóbowi, a raz zwierzywszy, przynaglać go postanowiła.

Trudności, jakie ją ze strony męża spotykały, ociąganie się jego i wahania, a które przewidywała z góry, nie pływały jednak z przeciwnych jego dla jej zamiarów chęci, ale raczej z nieoswojenia się jeszcze z myślą nową zupełnie, a spadła nagle na umysł, nieprzywykły do samodzielnych, a tem bardziej szybkich postanowień.

Lat kilkadziesiąt wodzony na pasku przez matkę, z pod wpływu jej wyłamany noworodzącym się wpływem, znalazł się oto na rozstajnej drodze, nieświadom właściwego kierunku. Że pasek matki pewnie mi wiódł go szlakami, że się na radach jej i woli nie zawiódł nigdy,

szedł za nim ślepo, zawsze spokojny, a jeno budząc się czasem, gdy go zbyt twardo uciskał. Młody wpływ żony jednakże, któremu uległ z kole, któremu, dla stępionej w nim długoletnią przewagą matki energii, z natury rzeczy poddać się musiał bez ograniczeń w przyszłości, młody ten wpływ, choć serdeczną wsparty nawiścią, a i skłonnościom wrodzonym bardziej odpowiadający, w chwili przełomu, wynikami działania swego, ani też czasem nie uświęcony jeszcze, skazywał go na samodzielną pozorną.

Gdyby mu była ot matka rzekła: „ostaniesz wójtem,“ nie tylko że nim ostanie, ale że „ostać nim potraza“, wierzył-by święcie. Wahał się jednak, a niedowierzał raczej, skoro mu Magdzia „ostać nim przykazała“.

Myśl sama, projekt, uśmiechały mu się i bardzo; już posiadanie na schwał dorodnej niewiasty butą przejmowało go jakąś i na wszelakie ambicje otwierało mu duszę, a grały w nim przecie i hardość chłopca wrodzona. i chęćka, skwapliwie zawsze i z powodzeniem zwalczana przez Franciszkowę, a podniecana przez Magdzię, chęćka użycia, teraz zwłaszcza przy młodej żonie, tych zasobów i zamożności, jakie ciężką tyłu lat pracą on i ojcowie zdobyli.

Bał wójtem-by został chętnie i bardzo chętnie, tylko mu się nie mogło pomieścić w głowie, jakby to on nim został. Nigdy bo myśl ta umysłu jego nie zaprętała, a gdy mu ją poddano, miarą go swoją przerosła. On, Jakób Musiała, wójtem, Magdzia wójciną?.. Ino Magdzia jak Magdzia, ona bo i na panią patrzy, i na dziedziczkę, ale on Jakób?..

— Na sołtysa to ta jeszcze nie mówię, ale na wójta?..

Magdzi bo wystarczało zupełnie, że się z oporem nie spotkała stanowczym, szczerą niechęcią, na wahanie się bowiem tylko, niepewność, lek miała nieomylny.

Poddał go jej Nowotnik.

— Kiej ci chłop, — mówił — nijak nie rusza z miejsca, ino go podlej, a kaj chcesz, skoczysz...

Gdy więc Musiała, onem wójtostwem swoim sfrasowany, śmiałością zamiarów żoninych przybity, a mimo to olśniony niemi, stracił rezon, tak że go nawet jeden i drugi kieliszek otrząsnąć nie zdołały, Magdzi się miodu zachciało.

Nikogo nie mając pod ręką, ktoby ją w tem wyręczył, zresztą nie życząc sobie udziału w rozmowie osoby trzeciej, choć pić nie lubiła, a wódki nigdy do ust nie brała, miodem trąciła się z mężem. Miod, sprawdziła to, działał na Jakóba zabójczo, po paru zatem już lampkach, raźniej mu się jakoś robić poczęło i weselej jął na świat patrzeć.

— A co-bym tak, na ten przykład, — rzekł nagle, niemiły przypomniawszy sobie docinek o kolanie, — wąsy zapuścił? Dyć we wsi i Siwec, i Nachyła, i Sulima chodzą z wąsami, a parobczaki to wszystkie... Wielkie mi rzeczy!..

— Pewnie, że i nie wielkie, i zaraz by ci było lepiej do twarzy — dogadywała Magdzia. — Tylko że ci i wąsy nic nie poradzą przy takiej grzywie końskiej i włosiskach, jak u baby na odrastaniu. Tak ci jedno akurat do drugiego, jak ten kwiatek do kozucha pasuje.

I znowu zawałał się Musiała, szeroką dłonią powiódł po obfitej, długiej czuprynie, po gęstej grzywie opadającej na czoło, i zamyślił się znowu. Twarz jak kolano, grzywa końska i włosiska niby u baby na odrastaniu, zaniepokoiły go jakoś. Dziwna rzecz, nigdy mu to na myśl nie przychodziło przedtem. Nosił się, jak dziad nosili się albo i rodzic, jak go przyzwyczaili nosić się matka. Aż odtąd teraz dopiero zauważył, że takich głów z grzywami a gołych twarzy coraz mniej dokoła siebie widywał. Na palcach policzył-by je we wsi. Spojrzał na żonę w czepeczku wymyślnym, kaftaniku do stanu, spodnicy w kliny z falbanką, w zgrabnych, na guziki zapinanych, trzewiakach z kapkami, a potem na siebie... i ocknął się nagle. Lampkę miodu całą wypił do dna, uderzył w stół pięścią i zawołał rezolutnie:

— A bo i prawda... chodźwa Magdziu do felezera. Raz kozie śmierć, ostrzygę się i tyła.

Tylko że po dokonanych ostrzyżynach ponownie stracił rezon. Po zasłoniętym dawniej szczelnie, a gołym obecnie karku, każdy podmuch wiatru odbijał się chłodem i co chwila przypominał brak włosów. Musiała nie mógł się z tem oswoić i chwycił się za szyję, przysłaniając ją ręką. Kołnierz sukmany dolegał mu, niby włosienica. Jakby wstydem przejęty, kapelusz wbił na czoło i nie zdejmował go wcale. Zdało mu się, że poprostu nieprzyzwoicie wyglądał-by bez niego, ot niby bez koszuli na sobie. Jak się tu matce pokazać? A co powiedzą sąsiedzi? Czy nie za prędko usłuchał żony, na którą teraz spoglądał ukradkiem, jakby otuchy się po niej spodziewał i dodania odwagi.

Magdzia jednak w pierwszej chwili miała sama pozór załapanej. Grube rysy Jakóba, łagodzone do tej pory ramą obfitych włosów, dobyły się niejako na wierzch, bez obsłonek, wcalej swejsile i wyrazistości, twarde jakieś, jakby z gruba ociosane. Twarz zmieniła niemal zupełnie charakter. Znikł z niej ów wyraz dobroduszej a swobodnej szczerości, znikł rysunek głowy, jak ze starej zapożyczony pieczęci, poważny, harmonijny a miękki, ustępując miejsca głupowatej powszedniości konturów, co z niej czyniły bryłę, niezdarnemi nabijaną guzami. Magdzia przeleżała się zrazu dzieła swojego i nie umiała nad własnym niezadowoleniem zapanować, co oczywiście podnosiło jeszcze za-

kłopotanie Musiały. Aż uchwyciła się na pociechę myśli o wąsach, które na górnej wardze Jakóba czerniały dopiero rodzajem brudnej, jakby zatabaczonej smugi, w porównaniu ze świeżo ogoloną brodą i policzkami, nic a nic jeszcze twarzy jego uroku nie dodając. Staowały jednak źródło nadziei.

— Niech ci tylko wąsy odrosną — rzekła nareszcie, kłopotliwe przerywając milczenie, czując że coś przecie na pociechę mężowi rzecz wypadało, — zaraz ci będzie lepiej do twarzy.

Ale Musiała owemu lepiej nie dowierzała jakoś. Nie sprawdziło się już raz po ostrzyżynach, mogło się i z wąsami nie sprawdzić. Stało się jednak; o przyprowadzeniu głowy do dawnego jej stanu i myśleć nie było co teraz, machnął tedy chłop ręką i, machnąwszy, powtórzył:

— A no, raz kozie śmierć... Chodźwa na piwo i kwita!..

Przy piwie, ulubionym napoju Musiały, przetrącanem suszoną kielbasą, obojgu jęły przecie wracać humory. Magdzia powoli oswajała się z widokiem postrzyżonego męża, odzyskując pewność siebie, która i jego stawiała niejako na nogi. Coraz rzadziej macał się już po karku i palcem po wardze górnej przesuwiał, a tylko kapelusza nijak jeszcze zdjąć nie chciał.

Pierwszą jednak ofiarę na rzecz projektów żony poniósłszy, sam do projektów tych wrócił. Jakkolwiek ostrzyżony i wąsów na przyszłość pewny, zawsze jeszcze wójtostwo zbyt śmiałą zdawało mu się zachcianką, urząd za to sołtysa nęcić go począł nie żartem. Bądź co bądź, przewodni two to w gromadzie, godność płynąca z wyboru, dowód zaufania i uznania nie każdemu dostępny, a choć więcej z nim kłopotu niż zysku, nie o zysk przecie chodziło mu żaden, kłopotów zaś miał-by się lękać, skoro i stary Szymon dawał sobie z tem radę! Wkrótce też dziwić się począł sobie samemu, że mu to sołtysostwo nie przyszło wcześniej do głowy, żał uczuwać do matki, że i ona nie pomyślała o niem.

— Matka, jak matka. — rzekł sobie w duchu — aby ino grosz zbijać w kabzie i tyle.

Tylko, że on już zbijania onego miał dosyć, bo i dla kogoż zbijać tak znowu? Dla Kasi może i dla zięcia? I bez zbijania było ją czem wianować, a było suto. Na więcej dzieci nie zanosilo się jakoś, gdyby zaś przyszły, pomyśli o tem, teraz jednak i jemu należało się coś na świecie, a młodej żonie tem więcej. Będzie sołtysom i bastal! Cóż to, nie stać go na to? Choćby Sulimie dać odstępnego, choćby Szymona przyszło przesadzić, przesadzi. Z wdzięcznością spojrział na żonę i kupił jej targowany oddawna zegar ścienny z wagami, o porcelanowym, suto malowidłami upstrzonym, cyferblacie, którego wiedział że pragnę-

ła gorąco, którego wszakże, mniej może ze względu na wydatek, bo o trzy ruble wszystkiego chodziło, ale z uwagi na matkę, oboje nie mieli dotąd odwagi nabyć.

— A no, cóż to, nie jego może pieniądze?!

W Magdzi, której wszystkie życzenia spełniały się oto, jak na zawołanie, znów na chwilę wzbudziła się wdzięczność dla męża, co jej na każdym kroku tak serdecznego kochania dawał dowody; gdy tedy i zegar, starannie owinięty, poczuła w rękę, rzekła:

— Dobrze z ciebie chłopisko, Jakóbie, do rany bodaj przyłożyć. Będę cię, — obrzucając go zolotnem spojrzeniem, dodała — będę cię lubiła dziadu, słyszysz?..

A jemu, jakby kto miodem serce smarował, radość się wielka na twarz wybiła.

— A nie będziesz to Magduś komory zapierała? — zapytał.

Roześmiała się, wymijając odpowiedź.

— Jemu to aby ta komora na myśli..

Nie na czczem jednak poprzestała tym razem słowie, bo już na samem wyjeźdnie do bławatnego sklepu wstąpiła i za własne pięniądze Kasi kupiła łokieć „ostrego“ na fartuch.

Czy mężowi się tem przypodobać pragnęła, czy działała jeno pod wpływem onego zadowolenia, którego pełną była, czy może chodziło jej o zamatowanie fartuchem oburzenia starej na zegar, kto odgadnie? Musiała jednak aże pokraśniała.

— A ty, to nikiej zła, Magduś.. Bogać tam — mruknął wzruszony.

Wracali do domu w najlepszych usposobieniach, zajęci wyłącznie przyszłemi wyborami. Od sprawy tej Jakób nie odstąpił-by już za nic w świecie, a Magdzia, jak do wszystkiego, namiętną przyłgnęła do niej naturą. Ot, było o co znów myśl zaczepiać, o chłopstwie zapomnieć swoim i nudach w chacie, a to tem więcej, że dla niej wstępem być miało sołtysostwo jedynie, pierwszym tylko ku wyniesieniu się krokiem, na którym zgoła nie zamierzała poprzestać. Dziedzica już widziała w wyobraźni, podającego Musiałę rękę, a częstującego cygarem, słyszała jak go zwał „panem wójtem“ i siedzieć prosił, i aż jej się błogo na myśl o tem robiło.

Postanowiono wziąć się do rzeczy niezwłocznie, nie rozgłaszając jej wprawdzie na razie, z Juklem się jednak i Nowotnikiem umówić zawczasu. Musiała doradził nadto przymierze z Kajtaniakową, bez której nie się we wsi nie działało, a którą zawsze lepiej mieć było za sobą.

— Baba — mówił — jak piskorz; gdzie ją nie posiał, tam wyrosnie, a wymiarkuje co potrzeba. Ino że z nią ostrożnie, coby nas nie poszła.

Pobudzony energią żony, chłop zdobywał się na pomysły od siebie, rozmowny, wesół, butny a pewny swego, jak nigdy.

— A no, spekulant z ciebie Magdzia, nad spekulanty, — powtarzał, i obejmował żonę i całował, czego mu oczywiście nie myślała bronić w tej chwili.

I tak się rozochocił w końcu, że nagłym ruchem zdjąwszy kapelusza, z zadowoleniem przeciągnął dłoń po wystrzyżonej czuprynie i z pewnem zawyrokował przekonaniem:

— Dyć co i lepiej, to lepiej, niema co mówić!.. A tak ci na łbie lekušno, że i kapelusza nie czujesz.

A tylko starej, gdy z onym „łbem lekuśnym“ syn przed nią stanął butnie, łzy zakręciły się w oczach i nie zmużyła już ich noc całą.

X.

Gdy we dni kilka po widzeniu się jej na Jakóbowem podwórzu z Franciszkową i pamiętnem zniknięciu Szarpakowej kosa, która istotnie w prawnem znalazła się posiadaniu Jukła drogą wymiany za pokazną ilość półkwaterek, na wykupienie zaś której nie starczyło złotówki, i dwa dni jeszcze odrobku przy okopywaniu ziemniaków arendarzowych dołożyć wypadło, przechodząc drogą spotkała się Wojtkowa oko w oko z Musiałą, jak wryta stanęła na widok gospodarza, potem z „dziwoty wielgiej“ zachwiała się tak silnie, że jeno sąsiedztwo płota chwianiu się onemu kres położyło.

— Patrzajta ludzie! — najbliższej z brzegu, Nachyłowej dopadłszy chałupy, z wielkiem rozpowiadała przejęciem: — Patrzajta ludzie!.. a to była-bym się prędzej śmierci, moiściewy, spodziewała, niżli na własne urzieć oczy, com ci nikiej urziała... A dyć Musiała wąsy, moi ludzie, zapuścił i czernią mu ci się pod nosem, kieby podorywka po deszczu, a sterczą kieby ściernisko po sierpnie.

Tu zatrzymała się chwilę, poczem z większym jeszcze dorzuciła zapalem:

— Myślitą, co koniec na tem? Bogać tam!.. Kiejem mu, nikiem Jakóbowi, rzekła z wielgiej dziwoty, co, musi, straszyć chce wąsiskami, ośmiał się ino i zdjął ci kapelusza, a tu głowa, sprawiedliwie dyćem widziała, jako was widzę, kieby ten baran po strzyży, wystrzyżona do okoluśienka...

I zakończyła uwagą:

--- A no, musi niewieście chłopą się zachciało z wąsami, na dworski manier...

Całe dwa dni nosiła się Kajtaniakowa z wąsami onemi, niby ze skarbem, coraz to nowemi sposobami określając wygląd ich i naturę, i jeszcze ich nie zużyła, jeszcze się ten i ów trafiał we wsi, komu nie opowiedziała o nich szeroko, gdy znowu Musiałów strzecha nowego jej dostarczyła przedmiotu.

— Jakób dziewczkę se godzał!..

A potem:

— Jakób dziewczkę zgodzili!..

A wreszcie:

— Do Musiałów dziewczka nastala!... — huczało po wsi z dodatkiem:

— A no, państwa się, musi, Jakóbowej zachciało i dworu.

Odtąd Musiałów zagroda stała się źrenicą oka Kajtaniakowej. Od kipiącego gotowa była odbiegać garuka, pacierz przerwać w połowie, byle, uchowaj Boże, najdrobniejszej nie przeoczył okazyi w wysledzeniu najdrobniejszego w zagrodzie tej wypadku.

Dnia pewnego, na zagotowaniu już samem, porzuciła mleko przy ogniu, spostrzegłszy oknem przechodzącego Jukła. Połowę strawy poszło na marne, a no widziała za to, widziała Jukła wchodzącego do Jakóbowej chałupy. Do garnka nalala świeżego mleka i zamyśliła się tak głęboko, że tylko co nie wykkipiało po raz wtóry.

Arendarz u Musiałów!.. Stanowczo u sąsiadów na jakieś zanośiło się rzeczy, ślepemu gadać, ino na jakie? tegó i ona, choć na oboję oczu widoma, nie mogła nijak zmiarkować.

I biła się z myślami okrutnie, a jakże bić nie miała, skoro ją w izbie własnej po dwakroć raz za razem odwiedziła Jakóbową i, niby kuma najlepszą, na pogadance godzinę całą spędziła, i zapraszała do siebie, i „zajść kiej znowu obiecowała.“

Magdzia wogóle do tej pory nie zadawała się we wsi z nikim, z dworskimi jeno utrzymując stosunki, tem więc dziwniejsze wydało się Kajtaniakowej to do niej zachodzenie.

— Cosik ona se na mnie — mówiła — kroi, a ino jej rzec niewyraźnie.

I przypuszczała, że może w miłosnej sprawie pośrednictwa szukała, że tu o Jaśka może chodziło i Nastkę, o Jaśka, o którego posądzala ją zawsze. Tyle się dawniej nasłuchawszy o furmańczyku i pokojówce dworskiej. A okazyjki lubiła takie, lubiła bardzo, ona, co tak serdecznie cudzych spraw do glądała, że jej się przy nich niczem wydawały własne. Pobiedz na zwiady, schwytać języka, zlecenie ponieść a z odpowiedzią powracać, najmilsza to była dla niej robota; nie w celach zysku, broń Boże, a no z upodobania jedynie. Tyle bo się ciekawych rzeczy człek przy tem nalykał, że i fatygi nie żał, ani mordegi. Nieprzegadana bajczarka, gdy o nowinę szło, z zewnątrz spadała, lub pochwyconą wypadkiem, niemą się stawała i głuchą, ilekroć jej kto wprost powierzył jaką sprawę i do wspólnego przyjął działania. Cłodziła jeno wtedy jak szklana, poważna i nadęta, zamysłona a tajemnicza, prawie że od ludzi stroniąca.

Znano ją z tego.

— Oho! — mawiano — Wojtkowa cosik dusi w zanadrzu! — nie określając rzeczy dość ściśle, Wojtkową dusiło właśnie, a tylko wielką przemagała się mocą i tyle pragnęła jeno, iżby się po niej, jako do powiedzenia coś miała, domyślić było można.

I próbowała wyciągnąć Magdzię, gotowość swoją do usług dając jej do zrozumienia, w przypuszczeniach się jednak myliła chyba. Wzmiankę o Jaśku zbyła Jakóbową spokojnie, krótko i obojętnie, a na dobitek Jakób jej głowę do reszty zmącił.

— A no, — rzekł do niej, spotkawszy ją po sumie niedzielnej, — chodźwa kumo do Jukła. Ja do was, wy do mnie, i po krzyku!..

W karczmie Nowotnika zastali i tak we trójkę, aże po nieszpór „ja do was, wy do mnie, przepijali przez krzyku“. A tylko w drodze do domu chwiały się nieco nogi babinie, myśl zaś płątała się po głowie:

— Musi nie o chłopaka babie chodziło, skoro ci chłop funduje!..

Poczęstunek Musiały zbił ją z tropu i nie próbowała biedzić się więcej nad rozwiązaniem zagadki, poddając się niejako przeznaczeniu, w nadziei, że przecież z czasem wyjaśnienia się jej doczeka. Ciekawość jednak paliła ją niezmierną, w odwiedzińy się tedy nazajutrz zaraz wybrała do Jakóbowej, co miast do karczmy, do dworu zachodziła w niedzielę, jak mówiła swojemu, o pilne dowiadywać się pranie.

Wpadła pod wieczór, tak przed zachodem słońca, „co by się niej nie zasiadywać długo“. Franciszkowej nie zastała, nie było też Jakóba, a tylko obierała w izbie ziemniaki dziewczka świeżo przyjęta, rodem z sąsiednich Gardzienic, znana jej dobrze, Wikta, po gardzienickim ongi karbowym córka, Karbowianką nazywana powszechnie. Dziewucha tęga, młoda, przystojna, o krągłych rysach twarzy, blondynka, snąc po służbach obyta, a sprytna, bo gdy się do niej Wojtkowa z pozdrowieniem zwróciła, znacząco wskazała jej ruchem głowy komorę. Pytań obawiała się widocznie zbytecznych.

Ale nie dopuściła ich Magdzia sama:

— A kto tam, Wikta? — zapytała z za drzwi przymkniętych.

— Niech będzie pochwalony... — w odpowiedzi na prógu już komory wygłosiła Wojtkowa.

— Na wieki wieków... Jak się macie Kajtaniakowa. A cóż to nie widać was i nie widać... Jużem do was sama zajść chciała... Siadajcie-że no sobie... Co tam słyhać nowego?.. — mówiła Magdzia szykiem zajęta, nie odrywając się od igły.

— A cóż-by ta, moiściewy, i słyhać było — z westchnieniem rzekła Wojtkowa, na kuferku sadowiąc się, w pobliżu Magdzi stojącym, — stara bida i tyle, nowego i na obwiniecie palca... A gdzie to Franciszkowa?

— Na rydzach z dzieckiem.

— Jakób bo ci pewnikiem z kosą?

— Do dnia jeszcze wyszedł na łękę; Wikta nosiła im obiad, bo z Wickiem poszli.

— Galanto se Jakóbową mieszkają — zauważyła sąsiadka, ciekawie rozglądając się po komorze, którą raz pierwszy obejrzeć miała sposobność dokładnie, — galanto, nikiej dziedziczka jaka.

— Gadajcie zdrowi, trochę gratów i tyle, — wydymając pogardliwie usta, odezwała się Magdzia, — aby kąt mieć spokojny, żeby mi w nim Franciszkowa z dzieckiem nie trajkotała.

— Zatrąjkoce jeszcze, oj zatrąjkoce Jakóbowej, ale własne, aż się od trajkotu onego rozligać będzie.

— A tylko, — burknęła Magdzia, uśmiechając się z przekąsem — jest ciż po kim.

Nie podniosła sąsiadka wprost drażliwego tematu, ale na uwadze przestała z westchnieniem:

— Dyć wiadomo, nie chowały się Jakóbowi dzieciska...

Po odpowiedziach Magdzinych zmiarkowała, jako się na Muśiałów zbytecznie nie potrzebowała oglądać, a przypochlebna, czując, że w tej tu chacie głową dziś była żona młoda, zwyczajem swoim

poprawiła się, a raczej podskoczyła na siedzeniu, i wybuchnęła nagle:

— A no, taki powiadam, co na świecie nijakiej niema sprawiedliwości!..

— Bo co? — zagadnęła Magdzia zdziwiona i, opuszczając robotę na kolana, z pytaniem w oczach, spojrzała na mówiącą.

— Nijakiej niema sprawiedliwości!.. — powtórzyła z naciskiem Kajtaniakowa, podskakując na kuferku raz wtóry. — A bo i sprawiedliwie to na ten przykład, co-by ci taka, nie przymierzając, jako malowanie niewiasta, sama nad igłą, nikiej ta pastelnica, po komorach wyśadywała? Dyć się to ino wszystkim wywiadować ze wsi chłopakom, a i z parafii!..

Zarumieniona, ze śmiechem odparła Magdzia:

— A cóż-bym to ze wszystkimi robiła?

— Wybrać bo se jednego, a przylipnego, i zabawiać, skoro chłop samą ostawia doma.

— Dobrze Wojtkowa radzi, tylko się przedtem Jakóba spytam!..

— W oczy powtórzę!.. Sprawiedliwie, powtórzę!.. — z pociesznym zapewniała ogniem sąsiadka. — Kto nie pilnuje swego, niech cierpi!.. Dobrze mu tak!.. A bo to nie wiem o takim, co-by się ta pewnikiem o nic nie zapytał Jakóba?

Magdzia pochyliła się nad robotą.

— O kim-że to Kajtaniakowa znów wiedzą? — obojętnie spytała niby — bo ja o nikim.

— Bogać tam! — z powątpiewaniem ciągnęła swoje Wojtkowa. — A nie chodzili to Jakóbowi do dworu, to i słychali, bo okeż po wsi nie dudni.

Teraz dopiero domyślać się zaczęła Magdzia, a jednocześnie słuchać uważniej; zawsze jednak ponad igłą schylona, odparła na pozór zimno:

— Byłam we dworze o pranie dowiedzieć się na kiedy, zapowiedziała pani na jutro i tyle.

— A drogi to nikt Jakóbowej nie zaszedł?

— Dwór nie las, żeby w nim kto komu drogę zachodził.

— Las nie las, a jest ci tam tera taki we dworze, co i na żart nie podaruje żadnej. Dyć wszystkie o nim rajcują po wsi dziewuchy, bo ci je po miemiecku jakoś przeżywa, a kaj którą napotka, tam capas. Panicz, krewniak dziedziców, co się ponoś na doktora uczy w Warszawie, a do państwa na wakacje zjechał. Ma ci z nim dziedziczka, ma zgłoby, bo choć to nikiej śpasem się dzieje, zawdy są trzy

panienki w domu, to i zgorzenie. Ino-że traf tu z takim do ładu. Mówiła mi Nachylanka, co bez cały dzień sobotni w dworskim ogrodzie robiła, że ci wpadł na nią, a Klepatra jakoś, czy jak tam, wołał i co by byli ogrodnik nie nadeszli, to była-by se dziewczucha nie dała rady. Okrutecznie ponoś przyszczypny, a dziewczycze to wszystkie ino tera, aby się do ogrodu na robotę dostać. Taki to-by i złęgo o pozwolenstwo nie spytał.

— A bo i prawda — wtrąciła z kolei Wikta, z napółobranym w ręce kartoflem, z kozikiem w drugiej, stając na progu. — Ekonom i mnie w sobotę do ogrodnika wysłali, bez pół dzień piełam z Szarpaczką w inspekcje. Skorom już na południe schodziła, spotkałam ci onego w kasztanowej alei, a on ci obces do mnie i, musi Hebes, czy jak tam, woła. Ja nogi za pas, on za mną i ledwom ci się na pastewniku skryła w tarninie. A wołał ino, kaj-żeś ta Hebes, kaj-żeś ta Hebes...

Dziewczyna zmiłkła, kartofla skrobnęła kozikiem, widząc jednak że i gospodyni i Wojtkowa słuchały chętnie, dorzuciła ze śmiechem:

— Ale najlepiej to ci przewał Szarpaczkę. Na odwieczyrz piellyśwa znowuj, ja, Szarpaczka i Nachylanka, przede dworem. A tu ci idzie ten sam, ino szedł z panienkami. Skoro nas urział, tak do Szarpaczki:

-- „A jak ci to dziewczucha na imię?“

Dziewczyna się zewstydziła okrutnie, jako to przy panienkach było, i nic, a on do niej:

— „Cóżes to — mówi — patronki zabaczyła swojej, czy co? A ładnie...“

Tak onej wstyd się zrobiło jeszcze większy i rzekła:

— „Dyć Joaśka.“

A on jak ci nie huknie:

— „Joanna Drąg... Joanna Drąg...“

Panienki w śmich, ogrodnik w śmich, my z Nachylanką w śmich, Joaśka, mówiłam, co się pod ziemię schowa, aże sama pani wyrziała oknem i po mieściecu, musi, zawołała:

— „Śarl... śarl...“

I poszli. Wszystkie ci tera dziewczuchy przezywają Szarpaczkę „drągiem“, a chłopaki nijak ino „Joanna“ wołają.

A Magdzia jednego z opowiadania nie traciła wyrazu, mieniła się tylko nad igłą a słuchała. Każda ze dworu wiadomośćka zajmowała ją żywo, to zaś, co oto dziś słyszała, zajmowało szczególnie. O gościu onym, który tak sobą wszystkie wzruszył dziewczuchy, wiedziała

już od wczoraj, od wczoraj myślała o nim wyłącznie, bo że „przyszczypny“, na sobie przekonała się samej.

Jak zwykle, w pierwszym rzędzie zamężnych niewiast klęczała w niedzielę pod amboną na summie, gdy do kościoła weszli państwo ze dwora. Szła najpierw pani, za nią panienki, za niemi dziedzic, a za dziedzicem młody jakiś, nieznany jej panicz: wysoki, szczupły blondyn, o niebieskich, bystrych, a jakby śmiejących się oczach, z jasnym, snać ledwie że zapuszczonym, zarostem. We drzwiach zakrystyi zatrzymał się, a chociaż pani w ławce mu pokazywała miejsce obok siebie, potrzęsnał głową i, o framugę wsparty, zaczął się po kościele rozglądać. Rzucił okiem na ołtarz, spojrzął po chórze, na chrzcielnicę popatrzył, aż i dojrzał pod nią dziewuchy i jakby się do Nachylanki, co z brzegu zaraz klęczała, uśmiechnął.

Tu Magdzia, która go pilnie z prostej ciekawości na razie śledziła, zarumieniła się nagle. Brakiem pobudki uspioła w niej zalotność w całej odezwała się pełni. Uczucie w duszy jej po nad wszystko potężne buchnęło z niej płomieniem. Zazdrosnem obrzuciła Nachylankę spojrzeniem i raz, i drugi, jęła dokoła siebie układać fałdy spodnicy, pragnąc ruchem tym zwrócić uwagę panicza. Ale wyszedł proboszcz z summą, na głos dzwonka pochyliły się głowy, pochyliła i paniczowa a Magdzia otworzyła swój „Ołtarzyk złoty“.

Skoro podniosła oczy, panicz wśród niewiast szperal swojemi, i znów rumiana wzrok opuściła na książkę. Zwolna, ostrożnie, z zarzęs przymkniętych, gdy po raz wtóry spojrziała, patrzył już na nią, i patrząc nie spuszczał z oka. Teraz z umysłu długi czas pochyłona nad „Ołtarzykiem“ od kartek jego nie odwracała głowy, aż ją dopiero poważnie przed samem kazaniem wyprostowała i niby po raz pierwszy nieznajomego dostrzegła.

Tylko że panicz powagi tej się nie uląkł, a na spojrzenie czyhał widocznie; ledwo je chwycił, mrugnął do niej pociesznie i kiwnął ukradkiem głową. Zmarszczyła się. Co znowu? Cóż to, za chłopkę brał ją zwyczajną, za Nachylankę? Z wyraźnym odwróciła się dąsem i patrzeć więcej nie miała, ale nie zmoęła, znowu zerkuęła, on znowu mrugnął. Skaranie Boże! A tu i *Sanctus* dzwonkiem rozległo się po kościele i Musiała ze świecą zbliżał z brackimi. Od czasu godów, już pod chrzcielnicą nie klękał, ale tuż za nią, pod amboną. Gotów co dojrzyć i będą swary. Nieznacznie w tył się cofnęła i do „Baranka“ modliła pilnie, by w razie czego mąż do niej nie miał przyczepki. I bać się poczyniała doprawdy, bać się spotkania. Przed ewangelią wyszła z kościoła i zdała bramy cmentarnej przystanąła; bo nuż by i na święconem zaczął miejscu i to przy ludziach? Za pnem lipy się ukryła

i na Jakóba czekając, widziała, jak szedł z paniami, a wciąż się oglądał w koło, jakby jej szukał. Lecz mimo chętki okrutnej wymiarowania, zali mu o nią chodziło, nie ruszyła się z miejsca, zbyt jej się śmiałym wydawał. Ale i wabnym. Rwać się ku niemu jęła, rozciekawiona. i biedz postanowiła do dworu, biedz zaraz, a tam niech-by ją spotkał.

Wedle umowy, do karczmy z mężem iść miała, prosić Wojtkowę, tak sobie, na półkwaterek, dla umocnienia przyjaźni; myśl tę podała sama, ale gdy Jakób wyszedł z kościoła i o babinę zapytał, odparła:

— Idź sam, ja nie mam czasu, duchem trza lecieć do dworu. Pani, przechodząc, kiwnęła na mnie, pewnikiem z praniem czekają.

Żeby jej teraz i łańcuch wójci dawali, ani-by się wstrzymała. Żalotność grała w niej burzę; do dworu gnało przemocą. Że na pozajutrz miało być pranie, wiedziała dawno, lecz jak do wtorku czekać? Zresztą do karczmy wstręt się w niej zbudził okrutny, sam widok męża drażnił ją znowu, chłopstwa znów miała dosyć.

I poleciała, chociaż tym razem odbyła drogę napróżno. Państwo, gdy przyszła, siadali właśnie do stołu, a po obiedzie wozem wybrali się do lasu na grzyby. Nawet zdaleka nie oglądała panicza; z Jaśkiem się jeno spotkała u wrót ogrodu, i zła, zgryziona, skoro jak dawniej spróbował się do niej zbliżyć, on, dla którego w niewolę się oto podała, niewolę, co ją znów żarła, z takim go jęła wymyślać gniewem, że uciekł, jak oparzony.

Ogrodem i pastewnikiem wracała, byle ominąć karczmę, i przesiedziała na nim z godzinę, nad dolą swoją biadając. Jakób, jak dawniej, komorę zastał zamkniętą; próżno się w koło niej kręcił i podchmielony, bez wieczerzy, spać ułożył się w stodole. Ze świtem poszedł na łąki, nie widziała go więc dzień cały.

Dzień też cały nie ruszała się prawie z komory, na Franciszkowę i dziewczkę zdając tem samem gospodarstwo, a tylko o jutrzejszym myśląc występie, fartuszek sobie skroiła świeży z napierśnikiem, szeroką spasany taśmą, na dworską modę, i szyć go kończyła właśnie w czasie odwiedzin sąsiadki.

O zaczepkach, figlach panicza, słuchała mocno wzburzona, z żalem niemal do dziewczuch, z zawiścią do Nachylańki, Szarpaczki, do Wikty nawet. I odpędziła ją też wreszcie do garnków, aż się Kajtaniakowej wspomniały własne i żegnać się poczęła.

Już na odchodnem, z za drzwi rzuciła jeszcze:

— A z Leśkiewiczem źle ci okrutnie, dyć chudziąteczko bez tydzień chyba nie strzyma...

Co jednak Magdzię Leśkiewicz teraz obchodził, co Jakób i „chamskie“ sprawy! I podczas, gdy Wojtkowa, wciąż łaskami Musiałów zaniepokojona, a zapóźniona, jak zwykle, mrużąc do siebie, pędziła warzyć wieszak, ona, drzwiami trzasnąwszy, ślać sobie jęła pośpiesznie, byle się wtorku, byle się jutra doczekać!

(Dalszy ciąg nastąpi).

MARYAN JASIEŃCZYK.

W sprawie naszego Kościoła.

Niedawno temu parę dzienników rosyjskich z dziwną uprzejmością zaofiarowało społeczeństwu naszemu dar, w postaci tak zwanego „Kościoła narodowego“. Zasady owej proponowanej nam organizacji narodowo-kościelnej obracają wniwecz ustrój Kościoła katolickiego, do którego odwiecznych i wiernych wyznawców należy znakomita większość społeczeństwa naszego. Ni mniej, ni więcej bowiem, pragną owi wnioskodawcy, aby duchowieństwo polskie zerwało ze Stolicą Apostolską, druzgocząc tym sposobem zasadniczy ustrój hierarchiczny swego Kościoła, i aby toż duchowieństwo porzuciło niewygodny i zbyt teczny celibat, a w związkach małżeńskich szukało osłody i zachęty do należytego wypełniania obowiązków, nierozdzielnych z jego wzniosłym posłannictwem.

Istnieje jeden wzgląd, zniewalający nas do poświęcenia kilku uwag owym pomysłom, a względem tym jest wyraźna ze strony pism rosyjskich insynuaacya, utrzymująca otwarcie, że politycy-separatyści polscy dlatego tylko odrzucają z oburzeniem wymieniony projekt, iż wiedzą doskonale, że złotym owocem, który-by kwitnący u nas Kościół narodowy prędzej czy później wydać musiał, stało-by się usunięcie narodowych drażliwości i kordyalny stosunek polsko-rosyjski. Prasa

polska została tym sposobem pomówiona o niechęć dla projektów dzienników rosyjskich jedynie z motywów politycznych. Jej przywiązanie gorące i szczere do swojego Kościoła podane zostało w wątpliwość, a przytem zaznaczony został rozbrat tejże prasy z rodzimem społeczeństwem, to bowiem, co ona odrzuca z oburzeniem i pogardą, społeczeństwo samo przyjmuje z zaciekawieniem i bez uprzedzeń.

Dzienniki rosyjskie zdają się nie wiedzieć o tem, że Kościół katolicki w Królestwie Polskiem, zarówno jak i w Cesarstwie, stoi na opoce prawnej, którą za porozumieniem się ze Stolicą Apostolską stworzyli i utrwalili Cesarze Wszech Rossyi i królowie polscy Aleksander I-szy i Aleksander III-ci. ¹⁾

Otóż pozwalamy sobie przypomnieć komu należy, że zanim się w roku 1818 ukazały bulle „*Militantis Ecclesiae*“ i „*Ex imposita nobis divinitus*“, organizujące zasadniczo Kościół katolicki w Królestwie Polskiem a zaopatrzone następnie w monarszy „*Placet*“, podpisaniem zostało w r. 1817 przez Cesarza Aleksandra I-go postanowienie królewskie o organizacyi duchowieństwa, normujące szczegółowo nadzór władz państwowych nad Kościołem katolickim. Otóż w postanowieniu powyższem, zwanem w 1864 r. w cyrkularzu Dyrektora Głównego Spraw Wewnętrznych (ks. Czerkawskiego) Ukazem Najwyższym, uznany został ustrój hierarchiczny kościoła katolickiego w całej pełni, zarówno jak i prawo kanoniczne, którem się Kościół rządzi. Prócz tego w postanowieniu z r. 1817, które po dziś dzień obowiązuje, znajdują się dwa artykuły (4 i 24), które objaśnić mogą rosyjskie dzienniki, dlaczego nikt nie mógł wprowadzić do katolickiego kościoła owych odradzających pierwiastków w postaci „księży-małżonków“. Przedewszystkiem bowiem prawo obowiązujące, wprowadzone w życie podpisem Cesarza Aleksandra I, stawiało zaporę wszelakim reformatorskim, a raczej nowatorskim, zamysłom.

Jeżeli zaś gazety rosyjskie wyobrażają sobie, że prawo z r. 1817 choć obowiązujące, przestarzało się, i że można na nie bezkarnie napaść, to pozwalamy sobie przypomnieć, że w następstwie konsystorza z 15 Marca 1883 r. bulle prekonizujące biskupów w Cesarstwie i Królestwie pozyskały „*Placet*“, czyli zezwolenie monarsze, przekonywając każdego, że stosunki rządu Cesarzkiego z Kościołem katolickim nie uległy zasadniczo żadnej zmianie. Cesarz Aleksander III niejednokro-

¹⁾ Taki sam charakter nosi organizacya Kościoła katolickiego w Cesarstwie. Dość przypomnieć: Articles convenus entre les Plenipotentiaires de S. M. L'Empereur et S. S. Le Pape à Rome le 22 Juillet (3 Août) 1847.

tnie wyraził przekonanie, zgodne z poglądami swego przodka, a podług tego przekonania, stolica Apostolska była w rzeczach religii i Kościoła najwyższą kierowniczką swych wiernych. Ustrój też hierarchiczny, zarówno jak i przepisy kościelne, miały niezaprzeczone prawo liczyć na jego w duchu sprawiedliwości pocztą opiekę. Wreszcie nie tylko, że Cesarz Aleksander III życziwemi słowy wieszował Leonowi XIII jego pięćdziesięcioletniego jubileuszu biskupiego, ale zaopatrzył prócz tego w monarszy „Placet“ dwie encykliki: jedną w kwestyi socyalnej, a drugą do biskupów polskich wystosowaną, wyrażając tem zaufanie do stolicy Apostolskiej, nie tylko jako do najwyższego kościelnego prawodawcy, ale i jako do nauczyciela.

Czem więc wobec tego usprawiedliwią dzienniki rossyjskie systematyczne podkopywanie prawnego porządku Kościoła katolickiego, który przez Monarchów rossyjskich sankcyonowany został? Czem uzasadnią owo usiłowanie wywołania ducha krnąbrności i nieposłuszeństwa wśród duchowieństwa katolickiego? czem owo zakłócenie spokoju sumienia całemu społeczeństwu? Czem wreszcie ową dotkliwą obelgę, którą ciskają w twarz duchowieństwu katolickiemu i całemu społeczeństwu, obrażając jego Kościół ojezysty?

Prawda! Dzienniki rossyjskie na swe usprawiedliwienie przytoczą zapewne ów fakt, że to sami duchowni polscy domagali się zerwania z Rzymem i z celibatem. Nie będziemy się z dziennikami owemi spierali ani o rzetelność informacyi, ani o liczbę występnych księży, pragnących zwyrodnienie własne upozorować pobudkami szlachetniejszej natury. Przypuśćmy na chwilę, że wszystko, co dzienniki rossyjskie przytoczyły, jest najszczerzą prawdą, i cóż to wszystko na usprawiedliwienie prowokowania narodowo-religijnej rozterki przydać się może?

Nie było w dziejach Kościoła katolickiego ani jednej chwili, w której-by się nie zjawiali obojętni (*tepidi*) i zdrajcy (*traditores*). Wszakżeż w gronie apostolskiem znalazł się jeden „*traditor*“, a od tego czasu worek Judaszowy, napełniony srebrnikami, wiódł i zawiódł na pokuszenie niejednego katolickiego kapłana. Ale czy fakt powyższy, nie tajony, ani ukrywany przez wybitnych pisarzy katolickich, może stanowić jakikolwiek dowód przeciw Boskiemu posłannictwu Kościoła, mocą którego przez tyle wieków nauka Chrystusa odradzała etycznie świat ucywilizowany?

Człowiek wnosi ze sobą wszędzie namiętności i instynkty poziomu. Nawet spoista organizacya Kościoła katolickiego, zwracająca nieustannie umysł duchownego do celów i pragnień nadziemskich, nie była zawsze w możności pohamowania niskich pragnień. Nie zawsze człowiek-kapłan mógł zapanować nad człowiekiem-zwierzęciem i ta-

kie wypadki notowała ze smutkiem historyja, uważając je za wpływ ułomnej natury człowieka.

Czy jednak dzienniki rossyjskie nie mogły znaleźć odpowiedniego kryterium do ocenienia podobnego postępku garstki duchownych, którzy wśród rumowisk ojczystego Kościoła pragnęli sobie usłać gniazdko rodzinne i stworzyć kult, będący tylko apoteozą ich egoizmu? Czemuż dzienniki rossyjskie nie chcą nic wiedzieć o „*Kulturkampf*“ w Prusach, w którym przecież ludność Wielkiego Ks. Poznańskiego przeszła przez ogniową próbę i złożyła dowód, jak niewygasła żywi miłość dla swego ojczystego Kościoła? Przecież nie ubiegło jeszcze ćwierć wieku od czasu, gdy w Księstwie Poznańskim można się było spotkać z proboszczami państwowymi (*Staatspfarrer*), narzuconymi przez rząd i administrującymi parafiami bez instytucji kanonicznej. Pomimo wszelkich wysiłen nie przebijającego w środkach bojownika, jakim był książę Bismarek, w niektórych prowincjach pruskich nie można było wyszukać ani jednego kandydata na ten nowy i ciekawy urząd. Ogół proboszczów państwowych w Prusach wynosił cyfrę 24, z tej zaś na Księstwo Poznańskie przypadło 12, a zatem stosunkowo więcej, niż w innych dzielnicach. *) Czy jednak owe występne i wyrodne indywidualna, w liczbie dwunastu, przekonały rząd pruski, a nadewszystko księcia Bismarcka, o tem, że Polacy w Księstwie stracili przywiązanie do swego kościoła?

Dzienniki rossyjskie miały dość czasu, aby się dowiedzieć, że wogóle dla całych Prus walka kulturalna posiadała skutki groźnej i niszczącej burzy, której ostatecznym rezultatem było oczyszczenie powietrza i usunięcie z łona Kościoła katolickiego wszelkich zaraźliwych pierwiastków. W Księstwie Poznańskim zaś skutki owe okazały się jeszcze zbawieniejszemi. Garść nędzników, zarządzających parafiami w imię misyi Bismarkowskiej, ocuciła jedynie sumienie narodowe i obudziła wstręt nieprzezwyciężony do tych, co ośmielili się podeptać najświętsze obowiązki kapłańskie.

Może dzienniki rossyjskie oddają się złudzeniu, że w wyrazie „kościół narodowy“ tkwi dla naszego społeczeństwa jakiś urok magiczny, jakieś tradycyjne pragnienie, piastowane troskliwie od XVI wieku? Nauka polityki stworzyła przecież w XIX stuleciu takie hasła, jak: „wolny Kościół w wolnem państwie“ lub „rozdział Kościoła z państwem“, może więc i Kościół narodowy w pojęciu dzienników rossyjskich ma rozpocząć u nas nową erę rozwoju i nowego dokonać odrodzenia siły narodowej, której dawny Kościół utrzymać nie potrafił?

*) Majunke — Geschichte des Culturkampfes in Preussen-Deutschland. Str. 411, — dodać należy że cyfra 24 przypadła na 4,000 księży katolickich.

Ośmielimy się w krótkich słowach objaśnić dzienniki rossyjskie, czem jest w naszym przekonaniu ów dar, który one nazwały Kościołem narodowym. Gdy w XVI stuleciu część katolickiego świata oderwała się od Rzymu, powstały Kościoły protestanckie, które obok nazwy narodowych, musiały przyjąć i nazwę drugą — terytoryalnych. W krajach też protestanckich wyrobiła się zasada prawa państwowego „*cujus regio, ejus religio*“ i w protestanckich państwach monarchowie stali na czele swego terytoryalnego Kościoła, uważając duchowieństwo za odrębną tylko gałąź służby administracyjnej.

Przewaga władzy świeckiej nad duchowną, jaką zdobyli szybko monarchowie protestanccy, skłoniła i władców katolickich do dążeń emancypacyjnych wobec stolicy Apostolskiej. Niema ani jednego państwa katolickiego, w którym-by prądy reformacyjne w mniejszym lub większym stopniu nie zjawyły się, bądź to wśród uprzywilejowanych stanów, bądź też wśród druzyny panujących. Przeważnie jednak monarchom katolickim dziedzicznym uśmiechała się zasada „*cujus regio, ejus religio*“ i w ich rzędzie spotykamy się najczęściej ze zwolennikami Kościoła terytoryalnego.

Podług nauki Kościoła katolickiego, monarcha nietylko był pomazańcem Boskim, którego serce spoczywało w ręku Boga, nietylko, że podczas koronacy przystrajany był w szaty kapłańskie, a następnie obdarzany przez stolicę Apostolską zaszczytnymi przydomkami, ale wybitni pisarze kościelni nie wahali się zwać monarchów katolickich obrazem Boga na ziemi i tłómaczeniu zasady „*omnis potestas a Deo*“, nadawali jak najszerze znaczenie. Nic też dziwnego, że monarchizmowi dziedzicznemu, sławionemu przez kler miejscowy, zwierzchnictwo stolicy Apostolskiej było niewygodnem; im też byli potężniejszymi, tem goręcej pragnęli rozluźnić węzeł Kościoła terytoryalnego z Papieństwem i rozciągnąć swą wszechwładzę nad duchowieństwem i nad sumieniem poddanych.

W czasach nowożytnych jedna z podobnych prób podjęta była przez cesarza Józefa II-go w austryackich dzierżawach, i to podjęta z uporem filozofa, który panować miał wszechwładnie w austryackiem prawodawstwie. Monarcha ten, w dobrej wierze, chciał sam zastąpić duchownym i poddanym swoim Stolicę Apostolską, a policyjnemi przepisami wkraczał nietylko w dziedzinę władzy papieskiej, ale episkopalnej a nawet proboszczowskiej, tak, że Fryderyk II-gi pruski przeważał go „*mon frère le sacristain*“.¹⁾

¹⁾ *Geffcken*. Staat und Kirche in ihrem Verhältniss geschichtlich entwickelt. 4tr. 330.

Jeszcze wyraźniej zaznaczył swą potężną wolę w tym kierunku Napoleon I. Wprawdzie, zawarłszy konkordat w r. 1801, uznał on Stolicę Apostolską za najwyższego sterownika katolickiego Kościoła, ale w r. 1811 zapragnął Kościoła niezawisłego zupełnie od władzy papieskiej, a czem ten Kościół narodowy miał być podług jego rozumienia, to sam niejednokrotnie i w niedwuznacznym sposobie wypowiedział. W państwie nowożytnego Cezara religia i Kościół miały stanowić „*un service administratif*“, a duchowieństwo „*une sorte de gendarmerie sacrée*“.¹⁾

W podobnym kierunku szedł też przed ćwierćwiekiem i kulturkampf pruski. Rządowi pruskiemu chodziło przede wszystkim o rozbicie ustroju hierarchicznego katolickiego Kościoła, czyli o zerwanie wszelkiego zwierzchniczego stosunku między Prymatem a episkopatem, między episkopatem a duchowieństwem, a wreszcie między duchowieństwem a wiernymi²⁾. Nowa organizacja kościelna, określona w ustawach majowych, stwarzała właśnie w Prusach ów Kościół narodowy, wymarzony dla nas przez dzienniki rossyjskie, a Kościół ten w Księstwie Poznańskim miał być najdzielniejszym środkiem germanizowania, czyli wynarodowienia ludności polskiej.

Odpowiedzieliśmy najtreściwiej na pytanie: czem był ongi i czem pragnął być w XIX stuleciu Kościół, zwany przez dzienniki rossyjskie narodowym, a teraz z kolei rzeczy zastanowić się musimy nad wrzekomym dowodem historycznym, zaczerpniętym przez dzienniki rossyjskie z dzieł nieboszczyka Maciejowskiego, a głoszącym, jakoby społeczeństwo polskie marzyło często o zerwaniu z Rzymem, a więc pragnęło stworzyć Kościół narodowy.

Prądy reformacyjne przyjęły się w Polsce w XVI wieku, podobnie jak w innych państwach katolickich. Znalazła się pewna liczba różniących się w wierze (*dissidentes*), których konfederacya w r. 1573 osłoniła swoją opieką³⁾, pojawiły się również prace polemiczne, sławiące reformacyę, zarówno jak dygnitarze kościelni, pomówieni o obojętność dla Stolicy Apostolskiej, a nawet kilku księży, którzy niewiasty pobrali za żony (Orzechowski). Wszystko to prawda, tylko, że prądy reformacyjne, z wyjątkiem miast Prus królewskich, pędziły u nas suchotniczy żywot, a pragnienie Kościoła narodowego, oderwanego od

¹⁾ *D'Haussonville*. L'Eglise romaine et le premier Empire, począwszy od tomu trzeciego. Porównać: Du Petit-Thouars—L'etat et l'eglise. Esquisse d'une séparation liberale. Str. 62.

²⁾ *Majunke*. Geschichte des Kulturkampfes i t. d. Str. 304—305.

³⁾ *Volumina legum*, t. I, f. 841.

Rzymu, mogło być udziałem kilku, i to nie nieznaczących, osobistości. Faktem jest bowiem bezspornym, że monarchizm dziedziczny w Polsce, którego dążenia w owej epoce odegrywały najważniejszą rolę, trwał niewzruszenie w swej wierności dla Stolicy Apostolskiej. Ostatni Jagiellon, Zygmunt August, nie pomyślał ani na chwilę o wprowadzeniu w życie zasady „*cujus regio, ejus religio*“, jaką reformacja pragnęła zjednać sobie władców świeckich, i z jego własnych królewskich ust usłyszeli sejmujący w roku 1569 następujące słowa: „Niech mnie też żaden tak nie rozumie, abym kogo miał przywozić do wiary okrucieństwem abo srogością jaką, abo czyje sumnienia obciążać. Iszcie, że nie jest ta intencya moja. Bo też wiary nie moja rzecz budować. Wiem, że to sprawa Ducha św.“¹⁾ Następni monarchowie elekcyjni polscy pozostali bez wyjątku wiernymi synami katolickiego kościoła i usprawiedlili najzupełniej przydomek prawowiernych (*orthodoxus*), jakim ich Stolica Apostolska obdarzyła.

Wykazawszy właściwe znaczenie Kościołów, nazwanych przez dzienniki rosyjskie narodowemi, możemy wypowiedzieć jasno: czem jest dla nas i czem był Kościół rzymsko-katolicki, odziedziczony po przodkach w narodowej spuściznie.

Przewodniczenie Stolicy Apostolskiej Kościołowi naszemu, a tem samem i wszystkim jego wiernym synom, nietylko w przeszłości oddało nam nieobliczone pożytki. Dziś zwłaszcza, gdy Prymat stał się czysto duchową potęgą, jest on przez nas uważany za opokę Piotrową, na której wsparł się cały nasz ustrój kościelny. Władzy papieskiej, przechowującej ze czcią tradycje apostolskie, powierzyliśmy od wieków pieczę nad skarbnicą naszej religijnej wiary, a to w tem przekonaniu, że wzniosłe i wielkie posłannictwo Rzymskiego Prymatu zapewni nam spokój sumienia, roznieci w duszach naszych najjaśniejsze światło Chrystusowej nauki i uwolni nas od duchowej rozterki, która bujnie zwykła kwitnąć tam, gdzie w każdego człowieka i w każdego duchownego mocy leży przesądanie o najdonioślejszych dogmatkach religijnych i o najsubtelniejszych wątpliwościach teologicznych.

Stolica Apostolska, stojąc na czele walczącego w imię prawd Chrystusowych Kościoła, zwalczała przedewszystkiem barbarzyński zwyczaj średnich wieków, chroniła sumienie wiernych od wszelakiego ucisku, wpajała zasady nauki Chrystusa w serca monarchów katolickich i odradzała etyczną siłą cały organizm państwowy. Prymat rzymski przypominał nieustannie możnym tego świata, że, w myśl św.

1) Dyaryusz sejmu lubelskiego (Kojalowicz) str. 633.

Augustyna, podstawą i fundamentem państwa winna być sprawiedliwość, i że w myśl św. Tomasza z Akwinu, choć każda władza pochodzi od Boga, ale mimo to winna być sprawiedliwa. Monarchowie katoliccy uważani byli przez Stolicę Apostolską za pierwszych synów Kościoła i, bez względu na ich świecką potęgę i władzę, Papieże stali się stróżami oraz sędziami ich sumienia.

Nawet w bieżącej dobie, gdy Stolica Apostolskiej pozostała jedynie władza i moc ducha Chrystusowego, nie omieszkał Leon XIII przypomnieć w jednej z encyklik władcom katolickim „*potentes potenter tormenta patientur*“¹⁾ co znaczy, że mocarze świata tego będą surowiej karani za zaniedbanie swoich obowiązków.

Kościół katolicki, ze Stolicą Apostolską na czele, uszlachetniał nie tylko organizm państwowy, ale krzewił ducha narodowego, przez to właśnie, że obejmował świat cały i nie solidaryzował się wyłącznie z żadną narodowością, ani z żadną władzą polityczną. Prymat rzymski rozumiał to wybornie, że prawdy nauki Chrystusa przenikną tylko wówczas do głębi serca wiernych, jeśli duchowieństwo zespoli się z duchem narodu i jeśli nauki religijne głosić będzie w mowie ojczystej. Kościół też katolicki ze Stolicą Apostolską na czele, upominając wiernych, aby spełniali uczciwie obowiązki poddanych władzy świeckiej, nie zaniedbał nauczać wzniosłej miłości ziemskiej ojczyzny i sam, za pośrednictwem swego duchowieństwa, przodował w pracy obywatelskiej, a przez długie czasy w naukowej i cywilizacyjnej działalności.

Jeżeli zaś w dziejach każdego kraju katolickiego spotykamy całe szeregi nazwisk duchownych, zapisanych w rzędzie bohaterów narodowych, mężów stanu, uczonych, poetów i wybitnych obywateli, to dla tego, że duchowieństwo katolickie, poświęcając całe swe życie Kościołowi, było zawsze zdolne do zaparcia się egoistycznych instynktów i do podniosłej pracy w duchu posłuszeństwa, jedności i zgody.

Czy dzienniki rosyjskie mniemają, że w naszych sercach Kościół katolicki nie zapisał się podobnymi dziejowemi zasługami? W takim razie może pozwoli sobie przypomnieć, że Stolica Apostolska przygotowywała szczerze tryumfy naszym monarchom i równie szczerze radowała się nimi. W rzędzie duchowieństwa katolickiego spotykamy bohaterów narodowych (Kordecki), mężów stanu, poetów i uczonych, z pomiędzy których dość chyba wymienić jednego Kopernika. Nic też dziwnego, że Kościół katolicki tak się zespolił z sercem naszym, że go uważamy za drogocenny klejnot w narodowej naszej spuściźnie. Przecież to

¹⁾ *Hammerstein*. De ecclesia et statu juridice consideratis, str. 4 w encyklice „de civitatum constitutione christiana“.

w tym Kościele duch narodowy urobił się naprzód. Przecież to w obrębie tej samej świątyni kapłan był i jest naszym piastunem moralnym od kolebki aż do grobu. Nie więc dziwnego, powtarzamy, że jak przodkowie nasi, tak i my, Kościół katolicki w tym ustroju, jaki był i jaki jest, uważamy za płaszcz niebiański Jasnogórskiej Dziewicy, ochraniający przez wieki ducha narodowego od zwątpienia i upadku.

A teraz możemy szybko przyjść do ostatecznej konkluzji. Czem był i czym jest nasz Kościół rzymsko-katolicki? Był i jest nie tylko piastunem wiary Chrystusowej i szafarzem łask nadziemskich, ale potężnym czynnikiem cywilizacyjnym i wielką narodową potęgą. Czem zaś był-by dla nas ów Kościół pseudonarodowy dzienników rosyjskich? Był-by gorzej, niż zwykłym samobójczym narzędziem, jest bowiem i będzie środkiem, zaprzeczającym w otchłani prostytucyjnej ducha naszego narodowego i skazującym go tem samem na niechybną a hańbiącą zagładę.

Nauka porównywała często narodowość do serca w organizmie społeczno politycznym, a ponieważ Kościół i mowa ojczysta są najistotniejszymi pierwiastkami narodowości, więc to samo porównanie stosować się winno i do Kościoła. Dopóki też medycyna nie wynajdzie sposobu zastąpienia serca bijącego w żywej piersi ludzkiej mechaniczną imitacją, dopóty o wprowadzeniu rzekomego Kościoła narodowego dla naszego społeczeństwa mowy być nie może. Wszelkie tego rodzaju chorobliwe pokuszenia rozbić się muszą o wzniosłe Chrystusowe posłannictwo i naturę Kościoła, który zrosł się z naszym społeczeństwem w jeden, tradycją wiekową urobiony, organizm.

A. REMBOWSKI.

O terminowym handlu zbożem.

I.

Znaczenie handlu terminowego.

Sprzedaż zboża na późniejszą dostawę powszechnie jest znaną. Zachodzi ona, kiedy np. gospodarz zobowiązuje się podczas żniw odstawić kupcowi zboże na jesieni, lub też kiedy liwerant zawiera kontrakt z intendenturą o peryodyczną dostawę zboża do magazynów prowianckich.

W obu tych wypadkach, oprócz ugodzenia ceny, strony umawiają się jeszcze o ilość, o jakość zboża, o ścisły termin odstawy i zapłaty, i wreszcie o inne dla siebie pożądane warunki i rygory. Handel zaś terminowy zbożem jest taką odmianą handlu na dostawę, przy której wszystkie warunki kupna i sprzedaży, oprócz jedynie ceny, są na podstawie uzansów czyli zwyczajów giełdowych schematycznie sformułowane. Mianowicie zaś, co do ilości: na każdej giełdzie zbożowej przyjęty jest właściwy jej szlus, czyli *najmniejsza* dopuszczalna w umowie terminowej partya zboża. Wielkość tej partyi bywa stosunkowo bardzo znaczną, wynosząc w Ameryce około 135 tysięcy, w Niemczech 50 tysięcy, we Francji 25.000 kilogramów. Umowa zaś terminowa

brzmi zwykle na jedną, czasem na większą, lecz zawsze wielokrotną liczbę takich jednostek bez ułamków. Co do jakości, sprzedaje się terminowo zboże z zasady pozbawione cech indywidualnych, bez próbki i bez typu, odpowiadające jedynie uzansowej przecięciowej dobroci, chodzi bowiem o to, aby uczynić je towarem obiegowym, łatwym do otrzymania wszędzie i każdego czasu. Co do terminu, umowa brzmi niekiedy na dwa, zwykle na jeden miesiąc, co upoważnia sprzedawcę do odstawy zboża w każdym dniu tegoż miesiąca, gdy przeciwnie nabywca aż do ostatnich t. zw. ultimowych dni onego żądać dostawy nie ma prawa.

Sposób rozwikłania interesu, rygorów i egzekucyi wskazują ściśle uzanse giełdowe.

Ostatecznie więc giełda produktowa i tylko giełda jest widownią, na której się rozgrywa, w odsłonach z góry przewidzianych, cały ten rodzaj handlu. Wyróżnia się więc on znamienne z pomiędzy zwykłych form handlu na dostawę, a zobaczymy wkrótce, że właściwości jego prowadzą do następstw niezmiernie ważnych.

II.

Aktualność kwestyi.

Giełdy produktowe nie istnieją w państwie. Z tego powodu nie ma w niem jeszcze i handlu terminowego. Zdawałoby się zatem, że zastanawianie się nad nim jest zajęciem czysto akademickiem. Tak jednak wcale nie jest. Wiadomo bowiem, że władze rządowe pracują nad projektem giełd zbożowych. Giełdy zaś te, w tej lub owej postaci, prędzej lub później zdążać będą do zaprowadzenia handlu terminowego. Jest to prawdą tak dalece, że jak donoszą gazety, giełdy niemieckie zbożowe rozwiązują się demonstracyjnie z powodu wzbronienia im tego handlu, co dowodzi, że stanowił główną ich przynętę, albo też, że sfery handlowe za niezbędny poczytują go sobie.

Wprawdzie z jednej strony w literaturze ekonomicznej napotykają się poważne głosy, wysoko podnoszące pożyteczność, a nawet niezbędność handlu terminowego w sprawie prawidłowego zaopatrywania w zboże wszystkich rynków, oraz gospodarnego z roku na rok zużytkowywania zapasów. Skądinąd jednak musi on mieć strony bardzo szkodliwe, jeżeli prawem z dnia 22 czerwca 1896 roku zabroniony zo-

stał giełdom niemieckim, jeżeli w kongresie Washingtonskim pozyskały sobie w przedwstępnych stadyach poważną większość projektowane przez Washburna przepisy, zdążające do zatamowania tego handlu, i jeżeli wreszcie ankiety parlamentarne w Wiedniu i Buda-Peszcze wzięły kierunek stanowczo temuż handlowi przeciwny. Jeżeli zatem, jak tego spodziewać się należy, rolnicy tutejsi zapytani będą przez rząd o zdanie w sprawie giełd zbożowych, to o handlu terminowym, niezmiernie dla nich ważnym, powinni mieć oni przedtem pojęcie jasne i wyrobione. Ponieważ nie nabędzie się onego na razie z natchnienia, rzeczą jest zatem wszystkich towarzystw rolniczych w państwie i wszystkich oddziałów Towarzystwa Przemysłu i Handlu, aby, dopóki czas, zastanawiały się nad kwestyą handlu terminowego. Liczyć się też trzeba z wpływowym głosem prezesa Towarzystwa Rolniczego Moskiewskiego, ks. Szczerbatowa, który w jednym z najnowszych swoich artykułów gorąco nawołuje do wprowadzenia urzędowej klasyfikacji zboża, a o giełdach produktowych wzmiankuje, jak gdyby blizkimi były urzeczywistnienia. Zresztą wszyscy piszący o handlu tym przyznają, że na układanie się cen zboża ma on wpływ górujący, chociaż-by więc dla lepszego zrozumienia panujących stosunków ekonomicznych zasługuje on na baczną uwagę.

III.

Początek i rozwój handlu terminowego.

Handel terminowy papierami publicznymi i niektórymi towarami powstał w XVII stuleciu, lecz dopiero w końcu pierwszej ćwierci bieżącego wieku rozszerzył on swój zakres i nabrał form nowoczesnych. Handel zaś terminowy zbożem, a mianowicie pszenicą, datuje od lat dopiero dwudziestu, i wziął początek na giełdach w Chicago i Nowyorku, skąd przeszczepił się szybko na inne giełdy produktowe Ameryki Północnej i Europy.

Ze względu na podobieństwo form, jest handel terminowy wciśnięciem w szablon handlu zamorskiego na dostawę. Mianowicie zaś, najmniejsza ilość towaru, w umowie terminowej dopuszczalna, wzoruje się na dużej objętości ładunku okrętowego, gatunek towaru tu i tam stosuje się do uzansów, i wreszcie szeroko dla sprzedawcy zakresłony termin wydania towaru w czasie odstawy odpowiada uwzględnianej

w handlu zamorskim nierównomiernej szybkości statków żaglowych. Lecz w handlu realnym zamorskim sprzedawca posiadać musi zakupione zboże, nabywca zaś, wiedząc skąd takowe ciągnie, ma na myśli specjalny typ i jakość miejsca pochodzenia. W handlu zaś terminowym sprzedawca może nie posiadać zboża wcale, dość byle wiedział, że znajdzie je zawsze to tu, to tam do nabycia, i na czas odstawić zdąży; nabywca zaś wie z góry, że otrzyma zboże, pozbawione cech indywidualnych, obu więc stronom chodzi jedynie o cenę, na której zakładają całą spekulację.

Widocznem jest z tych powodów, że handel terminowy zbożem powstać mógł dopiero w epoce dróg żelaznych, telegrafów i coraz ściślejszych danych statystycznych. Jeżeli z tych względów wziął początek tak późno, to natomiast, dzięki onym, rozwinął się z szybkością zdumiewającą. Miarę dokonywanych w nim obrotów dają cyfry. Na giełdzie w New-Yorku w pierwszej połowie 1887 roku, obroty w handlu realnym dostawowym uczyniły 48 milionów, w terminowym zaś 868 milionów buszli, wynosząc 35 razy więcej, niż w tymże czasie dowieziono pszenicy do New-Yorku i dosięgając prawie podwójnego całorocznego zbioru Unii z roku 1886, który wynosił 457 milionów buszli.

Z przecięcia lat 11 uczyniły:

Zbiory pszenicy w Stanach Zjednoczonych	456 mil. buszli
Wywóz roczny pszenicy i mąki pszennej	137 „ „
Dowóz pszenicy do New-Yorku	37 „ „
Obrót roczny pszenicy na giełdzie produktowej w New-Yorku	1363 „ „

Niczem to jest jeszcze w porównaniu z giełdą w Chicago, gdzie roczny obrót pszenicy na giełdzie obliczają na 7½ miliardów buszli wobec rocznego dowozu 27 milionów.

Gdyby więc nawet przypuścić, że całkowity zapas pszenicy Stanów Zjednoczonych przechodzi przez dwie te giełdy, to i wtedy jeszcze okaże się, że zapas ten kilkadziesiąt razy rocznie obraca się na nich.

IV.

Ekonomiczne znaczenie handlu terminowego.

W każdym rodzaju handlu summa corocznych obrotów znakomicie przewyższa wartość rocznej produkcji towaru. Ogrom zatem operacji w handlu terminowym nie upoważnia jeszcze do niekorzystnych o nim wniosków. Należy zastanowić się nad jego celem, przebiegiem i działaniem. Zacznijmy od potrzeb, które go do życia powołały.

Od najdawniejszych czasów, dla ułatwienia stosunku pomiędzy wytwórcą a spożywcą dalej zamieszkałym, potrzebne było pośrednictwo kupca, który zwracał towar tam, gdzie był najpożądanyszy. Często stokroć jednak zjawiał się konsument, kiedy nie było towaru, albo zgłaszał się producent z towarem, na który w danej chwili nie było nabywcy. Ujawniła się więc dla kupca potrzeba składania towaru w *śpichrzu*, zwłaszcza jeżeli towarem tym było zboże, którego produkcja jest corocznie jednorazową, a potrzeba nieprzerwaną i ciągłą. Utrzymanie wielkich *śpichrzy* prowadzi wszakże do znacznych kosztów, z powodu czynszu od pomieszczenia, procentu od kapitału włożonego za towar i ryzyka na jego uszkodzeniu. Koszta rzeczono kupiec przekłada albo na producenta, albo na konsumenta, albo na obu razem; z tego powodu *handel na dostawę*, dozwalając uniknąć tych kosztów, wielkim był dla wszystkich stron interesowanych postępem.

Nie jest wszakże i on również wolnym od niebezpieczeństw, gdyż pomiędzy ceną przyrzeczoną lub zapłaconą wytwórcy, a ceną od spożywcy po upływie dłuższego czasu otrzymaną, różnica może być znaczną i obrócić się na niekorzyść kupca, który ciężącym go z tego powodu ryzykiem znów obarcza producenta i spożywcę. Dopóki w każdej transakcyi uczestniczyło mnóstwo pośredników, ryzyko, rozkładając się pomiędzy nich wszystkich, malało. Ale w miarę centralizacji interesów kupieckich, ryzyko powiększało się i usunąć je stało się *koniecznem*.

Pożądanym kluczem do zrzucenia z siebie czynnika losowego w handlu na dostawę dał kupcom handel terminowy. Za jego sprawą, kupiec, posiadając zboże na *śpichrzu*, lub mając je zakupione na dostawę, sprzedaje taką samą ilość zboża na giełdzie na termin, odpowiadający przypuszczalnemu czasowi wyprzedazy posiadanego lub zakupionego zboża.

Za nadejściem terminu zaspakaja on zwykle sprzedaż terminową zbożem, zakupionem ze składów istniejących w każdym mieście giełdowym, nie ruszając swoich zapasów.

Skutek będzie taki, że jeżeli w terminie zboże spadło w cenie, to stratę na towarze własnym odbije sobie kupiec mniej więcej na operacji giełdowej, w zysku, wynikającym z różnicy pomiędzy ceną umowną, jaką otrzyma od nabywcy, a ceną niższą, jaką zapłaci za zboże składnikowi.

Nawzajem zaś, jeżeli zboże poszło w górę, to stratę, jaką ponieśie kupiec na giełdzie, odbije sobie mniej więcej w cenie sprzedażnej posiadanego towaru. Tym sposobem wahania cen zboża pomiędzy chwilą jego zakupu a czasem wyprzedaży stają się dla kupca obojętnymi i ryzyko schodzi do wymiarów tembardziej znikomych, że sprzedaży terminowej kupiec dokonywa zwykle na tej giełdzie, gdzie zboże najlepiej płaci.

Operacya ta jest zatem reasekuracją ceny targowej zboża z dnia sprzedaży terminowej, a spekulant, nabywający na giełdzie zboże od kupca, jest jego reasekuratorem.

Do teje samej reasekuracyi ucieka się też młynarz, cena bowiem jego produktu waha się razem z ceną zboża i spadek jej łatwo pochłonąć może cały zysk na fabrykacyi.

Uwolnienie handlu zbożem i mąką od czynnika losowego za pomocą reasekuracyi jest niezmiernem dla tegoż handlu dobrodziejstwem, dzięki jemu bowiem ryzyko kupca przestaje ciążyć na cenach producenta i spożywcy.

Nikt nie zaprzeczy, że jest to w handlu ostatni i najwyższy szczebel na drodze postępu. Ażeby ocenić jednak, jakim kosztem urzeczywistnia się płynące stąd dobrodziejstwo, i kto mianowicie płaci za korzystną dla kupców reasekurację, należy poznać bliżej z naturą transakcyi terminowej.

V.

Mechanizm handlu terminowego.

Ktoś przewidujący, że pszenica za dwa lub trzy miesiące spadnie w cenie, ofiaruje ją na sprzedaż terminową i znajduje kupującego, który oblicza lub przypuszcza, że w terminie odstawy pszenica pójdzie w górę. Przychodzi termin—pszenica spadła. Sprzedawca kupuje pszenicę ze składów i odstawia ją nabywcy, który ją płaci podług umowy.

Różnicę pomiędzy ceną kontraktową a bieżącą zyskuje sprzedawca, kupujący zaś traci.

Jeżeli znów pszenica poszła w górę, sprzedawca otrzyma od nabywcy w cenie kontraktowej mniej, niż zapłaci składnikowi w cenie regulacyjnej. Różnicę straci sprzedawca giełdowy, zyska nabywca.

Jeżeli, jak to bywa najczęściej, obu stronom nie chodzi wcale o pszenicę, tylko o różnicę ceny, w takim razie mogą zakończyć całą tę sprawę polubownie, na papierze, o ile zgodzą się na to, aby strona tracąca wypłaciła zyskującej różnicę pomiędzy ceną umowną a regulacyjną.

Stąd to pochodzi po największej części ogromna summa obrotów giełdowych zbożem, stokrotnie przewyższająca rzeczywiste jego zapasy. Nazwać ją trzeba prostą grą na różnicę, jakie czas przynosi w cenach.

Oprócz tego jeszcze opierać się może spekulacja na różnicy cen od miejsca do miejsca, i wtedy nazywa się *arbitrażem*. Dokonywa się ona według Fuchsa (Schmoller r. 1891, I, 73) jak następuje:

„Jeżeli na jakim placu zboże okaże się tańszem, spekulant tam je zakupuje na termin i jednocześnie sprzedaje na tenże termin na giełdzie placu, gdzie zboże jest droższem, a przytem do rzeczywistej odstawy towaru najczęściej wcale nie dochodzi.

„Sprzedaże te i kupna powtarzają się z różnych stron dopóty, dopóki dają zyski, t. j. dopóki różnica cen dwóch placów przewyższa ewentualne koszta przewozowe“.

Takimi są główne podstawy spekulacji terminowej. Dla zupełnego jednak jej zrozumienia należy przypatrzeć się dalszemu jej przebiegowi.

VI.

Przebieg transakcyi terminowej.

Jeżeli w dacie odstawy sprzedawca ma płacić grubą różnicę, a przewiduje, że zwyżka jest chwilową tylko i zboże znowu spadnie, w takim razie ucieka się do tak zwanego *deportu*, polegającego na wzięciu zboża na pokrycie zobowiązania od składnika, oraz na jednoczesnej sprzedaży składnikowi lub trzeciej osobie takiej samej partyi zboża, po cenie cokolwiek niższej, na nowy dalszy termin odstawy.

Różnica cen w tej tranzakcyi nazywa się deportem, sam zaś interes polega w gruncie rzeczy na zapożyczeniu zboża od składnika.

Jeżeli zaś przeciwnie w razie niżki kupujący ma tracić dużo na regulacyi, a przewiduje wyżkę, wtedy posiłkuje się *reportem*, biorąc na dotrzymanie zobowiązania pieniądze od kapitalisty i oddając mu na przechowanie otrzymane od sprzedawcy zboże, które kupuje jednocześnie po cenie cokolwiek wyższej, na nowy dalszy termin, od tegoż kapitalisty lub od osoby trzeciej. Różnica cen nazywa się w tym wypadku *reportem*. Cała zaś operacya taka jest prostą pożyczką pieniędzy aż do nowego terminu.

W deporcie i reporcie spekulant giełdowy zaciąga pożyczkę, muszą więc obok niego zjawić się na giełdzie produktowej kapitaliści, spekulujący na udzielaniu kredytu. Wypożyczający zboże nazywają się deporterami, udzielający kredytu pieniężnego—reporterami. Rola jednych i drugich jest w handlu terminowym pierwszorzędną.

W deporcie i reporcie ukrywa się procent od wypożyczenia, wyższy zwykle od dyskontowego.

Drugim rodzajem interesów są *regulacyjne*.

Wobec fluktuacyi cen, nerwowej wrażliwości giełd i zwrotności spekulantów, łatwo zdarzyć się może, iż ktoś, kto *sprzedał* zboże na maj, widzi następnie, że ceny coraz bardziej idą w górę i pójdą być może dalej jeszcze, chcąc więc ograniczyć swoją stratę, *kupuje* taką samą partycję zboża na tenże maj. Tym sposobem skasował on swoją spekulacyę i ograniczył stratę do różnicy pomiędzy ceną pierwotnej sprzedaży i następnego kupna. W terminie wypłaci on tę różnicę, nie potrzebując myśleć o produkcie.

Toż samo przy odwrotnych stosunkach może zrobić *hossier*. Obaj są to gracze, ograniczający przegranę.

Jeżeli znów *bessier* widzi spadek, a *hossier* wyżkę cen zboża, zadawalniające ich przewidywania, lub też ich zdaniem niedługotrwałe, wycofują się z tranzakcyi w ten sposób, że *niżkowiec pokrywa się* za pomocą kupna sprzedanego zboża, zaś *wyżkowiec realizuje* korzyści, sprzedając zboże kupione. Różnica pomiędzy ceną kupna i sprzedaży u obu pozostanie w zysku. Są to gracze, zadawalniający się umiarkowaną wygraną. Swoją drogą cała ta *massa* pokryć i realizacyi pomnaża obroty papierowe.

Summę tych obrotów wzmagają ogromnie meklerzy, ściągający na giełdę za pośrednictwem agentów mnóstwo zamówień sprzedaży i kupna zboża z miasta i z prowincyi.

Ci, spekulując najczęściej na własną rękę, a mając zawsze zapewnioną prowizyę, mogą z małym ryzykiem osiągnąć znaczne zyski przy

pomocy fluktuacji cen, przechodzącej nieraz w jednym dniu i na tej samej giełdzie dość szeroką skalę.

Bezmyślnie ulegając popędowi chwili, spekulują na giełdzie tak zwani dżoberzy czyli podrzędni aferzyści. Ci, nie posiadając kapitału, ani też częstokroć najmniejszego pojęcia o handlu zbożowym, koniunkturach i sperandzie, przerzucają się z bessy na hossę, przez co powiększają summę papierowych transakcji. Żeby nie wchodzić w szczegóły zbyt drobiazgowo, napomknę tylko o całej grupie interesów fakultatywnych, jako to: o premiach, stellażach i tak zwanych noch-geszeftach. W interesach tych płaci się osobno za prawo zawiązania lub rozwiązania umowy aż do oznaczonego terminu, albo też za prawo jej podwojenia lub potrojenia. Są to tak zwane *options*, częstokroć posługujące do wywierania nacisku na ceny, w Ameryce w obrębie giełdy wzbronione, które kwitły jednak na giełdzie produktowej berlińskiej i kwitną dotychczas w Ameryce po-za obrębem sali giełdowej.

Nie mogę jednak pominąć w tem miejscu urządzenia, wpływającego mocno na przebieg transakcji terminowej.

Dla spekulanta wytrawnego i zamożnego gra na różnicę tem więcej przedstawia szans korzystnych i pewnych, im więcej znajdzie w handlu terminowym partnerów niedoświadczonych, a zysku chciwych. Z tego powodu giełda wciąga w swój wir jak najwięcej ludzi. Ale korzyści rzeczzone znikają, jeżeli wejdzie do transakcji ze spekulantem człowiek mniej znany a niezamożny, który w terminie okaże się niewypłacalnym. Ażeby tej niedogodności zapobiedz, zaprowadzono na niektórych giełdach metodę wpłat i zaliczeń (*Vor und Nachschüsse*), wnoszonych w depozyt przez cały czas umowy terminowej, w wysokości objawiających się od ceny kontraktowej różnic. Daje to zupełną gwarancję wypłatności każdemu przystępującemu do umowy terminowej kontrahentowi. Jeszcze dalej idący w tym kierunku sposób polega na istniejących przy niektórych giełdach tak zwanych kasach likwidacyjnych, lub *Clearing-house'ach*, założonych na akcyę, a załatwiających ze sprzedawcami i nabywcami wszystkie obroty. Jedne z nich pośredniczą tylko, inne regulują transakcyę interesantów, stojących na otwartym u nich rachunku, tak, jakby je same na własny rachunek zawarły. Wygoda jest wielka, ale akcyonariusze tych kas zwykle sami spekulują na giełdzie produktowej, a znając wszystkie osoby, ceny i terminy, odnoszą korzyść taką, jak licytant, dowiadujący się o najwyższych ofertach współlicytantów. Co gorsza, systemat zaliczeń daje w rękę zamożnym kapitalistom niebezpieczną broń, ułatwiającą im nacisk na ceny i sprowadzającą ciągle ich wahania. Poznamy to bliżej przy opisanii giełd amerykańskich.

W końcu kilka słów z terminologii:

Zniżkowiec czyli sprzedawca nazywa się w żargonie giełdowym w Ameryce *bear'em* (niedźwiedziem), w Europie *fixerem* lub *bessierem*, zwykowiec (nabywca): w Ameryce *bull'em* (bykiem), w Europie *hos-sierem*. Ogół zwykowców nazywa się *ming*, zniżkowców *kontrming*.

VII.

Osoby uczestniczące w handlu terminowym.

Fuchs i *Wiedenfeld*, pisząc o handlu zbożowym, pierwszy w Anglii, drugi w Niemczech, dają najwyraźniej do zrozumienia, że zboże miejscowe unika giełd produktowych. W Anglii zboża krajowego z zasady nie używa ją wcale do tranzakcyi terminowych, w Niemczech zaś zwracają je z pominięciem giełdy wprost do młynów. Pomienieni autorowie, również jak *Schumacher*, pisząc o Ameryce, świadczą, że kupcy, handlujący zbożem z konsumentami i producentami, coraz bardziej stronią w handlu realnym od giełd produktowych, ani bowiem ich towar nie znalazł-by na giełdzie odpowiedniej ceny, ani też nie szukają ich na giełdzie, ani producent, ani konsument. Zresztą ta właśnie operacya, jakiej dokonywają na giełdzie kupcy zbożem, to jest reasekuracya, najlepszym jest dowodem, że nie lubią oni spekulować na termin, czyli na zmiany przyszłe, w cenach zająć mogące, tylko na różnice, istniejące pomiędzy ceną wytwórcy, a ceną spożywcy w dacie zakupu. *Fuchs* (1890 str. 65) świadczy, że jedyna operacya, dokonywana terminowo w Liverpoolu, jest reasekuracyjna. Co do producentów, sprzedaż jednorazowa, jak w Ameryce, tysiąca kilkuset, jak w Europie, około pięciuset korcy zboża własnej produkcyi, może być interesem dostępnym chyba tylko dla właściciela wielkich włości.

Rzecz prosta, że rolnik może spekulować nie tylko swoim, ale i cudzem zbożem, ale taki będzie miał własną produkcyę na ostatnim planie, a na pierwszym spekulacyę na różnice, jak to wkrótce, przy rozpatrzeniu giełdowej jakości zboża, bliżej poznamy.

Co się tycze konsumentów, a zwłaszcza młynów, te rzadko kiedy zasilają się w zboże na giełdzie, dla nich bowiem gatunek nabywanego towaru gra przy fabrykacyi pierwszorzędną rolę, a z wyjątkiem Ameryki, gdzie z marki zboża w przybliżeniu przynajmniej można wierzyć w jakość partyi, która odstawioną będzie, nigdzie zre-

sztą pod względem gatunku i jakości giełda nie daje pożądanego zapewnienia. Najzarliwszy poplecznik giełd zbożowych, Kohn, oświadcza wyraźnie, że niema na nich miejsca ani dla producentów, ani dla konsumentów.

Tym sposobem, po wyłączeniu z handlu terminowego obrotów realnych, pozostaje w rzędzie jego uczestników cała masa negocyantów zbożowych i młynarzy z operacją reassekuracyjną, całe mnóstwo reporterów i deporterów, z operacją kredytową, i wreszcie liczne rzesze kapitalistów, meklerów i spekulantów doraźnych, z operacją na różnice.

Najgłówniejszej przyczyny nieobecności producentów i konsumentów na giełdzie szukać należy w samym przedmiocie handlu terminowego, t. j. w jakości zboża, przezeń obracanego.

VIII.

Zboże w handlu terminowym.

Pomimo wszelkich krzywd i nadużyć, pomimo słusznych krzyków oburzenia rolników amerykańskich na elewatory, to wszakże przyznać należy, iż one-to pierwsze zaprowadziły i przeprowadziły celowo klasyfikację pszenicy. Wprawdzie mylnem jest mniemanie, jakoby klasyfikacja amerykańska przedstawiała coś bardzo stałego, gdyż z roku na rok i od miejsca do miejsca zmienia się ona, a nawet zmienia się częstokroć w toku kampanii rocznej i rozmaita bywa w dwóch elewatorach, znajdujących się w tem samem mieście. Jeszcze mylniejszem jest zdanie, jakoby inspektorowie rządowi zapewniali klasyfikacji ścisłość. W wielu bowiem miastach nad elewatorami czuwają podług prawa nie inspektorowie, lecz giełdy, a w innych dzieje się toż samo wbrew prawu. Ale własny interes negocyantów giełdowych, a bardziej jeszcze jednostajność gruntów i opadów na ogromnych przestrzeniach wewnętrznej równiny północno-amerykańskiej zapewniają tam do pewnego stopnia niejaką równomierność w klasyfikacji. Obok tego jeszcze zwyczajowo ziarno do siewu biorą fermerzy z elewatorów, te zaś w interesie własnym rozdają nasienie jednakowe. Wreszcie, kiedy w Europie odwieczne rolnictwo odznacza się niesłychaną różnaitością produkcji, do jakiej stopniowo przystosowywał się handel, to w Ameryce, przeciwnie, młode rolnictwo zawdzięcza swoje powstanie i pioru-

nujący rozwój handlowi. To też handel terminowy, potrzebując dla tysięcy transakcji zboża wciąż w jednym gatunku, początek swój zawdzięcza Ameryce dla tego, że *wymiennosc* zboża, czyli jakość onego, bez względu na ilość dostaw mniej więcej zgodna z umówioną marką, nie jest tam zupełnem urojeniem, lecz do pewnego, znośnego jeszcze stopnia, rzeczywistością. Skoro tylko jednak giełdy zbożowe rozkrzewiły się w Europie, musiał świat kupiecki dać im za podstawę też samą, w abstrakcyi wziętą, zasadę wymiennosci zboża. Wobec niezmiernej różnitości produkcji europejskiej, zaprowadzenie w niej jakiegokolwiek klasyfikacyi okazało się niemożliwem, a to tak dalece, iż z tego-to właśnie powodu w Londynie, tej stolicy wszechświatowej handlu zbożowego, handel terminowy nie może puścić korzeni, gdyż prowadzą go kupcy solidni, którzy na psucie zboża dla handlu puszczać się nie chcą. Na jedynej zaś prowadzącej handel terminowy wielkiej giełdzie produktowej angielskiej, mianowicie w Liverpoolu, w handlu tym przyjmuje się wyłącznie pszenicę kalifornijską № 1 (Fuchs 1890, str. 61).

W Niemczech, tak ważnych dla nas jako główny odbiorca żyta, gdzie dowóz zboża zagranicznego nierównie mniejszą gra rolę, niż w Anglii, a handel terminowy z powodów spekulacyjnych bardzo liczną znajduje klientelę, musiano uciec się do wytworzenia pojęcia (nie zaś typu) zboża uzansowego — „przecięciowego” — zastępującego markę amerykańską z ogromnym ku gorszemu odskokiem. Zboże to wytwarza się ze wszystkich możliwych odmian, z wyjątkiem jedynie kilku szczególnie nieprzydatnych, przez sztuczne wymieszanie, i oprócz tego, że ma być suchem i zdrowem, jedną ma tylko cechę niewątpliwą, to jest wagę gatunkową. Od kilku lat rząd pruski wagę tę, wbrew giełdzie produktowej berlińskiej, ustanawiał dla niej w coraz wyższych cyfrach. Od 1 stycznia 1894 r. obowiązywało dla żyta 712 gramów w litrze. Również może być ściśle udowodniony stopień zanieczyszczenia. Ale zresztą, ani barwa, ani twardość, ani dorodność i kształt ziarna, ani wypełnienie jego, ani inne cechy, nie mogą być ściśle oznaczone. Ponieważ to, co jest postawione w handlu jako wymaganie minimalne, zmienia się w wykonaniu na spełnienie maksymalne, stąd więc poszło, że w Berlinie istnieją całe ogromne składy zboża, nie mogącego posługiwać do niczego więcej, jak tylko do handlu terminowego. *Schumacher*, opierając się na sprawozdaniu komisji ankietowej giełdy berlińskiej, powiada, że w roku 1892 ze zboża, zameldowanego do odstawy i obejrzanego przez rzeczoznawców, na 65 tysięcy tonn pszenicy i 62 tysiące tonn żyta okazało się nieodpowiednych skromnym warunkom handlu terminowego 47 tysięcy tonn pszenicy, czyli 72%, i 23 tysiące tonn żyta, czyli 37%. Ma się rozumieć, że w takim zbożu trudno wyszukać

materyału do mlewa. Praktyka dowiodła, że zboże wyższej kondycji zbyt mało uzyskuje w handlu terminowym na cenie, aby się je wydać opłacało, dla tego też sprzedający dopóty dobiera je pośladem, dopóki nie doprowadzi go do pożądanej kondycji. Ten-to jest powód, dla jakiego pośladę płacą czasem nadmiernie, jak tego mógł każdy na własnej praktyce doświadczyć.

Najbardziej przekonywającymi będą zapewne w tej mierze wyrazy zapalonego poplecznika handlu terminowego, Kohna, (Getreide-terminhandel 133).

„Wpływ, jaki przez określenie gatunku wywiera handel terminowy na dobroć zboża, obchodzi zarówno producentów i konsumentów Działania jego pod tym względem nie można poczytywać za dobroczynne. Przez uprawnienie niskiej jakości umożliwia on puszczanie w obrót ladajakiej mieszaniny (allerlei Gemisch) i może poprowadzić do osłabienia „staranności w uprawie roli.“ To wytwornie nazwane „osłabienie uprawy“ było-by prosto zdziczeniem rolnictwa.

Pod tym względem pomiędzy piszącymi o handlu terminowym stronnikami jego i przeciwnikami niema różnicy zdań, *wszyscy* zgadzają się jednogłośnie na to, że kondycya obracanego w nim zboża jest lichą.

IX.

Zakończenie transakcyi terminowej.

Dla zupełnego zrozumienia handlu terminowego, należy poznać chociaż pobieżnie sposób zakończenia transakcyi.

Skoro sprzedawca w toku jednego lub dwóch miesięcy terminowych wybrał sobie datę odstawy, zawiadamia o tem nabywcę za pomocą wezwania, zwanego po niemiecku Andienungs lub Kündigungsschein, i oznacza skład, w którym obejrzeć można zboże, a w Ameryce prócz tego jeszcze podaje numer i miejsce wydania świadectwa składowego (warrantu). Wezwanie składa sprzedawca sekretarzowi giełdy lub kasie likwidacyjnej, jeżeli ta istnieje. Sekretarz lub kasa wywołują nabywcę, a jeżeli ten sprzedał dalej zboże, biorą od niego przekaz na wezwaniu i zwracają się do następnego nabywcy. Idą tak kolejną aż do ukończenia kwerendy, na którą przeznaczają czas krótki. Z chwilą jej zamknięcia odebrać musi zboże ten, u kogo znajduje

się w ręku wezwanie. Jak dalece każdy chciał-by tego niemiłego nabytku uniknąć, dowodzi gorączkowy pośpiech, z jakim wśród głośniejących krzyków arkusz z wezwaniem przelatuje podczas kwerendy z ręki do ręki. Szereg powiązanych na wezwaniu osób nazywa się *łańcuchem* (filière), którego pierwsze ogniwo A, wystawiające wezwanie, ma wydać zboże ostatniemu ogniwu Z. Zdarza się niekiedy, że tem ostatniem ogniwem bywa też sama osoba A; wtedy zamyka się na niej łańcuch i tworzy się *pierścień*, w którym nikt nikomu zboża nie wydaje. Tak czy owak jednak, obowiązuje dla rozliczeń pomiędzy wszystkimi osobami do łańcucha wchodzącymi urzędownie ogłoszona przez giełdę cena regulacyjna. Wszystko to niesłuchanie upraszcza terminowe transakcje, *ale możliwem jest dla tego tylko, że ilość, gatunek i termin odstawy zboża są we wszystkich umowach jednakowe.*

Gdyby osoba A nie wydała zboża, lub osoba Z nie mogła onego zapłacić, wtedy osoba B obowiązana będzie do wydania, a osoba Y do zapłacenia zboża. Osoby zaś A i Z ulegną rygorom giełdowym.

Odstawa musi być na siódmy dzień ukończoną, poczem niezwłocznie następuje zapłata.

Jeżeli nabywca znajduje zboże nieodpowiednem, wzywa biegłych. Jeżeli ci otaksują zboże niżej, jako brakowe, wolno nabywcy wziąć zboże podług oszacowania biegłych, albo je odrzucić. W takim razie sprzedawca będzie uchybiającym. W razie uchybienia strony przeciwnej, sprzedawca ma prawo sprzedać, a nabywca nabyć zboże na rachunek uchybiającego, z doliczeniem różnicy pomiędzy ceną kontraktową, a urzędową regulacyjną. Na berlińskiej giełdzie sprzedawca do różnicy nie miał prawa.

Osoby pośrednie łańcucha lub pierścienia B, C, D i t. d. rozliczają się i regulują pieniądze. Ułatwiają to kasy likwidacyjne i Clearing house'y, tam gdzie istnieją.

Jeżeli uchybiający umowie terminowej nie uiszcí dobrowolnie różnic i wszelkich należności, ulega egzekucyi z wyroku sądowego. Lecz berlińskie sądy, uważając grę na różnicę za niezasługującą na opiekę prawa, częstokroć odmawiały egzekucyi umowom terminowym. Opierały się ich wyroki na poszlakach i domniemaniach, niepodobna bowiem wskazać stanowczych oznak, odróżniających rzeczywiste kupno i sprzedaż od prostej gry na różnicę. Dla tego też wyroki takie, przy słabym fundamencie, zamiast naprawy, wniosły jedynie nowy jeszcze zamęt do stosunków giełdowych.

Teraz, kiedy już poznaliśmy cokolwiek naturę, mechanizm i czynniki handlu terminowego zbożem, możemy powrócić do zapytania roz-

strzygającego o żywotności wniesionego przezeń postępu: *jakim jest wpływ jego na ceny zboża?*

X.

Wpływ cen terminowych na ceny producentów.

W oznaczeniu wpływu handlu terminowego na ceny, osiąmane przez rolników, górują dwa fakty: pierwszy, że cena *terminowa* mocno oddziaływa na cenę giełdową za towar *gotowy*, i drugi, że ceny giełdowe bezwarunkowo rządzą ceną, osiąganą przez producentów swego kraju.

Największy nawet nieprzyjaciel giełdy uznać musi, że kto chce spekulować rozumnie na cenę terminową, musi dokładnie zbadać konjunktury, to jest wszystkie stosunki produkcji, konsumpcji, wymiany pieniężnej i towarowej, transportu, ceł i t. p. Odliczywszy co należy na sztuczne wpływy, zawsze fluktuacje cen w handlu terminowym będą wyrażały dla giełdy zapatrywania się wytrawnych spekulantów na konjunktury w niedalekiej przyszłości.

Giełda i tu, jak zwykle, dyskontuje w terażniejszości wskazówki zmian oczekiwanych i nagina do nich potrochu cenę na towar gotowy.

Do tej psychologicznej przyczyny dołączają się bardzo mocna realna. Jeżeli cena towaru terminowego *znacznie przekroczy bieżącą*, to znajdują się zaraz nabywcy na towar gotowy, którzy od ręki sprzedadzą go na dalszy termin i, przechowując go przez czas pewien w swoich składach, odniosą zysk bez najmniejszego ryzyka, byle tylko sprzedaży dokonali w pewne ręce. Są to właśnie owi reporterowie, o których wyżej była mowa. Jednoczesna konkurencja ich do kupna towaru gotowego i do sprzedaży terminowego zbliży do siebie nawzajem te ceny.

Jeżeli znów cena zboża terminowego *będzie niższą* od bieżącej, to kupcy, posiadający zboże na składzie, będą je odprzedawać za gotowiznę i odkupywać na dalszy termin, a powiększone zaoferowanie tych t. zw. deporterów w towarze bieżącym, tudzież wzmocnione zapotrzebowanie w towarze terminowym, złagodzi istniejący pomiędzy ich cenami odskok. A zatem skutkiem wciąż działającego reportu i deportu odskok ten nie może przekroczyć w czasie normalnym umiarkowa-

nych granic. Mocny report cechuje bardzo już chybioną spekulację zwykwców. Takież sam wielki zawód wyraża się u bessierów wysokim deportem.

Przechodząc do wpływu giełd produktowych na ceny ofiarowane producentom, jasnym jest bez komentarzy, że ceduła urzędowa wielkiej korporacji handlowej, ogłaszająca ceny bieżące i przyszłe, osiągnięte przez najbiegłych kupców i najpoważniejsze firmy, mieć musi dla rolników nieprzeparte znaczenie. Kupcy realni korzystają z niej, ofiarując rolnikom cenę giełdową za potrąceniem kosztów przewozu do miasta giełdowego. Nie jest to przytem okolicznością obojętną, że o prawdziwej tendencji wnioskować z ceduły profanowi wcale nie łatwo.

Z powyższych przesłanek wywiązuje się nieodbitcie wpływ ceny terminowej na cenę bieżącą, przez producenta osiąganą.

XI.

Tendencja cen w handlu terminowym.

Następuje się teraz pierwszorzędne pytanie: czy w handlu terminowym, przy dzisiejszych warunkach produkcji i konsumpcji zbożowej, tkwią organiczne pierwiastki, skłaniające ceny ku wyższe, czy też ku niższe.

Nie kierując się zdaniem przeciwników handlu terminowego, lecz opierając się głównie na świadectwie najgorętszych jego popleczników, okazuje się, że kondycja obracanego nim w Europie zboża jest bardzo licha, mówi bowiem Wiedenfeld, że nawet zboże, przybywające z Ameryki do Niemiec, nie odpowiada najczęściej klasyfikacyjnej marce.

Zdawało-by się jednak, że na gruncie rodzimym, amerykańskim, jakoś obracanego w tamtejszym handlu terminowym zboża powinna-by ściśle rzeczonyj marce odpowiadać. Tymczasem każdy śledzący z telegramów „Słowa“ przebieg cen zboża na giełdzie Nowo-yorskiej (uwidoczniony na załączonej w końcu tablicy) mógł zauważyć różnicę, *sięgającą 15 kop. na pudzie*, pomiędzy ceną pszenicy targową, a terminową końcomiesięczną, czyli odstawową. Różnica ta jest rażąca, z powodu, że obie ceny ściągają się do towaru gotowego, ulegającego niezwłocznemu wydaniu. Aby ją sobie wyjaśnić, udałem się do jednej z najpoważniejszych firm warszawskich, która zwró-

ciła się z zapytaniem do kupca rzeczoznawcy w Gdańsku i otrzymała następującą odpowiedź:

„Różnica pomiędzy cenami Nowo-yorckimi pszenicy targową a terminową wynika z powodu, że tam przy loco-handlu (gotowym towarem ze śpichrzów) wymaga się *daleko większej dobroci towaru*, niż w transakcjach terminowych. *Loco* sprzedaje się jedynie dobrą czerwoną pszenicę zimową, gdy tymczasem na termin oddaje się *pośledniejszą i przemieszaną z jarą* (geringere mit Sommerweizen untermischt) Ponieważ w roku zeszłym zbiór pszenicy zimowej był skąpy, i ta jest bardzo poszukiwaną, różnica więc cen *loco* i terminowej wypada w porównaniu z innemi latami bardzo wysoką“.

Wiadomo, że na giełdzie produktowej Nowo-yorckiej do transakcji terminowych używa się z *zasady* pszenicy czerwonej zimowej № 2. *Fakta zaś* przekonują, że natomiast w Ameryce, tej klasycznej ziemi elewatorów, wydaje się mieszaninę. Zboże zatem terminowe na obu półkulach jakoś ma podrzędą.

Jeżeli zaś towar jest lichy, to i cena zań wysoką być nie może.

Następnie, dla potrzeb ciągłego reportu i deportu, w siedlisku giełdy produktowej znajdować się muszą ogromne zapasy zboża. *Uciśkanie zaś rynku towarem nie może wpływać dobroczynnie na cenę.*

Do dwóch tych przyczyn dotykalnych dołącza się trzecia charakterystyczna, od handlu terminowego nieodłączna, że przy nim, i *tylko przy nim*, zjawia się liczna i potężna grupa spekulantów, której całem wyrachowaniem i racją bytu jest zniżanie ceny zboża.

Piszący o handlu terminowym przytaczają, że jest to jedyna forma, przy której sprzedawca spekulować może na zniżkę. Przy innych bowiem formach handlu sprzedawca, posiadając towar, traci na zniżce tutaj zaś, nie posiadając towaru, nabywa go dopiero w dacie odstawy i zyska tem więcej, im taniej go nabędzie w tej dacie. Należy zauważyć jednak, iż możliwość dla sprzedawcy zysku na zniżce jest właściwością wszelkiego handlu na dostawę. Tak samo bowiem producent, posiadający zboże w stodole, jak i liwerant, nabywający je na krótki czas przed wydaniem, zyskują na wcześniejszej sprzedaży, jeżeli w dacie wydania zboża cena spadnie.

Pomiędzy handlem na dostawę, a handlem terminowym jest jednak różnica rzeczywista, polegająca na tem, że liwerantów jest w świecie niewiele, a na giełdzie są nimi wszyscy zniżkowcy; że liwerant musi znać się dobrze na handlu zbożowym, kiedy bessier, mając na dyferencję cen gotówkę w kieszeni, wcale zboża widzieć nie potrzebuje, i że wreszcie liwerant zarobić może suto na kontrakcie dostawy, chociaż-by ceny umowne pozostały bez zmiany, kiedy korzyść bessiera polega tylko, jedynie i wyłącznie, *na spadku cen zboża.*

Jakkolwiek i kupcy realni odnoszą również zysk na zniżaniu ceny producentom, to jednak rzeczywiste ich wyrachowanie polega na powiększeniu różnicy pomiędzy cenami producenta i konsumenta, tak, że pośrednicząc pomiędzy nimi, kupiec znajdzie swój rachunek, nie potrzebując koniecznie zniżyć ceny producentowi, byle-by znalazł zbyt korzystny w ręce konsumenta. Zresztą możliwe zapędy zniżkowe kupca miarkuje konkurencya. U spekulanta terminowego nikną wszystkie względy poboczne, pozostaje tylko jeden cel, wydzielony z życia rzeczywistego — zimny jak każda abstrakcja — zniżenie absolutne ceny produktu. Wreszcie dążności kupców realnych są rozproszone i niema w nich jedności. Tam, gdzie kupców małomiasteczkowych o porozumienie się podejrzewamy, pomawiamy ich o karygodną zmowę. *W handlu zaś terminowym zjawia się ta jedność zorganizowana, uporządkowana i uprawniona.* Jest to armia regularna w przyrównaniu do zwykłej ruchawki.

Powiada Wiedenfeld (VII—193) o manewrach zniżkowców w Berlinie:

„Wzmacniają oni zaofiarowanie i osłabiają żądanie. Ze wszystkich stron ściągają zboże, ażeby użyć onego na zaofiarowanie dostawy, a po uczynionem zaofiarowaniu wycofują je z giełdy. Wszak w przeddzień ultimo przybywają częstokroć do Berlina całe pociągi ze zbożem. Z upodobaniem używa się do tego pośledniego ziarna. Przez zaofiarowanie najlichszego nawet towaru podaż wydaje się wzmocnioną, a że to zaofiarowanie na nic się nie zda, to się pokazuje dopiero po niewczasie. Tymczasem jeżeli nabywca tego zboża nie przyjmie, to sprzedawca zgarnia do kieszeni różnicę, powiększoną jeszcze dzięki pozornemu jego zaofiarowaniu, i powtarza ten sam manewr przy pierwszej sposobności, ilekroć koszta składowe opłacają mu się w różnicy“.

Nieodłączną wreszcie właściwość handlu terminowego stanowi *organiczna przewaga zniżkowców nad wyżkowcami, jaką im zapewnia termin odstawy.* Sprzedawca bowiem tylko sam ma prawo wybrać w ciągu terminowego miesiąca dzień, podług cen dla odstawy najkorzystniejszy, kiedy nabywcy prawo to nie przysługuje, a jak utrzymują rzeczoznawcy, ze względu na możliwe zmowy hossierów przysługiwać nigdy nie powinno. Bądź co bądź, wzmacnia to niepomalu pozycję bessierów.

Tym sposobem wszystkie zgoła czynniki i warunki handlu terminowego składają się na to, że naturalna jego tendencya jest zniżkową.

XII.

Wpływ handlu eksportowego na ceny w handlu terminowym.

Przechodząc od przyczyn niżki, bezpośrednio wpływających z handlu terminowego, do tych, jakie wynikają z powodu posiłkowania się nim importerów i eksporterów do swoich celów, zastanowić się musimy nad eksportem zbożowym północno amerykańskim, jako najbardziej wpływowym, najbardziej rozwiniętym i rozporządzającym największą masą towaru.

Mówiliśmy już o tem powyżej, iż negocjanci zbożowi reassekurują się na giełdzie przeciwko możliwym na spadku cen stratom. Ponieważ przez to neutralizują oni wpływ cen przyszłych na swoje zyski, zdawało-by się zatem, że przebieg cen na giełdzie powinien być dla nich obojętnym. Na nieszczęście rzecz ma się inaczej. Przy dzisiejszem ustosunkowaniu produkcji i konsumpcji zboża, o cenach jego rozstrzyga zapotrzebowanie, co znaczy, że ceną dysponują raczej rynki importowe, niż eksportowe, i jeżeli w połowie bieżącego stulecia klucz do cen spoczywał w Królewcu, Gdańsku i Szczecinie, to obecnie Londyn, a raczej Liverpool, jako najgłówniejszy punkt importowy, zajął ich miejsce.

Zysk amerykańskiego negocyanta polega oczywiście na różnicy pomiędzy ceną liverpoolską, po strąceniu z niej transportu i prowizyi, a ceną miejscową.

Gdyby podnoszenie się ceny liverpoolskiej zależnem było jedynie tylko od dostaw ze Stanów Zjednoczonych, w takim razie hossą miałyby na giełdzie amerykańskiej równą szansę z bessą, zwyczajka w Ameryce wywoływała-by zwyczajkę w Liverpoolu i różnica pozostawała-by w mierze. Ale, oprócz dostaw amerykańskich, jeszcze rossyjskie, indyjskie, argentyńskie i inne wpływają na cenę liverpoolską, która w ten sposób nie leży w mocy amerykańskiego negocyanta. Stokroć bardziej w zakresie jego obrotności leży inny sposób powiększenia powyższej różnicy, polegający na zniżaniu ceny na giełdzie amerykańskiej, na czem zyskują miejscowi kupcy, ale tyleż tracą producenci.

Następnie wywierają też wpływ zniżkowy kompanie elewatorowe. Przypomnieć tu należy, iż, jak świadczą Schumacher i o kilka lat dawniejszy Wiedenfeld (IX, 665), „zakup zboża od gospodarzy amery-

kańskich zmonopolizowany jest przez kilka towarzystw elewatorowych“.

Towarzystwa te są zapewne największymi na świecie negocyantami zbożowymi, pytanie zatem: kiedy zyskują więcej? czy kiedy ogólna wszechświatowa cena zboża jest niska, czy kiedy idzie w górę?

Odpowiedź na to prosta:

Niska cena zboża zmniejsza koszta administracji elewatorów, co w każdym przedsięwzięciu finansowem ma pierwszorzędne znaczenie, zmniejsza zaś dla tego, że zniża sumę procentu od olbrzymiego kapitału, leżącego beczynnie w zakupionem zbożu, przez czas pomiędzy kupnem jego, a realizacją na drugiej półkuli. Zysk zaś właściwy towarzystw elewatorowych buduje się nie na absolutnej cenie, tylko na różnicy pomiędzy ceną otrzymaną na angielskim rynku, a zapłaconą amerykańskiemu producentowi.

Jak wyłuszczone powyżej, oddziaływanie na rynek angielski zawsze jest dla eksportera wątpliwe, tem silniejszym za to okazuje się nacisk jego na producenta, najprzód za pomocą obniżania ceny giełdowej, a następnie przez sposób stosowania tejże ceny przy kupnie od rolnika.

Kompanie elewatorowe znajdują się z towarzystwami dróg żelaznych w najściślejszych związkach i pobudowały w okręgach rolniczych na stacyach kolejowych niewielkie spichrze, objętością mniej więcej na 100,000 kg. każdy. Do spichrzów tych nie tylko nie chcą, ale nawet nie mogą one przyjmować zboża na przechowanie, bo spichrze są obliczone na załadowanie pociągu drogi żelaznej i muszą być od dnia do dnia opróżnione dla dalszych ładunków. Fermerzy zuów czekać ze zbożem nie mogą, nie mając ani młockarni własnych, ani spichrzów; co wyjdzie z pod cepów parówki, musi iść na wywóz.

Ale drogi żelazne robią z przewozem do miast największe trudności, fermerzy nie mają worków, a na stacyi niema gdzie złożyć zboża. Z konieczności fermer musi zwrócić się do elewatora, gdzie traci podwójnie: raz na misternie zniżonej przy kupnie klasyfikacji, a po wtóre na zniżonej cenie giełdowej nawet i tej narzuconej sobie klasy.

Jest to najboleśniejszy cień w bytowaniu amerykańskiego rolnika, którym się tłómaczy poniekąd niepohamowany wzrost: „Farmers alliance'u“ i zacieka do elewatorów nienawiść fermerów. Ale przypuśćmy, że skończyła się już młocka i główne partye zboża już są zakupione. Nadchodzi czas ich wyprzedazy. Zdawało-by się, że wtedy przynajmniej elewatory mają interes w zwyżce. Tak jednak nie jest wcale. Im większą bowiem masą zboża dysponują elewatory, tembardziej muszą być ostrożne. Każdą zatem zakupioną partyę zboża nie-

zwłocznie sprzedają na termin, w terminie zaś regulują się na giełdzie za pomocą różnic. Przez takie działanie zabezpieczają się wprawdzie od strat, ale też tracą interes w następnej zwyżce, gdyż wiedzą, że dzięki reasekuracyi, tak, czy owak, zawsze pozostanie im w kieszeni czysta różnica pomiędzy ceną zapłaconą producentowi, a ceną bieżącą targową w dacie kupna.

Dla tego też *zniżka cen terminowych* w New-Yorku lub Chicago, dająca towarzystwom elewatorowym korzyść na reasekuracyi dotykającą i pewną, będzie przyrodzonym ich kierunkiem, zwyżka bowiem żadnych korzyści im nie przyniesie.

Pomimo więc wszystkich korzyści metody reasekuracyjnej dla kupców, do jakiej daje możność handel terminowy, nie pozostaje ona jednak bez szkodliwego dla rolników wpływu na ceny, skoro ona-to przerabia najpoważniejszych w świecie negocyantów na stałych *besierów*.

Z tego również powodu, najważniejszy dla rolników przemysł młynarski, licząc się ze zniżkową tendencją giełdy produktowej, musi się także reasekurować, i chociaż w pewnych porach roku miał-by interes w zwyżce, stale jednakże, jako reasekurowany, podąża ku zniżce. Washburn i Pillsbury, najgorętsi przeciwnicy handlu terminowego, są to właściciele największych w świecie młynów.

Przypatrzmy się teraz najdalszym powodom zniżki, z powyższych czynników wynikającym.

XIII.

Giełdy zbożowe amerykańskie.

Na obroty wszechświatowe zbożem największy wpływ wywierają giełdy zbożowe amerykańskie, tam więc wysledzić można ostateczne wyniki całego urządzenia, i to tem bardziej bezstronnie, że giełdy te obracają najlepszym zbożem.

W Niemczech, przed kilku laty, niejaki p. Viland złożył kancelarzowi państwa fundusz, potrzebny na delegowanie do Stanów Zjednoczonych rzeczoznawcy dla zbadania tamtejszego handlu zbożowego. Kancelarz wybrał p. Schumachera, który w szeregu artykułów, ukończonych niespełna przed rokiem, podał w rocznikach Conrada sprawozda-

nie z dłuższego pobytu w Unii. Z jego drgających życiem opisów można dowiedzieć się bardzo nauczających szczegółów, z których tu częśćkę przytaczam.

Bulle, czyli zwyżkowcy, nabywcy zboża, rekrutują się głównie z Outsiderów, pod jaką to nazwą znani są na wszystkich giełdach spekulanci, niebędący z zawodu kupcami, tylko goniącymi za doraźnym zyskiem dylettantami. Oprócz pewnej liczby zwykłych uczestników giełdy, których w stronę zwyżki pędzi wrodzone usposobienie, zjawiają się też pomiędzy bullami od czasu do czasu i wytrawni hossierzy, ryzykujący ogromne stawki na karkołomne spekulacye. Ci robią niekiedy interesy milionowe za pomocą *Corneru*, czyli sztucznego odcięcia jakiegoś umyślnego placu od wszelkich dostaw zboża, ale udaje im się to coraz rzadziej, i zresztą, po chwilowem powodzeniu, zwykle kończą oni ruiną.

Partya przeciwna — bearów, sprzedawców zboża, ubogą jest w outsiderów, bo tym nie mieści się w głowie, że można sprzedać zboże, nie posiadając go wcale. Składa się więc ta partya prawie na wskroś ze stałych uczestników giełdy. Siły dwóch tych obozów są, i pod względem kapitału, i pod względem znajomości rzeczy, bardzo nierówne. Z jednej bowiem strony spotykamy elewatory, młynarzy i exporterów, z drugiej zaś głównie outsiderów; nierówność zaś ta potęguje się w dwójnasób zwartością i solidarnością bearów, kiedy bulle idą do walki rozsypani, bez rutyny i bez porozumienia.

Żeby dać miarę śmiałości, jaką napelnia bessierów poczucie przewagi, dość powiedzieć, że przodownik ich, Pardridge, miał przez czas pewien sprzedanego na jeden termin a niepokrytego zboża 25 milionów buszli, czyli 675,000,000 kilogramów.

Mylnem jest zdanie, jakoby olbrzymie na raz zaofiarowanie zboża na dalszy termin nie zniżało ceny terminowego, a w bezpośrednim następstwie i gotowego towaru. Zdaniem stronników giełdy, ma to następować jakoby z powodu, że skoro summa tak dokonanej sprzedaży równa jest summie dokonanego kupna, wpływ zaofiarowania równoważyć się ma przeto wpływem zapotrzebowania. Ale w obrotach kupieckich wcale to dowiedzionem nie jest, aby kupiec, żądający 1000 korcy, nie nabył zaofiarowanych mu 1,500. Owszem, nabędzie, tylko taniej zapłaci.

Najsilniejszą bronią w ręku zniżkowców jest systemat zaliczeń, czyli merdżin. Polega on na tem, że przy zawarciu umowy terminowej, strony składają w depozyt do banku zadatek, a następnie przez cały czas trwania umowy, przy każdej zmianie cen zboża, strona, przeciw której obraca się cena, wnieść musi dodatkowo różnicę do banku. Sum-

ma depozytów takich wyniosła w New-Yorku w 1885 roku 25 milionów dolarów; w Chicago zaś w depozytach takich leży stale summa około 5 milionów dolarów.

Jak powiada Schumacher, rzadko kiedy nabywca zboża, o ile jest outsiderem, wie o tem, że jeżeli sprzedający żąda od niego złożenia zadatku, toż samo prawo i jemu przysługuje na odwrót. Ale chociaż-by to wiedział, to inną gra rolę zadatek dla kupca, obytego w świecie finansowym, a inną dla dylettanta. Wobec zaliczeń, w razie postępowego spadku cen, położenie nabywcy staje się coraz to cięższem, kredyt coraz trudniejszy urywa mu się wreszcie: złożenie wpłaty przechodzi jego siły, zostaje on, jak się mówi, wysadzonym z siodła, poczem na niektórych giełdach sprzedawca ma prawo sprzedać zboże na jego rachunek, na innych może rozwiązać umowę i zgarnąć zadatki i zaliczenia. Ten też jest cel właściwy polityki bessierów. Spekulacya terminowa rozciąga się tym sposobem nie na samą tylko chwilę rozwikłania umowy, ale trwa bez przerwy, utrzymując giełdę w stanie ciągłego naprężenia i rozgorączkowania i wywołując nieustanne fluktuacje w cenach. Zauważyć trzeba, że systemat wpłatowy, przyjęty w Europie na wielu giełdach, na berlińskiej nie istniał wcale, sprzeciwiał się temu bowiem przeważający na tej giełdzie interes spekulacyjny meklerów.

Wreszcie, na zniżenie cen u producentów wielce wpływa sposób zbierania i ogłaszania cen w handlu giełdowym na gotowiznę (t. zw. loco lub kassa handlu). Ceny te wypośredkują się w Ameryce w ten sposób, że interesanci dyktują sekretarzowi do książki cenę dokonanych tranzakcyi, i każde ich co do odnotowania żądanie spełnionem być musi. Ile w tych podaniach jest umów rzeczywistych, a ile pozornych, tego nikt nie dojdzie. Z podań tych wszakże wypośredkuje się cena, która rozchodzi się w drukowanych cedułach po kraju i stanowi najważniejszą dla tranzakcyi podstawę. Do niedawnego jeszcze czasu cedulę ową, z tak zwanym wtedy *list-pricem*, rozsyłano rolnikom a koleje żelazne, elewatory i młyny wspólnie oplacały agentów, celem kontrolowania na miejscu, czy niema gdzie jakiego konkurenta, podbijającego ceny, ażeby takiego śmiałka obezwładnić, skoro się tylko pokaże.

Jeżeli teraz rozejrzemy się w tym ogromie interesów, usiłowań i środków, oddziaływających na zniżkę, to zrozumimy przyczyny zjadłej nienawiści, jaką dyszą względem giełd i handlu terminowego rolnicy amerykańscy.

W Niemczech nie musiało dźiać się lepiej, skoro doszło do postanowienia wyrażonego krótko w § 50 prawa giełdowego z r. z.: „der börsemässige Terminhandel in Getreide und Mühlenfabrikaten ist

untersagt.“ Zabrania się dokonywania giełdowym porządkiem handlu terminowego zbożem i przetworami mącznymi.

W Anglii, zdaniem Smitha (Commerc. Gambling 15), jedną z najważniejszych przyczyn spadku cen zboża jest giełda produktowa Liverpoolska, jej spekulacje, a nadewszystko systemat wpłaty obok istniejącego tamże dla handlu terminowego Clearing - house'u. Podług obowiązujących giełdę ową uzansów, jeżeli nabywca zboża uchybia wpłaty, kupiona przez niego partya idzie bezwarunkowo na sprzedaż przymusową dla wypośrodkowania strat sprzedawcy. Lecz uchybienie takie nabywcy następuje skutkiem mocnego spadku ceny, a sprzedaż przymusowa przy takiej konjunkturze sprowadza popłoch i dalsze sprzedaże, z czego wywiązuje się panika i spadek cen zboża na całej linii.

XIV.

Użyteczność handlu terminowego i jej granice.

Obok stron szkodliwych, musi handel terminowy zbożem posiadać bardzo pożyteczne, jeżeli o zniesieniu onego w Niemczech ekonomista wytrawny, Paweł Leroy - Beaulieu, wyraził się, że niewiadomo, czy Niemcy, zapobiegając przez to szkodom, nie pozbawili się wielkich korzyści. Te ostatnie więc poznać i ocenić należy koniecznie.

1-o. Największą korzyść przedstawia dostarczenie kupcom i negocyantom możności uwolnienia się przez reassekurację od ryzyka w handlu zbożowym.

Bez tej możności kupiec przekłada ryzyko już to na producenta, już na konsumenta, już na obu razem. Z tą możliwością handel zyskuje bezwarunkową pewność, a przy niżkowej tendencji cen, handlowi terminowemu zbożem przyrodzonej, zyskują też konsumenci; lecz nie jest jeszcze należycie wypośrodkowaniem, w jakiej mierze ich korzyści rozchodzą się pomiędzy młynarzy, piekarzy i spożywców. Producenci na zwolnieniu cen od ryzyka kupieckiego odnosili-by korzyści, lecz gdy na spadku cen, sprawianym przez handel terminowy, tracą bezpośrednio, trudno więc zachowywać wątpliwość co do tego, że handel terminowy w dzisiejszej postaci wyrządza im rzeczywistą szkodę.

2-o. Handel terminowy niezmiernie ułatwia *arbitraż*, czyli nabywanie zboża na rynku najtańszym i sprzedawanie jego na rynku mającym ceny najwyższe, dzięki czemu ceny wszystkich rynków dążą do

wyrównania. Działanie to przynosi niekiedy korzyści i niekiedy szkody pierwszorzędne, które w dalszym ciągu oddzielnie rozpatrzymy.

3-o. Dzięki arbitrażowi, zboże napływa tam, gdzie jest najpożądane, gdzie zatem zapasy jego są najszczuplejsze. Miało to miejsce i dawniej; ale dawniejsze odosobnione działania pojedynczych kupców handel terminowy zastąpił zbiorowem działaniem licznych grup spekulantów. Z tego powodu mówi się, że przez działanie handlu terminowego równomiernie zaopatrują się wszystkie rynki. Faktem jest jednak, że handel terminowy nie podąża za uprowadzaniem rynków, tylko za zyskiem, a rynki, które płacić nie mogą, pomija, jak to widzimy obecnie w Indyach. Nie zapobiega więc klęsce głodu, jak to utrzymują niektórzy, ale też nie jest jego winą, że nie przynosi korzyści niemożliwych, wykraczających ze sfery handlu.

4-o. Badając pilnie dla swoich potrzeb produkcję wszechświatową zboża, handel terminowy, w razie przewidywanego braku onego, podnosi ceny przyszłe, a pod tem jego działaniem ceny bieżące idą w górę. Podrożenie zboża osłabia konsumpcję, skutkiem tego zapasy zużywają się gospodarniej i starczą z roku na rok, bez przednówek, jakie dawniej łatwo zdarzać się mogły.

Gdyby nadprodukcya ustała, działanie handlu terminowego pod względem gospodarnego zużywania zapasów poczytywać-by należało za bardzo dobroczynne. Przy obecnej jednak nadprodukcji obawa przednówek zdaje się być wygórowaną.

5-o. Handel terminowy jest polem najżywszego ścierania się wielu osób i móstwa interesów. Z tego powodu *wahania cen* są w nim ciągłe, ale *umiarkowane*.

Jeżeli bowiem zaofiarowanie góruje nad zapotrzebowaniem, handel terminowy przejmując superatę i daje kapitałom umieszczenie. W razie przeciwnym, mnożą się podaże, i handel terminowy nie dopuszcza do cen wygórowanych.

6-o. Handel terminowy nie ogląda się ani za natychmiastowym zbytem nabytego produktu, ani za potrzebami rynku, na którym pracuje. Ma on przed sobą czas i rynek wszechświatowy. Z tego powodu, każda zaofiarowana w handlu terminowym partya zboża znajdzie nabywcę, chodzić będzie jedynie o cenę.

Otóż, jeżeli dla producenta podrzędna jest kwestya ceny, byle-by tylko miał pewność zbytu, to pewność tę i wszelkie ułatwienia pod względem szybkości zawarcia i uproszczenia form kontraktu da mu handel terminowy. Do pewnego stopnia może to być uważane za korzyść, nie wtedy jednak, kiedy ceny nie pokrywają kosztów produkcji. Handel terminowy bowiem nie daje zaliczek na zboże, tylko przyrzeczenie ceny

i wypłaty w dalszym terminie, korzyść zatem nie jest tak wielką, aby dla niej cenę poświęcać się opłacało.

7-o. Handel terminowy wytwarza ceny zboża terazniejsze i przysze, a ogłaszając je, obeznanie się z niemi czyni dla ogółu dostępnem. Z tego powodu zapobiega on podejściom i wyzyskiwaniom grubym, ale naginając ceny do swoich potrzeb, zniża ogólny ich poziom. Są więc korzyści, są i szkody, głównie z tego powodu, że giełda stanowi potężną i związaną w sobie korporację, kiedy producenci są najzupełniej odosobnieni.

8-ó. Do trzech dotychczasowych osób w handlu zbożowym, t. j. producenta, konsumenta i kupca, handel terminowy wprowadził jeszcze osobę czwartą, to jest, spekulanta z jego kapitałem. Tym sposobem zakres i potęga handlu wzmożły się niezmiernie i zniknął szkodliwy wpływ braku kapitałów na ceny. Z drugiej wszakże strony, spekulacya to właśnie najbardziej przyczyniła się do zwyrodnienia handlu terminowego. Z tego wynika, że handel terminowy ma strony bardzo użyteczne, ale też, jak widzieliśmy poprzednio, bardzo szkodliwe, a szkodliwość ta wzmagą się bardzo w czasie cen wyjątkowo niskich.

XV.

Stan handlu zbożowego w Rosyi.

Teraz, kiedy uprzytomniliśmy już sobie naturę i działanie handlu terminowego, pozostaje nam jeszcze związać te pojęcia z położeniem obecnem handlu zbożowego w państwie, z tego mianowicie względu, że w swoim czasie kwestya giełd terminowych nie stanie przed nami jako oderwana, ani też specjalnie krajowa, ale jako ogólnie państwowa.

Z wyjątkiem eksporterów kilku największych portów, którzy wchodził niekiedy w bezpośredni stosunek z producentami, zresztą handel zachowuje względem wytwórców charakter wyzyskujący.

Wielkie domy eksportowe, stojąc w bezpośrednim związku z importerami Londynu i Hamburga i otrzymując od nich zamówienia, zakupują zboże u większych spekulantów, lub też za pośrednictwem domów komisowych i agentów prowincjonalnych.

Ogromna większość włościan sprzedaje zboże lichwiarzom więksim, tak zwanym kulakom, lub też kupcom mało-miasteczkowym za bajecznie liche ceny. Dopomagają do tego faktorzy, biorący 5 do 10% prowizyi. Lichwa zbożowa, oparta na ciągnących się z roku na rok zaliczeniach, kwitnie w całym blasku.

Jakkolwiek stan handlu zbożowego jest jeszcze opłakany, dużo już uczyniono ze strony rządu ku jego naprawie. Pobudowano rozległą sieć dróg żelaznych, uporządkowano taryfy kolejowe, przedtem chaotyczne, uprzystępniono kredyt na zboże. Dano zachętę do budowy elewatorów, dla których w roku 1888 wydano przepisy zasadnicze, zaprowadzono ogłaszanie wiadomości urzędowych o cenach bieżących zboża, i urządzono bardzo użyteczne pośrednictwo agentów kolejowych.

Wprawdzie nie wszystkie te urządzenia uważać można za wykończone i dojrzałe, ale ku dalszemu ich polepszeniu nie ustają usiłowania. I tak, na kolejach żelaznych, w przedjesiennej porze zalegają zwykle bez ochrony ogromne masy zboża. Winą to jest nietyle braku wagonów, ile niewystarczających na stacyach podjazdów i przykryć na zboże. Taryfy kolejowe, silnie różniczkowane i równające w kosztach przewozu mąkę ze zbożem, są korzystne jedynie tylko dla okolic bardzo odległych i nowo-powstających tamże gospodarstw, ale wyrządzają straty dotkliwie strefom bliższym granic i portów. (Staatswörterbuch Conrada III, pag. 875).

Elewatorom istniejącym w Rosyi przypisują wady: 1-o, że dają pierwszeństwo w przyjęciu zboża spekulantom przed producentami; 2-o, że na ususzkę potracają zbyt wiele; 3-o, że biorą zbyt wysokie opłaty składowe; 4-o, że wcale nie dbają o klasyfikację, ani o doczyszczanie zboża; 5-o, że nie mają nad sobą faktycznej inspekcji; 6-o, że warranty ich, jako niedające zapewnienia co do gatunku zboża, słabe mają znaczenie kredytowe. Rozmaitość nomenklatur w klasyfikacyi ministryalnej z roku 1890, ustanawiającej 5 typów, 4 główne gatunki i stopień zanieczyszczenia zboża, czyni ją dla obcych mniej zrozumiałą.

Urządzenie agentur kolejowych w Królewcu, Gdańsku, Moskwie, Odessie, portach bałtyckich i t. d., zwłaszcza z prawem kredytowania zboża na 6%, wyrwało wielu producentów z rąk spekulantów i faktorów. Są to jednak dopiero początki. Dotychczas bowiem nad producentem ciąży długi łańcuch pośredników, zaczynający się od kulaka i kończący się na negocjancie. To jest najstarszą stroną handlu zbożowego w państwie. Drugą zaś, również dolegliwą, jest słabe wyzyskanie środków technicznych.

Przedewszystkiem brak klasyfikacji: złe suszenie i oczyszczenie zboża sprawiają, że zboże rosyjskie, pomimo najlepszych własności, cenę się w Londynie o 5 do 8% taniej od amerykańskiego, skoro bowiem toż samo zboże przejdzie przez Gdańsk i Królewiec, gdzie je doczyszczą, dosuszą i rozsortują, sprzedaje się od amerykańskiego drożej. Koszt zładowania i ładowania jest tak wielki, że w Odessie *wynosi czasem więcej, niż koszt przewozu statkiem z Odessy do Londynu, czyniąc normalnie 5 kop. od puda*. Temu należyte urządzenie elewatorów położyło-by tamę. Drogi wozowe są w stanie oplakany. Za dowóz na osiach biorą w promieniu drogi Carycyńskiej $\frac{1}{12}$ do $\frac{1}{3}$ kop. od pudowiorsty, w promieniu Odessy $\frac{1}{3}$ kop. W porze deszczów jesiennych i roztopów wiosennych, drogi te stają się nieprzebytymi. W tej porze fury ze zbożem idą 8 wiorst do Samary przez 36 godzin, koszt zaś przewozu dochodzi wtedy do cen bajecznych.

Skutkiem złych dróg wozowych, w eksporcie zagranicznym bierze udział obszar, leżący w promieniu co najwięcej 60 wiorst oddalenia od linii kolejowej, lub rzeki spławnej.

Frachty wodne, grające w handlu zbożowym rosyjskim wielką rolę, bardzo są nierówne. Na Włodze, gdzie z nawigacją konkurują koleje, wynoszą one mniej więcej $\frac{1}{60}$ kopiejki od puda i wiorsty. Na Dnieprze są już $1\frac{1}{2}$ razy większe. Nawigacja morska odbywa się statkami francuskimi i angielskimi, i kosztuje z Petersburga nieco taniej, niż z Ameryki; z Odessy o $\frac{1}{3}$ drożej.

W roku 1888 wynosiły frachty z Petersburga 7 kop., z Odessy 13 kop. od puda. Ubezpieczenie morskie wynosi $\frac{1}{2}$ do $\frac{3}{4}$ % tak, jak amerykańskie.

Wykładnikiem tych niedomagań są sporadyczne drożyzny. Takie gubernie, jak Samarska lub Orenburska, w latach nieurodzaju mają ceny głodowe. Ludność żywi się źle i niedostatecznie. Kiedy we Francyi idzie na głowę 200 klg. pszenicy, obok innej strawy, kiedy Niemcy obok żyta i kartofli spożywają 60 klg. chleba pszennego na głowę, w Rosyi idzie wszystkiego 30 klg. chleba pszennego i 150 klg. żyta na mieszkańca. Bardziej jeszcze wymowne są różnice, ściągające się do wyżywienia ziarnem inwentarza żywego. Według cyfr wyciągniętych z Neumann - Spallarta, w czasie od 1882 do 1889 roku szło na tę potrzebę przecięciowo rocznie: w Stanach Zjednoczonych, przy 63 milionach ludności, 186 milionów hektolitrow owsa i 495 mil. hl. kukurydzy; w Rosyi zaś, przy 98 milionach ludności jedynie tylko 126 mil. hl. owsa, którego to ziarna wywozi się z Rosyi znacznie więcej, niż

ze Stanów Zjednoczonych. Pęd do wywozu jest większy, niż gdziekolwiek; kiedy Ameryka bowiem wyprowadza 8% swego urodzaju, Rosya wyprawia do 20,5% swoich zbiorów. zatrzymując łącznie z karmą dla inwentarza zaledwie 300 klg. zboża na głowę ludności. Według poszukiwań ministerium rolnictwa, koszta produkcji w strefie czarnoziemnej są o 15 do 18% większe niż w Indyach, i o 12% niższe, niż w Stanach Zjednoczonych. Natomiast koszta dowozu do kolei, ładowania, komissowego są nierownie wyższe i niesłychanie uciążliwe.

Wielkim w ostatnich czasach jest postępem, że na towar naładowany na statki eksporterzy niezwłocznie otrzymują tratty od importerów zagranicznych na 90 — 95% wartości towaru. Skutkiem tego sfera negocyantów rozszerzyła się znacznie, i handel, otrzymując kapitał na przystępnych warunkach, stał się mniej ciemnym i wyzyskującym, gdyż nie opiera, jak dawniej, całego swego wyrachowania na dużym zysku przy małych obrotach.

Stało się to dzięki uchyleniu chwiejności waluty, która nadmiernym ryzykiem obarczała przedtem kupca.

Z tego pobieżnego szkicu najpierwej następuje wniosek, iż, jak to słusznie utrzymuje książę Szczerbatow, należyta i staranna klasyfikacya zboża, obok dosuszania jego i doczyszczania, są dla naprawy handlu zbożowego w państwie najpilniejszą potrzebą.

Sposób przeprowadzenia klasyfikacyi mogły-by dać elewatory, gdyby organizacya ich zapobiegła z góry tym nadużyciom, do jakich daje ona pole w Ameryce. Usunęły-by się też przez to niezmiernie uciążliwe koszta przeladowywania w portach.

Jeżeli jednak urządzenie giełd wyprzedzi organizację elewatorów, skutek będzie taki sam, jak w Niemczech: klasyfikacya powstrzyma się na długie lata. Na poprawę cen pod żadnym pozorem giełdy wpłynąć nie mogą, działanie ich bowiem jest odwrotne, dadzą jedynie ułatwienie zbytu. Tymczasem interesem najpierwszym Rossyi nie jest polepszenie zbytu, tylko poprawienie cen.

Spółeczny bowiem i najżywotniejszy interes Rossyi polega na tem, aby włościanin mógł przy *lepszej* cenie *mniej* zboża wyprzedawać, a zachowywać go więcej *dla siebie i dla swego dobytku*. W tem się mieści przyszłość jego dobrobytu i oświaty. Zaś wyzwanie się ze zboża za lichą cenę jest najpewniejszą drogą do zatamowania rozwoju pod względem materialnym i moralnym. Z tego powodu jedna z najgłówniejszych usług, oddawanych przez giełdy produktowe, że zapewniają zbyt w razie, jeżeli cenę uważać za względnie stosunkowo podrzędną — dla Rossyi utracą znaczenie.

Jeżeli zaś obwieszczenia ministeryalne o cenach bieżących słabo oddziaływają na upewnienie cen dla producentów, to trudno oczekiwać większych i donioślejszych usług od cen wyęśrodkowanych przez giełdy, chociaż-by podawane były z całą sumiennością.

Tym sposobem usługi, oczekiwane od giełd zbożowych, na razie były-by bardzo wątpliwe; potrzeba na to należytego przygotowania, aby się ziścić mogły. Giełda bowiem zbożowa jest bronią obosieczną, której nieostrożne użycie łatwo okaleczyć może profanów.

XVI.

Niwellacya cen.

Przejdźmy do konkluzji.

Poplecznicy, również jak przeciwnicy giełd zbożowych, dopatrują się dobroczynnego ich działania w niwellacyi cen, co czynią te giełdy od miejsca do miejsca, dzięki arbitrażowi, i od roku do roku, dzięki przewidywaniu przyszłych konjunktur. Trudno jednak przyznać, aby działanie to było bezwzględnie dobroczynnem. Niwellacya cen sprowadza produkcję tam, gdzie inaczej była-by niemożliwą, i wytwarza nieodbicie nadprodukcję, zgubną dla krajów i okolic z kulturą cokolwiek wyższą. Jeżeli spadek cen zboża poniżej kosztów produkcji uważanym być może dla całej Europy za zjawisko szkodliwe, nietylko pod względem rolniczym, ale i przemysłowym, nietylko ze względu na wyludnienie wsi, ale też na przeludnienie miast, to spadku tego nie podobna przypisać czemu innemu, jak tylko sztucznej niwellacyi cen.

Niwellacya ta wywołała bowiem zdumiewająco szybkie postępy rolnictwa na stepach amerykańskich i innych, i przy tanich kosztach przewozu zbliżyła je niezmiernie do ognisk przemysłu i handlu, gdzie produkcya rolna jest droższą, a ludność fabryczna z łatwością znieść-by mogła znacznie wyższe ceny.

Dlatego-to Niemcy, zaprowadziwszy niskie taryfy różniczkowe w ruchu wewnętrznym, znieśli je przed paru laty, zauważywszy szko-

dy, przynoszone rolnictwu okolic fabrycznych, przez taní przewóz zboża z prowincyi, poświęcających się uprawie zbożowej. Z tego również powodu, szkody, sprawiane rolnictwu przez niwellację cen, powiększają się w miarę rozwoju krajowego przemysłu, czego dowód daje nam stanowczy upadek rolnictwa w Anglii. Dążenie do wyrównania cen wszechświatowych zboża usprawiedliwionem jest zupełnie w czasach, kiedy rolnictwo korzysta z cen nadmiernych, ku szkodzie ludności przemysłowej. W takich-to czasach, pod wpływem merkantylizmu, musiało wyrobić się rutyniczne wyobrażenie, że niwellację cen za zasługę i dobrodziejstwo dla ludzkości poczytywać należy. Lecz obecnie żyjemy w innych warunkach,

Niema wątpliwości, że najważniejszym powodem gniołącego nas spadku cen jest nadprodukcya, ale nadprodukcji tej nie można uważać wcale za ostateczną i samoistną przyczynę niżki. Po-za nią kryje się inna, pierwotniejsza przyczyna. Jest nią doprowadzona do ostatecznych granic *mobilizacya zboża*, do której dokładają się w znacznej mierze giełdy produktowe, wraz z handlem terminowym.

XVII.

S r o d k i z a r a d c z e .

Ale potok postępu ludzkości jest niecofniomy. Tego, co uważa ona za swoją zdobycz, nikt jej nie wydrze.

Można być otwartym przeciwnikiem giełd zbożowych z handlem terminowym, a jednak, wiedząc, jak niezliczoną liczbę razy zmieniały się poglądy na handel zbożowy i dotyczące prawodawstwa, wątpić trzeba, czy obecny kierunek anty - terminowy zdoła utrzymać się na długą metę. Trzeba sięgnąć głębiej i zabezpieczyć się lepiej i skuteczniej.

Przedewszystkiem szukać należy naprawy w samej organizacji giełd terminowych.

Najgłówniejszą, jak się zdaje, ich wadą, jest zespolenie ich z handlem realnym tylko pozorne, obok aż nadto rzeczywistego wpływu na jego przebieg.

Jedno z dwóch uczynić należy: albo nie dopuszczać giełdy do sprzedaży zboża umyślnie wynaturzonego, tylko domagać się uprzedniej ściślej jego klasyfikacji, czyli związać organicznie handel terminowy z realnym dostawowym, albo też zastąpić giełdy terminowe instytucjami w rodzaju assekuracyjnych, w których za opłatą premii kupiec realny i młynarz ubezpieczać-by mogli cenę nabytego zboża, przez co handel realny był-by od terminowego najzupełniej uwolniony. Tego niedość jeszcze.

Według słów najgorętszego obrońcy handlu terminowego, Kohna, „giełda tem różni się od targu, że spotykają się na niej kupcy z kupcami, z *wylęczeniem producentów i konsumentów*. Młyny występują na giełdzie jako kupcy.“ (Getreideterminhandel. p. 11). Zatem giełda to kupiec, i *tylko kupiec*.

Otóż, pod względem handlu zbożowego istnieją na świecie trzy ogromne zbiorowe osobistości: producent, kupiec i konsument. Pierwotny producent, również jak ostateczny w klasach mniej zamożnych konsument, są to osobistości niezorganizowane, ekonomicznie słabe i mało przedsiębiorcze. Nie można porównywać ich do kupca, który przy potędze kapitału, umiejętnej technice i wyrobionej obrotności, ma nad nimi w handlu oczywistą wyższość. Wyższość zaś ta potęguje się jeszcze przez organizację giełdową, i występuje w całej pełni, dzięki zubożeniu konkurencyi w handlu terminowym.

Nie przynosi to stanowi kupieckiemu najmniejszej ujmy, że jest silniejszy i do walki o byt lepiej przysposobiony. Tylko powołuje to producentów i konsumentów do samopomocy.

Cóż jest potrzebnem: postępowanie w handlu zbożowym uszanować, a zwyrodnienie handlu terminowego usunąć, stowarzyszeniom zaś współdzielczym producentów i konsumentów czynnie dopomódz.

Zadaniem państwa w tych względach jest wydanie należytego prawodawstwa, oraz obmyślenie podstaw finansowych dla stowarzyszeń rolniczych, zwłaszcza zaś dla budowy elewatorów współdzielczych, i udzielania zaliczeń na złożone w nich zboże. Przy obecnych kierunkach państwa, spełnienie tych życzeń do urojeń nie należy.

Dopiero na gruncie tak przygotowanym, ani elewatory, ani giełdy produktowe, nie będą przedstawiać niebezpieczeństwa, a do takiego przygotowania potrzeba pozostawić czas, zwłaszcza w państwie młodem, w którym konsumenci i producenci są jeszcze w zupełnym rozproszeniu, w którym pod względem technicznego przygotowania środków dla handlu niezbędnych tyle jeszcze pozostało do czynienia, gdy niezawodnie, w razie zaprowadzenia giełd zbożowych, handel do wyży-

Literatura handlu terminowego: *Fuchs.* Der englische Getreidehandel (w rocznikach Conrada za r. 1890, II Folge, tom XX, str. 1). Der Warenterminhandel (w rocznikach Schmollera za rok 1891. Zeszyt 1, str. 49). *Kohn.* Der Getreideterminhandel, Leipzig, Duncker & Humblot, 1891. *Werner Br.* Handel zbożowy terminowy i nieurodzaj. Ateneum. 1891, t. IV, str. 534. *Claudio Jannet.* Le Capital. Paris, Plon., 1892. *Grünwald & Likienthal.* Zum Terminhandel an der Berliner Productenbörse, Berlin - Lazarus, 1892. *Smith:* Commercial Gambling, London, Low, 1893. *Wiedenfeld:* Der deutsche Getreidehandel (w rocznikach Conrada za rok 1894, III Folge, tom VII, str. 181, 360, tudzież za rok 1895, III Folge, tom IX, str. 337, 641). *Staatswörterbuch Conrada.* *Artykuły następujące:* 1. *Struck;* Börse, tom II, str. 671. 2. Börsengeschäfte, tamże, str. 681. 3. Börsenspiel, tamże, str. 695. 4. *Lexis.* Getreidehandel, tom III, str. 861. 5. Technik des Getreidehandels, tamże, 867. 6. *Jellos.* Der Getreidehandel in Rußland III, 872. 7. *Juraschek.* Statistik des Getreidehandels, III, 870. 8. *Weber.* Börsenwesen. I SpBd., str. 241. 9. *Wiedenfeld.* Getreidehandel, SpBd. I str. 345.

Schumacher: Der Getreidehandel, in d. Verein. Staaten v. Amerika (w rocznikach Conrada, 1896, III Folge, tom X, str. 361, 801; tom XI, str. 35, 161). *Apt.* Das Börsengesetz, Berlin, Decker, 1896.

Korzeniowski o sobie.

(z nieznaných materyałów).

Okrągłe stulecie przetoczyło się pomiędzy chwilą obecną a dniem 19-ym marca 1797 roku, w którym Józef Korzeniowski w małym folwarczku, pod Brodami w Galicyi, na świat przyszedł. Sto lat minęło właśnie od jego urodzin, a trzydzieści cztery upływa od śmierci; schorowany, męczony dusznością astmatyk, po kilkakrotnem zapaleniu płuc umiera w Dreźnie 17-go września 1863 roku, poświęciwszy przeszło czterdzieści lat ze swego czynnego i pracowitego żywota literaturze ojczystej.

Zostawia po sobie około sześćdziesięciu utworów dramatycznych i ze dwadzieścia powieściowych większych rozmiarów, oprócz wielu drobniejszych obrazków, opowiadań i szkiców. Wartość ich różna; nierówna, zmienna, w tem i owem dziele zadawniona, ale gdy się zważy, że powstawały one jeszcze w epoce, gdy się nowsza nasza belletrystyka i repertuar oryginalny dopiero tworzyły, trzeba z czcią i uznaniem spoglądać na tego pisarza, który miał nie jedną zasługę w tem, że tę literaturę, co uczyła dwa poprzednie pokolenia czytać, myśleć i czuć, wraz z innymi tworzył, rozwijał, podnosił i niepospolitym talentem swoim uświetniał.

Tem większy obowiązek ma potomność względem autora „Spekulanta“ i „Karpackich górali“ po jego śmierci, że za życia współczesni nie byli dla niego dosyć sprawiedliwi i wyrozumiali, że sąd o nim bywał dość długo zamącony a obrachunek z człowiekiem i pisarzem nie dosyć ścisły i rzetelny.

Jeszcze w roku 1835 Juliusz Słowacki, pisząc do matki z Genewy, w ten sposób odzywa się o Korzeniowskim: „Mówiąc o sławnych ludziach, zapytam o jednego, który ma do sławy prawo. Co się dzieje z autorem „Prób dramatycznych“? Jego „Aniela“ często mi przychodzi na pamięć, jak sen jakiś smutny i miły. Chciał-bym bardzo wiedzieć, czy zawsze pracuje, czy może pracować i nad czem pracuje?.. Jest to jeden z tych ludzi, którym dotąd nie oddano słuszności, potrzeba-by mniej być w pochwałach oszczędnym“.

Potrzeba-by mniej być w pochwałach oszczędnym, — „a w naganiach ostrożniejszym“, mógł-by być dodać wielki poeta, gdyby miał przeczcucie dalszych losów i stosunku do krytyki pisarza, któremu często laury cierniami do skroni przyczepiano i nadto długo kazano czekać na takie uznanie, na jakie zasługiwał.

Kapryśny los każe jednym mozolnie dobijać się do stanowiska, rozgłosu i należytej sławy, którą innym przedwcześnie nieraz sam gotuje, otwierając im szeroki kredyt na rachunek przyszłości. Korzeniowskiemu przeznaczył tę pierwszą rolę, jakby skąpił i opóźniał umyślnie należną wypłatę, zatrzymując nawet pewną część na likwidację pośmiertną.

Jak w każdym zawodzie, tak i w literackim, nie dosyć mieć zdolności, najlepsze chęci, pracowitość, pewien zapas życiowego i duchowego kapitału, energię i wytrwałość, wiarę w siebie i w cel, do którego się dąży, trzeba jeszcze mieć i szczęście, i sprzyjające warunki, aby dojść do czegoś, stanąć na własnych nogach, wybić się i podnieść na pewne wydatniejsze stanowisko, do którego się ma prawo.

Korzeniowski to prawo miał niezaprzeczenie, a jednak szło mu opornie, ciężko, zwłaszcza w początkach zawodu; brakowało dostatecznej zachęty i podniety, by się wcześniej dźwignął i urósł do tej miary, jaka mu była właściwą.

Były tego przyczyny zewnątrz, ale i wewnątrz niego samego.

Piotr Chmielowski w swoim wybornym studjum o autorze „Żydów“ i „Krewnych“, nader trafnie to określił, mówiąc: „Do zajęcia przodującego, kierowniczego stanowiska w literaturze i społeczeństwie przeszkodził mu brak ducha inicjatywy i brak śmiałości, podobnie jak Brodzińskiemu“. Leżało coś w charakterze i usposobieniu jego, co mu nie pozwalało zawsze postawić tego całego kroku naprzód, by wyprzedzić innych, choćby był mógł to uczynić.

„Ja taki jestem tchórz, że zupełnie sobie nie wierzę“, — pisał w jednym ze swych listów do Antoniego Benzy, artysty sceny lwowskiej, który ożeniony był z bliską krewną jego, Józefą Rożańską; należał do tej większości autorów, którym potrzeba dobrego słowa zachęty, życzliwości, ciepła, pochwały, aby szli naprzód i ośmieleni tworzyli coraz lepiej, których talent ma ową sprężystość gazu, rozszerzającego się i lotniejszego w podniesionej temperaturze, a kurczącego się w chłodnej.

Nagana zrażała go i onieśmiałała, krępowała i dotykała boleśnie, pochwała na odwrót ożywiała nowym duchem i podniecała do twórczości; przyjmował ją bez zarzumiałości, ale z wdzięcznością, jak łaskę, jak przyjazną dłoń z braterskim uściskiem. Do tegoż samego Benzy, gdy mu posłał nadto pochlebną recenzję Dobrzańskiego Jana o wystawionym we Lwowie „Starym mężu“, pisał: „Dziękuję, po stokroć dziękuję za te wiadomości. Po każdym twoim liście nowa przychodzi ochota i nowy powstaje dramat. Tak się zrodzili „Umarli i żywi“ po odebraniu wiadomości o „Góralach“ (Karpackich), „Stary mąż“ po wiadomości o „Umarłych“ (i żywych), a teraz po przeczytaniu tak pięknej, tak zachęcającej recenzji o „Starym mężu“, kończę nowy dramat w czterech aktach pod tytułem „Żydzi“.

A na odwrót ile skargi, ile bólu i zwątpienia odzywa się, czasem aż rozpaczliwym jękiem, w jego poufnych listach po niepowodzeniu i ciężkich zbyt surowej a niesprawiedliwej krytyki.

„Napisz, co się tam w waszej literaturze dzieje, — woła w 1841 roku do Karola Wittego, swego przyszłego zięcia; — ja ci się przyznam, że mi już wszystko obrzydło. Walczyć z takimi trudnościami może tylko człowiek młody. Pisać będę, ale drukować nie — albo pod cudzem imieniem — albo, jak mi dokuczają, to... nie kończę, bo myśl grzeszna“.

Łatwo ją sobie dopowiedzieć ze smutkiem i wyrzutem dla tego ostracyzmu krytyki, który często za źle zużytą kroplę atramentu wytacza swoją stalówką cały strumień krwi serdecznej nieszczęsnemu autorowi, sądząc go jak zbrodniarza, karząc jak przestępcę, a co najgorsza, znęcając się i pastwiąc nad nim w tej karze za nieudane dzieło.

W listach Korzeniowskiego, ogłoszonych już w druku i spoczywających jeszcze w ukryciu, takich bolesnych syknień i wykrzykników — dużo.

Każdy autor mniej więcej ma jakieś rachunki z krytyką, jakieś pretensye do niej i żale, jakieś uprzedzenia i urazy; *irritabile genus* w wiecznej rozterce żyło i żyć będzie z Zoilami wszech czasów, uważa się za pokrzywdzoną stronę przed kratkami opinii publicznej i często nie ma słuszności, albo w nadezulej ambicyi i miłości własnej prze-

cenia siebie, lub w zarozumiałości swej uważa się za nietykalną wielkość, za bóstwo, które może oddychać tylko najgęstszym dymem kadzideł.

Korzeniowskiemu jednak tego zarzutu chyba zrobić nie można; ma on naturę wrażliwą, ale nie drażliwą, autora, który swej wartości nie przecenia, nie domaga się samych hołdów i uwielbienia. nie obrusza, nie zżyma na słuszne uwagi, tylko cierpi i boleje, gdy go skrobną i udrapią niesprawiedliwie, gdy go zrozumieć nie chcą lub nie umieją, gdy wypaczają jego myśli. dążenia i uczucia, gdy krzywdzą ze złą wolą lub nie doceniają. Obraża go zła intencja, rozżala niechęć, rozgoryczają przeciwności, których innym nikt nie stawia, a przynajmniej nie w takim stopniu, jak jemu; najdotkliwiej zaś odczuwa złe posądzenia i podsuwanie sobie dążeń, których nie miał i mieć nie chciał.

Odczuwa to tem boleśniej, że nie zawsze może takie posądzenia odpierać i jasno się tłumaczyć na swoim stanowisku, że często musi mieć usta zamknięte i to w chwili, w której niesprawiedliwość zadaje mu cios zręcznie wymierzony i rani go w samo serce. Broni się wówczas prywatnie, w listach do bliższych znajomych i przyjaciół, ale publicznie nosić musi na sobie cień, który przyćmiewa go do samej śmierci i dyskredytuje jego najlepsze chęci i działania w społeczeństwie, z natury rzeczy nader drażliwym na wszelkie tego rodzaju skazy, rzeczywiste, czy urojone, w ludziach, stojących na widoku.

Były wreszcie w samym Korzeniowskim pewne czynniki, które w pisarzu danej epoki pomiędzy r. 1830 a 1860, nie licowały z usposobieniem i nastrojem większości społeczeństwa; przedstawiciel trzeźwego rozsądku, poczucia obowiązków i legalności, unikający krańcowych kierunków, rządzący się więcej rozumem, aniżeli instynktowemi porywami serca i zapału, nie mógł przyciągnąć ani porwać ku sobie i zjednać w tym stopniu sympatyj i popularności ogółu, jak to się udawało innym, bardziej dopasowanym do chwili bieżącej. W tym złotym środku, w którym utrzymywał się z natury, usposobienia i talentu, zachowując spokojną równowagę, nie był dosyć konserwatywnym, ni dosyć postępowym, ni za zimnym, ni za gorącym, ni za klasycznym, ni za romantycznym, (do tego brakło mu fantazyj i entuzjazmu), z każdej strony jakieś „nie dosyć“ przeszkadzało mu do zupełnego dopasowania z ogółem, z tem lub owem stronnictwem, z tą lub ową warstwą społeczną.

Wpływały na to rozmaite czynniki, pomiędzy któremi i atawizm odgrywał niepoślednią rolę w potomku zubożalej rodziny szlacheckiej, która miała w sobie domieszkę krwi mieszczańskiej i to niemieckiego pierwotnie pochodzenia. Chmielowski trafną zwrócił na to uwagę, pisząc: „Nie będzie to nadużyciem wywodów biologicznych, jeżeli matce

jego, Klarze z Winklerów, przypiszemy wpływ w utworzeniu jego temperamentu, w którym popędliwość i porywczosć (z ojca) połączyła się z sentymentalnością (matki), nie wykluczającą bynajmniej zdrowego rozsądku i praktycznego zmysłu. Zarówno w życiu, jak w pismach, temperament ten odbił się bardzo wyraźnie“.

Pomimo wszelkich niedostatków w tym temperamencie i indywidualności pisarza na daną epokę, które sprawiły, że nie był dostatecznie docenionym, że nie stał się tak popularnym, jak na to talent i twórczość jego zasługiwały, i że zajmował długi czas stanowisko człowieka, „któremu nie oddano całej słuszości“, a na którego grobie dopiero bujniej wyplenione z chwastów laury rozwijać się zaczęły, położył jednak w literaturze naszej niepospolite zasługi, jako powieściopisarz, a przede wszystkim, jako dramaturg. W tragedyi przyćmił go wprawdzie Słowacki swoim potężnym talentem wielkiego poety i najświetniejszego stylisty, ale w komedyi miał prawo iść obok Fredry i nosić wieniec pierwszego u nas twórcy charakterów indywidualnych na scenie, jak tamten pozyskał nieśmiertelny tytuł twórcy typów.

Późno, bo w wieku już zupełnej dojrzałości, przyznano mu tę zasługę, gdy o czterdziestokilkuletnim dramaturgu napisano nareszcie w jednej z recenzji „Gazety lwowskiej“ (Dr Bronisław Czarnik w swojej sumiennej i zajmującej pracy p. t. „Korzeniowski i teatr lwowski“, przypuszcza, iż autorem jej był Karol Szajnocha), że „Korzeniowski pierwszy wprowadził do naszej literatury oryginalny rodzaj komedyi, która nie jest naśladowaniem ani sztucznie zbudowanych utworów francuskich, ani płaskich utworów niemieckich, ale jak najwierniejszem odtworzeniem naszego życia i naszych obyczajów. Osnowa jego komedyi wolna jest zupełnie od niepotrzebnych powikłań, a układ jak najprostszy.“

Jakkolwiek sfera intelligencji i ziemiaństwa ma w Korzeniowskim najwierniejszego malarza, który ze szczególnem zamilowaniem i znanstwem ją odtwarza w swoich powieściach i komedjach, nie замыka się jednak w niej wyłącznie; umie on bystry wzrok obserwatora zapuścić i w duszę ludu, aby potem utworzyć swoje arcydzieło w „Karpackich góralach“; umie podglądać w stan rzemieślniczy, by odworzować z natury „Majstra i czeladnika“ lub sceny cechowe w „Krewnych“, odgrywające się w stolarskim warsztacie; studyuje życie i typy „Cyganów“, bada świat sztuki dawnej i współczesnej, gdy ma z pod jego pióra wyjść „Gentile Bellini“, „Śpiący Kupidyn“ lub „Garbaty;“ wyprowadza ginące i nowopowstałe typy w całym szeregu dawniejszych wojskowych lub dzisiejszych parweniuszów plutokracji, żydów i karyerowiczów wszelakiego rodzaju.

Galerya jego figur liczna i urozmaicona; znajdzie w niej niemal przedstawicieli wszystkich stanów, pomiędzy którymi stosunkowo a całkiem konsekwentnie musi przeważać ta warstwa, która jeszcze górowała nad innymi i zaznaczała się najwybitniej.

Na polu powieściopisarstwa trudniej mu stanąć na czele, bo ma niebezpieczne współzawodnictwo z Kraszewskim, Rzewuskim, później z Kaczkowskim i tylu znakomitymi talentami; ale w dziedzinie dramatu i komedyi powinien-by zajmować pierwsze miejsce w swoim czasie i nie obawiać się żadnej rywalizacji, zwłaszcza od chwili, gdy urażony Fredro przestał zasilać repertuar oryginalny nowymi utworami.

Jest jednak jakaś fatalność, która przesładuje dramaturgów polskich od samego początku i stwarza im przeciwności, stawia przeszkody, utrudnia i tak nadto trudne zadanie w ich zawodzie, nie pozwala im zdobyć dla siebie gruntu, zacieśnia granice rozwoju, odmawia należytego poparcia i pomyślniejszych warunków istnienia, twórczości, emulacji. Bogusławski przekopywać musi twardą drogę i po grudach toczyć swój wózek Tespisa, by dla sztuki i literatury dramatycznej pozyskać choć trochę miejsca; Zabłockiego zmiata burza wypadków dziejowych i łamie go w chwili największej dojrzałości; Fredrę złośliwa krytyka odsuwa zupełnie od sceny; Korzeniowski natrafia na złą chwilę i nie znajduje dla siebie poparcia ani zachęty odpowiedniej tam, gdzieby miał prawo spodziewać się jej nieomylnie—na scenie warszawskiej.

Sztuki jego znajdują przytułek najczęściej jeszcze w teatrze lwowskim za dyrekcji Kamińskiego i Skarbka; w Warszawie trudno mu się docisnąć do repertuaru, ma zepsuty smak publiczności przeciw sobie, ma uprzedzenie dyrekcji, nieudolność aktorów, z którymi „żadnej sztuki kompletnie dobrze oddać niepodobna, bo kilku tylko jest dobrych, reszta studenci lub karykatury“. Do Osińskiego też żywi urazę usprawiedliwioną: bo „pozawracał głowy publiczności francuskim teatrem, chce koniecznie, aby znalazła upodobanie w deklamacyach źle oddanych, kiedy ona szuka na scenie życia, mocnych wzruszeń i gwałtownych namiętności i charakterów, których teatr angielski i niemiecki tak obficie dostarcza; ale jakże tu wystawić dobrze którą z takich sztuk, kiedy do nich potrzeba wielu ludzi biegłych, potrzeba artystów myślących, którzy-by przejął się namiętnością, zgadnąć charakter i nie krzyżeć i rękami machać, ale mówić i żyć umieli“. Nie wchodzi w to, że tenże Osiński ma trudności nie lada do zwalczania, że reformy nie podobna w żadnym teatrze przeprowadzić od jednego zamachu bez wielkiego i niebezpiecznego ryzyka. Jako autor, czuje tylko żal i zniechęcenie, iż sztuk jego nie wystawiają, iż mu lata całe każą czekać cierpliwie na zaszczyt wprowadzenia komedyi lub drama-

tu na deski warszawskiej sceny, że mu przerabiają, zmieniają i tytuły, i osoby, i sytuacje; to go drażni i oburza, nie chce swoich utworów przesłać Osińskiemu, znając jego „uprzedzenia“ i uprzedzenia publiczności, — „bo oni dotąd myślą, że co nie po francusku, to źle“.

Czytając te utyskiwania naszego komedyopisarza, można-by przypuszczać, że były jeszcze wczoraj pisane, nie przed siedemdziesięciu laty.

Mimo nieprzychylnych warunków, mimo to, że utworów swoich nie może nawet widywać na scenie, że całe dziesiątki lat marzy o tem, aby którąkolwiek ze swych sztuk mógł zobaczyć w teatrze lwowskim, „jedynym, gdzie jeszcze polski dramat, czy pisarz, znajduje przytułek“, — bo: „Warszawa niestety nie dla nas“, — ciągnie go coś nieprzeparcie do sceny i twórczości dla niej; pisze jeden dramat po drugim, sypie komedye, jak z rękawa, chociaż się skarży: „Czemże jest dramat bez reprezentacyi, bez talentu aktorów?.. prawie tem, czem są nuty koncertu bez smyczka Lipińskiego“. „Żał się Boże pisać dramat tylko dla czytelników, — powiada w innym miejscu; — bez teatru nie ma uroku, nie ma kolorytu, nie ma życia. Jest to czarna, mizerna litografia.“

I w tem ma najzupełniejszą słuszość.

Niekiedy serce mu się kraje, że wystawienia swoich sztuk nie może sam dopilnować i musi się narażać na samowolę reżysyeri, która pozwala sobie wzmacniać teatralny efekt niegodnymi sztuczkami. W roku 1844 grano we Lwowie jego „Karpackich górali“ i przypięto do nich, jak kwiatek do kożucha, jakieś góralskie *pas de deux*, które do ostatniej passyi doprowadziło autora. „Protestuję i nie pozwalam na żadne wybryki baletowe. — pisze do Benzy — tam, gdzie potrzebna gra prosta, chłopska, ale głęboka i silna“.

Gdy miano w tym samym roku tę sztukę przedstawić po raz pierwszy na scenie warszawskiej, w obawie jakichś podobnych nadużyć reżysyerskich, upraszał Karola Wittego: „Zmiłuj się, obroń tam moich „Góralów“ od wszelkich wybryków baletowych, niech dadzą tak, jak napisano“.

Łatwo wywnioskować, że nie zbyt zazdrości godnym musiał być los polskiego komedyopisarza w owych czasach, gdy Korzeniowski dla sceny pisał.

Krytyka nie przyczyniła się również do podnoszenia w nim ducha i sumiennej, sprawiedliwej oceną nie umiała, czy nie chciała, załatwiać z nim rachunków ściślejszych. Z jednej strony przechwalono go zanadto, nazywano, jak Dobrzański w *Gazecie lwowskiej* po wystawieniu „Starego męża“: genialnym wieszczem dramatycznym, który rozpoczyna nową epokę dramatu, z drugiej znów odmawiano mu świeższej

inwencyi, robiono przygryzki, chłostano nawet szyderstwem, a w końcu pod pręgierz publiczny postawiono, jak w rozprawie Klaczki o „Krewnych“, lub w artykułach Nowosielskiego, Tyszyńskiego, Przędzieckiego i Kraszewskiego. Zbytńia pochwała wywoływała reakcyę. W. Constant (Wurzbach) w niemieckich *Leseblätter*, wydawanych we Lwowie, przyznając Korzeniowskiemu talent i wyrażając nadzieję, że po tylu wybornych utworach, których dostarczył teatrowi, może jeszcze napisać wiele rzeczy wspaniałych, zakwestyonował wielce jego prawa do nazwy „polskiego Szekspira“. „Korzeniowski pozostawał-by jak dotąd w takim stosunku do Szekspira, — wyraził się złośliwie. — w jakim pozostaje komin do wieży św. Szczepana“.

Za życia tedy autora nie ustalili się żaden jakiś prawdziwie krytyczny i sprawiedliwy sąd o nim, o jego talencie, działalności, zasługach i znaczeniu; miało to nastąpić dopiero znacznie później, jako zadłosyuczynienie za wyrządzone mu przykrości i krzywdy. Spokojniej i beznamiętniej zaczęto się z nim rozprawiać po śmierci, usiłując rozpoznać lepiej jego duchową fizyognomię, zbadać wszystkie za i przeciw i zdobyć się na jakąś krytyczną syntezę w ocenie jego talentu i twórczości.

Do bliższego poznania człowieka przyczyniły się, obok dzieł pozostałych po pisarzu, wcale obfite a charakterystyczne materyały w jego korespondencyi prywatnej i biograficznych szczegółach, z których pozwalamy sobie dorzucić jeszcze garść nowych a znamiennych dokumentów, mogących rozjaśnić tę postać niepospolitego autora pod względem moralnej jego wartości i charakteru.

Natrafliśmy w archiwum Biblioteki Jagiellońskiej na niezmany dotąd zbiór listów Korzeniowskiego, pisywanych pomiędzy rokiem 1845 a 1861 do J. I. Kraszewskiego i Karola Estreichera.

W korespondencyi tej dwóch Koryfuszów literackich znalazło się sporo ustępów, rzucających ciekawe światło na epokę, stosunki ówczesne, stan krytyki i literatury z przed lat kilkadziesiątu, a nadto wiele rysów, uzupełniających charakterystykę obu pisarzy.

Uderza w tych listach przedewszystkiem niezmiernie sympatyczny ton, w jakim od początku do końca odzywa się autor „Kollokacyi“ do swego wielkiego współzawodnika; niema tu ani cienia zawiści, ani śladu niechęci, która tak często mąci stosunki pomiędzy ludźmi talentu. zwłaszcza gdy los nierównomiernie obdarza ich sławą i wziętością. Przeciwnie, zawsze i wszędzie Korzeniowski odnosi się do Kraszewskiego z najszczerzą życzliwością, z wyrazem najwyższego uznania a nawet uwielbienia, z czcią i szacunkiem, niemal z przyznaniem mu wyższości nad sobą, zapominając o znacznej różnicy wieku, jaka między nimi zachodzi. W chwili, gdy się korespondencya ich zaczyna,

Korzeniowski dobiega już pięćdziesiątki, gdy Kraszewski ma dopiero lat 33; mimo to starszy i zasłużeńszy autor mianuje się zawsze „z najszczerzą życzliwością i uwielbieniem W. Pana Dobr. najniższym sługą“, nie szczędzi mu pochwał, podnosi każdą jego zasługę, spowiada się z wrażeń, jakie odnosi przy czytaniu jego nowych powieści i artykułów, dziękuje za każdą publiczną pracę i... prosi o uwagi, wskazówki, rady, nawet o krytykę, choćby ostrą, byle szczerą, zwierza się ze swych projektów i poddaje mu po koleżeńsku pomysły, ufając niemal więcej jego talentowi i pracowitości, niż sobie samemu.

Nawet kiedy ma powód do słusznej urazy, kiedy jest przez niego dotkniętym boleśnie w swej literackiej miłości własnej, okazuje delikatną wyrozumiałość i więcej żali się, niż robi wyrzuty, a potem stara się sprawę załagodzić, wybacza i zapomina krzywdę, nie żywiąc niechęci ni ukrytego gniewu.

W dniu 17 kwietnia 1845 r. posyła Kraszewskiemu pierwszy akt „Andrzeja Batorego“ i pisze: „Piąty akt zaczynam dziś i za kilka dni cały dramat skończonym będzie. Nim go posłę do druku, radbym wiedzieć zdanie Pańskie w początku; wszakże nie takie, jakich mi czasem udzielać raczysz w liście, ale takie, jakie niekiedy drukujesz; są one cokolwiek różne,“ — dodaje przytem, z czego wnioskować pozwała, że w tych prywatnych sądach Kraszewski okazywał się pobłażliwszym, szafując hojniej tanią pochwałą, którą nie czuł się tak bardzo zobowiązanym, jak w druku.

Najczęściej i najobszerniej w tej korespondencji zajmują go sprawy literackie i stosunek do krytyki oraz opinii publicznej; bardzo wiele ustępów odnoszących się do tego przedmiotu cechuje bardzo trafny, trzeźwy i rozumny pogląd na rzeczy i nie jedna prawdziwie głęboka uwaga wychodzi wtedy z pod jego pióra, — uwaga, która dziś jeszcze zachowała jakby aktualność chwili bieżącej w zestawieniu ze stosunkami naszej doby.

Pod datą 30 maja 1845 r. pisze do Kraszewskiego z Charkowa długi list, który doprasza się, aby go tu w całości przytoczyć:

„Szanowny Panie! Miły i smutny zarazem liścik Pański odebrałem. Nie uwierzy Pan, jak przykre zrazu zrobił na mnie wrażenie. Nie dlatego, że ja, Pan, lub ktoś inny odbieramy za nasze trudy, za nocy nieprzespane, za wykradanie sobie powolne z życia godzin najlepszych zimną pochwałą, czasem głupie oklaski, częściej nie wiedzieć jaką naganą, ale co najgorsza brak współczucia i tego szacunku stałego, na którym można-by polegać, bo to się wszędzie zdarza pojedynczym literatom, ludziom z większemi zdolnościami, z najrzetelniejszą zasługą! Co mnie zasmuca i boli, to to, że u nas, jak Pan dobrze wyrażasz, jest to chleb powszedni, że żaden z nas nie minie się z tem wynagrodzeniem,

że w narodzie, którego najpowszechniejszym rysem jest jakaś dobrodusznia poczciwość, ta niewdzięczność, ta obojętność dla zasługi i talentu jest wkorzoną, jest pospolitą. Więcej powiem, jest jakaś radość złośliwa, gdy się człowiek znakomity potknie, gdy zrobi jakie głupstwo, gdy mu się co nie uda.

„Byłem wówczas w Kijowie i na Wołyniu, gdy się rozszedł ów niedorzeczny list Grabowskiego; jakaż to była radość, jakie szeptki, jakie ruszanie ramionami i kiwanie głową! Zapomnieli wszyscy o tak pięknym I-ym tomie „Literatury i krytyki“, o pracowitej i mającej dobre miejsca, chociaż nudnej „Stanicy“, zapomnieli, że go podrzucali do chmur, że jakiś osieł w *Tygodniku petersburskim* nazwał każdy jego artykuł dziełem monumentalnem, a drapali go, jak kto mógł, nie tylko jako literata, ale i jako człowieka i obywatela. Przyszła mi wówczas myśl dramatu, którego nawet dwie początkowe sceny już napisałem. Było-by to powtórzeniem wielu rzeczy już powiedzianych, ale całość nabrała-by oryginalności przez odbicie w niej charakteru naszej publiczności i jej osobliwszego niestatku. Otóż chciałem przeprowadzić poetę z duszą i głową przez wszystkie fazy jego upokorzeń i powodzeń, i skończyć obrazem tego człowieka w lesie, w prostem odzieniu rąbiącego drzewo i śpiewającego wesolą i swobodną piosenkę.

„Mimo to wszystko i ja piszę, i Pan piszesz, i pisać będziemy bądź co bądź, bo wszystkie nasze zarzekania się są podobne do zarzekania się pijaka, że już więcej wódki pić nie będzie. Jakoż zaledwem skończył „Batorego“, już co innego jest na warsztacie. Z „Batorego“ dość jestem kontent; zdaje mi się, że w nim zostawię po sobie pamiątkę, która kiedyś miłą będzie ziomkom“.

Pomylił się w tem ostatniem przypuszczeniu i gdyby A. Belcowski nie był się ujął za jego „dramatami historycznemi“ w pięknie napisanej o nich rozprawie, i „Mnich“ i „Andrzej Batery“ zatonełi-by w mrokach zapomnienia; to jednak, co pisał o zmienności opinii publicznej i tej jakiejś *Schadenfreude*, która leży w charakterze i usposobieniu naszego społeczeństwa, a przynajmniej jednej jego warstwy, najbliższej literatury i piśmiennictwa, to miało sprawdzić się na nim samym w kilkanaście lat później.

Co prawda, mogło to być dla niego bolesnem i dotkliwem, ale nie powinno-by było być niespodziewanem wobec tak trzeźwych poglądów na ludzi i ich ujemne strony.

Za jedną z głównych naszych wad, przyczynę naszego upadku i wszystkiego złego uważał prywatę; miał zamiar wystawić jej szkaradę w historycznym dramacie, którego bohaterem miał być Żółkiewski, a o którym wspominając Kraszewskiemu, pisał: „Na nic się nam ta lekcyca teraz nie przyda, ale zawsze jest faktem niewątpliwym. Nie

upadaj Pan na duchu, — śmiejmy się z głupstw i niesłuszności i gromadźmy dalej ziarko do ziarka. Ściskam rękę Szanownego Pana i polecam się Jego życzliwości i przyjaźni. Jeżeli da Pan Bóg i obaczmy się kiedy, sądzę, że się znamy lepiej, niż ci, co z sobą beczkę soli zjedli“.

Mimo wszystkie złe doświadczenia na własnej skórze, pomimo chwilowych zniechęceń i braku złudzeń co do stanu rzeczy, w wielu razach zapatruje się jednak optymistyczniej od Kraszewskiego na sprawy literackiej i społecznej natury.

Czytując pilnie wszystko, co wychodzi z pod jego pióra, zajmuje się widocznie każdym jego artykułem, każdą korespondencją, każdą sprawą przez niego poruszoną.

Przy sposobności nadarzonej odzywa się natychmiast do niego i wyraża swoje zdanie jasno, szczerze i otwarcie.

„Zdekurazowałaś mnie okropnie Twym listem w № 30 *Gazety Warszawskiej* zamieszczonym, — pisze np. z Warszawy już w kwietniu 1853 roku. — Czyż to wszystko, co się robi, co obecny stan maluje, ma przepaść i za lat kilka pójść w zapomnienie!.. Nie sądzę, aby nasze prace tak przeszły bezowocnie. Mówię „nasze“ bo przez grzeszność z tej ogólnej klątwy nie wyłączam i siebie. Wprawdzie przewiduję ja, że się ta forma, jakiej dziś używamy, zużyje, spowaźnieje, co już i teraz postrzegać się daje, bo i pensyonarki biorą się do powieści, jak do fortepianu; ale każda forma, którą mniej więcej talent ożywia, nie znika zupełnie i zostać musi, jako świadectwo rozrostu i dojrzałości, do której można ją było doprowadzić. To tylko przepada, co zupełnie poronione, a zatem co nie żyje i nie rośnie. Czyż nasze roboty takie?..“

Innym znów razem, wspominając o poezji panegirycznej z powodu książki Opata Witowskiego, dziwi się, że na nią „poszło atramentu i papieru co niemiarą“. „Rozlewamy go i my nie mało na próżno—dodaje, — jednak Bogiem a prawdą juści nasze lepsze i spojrzysz Pan dokoła, czyśmy nie doprowadzili do jakich takich rezultatów!.. mnie się zdaje, że są“.

A pisze to już na schyłku życia i karyery swojej w roku 1860 zamieszczając ciekawy ustęp o dziele, które na prośbę Kraszewskiego nabył i wysłał z Warszawy:

„Przejrzałem wczoraj przedmowy tego X. Opata. Aj, Panie łaskawy! piszemy my za grzechy nasze wiele oba; stawiamy się w różnych rolach i mówimy za tego i owego, ale gdyby kto pod karą 50 kijów kazał mi, a nawet i Panu, skomponować taką przedmowę do jakiego Jaśnie Oświeconego, położył-bym się od razu i rzekł-bym: „bij, bo nie potrafię!..“ To to była literatura!.. Przypominam sobie, że ja-

kem był bibliotekarzem Zamoyskiego, tom zebrał i uszykował chronologicznie ze 30 tomów in folio i in 4-o takich samych panegiryków i luźnych pochwał, i kazań pochwalnych. Zawsze to jednak zbiór ciekawy. Ale jakiej-że to trzeba cierpliwości, żeby wyskubywać ziarnka z takich stert pustej i bujnej słomy“.

W miarę, jak sam traci siły, ochotę do pracy i wiarę w siebie, przytłoczony wiekiem i męczony fizycznymi dolegliwościami, coraz gorzej zachęca innych do wytrwania i działalności.

Z Warszawy 14 marca 1857 roku odzywa się w ten sposób do Kraszewskiego:

„Czytałem Bożą czeladkę z zajęciem i miarkuję już, dokąd dąży. Z tym poczciwym i zacnym domem, skończy się zapewne tak, jak z naszą Rzeczpospolitą. Czego tylko wynarodowione i lakierowane niby to cywilizacją figury nasze dotkną się, wszystko psują i niszczą. Zawsze i wszędzie biada temu, kto nie umie być sobą i nie ze swojego pnia i korzenia wydobywa te liście i kwiaty, któremi się zdobi. Niech Ci Bog pomaga i utrzymuje Twe siły na dobrej drodze. Ja ustalem już zupełnie. Nic z siebie wydobyć nie mogę i czasem doznaję takiego upadku ducha, że mi się życie przykrzy i chciał-bym już spocząć na dobre. Może to i stan zdrowia opłakany i wiek jest tego przyczyną, ale zdaje mi się, że mi się zdarzyło to, co pewnej śpiewaczce, która we Frajszycu śpiewając wielką arę do księżycy, zdaje mi się, w połowie jej i na najwyższym tonie urwała i straciła głos na zawsze.

„Zresztą, wszystko, co się u nas dzieje, ta massa złości, która krąży i oblewa każdego, chcąc go z nóg zwalić, nie może zachęcić i wlać w duszę tego ognia, który konieczny, aby rozgrzał zastygłą głowę. Ale co tam o tem!.. czytasz wszystko i wiesz dobrze, jacy my, jak cenimy pracę, zasługę, uczciwe dążenia, jak nam miło plunąć choćby na starą łysinę, jeśli ślina przyjdzie na język. Wprawdzie nie idzie mi tak bardzo o siebie samego: ja już jestem na samym brzegu, ale boli mnie to okropnie, że takie fatalne usposobienie jest u nas i jak wrzód rozrania się i gnoi coraz bardziej w miarę mnożących się zdolnostek, w miarę rozstrzeliwania się myśli naszej w różnych kierunkach, która nigdy w jedno ognisko nie zbierze się. Ale dosyć już tego!..“

W kilka miesięcy później powraca jeszcze raz do tej samej kwestyi i pisze:

„List Pana Dobr. ostatni w *Gazecie* wydrukowany zasmucił mnie trochę, raz że podobne postrzeżenie prawdziwe, a drugi raz, że widać w nim gorzkie myśli, jakie Cię kochany Panie przejmowały wtedy, gdyś pisał. Trudna rzecz!.. Ludzi naszych nikt nie przerobi. Chwyta-

ją się gorąco każdej nowej rzeczy, ale nasyceni prędko, oglądają się znowu za nowem cackiem. Przejdzie zapal do cukrowni, machin i kolei, tak, jak przeszedł do literatury. Mimo to nie sędzę, aby stan ten umysłów u nas wpłynął cokolwiek na tę niezmordowaną gorliwość, jaka Cię ożywia. I daj Boże, aby tak było! Ja upadłem całkiem na siłach. Pokazuje się, że wiek nie daje się galwanizować i chęć staje się próżną bez sił. Co gorsza, że i tej chęci już nie mam. Zobojętniałem na wiele rzeczy, straciłem przy tem zdrowie, już trzeci raz miałem przed trzema tygodniami zapalenie płuc. Jeżeli przyjdzie raz czwarty, będzie *finis*. Nie jeden krzyczący dziś na powieść (a obudziłeś Pan takich kawek całą gromadę) ucieszy się, że jednym fabrykantem (*sic*) powieści będzie mniej. Żart na stronę, mam się nie dobrze. Całe to lato przeszło mi najgorzej, cóż będzie z zimą!.. Dla tego wybieram się na zimę do Włoch. Może mnie to trochę na jakiś czas podtrzyma. A jeśli nie, gotuj pan przyjazne wspomnienie dla człowieka, który Cię zawsze szczerze szanował, kochał i czując może lepiej, niż inni, donosność Twego talentu, wyżej niż wielu a wielu cenił“.

Ten ostatni ustęp nie jest wcale frazesem zdawkowej grzeczności; są w korespondencyi Korzeniowskiego dowody, jak żywo zajmował się twórczością i talentem autora „Powieści bez tytułu“, jak się cieszył nawet każdym nowem jego a udanem dziełem, jak mu z serca wieszował tego, nigdy nie zazdroszcząc mu sławy i nie czując się nią przygnieciouym lub zdraśniętym większem powodzeniem młodszego kolegi.

Oto kilka wyjątków, w nader korzystnem świetle przedstawiających go pod tym względem:

„Malepartę teraz dopiero dostałem i przeczytałem z prawdziwem ukontentowaniem. Bardzo dobrze rzecz pomyślana i przeprowadzona. Zdaje mi się wszakże, że upadek ducha Maleparty jest za raptowny i zemsta jurysty może-by nie taką być powinna. Wie Pan, jak ja myślałem?... on miał jeszcze pieniądze, powinien-by żonę pozwać, przyprowadzić ją o włos od zguby, od przegrania prosesu i przy kratkach w sądowni obaczyć te same duchy, zmieszać się, i pomieszać, i uciec bez slychu. Wszakże to tak przelotna uwaga, a i tak, jak jest, zostanie lekcyca uderzająca. Niech Pan napisze Malepartę literackiego. Będzie obrazek nasz i użyteczny“. (25. IV. 1845).

„Za przypisanie „Jaryny“ serdecznie dziękuje. Ładna i bardzo interesująca powieść. Szczególniej postać samej dziewczyny, a zwłaszcza z początku nadzwyczaj dobrze skreślona. Czy „Dziwadła“ postępują i czy skończone?.. Ile znam z *Tygodnika*, to zapowiada rzecz obszerną, obmyślaną i nad którą Pan z zamilowaniem pracujesz. Wszystkie figury wyskakują z płótna, i już je znamy dobrze, choć się dopiero pokazały. Winszuję z serca i Panu, i literaturze takiego początku. Kto jest Pan Pług?... i dlaczego ta pseudonimomania?“ (21 IV. 1850).

Kiedy zaczął wychodzić „Kopciuszek“ Kraszewskiego, zajmuje go nadzwyczajnie początek, i dopytuje się o dalszy jego rozwój, a czyniąc alluzję do tej gorączki pisarskiej, którą autorowi zarzucano, powiada: „Poufnie donoszę Panu, że choć nas lają za wyczerpanie, czytają „Kopciuszka“ z przyjemnością, że widzę tam postacie żywe i radbym bardzo, aby ów tajemniczy wielki pan panny Elwiry był komisantem, sprzedającym wina szampańskie, jakiego i tu mamy.“ (11. III. 1860).

Myślał zapewne o Nowosielskim, gdy to pisał, który w swoich krytykach robił mu przygryzki i domagał się nowości, zarzucał powtórzenie jednych i tych samych motywów, kopiowanie samego siebie.

W roku 1845-ym jeszcze zżymał się na krytyków, którzy zarzucali im zbyt ni pośpiech w tworzeniu i tłómaczył się niejako z tego, zawiązując częstszą korespondencję z Kraszewskim:

„Za wyzwanie do częstszego pisywania serdecznie dziękuje, miło mi będzie, gdy co upadnie na serce, lub się zjawi w głowie, podzielić się z Panem, wszakże mam nadzieję, że wzajemnie odbiorę ten dowód przychylności i współczucia. Krzyczą na Pana, że prędko pracujesz wkrótce i na mnie ten krzyk się podniesie, bom się także rozpisał, ale przekonałem się, że gdy co idzie leniwo, gdy się przerywa, zostawia, to się potem nigdy nie skleci, a przynajmniej nie skleci się dobrze. „Batorego“ pisałem trzy tygodnie, ale pisałem ciągle, mogę powiedzieć dzień i noc. Kładłem się z nim spać, wstawałem z nim, z nim do stołu od stołu, jak ta czarna kura, o której Grodek Panom mówił, wszędzie mi towarzyszył. Pewny jestem, że i Pana tak każda kompozycja przesładuje, póki jej nie urodzisz. Tłucze się i tłucze w głowie, jak dziecko w żywocie matki. I to oni nazywają prędko!.. Niech im Bóg wybaczy próżniakom. Takie trzy tygodnie kosztują rok życia.“

Nie gorszy się wcale tym pośpiechem i płodnością, ale owszem, podziwia Kraszewskiego i zazdrości mu tego jednego, że na wszystkó znalazł umie czas przy tak różnorodnych zajęciach.

W kwietniu 1854-go posyła mu przez znakomitego rytownika, Oleszczyńskiego, jakieś materyały i dodaje: „Niech na korzyść literatury i dla nauki nas, profanów, pęcznieje ten kufer, który tu widziałem, a z którego wyjdzie historia sztuki, której niecierpliwie wyglądamy... Choć późno, proszę przyjąć podziękowanie za przypis „Interesów familijnych.“ Uniem! cenić tę grzeczność koleżeńską, chociaż nie mam za nią czem zapłacić, chyba najszczerzym szacunkiem talentu, nauki i niezmordowanej pracowitości. O! gdybyś mógł nas nauczyć, jak z jednego dnia robi się cztery i pięć. Bo musisz ten sekret posiadać, inaczej nie mogę sobie wytłómaczyć, gdzie znajdujesz czas na napisanie tego wszystkiego, co piszesz, na przeczytanie tego wszystkiego, co przeczytasz, a nadto jeszcze na gospodarstwo i pędzell.. To ostatnie słowo przypomina mi znówu dług, z którego nie uiściłem się i podziękowanie za śliczny obrazek, którym mnie obdarzyłeś.“

Kiedy później w roku 1861-ym, po przybyciu do Warszawy, Kraszewski objął redakcyę *Gazety codziennej* (dzisiejszej *Polskiej*) i zawiązał osobistą znajomość z Korzeniowskim, zajmującym wysoką posadę dyrektora Wydziału oświecenia za czasów Wielopolskiego, autor „Tadeusza bezimiennego“ i „Krewnych“ nietylko należy do najgorliwszych czytelników *Gazety*, ale stara się o popularyzowanie jej dążeń i artykułów.

„Kochany i szanowny Panie Józefie! — pisze do niego pod datą 27 marca tegoż roku. — Z uczuciem wdzięczności i serdecznego podziękowania ściskam rękę Twą za artykuły przodowe (naczelne) *Gazety codziennej*, zwłaszcza za te, które mówią wprost o nas, i których dawajcie wprost tyle, ile tylko będzie można miejsca dla nich wywalczyć. Dwa ostatnie o sejmie pruskim i wczorajszy posełam do Londynu, aby je w tłómaczeniu angielskiem puszczono w świat, który potrafi ocenić ten sposób, jakim się na rzeczy nasze zapatrujemy i tę drogę, jaką iść postanowiliśmy. Niech Bóg dodaje sił do poczciwej pracy, do utrzymywania nas na tem stanowisku, na którym nas postanowił, czynem i słowem. Niestety! ja już tylko życzeniem i uznaniem Waszych usiłowań przyczynić się mogę. Codzień czuję się słabszym, i głos mój nie na wiele-by się przydał, tak niedołężtwo ciała i sił fizycznych odbiera mi moc i donosność. Ale dziękuję Bogu, że mi niepotrzebny, że są lepsi i silniejsi, którym Ten, co nas prowadzi widomie, kierunek myśli narodowej powierzył. Nie ustawajcie więc i wiercie, że mi imiona Wasze i praca Wasza dziś w dwójnasób drogie i szanowne.“

Ten wyraz uznania i gorącej zachęty z pod tego samego pióra, któremu przed laty kilku zarzucano szerszenie zasad i ideałów antynarodowych, powinien-by być jednym dowodem więcej przeciw bolesnym oskarżeniom, miotanym nań po napisaniu „Tadeusza bezimien- nego“ i „Krewnych;“ znajdziemy zresztą w tej sprawie inne jeszcze, wymowniejsze świadectwo na jego obronę w dalszym przeglądzie tej korespondencyi prywatnej.

Tu zaznaczyć należy tylko blizki i serdeczny stosunek Korzeniowskiego z Kraszewskim, któremu pierwszy oddaje rozmaite drobne usługi, trudząc się wyszukiwaniem dla niego i wysyłką potrzebnych książek i materyałów literackich, udzielając rad i wskazówek, pośrednicząc nawet w wyborze guwernantki dla jego dzieci (1850 r.), zalecając jakąś p. Józefę Tangerman z dodatkiem: „ładna, ale jeszcze gąska. która potrzebuje się obejrzeć po świecie.“ Pragnąc mu czynem okazać swą życzliwość i poparcie dla jego celów i usiłowań, na pierwszą wiadomość o objęciu przez Kraszewskiego kierownictwa nad teatrem w Żytomierzu, wyprawia do niego list następującej treści pod datą 14 marca 1857-go roku z Warszawy:

„Szanowny Panie Józefie! Z wielką pociechą wyczytałem w ostatnim liście Twym, drukowanym w *Gaz. War.*, odezwę do serc czułych pp. Wołynianów za teatrem wołyńskim. Ucieszyłem się podwójnie, raz, że teatr w Żytomierzu wzniesiony i jest, powtóre, że człowiek taki, jak Ty, kochany Panie Józefie, wzięłeś się do dźwignienia go, popchnięcia i utrzymania go na pewnej stopie znaczenia i wpływu. Bóg wlał w Twoją głowę i serce tyle zasobów, tyle siły, takie jakieś zadziwiający niewyczerpanie i wytrwałość, że jak wiele rzeczy udało ci się przeprowadzić, obudzić, pokierować, tak i znów i to ci się uda postawić na pewnym stopniu i podnieść. Nie wiem szczegółów i nie wiem, o co tu idzie właściwie w tem wezwaniu. Czy o składki na dokończenie teatru, czy na jego utrzymanie i zasilek dla aktorów w braku wpływów ze spektaklów. Cokolwiekbądź, widzę, że idzie o pomoc pieniężną. Jeżeli z mojej strony grosz wdowi przydać się może, chcę go ofiarować w następujący sposób. Mam gotową i leżącą od niejakiego czasu komedję trzyaktową p. t.: „Reputacya w miasteczku.“ Zamyka ona obrazek może nieudatny, nie wiem, ale dość prawdziwy tej naszej rzeczywistej wady, której, któryż z nas nie doznał, iż jak nie wiedzieć za co, podnosimy pod niebiosa i głosimy, tak potem w mgnieniu oka i za szepnięcie tylko jakiegoś podejrzanego słówka, obrzucamy bożyszcze nasze błotem i zrzucamy je z piedestału. Dałem ją do teatru, ale że tam dla matador teatralnych niema jednej popisowej roli, leży więc komedya dotąd niegrana. Otóż tę sztukę chciał-bym wydrukować na do-

chód teatru wołyńskiego, zostawiając Tobie, Panie Józefie, użycie i szafunek pieniędzy, jakie-by za to wpłynęły. Myślę, że wydanie kosztować będzie z 500 złp., a może trochę mniej...”

Propozycja Korzeniowskiego została chętnie przyjęta, komedia już w sierpniu ukazała się w druku, a autor, wysyłając do Żytomierza 200 egzemplarzy, prosi Kraszewskiego o poparcie nie dla swojego utworu, lecz dla wydawnictwa, na tak godziwy cel przeznaczonego; posyła przytem likwidacyę Józefa Ungra na 330 złp. 10 groszy, domagając się podziękowania za to, że „za druk nic nie wziął, a tylko kosztą papieru i oprawy policzył.“ Ofiara jednak wielkich materialnych korzyści nie przyniosła, rozprzedaż „Reputacyi w miasteczku“ szła leniwo, „z powodu manewrów księgarzy, nieprzyjaznych wszelkim nakładom, które nie oni sami robią.“

Drugi raz, w cztery lata później, 18 lutego 1861-go roku, zainteresowany projektem nowego wydawnictwa, które Kraszewski podjął zamierza, odzywa się do niego najżyyczliwiej w ten sposób:

„Najprzód przepraszam uprzejmie Sz. Pana, żem go dotąd w jego progach nie odwiedził. Czekam słońca i przyjaźniejszej dla kaszlu mego pory, a tymczasem, nim mi wolno będzie wyjść, przypominam 1-go. Oprócz przyjemności widzenia Sz. Pana, chciał-bym jeszcze pomówić o rzeczy, w jednym z listów Pańskich wspomnianej, a która mi już dawno chodzi po głowie. Jak wielu dobrym przedsięwzięciom dałeś Pan początek i rozwinięcie, tak i temu dać możesz, i nikt z nas, ani z tego niezmordowanego ruchu umysłu, który admiruję, ani z nauki i wielu zasobów literackich, ani z talentu i umiejętności obrobienia nie jest zdolniejszym do dania początku i wzrostu tak ważnej i koniecznej dla nas publikacyi. Domyślasz się Sz. Pan zapewne, że chcę mówić o *Przeglądzie* czy *powszechnym*, czy *europęjskim*. jak się podoba nazwać, którego główny rys Pan podałeś, a którego nie uważam wcale za *pium desiderium*, ale za rzecz do zrobienia nietrudną i niezmiernego użytku, jeżeli jej Pan przewodniczyć i kierować nią zechcesz. Przed kilku laty p. Muchanow miał myśl wydawania *Przeglądu*, choć nie takiego, jakowego rys Pan podałeś, i o jakim ja myślę. Ofiarował mi redakcyę, i pismo to miało wychodzić w dwóch zeszytach miesięcznie. Przy moim wieku i siłach, nie mogąc podjąć tak ciężkiego obowiązku, wymówiłem się od redaktorstwa, ale napisałem wówczas plan obszerny i szczegółowy, który nie trafił podobno w myśl pana Muchanowa, ale który w części trafi w myśl Pana, jeżeli go będzie można odszukać! Może-by go wyszukał między papierami swoimi, czy JW. kuratora p.

Papłoński, który to widział a może i zmodyfikował według siebie, bo gdy pismo to miało wychodzić z ramienia Okręgu naukowego, proponowałem tego filologa na głównego redaktora. Są przeszkody, dla których nie wypada mi reklamować o tę pracę. Ale jeśli Sz. Pan widujesz się z Papłońskim, wspomnij mu o tem. Może-by on mógł to Panu dać a ja bardzo-bym rad, żebyś Pan Dob. to przejrzał. Tyle o tem. Dodaję tylko, żebym chętnie, ile potrafię i ile zaduszenie pozwoli, przyłożył się do wyrobienia tego, cobyś mi Pan powierzył, a także i to, iż zdaniem mojem, niema potrzeby u władzy wyrabiać pozwolenia na peryodyczność publikacyi, ale co kwartał, nie peryodycznie, wydawać jeden tom spory, który-by wiele rzeczy mógł objąć takich, o jakich nam się często i nie śni, a które gdzieindziej dobrze już wiadome.

„Cieszę się także, żeś Sz. Pan miał odwagę cywilną powiedzieć słowa prawdy naszym historykom, którzy jeszcze lat sto zbierać będą cegły, a żaden nie bierze się do budynku. Niestety! bez talentu i kotletów dobrych zrobić nie można, choć mięsa wybornego dostatek leży na stolnicy, a cóż dopiero napisać historję i tchnąć w nią życie i ruch, jaki miała przeszłość, która już w grobie. Ja, wiele razy biorę się do dzieła historycznego, oprócz prac Szajnochy i not Malinowskiego, żegnam się wprzód, jakbym miał w listopadzie przepłynąć Wisłę. Każdy z tych panów patrzy tylko w swe notatki, układa w mozaikę zgromadzone kamyki, przywiązuje pewną próżność do odsyłaczów: ale żaden nie widzi tych postaci, które kreśli, nie słyszy ich głosu i nie kładzie ręki na ich piersiach, aby potężne bicie ich serca uczuł. Wielką nam Pan Bóg krzywdę zrobił, że Szajnosze wzrok odebrał... Nie dawaj im Pan spokoju, i od czasu do czasu upomnij o jakikolwiek budynek, byle mieszkalny.“

Jakkolwiek wyraźnie nie dotyka nigdy swoich spraw osobistych, nie skarży się na zło, które mu wyrządza krytyka lub prywata, plotka lub oszczerstwo, odczuwa się jednak w tonie, czyta często między wierszami, dorozumiewa z robionych alluzji, że mu na sercu cięży ludzka niesprawiedliwość, że uogólniając swoje zdanie, uwagi i spostrzeżenia, załatwia i własne pretensye przy tej sposobności. Raz nawet w liście z 14-go marca 1860-go roku, przyznaje otwarcie, że próbował w swoim „Plotkarzu“, jeśli nie ukarać i napiętnować, to przynajmniej nawrócić potwarców. „Byliśmy oba nieraz, — powiada do Kraszewskiego, — pastwą gorszych, niż ten, (którego w swej komedyi umieścił), ale nie chciałem wystawiać takich, którzy-by się choć trochę opamiętać nie mogli, w tej myśli, że zawsze jest czas porzucić złą drogę i nie-

godną mężczyzny, byle choć trochę serca i choć trochę głowy. Jeśli choć jeden się zawstydzi i nim poleci z językiem, pomyśli sobie: czy też to być może, aby Korzeniowski ukradł Kopernika z pod Akademii i oddał go....., a Kraszewski coś podobnego wyniósł i schował do kieszeni, to już będzie wygrana.“

Szczęśliwe czasy, w których można było mieć takie złudzenia, że satyrą przemawiając do serca i rozumu potwarców, uda się ich zawstydzić, zreflektować i powstrzymać od obrzucania błotem z po-za płotu ludzi uczciwych i zasłużonych, stojących na widoku; że się ich nie rozdrażni jeszcze bardziej, i nie ściągnie na siebie w odpowiedzi brutalnej napaści, osobistej szykany lub paszkwilu!.

W tej harmonii stosunku obu znakomitych pisarzy, których nie łączy wprawdzie nigdy poufalsza przyjaźń i zażyłość, ale przebija zwłaszcza z listów Korzeniowskiego wielka życzliwość koleżeńska i szczerzy szacunek dla cieszącego się o wiele szerszym rozgłosem i popularnością współzawodnika, natrafiamy dwa razy tylko na chwilowy rozdźwięk; jednak z jakim taktem i godnością autor „Emeryta“ i „Wędrówek oryginala“ załatwia przykrą dla siebie sprawę, w której sam jest stroną pokrzywdzoną, i to nader dotkliwie. Nie unosi się, nie oburza, nie wymyśla, jakby w podobnym wypadku uczyniło wielu po-pędliwych i drażliwych, ale odwołuje się do godności i poczucia sprawiedliwości Kraszewskiego.

Pierwszy raz czyni to w parę tygodni po wydrukowaniu w *Tygodniku petersburskim* recenzji o „Wędrówkach oryginala“, którą Kraszewski nadesłał z Hubina temu pismu pod datą 2-go maja 1849-go roku; recenzja była złośliwa, lekceważąca, trzymana w tonie drwiącym, ośmieszającą i pomysł, i figury, i styl, czepiającą się nawet pojedynczych wyrażen, dodajmy: wcale niekrytyczna i powierzchowna, zakończona jakby dla osłodzenia gorzkich pigulek kilku słowami niby uznania. „Powinni-byśmy uderzyć w bęben pochwał, — dodawał; — „Wędrówki“ zasługują na nie, (czego wszelako z poprzedniego rozbioru domyślić się nie można), ale nieznanym autor, (ów oryginal, który rękopisu niby dostarczył Korzeniowskiemu), pochwał-by nie zniósł, gotów-by się rozgniewać, a p. Korzeniowski ich nie potrzebuje—dajmyż pokój.“

Łatwo zrozumieć, z jakim uczuciem musiał Korzeniowski odczytać taką krytykę z pod pióra człowieka, którego miał prawo uważać za życzliwego sobie kolegę na podstawie korespondencji, prowadzonej z nim już od lat kilku, i przed którym użalał się niejednokrotnie na

brak sprawiedliwości, współczucia i stałego szacunku w społeczeństwie i prasie względem ludzi zasługi i talentu.

„Wędrówki oryginala“ należały, jeśli nie do najlepszych, to niezawodnie do najsympatyczniejszych i najcieplej napisanych powieści Korzeniowskiego; spodziewać się mógł po nich wyrazu uznania i pochwały, a spotkał się z szyderstwem i lekceważeniem swojej pracy. I to od kogo?.. od Kraszewskiego, od człowieka, który powinien się być poznać na wartości takiego utworu. Zabołało go to bardzo, więc z Wilna (19 czerwca 1849 roku) na gorąco wysłał do niego list tej treści:

„Szanowny Panie! Piszę do Pana z Wilna, gdzie jestem po raz pierwszy. Nie spodziewałem się, że wśród tak miłych wrażeń, jakich tu doznaję, wśród takiego współczucia wszystkich, którem zawsze szczyć się będę, doznam oraz i prawdziwej przykrości, i że autorem jej będziesz Pan, którego szczerze szanuję, którego pracę i talent zawsze cenilem i wysoko cenię. Przeczytałem tu wzmiankę Pana w „Tygodniku“ o moich „Wędrówkach.“ Czyż zasłużyłem na to, żeby taki człowiek, jak Pan, drwił sobie ze mnie?.. Surową naganę pojmuję i cenię może nawet więcej, niż ładająką pochwałę. Ale wierz mi Pan, drwinki i w ogólności taki rodzaj niby to zabawnej krytyki, niegodny ani mnie, ani Pana. Poniża on nas obu, a oba na to nie zasługujemy. Cóżem ja Panu zrobił, żeś mnie tak obryzgał?.. Możesz Pan obrazić się tem, że Panu przypisał dramat pod tyt.: „Dziewczyzna i dama,“ i nie zapytał Pana wprzód, czy sobie pozwolisz oiarować taką fraszkę?.. Do prawdy, nie pojmuję. Gdybym był Pana nie poznał osobiście, ten wyskok ni to krytyczny, ni zabawny, nie tyle-by mnie zadziwił. A teraz nie mogę zestosować Pańskiego obejścia i rozmowy z tem niezrozumiałem dla ogółu czytelników szyderstwem. Przeclawski ogłosił tryumfalnie powrót Pana do *Tygodnika*, i ja ucieszyłem się także, sądząc, że się Pan odezwiesz tak, jak przystało na pisarza z takimi zasobami i z takim talentem. Żal mi, że tak nie jest i nie dlatego tylko, że się to stało moim kosztem. Jeżeli Pan zechcesz obdarzyć mnie kilku słowami, proszę adresować: do Warszawy, ulica Niecała № 614 F. Tymczasem uwiadamiam Pana, że się zemszczę i pomieszczę w *Tygodniku* kilka uwag o Pańskim „Bondarczuku“ i „Budniku.“ Życzliwy służa.“

Wymówka ta, uczyniona w formie tak przyzwoitej i taktownej dopięła celu; Kraszewski odpisał z usprawiedliwieniem, usiłując widocznie wyprzeć się złej intencji w artykule swoim, składając wszystko na formę lekką, swobodną i żartobliwą, która ubodła drażliwą miłość własną autora, próbował się oczyścić i zręcznie ukrytą szpilką ukłuł

znowu Korzeniowskiego, że widocznie wymaga czolobitności, hołdów uwielbienia. Listu tego nie znamy, ale łatwo domyślić się jego treści z odpowiedzi, którą zuaależiliśmy w pozostałej korespondencji:

„Szanowny Panie Józefie! Odebrałem list Pana. z którego widzę, żeś mnie Pan nie chciał zrozumieć. Nie jestem ja tak drażliwym na nagane, na surowe wytknięcie czy wad, czy braku zdolności, czy czego tam, ale powtarzam Panu raz jeszcze, że mi przykrym był ten szyderski Pańskiej krytyki, tem bardziej, że to wyszło z pod pióra Pana, czegom się nie mógł spodziewać. Jeżeli zaś to nie było szyderstwem, ale tylko uśmiechem w dobrej chęci, to nie moja wina, żeś się tak wyraził, iż nietylko ja wziąłem to za drwiny. Dlaczegoż nie mam żadnej pretensyi za uwagi o „Powiastkach,“ choć w ogóle więcej w nich nagany, niż pochwały? Owszem, na wiele rzeczy zgadzam się najchętniej, wiele zdań, jak np. o Anilce, najzupełniej podzielał. Bo ja, mój dobry Panie, ani czolobitności, ani uwielbienia, ani ostrożności i strachu nie wymagam, ale chcę tylko, abym mógł się czego z krytyki nauczyć, aby mię ona zaprowadziła na drogę lepszą, jeżeli jestem na złej, abym widział w niej szczerze i otwarcie oddane wrażenia, jakie praca moja w sądzącym mnie sprawiła. O takie uwagi proszę, błagam i takie przyjmę zawsze z wdzięcznością. Że tej zalety uwagi Pana o „Wędrówkach“ nie mają, to Pan sam obaczysz, jeżeli je odczytać zechcesz.

„Ale w czem mnie Pan kapitalnie zrozumieć nie chciałeś, to w wyrazie *zemsty*. Chociaż Pański „Budnik“ jest małym obrazkiem, jak go Pan sam nazwałeś, ale oprócz obrazu matki łatwowernej, który jest przesadzonym, i nie wiem dlaczego bolącym, powiastkę tę uważam za mistrzowską, szczególnie odrysowanie charakteru ojca i kilka scen, do których on wchodzi. Otóż chciałem okazać całą jej wartość i sztukę, i taką miała być moja zemsta. Inna rzeczywiście była-by rzeczą niegodną, a gniew, doprawdy, był-by dzieciństwem. Ja też go nie miałem nigdy, chociaż, nie taję, iż mi było przykro, i że w takim uczuciu list mój był napisany. Gdybym się mógł gniewać, to gniewałbym się za *czolobitność*, za *strach*, za *ostrożność*. Ale wiem o tem dobrze, że Pan tak nie myślisz, żeś pewny równie podziękowania za zdrowy sąd, jak wdzięczności za sprawiedliwą nagane.

„Niech więc tedy będzie temu koniec, ale jeżeli jeszcze co wydrukuję, niech to idzie pod sąd Twój, Panie Józefie! Wyraź swoje wrażenie, jak chcesz, byłem widział jasno myśl Twoją i poznał z twego pi-

sma, żeś mnie czytał z uwagą. Polecam się Twojej przyjaźni i pamięci, pełen zawsze szacunku, życzliwy sługa.“

Drugi taki wypadek „nieporozumienia“ zachodzi już pod koniec ich stosunku, w czasach, gdy Kraszewski redaguje *Gazetę codzienną* w Warszawie; wypadek na pozór drobny, ale również dotkliwy, chociaż tak często praktykowany w pismach, mających uprzedzenia do pewnych osobistości. Wytyka się, i rozdyma, i piętnuje nieraz drobiazgi na niekorzyść autorów, do których się nie ma sympatyj, notuje skwapliwie to, co im szkodzić może w opinii, a przemilcza umyślnie wszystko, co-by na ich korzyść wyjść mogło pod pozorem unikania „reklamy.“

Coś takiego wydarzyło się z Korzeniowskim.

Kuryer wileński w korespondencji z Ukrainy podał wiadomość o wzmagającym się ruchu czytelnictwem, i wymienił najpopularniejszych autorów, których dzieła „leżą na stołach oficjalistów,“ mianowicie: Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Kaczkowskiego i Chodźkę. *Gazeta* przedrukowała tę wzmiankę, ale opuściła nazwisko Korzeniowskiego. Nie stało się to zapewne przez nieuwagę, lub pomyłkę, lecz z umysłu, ze zbyt widoczną chęcią przemilczenia według niesumiennej taktyki dziennikarskiej, aby nie utrwałać rozgłosu autorowi, który w danej chwili nie znajdował się może *in odore sanctitatis*, i według rozumienia redakcyi, nie powinien był należeć do najpoczytniejszych, obok Kraszewskiego, Kaczkowskiego i Chodźki.

W tym samym liście, w którym tak gorące pochwały oddaje Korzeniowski *Gazecie*, i podnosi jej kierunek i rozumną politykę na czasie, upomina się w przypisku o tę małą krzywdę, zapytując, czy była z pewną zasadą mu wyrządzoną, czy też tylko przypadkiem.

„Nie sądzę, — mówi, — aby ta *poprawka* była umyślną, i za Twoją wiedzą, Panie Józefie! Nie opuszczenie mego nazwiska, o które mniejsza, ale intencja była-by dla mnie bolesną, bom na to u Was nie zasłużył.“

Chwilowy ten rozdzwięk nie zepsuł jednak dobrej harmonii dalszego stosunku z Kraszewskim; widują się z sobą, o ile Korzeniowskiemu coraz gorsze zdrowie na to pozwala, i o ile wychodzić mu wolno z mieszkania swego przy ulicy Niecałej, w domu Jakubowskiego. Korespondencya toczy się dalej, jednak w rzeczach drobniejszej wagi. Chałubiński skazuje pacyenta na „ścisły areoszt,“ więc męczony dusznością astmatyk nie wiele się rusza, ale pracuje zawsze jeszcze

dużo, tylko w innym kierunku. Sprawa wychowania, projekty w organizacyi szkół elementarnych, powiatowych i gimnazyalnych, opracowanie ustawy dla Szkoły głównej zajmują go nieustannie. „Trzeba było widzieć, — powiada o nim z tych czasów gorących Leopold Winkler, — tego starca, niemającego już pięciu minut spokojnych od przesładujących go bólów fizycznych, jak się ożywił, jak był pełen nadziei jak był wdzięcznym margrabiemu, że go wybrał do tak drogiej sercu roboty.

Jeszcze we wrześniu 1857-go roku, gdy się wybierał na południe niewiele miał złudzeń co do swego zdrowia; wyjeżdżał do Nicei na trzy lub cztery miesiące, aby potem powrócić się trochę po Włoszech: „Nie wiem, czy to, co pomoże, — pisał do Kraszewskiego; — w każdym razie odpoczynek odświeży trochę siły i może mi odejmie to zniechęcenie do wszystkiego, które mnie w ostatnich czasach opadło. Żegnaj więc kochanego Pana na miesiący kilka, i spodziewam się, że powróciwszy, zastanę jaki nowy owoc tych niezmordowanych sił, które Panu Bóg dał dla naszej uciechy i nauki.“

Choroba nie ustępowała, przeciągała się tylko przez lat kilka, kwękał i wyrzekał, nazywając się „niedołęgą;“ w dniu 5 października 1861-go roku, maluje w ten sposób swój stan Kraszewskiemu:

„Szanowny Paniel Pan margrabia Wielopolski komunikował mi list, któryś Pan Dobr. do syna jego pisał. Sam zajęty tak, że i chwilkę czasu nie ma, polecił mi skomunikować się z Szanownym Panem i pomówić o zrobionych propozycjach (?), których treść mi wiadoma. Jeżeliś tedy tak łaskaw, że chcesz nam dopomódz (ciekawa rzecz, w jakiej sprawie? *Przyp. autora*), to dopomóż i mnie do spełnienia danego zlecenia. Jestem tak chory, tak zajęty, że było-by to ze strony Pana kochanego dowodem wielkiej dla mnie względności, gdybyś raczył lub dziś po godzinie 6-ej, lub jutro do 12-ej, a po obiedzie od 5-ej lub 6-ej wstąpić do mnie na chwilkę, abyśmy o tem pomówili; gdybyś nie mógł, to racz naznaczyć godzinę i miejsce, gdzie-bym Pana Szanownego na pewno zastał, gdyż przyjechać tam dla mnie i nie zastać, lub nie módz się widzieć, jest trudniej, jak dawniej było-by zrobić mil kilka, lub kilkanaście. Przepraszam za moją śmiałość, ale Pan kochany umiesz z każdego dnia robić trzy, i w każdym robisz tyle, czego-by inny i w szczęściu nie zrobił, uwzględniś tę prośbę niedołęgi i tej śmiałości wybaczysz. Z serdeczną życzliwością Sz. Pana najniższy sługa.“

W „Rozmaitościach“ lwowskich z roku 1858-go, Karol Estreicher pomieścił obszerny i bardzo w pomysłę samym dowcipny, a w treści

zajmujący artykuł p. t.: „Korzeniowski Józef, pisarz sceniczny i jego krytycy;“ zasłużony dyrektor dzisiejszy Biblioteki Jagiellońskiej i twórca pomnikowej „Bibliografii polskiej;“ oddawna najgoręcej zajmował się teatrem, badał jego dzieje, gromadził całe stopy materiałów i notat, z których część tylko wydał dotąd w druku, ale znaczną większość, starannie opracowaną, trzyma dotychczas w tekach, i czeka sposobniejszej chwili, oraz chętnego wydawcy. Znalazło-by się w tem dziele prawie wszystko, co dotyczy historii sceny polskiej i jej rozwoju od najwcześniejszych początków, cały materiał wieloletnich studyów, z których dało-by się dopiero odtworzyć dokładny obraz naszej sztuki i literatury dramatycznej. Niestety, praca ta, iście benedyktyńska, pozostawać musi dotąd w rękopisie z krzywdą dla piśmiennictwa, bo trudno wymagać od autora, ażeby sam ponosił koszt wydawnictwa, i do tego plonu, skrzętnie zbieranego przez całe dziesiątki lat, dopłacał z własnej kieszeni.

Skorzystalismy z uprzejmości czeigodnego autora „Teatrów w Polsce;“ i pozyskali prawo do ogłoszenia wyjątków z korespondencji jego z Korzeniowskim, który z powodu wyżej wzmiankowanego artykułu, rozpiisał się bardzo obszernie o sobie i swojej twórczości w długim liście, zawierającym wiele ciekawych i zajmujących szczegółów.

Studyum porównawcze Estreichera, wydrukowane w rok po pamiętnej krytyce Klaczki o „Krewnych;“ musiało sprawić na Korzeniowskim przyjemne wrażenie, skoro poczuł się do obowiązku podziękowania autorowi obszernym listem, w którym pisze z Warszawy, pod datą 10 lipca 1858-go roku:

„Szanowny Panie! List Pański z d. 2 b. m. wraz z numerami „Rozmaitości;“ obejmującemi tak zaszczytną dla mnie pracę Pańską, z przyjemnością odebrałem. Nie spodziewałem się tak prędko przypatrzeć się mojej fizyognomii umysłowej i artystycznej w takim zwierciadle. A chociaż wyglądam w niem tak, jak wygląda twarz ludzka w potłuczonym lusterku, dziękuję jednak Panu Dobr. serdecznie, żeś mi je pokazał. Przepędziwszy tyle czasu daleko od kraju, gdzie prawie wszystkie moje późniejsze dramata i komedye, oprócz *Klary*, *Anieli*, *Pelopidów*, *Mnicha*, *Mieczysława*, *Dymitra* i *Pięknej kobiety* napisał (te wszystkie nrodziły się w Krzemieńcu przed rokiem 1830-ym), wielu i wielu rzeczy z tego, co o mnie napisano, nie czytałem i nie znałem wcale. Nie wszystko to, prawda, odpowiada mojemu oczekiwaniu tak w pochvale, jak i w naganie. I w jednej, i w drugiej widzę często prze-

sądę, uleganie chwilowemu wrażeniu, sążenie o dziele z tego efektu, jaki robi na miernym teatrze, ocenianie siły słów moich z tego fałszywego nieraz tonu, jaki im daje głos naszych aktorów, którzy po większej części nie umieją mówić, i w tej mierze mianowicie nie są wirtuozami. Zawsze jednak to zestawienie zdań najróżnorodniejszych jest dla mnie niezmiernie ciekawem, a z wielu względów i dla innych stać się może użytecznem. Kiedyś przychodziło mi na myśl samemu zebrać to wszystko, co o mnie powiedziano, postawić czarne obok białego, zbliżyć do siebie różne zdania o tej samej rzeczy, aby pokazać, jak sąd pojedynczy jest chwiejącym się i niepewnym; jak ci, którym Bóg dał w pewnej mierze talent i chęć do pracy, ani się pochwałą nadymać, ani naganą zrażać nie powinni; szczególnie chciałem ostrzedz tym sposobem krytyków, aby sami byli rozumniejsi, aby przestali w to wierzyć... (kilka wyrazów wykreślonych i nieczytelnych), że krytyka może postawić na nogi tego, co nóg nie ma, lub zwichnąć z drogi tego, kogo na niej postawił głos wewnętrznej siły i naturalne usposobienie, aby się na niej utrzymał. Inne zajęcia zapewne-by mi nie pozwoliły projekt ten przyprowadzić do skutku; dzięki więc Panu Dobr., żeś to zrobił, a zasługa będzie tem większa, jeżeli nie ograniczysz się tylko na mnie, ale i innych pisarzy naszych, dla których krytyka miała trybularz i różgę, tym sposobem obrobisz.“

Jakkolwiek tak rozumnie i wytrawnie, a z godnością pisarza, czującego swój talent i powołanie, odzywa się o krytyce i o autorach, nie chce widocznie pamiętać, że recenzję Klaczki przechorował, że poprzednio niejednokrotnie czuł się niesprawiedliwością i zarzutami krytyki tak zniechęconym i zrażonym, iż... przychodziły mu „grzeszne myśli“ do głowy, aby raz z tem wszystkim skończyć. Pisał kiedyś do Karola Wittego: „Chociaż mnie to nie bardzo obchodzi, co o mnie piszą (list z 19 lipca 1839 r.), jednak dobrze wiedzieć i zupełnie obojętnym być nie można“.

Co innego w podobnych razach się mówi, a co innego czuje, gdy się jest autorem lub artystą, zależnym jednak bądź co bądź od tej krytyki, dobrej czy złej, ale urabiającej zawsze jakiś sąd i opinię publiczną; lekceważyć jej zupełnie niepodobna, prawować się z nią nie sposób, ale obojętnym pozostać i nieczułym na jej krzywdzący wpływ i dotkliwe ukłucia bardzo trudno i ciężko. Z tego względu ma się prawo wymagać od krytyki nie tylko znawstwa, ale i wielkiej etycznej podstawy charakteru.

Znaczną część listu Korzeniowskiego zajmują sprostowania i dopełnienia, które uważamy za stosowne przytoczyć w całości:

„1. Rozbiór *Prób dramatycznych*, sumienny i głębszy, zrobił Stefan Witwicki w „Gazecie literackiej“, zdaje mi się w roku 1827 czy 1828.

2. *Dwie Hrabianki*, o których było w „Gazecie Krakowskiej“, wystawione pod pseudonimem Korczewskiego, nie są moje. Nigdy nie podobnego nie pisał i w myśli nawet nie miał.

3. *Bitwa nad Mozgawą* i *Mieczysław Stary* są jedną i tą samą sztuką. Dramat ten napisany był w roku 1827. Data więc *Bitwy nad Mozgawą* t. j. r. 1838, którą na kar. 171 wyczytuję, jest błędną. Dramat ten, czwarty z porządku prac moich, nie poszedł wówczas do druku, że cenzor ówczesny Szydłowski, znany z powieści Kraszewskiego pod nazwiskiem Iglickiego, osądził go jako przeciwny rządowi, religii i moralności (sic!). Surowość ówczesnych prawideł Cenzury i kary za przestąpienie ich przepisane, przestraszyły samego prawodawcę. Miał więc ów komitet cenzury być skasowanym, Szydłowski miał zostać bez miejsca, a starając się o moją posadę w Krzemieńcu, chciał mnie wysłać na sobole. Gdyby mnie był Pelczar nie wyratował i jako Rektor nie zabrał wyroku do siebie i nie odesłał do mnie dramatu i zdania Cenzora, prosząc, a tym jedno i drugie schował, był-bym może nie strzelał soboli, ale wreszcie został-bym był bez chleba. Wieleż razy podobnie na mniejszą tylko skalę i z nie tak zgubnym skutkiem namiętność lub interes kieruje piórem sądzących o pisarzu i poddaje mu zdania, myśli i dążenia, których nigdy nie miał! Dla tych to okoliczności dramat ten leży dotąd i leżeć będzie, póki go w wielu miejscach nie przerobię, dla zatarcia nie tych grzechów kapitalnych, które tam widział Szydłowski, a których tam niema, ale niektórych grzeszków historycznych, które usunąć wypada.

4. Na tejże str. 171, raczy Pan Dob. sprostować jeszcze inne daty. *Mnich*, chociaż drukowany był dopiero w r. 1830, napisany był w r. 1826. *Dymitr i Marya* w r. 1828 (a nie w 1838), a *Piękna kobieta* w r. 1829.

5. Na str. 165 między pracami mającemi zostawać w rękopiśmie wymieniono: a) *Teatr amatorski w Ciechocinku*. Tego niema i nie było. Gdy się tam znajdował dla kąpeli, prosiły mnie damy, abym dla nich jaką sztukę napisał. Odpowiedziałem im, że jeżeli chcą, napiszę im komedję pod wyżej wzmiankowanym tytułem. Panie zgodziły się, nie zrozumiawszy ironicznej intencji; oficjalny Correspondent którejś gazety wziął żart za dobrą monetę i tak powstała sztuka, o której ja

nie myślałem zupełnie. b) Dramat *Miłość i Zemsta* jest to samo, co *Dymitr i Marya*. Pod tym tytułem napisałem pierwiastkowo z przedmiotu Maryi dramat trzyaktowy prozą. Był wówczas w Krzemieńcu syn Cypryana Godebskiego, Xawery Godebski, z którym w bliskich żyłem stosunkach. Przeczytałem mu moją pracę, która chociaż mu się dość podobała, znajdował jednak, że należało ją przelać w wiersze. Był to jeden z zapalonych amatorów rymu, jeden z tych rymotwórców, którym „P. Fortunat“ dedykowany, a których *polikój proza truje*. Że to był człowiek mowny i miły, żem miał dla niego wiele przyjaźni, usłuchałem go i tym sposobem z rzeczy może dobrej, więcej ściśnionej, a zatem większego efektu, z rzeczy, która-by mnie była od razu podniosła na deski teatralne, przynajmniej we Lwowie, i dała mi większy rozgłos, powstał ów dramat rozwlekły, którego wiersz, *Cyganka* i piąty akt jest całą zaletą. *Miłość i zemstę* spaliłem, brulionu nie mam. Rzecz więc ta przepadła. c) Komedia *Skąpiec zakochany* jest, była raz grana w teatrze Rozmaitości, ale, że jest nie do rzeczy, cofnąłem ją po pierwszej reprezentacji i zarzuciłem gdzieś rękopism. Jeżeli go znajdę, spalę. d) *Zakład sumienny* Tragedya w 5 aktach jest rzeczywiście, ale leży i leżeć będzie. Jest to pierwszy i jedyny dramat, napisany pod wpływem dramatów francuskich, szczególnie Dumasa, który wówczas dopiero wpadł mi w rękę. Było to w roku 1837. Jakie więc może mieć znaczenie i o ile słuszną jest uwaga Przędzieckiego, że imitacją „Katarzyny Howard“ jest *Pielna kobieta*, napisana w roku 1829, to łatwo widzieć. W *Zakładzie* tym przybrałem ton dramatów francuskich i umyślnie puściłem się na to wstrętne dla mnie pole z pewnych względów obrażonej miłości własnej, i dla przekonania tych, którzy z intencją wynosili przy mnie manierę i siłę Dumasa, że i ja potrafię także nie szczędzić delikatności słuchaczów i targać ich serce jaskrawem malowidłem. Wkrótce jednak odrzuciłem w kąć tę pracę, a nawet przerobiłem ją na komedię dwuaktową, która się znajduje w zbiorze Dwuaktowym, i którą ktoś, niech mu P. Bóg nie pamięta, nazwał wyższą od wszystkich komedyi Fredry! Do innych naśladowań, do łapania cudzych myśli, do chodzenia na cudzych nogach nie przyznaję się doprawdy. Dla tego czasem śmieszem, a czasem przykrem wydaje mi się w wielu miejscach Pana Dobr. przypisywanie mi takiego malpiego talentu, jak gdybym własnego głosu nie miał, a tylko był ścianą odbijającą cudze i dającą ciekawe echo. I tak na przykład; *Młoda wdowę* napisałem w Charkowie w r. 1843, kiedym ani o asystencyi Bogusławskiego, ani o jego „Lwach i Lwicach“ nie wiedział. Bogusławski jest człowiek z talentem, ma właściwą sobie drogę, ale zanadto ma rozumu i dobrej wiary, aby sam nie wzruszył ra-

mionami, gdyby przeczytał to, żem go ja chciał naśladować. Toż samo z *Djabłem* Kraszewskiego. Plan *Wąsów i Peruki* na kilka lat przed ukazaniem się tej powieści był już prawie gotowy i czekał tylko chwili porodu. Inaczej się rzecz ma z Szekspirem i Szylerelem. Tych studiowałem od młodości i dotąd studiuję. Szekspira nie myślałem nigdy naśladować, biorąc ten wyraz w takim znaczeniu, w jakim on się zwykle bierze, bo gdzież jest głupiec, który-by się na to odważył. Naczytanie się Szylera odbija się w Anieli, to przyznaję, jest w Dymitrze, w pożegnaniu Maryi, gdy z domu ojcowskiego wychodzi, i jest nawet w Mieczysławie, czemu nie przeczę; ale odbija się w tonie, w formie, w sytuacji, ale nie w słowach. e) z *Blanki Orsino* napisałem tylko jedną scenę wierszem miarowym, więcej nie było i niema. f) *Kobieta uczona* jest to samo, co Autorka. Widać, że ktoś przekreślił tytuł i tak puścił w świat pogłoskę. g) *Jan z Tęczyna* jest w projekcie, napiszę go, jeżeli siły pozwolą i życia stanie. h) *Podróżomania*, komedia w czterech aktach, napisana w Nizy, znajduje się w Repertuarze tujejszem, i czeka łaski nieślaskawej na mnie Dyrekcyi. i) *Rokiczany*, opery, zaczętej na prośbę Moniuszki, jest dopiero akt pierwszy. Nie wiem, czy rzecz tę dociągnę do końca; jest-to robota niewdzięczna, na którą szkoda pracy i myśli. Przytem uwagi w „Czasie“ krakowskim rzucone, chociaż bardzo słuszne, ale niewczesne dlatego, że się stosowały do mnie, jakgdybym ja nie był zdolnym domyślić się tego, że osobę Kaźmierza W. należy szanować, i nie dać mu szamotać się po scenie, zniechęciły mnie do kończenia tej pracy. k) *Pelopidowie*. Tragedya ta w formie zupełnie klasycznej, napisana na prośbę jednej damy, niby odpowiedź na wyzwanie, w którym wynoszono tragedję klasyczną nad romantyczną dla trudności formy, datuje nie z roku 1821, ale z 1826! ¹⁾

¹⁾ Myli się przeto P. Chmielowski, utrzymując, że „trudno przypuścić, ażeby Korzeniowski w roku 1827 już po napisaniu dramatów w innej swobodniejszej formie, chciał wracać do tak krępujących, jak francuskie. Zdaniem mojem „Pelopidów“ odnieść tedy należy do najdawniejszej chwili twórczości dramatycznej Korzeniowskiego i uważać ich za pierwszą dochowaną do dziś jego tragedję, w której jedność czasu i miejsca i akcyi jak najskrupulatniej została zachowana, a długie retoryczne tyrady, antytezami wypełnione miały być jej ozdobą“. („Nasi powieściopisarze“ str. 31). W innym miejscu swego wybornego zresztą studyum o autorze „Dymitra i Maryi“ przypuszcza, że pierwszym utworem tegoż, granym na scenie warszawskiej, był „Piąty akt“ napisany w Kijowie 1833 r., jeżeli się pominie „Pelopidów“, „które podobno wystawiono w Warszawie jeszcze przed rokiem 1831. Otóż nie „podobno“, ale rzeczywiście 28 stycznia 1830 roku, wystawioną została po raz pierwszy na scenie

„6-o. *Zairę* Woltera przetłumaczyłem rzeczywiście w roku 1820, ale ta praca gdzieś zaginęła. *Intryga i Miłość* w tymże czasie przetłumaczona i grana, musi gdzieś być w Repertuarze warszawskim. *Zielone Rękawiczki i Mizantrop* są zupełnie przerobione i spolszczone.

„7-o. Na tej-że stronie 165 powiedziano: *Okrężne na Litwie*, dodatek ten „na Litwie“ jest niepotrzebny, bo to nie jest na Litwie.

„8-o. Na stronie 195 recenzent przypuszcza, że *Dziewczyna i dama* wcześniej pisana była, jak w r. 1848. Rzeczywiście napisana 1836.

„9-o. Ze wszystkich zdań najniesłuszniejszym znajduję zdanie o *Wąsach i Peruce*. Mnie się zdawało i zdaje się dotąd, że to nie jest treść *blaha*, że tam idzie *nie tylko o golenie wąsa i zrzućenie kontusza*, że pod „Wąsem i peruką“ leży inne znaczenie, bo wąs nie jest tu *wyrazem niedołęztwa*, jak powiedział S. P. w Dzienniku literackim, na co Pan Dob. dodałeś: *śluszenie mówi!* Ale o to mniejsza. Musiałem źle myśl swoją wyrazić, kiedy krytyka pod symbolem sukni polskiej i francuskiej nic innego, jak sukno i aksamit dojrzeć nie zdołała. Sądzę jednak, że gdybym mógł tę sztukę wyprowadzić na warszawską scenę, publiczność tutejsza dopowiedziałaby w swojej myśli to, czego ja wypowiedzieć nie mogłem, czy nie zdołałem. O *Cyganach i Młodym mężu* wypadł także sąd niepomysłny, nawet ze strony Pana Dob. Szkoda mi „Cyganów“, bo ja pewny jestem, że gdybym miał trzy dobre aktorki, na Gulde, Jerni i Naję, gdybym miał aktora, który-by bez wykręcania oczów i machania rękami umiał głosem i postawą spokojną wydać tę siłę wewnętrzną, jaką dałem Nandze, nikomu z publiczności nie przyszło-by zapytać: *kiedy oni kraść przestaną?* Przynajmniej dziękuję i za

Teatru narodowego w Warszawie nowa tragedia p. t. „Pelopidowie“, o której w pięć dni później znajdujemy w Nr. 32 i 33 „Gazety warszawskiej“ obszerną recenzję podpisaną literą T. Krytyk rozбира szczegółowo całą sztukę, chwali tylko akt I-szy, robi mnóstwo zarzutów i nie wymieniwszy ani razu nazwiska autora, zaznacza, iż publiczność przy końcu była obojętną, pomimo iż „najcelniejsi aktorowie wystąpili w tej sztuce, lecz wogólności widać było brak dostatecznego umienia roli, za którem poszła także i gra“. „To pewna,—dodaje,—iż aktorowie nasi traiczni, brakiem czasu w tym względzie wymówić się nie zdołają“. Przeznaczając „Pelopidom“ miejsce poślednie pomiędzy utworami dramatycznymi, utwierdza się jednak w przekonaniu, że „przy talencie, jaki się w tem pierwszym (!) dziele autora dostrzedz daje, może tenże z czasem coś dobrego utworzyć“. Tragedyę Korzeniowskiego powtórzono następnie jeszcze 25 lutego i 23 marca tego roku. Wymienić się godzi, że z powodu zamieszczenia w „Kuryerze Polskim“ recenzji o „Pelopidach“, „Gazeta warszawska“ i „Kuryer“ nawymyślały sobie od „dudków i paw“ przy tej sposobności. (*Przypisek autora*).

to, żeś Pan Dob. nie odezwał się wzgardliwie o tym wierszu miarowym, który nie może trafić do ucha zawziętych amatorów rymu, którym dedykowałem „P. Fortunata.“ Że umiem pisać wiersze rymowane, sądzę, żeś dał tego dowody. I mnie rażą owe wiersze jedynastogłoskowe bez miary i rymu, jakich używał Kraszewski w „Witolordzie, jakich używa Paszkowski w tłumaczeniu Szekspira i inni. Ale czyż moje są takie? Publiczność postrzegłaby różnicę, gdyby je aktorowie wymawiali tak, jak się wymawiać powinny. Ale dosyć już o tem.“

W tymże samym liście dotyka Korzeniowski dwóch jeszcze bardzo ważnych kwestyi osobistych, których jedna o stosunku oryginalnych autorów do sceny kamieniem młyńskim ciąży jeszcze na sercu i talencie wielu piszących dla teatru; druga zaś dotyka najboleśniejszej sprawy w życiu Korzeniowskiego po wydaniu „Tadeusza Bezimiennego“ i „Krewnych.“

O sobie, jako dramaturgu, w ten sposób mówi:

„Co do dalszych prac moich i owego zachęcenia mnie, abym na pole dramatu wrócił, cóż powiem? Mam 62-gi rok. W tak późnym wieku nie łatwo się tworzy, nie łatwo płyną słowa z serca i obrazy nie kształcą się w imaginacji z taką żywością barw i ulotnością form, jak w wieku młodszym. Wszakże nie złożę pióra, póki mi je śmierć z rąk nie wytrąci. Powieści większych rozmiarów nie napiszę już żadnej, bo mnie ta forma znużyła. Zresztą pozorna jej łatwość wywołuje na to pole robotników, których nieudolność podniosła słuszne poniekąd krzyki i na sam rodzaj, i z którymi nie zawsze miło stać w jednym rzędzie. Drobnych powiastek nie zarzekam się, bo lubię ten rodzaj kompozycji. Jest on trudny, choć szczupłe ma granice, i dlatego może dla mnie pojętny, że nie mam współzawodników. Żłem się, zapewne, w przytoczonej przez Pana Dobr. strofie z P. Fortunata wyraził, gdyś mnie P. Dobr. posądził, że mnie krytyka zabiła z pola dramatycznego. Nie, Szanowny Panie! nie krytyka, ale Dyrekcyja jednego naszego teatru, na którym prace moje nie przedstawiano z tą dobrą wolą, z jaką powinny być przedstawiane dla własnego jej interesu, i dla zachęcenia mnie w pracy i postępie, rzuciła mnie na pole powieści wyłącznie. Zostałem, jak kompozytor bez orkiestry. Dla drobnych zazdrostek, dla błahych powodów, o których mówić nie warto, usuniono moje sztuki z Repertuaru. *A choć je po kilku latach wrócono, zawsze muszę się wpraszać na scenę, którą chciałem, a śmiem powiedzieć bez samochwalstwa, mogłem zasilać lepiej, niż kto inny.* Wszakże i ta niesłuszność nie zraża mnie zu-

pełnie. Zrobię jeszcze dla teatru, co Pan Bog da, na co sil stanie. Mam nadzieję, że dłużej żyć będę, niż dzisiejsza Dyrekcyja, niż dzisiejsi aktorowie, co chociaż zręczni i niezli, ale uroili sobie, że rzeczą ich jest: nie grać dobrze, ale surowo sądzić autorów, którzy dla nich piszą. Jak przyjdzie inny czas, inni ludzie, sądzę, że i moje sztuki wyjdą z ukrycia i pokażą, że nikt więcej ode mnie sceny naszej nie kochał, i nikt goręcej jak ja zaszczytu jej nie pragnął.“

Warto-by było, aby te słowa trafiły do serca i rozumu tych, którzy powołani są służyć sztuce i kierować jej instytucyą, do artystów i dyrektorów, i reżyserów każdej sceny polskiej, traktujących często autorów dramatycznych, jak... tabakierę, z którą nos, według przysłowia, nigdy co do praw swoich porozumieć się nie może.

Najważniejszym z całego listu ustępem wydaje się nam niejako wyznanie wiary Korzeniowskiego w odprawie, danej Klaczce, i w odparciu stawianych mu zarzutów. Raz już w „Złotykh kajdanach,“ satyrycznej tragi - komedyi, poszukał sobie odwetu za napaść zbyt gwałtowną i namiętą Klaczki, stawiającego autora „Krewnych“ pod pręgierz, za jego rzekome tendencye społeczno - polityczne; w osobie znakomitego krytyka Centaurowicza, który włada „tak zręcznem piórem, że równie dobrze pisze tak i na wspak,“ a choć się w pismach jego „zdarza często blaga i paradoks, lecz jest i dowcip czasem, rozum zawsze,“ pragnął naszkicować duchową fizyognomię swego Zoila.

Chmielowski i Bełcikowski w swoich studyach o Korzeniowskim, ujęli się słusznie i szlachetnie za pokrzywdzonym autorem; pierwszy z nich zauważył, że „przecież nie mógł odpowiadać on za to, iż nie był entuzystą, lecz rozważnym spostrzegaczem, ani też za to, że w umyśle krytyka pojawiły się widma, które w myśli autora nie powstały wcale. Nietrafnym może był wybór środka poprawy Eugeniusza i Pawła, zwłaszcza, że aż w zdwojonej postaci zjawiał się w jednej powieści; ale nie była nietrafna myśl, która mu go poddała: karność, znoszenie trudów, wystawianie się na ciągłe niebezpieczeństwa, gotowość na śmierć, a więc i zdolność do poświęcenia; to są wpływy, które na duszę znieprawioną, a w gruncie zacną, podziałać mogą uzdrawiająco. i uczynić ją zdolną do odrodzenia się.“

Najwymowniej zastrzegł się jednak sam Korzeniowski przeciw podsuwaniu sobie intencji i dążeń, których nigdy nie miał. i w nikogo wpajać nie pragnął.

Oto, co pisał do Estreichera w tym drażliwym przedmiocie:

„Znajdowałem zawsze śmiesznem ze strony autora, kiedy chce wyperswadować tym, którym się praca jego nie podoba, że nie mają racyi. Często oni nie mają racyi, to prawda, ale częściej nie ma jej autor, zwłaszcza taki, który pisze wiele, a zatem nieraz z nałogu pisania, a nie z prawdziwego natchnienia. Przytem u nas daleko wygodniej jest dla sławy pisarza wystąpić tylko raz lub parę razy z czemsiś obiecującym dalsze arcydzieła, a potem usunąć się pod namiot, jak Achilles, i milczeć. Nazwisko, zbyt często jawiące się na tytułach książek, ludzi pewną niechęć, podobną do tej, jaką powziął niegdyś ów szewc ateński do nazwiska Arystydesa. Ja, przyzwyczajony do sądów najróżnorodniejszych, ostrzelany z pochwałą i naganą, ani się cieszę zbyt znacznie pierwszą, ani się martwię drugą. Lubię sprawiedliwość, miło mi, gdy spotkam się ze zdaniem rozumnym, wykrywającym trafnie i moją myśl, i moje intencye, ale się nigdy nie gniewałem na nikogo za żadną krytykę, anim się z żadnej nie tłumaczył. Kto produkuje publicznie swój talent, oddaje go na pastwę publiczności. Tytuł na dziele. jest to szyld na karczmie. Wolno tam wejść każdemu, chodzić w czapce i świstać. Ale mam się za człowieka uczciwego, za kochającego nadewszystko swój język, swoich ziomków. A chociaż nie oszczędzam ich śmieszności, i mówię im śmiało prawdę, *nigdy jednak nie zaszczeptałem im zgnilizny obyczajów, ani pod względem politycznym, gdyż w to nie wdaję się wcale, nie sprowadziłem ich na krzywe i fałszywe drogi*. Stąd łatwo Pan Dobr. wniesiesz, jakie wrażenie sprawiło na mnie niespodziewane wystąpienie Klaczki, i wywód zręczny, ale niesumienny moich Grzechów przeciw sumieniu polskiemu. Klaczko jest człowiek znakomitej nauki, wielkich zdolności, to mu chętnie przyznaję, ale okazał złą wiarę i niezajomość u naszego położenia. Przesiąkł on zarozumiałością zachodnią. ów splin emigrancki, który im każe widzieć u nas wszystko ze złej strony, chciał zapewne pokazać zręczność Karreadesa w obliczu niektórych pseudopatriotów paryskich, których dawniej smagał potężnie, a którym dziś swojego pióra i talentu pożyczył. Nikt ze znających mnie i moje uczucia nie uwierzył zręczności, i wrażenie, jakiegom doznał, złagodzone zostało szacunkiem i przychylnością tych wszystkich, którzy mnie znają i tu, w Litwie, i na Wołyniu, i na Ukrainie. Byłoby inaczey w Galicyi? Jest-że to, co wyczytuję w relacyi Pańskiej: (str. 166) „Pokuszenie uwieńczone dość szczęśliwym skutkiem,“ odgłosem publiczności? Byłoby to dla mnie prawdziwe zmartwienie, bom się urodził w Galicyi i chowam wdzięczność dla Lwowa, którego scena pierwsza podniosła moje imię. Nie dziw się więc Pan Dob., że mnie słowa te i ten dodatek, „że miał za sobą nieco słuszności,“ najmocniej dotknęły z tego wszystkiego, com niepoehlebno, lub niesłusznego o moim talencie pi-

sarskim w pracy Pana Dob. wyczytał. Sądzę jednak, żeś Pan Dob. napisał to pod wrażeniem tej zręczności, która może niejednego na chwilę uwiiodła. Wszakże mam nadzieję, że Pan Dob., któryś tyle nademną pracował, znasz mnie lepiej, niż inni, i jeżeli koniec powieści mej jeszcze kiedy odczytasz, przekonasz się, że tam nie tylko *niewiele* słuszności, ale nawet *niewiele* pozorów do rzucenia na mnie takiej klątwy nie było.“

Na tym głosie z po-za grobu, którym broni się i usprawiedliwia sam autor „Krewnych“ i „Tadeusza bezimiennego,“ zamykamy nasz artykuł o pisarzu, który pragnął „drogami rozumu, pracy i nauki“ prowadzić swoje społeczeństwo do najżywoźniejszych celów, a który obawiał się dla niego wszelkich ryzykownych a niebezpiecznych środków, znając nasze usposobienie i wiedząc, że:

Zapłonąć nam nie trudno. Rzecz drobna, chwalebna,

Nawet okazała, tylko, choćby niepotrzebna,

Zapala nas odrazu. Buchamy płomieniem,

Póki trud i powinność świeżem jest zachcieniem.

Gdy skutek ich przeszkoda jakąbądź obala,

Jak spirytus, ten zapal całkiem się wypala.

Nudzi nas, co służyło zrazu do zabawy

I zimniejszymi czyni dla najlepszej sprawy.

M. GAWALEWICZ.

STROFY.

I.

Wszystkim, co smutni, wszystkim, których twarze
Przedwczesne brzoźdy porwały starości,
Na czyich ustach uśmiech nie zagości.
Wszystkim tym razem ja dzisiaj ślę w darze
Strofy, gdzie uśmiech z łzą się w wierszu spleta,
Braciom — od brata.

Wszystkim, co walczą, co padają w znoju
I krwawym potem ślad drogi swej znaczą,
I z żarem w oczach, a w sercu z rozpaczą,
Z sił wyczerpani biegną znów do boju,
Wszystkim, myśl których nad poziomy wzlata,
Braciom — od brata.

Wspólnie cierniową my kroczymy drogą,
Jednem się łkaniem pierś nasza odzywa,
A ból i smutek to takie ogniwa,
Co rozerwane nigdy być nie mogą;
Choć rozproszeni po szerokim świecie,
Wy mnie pojmiecie.

Lecz jeśli pieśnią rozbudzę wam w duszy
Uśpione struny i wprawię je w drganie,
A ogrom bólów przebytych znów wstanie,
Ożyje znowu i serce poruszy;
To mnie nie wińcie, smać dola śpiewaka
Smutna już taka.

Choć śmiać się pragnie — to śmiech miesza z łzami,
Chce wam dać słońce, gwiazdy, niebo jasne,
A miast nich daje czarne myśli własne;
Płacze nad sobą, i płacze nad wami,
I wiecznie, wiecznie w swem życiu tułaczem
Śmiech łączy z płaczem.

Lecz wam śpiewaka nie takiego trzeba,
Co wiele pragnie, a nic dać nie może;
Ale takiego, który-by w przestworze,
Jak orzeł leciał do słońca i nieba.
Z krwi naszej, potu, z łez naszych powodzi
Śpiewak się taki narodzi.

II.

Z łez on nawiąże struny swojej lutni,
Lecz weźmie dla nich barwne blaski tęczy,
Słońca promienie, i każda zadźwięczy
Nadziei hasłem: „o nie płaczcie smutni!
My wasze bóle weźmiemy na siebie,
Wam Niebo damy, a łez niema w niebie.

„My płakać będziem, lecz pod wasze strzechy
Niech majowego wróci dnia pogoda,
Niech sił wam doda i otuchy doda,
Na smutne twarze niech wrócą uśmiechy,
Przy naszych dźwiękach zaśnijcie, aż wstanie
Nad głową waszą jutrzeńki świtanie“.

Tak na tych strunach wygra on pieśń całą,
Od której w piersiach mężnieć będzie dusza,
Pieśń, jaką ongi była Tyrteusza,
Co Spartę wzniosła i okryła chwałą,
Pieśń, co się w łonie u dziecka już budzi
I każe kochać nieszczęśliwych ludzi.

M. TATARKIEWICZ.

Kronika londyńska.

Mars gravior sub pace latet! Nie brakło w końcu zeszłego i z początkiem nowego roku ministeryalnych zapewnień, iż międzynarodowego spokoju nie zakłóciło żadne nieporozumienie tak poważne, żeby go nie potrafiła usunąć dbałość mocarstw o zażegnanie wojennego widma. Spodziewano się, że rozjemcza ugoda ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki posłuży za wzór innym ludom i rządóm; królewskie orędzie do parlamentu wyraziło tę nadzieję z naciskiem. Społeczeństwo angielskie chce ufać, iż spokojnie przeminie rok 61-szy panowania królowej Wiktoryi, panowania najdłuższego ze wszystkich dotychczasowych, na tronie, którego monarchowie odznaczają się długim życiem. Z tą ufnością, zarządzono rozległe przygotowania do uroczystego obchodu, w przyszłym maju i czerwcu, najprzód urodzin królowej, następnie jej koronacyjnej rocznicy. Zapytana przez syna, księcia Walii, jaki sposób uwiecznienia tej rocznicy był-by jej samej najmilszy, odpowiedziała: „ten, który może złagodzić cierpienia największej liczby nieszczęśliwych i ubogich!“ Potworzyły się przeto komitety municypalne i prowincjonalne, obmyślające szereg festynów pamiątkowych i przeróżne dzieła dobroczynności o charakterze trwałym; w stolicy zjednoczonego

królestwa inicjatywa następcy tronu wywołała jednogodną decyzję hojnego uposażenia tych szpitali przede wszystkim, które, położone w dzielnicach ubogich, potrzebują znacznego rozszerzenia. Tegoroczny lord mayor śródmieścia, Faudel - Philipps, zamierzał ze swej strony otworzyć na ratuszu składkę publiczną, z której wyniku miały-by być spłacone długi wszystkich w Lodynie szpitali bezpłatnych, obliczone na sumę dwóch milionów funt. st. Nie umiem powiedzieć w tej chwili, czy zamiar istnieje do tej pory, wobec palącej konieczności ciągłego szukania funduszków na rzecz głodem ginącej ludności w Indyach.

W planie przygotowań do uroczystości majowych ważne miejsce zajmują publiczne podejmowania dostojnych gości, oczekiwanych ze stałego lądu. Prócz licznych niemieckich i duńskich książąt, członków najbliższych królewskiej rodziny, spodziewani są wszyscy reprezentanci wszystkich panujących dynastji, mający obecnością swoją nie tylko uświetnić główne chwile obchodu, lecz i zaznaczyć wyraźnie hołd ludów, oddany zasadzie zwierzchniczej powagi. Spodziewani są wice-królowie Irlandji, Indji i Kanady, oraz pierwsi ministrowie Kolonii, które nie są zależne od ogólnopanstwowego parlamentu w swoich własnych granicach; a zjazd tych dygnitarzy ma uwydatnić spólnię najdalszych latorośli z macierzystym szczeniem wielko - brytańskim. Zjazd ten ma się zakończyć wielką konferencyą, której zadaniem będzie obmyślenie tożsamości prawodawstwa polityczno - ekonomicznego dla całego skonfederowanego imperyum. Podobno jest życzeniem parlamentów kolonialnych, by królowa Wiktorya przyjęła w koronacyjną rocznicę tytuł „Cesarzowej W. Brytanji i Indji, królowej Irlandji i zwierzchniej pani (*Sovereign Lady*) Kolonii brytańskich.

Tymczasem zaciemnia się widnokrąg brytańsko - imperyalny z dniem każdym nieomal. Nie przypuszczam, by ktokolwiek w Anglii mógł dziś orzec, iż nie rozwinie się nad nią groźny sztandar wojny, zanim przycichną echa majowych festynów. Nie brak zaś głosów poważnych, zapowiadających wybuch wcześniejszy, dużo wcześniejszy. W arsenałach czynność jest gorączkowa, nieustająca; budowa dodatkowych statków wojennych została ogromnie przyśpieszona; zaopatrywanie portów europejskich, azyatyckich i afrykańskich w zapasy węgla i żywności, zdawało-by się, nadmierne, postępuje rączo i jest przedmiotem coraz częstszych uwag w parlamencie; nakoniec, powiększono nawet, lub postanowiono zwiększyć armię lądową w samej Anglii. Dyplomatyczne kroki gabinetu stają się równocześnie bardzo niejasnemi, by nie powiedzieć... dwuznacznemi. Nie stosuję tego zdania do stanowiska, zajętego przez gabinet lorda Salisburego w kwestji tureckiej, to bowiem rysuje się bardzo wyraźnie w korespondencyi, którą nam

otworzyła styczniowa „Księga błękitna.“ Anglia pozostawia mocarstwu bliżej interesowanemu rozwiązanie carogrodzkiego problemu. Wyteża za to wszystkie usiłowania dyplomatyczne i strategiczne w kierunku, dla niej najżywością ważnym: w Kairze chce zabezpieczyć sobie jedyne *quid pro quo*. Czy więc trwa doprawdy w zamiarze, zapowiedzianym, i ostentacyjnie, i zuchwale w izbach parlamentu, ponowienia zaczepnych kroków w Sudanie, wydarcia Kartumu z rąk arabskich derwiszów, czy też zopowiedź ma na celu zamaskowanie baterji na stanowiskach mniej odległych od Aleksandryi i Suezu... przesądzać niepodobna w tej chwili. To zdaje się nie ulegać kwestji, że dyplomacya brytańska potrafiła, w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, wzmocnić potęgę swoje w Egipcie *j'y suis, j'y reste*, zawikłać rząd Kedywa w matnię zobowiązań, najtrudniejszych do wyrzeczenia się, bo finansowych.

Nie jest tu bynajmniej tajemnicą, że najbliższa rodzina księcia Walii i jego małżonki pracuje najusilniej nad przedłużeniem europejskiego pokoju, przynajmniej po-za ten rok jubileuszowy. Zachody te mogą tłómaczyć trzeźwość i zimną krew, zachowane przez francuskiego ministra spraw zagranicznych, wobec prawie wyzywających oświadczeń tutejszego kanclerza skarbu.

Królowa Wiktorya kończy 78-my rok szczególnie pracowitego żywota i od lat paru zaniemaga coraz częściej. Powtarzają się dziś jeszcze pogłoski o prawdopodobnem usunięciu się jej do życia zacisznego, wkrótce po jubileuszowych uroczystościach, lecz i to jest wiadomem, że królowę przykuwają te same względy, które, z jej powodu najosobliwiej, utrzymują, lub utrzymać pragną, równowagę europejską. Wyobrażenia przywiązanych do osoby monarchiui poddanych przeraża się z coraz większą łatwością, ilekroć wiadomości ze dworu zapisują krócej codzienną kronikę czynności i ruchów sędziwej pani. Lecz obawy wzmogły się po dojściu do publicznej wiadomości, że duch królowej Elżbiety pojawił się w komnatach Windsoru. Są okoliczności, nadające temu wypadkowi znaczenie niepowszednie. Kobiętę ubraną czarno, przechodzącą z gabinetu przez całą długość olbrzymiej biblioteki zamkowej, znikającą w ściemniałym kącie, gdzie drzwi żadnych niema, widział siedzący przy stole, młody oficer służbowy, syn dobrze znanej, znakomitej rodziny arystokratycznej. Główny bibliotekarz zapewnia, że istnieją niezbite dowody pojawiania się królowej Elżbiety w tej właśnie sali bibliotecznej. Różni dygnitarze koronni widzieli córkę Henryka VIII i Anny Boleyn, chodzącą po sali i jakby głęboko zamysłoną, a zjawisko, powtarzające się rzadko, znane było na zamku od wieku XVI. Opowiada bibliotekarz, iż on sam, chcąc koniecznie zoba-

czyć Elżbietę, zwykł był przesiadywać od wielu lat w bibliotece przez całą noc przed dniem Wszystkich Świętych... dotychczas daremnie. Wielu pyta, dlaczegóż-by zjawisko pogromczyni hiszpańskiej Armady nie mogło zapowiadać niedalekiego zwycięstwa Anglii nad równie, lub więcej jeszcze groźnem spłynieniem flot nieprzyjacielskich na brytańskie wody? Wszakże jednak nie Elżbiecie, ani ówczesnej potędze krajowej, przypisać trzeba wielką klęskę Filipa, tylko gwałtownej burzy, która statki hiszpańskie po części zdruzgotała, po części rozpędziła daleko od wybrzeży.

Z bieżących kwestyi wewnętrznych, zatrudniających parlament, najważniejszą jest szkolna, o której pisałem szczegółowo w ostatniej kronice. Gabinet nie obiecuje wygotować takiego projektu, jaki-by mógł postawić szkoły „ochotnicze“ na równi, pod względem materyalnym, ze szkołami państwowemi, bo, doprawdy, zadanie to nazbyt trudne, może niemożliwe do przeprowadzenia. Ale jest ze strony rządu wszelka, zdaje się, gotowość do wyznaczenia szkołom ochotniczym pewnej, corocznej subwencji, której wysokość ma zależeć od stopnia niezamożności szkół poszczególnych, liczby uczniów w nich i liczby potrzebnych nauczycieli. Co o tym projekcie sądzą zwierzchnicy wyznań religijnych, dziś jeszcze dokładnie nie da się streścić; kardynał Vaughan oświadczył, iż przyjmie ze swojej strony propozycję ministeryalną, „jako tymczasowy zadatek.“ Sprawę uregulowania podatkowych ciężarów w Irlandyi, uważaną za najpilniejszą, zarówno przez posłów narodowych i irlandzkich ich przeciwników, pragnie gabinet poruczyć do rozpatrzenia specjalnej komisyi. Jak rzeczy stoją, istnieje orzeczenie poprzedniej komisyi, nieurzędowej atoli, że pół wieku z górą wypłacała ludność Irlandyi do skarbu ogolno - państwowego rok rocznie około dwóch milionów fst. *za wiele...* w stosunku do krajowych dochodów. Lecz przeciw tej deklaracyi powstają ministeryaliści i niektórzy wybitni członkowie opozycyi, utrzymując, iż rzecz się ma przeciwnie... Irlandya nie wpłaca kwoty dostatecznej, jej system celno - podatkowy opiera się na przestarzałych regulaminach z pierwszych lat tego wieku. Łatwo zrozumieć, z jak niecierpliwą ciekawością wyglądają reprezentanci Irlandyi składu nowej komisyi, jej prac i jej ostatecznego wyroku.

Specjalna komisyja parlamentarna, mająca zawyrokować w sprawie zeszłorocznego najazdu granic Transvaalu przez doktora Jamesona, rozpoczęła już swe posiedzenia. W skład jej weszli wybrani przez izbę niższą członkowie obozu ministeryalnego, liberalnego, radykalnego i irlandzkiego, w ogólnej liczbie 17-tu. Zasiada w niej *ex officio* minister spraw kolonialnych, p. Chamberlain, chociaż prace komisyi będą się toczyły z konieczności nad rozwiązaniem kwestyi: czy i o ile cią-

ży na ministrze odpowiedzialność za zakusy uprzywilejowanej kompanii połudn. - afrykańskiej, której Jameson był administratorem i, na granicach zachodnich Transvaalu, pełnomocnikiem. Bardzo poważni i wpływowi członkowie izby, oraz pewna liczba publicystów utrzymują, że p. Chamberlain nie mógł nie przewidywać łupieskich zamiarów kompanii. Ażeby to podejrzenie zrozumieć, rzućmy okiem na mapę południowej Afryki. Rzeka Orańska (Orange River), wpadająca do oceanu Atlantyckiego, rozgranicza koronną kolonię Przylądka Dobrej Nadziei, czyli t. zw. Kaplandyę (obszar 231,276 kwadr. mil angielskich) od dalej ku północy rozciągających się krajów: niemieckiej Damary i Namakwy na zachodzie, dwóch republik boerskich (Transvaalu i Orańskiej) na wschodzie. W pośrodku, od rz. Orańskiej na południu do porzeczka Zambezy (właściwie do rz. Bamangwato), na przestrzeni około 461,000 mil. kw., rozlega się Beczuania. Część jej włączono niedawno do Kaplandyi, resztę, zaludnioną gdzieniegdzie przez szczepy jednorasowe z Zulami, Matabelami i Maszonami, ale Anglikiem przyjął, wzięto pod protektorat. Beczuania cała jest faktycznie krajem koronnym: o ile należy do Kaplandyi, zależy od rządu kolonialnego, o ile zaś i jak daleko jest protegowaną, zależy bezpośrednio od parlamentu londyńskiego, czyli od rozporządzeń ministra spraw kolonialnych. Wynika stąd, że graniczący z Transvaalem zachodni pas Beczuanii pozostaje na całej swej przestrzeni pod jurysdykcją ministra spraw kolonialnych, pośrednią w granicach nabytku Kaplandyi, bezpośrednio; — od nich do granic Matabelli, leżącej na północy i wschodzie od kresów boerskiej republiki młodszej. Nakoniec, skutkiem zabiegów, podbojów i układów Cecila Rhodesa, (działającego w imieniu uprzywilejowanej kompanii, którą do życia sam powołał i której jest prawdziwym geniuszem), dalsze ku północy kraje Afryki, leżące między portugalską Angolą na zachodzie, Kongiem w pośrodku lądu, posiadłościami wschodnimi Niemiec i portugalskim znów Mozambikiem, stanowią dziś Rodezyę, kraj administrowany przez kompanię.

Podejrzewanie p. Chamberlaina o moralną conajmniej współwinę za najazd Jamesona streszcza się w ten sposób: Jakikolwiek były czy nie były plany Rhodesa względem Transvaalu, więc, czy chciał przymocować zmusić rząd republiki do nadania równouprawnienia „obcokrajowcom“ (Uitlanders), przeważnie angielskim poddanym, w Johannesburgu i jego złotodajnych okolicach, czy też zamierzał zapoczątkowanie jurysdykcji rodezyjskiej nad całym Transvaalem, faktem jest nie do zaprzeczenia, iż w końcu roku 1895 i w początku ubiegłego, nie miało wojsko kompanii innego przystępu do granic Transvaalu, jak tylko i jedynie po przez Beczuanie. Wtedy bowiem, broniąc własnego kraju. Matabelowie stawili najlepszy wał obronny przeciw zapędom koloni-

stów na kresy Transvaalu północne. Mają więc istnieć dowody, że między kompanią uprzywilejowaną i rządem koronnym, reprezentowanym w tym wypadku przez ministra spraw kolonialnych, zaszedł układ, na mocy którego i pod pozorem konieczności złączenia torów kolei żelaznej, kompania została upoważnioną do tymczasowego zajęcia 2 — 3 milowego pasa na wschodniem pograniczu Beczuanii, bezpośrednio zektniętem z graniczną linią Transvaalu. Przez „zajęcie“ rozumiano obsadzenie tej smugi siłą zbrojną, ta zaś miała bronić robót, magazynów i t. p. przed możliwym rozbojem i grabieżą ze strony wędrownych kup beczuańskich tubylców.

Czyż więc jest możliwem — napomyka głośny publicysta, W. T. Stead — izby p. Chamberlain przyzwolił był na owo zajęcie. w tak ułomny sposób, takimi upozorowane potrzebami? Stead, Labouchère i znaczna liczba posłów po obu stronach izby utwierdziła się od kilku miesięcy w silnem przekonaniu, że minister był doskonale wtajemniczony w ogólny plan Rhodesa. Lecz jest zarazem ten rys charakterystyczny do zaznaczenia, iż, z mało znaczącymi wyjątkami, panowie ci... mają tylko słowa pochwały dla p. Chamberlaina! Według nich, „birminghamski ślusarz“ przyjął był tekę spraw kolonialnych z niecierpliwą ambycją zaznaczenia swoich rządów jakimś wielkim rautem dyplomatycznym, i w kilka miesięcy po objęciu urzędu skorzystał ze sposobności, która jednak zawiodła nadzieje. Czy znów można powiedzieć stanowczo, iż zawiodła nieodwołalnie? — to inna kwestya! Bieg dotychczasowych w parlamencie rozpraw, a zwłaszcza słynna mowa p. Chamberlaina, wygłoszona w pierwszych dniach lutego, zdaje się wskazywać program następujący: Anglia przyznaje, iż najazd Jamesona był w zasadzie nielegalny, dlatego ukarała oficerów; ale cała odpowiedzialność za krok ten ciąży na rządzie prezydenta republiki transwaalskiej, gdyż krzywdy obco krajowców były i są do tej pory nie do zniesienia, rząd pozostawał i pozostaje obojętnym na przedstawienia pod tym względem reprezentacyjnego (choć prywatnego) związku obco krajowców, komisarza rządu kaplandzkiego i komisarza nadzwyczajnego ze strony Anglii. Uprzywilejowana kompania angielska położyła niepoślednie zasługi przez zdobycie „dla cywilizacji“ olbrzymich krajów w Afryce południowej, miała najśluszniesze powody do ujmowania się za współziomkami w Transvaalu, którzy, choć wpłacają do skarbu republiki „ $\frac{19}{20}$ -stych krajowych podatków.“ nie posiadają ani głosu w administracyi, ani zgoła żadnego równouprawnienia z garstką rządzącej mniejszości. Niedorzecznością było-by nadwerżyć urok kompanii wobec ludów afrykańskich przez pozbawienie jej posiadanych przywilejów. Konwencya Anglii z Transvaalem z r. 1884-go zachować musi całe swoje znaczenie, przeto świeża ustawa paszportowa,

wymyślona przez rząd prez. Krügera przeciw „cudzoziemcom,“ niepowinna być stosowaną do poddanych brytańskich--obywateli zwierzchniczego państwa. Toż samo ma się rozumieć odnośnie do transwaalskich ustaw celnych i do taryf przewozowych z Kaplandyi, Beczuanii, i Rodezyi przez granice republiki.

Program ten toruje z wyraźną bezwzględnością najkrótszą drogę do urzeczywistnienia wielkiej idei Rhodesa: do zbrytanizowania całej południowej Afryki, sięgającej aż do jeziora Taganajki. Jednym, w opinii Rhodesa, żywiołem obcym, wrogim i zupełnie niepotrzebnym w tych stronach — jest niemiecki. Niemieckie kolonie są koloniami z nazwy tylko, nie rozwijają się ani ekonomicznie, ani cywilizacyjnie, bo przybysze z Vaterlandu tem się nadewszystko różnią od kolonistów brytańskich, iż są po największej części zbiegami z Europy, „szumowinami,“ handlując wódką, i to doraźnie, bez systemu. Nie będąc potęgą morską, Niemcy ubezpieczają granice swoich kolonii — przeciw krajowcom i innym — zakreśleniem wielkich, coraz większych tylnic (Hinterlandów). stawiając tem samem najniedorzeczniejsze zapory w postępie cywilizacyjnego i ekonomicznego rozwoju afrykańskiego lądu. Koloniści brytańscy, choć stanowią nawet w swych własnych granicach liczebną mniejszość, żyją z boerską większością (w Kaplandyi, Natalu, w Pondolandyi i w Beczuanii) w zgodzie wzorowej. Rychlejš, później, dobrowolnie, czy inaczej — Boerowie w Transvaalu, stanowiący liczebną mniejszość w porównaniu z Anglikami (wyzyskującymi kopalnie złota na mocy dawnych koncessyi), zleją się tak samo z żywiołem anglo-saskim, a wtedy będzie można pomyśleć o Zjednoczonych Stanach afrykańskich i — o niemieckich tylnicach.

Mówią tu, że prezydent Krüger zdradza się często z gotowością do poczynienia dość daleko idących ustępstw w myśl powyższą i że pojednawcze to usposobienie dzieli większość jego współobywateli, zaś sprzeciwia się mu sfera biurokratyczna w Pretoryi, ulegająca wpływowi podsekretarza stanu dla spraw zagranicznych, d-ra Leydsa, który spędził dość długi czas ubiegłego roku w Berlinie i był gościem w Friedrichruh. O wiele ważniejszą jest pogłoska, powtarzana tu uparcie przez niektóre pisma, jakoby Rhodes posiadał oryginalne dokumenty, dowodzące bardzo daleko zaszyłych porozumień między Berlinem a Pretoryą. Dokumenty te ma Rhodes złożyć niebawem przed komisją śledczą. Nakoniec—by już wyczerpać wiadomości, ześrodkowane dokoła całej tej kwestyi — dzienniki tutejsze otrzymały i ogłosiły komunikacye z po-za naszego świata, zapewniające, nietylko, że w roku bieżącym nastąpi nagle w kraju narodowa żałoba, lecz że równocześnie z zawieruchą europejską przyjdzie Anglii mierzyć swe siły kolonialne z wojskami prezydenta Krügera i... jego sojusznika!

Głód w Indyach, spowodowany nadmiernie długą posuchą w prowincjach północnych i środkowych, przypominał tutejszym politykom o poglądach skrajnych, że cesarski skarb w Kalkucie powinien posiadać kilka milionów rupii dla cierpiących. W każdorocznym budżecie cesarskim jest wymieniona pewna, dość znaczna summa, odkładana właśnie na taki, jak obecny, przypadek. Stanowią te coroczne, specjalne oszczędności, t. zw. „fundusz głodowy.“ Czemuż więc wydzielił skarb dotychczas bardzo skąpe summy z nagromadzonego dla głodnych funduszu? Odpowiadają na to, że fundusz służył od dawna do pokrywania corocznych kosztów „ogólno-państwowej obrony,“ fortyfikacji i uzbrojeń na kresach Indyi północno - zachodnich. Czy temu wierzyć, nie wiem; zasiadający tu jedyny Indostańczyk, reprezentujący jednak w izbie nie indyjski, lecz angielski okręg wyborczy, nie wniósł do tej pory żadnej w tej kwestyi interpelacji.

A czy ucieszy czytelnika wiadomość o współdziale Polaków w obchodzie królewskiej uroczystości? Wyczytałem w dzienniku *Daily Telegraph* list, nadesłany przez jakiegoś pana, który, choć nazwiskiem się podpisał etnologicznie nie polskiem, załączył w liście *pięć tysięcy funtów sterlingów* (około 50.000 rubli), „jako Polak.“ Przyznanie się do narodowości uważam w tym wypadku za osobliwie odważne! Nie napotykać w każdodziennym spisie ofiarodawców więcej nazwisk polskich, ani wymienionych ofiar, złożonych przez Polaków, gotowi Anglicy pomyśleć, iż dar tak znaczny powstał ze składek całego naszego społeczeństwa, i że korespondent *Daily Telegraphu* został wydelegowany do wpłacenia funduszu na miejscu... Nasuwają się też inne uwagi, ale wolę o nich zamilczeć, bo chcę z prawdziwą radością zapisać tu, iż ten sam pan oświadczył się z gotowością złożenia tysiąca funtów w ręce skarbników „funduszu Missyi polskiej w Londynie.“

Może nie będzie od rzeczy opowiedzieć tu pokrótce dzieje tej Missyi, czyli nie parafialnej kapelanii. Własnego kościołka, ani nawet kapliczki, tutejsza kolonia polska nie miała nigdy do lat ostatnich. Księża zjeżdżali tu różni i każdy usiłował utrwalić pracę swoją i zarazem uwidocznić. Do roku 1862-go znajduję ślady działalności księdza Jądzewskiego, obecnie prałata i posła do pruskiego sejmu. Po nim i aż po rok 1878, najdłużej pracował ks. Podolski; kaplica mieściła się w domu, w którym zamieszkiwał missyonarz, a ponieważ ubogi ksiądz zmieniał mieszkanie dość często, pokoiki miał małe i w widokach oszczędności trzymał się środkowych dzielnic stolicy, przeto bardzo drobna tylko garska z pośród osiedlonych we wschodnim Londynie Polaków odwiedzała z rzadka odległą i ruchomą kaplicę. Ks. Podolski nie posiadał też ani sił, ani zdrowia, aby móż odwiedzać swoich wier-

nych w ich własnych mieszkaniach. Na początku roku 1878, kks. Zmartwychwstańcy zajęli się Missyą londyńską; przybył tu ks. Adolf Bakanowski, lecz przekonał się od razu, że, bez odpowiednich środków prywatnych, nie mogło być wtedy mowy ani o należytej w tak obrzymiem mieście działalności kapłańskiej, ani nawet o wyżyciu kapłana z dnia na dzień. Ks. Bakanowski zamieszkiwał więcej niż skromny, maleńki pokoik, przy katolickiej rodzinie angielskiej, biedę cierpiał i znosił nieraz bardzo dotkliwą, środkami rozporządzał nazbyt ściśle ograniczonemi. Za jego czasów niedzielne nabożeństwo odprawiało się w podziemnej kapliczce kościoła, należącego do księży włoskich; wzamian za to ustępstwo, polski ksiądz odprawiał Msze w dni powszednie w kościele samym, w godzinach sobie wyznaczonych. Walcząc z bezustanną troską o byt materyalny swój własny, wytrwał ks. Bakanowski na szczególnie trudnem stanowisku blisko dwa lata. Był-by zapewne wytrwał dłużej, gdyby nie zaszedł tajemniczy zamach na jego życie. W pierwszym tygodniu stycznia roku 1880, kiedy ks. Bakanowski odprawiał Mszę w górnym kościele, niejaki Aleksander Schossa, pochodzenia zdaje się szwajcarskiego, a zresztą swiatowy włóczęga, strzelił do niego pięć razy z rewolweru, i był-by niechybnie zabił, gdyby się ksiądz nie był ratował ucieczką. Stawiony przed sąd przysięgłych, Schossa zeznał, że księdza nie znał, osobiście nie przeciw niemu nie miał; chciał zabić kapłana. Lekarze stwierdzili zdrowy stan umysłu zbrodniarza, i sąd skazał go na 12 lat ciężkiego więzienia. Wkrótce potem, przełożeni odwołali stąd ks. Bakanowskiego, a łatwo zrozumieć, iż Missya londyńska przestała wabić najodważniejszych. Lat blisko 12 nie było nad Tamizą żadnego księdza polskiego, tymczasem robotnicza i rzemieślnicza kolonia wzrastała bezustannie. Przybyło kilkadziesiąt rodziu skutkiem pruskich rugów, mnóstwo młodych ludzi przybyło ze stron dalszych. Dawna kolonia straciła całkowicie swój charakter: większość nowoprzybyłych stanowią dziś rodziny zupełnie, lub prawie zupełnie niezdolne do obcowania z ludem tutejszym, trzymające się razem i niemówiące innym językiem, jak tylko łotyskim. Powtarzam, że to jest większość. Mniejszość polsko - litewska dużo mniej odczuwała brak swojskiego kapłana, bo jedni korzystali z kościołów niemieckich, inni obojętnieli, a tylko drobna liczba pragnęła przybycia księdza ze stron rodzinnych. Stało się więc prawie niezbędną koniecznością, by ksiądz rozumiał mowę większości. Mniej więcej od roku 1890, kiedy łotyska kolonia osiedliła się przeważnie na przedmieściu Silvertown, przy wielkich gazowniach i rafineryach cukru, a polsko - litewska rozmnożyła się w dzielnicy Whitechapel, niemiecki jezuita, ks. Józef, zaczął odwiedzać lud ten, względem religii nie tyle zubożętniały, ile w praktyce jej opuszczony. Angielscy i irlandzcy proboszczowie skar-

żyli się, podobno, jak mi donoszono, na gorszący przykład cudzoziemców, wyprawiających w dni niedzielne zbyt głośnie zabawy z tańcami... Trudno oczywiście wymagać, by lud nasz zapomniał rodzinnych obyczajów i przyjął tutejsze. Ks. Lassberg, rozpatrzywszy się w położeniu, wziął się z podziwienia i wdzięczności godnym zapalem do nauczenia się obu głównych języków. Nabył w nich wprawy w bardzo krótkim czasie, i, choć mieszkał stale pod Manchesterem, korzystał z każdej sposobności, by, w Londynie bawiąc, odwiedzić lud zaniedbany, słuchać spowiedzi, chrzcić dzieci, wiązać małżeństwa, i w kościele irlandzkim w Silvertown i niemieckim w Whitechapel, przypominać katechizm. Tymczasem starał się raz po raz jakiś ksiądz przejezdny o zjednanie sobie zaufania ludu do tyła, by mózdz wśród niego pozostać. Władza dyecezyalna zachowywała się dość obojętnie: wystarczyło jej, jeśli ksiądz przedstawił swoje papiery kanoniczne, a zostawiała jemu samemu troskę o pozyskanie i ludu, i jakiej takiej pomocy proboszczów miejscowych. Lud jednakże nie dawał zachęty księżom, którzy się tu zatrzymywali z głoszonym zamiarem wyjechania do Ameryki, ani się też nie kwapił zbytnio do tych, którzy wracali z Nowego Świata i szukali ponownie punktu oparcia w Europie.

To właśnie roztropne zachowanie się naszego ludu wpływało najsilniej na usposobienie władz względem przejeżdżających księży. Kardynał Manning, ubolewając głośnie przed Polakami, tutaj i w Rzymie, na całe to położenie, pragnął, by dzieło trwałej Missyi podjął jeden z polskich zakonów. Dzisiejszy arcybiskup westminsterski, kardynał Vaughan, jadąc po pallinsz do Rzymu, zatrzymał się w Wiedniu umyślnie na to, by tamtejszym wybitnym Polakom przedstawić nagłą potrzebę. Prawie równocześnie bawiła wtedy w Rzymie pani Pace, Polka z domu, żona jednego z tutejszych prawników, zamożnego i gorliwego katolika. Pani Pace szukała rady i pomocy u najwłaściwszych osobistości przy Watykanie, ale, przy ogólnym braku sił w szeregach naszego duchowieństwa, znalazła tylko objawy najlepszych chęci. Przypadek zdarzył atoli, że był podówczas ksiądz niezający, przebywający chwilowo w Poznaniu, znający dobrze język angielski, bo przybyły z Ameryki, gdzie lat kilka spędził i gdzie otrzymał prelaturę. Słyszając o nim, t. j. o jego gotowości do objęcia Missyi londyńskiej, pani Pace ułatwiła wszystko, co było trzeba ułatwić. Niestety, po przybyciu prałata nad Tamizę, ^{znanego} ofiarność zacnych pp. Pace i bardzo przykładna gorliwość ludu były wystawione na zbyt uciążliwe próby. Prałat starał się wprawdzie o nabycie kaplicy, i pod tym względem uczynił wiele. Lecz były skądinąd niezupełnie spodziewane trudności. Prałat wyjechał ostatecznie — tym razem do południowej Ameryki ^{Ameryki}

Jednakże pobyt jego tutaj oparł sprawę założenia i utrwalenia Kościoła polsko - litewskiego nad Tamizą o może najmniejszą w świecie, lecz doskonale obwarowaną instytucję: „żelaznego funduszu polsko - litewskiej Missyi w Londynie.“ Pp. Pace, niezrażeni doznaniem rozczarowaniami, gorąco popierani przez kardynała i kilka innych osobistości wpływowych, otrzymawszy pozwolenie arcybiskupie zbierania na ten cel składek, złożyli sami przedewszystkiem pewną sumę w banku, a gdy się powiększyła, związali kapitałik prawnie w taki sposób, że ani grosz nie może być użyty na cel inny, jak tylko na założenie, pod dycieczalną jurysdykcją, stałego kościoła, wyłącznie dla polsko - litewskiej ludności w Londynie. Skarbnikami funduszu są: p. Henryk Pace i hr. Ludwik Żubiński - Bodenham, mieszkający stale w majątku odziedziczonym po ciotce (córcie referendarza Morawskiego, żonatej z ostatnim przedstawicielem rodziny Bodenham), w zachodniej Anglii. Fundusz ten wynosi w tej chwili około 3,000 rubli w gotówce, a z przyobiecaniem summami paru osób wyniesie do 5,000 rs. Będzie więc 15 tysięcy, gdy wpłynie hojna ofiara. o jakiej napomknąłem wyżej.

Tymczasem, w rok po wyjeździe prałata, przybyły tu i osiedliły się zakonnice polskie z Rzymu, Nazaretanki, a w ślad za niemi zjechał z Francyi ks. Karol Lechert, do-niedawna Zmartwychwstaniec, a dziś założyciel nowego między zakonami stowarzyszenia duchownego, zwanego „kongregacją Bożej Miłości.“ O ile mi wiadomo, kongregacya składa się z założyciela, mieszkającego w okolicach Paryża, oraz z kilku braciszków, rzemieślników. Ks. Lechert, gorliwie wspierany przez zakonnice i mający widocznie źródła dochodów, upatrzył we wschodnim Londynie obszerną nieruchomość i o jej nabycie począł robić starania. Właściciel żąda około 2,000 funtów za ustąpienie własności na lat, jeśli się nie mylę, z górą 60, a sprzeda bezwarunkowo za 5,000 fst. Ks. Lechert zapłacił owe dwa tysiące: połowę otrzymał od osób mi niewiadomych, 200 fst. dał kardynał Vaughan bezwarunkowo, pożyczając nadto 800 fst. księdzu na hypotekę. Skarbnicy funduszu nie rozstają się atoli ani ze swoją odpowiedzialnością, ani z kapitałem: wdzięczni księdzu L. za dostarczenie usługi kapłańskiej Polakom w Londynie, jemu pieniędzy wydać nie mogą, gdyż nieruchomość została nabytą, nie dla Polaków, nie dla dyciezyi nawet, tylko na imię samegoż nabywcy i dla jego kongregacyi dzisiejszej. Nie brak zaś ewentualności, łatwych do przewidzenia, których nieuniknionym rezultatem była-by utrata Missyi i zatrata funduszu, tak mozolnie zbieranego i wiążącego skarbników legalną odpowiedzialnością. W zasadzie bowiem i w ceiach praktycznych chodzi o to, by fundusz był użyty jedy-

nie i wyłącznie na ufundowanie Missyi polskiej, nie zaś zakonnej kongregacyi w Londynie. Kardynał podziela to zapatrywanie się skarbników na ich obowiązek, i dlatego wyraził nadzieję, iż zdołają wcześniej spłacić właściciela i hypotekę, a nieruchomość oddać jurysdykcji dycecyzalnej dla wyłącznego użytku Polaków.

Ks. Lechert, mając swoje obowiązki we Francyi, przelotnie tylko ukazuje się w Londynie. Lecz nieruchomość zamieniła się już w zakonne domostwo; obszerna kaplica, zdolna pomieścić do 300 osób (nasza kolonia liczy tu około 2,000 dusz), jest pięknie ozdobiona, i ma nad wielkim ołtarzem duży obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. W przyległej kamienicy mieszkają trzej braciszkwowie, zarządzający interesami kongregacyi, pracujący około przebudowania i urzędzenia własności. Obowiązki kapłańskie sprawuje młody ks. Wojtys, bardzo ceniony i szanowany, bardzo gorliwy i, o co tu zawsze było najtrudniej na tem stanowisku, pełen taktu wobec klubów i towarzystw polskich. Ale ks. Wojtys nie należy do kongregacyi ks. Lecherta, choć jest od niego najzupełniej zależny co do bytu materyalnego. Ta okoliczność wytworzyła stosunek trudny, coraz trudniejszy... i ks. Wojtys postanowił rozstać się z Missyą. Wyjazd jego ma nastąpić niebawem, ku prawdziwemu żalowi całej kolonii. Kto po nim nastąpi, niewiadomo.

Sienkiewiczowskie powieści mają stałego tłumacza na język angielski w p. Jeremiaszu Curtin, obywatelu Stanów Zjednoczonych, zamieszkałym w Kalifornii. Tom każdy, wychodzący w Ameryce, ukazuje się w tutejszym handlu księgarskim prawie równocześnie. Prócz paru nowel z pierwszej epoki twórczości Sienkiewicza, wyszły więc dotychczas wszystkie trzy powieści historyczne: „Rodzina Połanieckich“ (pod angielskim tytułem: „Dzieci Ziemi“ — *The Children of the Soil*) i „Quo vadis.“ „Bez dogmatu“ przetłumaczyła, zmarła w Anglii przed czterema laty, Izabella ze Słupskich Young — i ten jeden przekład jest najlepszy, tak pod względem idyomatycznej wierności, jak stylu angielskiego i jego wykwintności. Przekłady p. Curtina, poprzedzone bardzo niestosownemi, w paru rzeczach aż wstrętnemi dla polskiego czytelnika, ustępami, grzeszą widocznym pośpiechem, niedbałością, złą składnią i wielkim brakiem jasności. Swoją drogą, lepiej, że są, aniżeli, gdyby ich zgoła nie było. Rozmijam się na tym punkcie z opinią, wyrażoną niedawno w jednym z poważnych czasopism war-

szawskich, ale, prócz głębszych pobudek i usprawiedliwień, mam to jużcić, że choruję na ciekawość poznawania sądu obcych o tem wszystkim, co nasze, lub co nas obchodzi. I to również nie ulega wątpliwości, że angielski język nadaje się najskąpiej do przyswojenia sobie fikcyjnych utworów słowiańskich wogóle, polskich zaś całkiem osobliwie.

„Quo vadis“ jest w tutejszym obiegu czas zbyt krótki, by można orzec o wrażeniu, jakie powieść uczyniła, lub dopiero uczyni na literackich krytykach i na innych. Jedno z najdoskonalej redagowanych czasopism, „Przegląd Brytański,“ zarzuca utworowi nadmierną rozwlekłość i brak przejrzystości. To samo pismo, scharakteryzowawszy bardzo trafnie poglądy społeczne Sienkiewicza w pierwszej jego dobie pisarskiej, tak się dalej wyraża (№ 19 z 13-go lutego): „Z sympatjami, wyostrzonymi na żelazie dzisiejszego położenia, szedł od jednej wioski samotnej do drugiej, wywołując widmo walk, jakie były między bezwzględny mi możnowładcami i bojowniczymi chłopami. Nawet najgorsi, despotyczni bohaterowie przeszłości wzbudzali w nim podziw uwielbienia. Prostota ich życia, błyskawiczna szybkość, z jaką dobywali szabel dla załatwienia każdej sprawy, podobały się nieprzeparcie człowiekowi, znużonemu rozprawami politycznymi, znużonemu także dekadentem, z jego zagmatwaną umysłowością i nieskończoną niezdolnością do czynów.“ Widocznie atoli „Bez dogmatu“ ma pozostać dla Anglików znamienym płodem umysłu Sienkiewicza, zarazem, niestety, wyznaniem wiary całego społeczeństwa polskiego. „Zaczął się dla niego— pisze dalej Mallock w wymienionym Przeglądzie — czas, w którym wszystko wydawało się mu niepewnem i zmiennem, kiedy wojna i spokój, dobrobyt i nędza, były bez znaczenia, kiedy go uderzyło przeświadczenie, iż należy do rasy umarłej. „Nawet Bóg umarł“ woła z głębokości jego utwór najsmutniejszy.“

Przytoczyłem zdanie, już wydrukowane, jednego z najsumieniejszych krytyków angielskich, zarazem autora głośnego dzieła: „Czy żyć warto?“ Lecz kilku innych poważnych myślicieli, którym umyślnie pożyczyłem był „Bez dogmatu,“ by się dowiedzieć ich opinii, powiedziało mi również, że, o ile powieść jest przepyszny m klejnotem literackim, o tyle szkoda, szkoda ogromna, że ją Sienkiewicz napisał.

Jakaś pani Ella M. Tuck umieściła w lutowym zeszytce miesięcznika *Cornhill Magazine* „skrócony przekład z upoważnienia autora“ bynajmniej niezadługiego w oryginale „Pójdźmy za nim.“ Tytuł zamie-

niła na „Tajemnicę życia;“ gdyby była nazwała swoją pracę „tajemnicą natchnienia,“ rzecz była-by może łatwiejszą do zrozumienia, bo, do prawdy, niema w niej sensu za grosz! Miałże-by urok Sienkiewicza być aż tak wielki tutaj, że wystarcza redakcyi przeświadczenie o „upoważnieniu autora,“ by na jego rachunek i odpowiedzialność puszczać w świat takie „skrócenia!“

Koła finansowe zajmują się przedewszystkiem niezdrowieniem Europy i południowej Afryki, a po-za tem — p. Modestem Maryańskim. Swego czasu rozpisałem się w Kronikach o gorączce, z jaką przez dwa lata rzucano kapitały stąd do Australii, zwłaszcza do Australii zachodniej. Ponabywano tam dla akcyonaryuszów tutejszych, francuskich i niemieckich, olbrzymie obszary ziemi, całe prowincye. w których domyślano się złota w niewyczerpanych ilościach, na podstawie referatów, nadesłanych przez doświadczonych ekspertów. Na nic się nie zdały nawoływania prasy nie interesowanej do opamiętania się, nie pomogły przedstawienia, iż więcej już zakopano w zachodniej Australii gotówki, aniżeli kopalnie zdołają wydać złota po wielu latach wyzyskiwania... kompanie nowe powstawały bezustannie, zamożni i niezamożni ubiegali się o posiadanie akcyi w każdym przedsiębiorstwie, mającem jaki taki kawał złoto obiecujących obszarów. Przyszła nakoniec reakcyja, spowodowana najskuteczniej powrotem z Australii kilku niezależnych górników, którzy nietylko potwierdzili zdanie prasy, ale rzucili światło na dużo brudów. Zrazu więc powstała na giełdzie panika i mnóstwo osób pozbyło się swoich akcyi za najniższą cenę, następnie, gdy największa liczba kompanii zbankrutowała doszczętnie, a pozostałe zwały się w kilka stowarzyszeń, opartych o już wydajne kopalnie w Australii i w Transvaalu, przestano wyrzekać i tylko czekano na choć ślady złota. Nad rynkiem papierów zachodnio - australskich zaległa głęboka cisza. Było to w końcu zeszłej jesieni.

Odrazu ukazała się w dziennikach wiadomość o „rzekomych odkryciach jakiegoś Francuza,“ poczynionych w kopalniach, które uważano powszechnie za wyczerpane. Byłem w tej mierze lepiej poinformowany od dzienników. Jeszcze bowiem z początkiem zeszłego lata poznałem się przypadkowo, w tutejszem śródmieściu, z p. Modestem Maryańskim, uczniem berlińskiej akademii górniczej. Spędził on lat

kilkanaście w północnej Ameryce, i, jeżeli mnie pamięć nie myli' był jednym z założycieli, lub głównych akcyonaryuszów kompanii polskiej, która miała wyzyskiwać pewien obszar złotodajny w południowej Kalifornii. Kompania ta nie miała atoli szczęścia, bo nie posiadała dostatecznych funduszów. W Ameryce wszedł p. Maryański w stosunki z niemieckim syndykatem, który zamierzał poznać dokładnie stan kopalni australskich. Układ z reprezentowanymi przez ów syndykat kompaniami miał nasz rodak zrobić osobiście w Berlinie, Paryżu i tutaj, i stąd jego obecność tutaj, temu dziewięć miesięcy, i przypadkowe nasze spotkanie się. Z Londynu wyjechał p. Maryański przez Stany Zjednoczone i brytyjską Kolumbię wprost do Perth, stolicy zachodniej Australii. Stanąwszy tam i zwiedziwszy głośnie kopalnie w Coolgardie, oraz obszary syndykatu pp. Hannau, doniósł mi o swoich wrażeniach i doświadczeniach na antypodach, między innymi zaś napomknął, że kopalnie wszystkie są przekapitalizowane, że 95% nie da żadnego rezultatu, a pozostałe nie wrócą kosztów eksploatacyi. Zakończył list wyrażeniem głębokiego rozczarowania się i zapowiedzią wyjazdu do Nowej Zelandyi, stamtąd zaś powrotu do Ameryki.

Po tym liście, otrzymanym w początkach października, nie miałem wiadomości od p. Maryańskiego do pierwszych dni grudnia, kiedy mi poczta przyniosła kilka dzienników z Perth i poważne stamtąd czasopismo górnicze. Znalazłem w nich zrazu krótkie artykułiki o „rzekome odkryciu polskiego górnika,“ pisane ostrożnie i niedowierzająco, następnie... entuzjastyczne, sążniste i fachowo obrobione sprawozdania. Nie będąc górnikiem, nie poważę się opisywać szczegółowo, jakimi drogami doszedł p. Maryański do wniosków, które znów naprowadziły go na obfite ślady cennego kruszcu pod postacią tellurydu złota. Przekonał się, że tak połączone złoto ciągnie się grubemi żyłami (3 na 2½ stopy) na całych obszarach Coolgardie, Hannau, Great Boulder Main Rief, w Kalgoorlie i, prawdopodobnie, w sąsiednich kopalniach. Zabrawszy okazy swoich wykopalisk, pośpieszył pan Maryański do Europy, by ze swojemi kompaniami obmyślić plan szerokiej eksploatacyi. Tutaj, gdzie sceptycyzm zapanował względem zachodniej Australii aż skrajny, zajęto się odkryciem z największą ostrożnością. Rezultat wszystkich dociekań wypadł jednak szczęśliwie dla naszego eksperta, bo nawet tygodnik p. Labouchère'a, „Prawda,“ rozpiisał się o nim z najwyższem uznaniem, a wiadomo, że pismo to wzięło sobie oddawna za cel wykazywanie wszelkich, przedewszystkiem zaś finansowych, mętów.

Przed powrotem do Australii, odwiedził p. Maryański ponownie Berlin, złożył w darze tamtejszej akademii górniczej część swoich wy-

kopalisk, część przesłał na ręce p. Fr. Chłapowskiego poznańskiemu Towarzystwu Przyjaciół nauk. Działalność naszego rodaka w Australii nie ogranicza się do ekspertyzy metalurgicznej; pisma tamtejsze wyrażają mu wdzięczność za przedstawianie rządowi pilnej potrzeby reformy ustaw, dotyczących przedsiębiorstw górniczych. Związany stosunkami osobistej zażyłości z pierwszym ministrem kolonii, sir Johnem Forresterem, może p. Maryański przyczynić się do znacznego rozwoju krajowej pomyślności. Ale... niech-by ten rozwój postępował sobie bez tej pomocy i pracy, o jakiej marzy nasz ziomek! Zachwycony klimatem, płodnością ziemi, ekonomicznymi ułatwieniami i ogólnymi stosunkami w zachodniej Australii, marzy p. Maryański o niej, jako o prawdziwym raj dla naszego włościanstwa, dla naszych, zwłaszcza poznańskich, drobnych obywateli ziemskich, z wieczną walczących biedą. Chcę wierzyć, że się p. Maryański nie myli, ważąc i oceniając wszechstronnie warunki bytu w wychwalanym kraju, choć głoszą przecież najświeższe podręczniki, że brak wody jest tam bardzo dotkliwy, a nadto, w kraju, mającym blisko dwa miliony mil kwadr. obszaru, ludności zaś zaledwie 120,000, gdzież może być dziś zbyt dla płodów rolniczych, zwłaszcza zbyt w ilościach małych, zebranych na małych, odludnych własnościach. Pomijając te względy, a zapatrując się na problemat emigracyjny z obywatelskiego i z jeszcze wyższego stanowiska, nie możemy nie potępiać tego rodzaju marzeń i namawiań z bezwarunkową stanowczością. Znajdując się tu poniekąd na półdrożu wychodźstwa naszego między Europą i krajami zaoceanowemi, przyszedłem do przekonania, że największy procent wychodźców stanowią jednostki, których strata nie jest do powetowania, bo są to ludzie i fizycznie tędzy, i moralnie dzielni. Bardzo mały procent należy do kategorii, zwanej pospolicie, lecz dosadnie „szumowinami.“ Te ostatnie wędrują bliżej gniazda, po Europie, a jeśli się na czas jakiś wybiorą nieopatrznie dalej, to, rychlej później, wracają, i, jak ów biblijny opętany, wracają z liczniejszymi w sobie i gorszymi dyablami. Zdrowe, i bodaj czy nie najzdrowsze członki społecznego ciała, przeszczepione na grunt obcy, muszą w końcu stać się jednolitą częścią obcego organizmu. Nie zapobiegnie tej przyrodzonej konieczności ani ołśniewająca oczy, ani łechcąca miłość własną i wyobraźnię organizacya, nie zapobiegną szkoły, ani kościoły, a choć przedłużyć mogą operacyę, nie mogą sprawić, by się ona nie odbywała bez ogromnej boleści... Pierwsze pokolenie, schodząc do grobu, czuje tę boleść najokropniej; drugie, już dużo mniej; trzecie, wybiera z musu to, co bliższe i pośrednie; a czwarte... jest już całkowicie zwyrodniałe i (s. v. v.) przeanatomizowane.

Gdyby można zasięgnąć zdania najszczerzego właściwych ludzi, zdaje mi się, że przyznali-by jednoznacznie, iż nic się tak nie karze, nie mści w życiu wewnętrznym człowieka uczciwego, jak się mści i karze jego oderwanie się od naturalnego szczepu. Mogły go były zmuszać okoliczności, czasowo niedoprzeparcia: duch mu powtarzać nie przestanie, że ledz był powinien na ziemi, ścierpieć i pozostać.

EDMUND S. NAGANOWSKI.

Ruch literacki za granicą.

Po długiej przerwie, podejmuję na nowo miły obowiązek omawiania w „Bibliotece Warszawskiej” ważniejszych zjawisk na polu literackim. Nagromadziło się przez ten czas materiału tyle, że trudno się w nim rozpatryć: przez pół roku z górą narastały na półkach księgarskich stosy tomów, zjawiało się setkami nazwisk nowych, nieznanych, albo mało znanych, żółte lub różnobarwne okładki noszą tytuły czasem zachęcające, często dziwaczne, najczęściej niemówiące nic a nic, albo, co gorsza, mówiące więcej, niż książka sama powie. Chcąc zrobić porządną wybiórkę, należało-by obłożyć się dziennikami, tygodnikami i miesięcznikami z ubiegłych siedmiu lub ośmiu miesięcy, rozczytać się w poważniejszych krytykach, i w ten mozolny, ale przynajmniej dość pewny sposób wyrobić sobie pojęcie, co czytać warto, a czego nie warto. Przyznaję, iż brakło mi do tego odwagi i cierpliwości, a może i czasu. Zostawał jeszcze środek inny, znacznie prostszy, choć niezawodnie trochę ryzykowny: rad nie rad, musiałem się go chwycić, jak brzytwy, aby nie utonąć w oceanie zadrukowanej bibuły. Obszedłem ważniejsze księgarnie paryskie i kazałem sobie dać te książki, które w ostatnich czasach największe miały powodzenie.

Niemal wszędzie wsuwano mi naprzód do rąk „*Aphrodite*,” opowiadanie, osnute na tle *moeurs antiques*, przez Piotra Louys. Oczywiście wziąłem, przeczytałem i... zawahałem się, czy o tej książce pisać, czy ją poprostu pominąć milczeniem. Po długim wahaniu, usprawiedliwionem niewątpliwym talentem autora, wybrałem milczenie. Nie chciał-bym wcale, aby który z czytelników „Biblioteki,” po mojem sprawozdaniu, zapragnął przeczytać samą powieść, tem bardziej nie życzył-bym sobie, aby kiedykolwiek w naszej literaturze autor *Afrodyty* znalazł naśladowców: jesteśmy zapewne nieraz aż nazbyt oględni, i nazbyt „przywoici” w literaturze i sztuce, ale było-by jeszcze stokroć gorzej, gdyby u nas pióra, pędzle i dłota miały dojść do takiego rozpasania, jak gdzieindziej.

Drugą książką, która w ostatnich czasach poruszyła całą prasę francuską, od przeglądów literackich aż do dzienników, a nawet pism humorystycznych, jest *Une Histoire d'Amour* Pawła Mariétou. Nie powieść. jakby można sądzić z tytułu, lecz po raz setny opowiedziane dzieje stosunku George Sand z Mussetem, na podstawie niewydanych dotąd listów poety. Historia to znana całemu światu. Sami zresztą kochankowie wypowiadali się dość otwarcie, Musset w *Confessions d'un enfant du siècle*, Sand w *Histoire de ma vie* i w *Elle et Lui*; Paweł Musset, brat Alfreda i autor jego *Biografii*, odpowiedział również powieścią *à clef*, zatytułowaną *Lui et Elle*. Nadto, dzieła obojga wielkich pisarzy pełne są alluzji, mniej lub więcej wyraźnych, a wszystko to razem z ustępami listów, które ukazywały się od czasu do czasu, służyło już niejednokrotnie za materiał szperaczom i biografom. Maurycy Clouard, Spoëlberch de Lovenjout, pani Arvède Barine, pani Luigia Codemo i cały szereg innych, zajmowali się tą sprawą w obszernych monografiach, krótszych lub dłuższych rozprawkach i artykułach, Oczywiście, zgody być nie mogło; drobne szczegóły i rysy dały się układać i oświetlać według osobistego zdania autorów, z których, jedni stawali po stronie powieściopisarki, drudzy po stronie poety. Zwłaszcza w ubiegłym roku, „odkrycia“ posypały się licznie. Wspomniany już vice-hrabia Spoëlberch de Lovenjoul, zbieracz sensacyjnych autografów, puścił w świat całą paczkę listów George Sand, ogłaszając je częścią w *Temps* (4 listopada 1896), częścią w *Cosmopolis* (maj 1896). Jak zwykle w takich razach, „odkrywca“ listów okazał się skłonny do uniewinniania i tłumaczenia tej, która je pisała, a oskarżania strony przeciwnej. To widocznie musiało skłonić i panią Lardun-Musset do bronienia pamięci brata. Dożyła tedy z ukrycia listy Musseta, i powierzyła ich ogłoszenie Pawłowi Mariétou. Tak powstała *Une Histoire d'Amour*.

Ale tu nasuwa się pytanie, czy godzi się, i czy trzeba wywlekać każdy poźółkły świstek, zapisany ręką wielkich ludzi, i przed ciekawymi oczyma tłumu rozkładać to, co było „ich wewnętrzną serca tajemnicą”? Rzadko, bardzo rzadko pamięć i cześć ich na tem zyskuje: najwięksi i najszlachetniejsi nawet mieli swoje wady i ułomności ludzkie, a wdzięczność, jaka się im od potomnych pokoleń należy, nakazywała-by raczej o tych słabostkach i małostkach przemilczeć i zapomnieć. Co stanowiło wielkość i piękność tych wybranych duchów, to złożyli oni sami w swych dziełach, z ich życia powinniśmy wiedzieć tyle tylko, ile do zrozumienia dzieł konieczne, reszta niech na dnie grobów zostanie. Ciekawość wglądania w duszę ludzką objawia się dziś w literaturze krytyczno - biograficznej prądem, zmierzającym do wygrzebywania wszelkich, najbłaższych nawet szczegółów życia wielkich ludzi: pomarli, zatem idą na stół kliniczny, pod nóż psychologów - prosektorów. Jakież z tego skutek? Widzimy: p. Spoëlberch de Lovenjout, przez cześć i w obronie George Sand ogłaszając jej listy, nie omieszkał w świetle wątpliwem postawić charakteru Musseta. Nawzajem, p. Paweł Mariéton, podejmując w obronie poety publikację jego poufnych listów, nie najlepiej obszedł się przy tej sposobności z George Sand. Przypomina to nieco tę starą dykteryjkę o dwóch góralach, z których każdy wioził na swoim wozie żyda. „Bijesz mojego żyda?! Poczekaj, dam ja twojemu!” Biedni żydzi, ale może jeszcze biedniejsi... wielcy ludzie!

Niezawodnie z pośród ogłoszonych w roku zeszłym listów George Sand i Musseta dały-by się wybrać ustępy, przydatne i ważne do wydawania dzieł, i te należało wydrukować w zestawieniu z odnośnemi szczegółami powieści, czy poematów. Ale ten pośmiertny wymiar sprawiedliwości między parą kochanków, którzy kochali się bardzo, a może jeszcze bardziej cierpieli przez siebie nawzajem, to wywlekanie ich z grobów, te repliki i dupliki, wypowiedane nad ich głowami, to wydaje mi się zarówno niesmaczne, jak nieużyteczne. Lecz skoro już cały świat wiedzieć ma o tem, niechże wiedzą i czytelnicy „Biblioteki Warszawskiej. Proces *macabre* między George Sand, a Alfredem de Musset, odbył się wobec galeryi przepelnionej i licznych reprezentatów prasy (jak zwykle przy procesach sensacyjnych); adwokaci obu stron, na podstawie autentycznych aktów, przedstawili swoje wywody. Któż wyszedł zwycięsko? Zupełnie na czysto nie wyszła żadna strona, jednej i drugiej dostała się łatka. Zdaje się jednak ostatecznie, że wygrał sprawę Musset.

Wiedzieliśmy dotychczas ogólnikowo, że następcą autora „Nocy“ w sercu, i więcej niż w sercu, pani Dudevant był niejaki doktor Pagel-

lo, Włoch, który niczem zresztą w późniejszym życiu się nie odznaczył. „Chodziły o tem głuche wieści między ludem,” że pod postacią Smitha jego właśnie odmalował Musset w *Confessions*. Paweł Mariéton wyszukał owego doktora Pagello, który dotąd żyje gdzieś jeszcze zapomniany, i sam niewiele już pamiętający. Ale Pagello, w jakiś czas po rozstaniu się z Lelią, kiedy jeszcze pamięć miał dobrą, spisał sobie rodzaj pamiętnika, w którym dość dokładnie opowiedział przebieg wypadków. Pamiętnik ten od staruszka wydobyć i zestawieć go z listami poety, otrzymanymi od pani Lardun Musset, uważał sobie p. Mariéton za obowiązek.

Z papierów tych okazuje się, że Sand postąpiła sobie z Mussetem trochę... dziwnie, nawet na kobietę tak śmiałych poglądów! W Wenecyi, dokąd pojechali kołysać w gondoli swoją miłość, Musset zapadł ciężko na zdrowiu, tak, że nawet przez jakiś czas życie jego wisiało na włosku. Że zaś był z natury nerwowy, drażliwy, niecierpliwy i wtedy już przez kobiety nieco zepsuty, nic dziwnego, że w chorobie, w gorączce, mógł stawać się chwilami przykrym, nawet nieznośnym. Miewał napady rozdrażnienia, rozgoryczenia, wśród których padały słowa twarde, może i okrutne. Czasem, jak rozkapryszone dziecko, zanosił się od łkań, odchodził od przytomności. Wszystko to męczyło i raziło George Sand. Z początku, mimo że sama trochę cierpiąca i znużona, doglądała go z macierzyńską pieczołowitością. Była-by może dotrwała do końca i zniosła pobłażliwie wszystko, gdyby los nie był sprowadził na jej drogę doktora Pagello.

Ten w pamiętniku swoim opowiada, że po raz pierwszy ujrzał ją siedzącą z Mussetem na balkonie. Uderzyła go jej twarz niezwykła, niepokojąca, wyrazista, jej oczy wymowne, czarne i ogniaste. W dwa dni później otrzymał list, wzywający go do chorego: chorym był Musset, list pisała George Sand.

Niedocieczoną tajemnicą i przedmiotem sporu między biografami pozostanie, czy należy to przypisywać zrzadzeniom losu, czy też niestałości kobiecej. P. Mariéton skłonny był-by raczej do przypuszczenia, że Lelia zauważyła młodego doktora z balkonu, jak on zauważył ją na balkonie, i że wezwała go umyślnie. Zatem musiała-by wywiadywać się o jego nazwisko? Jeśli tak, to zdrada jej wobec Musseta była-by popełniona z premedytacją i przewrotnością.

Dość, że Pagello stał się odtąd codziennym gościem w Hotel-Danieli na Riva dei Schiavoni — prawie przyjacielem. I podczas gdy Musset leżał na pół nieprzytomny, George Sand zwierzała się lekarzowi z utrapień swoich, z przykrości, jakie znosić musi od chorego. Jednego wieczora, gdy tak razem siedzieli, autorka Indyan wstała na-

gle, i przeniosła się do stołu, gdzie śpiesznie, gorączkowo, zaczęła coś pisać. Pisała długo, długo, widocznie poruszona, potem jeszcze chwilę dumiała z twarzą ukrytą w dłoniach, a wreszcie pismo złożyła i Pagellowi oddała.

Był to jak gdyby urywek z romansu, którego dalszy ciąg miał się rozegrać już nie na papierze, ale w rzeczywistości. Nagłówek brzmiał: 'w Morei (*En Morée*). a treść stanowiło wyznanie miłosne jakiejś nieokreślonej bohaterki, która do bezimiennego kochanka zwraca się ze słowami płomiennymi i smutnymi zarazem. Doktor Pagello, któremu pozwoliła urywek ten przeczytać dopiero po wyjściu z Hotel-Danieli, przechował oczywiście tę pamiątkę, i w zapiskach swoich dosłownie ją powtórzył. Niezaprzeczenie, jest to jedna z piękniejszych kart, pisanych ręką George Sand, ale też jedna z najmniej pięknych w jej życiu.

Co się potem działo? Czy doczekała, aż Musset umrze, lub z łóżka się podniesie i wyjedzie? Ona kilkakrotnie (ale już po śmierci Musseta) powtarzała twierdzenie, iż miłość jej dla Pagella nie przeszła po czysto duchową sferę, póki Musset był chory, i póki Wenecyi nie opuścił. On zaś utrzymywał przeciwnie. Raz, kiedy leżał w gorączce między życiem a śmiercią, zdało mu się, że widzi Lelię w objęciach lekarza. Jęknął i z trudem odwrócił głowę. Słyszał po chwili, jak siadają do herbaty, i gdy znowu spojrzął, wydało mu się, że oboje piją z jednej filiżanki. Pagello wyszedł potem, a George Sand odprowadziła go do przedpokoju i długo nie wracała. Wówczas chory resztkami sił podnosi się na posłaniu, aby obaczyć, czy na stole dwie są filiżanki, czy jedna. Chciał się upewnić, że to nie przywidzenie chorobliwe, i upewnił się, jak zaręcza.

Ale, gdyby nawet się mylił, gdyby to, co opowiada w zapiskach, dyktowanych bratu, było przywidzeniem w malignie, to w każdym razie pamiętnik doktora Pagello dostarcza niezbitych dowodów, że George Sand przy łóżku konającego niemal kochanka pisała miłosne oświadczenia do jego następcy. W dodatku trzeba zważyć niewątpliwe okoliczności, w jakich nastąpił jej wyjazd z Paryża razem z Mussetem. Miał on wtedy zaledwie dwudziesty trzeci rok życia i mieszkał u matki, która stanowczo sprzeciwiała się jego podróży do Włoch z wielką powieściopisarką. Musset, choć niechętnie, uległ jednak łzom matki, i odwołał poczynione już przygotowania do wyjazdu. Ale tego samego wieczora dano pani de Musset znać, że w powozie, przed domem czeka jakaś dama, która się z nią pragnie rozmówić. Była to George Sand. *Elle supplia cette mère désolée de lui confier son fils, disant qu'elle avait pour lui une affection et des soins maternels. Les promesses ne suffisaient pas, elle alla jusqu'aux serments... Dans un moment d'emotion le consentement fut arraché...* Szczegóły te podaje naoczny świadek, brat

Musseta, Paweł (*Biographie*). Co sądzić o trzydziestoletniej kobiecie, która sama była już wtedy matką, jeśli w ten sposób, na pół gwałtem, z domu rodzicielskiego porywa młodego chłopca, i potem tak się z nim „po macierzyńsku” obchodzi!

Co ten chory i zakochany człowiek musiał przechodzić, patrząc na zdradę jedynej istoty, jaką miał przy sobie na obczyźnie, w niemoicy między życiem a śmiercią! W miarę, jak młodość zwyciężała chorobę i z siłami powracała przytomność, musiał patrzeć na rozwijające się stosunki pomiędzy swoją kochanką, a drugim, zgarniętym na chybił trafił z pod balkonu na Riva dei Schiavoni. Zaczęło się dla wszystkich trojga istne piekło, zwłaszcza dla tego biednego rekonwalescenta. Sceny zazdrości, napady rozpaczliwego żalu, przeprosiny i nowe podejrzenia szły jedne za drugimi: wszystko to, na podstawie listów Musseta, zapisek Pagella i dzieł samej George Sand, odtwarza p. Mariéton szczegółowo.

A jednak ta kobieta musiała mieć nad ludźmi jakąś nadzwyczajną władzę, skoro umiała doprowadzić Musseta do tego, że kiedy podnosił się z łóżka, i gdy mu sama otwarcie swą nową miłość wyznała, wówczas on, wzruszony, smutny i zawsze jeszcze kochający, pogodził się z swym losem, i ręce obojga połączył. Znowu rys, malujący z najpiękniejszej strony serce poety, znowu jeden więcej cień na pamięci George Sand.

Odtąd czuł, że im zawadza, i zaledwie nieco przyszedł do siebie, oświadczył, że z Wenecyi wyjeżdża. George Sand niby go wstrzymywała, niby żałowała tego wyjazdu, jak z dawniejszymi kochankami, tak i z nim, usiłowała rozstać się w zgodzie, i miłość rozpuścić w letniej wodzie platonicznej przyjaźni. Rozstali się tedy jako przyjaciele, nawet z Pagellem pożegnanie było bez goryczy. Wyjechał, i stosownie do obietnicy, pisywał z drogi „do swego przyjaciela Jerzego,” i pozdrowiał tego „zacnego chłopca, Pagella.“ Listy owe stanowią właśnie *le clou* książki Mariétona; przytaczać ich nie mogę, streszczać nie próbuję. Są słiczne, szczere, szlachetne i żalotne. Z początku poeta usiłuje nie wychodzić po-za ton przyjacielski, niemal koleżeński; wygląda to, jak gdyby pisał do mężczyzny, do brata, który całą jego bolesną historię zna i jest powiernikiem smutków, tęsknot i wspomnień, ale nigdy wyrzutów. Przeciwnie, Musset raczej oskarża swój nierówny charakter, swój kapryśny, drażliwy temperament, czasem winę składa na pomyłkę przeznaczeń, które zrobiły z nich parę kochanków, gdy byli stworzeni na przyjaciół. Ale z wolna, stopniowo zapomina się i wypada z roli. Zrazu między wierszami, potem coraz wyraźniej z pod osłonek przebija tłumiona miłość.

Potem, po powrocie do Paryża, spotka się z George Sand i z Paggellem, którego Lélia na odwrót, z Włoch do Francji uwiezie na to, żeby się nim przesycić i zerwać. Przez jakiś czas będą jeszcze wszyscy troje męczyli się w najfałszywszej sytuacji, z której wyjścia być nie mogło. Po wyjeździe Pagella do Wenecji, przyjaźń między Mussetem a George Sand rozplómieni się na nowo w miłość. Będą stosunek swój zrywali i nawiązywali, będą sobie nawzajem udręczeniem i ciężarem, nie będą mogli ani żyć z sobą, ani bez siebie. Z tej szarpawiny serc, walki sprzecznych usposobień, z tej bolesnej, długiej tragedii dusz, Musset wyjdzie ostatecznie zgorzkniały, znępany i rozczarowany do życia.

Ślady owych cierpień moralnych miały się już na zawsze wryć na całej wewnętrznej istocie autora *Nocy*. Wprawdzie szał tej miłości przeszedł, i z czasem serce poety zwróciło się do nowych kochanek; ale bodaj, że już tak żadna duszy mu nie wypełniła. Jeszcze w osmnaście lat później, w roku 1851, będąc w tych samych miejscach, przez które przejeżdżał w młodości po owem bolesnem rozstaniu, pisze w *Souvenir des Alpes*:

Aveugle, inconstante, ô fortune!
Supplice enivrant des amours!
Ote - moi, mémoire importune,
Ote - moi ces yeux que je vois toujours!

Pourquoi dans leur beauté suprême,
Pourquoi les ai - je vous briller?
Tu ne veux plus que je les aime,
Toi qui me defends d'oublier!

Nie zapuszczając się w dalsze szczegóły książki Mariétona, często aż nazbyt prywatne i drobiazgowo, czasem pod względem literackim ciekawe, powiedzmy na zakończenie, że *Une Histoire d'Amour*, pisana gładko, jasno i zręcznie, czyta się niezle, choć przedmiot sam, tylokrotnie odgrzewany, zużył się już i wyczerpał. A jednak nikt nie mógłby zaręczyć, czy w tej chwili nowy jaki „odkrywca” nie ślęczy nad innym, nieznanym dotąd pakietem listów Musseta, lub George Sand, i czy nie doczekamy się dalszych „przyczynków” krytyczno - miłosno - skandalicznych do dziejów tych dwojga nieśmiertelnych kochanków. Chyba że tymczasem jaki nowy nieboszczyk, świeżo - exhumowany, wejdzie w modę, i zastąpi ich tak, jak oni zastąpili niedawno Napoleona.

Mówiłem dotąd o książkach, które wywołały największą wrzawę wśród publiczności i krytyki, pomimo że ich autorowie byli dotąd wcale niegłośni. Z pośród innych kilkudziesięciu nowości, jakie zdołałem przerzucić, nie wpadło mi w rękę nic naprawdę wybitnego. To też, aczkolwiek może być, iż przeczyłem w tłumie jakiego młodego, a utalentowanego pisarza, to jednak przejść muszę do tych, którym się „z wieku i urzędu pierwszeństwo należy.”

Z wieku niezawodnie należy się ono Coppée'mu. Zapewne, spotkać tu można wielu „młodych,” którzy na samo to nazwisko bardzo pogardliwie wzruszają ramionami, ale to jeszcze nie dowodzi niczego, nawet talentu tych „młodych;” zapewne, że u starego Coppée'go jest jakiś romantyczny sentymentalizm, często łatwy i tani, czasem nawet fałszywy i ekliwy, do wielkich poetów i do wielkich pisarzy nikt nie myśli go zaliczać. A jednak, cokolwiek-by można przeciw niemu powiedzieć, to kto wie, czy nie jest on mniej ceniony, niż naprawdę zasługuje, i kto wie, czy jeszcze dziś nie jest młodszy i żywotniejszy, niż się zwykle myśli. Oddawna już książki jego, sztuki czy poezye, spotykają się stale z chłodnym *succès d'estime*, krytycy piszą o nich mniej więcej pochwalnie, publiczność to czyta mniej więcej życzliwie, ale uważano-by za pewien rodzaj przestarzałego smaku i pojęć: Coppée'go lubić i czytać. Tymczasem autor *Przechodnia* trzyma się nieco na uboczu, i tylko czasem nowy tom w świat wypuszcza, choć może nawet się nie ludzi nadzieją większego powodzenia. I zawsze, w każdym z tych nowych dzieł znajdzie się myśl niewielka, nierozjaśniająca dróg przed ludzkością, ale prosta, zdrowa i uczciwa. Z pośród pisarzy francuskich, nie wiem, czy właśnie nie Franciszek Coppée ma najwięcej uszanowania dla poezyi, najwięcej poczucia odpowiedzialności pisarskiej, najwięcej obowiązku obywatelskiego i ludzkiego przed oczyma. Wolno się z niego natrząsać, że jest autorem dla pensjonarek, zawsze to lepiej, niż gdyby był autorem dla kokot. Zresztą, przyszłość pokaże, kto na trwalsze miejsce i na lepsze imię zasłużył w literaturze francuskiej.

Bądź co bądź, jego *Lecoupable* należy do ciekawszych powieści, jakie się w tych czasach ukazały, i świadczy jeszcze zupełnie dobrze o swoim sędziwym autorze. Wprawdzie, problemat moralny, jaki w niej Coppée stawia, nie jest nowy, ale ważnym i zajmującym być dotąd nie przestał, a sposób przedstawienia rzeczy może doprawdy zaciekawić. Idzie o zaniedbane i opuszczone dzieci, które podrastają na nieletnich przestępców, aż w końcu dojrzewają na zupełnych zbrodniarzy; że zaś w największej części dzieci takie pochodzą ze związków nieprawych, przeto z pierwszą kwestyą łączyła się druga: kwestya słynnej *recherche de la paternité*. Kto winien? Oczywiście przedewszystkiem ojciec,

który z lekkim sercem odchodzi i wypiera się wszystkiego, następnie kodeks i władze karne, które takiemu nikczemnikowi odejść i wyprzeć się pozwalają, a potem dzieciaków, nliczników, za drobnostkę skazują na pobyt w domu poprawy, gdzie się nikt nie poprawia, tylko do reszty psuje. A teraz w jednej osobie połączyć obu tych winowajców, ojca i sędziego, doprowadzić go do tego, by musiał oskarżać swoje własne dziecko, przed laty opuszczone, obecnie zaś napiętnowane znamięm zbrodni, — i mamy ogólny pomysł powieści Coppée'go. Z pomysłu tego wynikało, że będą dwie główne figury, które w końcu zawikłają się w tragiczny konflikt, ale naprzód trzeba było obie te postaci nakreślić, ich psychologię szczegółowo od początku rozwinąć, i doprowadzić jednego do popełnienia zbrodni, drugiego do straszliwej kolidacji moralnej, z której wyjdzie z sumieniem, ale za cenę swego stanowiska wśród ludzi.

Z założenia samego wynikało także, iż historia jednej z owych dwu postaci, historia syna, musi być rozwinięta dokładnie: od dzieciństwa na bruku, od młodości w kolonii poprawczej, przez nędzę życia aż do zbrodni. Wobec tego, postać ojca wymagała również psychologicznego wyjaśnienia. Trzeba go było zrobić sędzią surowym i nieubłagany, który dotąd za porażkę sobie uważał, jeśli wbrew jego wywiadom trybunał uwalniał winowajców — przełom duchowy, kolidacja, będzie tem silniejszą, tem tragiczniejszą; trzeba nadto na jego niekorzyść dać mu w przeszłości chwilę niegodnego a lekkomyślnego egoizmu, gdy dziecko i matkę opuścił. Ale znowu wtedy figura ta będzie zbyt czarna, zbyt jednostronna. Niechże więc i on ma wymówkę w swojej młodości, w swoim wychowaniu.

Zaczyna się tedy powieść w chwili, gdy Krystyan Lescuyer, syn zamożnego urzędnika sądowego w Caen, wyrosłszy na młodzieńca, ma jechać na dokończenie nauk do Paryża. Ojciec (postać wyborna, nieco karykaturalnie zakrojona), jest surowy, suchy, zdziwaczały i skąpy, tak, że raczej strach, niż miłość budzi w synu, który nie pamięta nawet matki, i nigdy pod rodzicielskim dachem nie zażył ani pieczyoty, ani swobody, ani wesołości. Dzieciństwo i pierwsze lata młodości zeszły mu jak w więzieniu, w smutku i nudzie, w ponurym i pustym domu. Dusza mu się wyrывa z tego małego miasteczka, z pod tej srogiej ojcowskiej ręki, gdzieś w świat szeroki. Na szczęście, stary pan Radca Sądu uchylił drzwi od klatki i wypuścił ptaszka do stolicy. Tu zaczęła się dopiero młodość, tu nawiązały się stosunki z ludźmi, rozpoczęły się zabawy i miłostki. Ale pewna oschłość serca, może odziedziczona, może wyrobiona wychowaniem, pewna małostkowość duszy i pojęć, zostały w młodym człowieku. Nigdy już nie odnalazł w sobie ani prawdzi-

wej młodzieńczej pustoty i nieopatrności, ani tej szlachetności porywów, która i pustotę, i nieopatrność okupuje. Gdy przyszedł czas wyjazdu, Krystyan porzucił dziewczynę, z którą żył, nie bacząc, iż porzuci ją w przeddzień macierzyństwa — tłumaczył się przed swoim sumieniem, że jej przecie nie uwiódł, i że nie ma żadnej pewności, czy dziecko jest jego; posłał jej parę banknotów i zbył się ciężaru. Na starca wychowywany, stał się wnet statecznym i spokojnym kodeksowym mólem, ku zupełnemu zadowoleniu pana Radcy, i począł szybko wstępować w jego ślady.

Tymczasem dziecko przyszło na świat, matka na list nie dostała odpowiedzi, bo Krystyan o niczem nie chciał wiedzieć. Brnęła więc przez długi w nędzę, na szczęście natrafiła na prostego robotnika, który ją z synkiem przygarnął, i to wstrzymało ją od najzupełniejszego upadku. Ale przybrany ojciec, o ile kochał matkę, o tyle do dziecka przywiązać się nie mógł, zuienawidził je w końcu. A kiedy małego Krystyna Forgeat odumarała matka, wówczas nienawiść owa nie miała już hamulca, i ciężko dała się we znaki biednemu dziecku. Bity i poniewierany, uciekł z domu, jak tylu innych chłopaków, żył na bruku paryskim czas jakiś pod arkadami mostów, bez dachu, ale i bez kija nad sobą, żył trochę z jałmużny, trochę z drobnych ulicznych posług, wprawdzie jeszcze sam nie kradł, ale z głodu od innych malców przyjmował już kradzione. Skończyło się jednak w Prefekturze policyi, dokąd go zgarnięto jednej nocy podczas oblawy na włóczęgów. Stamtąd poszedł do domu poprawy, dlatego tylko, że nikt się do niego nie chciał przyznać, ani nim zająć. Z domu poprawy wyszedł pełnoletnim mężczyzną. Towarzystwo najgorszych młokosów, brutalność i niesprawiedliwość przełożonych, były-by go zwicznęły odrazu i zupełnie. Jeśli mimo wszystkiego dobre instynkty walczyły w nim jeszcze, to tylko dzięki jednemu z nauczycieli, który się chłopcem szczególnie zajął i rozbudzał w nim sumienie i uczciwość, póki nie umarł. Umierając, zostawił na pamiątkę ulubieńcowi swojemu starożytny zegarek, z prośbą, aby się z nim nie rozstawał.

I Krystyan nie rozstał się z tą pamiątką długo, długo. Walczył musiał z biedą, szukać pracy, choćby ciężkiej za liche wynagrodzenie; świadectwo, acz bardzo dobre, ale świadectwo z domu poprawy, nie ułatwiało mu naturalnie zarobku. Od czasu do czasu spotykał kolegów, którzy przyczepiali się do niego, i sami staczając się między szumowiny społeczeństwa, ściągali go na dół. Bronił się, walczył rozpaczliwie, chciał zostać uczciwym. Ale nadeszła czarna chwila, za nędzą idą pokusy. Odpychał je czas jakiś; doprowadzony do ostateczności, zegarek zastawił, potem nawet papier zastawniczy postanowił sprzedać rad nie

rad. I zaszedł z nim do starego lichwiarza, oszusta i zdziercy, do pokątnego złotnika, który kradzione rzeczy kupował. Widząc, że ma do czynienia z głodnym, wyzyskiwacz ofiarował cenę śmieszłą. Gniew za wrzał w chłopaku, ale rady nie było. Stary wyjmując pieniądze, — w szufladzie, obok złota i banknotów, błyszczał rewolwer. Jedno spojrzenie, jedna zła myśl, jeden ruch — i Krystyan był mordercą. Na razie zdołał ująć niespostrzeżenie, ale nad ranem był już w rękach sprawiedliwości.

Tymczasem ojciec jego ożenił się był, owdowiał i stracił jedynaczkę córkę. Żył sam, oddany całą duszą pracy. Tęgiego sędziego powołano na urząd prokuratora do stolicy. Iluż-to ludzi wymowa jego zaprowadziła do więzienia, na wygnanie i pod gilotynę; był nieublagany w przekonaniu, że spełnia obowiązek oczyszczenia społeczeństwa. Aż, jednego dnia dowiedział się z gazet o zbrodni i o aresztowaniu Krystyna Forgeat. Ten morderca, to jego syn. Chciał nie wierzyć, ale przejrawszy akta i papiery, spojrzawszy na zbrodniarza ukradkiem, przez okienko w drzwiach celi więziennej, musiał uwierzyć. Całe tygodnie dręczył się niepewnością, co począć; sumienie mówiło mu, że sam jest sprawcą i początkiem wszystkiego, co się stało. Naprawić zło, ocalić tego człowieka — ale jak? a gdyby się nawet powiodło, to czy są w nim jeszcze resztki jakie serca i uczciwości, które-by można rozbudzić? Może to potwór?

W każdym razie, to jego własne dziecko, z jego winy doprowadzone do zbrodni, ratować go trzeba, choćby kosztem swojej godności i swego stanowiska. Czuł to, a jednak walczył jeszcze w sobie. Wszelako podczas śledztwa zaszła okoliczność, która mu drogę wskazała. Jako świadek, zgłosiła się kobieta, u której morderca był w nocy po dokonaniu zbrodni, i ta jedna przyniosła świadectwo łagodzące. Opowiadała, że po śmierci swego kochanka, który miał się z nią żenić, została z dzieckiem w nędzy, ale żyła uczciwie, zarabiając igłą. Lecz tej nocy pamiętnej wylała przypadkiem naftę na robotę; z czego zapłacić szkodę, z czego żyć? Doprowadzona do ostateczności, zeszła tejże nocy na ulicę, przed kawiarnię. Nawinął się jej mężczyzna, którego potem z ilustracji w dziennikach poznała. Gdy się jednak znalazła z nim przy kołysce swego dziecka, zdjęła ją zgroza, i płacząc, prosiła go, żeby odszedł. I ten człowiek, ten morderca, zlitował się nad nią, i odchodząc, rzucił garść pieniędzy. Teraz, mimo to, że ją to świadectwo hańbą okrywa, przyszła jednak świadczyć dobrowolnie, żeby trybunał wiedział, iż w tym człowieku jest iskra człowieczeństwa.

Lescuyer przestał się wahać. On, ojciec, on, właściwy winowajca, nie może cofnąć się przed poświęceniem, gdy ta obca kobieta, nie bacząc na swój wstyd, świadectwo daje prawdzie. Jego syn miał dobrą

chwile nawet po spełnieniu zbrodni, potworem nie jest, tem bardziej trzeba go żałować.

Sledztwo zamknięte — sąd. Prokurator wstaje, i zamiast obwinać zbrodniarza, obwinia siebie samego, wyznaje grzech swej młodości, i dla młodości zaniedbanej oskarżonego błaga o miłosierdzie. Mówi tak, iż cała sala, trybunał i ława przysięgłych zaskoczeni, zdumieni i wzruszeni, łzy mają w oczach. Zabił, zamordował, okradł, prawda — ale czy jest winny? Czy winny on, czy ja?

„Niewinny“ — odpowiadają sędziowie. Nazajutrz opinia publiczna ze zdziwieniem, a nawet z niechęcią, przyjmie to uwolnienie Forgeat'a, jego ojciec nie będzie mógł oczywiście nadal sprawować urzędu, którego w ten sposób nadużył, ale głowa nieszczęśliwego chłopca jest ocalona. Lescuyer sam swoje obowiązki prokuratora składa i z synem wyjeżdża z kraju, w świat, za ocean, gdzie ludzie ich nie znają. Ale, opuszczając Francję, na zawsze zabierają z sobą tę biedną dziewczynę i jej dziecko: to jedyna kobieta, która, znając czarną przeszłość tego człowieka, zechce być mu towarzyszką. I tak odbijają od brzegu wszyscy troje, smutni, jakby po jakimś okropnym śnie zbudzeni, ale płyną na życie nowe i będą się starali zapomnieć.

Jest w tem opowiadaniu nie nieprawdopodobieństwo, ale jakaś nadzwyczajność i wyjątkowość, zarówno samej sytuacji, jak i jej rozwiązania, tak, iż, mimo usiłowań autora, trochę trudno wierzyć w prokuratora, który nagle od oskarżenia przechodzi do obrony zbrodniarza; może wiarogodniej wyglądałoby, gdyby ojciec Krystyana Forgeat'a zgłosił się poprostu jako świadek, i zeznaniami swemi skłonił przysięgłych do uwolnienia swego syna, byłoby wiarogodniej, ale mniej efektownie. Dla efektu, dla podniesienia wrażenia, autor kazał być ojcu oskarżycielem syna, i efekt rzeczywiście w pewnej chwili osiąga swój skutek; ale po pewnej rozwadze czytelnik czuje, że naprężenie struny tragiczne było nieco sztuczne i szukane. Z tą uwagą łączy się jeszcze inna. Organa sprawiedliwości są w „Winnym“ przedstawione niebezstronnie; jakaś niechęć przeciw urządzeniom i urzędnikom karnym wieje z każdego słowa. Jest to niezaprzeczenie echo romantyzmu: proszę porównać tego straszego komisarza policyi, Javert'a z *Misérables* V. Hugo, z sylwetkami sędziów, urzędników policyjnych, prokuratorów w powieści Coppée'go, — podobieństwo *mutatis mutandis* jest widoczne. Co innego, kiedy Coppée krytykuje domy poprawy dla nieletnich przestępców, gdy wytyka złe urządzenie i zły dobór ludzi, przeznaczonych do wychowania nieszczęśliwych podrostków; tam widać, że z blizka zna rzecz, i zgodzić się z nim można na wszystko, albo prawie na wszystko. Ale kiedy powstaje wogóle na wszelkie

instytucje karne w imię nieokreślonej i mętnej filantropii, wówczas czytelnik pyta się nie bez zdziwienia: do czego to zmierza? Czy do zamknięcia sądów, więzień, do zniesienia władz bezpieczeństwa i do zapewnienia tem samem zupełnej bezkarności wszelkim najgorszym instynktom? Któż zaprzeczy, że sprawiedliwość ludzka, jak wszystko, co ludzkie, bywa omylna, niedokładna, błędna? Wiedzieliśmy o tem od dawna, i ona sama nie ludzi się co do swej wartości. Niemniej jednak taka, jaka jest, jest jeszcze lepsza od zupełnej bezkarności, i dlatego stała się w każdym cywilizowanym społeczeństwie nieodzowną, choć smutną, potrzebą. W miarę, jak łagodnieją i miękną obyczaje, łagodnieje równocześnie i ona; zmieniać ją, poprawiać, dostosowywać do poziomu cywilizacyjnego zawsze można, ale bić na nią bezwzględnie, potępiać jej w zasadzie nie wolno.

Lecz u epigona romantyków, jakim jest Coppée, utopia taka dziwić nikogo nie powinna, że zaś jest szlachetna, zatem i łatwa do wybaczenia. Za to podziwiać wprost należy to piękne chrześcijańskie miłosierdzie, tę gorącą miłość ludzi, zwłaszcza nędznych i nieszczęśliwych, tę mądrą wyrozumiałość i tę wzruszającą zdolność odkrywania dobrych stron w najgorszych nawet postaciach. Na tem prawdopodobieństwo nic nie traci, bo Coppée umie przytem oświetlać figury swoje realistycznie; obserwował je, zna ich obyczaje, ich gusta, pojęcia i język. Z pewną dosadnością, niemal karykaturalną, kreśli sylwetki drugoplanowe, jak np. stary Lescuyer, ojciec prokuratora, wraz ze swoim śmiesznem małomiasteczkowem otoczeniem; albo figury studentów i gryzetek z Quartier Latin z przed lat trzydziestu, czy wreszcie przełożeni i wychowawcy domu poprawy. Są to wszystko figury szkicowane tylko, ale pełne życia i werwy, o jaką trudno posądzić tak wiekowego autora.

Choćbym się miał spotkać z zarzutem, że cenię tylko stare peruki, a nie umiem się poznać na nowożytnym geniuszu „najmłodszych.“ to jednak wyznam, że obok *Coupable* Coppée'go przeczytałem z przyjemnością zbiór nowel Theuriet'a, zatytułowany *Contes de la Primavera*.

Pokazuje się, że można należeć do Akademii, a nie być jeszcze wyczerpaną do szczętu i zgrzybiałą „barbe grise.“ Zapewne, Theuriet nie był nigdy, nawet za najlepszych swych czasów, pisarzem wielkim i torującym nowe drogi literaturze; to też ostatnia jego książka, podobnie jak poprzednie, na trwałość granitową liczyć nie może. Ale czyta się lekko i przyjemnie, więc warta, żeby o niej parę słów napisać. Są w niej nawet rzeczy zupełnie ładne. Zaraz pierwsza nowelka, *Žuliette*, dobrze usposabia czytelnika. Są w niej naprawdę śliczne opisy Wenecyi, a na tem tle bardzo malowniczym rzucona jedna figura kobieca,

która była-by zajmującą bohaterką nawet większej powieści. Dziewczyna, przed laty piękna, dumna, chciwa bogactw i hołdów, odpychająca lekkomyślnie szczerą miłość, wychodząca za mąż dla błyszczenia w wielkim świecie, w małżeństwie nieszczęśliwa, a potem strącona zrządzeniem losów na dno samo nędzy, tak, że ów odepchnięty niegdyś kochanek odnajduje ją po latach w tej cichej, sennej Wenecyi, jako prostą śpiewaczkę w „serenadzie“, pływającej nocami po Canale Grande po-pod okna angielskich hoteli. Ujrzeni się, poznali, ale nawet przemówić do siebie nie zdążyli,—przypadek ich zetknął na chwilę, i znowu rozłączył na zawsze. Albo inne opowiadanie, równie ładne, i równie spokojnym smutkiem zaprawne: *Les vieilles lettres*. Porządkując szuflady pełne starych szpargałów, podeszły wdowiec natrafia na żółtkłą kartkę i nie może nawet sobie w pierwszej chwili przypomnieć tej, która ją pisała. Ale powoli wspomnienia wracają. I ten biedny, osamotniony człowiek, pod ich czarem pragnie odnaleźć kochankę młodości, i odszukuje jej mieszkanie, i czeka pod domem; ale gdy mu ją zdaleka wskazano wracającą do domu, gdy ku niej podszedł i spojrział, przysły niewczesne złudzenia, i wołał nie odnawiać znajomości. Przeszedł koło niej smutny i milczący, bo dopiero teraz uczuł się naprawdę starym, i żal mu się zrobiło pięknego wspomnienia, które sobie zepsuł. Albo *Le Magasin de l'Arc-en-Ciel*, wcale zabawna historia młodego subiekta i jego kochanki, panny sklepowej. Surowy właściciel szpieguje ich, i przyłapawszy razem, chce się groźnie stawić, obłudnik,—wszak niedawno sam tak natarczywie oświadczał się swojej podwładnej, że mu się ledwie opędzić zdołała. To też i spuszcza zaraz nos na kwintę, kiedy mu zuchwały chłopak zapowiada, że wie o wszystkim i przed żoną go oskarży. Odtąd młodzi kochają się bezkarnie, a stary, choć się w nim żółć burzy, patrzeć musi przez szpary i słodką minę robić ze strachu przed swoją połowicą. Jedna z najładniejszych nowelek nosi tytuł: *Voyage Sentimental*. Młody malarz, goły, jak święty turecki, dla miłego grosza jedzie rad nie rad do zapadłego miasteczka konterfektować całą rodzinę jakiegoś mieszczaucha. W tym samym przedziale kolejowym siedzi śliczna młoda osóbką, z którą naturalnie zawiązuje się prędko znajomość. Ona także nie obfituje w doczesne dobra, była nauczycielką, jedzie do ciotki, u której ma się poznać z podtatusiałym konkurentem, za którego już wyjść gotowa, bo się jej przejadł gorzki chleb pedagogiczny. Biedacy podobają się sobie nawzajem, i jeszcze jak! On korzysta nawet nieco z licznych tuneli po drodze, i oszołomiony pięknnością dziewczyny z wagonu, wypuścić jej nie chce na małym przystanku, gdzie pociąg zaledwie parę minut się zatrzymuje. Zrozpaczona i urażona panna zaczyna płakać; młody Van Dyck dobre ma serce, więc przeprasza i naprawia winę, pomagając jej

na następnej stacji do powrotu. Przebaczenie, rozstanie i gdy pociągi ruszyły w przeciwne strony, artysta zadumał się smutno. No i cóż? Wyjdzie za tego pana Lechandel'a... co za szkoda!

Za dużo miejsca zabrało-by streszczenie całego tomu tym podobnych drobiazgów, pomiędzy którymi zasługiwał-by na to *Ravageau*, dzieje psa owczarskiego, opowiedziane jędrnym językiem ludowym, albo nader miły obrazek *Le Miroir*, idylla na krwawem tle rewolucyj francuskiej. Zresztą streszczenie, choćby najdokładniejsze, nie na wiele się tu przyda, bo wątek tych opowiadań jest, jak widzimy, aż nadto wąty i kruchy, wartość ich stanowi jedynie delikatny artyzm i wykończenie szczegółów, język lekki, prosty i barwny, nierzadki błysk dowcipu, a częściej może jeszcze spokojna i łagodna melancholia. W całym bodaj tomie niema ani jednego silniejszego uczucia, ani jednej naprawdę tragicznej sytuacji, ani jednej głębokiej nuty, same pół-tony, same półcienie, szczypta ironii, kilka białych uśmiechów przez łzy, oto *Les contes de la Prémèvere*. Błahe, filigranowe, płytkie? Prawda, ale bynajmniej nie nudne, a to pierwszy warunek milej książki.

Przeciwnie, nowy tom Anatola France, zatytułowany *L'orme du Mail*, sprawia przedewszystkiem wrażenie przykre, aczkolwiek od początku do końca skrzy się ciętym dowcipem, zdumiewa subtelną obserwacją, i olśniewa paradoksalną sofistyką. Dziwna książka. Powieścią nazwać jej właściwie nie można, bo niema w niej ani cienia akcji, ani śladu tego, co się zowie bajką powieściową. Jest to coś nakształt szeregu pogadanek o najrozmaitszych kwestjach filozoficznych, religijnych, politycznych, coś nakształt felietonów, rozwijających się miejscami wprost w formie dyalogu, pomiędzy kilkunastu postaciami, które są scharakteryzowane wybornie, choć niezwiązane pomiędzy sobą niczem, prócz tego, że wszystkie żyją w jednym prowincjonalnem mieście francuskim, i są reprezentantami rozmaitych zawodów, przekonań i poglądów. Zewnętrzne wypadki, o ile ożywiają treść książki, o tyle wprowadzone są najzupełniej luźnie, bez żadnego z sobą związku, i służą jedynie na to, by dostarczyć nowego tematu zajmującym dyskursom. *Orme du Mail* można-by więc uważać do pewnego stopnia za dalszy ciąg *Jardin d'Epicure*, z tą jednak różnicą, że tam autor mówił przeważnie wprost od siebie, a tu nietylko wprowadził figury dialogujące, ale nadto postarał się o nadanie im wyrazistych fizyognomii, co się zaś tyczy samej treści, to w *Jardin d'Epicure* roztrząsane były raczej zagadnienia psychologiczne, estetyczne, kulturalne, podczas gdy w *Orme du Mail* pierwsze miejsce zajmują sprawy polityczne, historyczno-filozoficzne, teologiczne.

Rodzaj sam takiego pisania był-by nietylko nowy i oryginalny, ale, co więcej, nader dogodny i swobodny dla autora, dla czytelnika zaś i miły, i zajmujący. To też niezawodnie znajdzie licznych naśladowców. I wcale nie brak fabuły powieściowej, lub zawiązania i związku wypadków razi w książce France'a; przykre jest w niej to, że wymierzona jest głównie przeciwko wszystkiemu, co we Francyi katolickie, że gryzącym, uszczypliwym dowcipem, z ironią ostrzejszą niż brzytwa, z żółcią ukrytą pod wykwiutnym artyzmem, przedstawione jest duchowieństwo, jako banda intrygantów, którzy nawzajem dołki pod sobą kopią i najniegodniejszą bronią denuncyacji walczą o wakujące stanowisko biskupa. Około tych zabiegów niskich i niegodnych obraca się właściwie wszystko: obaj kandydaci na przemian przed arcybiskupem swoim, naprzemian przed reprezentantami władz republikańskich, starają się przeciwnika poniżyć, a sobie zjednać poparcie. Oczywiście, przy tej sposobności przedstawiona jest cała urzędnicza i kościelna hierarchia prowincjonalnego miasteczka, i cała miejscowa intelligencja. Księża, urzędnicy departamentu z prefektem na czele, sądownictwo, architekt katedralny i zarazem kouserwator zabytków, profesor miejscowego liceum, wszyscy, nie wyjmując adwokata, lekarza, a nawet księgarza. Z tylu postaci po kilka, to tu, to owdzie, się styka z sobą i rozpoczynają rozmowę, naturalnie najczęściej o sprawach społecznych i bieżących; zwolna wyłania się z tego dyskusysa nieco ogólniejszej natury, przyczem ścierają się najsprzeczniesze zdania, stosownie do poziomu wykształcenia, zawodu, przekonań i zapatrywań interlokutorów. Każdy zjeżdża na swoje, każdy coś od siebie dorzuca, aż w końcu rozmowa przeskakuje na temat nowy. Trzeba przyznać, że France umie podtrzymywać ją po mistrzowsku, nigdy za długo jednej kwestyi nie przewlecze, nigdy nie znudzi. Oburza jednak często; wywleka ni stąd ni z owąd, zawsze zgrabnie, jakąś kwestyę dogmatyczną, albo liturgiczną, zahacza o politykę Kościoła, lub o którą z jego instytucyi, i któremu z księży każe sprawy bronić — ale jak?! Będzie to albo l'abbé Guirel, niezbyt silny w teologii, ale za to dość „oświecony i tolerancyjny,“ robiący słodkie oczy do władz republikańskich, ten więc połębkiem tylko odpowiada, i dopiero, gdy przeciwnik ośmielony zaczepi który z najgłówniejszych punktów wiary, zrywa się z protestacją i wikła się, stając w oczywistej sprzeczności z tem, na na co godził się przed chwilą mileząco, w swej „postępowej tolerancji;“ innym razem sprawy chrystyanizmu broni l'abbé Lantaigne, teolog uczony, znający na palcach Ojców Kościoła i filozofię scholastyczną, ale ten znowu jest w najlepszej wierze sofistą i doktrynerem, a co gorsza, fanatykiem, i w rozmowaniach swoich, na pozor logicznych, dochodzi do takich wyników, że jedno dowcipne słowo z prze-

ciwnej strony obala całe jego wywody, a ośmiesza nietylko już jego samego, ale i sprawę, za którą się ujął. Czasem nawet szermierze „idei postępowych“ przyjmują obronę taką w milczeniu, ostatnie, zwycięskie słowo zostaje przy księdzu, wtedy jednak to słowo ostatnie jest zwykle albo pustym frazesem, albo tak naciągniętym sofizmatem, że samo milczenie wystarcza najlepiej za wszelką odpowiedź. W ten sposób nikt autorowi nie będzie miał prawa zarzucić, iż postępował stronniczo. Gdzie tam! Wszak pozwolił się księżom wygadać do syta, a w dodatku nie zrobił z nich bynajmniej karykatur: jeden jest postępowym nowożytnym umysłem, który stara się pogodzić sprzeczność, zachodzącą między wymaganiami dzisiejszej cywilizacji, a przestarzałymi średniowiecznymi ideami Kościoła; drugiego zaś księdza uzbroił w całą scholastyczną intymegę i dyalektykę, dał mu wymowę dobitną, trochę kwiecistą, ale przytem logiczną i zwinną. Gdyby kto jeszcze miał co do tego jakie wątpliwości, to Anatol France może je do reszty rozproszyć, wskazując na interlokutorów, którzy stanowią antyklerykalny zastęp w jego książce. Czy, z wyjątkiem może jednego profesora Bergeret, wyposażył ich wyższą intelligencją? Bynajmniej, ani pan prefekt Wormis-Clavelin, ani inni przedstawiciele nowożytnych prądów umysłowych i politycznych, nie odznaczają się wykształceniem, wymową, czy ścisłością rozumowania; owszem, są to wszystko figury dość ograniczone, kreślone z dużą dozą ironii, często wprost śmieszne. Ale w tem właśnie jest szczyt zręczności France'a: jeśli nawet i tacy jednym naiwnem pytaniem, jedną z głupia-frant rzuconą uwagą, obalają sztuczne rusztowania misternych księżyich wywodów, to tem oczywiście występuje wstyd Kościoła, a tryumf jego przeciwników. Jeszcze w żadnej swej książce France nie okazał tyle drwiącego pyrronizmu, w żadnej nie rzucił tyle zjadliwych szyderstw, i tyle podgryzających wszelką wiarę, obłudnych i wyrafinowanych, insynuacji. Subtelną a ostrą *vim comicam* tej książki podnosi zwłaszcza to, że szyderstwo ciągle ale nieznacznie z pomiędzy wierszy wyziera, pokryte maską zupełnego spokoju, a czasem nawet powagi. Trudno było-by się doszukać grubego, lub choćby nie dość przyzwoitego wyrażenia, lub jawnych drwin z rzeczy wiary. Niemniej przeto cała książka jest jednym, wykwiśniętym, przez rękawiczki rzuconem w niebo, bluźnierstwem, które delikatnym artyzmem formy budzić może podziw, a dowcipem mogłoby śmieszyć i bawić, gdyby nie było równocześnie oburzające i wstrętne.

Uderzające przeciwieństwo z *Orme du Mail* stanowi *Suzanne*, którą niedawno wydał Leon Daudet, syn Alfonsa. Pisarz ten, młody jeszcze, ale już znany z dziwacznych pomysłów, chce być szermierzem idealizmu i mistycyzmu, lecz sposobem, w jaki tę obronę prowadzi,

ośmieszają raczej siebie i uwłacza sprawie, za którą walczy. Pomysły do powieści przychodzą mu chyba w malignie, gdy rozkiełznana fantazyja roi gorączkowo najdziksze i najcyniczniejsze obrazy. Ta mieszanina pojęć chrześcijańskich z brudnym pornograficznym sensualizmem wydaje owoce potworne, o których najchętniej chciałoby się przemilczeć, gdyby nie były dość typowym objawem epoki. W każdym razie nie długo rozpisywać się będę o jego *Suzanne*, która jest niedorzeczną historią kazirodztwa. Do uczonego lekarza, ateisty i materyalisty, zgłasza się jego nieprawa córka, dziewczyna równie piękna, jak przewrotna. Żona jego, święta, ale brzydka niewiasta, przyjmuje ją do domu przez miłość dla męża, którego uczucia ojcowskie zwołna przeobrażają się w affekt innej natury, a raczej przeciwny naturze. Zuzanna te uczucia podziela, i oboje wyjeżdżają do Hiszpanii, gdzie długo jeszcze w zacnym konsyliarzu kołacą się resztki sumienia. Zuzanna jednak rozprasza skrupuły przysięgając mu, że nie jest jego córką, że się za jego córkę udała w celu zapewnienia sobie dostatniego bytu. Potem jednak znowu go drażni, rozbudzając na nowo skrupuły i podejrzenia, a w końcu prawdę wyznaje. Okropna scena! Odbywa się to już po powrocie z Hiszpanii, tak, że żona pana konsyliarza, usłyszawszy z za kotary całą rozmowę, truje się i pada na miejscu nieżywa. Kto wie, jakby się to skończyło, gdyby nie przyjaciel owego ateusza, święty, ascetyczny mistyk i pustelnik, osiadły w okolicach Paryża. Dawno już próbował nawrócić niewiernego, a teraz, widząc, że chwila nadeszła, wyrывa go z rozpaczny i uspakaja. Nawrócony, odbywa za pokutę pielgrzymkę na piechotę do Hiszpanii, aby w tych samych miejscach, gdzie grzeszył, przebłagać Boga; jego świątobliwy przyjaciel dokonywa tymczasem nawrócenia zbłąkanej duszy. Powieść kończy się melodramatycznym obrazem: w pustelni pod Paryżem, w lesie, u stóp kapliczki, zawieszonej na drzewie, klęczą w promieniach zachodzącego słońca trzy postacie, pogrążone w cichej modlitwie: ex-materyalista skruszony i wierzący, jego córka pokutnica, pogodzona z Bogiem, a w środku ich ewangeliczny przyjaciel i apostoł mistycyzmu. Zapewnia ich, że zbrodnia jest im w niebie przebaczona, takim tonem, jakby miał od papieża szczególniejsze upoważnienie *ad dimittendum incestum*, szkoda jeszcze, że im ślubu nie daje.

Jeśli co w tej niedorzecznej książce jest trochę warte pochwały, to kilka ładnych pejzażów hiszpańskich i parę ustępów o obrazach Velasqueza, dobrze charakteryzujących wielkiego malarza. Zresztą *Suzanne* jest zupełnie godną litości ramotą, która zwraca na siebie uwagę wyszukany, endacznym i skandalicznym pomysłem. Widać, że Leonowi Daudetowi spać nie daje ojcowska sława, pragnął zatem wy-

wołać około swego nazwiska przynajmniej wrzawę, bo na nic więcej go nie stać.

*

*

*

W chwili, gdy kończę ten przegląd literatury powieściowej z ostatnich miesięcy, rozkładają księgarze paryscy na swoich wystawach nową książkę autora *Demi-Vierges* i *Lettres de Femmes*, zatytułowaną *Le Jardin secret*.

Prevost należy do tych interesujących pisarzy, którzy artyzmem pióra, wyborną obserwacją życia i świeżością pomysłów i postaci, od pierwszego wystąpienia zyskali sobie stanowisko; szkoda więc, że do najbliższego artykułu będę musiał odłożyć jego powieść, która zapewne górowała-by nad wszystkim, o czem tym razem pisałem. Nie zapuszczałem się również w ocenę poezyi, której wyszło sporo nowych tomów. Wolno przypuszczać, że między tymi młodymi synami Muz znajdzie się choćby jeden, lub dwóch, z prawdziwym talentem, i że omawiając w dalszym ciągu ruch literacki tutejszy, będę mógł rozbiierać prawdziwie piękne utwory jakiego nieznanego dotąd jeszcze poety.

LUCYAN RYDEL.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

A. Pawiński. Odpowiedź według obyczaju rycerskiego prawie w polskim. (Ate-
neum — grudzień 1896).

Wpółród licznego szeregu prac ś. p. prof. Pawińskiego, nie wiele znajduje się takich, w których badacz uważał za odpowiednie zastosować metodę porównawczą. Jedyne w dawniejszej rozprawie p. t. „O pojednaniu według dawnego prawa polskiego“ (1884) badał autor i obce prawodawstwa, porównywając je z polskiem, a to samo uczynił i w ostatniem swem studyum, ukończonem prawie w przeddzień śmiertelnej choroby, z której nie miał się już nigdy podźwignąć.

Zastanawiając się nad znaczeniem słowa „Odpowiedź“, autor objaśnia nas, że wchodzi ono w zakres spraw prawnych, odnoszących się do wymiaru sprawiedliwości, nie przez ustanowioną władzę publiczną, ale przez prywatną, osobistą powagę osoby, będącej z drugą w zatargu. Dla tego lub owego powodu, dwie strony są z sobą w nieporozumieniu i dla rozstrzygnięcia sporu uciekają się nie pod powagę sądu królewskiego, grodzkiego lub ziemskiego, ale wymierzają sobie same sprawiedliwość, albo czynią ku temu przygotowania za pomocą groźby lub prawdziwego czynu. Z przeciwnikiem rozpoczyna się walka i obio

strony stawia życie swoje na kartę. Powstaje między zwaśnionemi stronami walka domowa, która podobna jest do tego, co się działo we Francyi pod nazwą „guerre privée,” albo w Niemczech, Fehde, Fajda.

Prof. Pawiński nie dotykał wczesnych początków „odpowiedzi”, występującej już w XIV w., ale odtworzył ślady rozwiniętego w wieku XVI zwyczaju prawnego. Przedstawił też szereg ciekawych wypadków „odpowiedzi”, w których jeden szlachcic, przez wybranych przez siebie posłów, zapowiadał drugiemu, „że niech się go strzeże, i na pewno wie, że z rąk jego zginie”. Zagrożony taką „odpowiedzią” udawał się zazwyczaj do miejscowego starosty, prosząc aby przedsięwziął właściwe środki dla zabezpieczenia jego życia, oraz dla wzmocnienia pokoju. Starosta ustanawiał w powyższym wypadku odpowiednie vadium, które polegało na tem, że pod karą wadyalną, stu. dwustu lub więcej złotych, zapewnionych odpowiedzialnymi poręczycielami, wstrzymywał między zwaśnionemi stronami zatarg, grożący wybuchem i naruszeniem spokoju. Postanowienie owo starosty zapisywano do księgi sądu grodzkiego dla pamięci, a obok niego zapisywano również poręczycieli, którzy zabezpieczenie pokoju przez poręczenie brali na siebie.

Pod skróconą nazwą vadium ukazują się powyższe czynności starosty w wielkiej liczbie, mianowicie już w XV wieku. Gęsto są one rozsiane w XVI stuleciu, niemniej obficie ukazują się w następnych czasach i to w każdym zakątku Polski bez wyjątku. Czynnymi osobami w „Odpowiedzi” stają się nie tylko strony bezpośrednio wzięte do zatargu, ale i pośrednio należące przez związki krwi, powinowactwa lub stosunki społeczne. „Odpowiedź” zatem zamienia osoby w nieporozumieniu będące na rodzaj walczących, lub do walki zabierających się obozów, w których występują nie pojedyncze strony, ale rody całe, ojcowie z synami swymi, z synowcami oraz ze służebnikami. Z tego punktu widzenia łatwo jest ocenić doniosłość następstw, do jakich prowadzi odpowiedź, będąca objawem panującej samowoli, nieuszanowania władzy publicznej, sponiewierania powagi, jakiej w społeczeństwie sąd używać powinien.

Zazwyczaj w „Odpowiedzi” wyrażano główne pobudki, które były powodem powstałego zatargu, a nie tylko krwawe zajście wywoływało chęć krwawej zemsty. Bywały także i inne powody, dość bląhej nawet natury. Tak np. w r. 1586 szlachcic Radziszewski występuje z następującym aktem „Odpowiedzi”: „Wojciechu Strzeszewski! Ażem ci był konia swego pożyczył, za którym był dał złotych siedmdziesiąt, któregoś mi zmorzył i w niwecz obrócił, iż mi zdechl zaraz skoro mi go przywiedziono od ciebie i t. d. A iż mi się praw nie chcesz uczynić

opowiadam ci to przez woźnego i ślachtę, że się tego na gardle twem i na majątności twej i z towarzyszami memi mścić będę na każdym miejscu". Jakkolwiek „odpowiedź“ była zwyczajem rycerskim, niekiedy jednak ton przemówienia nie pozwalał domyślać się jej szlacheckiego pochodzenia. I tak np. w roku 1570, Franciszek Górski, starosta złotoryjski i wyskowski, przemawia w „Odpowiedzi“ w sposób następujący: Komorosiu! Wiele mi złodziejstwa, łotrstwa i złodziejstwa nademną wyrządzasz, co mnie od wielkich zacnych osób nie potyka, a ty wszarż, łotr dokazujesz męstwa nademną i nad moim statkiem które mi Bóg dać raczył i t. p.

Ktokolwiek w XVI i XVII wieku pragnął uchylić się od zarzutu morderstwa, łupiestwa, rabunku, posyłał przeciwnikowi ostrzeżenie piśmienne, przy zachowaniu pewnych ścisłych przepisów, ustalonych przez zwyczaj i przez przepis prawny. To ostrzeżenie było właśnie „odpowiedzią“ czyli wypowiedzeniem swej przyjaźni albo zapowiedzią nieprzyjaźni. Wyraz ten, czyli termin, używany w pomnikach prawnych średniowiecznych, wprowadza nas w obręb prawa feudalnego. Pewne formy krępowały i na zachodzie Europy ten zwyczaj prawa pięściowego, który nie był niczem innym, jak wojną prywatną i najazdem. Niemieckie listy odpowiednie, w porównaniu z naszymi, odznaczały się treściwością i lakonizmem. W krótkich słowach wypowiadało nieprzyjaźń, przytaczano powody i żądano zadośćuczynienia, a w przeciwnym razie grożono odwetem.

Niekiedy przybierała „odpowiedź“ w Polsce formy dość oryginalne, na które zwrócić należy szczególną uwagę. Bywały wypadki, że „odpowiedź“ wysyłały nie tylko osoby prywatne, ale gromadnie szlachta jednego powiatu powstawała przeciwko innemu powiatowi. Zanosilo się w takim razie na wojnę powszechną. W pomnikach prawodawstwa naszego pierwszą chęć uporządkowania „Odpowiedzi“ spotykamy w roku 1588. Podług postanowienia tego roku, „odpowiedź“ ma być jawna, publiczna, i żeby miała cechę dowodu sądowego, powinna być ogłoszona przez woźnego i dwu szlachciców, i nie gdzie indziej, jak w tym samym sądzie owego grodu, w którym mieszkał ten, do którego się odpowiedź odnosiła. Ważniejszym objawem jednak było to, że w tymże r. 1588 ustanowiono karę pieniężną na szlachcica, któryby był o posłanie odpowiedzi prawie przekonany; prócz zapłacenia szkód, jakie aktor poprzysięże, ma być skazany na sto grzywien kary. Nadto zastrzeżono, że w sprawach kryminalnych, jakie-by przeciwko odpowiednikowi zaszyły, takowy nie będzie się mógł zasłaniać odpowiedzią, którą-by przed spełnieniem przestępstwa mógł posłać. Po wpisaniu do ksiąg odpowiedzi, odpowiednik przed upływem sześciu niedziel przeciwko stronie nie gwałtownego czynić nie może.

Do tejże samej sprawy uporządkowania „odpowiedzi“ powróciła konstytucya w r. 1633 ustanawiając ostrzejsze prawa przeciwko odpowiedzialnikom, jednakże pozostały one bez skutku, jak świadczy uchwała z r. 1639 sejmiku czerskiego, domagająca się wzmocnienia egzekucyi sądowej przeciwko odpowiedzialności. Środki powyższe pozostały bezsilnymi. Jak w Niemczech, pomimo zniesienia wojny domowej, pozostało w użyciu prawo pięści tak i „odpowiedź“ w Polsce trzymała się siłą prawa zwyczajowego.

Treściwie a interesująco, wyczerpując przytem materiał archiwalny, opowiedział prof. Pawiński dzieje i znaczenie „Odpowiedzi“ w prawie polskiem. Studium jego ostatnie można uważać poniekąd za uzupełnienie rozprawy „O pojednaniu w zabójstwie“ i pozostanie ono w bogatej naukowej spuściznie, jaką po sobie pozostawił ś. p. Pawiński, cenną i drogą dla nas pamiątką.

A. R.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wypadkiem dominującym ubiegłych miesięcy była dla nas zmiana Naczelnika kraju. Reskryptem Najwyższym z d. 7 stycznia r. b., hr. Szuchałow, na własną prośbę, z powodu nadwątlonego zdrowia, uwolniony został ze stanowiska Generał-Gubernatora i Dowodzącego wojskami okręgu warszawskiego. Podczas krótkich rządów hrabiego, w instytucjach krajem naszym rządzących, żadne, w ich działaniu wybitniejsze nie zaszły zmiany. Nie znaczy to zapewne, ażeby ustępujący Naczelnik kraju wszystkie formy rządzenia, przejęte po swoim poprzedniku, uznawał za ostateczne i po wszystkie czasy wystarczające. Dojrzały, wyższego poglądu mąż stanu, nie mógł on nie być przeświadczonym o tym najprostszym i najniewątpliwszym pewniku, iż postępem życia społecznego musi dotrzymywać kroku postęp sztuki rządzenia. Trudność sytuacji, jaką zastał, niezajomość stosunków miejscowych, które dopiero zgłębiać mu wypadało, krótkość nareszcie rządów, przerwanych przez ciężką niemoc — to były, być może, powody, iż nic donioślejszego dla kraju uczynić, ani nawet przedsięwziąć, nie zdołał. Gdziekolwiek zresztą miał sposobność stykać się osobiście z przedstawicielami społeczeństwa naszego, wywierał wrażenie wysoce ujmujące i najlc-

pszą też o sobie zostawił pamięć. Z tem większym przeto żalem przychodzi stwierdzić, iż nie było mu danem utrwalić się w pamięci kraju.

Ukazem Najwyższym z d. 13 stycznia, mianowany został General-Gubernatorem i Dowodzącym wojskami okręgu warszawskiego J. O. ks. Aleksander Imeretyński. Dla następcy hr. Szuwałowa stosunki tutejsze o tyle nie są zupełnie obce, że przez szereg lat zajmował w Warszawie wysokie stanowisko Pomocnika, później Naczelnika sztabu wojsk okręgu warszawskiego. D. 28 lutego obecny Naczelnik kraju przybył do Warszawy, i objął osobiście zarząd Królestwem. W nacechowanym powagą przemówieniu przywitalnem do reprezentantów władz tutejszych, wskazał im „ściśłą legalność,“ jako zasadę wytyczną swoich rządów. Społeczeństwo nasze z zaufaniem wita najwyższego dostojnika, który w myśl takiej zasady, a z należytą konsekwencyą, jego sprawami kierować z góry sobie zamierzył.

Jednocześnie ze zmianą Naczelnika kraju zaszły liczne zmiany w zakresie wyższej hierarchii administracyjnej Królestwa. Pomocnikiem General-Gubernatora warszawskiego mianowany został, na miejsce ustępującego ochmistrza Petrowa, nadprokurator I Departamentu Rządzącego Senatu, ks. Oboleński. Ten urząd Pomocnika, istniejący od niespełna lat pięciu, urząd z istoty swojej zastępczy, okazał się, w praktyce czasów ostatnich, stanowiskiem wielce doniosłym i odpowiedzialnym; to też pomyślnie się stało, iż został na nie powołany dygnitarz, już z samego swego zawodu stojący wyłącznie na gruncie „ściśle legalnym,“ przedstawiciel naczelnego w Państwie organu sprawiedliwości. Co się tycze innych dokonanych zmian osobistych, niewątpliwie najważniejszą stanowi uwolnienie na własną prośbę rz. r. t. Apuchtina od obowiązków kuratora okręgu naukowego warszawskiego. Jego długoletnia, od 1879 roku bez przerwy trwająca, działalność, na długo też utkwii w pamięci społeczeństwa naszego. Przeznaczony na miejsce ustępującego kuratora prezydent miasta Odessy, W. N. Ligin, przynosi z sobą imię oświeconego orędownika prawdziwych spraw nauczania, które powinny stanowić właściwy, pierwszorzędnej wagi, przedmiot jego zachodów i pieczy. „Istniejącym zakładom wychowawczym średnim i wyższym należy nadać ustrój trwały, nie powodując się atoli bynajmniej jakimikolwiek względami politycznymi, niezgodnymi ze sprawą oświaty, lecz troszcząc się wyłącznie o rozwój samej nauki, i zachęcanie młodzieży polskiej do zajęć poważnych“: — takiej-to zasady nie wahali się wygłosić nawet przed trzydziestu trzema laty, w chwili tak wyjątkowej, w przeddzień reformy szkolnej w Królestwie,

nawet tak gorliwi działacze państwowi, jak sekretarz stanu Hilferding i Milutyn, w swoich „Założeniach,“ stanowiących podwalinę onej reformy. Wypada tuszyć, iż nowy kurator okręgu naukowego warszawskiego taką, nie inną, o bierze sobie zasadę wytyczną.

Objęcie zarządu Królestwem przez J. O. ks. Imeretyńskiego odbywa się, rzec można, pod szczęśliwą wróżbą. Przypada ono mianowicie na pomyślniejszą odmianę w zapatrywaniach opinii publicznej rosyjskiej na rzeczy polskie. Od pewnego już czasu prasa rosyjska zaczęła w sposób bardziej przedmiotowy i godny wszelkiej uwagi zajmować się sprawami Królestwa. Ostatni miesiąc ubiegłego i pierwsze bieżącego roku przyniosły pod tym względem dosyć zewszecmiar interesujących przyczynków. Nie można inaczej, jak ze szczerem uzuanieniem, powitać ten pocieszający, aczkolwiek nader późny, zwrot ku spokojniejszemu i bezstronniejszemu traktowaniu spraw kraju, stanowiącego jedną z najwybitniejszych części składowych państwa. Kierownicze pisma rosyjskie, które w takim duchu zabrały głos o sprawach i potrzebach Królestwa, prawie jednomyślnie, opierają swoje wywody na pewnych zasadach ogólnych, najzupełniej, jak mniemamy, oczywistych i sprawiedliwych. Ludność Królestwa — trafnie postrzegając rzeczony organa — poddaną została warunkom wyjątkowym w chwili i nazajutrz po chwili wyjątkowej. Od tamtej chwili kraj tutejszy i państwo przedzielone są przez okres przeszło trzydziestoletni. Ze zmianą czasów musiały się zmienić, i istotnie głęboko zmieniły się, nietylko potrzeby kraju, lecz również i wymagania państwa. To, co wśród pewnych warunków anormalnych mogło być uważane za niezbędne, wśród warunków zgoła odmiennych musi w znacznej mierze okazać się zbytecznem. Zaś wszelki stan wyjątkowy, o ile bywa zbyteczny, nie może nie być szkodliwym i interesom państwa przeciwnym. Wskazane rozumowania publicystów rosyjskich zdają się odpowiadać nietylko najprostszemu pojęciu sprawiedliwości, lecz zarazem zdrowemu pojęciu racji stanu, która w żadnym wypadku nie może polegać na zaciętem, biurokratycznem zasklepieniu się w urządzeniach wysłużonych i przeżytych stosunkach, lecz ku ich rozwojowi i udoskonaleniu nieustannie zmierzać powinna.

Z takich założeń ogólnych niektórzy publicyści rosyjscy usiłowali wyprowadzić w dalszym ciągu pewne wnioski konkretne. „Petersburskija Wiedomosti,“ „Nowoje Wremia“ i inne pisma wyraziły między innymi przekonanie o potrzebie zaprowadzenia w Królestwie szeregu urzędów, oddawna z pożytkiem działających w Cesarstwie jako to: sądów przysięgłych, samorządu miejskiego, instytucji ziemstwa. Obok tego zwrócono uwagę na konieczność uregulowania

sprawy serwitutowej, ulepszeń w zakresie wychowania publicznego i t. d. Niezaprzeczenie mieści się rdzeń zdrowy w większości tych pomysłów prasy petersburskiej. Nie jesteśmy jednak zupełnie pewni, azali publicyści rossyjscy, wnosząc naraz na stół taką obfitość projektów, dostatecznie zdają sobie sprawę z ich strony, że tak powiemy, technicznej; czy mianowicie zgłębili dostatecznie znaczenie wszystkich poruszonych zagadnień w świetle stosunków miejscowych. Przynajmniej, oprócz samego tylko ogólnikowego zalecenia powyższych projektów, z żadnym bliższem, rzeczowem ich wyłuszczeniem nie spotkaliśmy się w wymienionych organach. Tymczasem są to wszystko sprawy wcale niełatwe i skomplikowane.

Niezbędną było-by rzeczą nasamprzód wyrobić sobie jasne pojęcie, jaką mianowicie w obecnych warunkach w samem Cesarstwie jest działalność faktyczna instytucji, o których mowa, a które w ostatnich czasach uległy głębokim przeobrażeniom na skutek nowel prawodawczych: 1887 r. o sądach przysięgłych, 1889 i 1890 r.—o ziemstwach, oraz Ustawy Miejskiej 1892 r. Nie ulega następnie wątpliwości, że rzeczzone instytucje musiały-by zostać w odpowiedniej mierze przystosowane do odrębnych potrzeb i wymagań Królestwa. Gdyż jasnym jest, iż przeszczepione na grunt zupełnie nowy, a inny, tylko w takim razie mogły-by przynieść społeczeństwu naszemu pożytek istotny; inaczej, chociaż-by nawet były samą doskonałością w zasadzie, mogły-by w rzeczywistości obrócić się na szkodę. Zapewne, wszystkie te sprawy w obecnem stadyum nie wykroczyły za granice inicjatywy, albo informacyi dziennikarskiej. Wszakże właśnie dlatego, nie godzi się poprzestać na ogólnikowem, a dosyć jałowem, ich traktowaniu, lecz owszem, można i należy poddać je gruntownemu, rzeczowemu roztrząsaniu, które niezawodnie i opinię publiczną oświeci, i może okazać się przydatnem do prawidłowego postawienia samych poruszonych zagadnień. W miarę, jak te zagadnienia będą dojrzewały, do takiej, *in merito*, nad nimi dyskusyi przyłożyć się nie omieszkamy.

Skoro dotknęliśmy dodatniego zwrotu w prasie rossyjskiej względem rzeczy polskich, nie możemy pominąć pewnego wybitnego wystąpienia, które tej prasie dostarczyło obfitego wątku dla snucia komentarzy i uwag w tym samym kierunku. Mamy na myśli znaną prelekcję prof. Spasowicza. Odczyt, wygłoszony w Petersburskiem Towarzystwie Historycznem przez prof. Spasowicza o ś. p. Pawińskim, był czemś więcej, niż zwykłym wystąpieniem akademickim. To nie był tylko głos uczonego o uczonego, pod adresem zamkniętego ciała naukowego. To był zarazem głos obywatela o pewnych, nader ogólnych, a przecie nader aktualnych sprawach życiowych, skierowany

do dwóch społeczeństw. Taką była niewątpliwie intencja znakomitego mówcy. Tak też zrozumiała go opinia publiczna. Jego odczyt znalazł szeroki odgłos w społeczeństwie rosyjskiem. Polskie zainteresował. Zajął miejsce wydatne w ubogiej kronice naszego życia publicznego, i z tego przedewszystkiem tytułu, nie dla samych względów akademickich, domaga się należytego rozważenia i oceny. Trzeba było atoli czas jakiś wstrzymać się z oceną. Kiedy chodzi o rzeczy tak doniosłe, jak te, których dotknął w swem przemówieniu p. Spasowicz, i kiedy o nich mówi człowiek takiej jak on miary, nie wolno polegać na relacjach z drugiej ręki. Nie chcieliśmy też polegać ani na depeszach dziennikarskich, ani na osobistych wrażeniach słuchaczy. Woleliśmy nie polegać nawet na „dosłownym przekładzie“ „autentycznego tekstu,“ to jest na jednym ułamku, którego dosłowność i autentyczność mogła nastroczać pewne wątpliwości. Te wątpliwości były zresztą zupełnie uzasadnione. Okazuje się, że ofiarowany przekład nie był ani dosłownym, ani autentycznym, że zostały w nim zmienione oddzielne wyrażenia, przeinaczone niektóre ustępy, inne opuszczone. Ale nie o tem chcemy mówić. Mamy przed sobą jeden z ostatnich poszytów petersburskiego „Gońca Europejskiego,“ który przynosi nareszcie przemówienie p. Spasowicza w brzmieniu oryginalnem i w całości. Obecnie można je bezpiecznie roztrząsnąć i wydać o niem zdanie.

P. Spasowicz mówił o ś. p. Pawińskim. Zналиśmy wszyscy i cenili zmarłego. Tych lub owych jego poglądów historycznych, tych lub owych zapatrywań społecznych, można było nie podzielać. Ale był to niezawodnie i bardzo duży uczoney, i bardzo dobry Polak. Jego zgon przedwczesny stanowi dotkliwą stratę dla nauki i kraju zarówno. Była to myśl szczęśliwa, ażeby z rozległą, spokojną, bezstronną działalnością uczonego polskiego bliżej zapoznać lepszych przedstawicieli nauki i intelligencji rosyjskiej. P. Spasowicz jednakże założył sobie zrobić zarazem i mniej, i więcej. Chciał przedstawić swoim słuchaczom rosyjskim jedynie „Adolfa Pawińskiego jako historyka sejmiku polskiego“. Jednocześnie, z samych tylko prac zmarłego nad sejmikiem polskim chciał wydobyć pewne konkluzye najogólniejszego znaczenia. W tym celu, przedewszystkiem na zasadzie „Sejmików ziemskich“ oraz „Rządów sejmikowych“, wykreślił treściwy zarys rozwoju państwowego Rzeczypospolitej polskiej. Ten zarys, w przedstawieniu prelegenta, stał się obrazem nieprzerwanego, od początku do końca, rozkładu państwowego Rzeczypospolitej, w której właściwie, przez cały czas jej istnienia, „sama tylko opozycya posiadała organizacyę — pod postacią związków konfederackich, — zaś władza rządowa wobec anarchii była bezbronną“. Ostatecznie, „oba dzieła Pawińskiego rozwijają jedną myśl zasadniczą i dają zupełnie podobne wywody i wnioski“

„Państwo polskie—tak, zdaniem prelegenta, wyrażają się owe wnioski, — urządzone wedle typu sejmiku, odtwarzające w całej swej budowie i we wszystkich czynnościach tamtą formę zasadniczą swojej żywej komórki, przedstawia ustrój zupełnie szczególny, ale całkowicie *średniowieczny*, t. j. równie niezdolny do życia wśród warunków społecznych państwowości europejskiej, jak były-by niezdolne do życia wśród zmienionych warunków biologicznych owe kopalne zwierzęta z okresów pierwotnych kuli ziemskiej, będące przedmiotem badań paleontologii... Wniosek o specyficznie średniowiecznym charakterze państwa polskiego z jego zasadniczą komórką-sejmikiem tak jest prosty i przekonywający, tak namacalny, że można go uznać od razu za pewnik oczywisty“. Ten pewnik, wszechstronnie wyluszczonej przez prelegenta, nie może, jego zdaniem, być obojętny dla słuchaczy rosyjskich. Wprawdzie „mogą mi oni zarzucić, dlaczego ze wszystkich pism Pawińskiego obrałem za przedmiot sejmik polski i jemu poświęciłem cały zarys niniejszy? Mogą mi powiedzieć: przekonałeś nas zupełnie, że urządzenia państwowe Polski były średniowieczne, że należało je zburzyć; to też zostały zniesione; pocóż wspominać o tem, co już nie istnieje? Sądzę jednak, iż podobny zarzut mógł-by wyjść jedynie od takich samych separatystów pod względem historycznym, jakimi byli pod względem politycznym ziemianie byłej Rzeczypospolitej, przy swojej nieudolności do unifikacji. Byłe państwo polskie niepowrotnie upadło, nie tylko ze wszystkimi swymi urządzeniami państwowymi, lecz oraz ze wszystkimi swoim prawem publicznym i cywilnym. Ale naród, mający przeszłość historyczną, nie może zejść ze sceny bez protestu, ani poddać się nieuniknionej konieczności, nie wyczerpawszy wszystkich swych sił żywotnych.“

Wywody p. Spasowicza posiadają jedną kapitalną wadę. Nie są przezroczyście. Są nawet dosyć mętne. Dlatego też uznaliśmy za niezbędne przytoczyć własne jego słowa. Te niejasne zwroty dają się atoli sprowadzić do pewnych twierdzeń wyraźnych, które wynieśliśmy z najdokładniejszego, najuważniejszego rozpatrzenia się w słowach prelegenta. Jeśli go źle zrozumieliśmy, wina nie nam może być przypisana. Gdyż jakże w takim razie mogli go zrozumieć jego słuchacze? On mówił o rzeczy, którą my dokładniej znać musimy od któregośkolwiek z tych słuchaczy, podnosił sprawę, w którą my uważniej, niż z nich którykolwiek, musimy się wsłuchiwać. Oto te twierdzenia. Instytucje polskie, oparte na krańcowym samorządzie ziem i sejmików, były zupełnie wyjątkowe. Były wyjątkowo wadliwe. Były takimi przez cały czas trwania państwa. Były mianowicie skroś średniowieczne. Ten charakter zachowały, spotęgowały pod sam koniec. Uczyniły też pod koniec państwo polskie anachronizmem w Europie. Średniowiecznyżną

swoją, konsekwentnie i dobrowolnie dochowaną pośrodku ery nowożytnej, stały się głównym powodem zguby państwa. One-to uczyniły jego upadek koniecznością dziejową, koniecznością nieodwołalną, bo wypływającą z samej natury rzeczy. Społeczeństwu polskiemu jasna tego świadomość powinna ułatwić przystosowanie się do nowych, dośrodkowych warunków bytu. Społeczeństwu rosyjskiemu przykład wybujałego, chorobliwego wyodrębnienia oddzielnych ziem polskich w stosunku do dawnej Rzeczypospolitej powinien wskazać słuszne granice potrzeb, w stosunku do państwa dzisiejszego, rozmaitych jego dzielnic, a w szczególności dzielnic polskich.

W przemówieniu p. Spasowicza są rzeczy roztropne i trafne. są prawdy oczywiste, powszechnie uznane. Takim jest w zasadzie jego pogląd krytyczny na winy przeszłości, trzeźwe pojęcie wymagań teraźniejszej doby. Ale w jego szczegółowych wnioskach, napoty naukowych, napoty politycznych, mieszczą się dwa rażące błędy naukowe i dwa kardynalne błędy polityczne. Błędem naukowym jest przedewszystkiem podciągnięcie całego pięćsetletniego rozwoju państwowego Rzeczypospolitej pod strychulec jakiejś średniowieczyny wyjątkowej, skostniałej, martwej i śmiertelnej. Rzeczpospolita ze swoim prawem publicznem nie była bynajmniej jakimś cudackim, potwornym wyjątkiem w Europie, gdzie aż do ery najnowszej przechowało się nietknięte prawo publiczne Rzeszy niemieckiej, królestwa węgierskiego i Szwecyi. Urządzenia polityczne polskie niewątpliwie z biegiem czasu, tak samo jak szwedzkie, węgierskie albo niemieckie, jak z innych względów angielskie albo francuskie, w znacznej części utraciły rację bytu, zwyrodniały fatalnie, gwałtownie domagały się naprawy. Jeśli tego chciał dowieść prelegent, w takim razie wybijał drzwi, rozwarł naścież jeszcze przez króla Stanisława, przez księdza Konarskiego, przez uchwały sejmowe. Gdyż nie o to chodzi, azali owa naprawa nie była niezbędną: tu dwóch zdań być nie może; lecz o to, iż nie masz dowodu, ażeby ona była niemożliwą. Owszem, nie brak skazówek, iż była-by się dała uskutecznić, — tak samo jak uskuteczniono ją gdzieindziej, w Sztokholmie, Paryżu albo Berlinie, — gdyby tutaj nie była została uniemożliwioną. Drugim błędem naukowym, bezpośrednio wypływającym z pierwszego, jest wyprowadzenie upadku państwa, jako koniecznego i naturalnego skutku, z wadliwości jego urzędzeń, jako wyłącznej i wystarczającej przyczyny. Urządzenia wszystkiej Europy, bez żadnego wyjątku, na schyłku zeszłego wieku znajdowały się w takim stanie zupełnej degeneracyi i rozprzężenia, iż dłużej trwać nie mogły i upaść musiały. Jednak wszystkie państwa przetrwały upadek swoich urzędzeń. Upadek Rzeczypospolitej, przed-

stawiony jako fatalność, sprowadzona przez samą Polskę, jako wyrok dziejowy, ściągnięty na siebie przez samych Polaków, jako missya cywilizacyjna, wypełniona przez mocarstwa rozbiorowe, — pogląd taki, głoszony najuporczywiej przez historyografię pruską, dziś już pod względem naukowym należy uznać za zupełnie przestarzały, usunięty przez zdrowsze i wyższe pójęcie prawdy dziejowej. I usuwany zostaje obecnie — z przyjemnością to zaznaczamy z powodu niedawnej głośniejszej dysputy publicznej w uniwersytecie petersburskim, — przez światlejszych przedstawicieli najnowszej nauki rossyjskiej. Pogląd ten, co prawda, był przyjęty z pokorą, że źle zrozumianem zaparciem się siebie, przez część historyografii polskiej. Zawsześmy pod tym względem byli skłonni do ekscesów. Od mistycznej apoteozy przeszłości łatwo przerzuciliśmy się do jakiejś mistycznej askezy. Lecz ani jedna, ani druga ostać się nie może wobec ścisłej, bezstronnej, porównawczej krytyki historycznej. Byliśmy winni, — tłumaczy nam niezbita nauka dzisiejsza, — nie byliśmy winniejsi od innych. Byliśmy chorzy, nie byliśmy chorsi od innych. Nie byliśmy wybrańcem, lecz nie byliśmy wyrodkiem narodów, jakimś niedojrzałym, niepełnoletnim, szalonym wyjątkiem pośrodku rodziny europejskiej.

Wielkie to i ważne zagadnienia, których echa, zdala przycho-
dzące, dotychczas wypadło rejestrować w kronice niniejszej. Skwa-
pliwie od nich wracamy do właściwych naszych spraw domowych, nie
tak dużych i górnych, owszem, bardzo poziomych, bardzo maluczkich, —
a dla nas ostatecznie najważniejszych. Gdyż nie w nadpowietrznej
dziedzinie ogólników i hipotez, gorzkich żalów i lotnych oczekiwań,
lecz u siebie w domu, w interesie bezpośrednim kraju i społec-
zeństwa naszego, a tem samem zarówno w pośrednim interesie pań-
stwa, w granicach przez prawo zakreślonych mamy najpilniejszą,
bezw warunkowo potrzebną, bezwarunkowo użyteczną służbę do peł-
nienia, mamy mnóstwo spraw palących do podniesienia, mnóstwo
do rozstrzygnięcia trudnych, a nasze sumienie obciążających, na-
szej podległych kompetencji, domowych zagadnień. Taką sprawę,
takie zagadnienie podniósł w miesiącu zaprzeszłym prezes war-
szawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Zwrócił on uwagę na jedną
z najdotkliwszych bolączek naszego miasta, na jeden z najfatalniej-
szych skutków jednostronnej ewolucji wielkomiejskiej, jaką w osta-
tnich czasach przechodzi Warszawa. Chodzi o opiekę nad ubogą dzia-
twą, w pewnym mianowicie specjalnym zakresie. Co się dzieje
w Warszawie, — tak postawił pytanie prezes T. D., — z dziećmi ubogiej
ludności w wieku od 8 do 14 roku życia? Odpowiedź brzmieć musi:
w przeważnej liczbie niczego się nie uczą, żadnej nie są poddane opie-

ce, skazane są na stałą i systematyczną demoralizację. Istotnie, od 8 roku zamknięte są dla nich ochrony, do których zresztą część tylko niewielka dostać się była mogła; zaś do 15 zamknięta praca w warsztacie i fabryce. Z mocy przepisów fabrycznych, a w szczególności w myśl prawa z dnia 6 maja 1890 r., dzieci do lat 12 zgola nie są dopuszczone do zajęć na fabrykach; zaś od 12—15 roku życia, w kilkudziesięciu gałęziach przemysłu fabrycznego mogą tylko wyjątkowo do pewnych posług być używane. Jest to właśnie okres, który byłby mógł i powinien zostać obrócony na moralne i umysłowe kształcenie ubogiej dziatwy, dla przygotowania jej do ciężkich obowiązków, przeznaczonych jej w życiu. Tymczasem w tym kierunku robi się u nas niesłychanie mało. W Warszawie, liczącej obecnie napewno przeszło 600 tysięcy ludności, mamy wszystkiego szkół początkowych męskich 37 i żeńskich 19; zaś szkoły niedzielno-rzemieślnicze, w ciągu 80-letniego swego istnienia, tak mało zdołały się rozwinąć, iż jest ich dzisiaj zaledwie około 30. Przy nadzwyczajnym wzroście zaludnienia i zamożności miasta, pod względem opieki nad kształceniem dziatwy nie tylko nie zrobiliśmy postępów, lecz pozostaliśmy w tyle za światłemi uchwałami Komissyi Edukacyjnej z r. 1808 o przymusowych towarzystwach szkolnych i obowiązkowem uczęszczaniu do szkół od 6 do 12 roku życia. Obecnie Warszawa, jedno z miast najlepiej zagospodarowanych, zajmuje ostatnie miejsce śród wielkich miast europejskich pod względem inicjatywy na cele oświaty: wydaje na nie niespełna 150 tysięcy rs. rocznie, t. j. około 22 kop. na głowę, w czem na szkoły początkowe niespełna 90 tysięcy, kiedy taka np. Ryga, trzy razy mniejsza, wydaje na te same cele przeszło 200 tysięcy, zaś we wszystkich większych miastach wydatek na szkoły wynosi przeciętnie 2½ rs., a niekiedy, jak w Lipsku, dochodzi 5 rs. na głowę. Skutek jest taki, iż ubogie dzieci warszawskie, w wieku od lat 8—14, pozbawione zarobkowego zajęcia, którego w interesie ludzkości wzbrania im prawo, lecz zarazem pozbawione opieki rodziców, których pochłania ciężka praca wyrobnicza i fabryczna, a pozbawione opieki szkół, których im nie daje społeczeństwo, — chowają się na ulicy, włóczą się przez dzień cały samopas po podwórzach, zaułkach, skwerach i parkach miejskich, po przedmieściach, po placach, „pod szychkami“ nad Wisłą, tresowane są przez starszych, wykwalifikowanych włóczągów, przez wypuszczonych lub jeszcze nie zamkniętych przestępców, pozostają w ciągłym zetknięciu z szumowinami społecznymi, hodowane nie ku pożytkowi własnemu i społeczności, lecz ku własnej zgubie i szkodzie powszechnej. Coraz też częściej widzujemy na ławie pod sądnych przestępców nieletnich, coraz gęściej w doniesieniach bruko-

wych czytujemy o krwawych popisach wyrostków, co zaczynają od dźgania nożem, w wieku, kiedy powinni-by siedzieć nad elementarzem. To już nie wesoly typ „ulicznika warszawskiego“ z Momusów, Piwarskich albo Kostrzewskich, — to kształtuje się typ niebezpieczny, a przede wszystkim nieszczęśliwy, za który całkowita odpowiedzialność spada na obojętną albo niezaradną apatyę społeczeństwa. Dobrze się stało, że na tę sprawę zwrócono nareszcie uwagę szerszego ogółu. A nie jest to sprawa łatwa. Jeśli wyłączyć z jednej strony okazy zupełnie już zepsute pod względem moralnym, kwalifikujące się już tylko do internatów dla małoletnich przestępców, zaś z drugiej strony dzieci, które przeszły przez ochronę i mają jaką taką opiekę w domu, pozostanie jeszcze przypuszczalnie około 20 tysięcy dziatwy, o którą tutaj chodzi. Mniemalibyśmy zresztą, iż na początek, dla ułatwienia zadania, wypadało-by przede wszystkim wziąć na uwagę chłopców, gdyż dziewczęta, bądź co bądź, w tym wieku, od 8—14 roku, więcej trzymają się domu i mniej są narażone na wpływ ulicy. W obecnej chwili, póki ta trudna sprawa, dopiero podniesiona, jeszcze nie zdążyła dojrzeć, inicjatorowie bardzo słusznie wzięli ją odrazu ze strony całkiem praktycznej, zamierzając na razie robić to, co można, a nie to, wszystko co-by było potrzeba. Postanowiono tedy na razie założyć „sale zajęć“ szkolne i rzemieślnicze w kilku punktach miasta, później, skoro będą po temu środki, w każdym cyrkułe miejskim; otrzymywała-by tutaj dziatwa uboga wykład najniezbędniejszych wiadomości elementarnych, wprawiała-by się w niektóre roboty ręczne, znalazła-by wreszcie trochę cieplej strawy; była-by tym sposobem na kilka godzin dziennie wyjętą z pod zgubnego wpływu „ulicy“ i poddaną dobroczynnemu działaniu porządku, nauki i pracy. Koszt przypuszczalny wynosił-by około 12 rs. rocznie na głowę. Niezależnie od tych środków tymczasowych, które zresztą obecnie w nader szczupłym zakresie mogłyby wejść w życie, postanowiono założyć Towarzystwo opieki nad ubogimi dziećmi i przedsięwziąć kroki w celu uzyskania właściwego zezwolenia władzy. Cała ta sprawa zbyt jest ważna, abyśmy myśleli wyczerpać ją przygodnymi uwagami niniejszemi; zakładamy sobie, w miarę dalszego jej przebiegu, przypominać ją stale i jak najszerzej ogółowi uwadze ogółu.

Inna sprawa domowa, również ważna, a tem szerszego znaczenia, że już nietylko warszawska, lecz dotycząca ogółu ludności Królestwa, podniesioną została w miesiącu ubiegłym przez jednego z lekarzy prowincjonalnych. Chodzi o urządzenie prawidłowej, najniezbędniejszej pomocy lekarskiej dla mieszkańców naszych wsi, osad i miasteczek. Że pod tym względem dzieje się u nas obecnie źle i najgorzej,

nie ulega wątpliwości. Co to za męka być przy rodzącej kobiecie samemu bez żadnej obsługi, bez kieliszka wina, bez miednicy, mydła, ręcznika, słowem w najopłakańszych warunkach, — tak uskarża się dzisiejszy tej sprawy inicjator w prasie warszawskiej, sam wytrawny praktyk prowincjonalny; a ileż kobiet, źle obsłużonych przy porodzie kończy w strasznych męczarniach, ileż dzieci ginie w najmłodszym wieku, wydanych zupełnie na łaskę najpospolitszych chorób zakaźnych; zaś z drugiej strony, kiedy chodzi o ratowanie zdrowia, ileż głupoty, przesądu, niskiego wyzysku, gnębi nasz lud, niekający się dziś, jak przed laty, do znachora, kowala, żydowskiego felczera „od wszystkiego“, albo cudownej baby. To wszystko są rzeczy oddawna powszechnie wiadome. Powszechna i dawna tych rzeczy wiadomość nie przyczyniła się atoli dotychczas w niczem do ich naprawy. Taka naprawa, a skuteczna i radykalna, jeszcze przed dwudziestu pięcioletnią zaprojektowaną była w imieniu Towarzystwa lekarskiego lubelskiego, mianowicie pod postacią organizacji na jednostajnych, obowiązujących zasadach, służby zdrowia gminnej. Pomysł, wówczas nieureczywistniony, obecnie przez jednego z pierwotnych projektodawców został ponownie podniesiony na szpaltach pism warszawskich i prowincjonalnych. Oto główne zasady projektu. Okręgi, po dwie gminy mieszczące, razem liczące w przybliżeniu do 8 tys. mieszkańców, utrzymywać będą każdy dla siebie swoją służbę lekarską, składającą się: z lekarza, felczera i akuszerki. Wybór lekarza przysługiwać będzie gminie, której oczywiście nie może być narzucaną osobistość, nie posiadająca zaufania ludności miejscowej. Pobierać będą rocznie pensyi stałej: lekarz 1,000 rs. oraz £00 rs. na środki opatrunkowe i apteczne; felczer 400; akuszerka 300 rs. Na pokrycie zatem tych kosztów, nieprzenoszących dwóch tysięcy rs. rocznie, wypadnie ściągać opłatę z głowy po 50 groszy rocznie, t. j. po groszu tygodniowo, wydatek, który i najuboższemu sownie się opłaci. Projekt niewątpliwie jest użyteczny i wykonalny. Trzeba-by tylko pomyśleć wprost o wprowadzeniu go w życie. Zaś pod tym względem dzisiejszy projektodawca, jak większość reszty naszych projektodawców, nie jest dostatecznie jasnym. Przed miesiącem, kiedy po raz pierwszy był wystąpił z tą sprawą, radził, aby „lekarze prowincjonalni porozumieli się z inteligencją gmin, z proboszczami i sędziami gminnymi, a mogliby wkrótce tak ważną sprawę z korzyścią dla ogółu i dla siebie samych przeprowadzić“; zaś w powtórnym znów wystąpieniu wykazuje, iż „czekać na to, aby gmina sama wystąpiła z żądaniem służby zdrowia — możemy bardzo długo“, i że natomiast należy „uzyskać drogą prawem przepisaną zatwierdzenie projektu, który następnie z woli władz gminom do wykonania byłby przedstawiony,“ gdyż „inaczej nic ze służby zdrowia gminnej nie

będzie". W rzeczy samej, doradzana pierwotnie droga pojedynczych uchwał gminnych w tej materji wydaje się nam dla najrozmaitszych względów zgoła niepraktyczną. Stała-by tu zresztą na przeszkodzie już sama kwestya kompetencyi, (zwłaszcza gdyby chodziło o więcej niż jedną gminę,) tak ściśle wykreślonej w §§ 199 i 208 Urz. Gub. Kr. P. Wogólności instytucya tego rodzaju powinna stać na trwałych i jednostajnych zasadach. Mniemalibyśmy, iż byłoby rzeczą naszych Towarzystw lekarskich ustalenie takich zasad i zainteresowanie dla tej sprawy, w postaci zupełnie jasnej i dojrzałej, naczelnych w kraju władz administracyjnych, — dla których oplakane w tym względzie stosunki obecne w Królestwie nie mogą być obojętne, już chociażby przez porównanie z nieskończenie lepszymi stosunkami w Cesarstwie, gdzie ziemstwa gubernialne wydają corocznie prawie po pół miliona rs. (494 tysiące rs.) każde na cele służby lekarskiej dla ludu.

Wobec tak niespodzianych „odkryć“, jakim dla większości ogółu naszego była wiadomość o rozpaczliwym położeniu dziesiątków tysięcy dziatwy warszawskiej, albo dla wielu przeciętnych warszawiaków wiadomość o stosunkach leczniczych na prowincyi, wobec braku dokładnych informacyi co do najwybitniejszych stron naszego położenia społecznego, powszechny spis jednodniowy, dokonany d. 9 lutego, staje się wypadkiem szczególnie zajmującym. Niema potrzeby podkreślać znaczenia tej użytecznej czynności administracyjnej. Jest to obrachunek pierwszorzędnej wagi, zarówno dla rządu, jako też dla społeczeństwa. I społeczeństwu, i rządowi przedewszystkiem zależeć musi na tem, aby ów obrachunek był bezwarunkowo ścisłym. Ten pewnik został też z wielkim naciskiem zaznaczony we wszelkich w sprawie spisu jednodniowego publicznych enuncyacyach władz centralnych. Ze wszech miar byłoby do życzenia, aby podobnie wszelkie lokalne władze wykonawcze, którym urzeczywistnienie spisu zostało powierzone, przejęły się w pożądanym stopniu tak światłym, pochodzącym z góry, poglądem. Z mocy Najwyżej zatwierdzonej w dniu 7 czerwca r. z. Ustawy o spisie, między innymi została urządzona w Warszawie specjalna Komissya spisowa; zaś podług tejże Ustawy, zarówno do komissyi, jako też na zarządzających okręgami spisowemi powołani byli obywatele miejscowi. Od tych ostatnich obowiązków, do których istotnie, acz z pewnemi wyjątkami, zostali powołani, nie uchyliłi się też wybitniejsi obywatele naszego miasta, w tem przeświadczeniu, iż biorą udział w robocie bezwarunkowo użytecznej, bezwarunkowo przedmiotowej i podjętej w celach prawdy i samej tylko prawdy. W takim

przeświadczeniu mogła ich tylko umacniać zarówno rzeczona Ustawa, przewidująca między innymi dla Królestwa schematy spisowe i odpowiedzi w języku miejscowym, jako też Instrukcyja p. ministra spraw wewnętrznych dla zarządzających okręgami z dnia 29 września r. z., zalecająca im dobierać sobie na rachmistrzów „osoby obeznane ze stosunkami miejscowemi, i które pod względem moralnym posiadają zupełne zaufanie ludności miejscowej“, oraz Instrukcyja p. ministra dla rachmistrzów z dnia 15 września r. z., nakazująca np. „nieodzwownie wyodrębniać narzecza małoruskie, białoruskie“, zaś „osoby, nie uznające siebie za prawosławnych, zaliczyć do tej wiary lub wyznania, do jakiego same siebie zaliczają.“ Należało tuszyć, iż spis jednodniowy, jeżeli tylko będzie wykonany ściśle w myśl takich skazówek, dyktowanych przez wyższe zrozumienie prawdziwych potrzeb państwowych, przez wyłączną dążność do prawdy, i samej tylko prawdy, — istotnie przyniesie pożyteczne rezultaty. Niestety, wiadomości, dochodzące nas z rozmaitych stron kraju, od samej Warszawy aż do kresów, wiadomości najautentyczniejsze, z najlepszych źródeł czerpane, a zgodne zresztą najzupełniej z obciążającemi informacyami o spisie, ogłoszonemi w niektórych pismach petersburskich pod postacią korespondencyi z Królestwa, przekonywają nas, że pewna część organów wykonawczych, wbrew objawionym publicznie wyraźnym intencyom Rządu, zamiast robić spis jednodniowy, robiła politykę. Jasnem jest, iż tego rodzaju wybryki niepowołanych „działaczy“, w tego rodzaju sprawie, jak powszechny spis ludnościowy, przedewszystkiem są z krzywdą dla samego Rządu, który po to oczywiście, z tak znacznym nakładem zabiegów i kosztu, stawia pytania spisowe, aby usłyszeć odpowiedź ludności, aby zyskać niezawodną, z pierwszego źródła, wiedzę o istotnym składzie i funkcjach zarządzanego ustroju państwowego i zyskać tem samem niewzruszoną podstawę dla dalszego owym skomplikowanym ustrojem kierownictwa. Wiadomo nam o licznych zażaleniach z Królestwa, skierowanych w drodze prawem przepisanej bądź do komisyi spisowych miejscowych, bądź do centralnej w Petersburgu. Niepodobna wątpić, iż te skargi znajdują należyte uwzględnienie, i wszelkie nieprawidłowości i zboczenia, przy wykonaniu w Królestwie spisu dostrzeżone, zostaną nie tylko ściśle sprostowane, lecz surowo skarcone.

D. 4 stycznia 1899 r. upływa stulecie od narodzin Adama Mickiewicza. Dostyć było przypomnieć tę datę społeczeństwu naszemu, ażeby mu przypomnieć jego obowiązek: *onorate l'altissimo Poeta*. Ten, którego mamy uczyć, jest dla nas więcej, niż wielkim poetą. Do niego nawy-

kliśmy „biedz jak do wody z codziennych życia upałów“. Jest więcej niż chlubą narodową, — jest narodową podporą i posileniem. Ale czem on jest dla nas, nie pora teraz mówić, pora okazać. Dostyc jest sposobów uczczenia go przez osoby, stowarzyszenia, albo zawody. Jeden jest godny uczczenia przez społeczność. W Warszawie, na najpiękniejszym wolnym placu publicznym, winien stanąć pomnik Mickiewicza. Można to zrobić. Zatem zrobić należy.

Wiadomości bibliograficzne.

— Ks. Karol Niedziałkowski: „Miraże mądrości.“ Petersburg 1897, u K. Grendyszyńskiego.

— D-r Lesław Boroński: „Polacy na Bukowinie,“ szkic statystyczny. Kraków, 1896.

— Zeszyt 62 „Encyklopedyi rolniczej“ opuścił prasę i zawiera artykuły: „Mleczarstwo,“ „Mleko.“

— W zeszycie IV z 1896 roku lwowskiego „Kwartalnika historycznego,“ znajdujemy między innymi prace *Wiktora Czermaka*: „Wojna Smoleńska“ (1633 — 4), i *Aloizego Winiarza*: „Prawo polskie dziedziczenia kobiet w wiekach średnich.“

— Wyszedł z druku zeszyt 164 „Słownika Geograficznego,“ zawierający między innymi opracowania: „Zegrze,“ „Zelwa,“ „Zgierz,“ „Zgłowiączka,“ „Zgorzelice,“ „Ziembin,“ „Zinków,“ „Złaków,“ „Złoczew,“ „Złotniki.“

— „Wyboru pism“ Klemensa Junoszy ukazał się tom X, zawierający: *Stracone szczęście*.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca:

Michał ks. Radziwiłł.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z ROKU 1897.

Historya.

	Str.
Pierwotna germanizacya Słowian pomorskich — przez J. Kochanowskiego	137 i 265
Na dworze Władysława IV — przez Dr W. Cermaka	315
Kierunki nowożytne polityki francuskiej — przez Szymona Askenazego .	381

Szkice polityczne.

W sprawie naszego Kościoła — przez A. Rembowskię	439
--	-----

Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.

Kredyt przemysłowy — przez St. A. Kempnera	223
O terminowym handlu zbożem — przez Józefa Jeziorańskiego	448

Literatura.

	<i>Str.</i>
W „Wielgiem,” powieść — przez Maryana Jasińczyka . . .	1, 189 i 406
Nieznana komedya Aleksandra Fredry	61
Z liryki — przez <i>u</i>	131
Na morzu, fantazya — przez M. Tatarkiewicza	157
Przystań (poezya) — przez Lucyana Rydla	265
Młodość (poezya) — przez St. Rossowskiego	391
Strofy (poezya) — przez M. Tatarkiewicza	515

Studia i szkice literackie i artystyczne.

„Quo vadis“ Henryka Sienkiewicza — przez Władysława Bogusławskiego	94
Piśmiennictwo angielskie w roku 1896 — przez E. S. Naganowskiego .	296
Korzeniowski o sobie — przez M. Gawalewicza	482
Ruch literacki za granicą — przez Lucyana Rydla	535

Nauki przyrodnicze.

Przed sklepem mechanika, uwagi luźne o znaczeniu przyrządów w nauce — przez Stanisława Kramsztyka	343
--	-----

Krytyka.

Karol Potkański „Postrzyżyny u Słowian i Germanów;” — Dr L. Zakrzewski „Die russische Bauernbank mit besonderer Berücksichtigung des Königreichs Polen;” — Teodor Wierzbowski „Stanisława Orzechowskiego książki o ruszeniu Ziemi Polskiej przeciw Turkowi;” — Prof. Franciszek Piekosiński „Jeszcze o ustawodawstwie Wiślicko-piotrkowskiem króla Kazimierza Wielkiego;” — Dr Szeliga „Reforma uniwersytetu wileńskiego i szkół jemu podwładnych za rektora Twardowskiego;” A Pawiński „Odpowiedź według obyczaju rycerskiego w prawie polskiem — przez Al. Rembowskiego	161, 165, 168, 364, 366, 554
---	---------------------------------

Sprawozdanie Komissy do badania historii sztuki w Polsce za rok 1895 (Wydawnictwo Akademii Umiejętności w Krakowie) — przez W. Gersona	368
Alfred Konar „Pierwsza miłość”; — Exterus „Po zdrowie” — przez W. Bukowińskiego	372 i 376

Kronika zagraniczna.

<i>Galiczyjska</i> — przez U. — Ruch umysłów wśród ludności włościańskiej, występujący od dwóch lat w Galicyi. — Główne momenty z dzie- jów stosunków włościańskich od 1848 rokn. — Wpływ oświaty lu- dowej. — Agitacya w imię popierania interesów włościańskich. — Ks. Stojałowski. — Robota socyalistyczna. — „Związek chłop- ski.” — „Stronnictwo ludowe.” — Projekt ustawy, wprowadza- jącej nową ordynacyę wyborczą dla trzydziestu miast większych w Galicyi. — Projekt regulacyi górnego Dniestru. — Projekt zmiany ustawy drogowej. — Spekulacye na kupnie majątków ziemskich i na terenach naftowych. — Ułatwienie kredytu obroto- wego dla rolników w banku austro-węgierskim, — Warunki kredy- tu wekslowego w instytucyach kredytowych w Galicyi. — Zmiana redakcyi „Rolnika.” — Restauracya katedry łacińskiej	44
<i>Paryska.</i> Rozdanie nagród w Akademii francuskiej. — Prace o Ronsar- dzie Augusta Devaux i Alberta Thibaudet. — Rajmunda Thanin Porównanie rozprawy Cycerona „O powinnościach” z rozprawą ś-go Ambrożego. — „Regards intimes” Pomarelsa. — Bernardin o „Trystanie l’Hermite” i jego tragedyi. — Dzieło p. Hanoteaux o kardynale Richelieu. — „Jan Jakób Rousseau i początki kos- mopolityzmu w literaturze” przez p. Texte’a. — Książka p. de Lanzae de Labadie „O panowaniu Francuzów w Belgii. — Dzieło Gastona Meaugras o ks.ęciu de Lauzun. — Nagroda fundacyi Vi- tet za opis podróży p. Bazin. — Przemówienie pani Dieulafoy przed przedstawieniem „Persów” Eschylosa. — „Rodzina Wan- dejska podczas wielkiej wojny (1793 — 1795),” przez p. Bontil- lier de St André. — „L’ame antique,” p. Marka Legrand. — To- warzystwo etnografii narodowej. — Korrespondencya i rospera Merimée ze wstępem Ferdynanda Brunetiére. — Rozprawa Le- maitre’a o „snobizmie.” — Renego Doumic’a „Zarysy teatru współczesnego.” — Przyjęcie do Akademii Anatola France. — Przeniesienie zwłok Pasteur’a i mowa Legouvégó	244

<i>Londyńska</i> — przez E. S. Naganowskiego. — Przygotowania do jubileuszowego obchodu 60-letniego panowania królowej Wiktorji. — Spodziewany zjazd reprezentantów dynastji. — Chmury na politycznym widokregu brytańskim. — Usiłowania utrzymania pokoju. — Zjawienie się czarnej damy w komnatach Windsoru. — Kwestya szkolna w parlamencie. — Posiedzenie Komisyyi parlamentarnej w sprawie Transwaalu. — Dzieje „missyi polskiej“ w Londynie. — Przekłady powieści Sienkiewicza. — Odkrycia metalurgiczne p. Modesto Maryańskiego w Australji	518
--	-----

Kronika miesięczna.

<i>Styczeń.</i> Widoki pokojowe na rok 1897. — Jubileusz Adama Asnyka. — Projekta reformy w organizacyi filantropji, poruszone przez prezesa Towarzystwa Dobroczynności, ks. Michała Radziwiłła. — Życzenie wyrażone przez Ministerjum spraw wewnętrznych, aby zarządy miast możliwie ograniczyły koncesyjne załatwianie potrzeb miejskich, a natomiast organizowały przedsiębiorstwa na swój rachunek. — Dwudziestopięcioletni jubileusz Towarzystwa Kredytowego miejskiego. — Głos „Gazety polskiej“ w sprawie potrzeby kredytu hipotecznego dla drobnej własności ziemskiej w Królestwie Polskiem. — Chwiejność danych i poglądów na różnych zjazdach i posiedzeniach ekonomicznych. — Zjazd taryfowy w Petersburgu. — Dwa konkursy Paderewskiego i konkurs „Głosu“	171
<i>Marzec.</i> Zmiany w zarządzie Królestwem. — Głosy prasy rossyjskiej. — Odczyt prof. Spasowicza. — Sprawy domowe. — Pomnik Mickiewicza	577

Wiadomości bibliograficzne.

Styczeń	183
Luty	379
Marzec	572

